



Przekład Ewa Skórska

Pamięci Witalija Iwanowicza Bugrowa

WARTO UMRZEĆ ZA KSIĘŻNICZKĘ

CZEŚĆ PIERWSZA

LORD

1. Zaręczyny

Można się w tobie zakochać? Nie od razu usłyszałem pytanie. Zajęty skomplikowanym procesem wstawania z ziemi tak, aby uniknąć opierania się o poranione pięści, niemal zapomniałem o dziewczynie. Bywa tak przy zawziętych bójkach – chłopcy po prostu zapominają o przyczynie kłótni.

– Można się w tobie zakochać?

Wreszcie udało mi się podnieść. Najbardziej bolały ręce. Nieźle. To dowodziło, że większość ciosów zablokowałem. Gdyby nie prosty w twarz w ostatniej sekundzie, moje zwycięstwo byłoby absolutne. I bezkrwawe.

– Można się w tobie zakochać? – Dziewczyna mówiła spokojnie, ale z uporem. Jakby to nie ją, wyrrywającą się rozpaczliwie, ciągnęło przed chwilą na ławkę trzech krzepkich byczków. Jakby nie było krótkiej, bezlitosnej walki, w której przekroczyłem niewidoczną granicę – zacząłem bić, żeby zabić. Bo inaczej oni mogli zabić mnie.

Spojrzałem na siebie jakby z boku. Wysoki, muskularny, w rozerwanej koszuli, z twarzą zalaną krwią. Mieli kastet czy co? Ledwie trzymający się na nogach superman-amator, a wokół niego trzech pokonanych wrogów i uratowana dziewczyna. Czy można się w kimś takim zakochać?

– Jasne... – odpowiedziałem sam sobie półgłosem, nie zagłębiając się w sens pytania. – Pewnie, że można.

I popatrzyłem na dziewczynę.

Rany boskie, dlaczego się do niej przyczepili? Taka smarkula, najwyżej czternaście lat... Ale rzeczywiście ładna.

Bardzo ładna.

Miękkie kasztanowe włosy luźno spadały na drobne ramiona. Zgrabne nogi, figura niemal idealna, klasyczne kształty greckich rzeźb. Żadnego, tak często u nastolatków, zachwiania proporcji. Wielkie ciemnoniebieskie oczy. Niepokój malujący się na twarzy tylko dodawał jej uroku. Więc jednak się przestraszyła... Tylko głos pozostał opanowany.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Ubrana była dziwacznie – w krótkie obcisłe szorty, bluzeczkę z purpurowego, połyskliwego materiału, wiśniowe trampki i blad różowe skarpetki. Delikatną szyję dwukrotnie owijał złoty łańcuch, tak masywny, że w pierwszej chwili pomyślałem, że to imitacja. Ale potem wiedziałem już, że to niemożliwe. Dziewczynka nie miała na sobie nic tandetnego. Łańcuch był prawdziwy i musiał kosztować kupę forsy.

Dziwne wobec tego, że nie napadli jej wcześniej.

– Bardzo cię boli? – spytała cicho.

Pokręciłem głową. Pewnie, że bolało, ale nie warto o tym myśleć. Ona musi jak najszybciej

wrócić do domu, nie powinna włóczyć się nocą po zapuszczonym miejskim parku, pełnym napalonych szczeniaków i pijanych łobuzów.

– Zaraz przejdzie – powiedziała z przekonaniem i wyciągnęła do mnie rękę.

Ciepłe, delikatne palce musnęły moją twarz. Jakby nie widziała lepkiej krwi zaschniętej na skórze. Jakby nie bała się jej dotknąć.

Ból minął.

Poczułem, że owiewa mnie chłodny wiatr. Zacząłem jaśniej myśleć. Napiąłem mięśnie, gotów znowu skoczyć do bójki i choćby umrzeć za tę nieznaną dziewczynkę albo zabić każdego, kto chciałby ją skrzywdzić.

– Bardzo się cieszę – powiedziała. – Jesteś ładny, ale to nieważne. Jesteś silny, ale i to nie jest najważniejsze. Jesteś też odważny.

Na sekundę zamilkła. Jej palce przesuwały się po mojej twarzy, przynosząc lekki chłód. Dziwne, przecież dłoń była ciepła...

– Najważniejsze, że można się w tobie zakochać.

Skinąłem głową, teraz już całkiem świadomie. Chciałbym, żebyś się we mnie zakochała, dziwna dziewczynko.

Bo ja już cię kocham.

Uśmiechnęła się, ogromne niebieskie oczy rozbłyły. A więc zadała pytanie, znając odpowiedź. Jakby wypełniała nudny, ale niezbędny rytuał.

– Tak... – odpowiedziałem.

– Daj mi rękę.

Coś małego i ciężkiego spoczęło w mojej dłoni. Palce zacisnęły się same, kryjąc niespodziewany podarunek.

– Noś go, dopóki się nie rozmyślisz. Dopóki nie zmęczy cię czekanie. Na mnie już pora.

Zrobiła krok do tyłu. W ciemność, w płataninę drzew, w niewiadomą.

– Zaczekaj... – pochyliłem się do niej. – Odprowadzę cię...

Roześmiane oczy w twarzy młodej bogini.

– Odprowadzą mnie inni. To zbyt daleka droga... dla ciebie.

Cieszę się, że jesteśmy zaręczeni. Żegnaj.

Widziałem, jak odchodzi, i każda komórka mojego ciała, każdy mięsień i nerw wyrzywały się za nią. Powinienem odprowadzić ją do domu...

Ale nie mogłem się ruszyć. Tylko patrzyłem. A potem rozchyliłem palce i zobaczyłem pierścienek z żółtego ciężkiego metalu.

Dzisiaj wieczorem była impreza na chacie u Króla. Kroi, jak można się domyślić po przezwisku, ma duże odstające uszy, wiecznie czerwone, łzawiące oczy i stale jest zajęty czymś

bezsensownym. Za to jego rodzice, para geologów, wyjeżdżają w długie podróże służbowe, zostawiając Króla samego w całkiem przyzwoicie urządzonej mieszkanie.

Na imprezę przyszedłem już nagrany. Dziwnie się czułem – na ogół nie piję, ale jeśli już, to na maksa. Teraz już nie miałem ochoty pić.

W pokoju Króla było ciemno, na szerokim łóżku siedziało siedem osób, oglądając wideo. Ktoś głośno zawołał:

– Serge, klapnij sobie!

I ciszej, ale bardziej władczo:

– Ej, zróbcie miejsce dla Serge’a...

Machnąłem ręką, co miało być powitaniem oraz wyjaśnieniem, że nie mam zamiaru siadać.

Oparty o futrynę zerknąłem na ekran. *Koszmar z ulicy Wiqzów*. Niezniszczalny Freddy Kruger kroił chudego chłopaka swoimi palcami-brzytwami. Krew tryskała jak z fontanny. Chudzielec z miną skazańca, jakby rozumiał bezowocność wszelkiego działania, strzelał do Freddy’ego z dwóch ogromnych rewolwerów. Strzępy pasiastej koszuli i kawałki przegniłego ciała bryzgały z Krugera efektownymi gejzerami.

Odwrociłem się i poczłapałem do łazienki. W ślad za mną biegł zachwycony nosowy głos lektora: „A teraz zajmę się wami...”

W łazience szykowałą się do miłości nieznana mi para. Dziewczyna już się rozebrała, chłopak ściągał spodnie. Popatrzyli na mnie w taki sposób, że trochę wytrzeźwiałem. Zrozumiałem, o co im chodziło – drzwi były zamknięte na solidny zamek. Nawet nie zauważyłem, jak go wyłamałem.

– Ja tylko na chwileczkę – wyjaśniłem, odkręcając zimną wodę. – Muszę się umyć...

Lodowaty strumień chlusnął mi na kark, woda pociekła za kołnierz. Pokręciłem głową i aż jęknąłem z rozkoszy. Taak... Czego mi jeszcze potrzeba? Papierosa.

Dziewczyna stała spokojnie, zasłaniając się ręcznikiem. Chłopak powoli purpurowiał. Kątem oka obserwowałem go spod kranu, próbując przewidzieć dalszą reakcję. Jeśli mnie zna, to poczeka minutę, zamknie drzwi i spokojnie...

Cóż, chyba mnie nie znał. Szarpnąłem się, uchylając się przed ciosem. Chłopak walnął kantem dłoni w żeliwną wannę i zawył. Nie pozwalając mu ochłonąć, uderzyłem w ramię, niezbyt mocno, tylko po to, żeby go odwrócić... i kopnąłem w brzuch. Tym razem mogło zabołeć. Chłopak zgiął się i usiadł na podłodze.

– Jak będziesz dalej podskakiwał, uderzę niżej – powiedziałem pouczająco – i staniesz się niezdolny do pracy.

Poszukałem oczami ręcznika, nie znalazłem. Uśmiechnąłem się do dziewczyny.

– Chciałbym się wytrzeć.

Szybko podała mi ten, który trzymała przed sobą niczym parawan. Ostrożnie wziąłem

włochaty ręcznik za rogi, nadal zasłaniając dziewczynę, wytarłem twarz, skinąłem głową i wyszedłem do przedpokoju.

Poszukując papierosa, dotarłem do kuchni. Gdybym chciał tylko wprowadzić do płuc nikotynę, wystarczyłoby głębiej odetchnąć. Okno było otwarte, ludzi niedużo – trzech chłopaków i całująca się parka, a mimo to powietrze wykazywało zdumiewająco małą zawartość tlenu w dymie papierosowym.

Usiadłem na parapecie obok Księcia i Dosa i nie patrząc, wyciągnąłem rękę. Księżę włożył w nią napoczętą paczkę z pasącym się wielbłądem.

– Ho, ho...

Wyjąłem krótkiego camela, a paczkę wsunąłem do kieszeni.

– Prezent, pasuje?

Księżę skrzywił się, ale nie zaprotestował. Wyciągnął do mnie zapalniczkę, też markową, ale tym razem przewidująco nie wypuścił jej z rąk.

Zaciągnąłem się, uśmiechnąłem z przyjemnością i rozluźniony odchyliłem do tyłu. Prosto w otwarte okno.

Dziewczyna zapiszczała, nie przestając się całować. Przechyliłem się przez gzyms i zamarłem, oglądając z wysokości dziewiątego piętra Ałma-Atę w nocy. Równe, jak pod linijkę ulice, oznakowane płomykami latarni, plamy kolorowych świateł na placach. Samochody pełnące po ulicach niegdyś poświęconych Pasteurowi i Gorkiemu, a dzisiaj ludziom, których nazwiska trudno było zapamiętać. Wysoki hotel z otoczoną czerwonymi lampkami „koroną” na dachu.

Nogami zaczepiłem się za żeliwne żebra kaloryferów. Dos poklepał mnie po brzuchu – wystarczy, nie wygłupiaj się już...

Wyprostowałem się i wróciłem na parapet. Księżę w milczeniu wskazał głową stół, gdzie w otoczeniu kieliszków i pokrojonej na plasterki kielbasy nudziła się opróżniona do połowy butelka wódki. Jej dwie puste siostry leżały pod stołem. Pokręciłem głową. Nie wiem dlaczego, ale nie miałem ochoty.

W przedpokoju trzasnęły drzwi. Poczulem, że trzeźwieję. Niebieskie oczy pod kasztanową grzywką, zgrabna figura, dżinsowe szorty. Dziewczyna była piękna. I aż do bólu znajoma.

Patrzyłem, jak Romik z przyjaciółką podchodzą do nas. A w duszy rozbrzmiewał głos rozsądku: Uspokój się. Ochłoń, Sergiej. Minęło prawie pięć lat. Można się zakochać, mając siedemnaście lat, ale głupio wspominać dziecięcą miłość, gdy ma się dwadzieścia dwa. Po prostu jest podobna.

Bardzo podobna.

Uścisnąłem Romikowi dłoń. Dlaczego on ma zawsze wilgotne ręce? Księżę spytał bezceremonialnie:

– Nowa dziewczyna?

Romik spojrzał na swoją towarzyszkę.

– Jak widzisz – odpowiedział wymijająco.

– Na razie nie jestem twoją dziewczyną – odezwała się, przyglądając się nam. – Nie przedstawiś mnie?

– Poznajcie się, to Ada. Z biologii... – zaczął Romik.

– Najpierw przedstawia się mężczyznę – powiedziała ze wzgardą Ada. Spojrzała na mnie, jakby oceniała manekina na wystawie.

Odsunąłem ramieniem Dosa, wziąłem Adę za rękę i pociągnąłem do siebie.

– Siadaj.

Posłuchała w milczeniu.

– Nazywam się Serge. Będiesz moją dziewczyną? Ada wzruszyła ramionami i spojrzała na Romika, który uśmiechnął się krzywo.

– Nie bój się, pozwoli – wyjaśniłem. – W zeszłym tygodniu odstąpiłem mu swoją dziewczynę, ma u mnie dług. Prawda, Romik?

– Serge, przesadzasz – powiedział cicho.

– Zniknij – rozkazałem krótko.

Romik wziął ze stołu pełny kieliszek, wychylił jednym haustem, rzucił mi nienawistne spojrzenie i wyszedł.

Znał mnie dobrze.

Przymknąłem oczy, zaciągnąłem się słodkawym dymem, usłyszałem głos Księcia:

– Pogadać z nim, Serge?

Pokręciłem głową.

– Ma prawo, Księżę. A ja rzeczywiście przesadziłem. Sam to załatwię.

Papieros dopalił się prawie do filtra. Z każdym zaciągnięciem tytoń wydawał się coraz mocniejszy.

– Nie podoba mi się, że palisz – powiedziała Ada.

Skinąłem głową, wyciągnąłem paczkę z kieszeni i wrzuciłem ją w ciemną wyrwę okna. Wyplułem na podłogę niedopałek. Księżę popatrzył smętnie w okno.

– Były oryginalne...

– Dobra – uspokoiłem go. – Słuchaj, potrzebuję wolnego pokoju.

Księżę skinął głową i wyciągnął Dosa z kuchni. Parka i trzeci chłopak zmyli się już wcześniej.

– Co to ma znaczyć? – spytała Ada, odsuwając się ode mnie. Patrzyłem na nią chciwie. Podobna, fakt. Ale tamta miałyby teraz z osiemnaście lat, Ada jest starsza.

– Można się w tobie zakochać? – spytałem, akcentując każde słowo.

Ada wzruszyła ramionami.

– Twoja sprawa. Zaryzykuj...

Coś pękło. Podobieństwo się zatarło, urok przysł. Obok mnie siedziała zwykła dwudziestoletnia dziewczyna, w miarę ładna, w miarę bezczelna. Włosy ufarbowane na modny kolor. Seksowne szorty zrobione ze starych dżinsów.

Tamta odpowiedziałaby inaczej. Nie wiem jak, ale nie z taką udawaną niedbałością, nie z miną kobiety fatalnej, która z niejednego pieca chleb jadła.

– A pić pozwalasz? – spytałem ostro i sięgnąłem po wódkę. Ada skinęła głową. Piłem prosto z butelki, nie czując palącego płomienia na wargach.

– Zostaw trochę – poprosiła Ada.

Podąłem jej butelkę z pluskającą na dnie resztką płynu. Odetchnąłem pełną piersią. Gardło, usta, żołądek – wszystko paliło żywym ogniem. W świadomości mignęła ostrzegawcza myśl: Za pół godziny się wyłączysz.

Popatrzyłem na Adę. Dopięła wódkę tak samo jak ja, z butelki. Siedziała spokojnie, noga założona na nogę. Nagle zauważyłem, że nogi ma pokryte rzadkimi włoskami. Co prawda starannie rozjaśnionymi, ale...

Czy może być coś straszniejszego od włochatych kobiecych nóg? Tak, włochate kobiece piersi.

Co do piersi, jeszcze zdążymy się zorientować.

– Słyszałaś o mnie? – spytałem, a język poruszał mi się z pewnym trudem.

Ada skinęła głową.

– Tak. Jesteś Siergiej-Serge. Rządzisz całą dzielnicą, a mógłbyś rządzić całym miastem. Karateka. Instruktor walki wręcz w klubie sportowym.

– Co jeszcze?

– Walczyłeś na południu z separatystami. Byłeś ranny w kaspijskim desancie. Studiowałeś medycynę, ale rzuciłeś. Teraz się regenerujesz.

Jestem sławny...

– Jeszcze! – poprosiłem.

Ada zamilkła.

– Nigdy nikomu nie wyznałeś miłości. Nawet tym, z którymi spałeś, a było ich sporo. Mówią, że pięć lat temu, jeszcze za Związku Radzieckiego, uratowałeś przed bandytami dziewczynę i zakochałeś się. Ona podarowała ci pierścionek, który od tej pory nosisz. To ten?

Podniosłem prawą rękę, nagle nieznośnie ciężką. Na serdecznym palcu słabo lśnił pierścień. Błądą iskierką świecił w złocie miniaturowy brylancik.

– Nie podoba mu się – powiedziałem ze smutkiem. Głowę zasnuwała mi mgła, przed oczami wirowało. – Widzisz, jak zmatowiał? Robię świństwa, zachowuję się jak bydlę...

Przysunąłem twarz do Ady i szepnąłem:

– Jesteś do niej podobna, jasne? Zewnętrznie.

Ada skinęła głową ze zrozumieniem.

– Tak myślałam. Przecież nikomu nie odbijasz dziewczyn. Same do ciebie lgną.

– Wszystko o mnie wiesz – powiedziałem w zadumie. – Dawno na mnie polujesz? Wiesz, że się w tobie nie zakocham...

– Lubię mężczyzn – potrząsnęła grzywką – którzy są silniejsi ode mnie.

– Którzy zdławią twoją wolę... których zechcesz słuchać. Żal mi cię, Ada – wyszeptałem. Czuję się jak w malignie. Pokój znikł. Zostało tylko słabe światło, tłumione przez dym papierosowy i dziewczyna o drapieżnych oczach. – Chcesz, żebym cię przeleciał? Masz to załatwione.

– Teraz, zaraz? – spytała ironicznie.

– Tak.

Zaczepiłem palcami za pasek szortów, szarpnąłem.

– Zdejmij to – powiedziałem.

Zeskoczyła z parapetu. Wydawało się, że zaraz strzeli mnie w mordę i pójdzie sobie... a ja rzucę się za nią z przeprosinami, w pijanej wierze, że jednak ją znalazłem, dziewczynę z dziecięcego snu, z pierwszej miłości...

Ada rozpięła guzik, z trzaskiem rozsunęła suwak. Opuściła szorty i została tylko w białych koronkowych majteczkach.

– Dalej! – rozkazałem, zsuwając się z parapetu. – Bluzkę też...

2. Zew

Obudziłem się przed południem. Głowa pękała mi z bólu, w ustach pustynia, wargi pokryte białym nalotem.

Było mi cholernie wstyd. Za pobitego w łazience chłopaka. Za wygłupy z papierosami. Za zawstydzonego Romika.

Za niebieskooką sympatyczną dziewczynę o krótkim imieniu Ada.

Popatrzyłem na pierścionek – wydał mi się szary, brylant wyglądał jak szkiełko.

– Drań ze mnie – wyszeptalem, wstając z pogniecionej pościeli. – Drań, który trzyma w garści dzielnicę. Drań, który uczy gówniarzy bić się i zarabia na tym ciężkie pieniądze.

Po drodze do łazienki włączyłem magnetofon i mieszkanie wypełniło się łomotem elektronicznej muzyki. Stary Jean Michel Jarre zasuwiał na całego.

Zimny prysznic, potem gorący – chłozzące strumienie wrzątku i znowu lodowata woda.

Zamarzałem i gotowałem się w ukropie. Jęczałem z przyjemności, krzyczałem z bólu. Potem bez wycierania wyszedłem z wanny, poszedłem do kuchni, postawiłem czajnik na gazie. Mieszkanie było puste – rodzice dawno temu wyszli do pracy. Moi wspaniali rodzice, dumni ze swojego wspaniałego syna.

– Drań ze mnie – powtórzyłem. – Ale trudno na ciebie czekać. Tak długo... Naprawdę cię kocham. Chociaż nic o tobie nie wiem, nawet nie znam imienia.

Zalałem wrzątkiem dwie łyżeczki neski, usiadłem z filiżanką przy stole. Otworzyłem paczkę ciasteczek. Nie chciało mi się jeść, przeciwnie, zbierało mi się na wymioty, ale z doświadczenia wiedziałem, że jak zjem, poczuje się lepiej.

Pijąc kawę, ukradkiem popatrywałem na pierścionek. Metal ożył, nabrał bursztynowej zółci. Przezroczysty kryształ, który przywykłem uważać za brylant, zaczął lśnić.

Czasem mi się wydawało, że to właśnie pierścionek nie pozwala mi zapomnieć o tym dawnym spotkaniu w parku. Dziwny to był pierścionek – reagował na każdą zmianę mojego nastroju. Teraz, gdy już się pokajałem, stał się normalnym złotym pierścionkiem. Kamień błyszczał nawet jaśniej niż zwykle.

Znacznie jaśniej.

Patrzyłem z przyjemnością, jak światło mieni się w malutkim okruszku, który ciśnienie i temperatura zmieniły z czarnego węgla w lśniący diament.

Jeśli pierścionek był przypadkowym prezentem dla nieznanego wybawcy, to dziewczynka musiała być córką milionera. Chyba jej więcej nie zobaczę. A już na pewno nie natknę się na nikogo podobnego.

A jednak to dobrze, że ją spotkałem. Roześmiane niebieskie oczy. Miękkie palce, usuwające ból. I uparte pytanie: „Można się w tobie zakochać?”

– Tak – powiedziałem czule, patrząc na pierścionek. – Tak.

– Ciągle jeszcze czekasz?

– Tak.

– Przyjdiesz, jeśli poproszę?

– Tak...

Podrzuciło mnie na krześle. Nie, sam podskoczyłem. To przecież... Nie rozmawiałem już sam ze sobą.

W dźwięcznej ciszy, tym bardziej odczuwalnej, że skończyła się kasetka, słyszałem jej głos. I wcale nie taki jak w marzeniach – spokojny i dziecinnie beztroski. Głos drżał jakby ze strachu lub bólu. Był niepewny i cichy, a jednocześnie twardszy i poważniejszy niż wtedy w parku. Dziewczynka dorosła.

I przypomniała sobie o mnie.

– Nie boisz się? To bardzo daleka droga.

Pokręciłem głową. Zapadła cisza. Głos zamilkł. Nagle do mnie dotarło, że ona może nie widzieć mojego gestu.

– Nie boję się.

Już wiedziałem, skąd dobiega głos – z pierścionka. Więc taki jesteś, drogocenny podarunku...

– Czas ucieka i trzeba się spieszyć. Zastanów się jeszcze, czy nie będziesz żałował. Wzywam cię do innego świata, na inną planetę.

Już się domyśliłem. W mojej duszy nie powstał nawet cień zdumienia. Nie było też strachu. Żałować tego świata? Pijanych twarzy Księcia i Dosa? Dwóch lat służby w oddziałach specnazu? Wieczornych rozmów rodziców, jaki to piękny był nasz kraj przed rozpadem, za Breżniewa? Cotygodniowego mordobicia przy niewidzialnych granicach dzielących miasto na szczeniackie dzielnice?

– Przyjdę. Nie będę żałował.

Pauza. Milczenie, białe i sztywne niczym sterylne fartuch lekarza. Sekunda przerwy w rozmowie dwóch światów.

– Powiedz, czy to prawda... to prawda, że o mnie pamiętałeś?

Jej głos był ledwie słyszalnym szeptem.

– Tak... – speszyłem się.

– Zdarzyło się nieszczęście. Wielkie nieszczęście. Jesteś ostatnią szansą dla wielu tysięcy ludzi. Starożytny zwyczaj stanie na drodze zła.

– Nie rozumiem – powiedziałem bezradnie. – Wyjaśnij mi, co się stało.

– Czas ucieka. Wiesz, że możesz zginąć?

– Tak... pewnie tak.

– Przyjdiesz?

– Tak! Ale w jaki sposób?

– Teraz rozbiję kamień naszego pierścionka. To klucz zamykający tunel. Bariera zniknie i wtedy przyjdiesz. Ale kto powita cię na mojej planecie, wróg czy przyjaciel, tego nie wiem.

Zdumiało mnie to, co powiedziała o „naszym” pierścionku. I nagle zrozumiałem – ma na palcu taki sam pierścionek jak ja. Klejnot jest rozdzielony, istnieje w dwóch światach.

– Idę – powiedziałem po prostu. – Idę.

Kamień w pierścionku błysnął oślepiającą białą iskrą. Lustrzane krawędzie pokryła pajęczyna pęknięć. Po chwili znikł zupełnie, a wokół pierścionka pojawiło się złociste lśnienie. Delikatną warstewką rozplynęło się po ręce, przesunęło po ciele, owinęło mnie migotliwą zasłoną.

Świat przestał istnieć.

Spadałem. A raczej leciałem w bezcielesnej złotej mgłę, słodkiej jak miód, ciepłej jak bursztyn. Kołysały mnie delikatne dłonie, tuliły czułe muśnięcia. Świat był pełen ciepła i spokoju, nie było w nim miejsca na strach czy ból. Serdeczne głosy szeptały coś miłego, nuciły niekończącą się hipnotyzującą melodię. Widmowe cienie wokół nasłuchiwały ledwie uświadomionych myśli. Ciało rozrastało się, wypełniając sobą cały ten nierealny świat; zmieniało się w słonecznie żółty, pachnący cytryną i miętą dym, w chmurę pomarańczowego pyłu, w brylantowy deszcz, spadający na ogromny złoty krąg.

Nagle, jak puenta magicznego oczarowania lotem, spadła na mnie fala niewypowiedzianej rozkoszy. Dygotałem, próbując zachować okruchy niesamowitej, nieludzkiej przyjemności. Ale bursztynowa mgła zanikała, rozplywała się, gasła...

Ocknąłem się.

Fatalnie się stało, że gdy wychodziłem z wanny, nie przyszło mi do głowy, żeby się ubrać. Teraz, gdy leżałem na wznak na twardej, pokrytej ostrymi kamykami ziemi, nagość sprawiała ból. Przejście od rozkoszy do cierpienia było tak gwałtowne, że przez kilka chwil nie mogłem się poruszać ani myśleć. Chciałem się skulić, zastygnąć, wpaść w senne odrętwienie. Na szczęście ten gwałtowny kontrast pomógł mi przyjść do siebie, zapomnieć o upajających halucynacjach hipertunelu.

Oderwałem się ostrożnie od ziemi, wbite w ciało kamyczki odpadły. Zerwałem się i zamarłem, odruchowo przyjmując pozycję obronną.

Kamienisty step ciągnął się aż po horyzont. Żadnej kępki trawy, żadnego krzewu czy drzewa. Ani jednej błękitnej plamki wody. Brunatna równina pod bezchmurnym, dziwnym, ciemnym niebem. I oddycha się tu... inaczej. Powietrze jest jakby przefiltrowane, nie czuć najbliższego zapachu. Nie wyczuwa się nawet pyłu, co, moim zdaniem, jest w stepie obowiązkowe. Za to słońce wygląda zwyczajnie – złociste, jak u nas.

– Chyba doleciałem – szepnąłem do siebie.

Dokąd mnie przywołałaś, dziewczynko ze snu? Gdzie wyrzucił mnie magiczny pierścionek, talizman, drogocenna zabawka?

Popatrzyłem na siebie i poczułem wstyd. I złość. Nagi atleta. Żebym się tylko nie natknął na jakąś kobietę...

Ale może bym się w ogóle na kogoś natknął! Jak długo człowiek może przeżyć bez wody? Trzy dni? Pięć?

Przypomniałem sobie o pierścionku. Spojrzałem na rękę. Nie znikł, jak zawsze tkwił na serdecznym palcu. Za to znikł brylancik. Nawet nie zostawił śladu w złocie. Cóż, klucz w zamku został przekręcony, bariera stanęła otworem. Nie ma odwrotu.

Rozejrzałem się. Wszędzie to samo – wypalony step, co za różnica, w którą stronę pójść. Popatrzyłem na słońce i postanowiłem pójść na wschód. Jeśli się oczywiście nie myliłem i teraz jest ranek.

Stopy nie bolały mnie nawet po trzygodzinnej wędrówce na bosaka. Zasługa treningów karate. Czasem odnosiłem wrażenie, że na podeszwach stóp, krawędziach dłoni i kostkach palców zamiast skóry mam zrogowaciałą płytkę, twardą i pozbawioną czucia. Za to strasznie chciało mi się pić. Z żalem wspominałem niedopitą kawę, a obraz czajnika napełnianego zimną wodą z kranu starałem się usunąć ze świadomości. Jeśli tak czuję się po tej raczej krótkiej przechadzce, jutro pragnienie stanie się nie do zniesienia.

W dodatku zakpiło ze mnie słońce, które właśnie niespiesznie zachodziło na rzekomym „wschodzie”. Czyli zamiast poranka wieczór. A ja idę na zachód.

Jasne, to bez różnicy, jaki kierunek wybiorę. Całkiem możliwe, że powinienem iść na północ, gdzie mogłem trafić na jakieś tutejsze megapolis. Niewykluczone też, że na południu znalazłbym ogromne jeziora o brzegach porośniętych jadalnymi owocami. To nieistotne. Irytujący był sam fakt pomyłki.

Gdy słońce do połowy skryło się za horyzontem, zacząłem szykować się do snu, czyli szukać w miarę równego i wolnego od kamieni miejsca. Już się nie przejmowałem swoją nagością. I tak nikt mnie nie widział. Czuję się jak człowiek pierwotny, który nie zdążył jeszcze wynaleźć ubrania.

Co prawda, miałem pierścionek. Czasem dotykałem go opuszkami palców. Czego się spodziewałem? Rady? Wsparcia? Łyku wody? Wezwałaś mnie, dziewczyno moich marzeń, więc przybyłem.

Idę.

Huk zrodził się wysoko w niebie, na zachodzie. Zatrzymałem się, wytrzymałem wzrok. I zobaczyłem nad ognistym półokręgiem zachodzącego słońca dwa lecące srebrzyste punkty.

Od razu pomyślałem o samolotach bojowych. Wskazywała na to prędkość lotu i wyraźnie widoczne manewry latających maszyn. Ta, która leciała pierwsza, bez przerwy zmieniała wysokość i prędkość, na przemian pikowała i wzbijała się w górę. Druga synchronicznie powtarzała jego ruchy, coraz bardziej zmniejszając dzielący je dystans.

Zadarłem głowę i obserwowałem lot. Obie maszyny były teraz nade mną, ale wysokość – co najmniej pięć tysięcy metrów – nie pozwalała dostrzec ich kształtu. Po prostu dwa srebrne punkty na ciemnym niebie – tam, dokąd pędziły, słońce jeszcze świeciło.

Czekałem na rozwiązanie sytuacji. Byłem przekonany, że nastąpi. I nastąpiło. Ale nie takie, które wydawało się najbardziej prawdopodobne.

Prześladownicę otoczyła biała chmura, bardziej przypominająca dym niż ogień. Srebrzysta maszyna zaczęła powoli, bardzo powoli odpływać w bok. Połyskliwy obłok przemieścił się w ślad za nią – jak opiłki żelaza pełzną po kartce papieru za silnym magnesem.

Otulona białym płomieniem maszyna zaczęła spadać pionowo, koziółkując, z każdą sekundą nabierając kształtu mniej więcej spłaszczonej kuli. Przez kilka chwil śmiercionośny obłok jej towarzyszył, potem został w tyle i zgasł.

Zestrzelona maszyna spadała prosto na mnie. Zastanawiałem się pośpiesznie, czy warto uciekać, a jeśli tak, to w którą stronę. Ale maszyna jeszcze nie straciła do końca sterowności. Na wysokości stu metrów zwolniła i zawisła. Przez chwilę myślałem, że uda jej się szczęśliwie wylądować.

Wtedy rozległ się niegłośny trzask i metalowa kula eksplodowała pomarańczowym płomieniem.

Nabyte w wojsku odruchy nie zawiodły. Skoczyłem, nie zwracając już uwagi na kamienie, i rozciągnąłem się na ziemi, nogami w stronę ognia. Po kosmicznej technice mogłem się spodziewać każdego świństwa, z wybuchem atomowym włącznie.

Odlamki zagrzechotały wokół mnie. Buchnęło zarem, plecy owiał gorący wiatr. Przez kilka sekund w powietrzu wisiał przytłaczający huk, na który ciało zareagowało głuchym bólem. W końcu nawet on ucichł. Brzęczał tylko samotnie kawałek metalu, tocząc się po kamieniach w moją stronę.

Wstałem. Pięć metrów ode mnie podskakiwał w miejscu mały metalowy dysk – ocalały element zniszczonego „samolotu”. Nieopodal ciemniała sterta odłamków, niczym nieprzypominająca spłaszczonej kuli, tak niedawno manewrującej na niebie. Wykorzystywana w tym świecie broń, mimo całej swojej egzotyki, była bardzo skuteczna.

Ominąłem dysk szerokim łukiem, podszedłem do sterty złomu. Znalezienie jakiegś nieuszkodzonej części wydawało się nierealne, ale nawet ostry kawałek metalu bywa czasem bardzo przydatny. Nóż to najprostsza i najpewniejsza broń na świecie. Nie zatnie się, nie skończy mu się magazynek. Ale od swojego właściciela wymaga pewnych umiejętności...

W głębi duszy wiedziałem, że podchodzenie do zniszczonej maszyny jest lekkomyślnością. Mogła być radioaktywna. A jeśli nie, to paliwo mogło być trujące. Gdzieś po metalowych szczątkach biegały jęczyczki bladego płomienia. Ziemia pod stopami była gorąca. Powtórny wybuch mógł nastąpić w każdej chwili.

Jednak nie doszedłem do resztek maszyny. Kilka metrów od nich zobaczyłem pilota.

Leżał z rozrzuconymi rękami – nieruchoma czarna plama na tle szarego kręgu niewypalonej ziemi. Chyba był humanoidem, choć teraz, antracytowo-czarny, przypominał raczej cień, zwęgloną głownię. Dopiero gdy podszedłem bliżej, dostrzegłem, że ogień go oszczędził. Po prostu pilot od stóp do głów był obciągnięty przylegającym, podkreślającym każdy mięsień kombinezonem. Tkanina połyskiwała oleście, ale nie odbijała czerwonych promieni zachodzącego słońca ani błękitnych błysków dopalającej się maszyny. Materiał jakby wchłaniał padające nań światło, przetwarzając je w lekkie migotanie. Gdzieś cienka warstewka kombinezonu jakby puchła gronami malutkich kulek, przemieniając się w wąskie taśmy-pasy opinające ciało.

Do pasa pilot miał przypiętą krótką, szeroką kaburę, umieszczoną, ku mojemu zdumieniu, z prawej strony. Na lewym biodrze umocowano długą, płaską pochwę.

Widywałem już różne mundury. I uniformy wojsk byłego Związku Radzieckiego, i pstrokate umundurowanie wojskowych formacji Niepodległych Państw. Pamiętałem mundury „błękitnych hełmów”, oddziałów ONZ, wyskakujących na zakurzonych ulicach Tyraspolu z potężnych helikopterów desantowych o dwóch wirnikach. Międzynarodowe siły powstrzymywania zastąpiły nas, chłopaków ze specnazu, na granicach maleńkiej republiki Naddniestrza...

Ale w żadnej armii mojego świata lotnicy wojskowych sił powietrznych nie latali z przypasanymi mieczami!

Zerknąłem w górę. Druga maszyna już znikła. Pilot nawet nie zszedł niżej do zestrzelonego przeciwnika. Bał się?

Wszystko jedno. Nie było sensu się tu zatrzymywać.

Nie wahałem się długo. Nocleg w stepie bez ubrania był mało pociągający. Ostrożnie przewróciłem pilota na plecy, z pewną obawą zerknąłem na twarz. Twarz była ludzka. Pilot mógł mieć czterdzieści lat, byliśmy podobnej budowy ciała. Nie widziałem żadnych śladów krwi, ale rozszerzone śmiercią źrenice nie pozostawiały wątpliwości – nie żył.

Przepraszając go w duchu, zacząłem majstrować przy zapięciach kombinezonu. Szew był jeden, ciągnął się od szyi do podbrzusza. Wkrótce zrozumiałem, że można go otworzyć, naciskając na niego i jednocześnie przesuwając tkaninę w prawo. Zasadą działania zapięcia pozostała niewyjaśniona. Chyba jakiś mechanizm magnetyczny.

Co za różnica...

Dziesięć minut później miałem na sobie czarny, połyskujący kombinezon. Nie zdjąłem

z martwego pilota bielizny i on pozostał w jasnoszarym trykocie przypominającym dres. Logika nakazywała, żeby zabrać mu wszystko, ale nie pozwoliło mi na to sumienie i wstręt. Czarna tkanina i tak przyjemnie chłodziła nagą skórę. Kombinezon lekko zwęził się w pasie i rozciągnął w ramionach, dopasowując się do mojej figury. Wygodne.

– Nie wiem, kim jesteś i dlaczego zginąłeś – powiedziałem półgłosem. – Ale dziękuję ci za to ubranie. Zrobię dla ciebie tyle, ile mogę...

Rozejrzałem się w poszukiwaniu odpowiedniego kawałka metalu do wykopania niezbyt głębokiej mogiły. Odłamki już przestały płonąć, żadnych oznak życia w pobliżu nie zauważyłem. Ale nie mogłem porzucić niepogrzebanego ciała. Kiedyś, w czasie walk w górach Kaukazu, straciliśmy trzech chłopaków, wyciągając spod ostrzału ciało sierżanta. Nasz stosunek do poległych na wojnie jest jakby próbą przeprosin za to, że nadal żyjemy...

3. Płaszczynowy miecz

Pierwszą noc w obcym świecie spędziłem niespokojnie. W kombinezonie zabitego lotnika było mi ciepło i wygodnie, na bezludnym stepie panowała cisza. Daleko w tyle pozostały odłamki maszyny, które stały się nagrobkiem na bezimiennej mogile. Mimo wszystko nie mogłem zasnąć.

Tysiącem oślepiających gwiazd, nieznanymi wzorami konstelacji, kolorowymi plamami mgławic płonęło nade mną obce niebo. Ta planeta nie miała widocznych satelitów, ale widno było jak w czasie pełni. Dopiero teraz, patrząc na gwiazdy, których nazw nie znałem, zrozumiałem, jak daleko jestem od domu. Nie tylko od domu – od całej Ziemi. Nieskończenie daleko. Życie przewróciło kilka kartek i zaczął się nowy rozdział. Jeszcze nie wiadomo, ciekawy czy nudny, smutny czy wesoły. Po prostu nowy. I tylko ja – główny bohater powieści – nadal jestem ten sam. Siergiej zwany Serge'em, student medycyny, komandos w rezerwie, mieszkaniec Ziemi, który pięć lat temu pokochał gwiazdną księżniczkę, dziewczynkę z marzeń...

Wezwała mnie. Przyszedłem.

W końcu zasnąłem z dłonią zaciśniętą na kaburze pistoletu. Z oględzinami broni postanowiłem poczekać do rana – nawet w jasnym półmroku tutejszej nocy nie warto zajmować się czymś, co wymaga maksymalnej koncentracji i ostrożności. Wystarczy, że na zgrabnym, jakby zrobionym z jednego kawałka metalu pistolecie znalazłem guzik spustu. Nad zasadą działania można się zastanowić rano. Ostatnią świadomą myślą było: jak strasznie chce mi się pić...

Ta sama myśl towarzyszyła mi przy przebudzeniu. W ustach zabrakło śliny, spuchnięty język bolał, wargi pokryły się ohydny w smaku nalotem. Sen nie przyniósł ani sił, ani orzeźwienia.

Nad stepem powoli wstawało słońce. Niebo znowu wypełniło się głębokim błękitem, nie został nawet ślad po nocnym majestacie. Powietrze było chłodne, ale suche. Ani jednej kropli rosy na kamieniach.

Wstałem z pewnym wysiłkiem, obmacując językiem wyschnięte gardło. Przesunąłem dłonią po włosach i odwróciłem się plecami do słońca. Cień na ziemi był niczym cienki palec wskazujący kierunek.

Naprzód.

Po drodze wyjąłem pistolet z kabury i obejrzałem go. Tak jak myślałem, żadnych bezpieczników czy regulatorów. Tylko szeroki, wygodny spust.

Wycelowałem broń w najbliższy głaz, nacisnąłem spust – delikatnie i ostrożnie, gotów w każdej chwili cofnąć palec albo odrzucić broń.

Rękę zaczęło mi odpychać do tyłu. Nie przypominało to odrzutu zwykłego pistoletu, kojarzyło się raczej z lekkim naporem włączanego wentylatora.

Głaz pokrył się siateczką drobnych pęknięć. Pospiesznie cofnąłem palec z przycisku, ale kamień z ledwie słyszalnym trzaskiem nadal rozpadał się na kawałki. Z coraz większych szczelin leciał szary pył, sypało się kamienne kruszywo. Jakby jakiś niezgrabny stalowy kret poruszał się w głębi kamienia, rozbijając go na części.

Głaz rozsypał się z takim łoskotem, że zatkałem uszy. Niewidoczny kret zakończył swoją pracę – zamiast metrowego kamienia leżała przede mną sterta drobnych odłamków, a nad nimi unosił się pył.

Cóż, sprawa pistoletu się wyjaśniła. Działał podobnie jak broń, która zniszczyła latającą maszynę. Nie jak laser czy inny „promień śmierci”, wytwarzał jedynie w trafionym obiekcie narastające napięcie, które w końcu go niszczyło.

Wsunąłem pistolet do kabury i przyjrzałem się broni w pochwie. Wyglądała całkiem współcześnie. Półokrągła garda z szarego metalu chroniła dłoń. Pokryta elastycznym plastikiem rękojeść była w tym samym kolorze co kombinezon i widniał na niej okrągły czerwony przycisk.

Na pierwszy rzut oka miecz przypominał ceremonialne kordy oficerów marynarki, ale teraz pojawiły się wątpliwości. Na ceremonialnym mieczu guzik byłby niepotrzebny.

Ostrożnie wyjąłem miecz z pochwy. Klinga – nienaturalnie wąska, najwyżej na cztery centymetry, bladobłękitna, niemal biała – wysuwała się płynnie, ale z wyczuwalnym oporem. Tak ślizgają się na niewidocznych „sprężynach” magnesy jednoimienne, gdy przesuwają się obok siebie. Przyjrzałem się klindze i zrozumiałem, że porównanie było trafione. Miecz rzeczywiście nie dotykał pochwy – pomiędzy nią a ostrzem była cienka warstewka powietrza. Klinga okazała się niezwykle piękna. Biały metal ostrza płynnie przechodził w jasnoszarą gardę, a następnie w czarną rękojeść. Miecz odznaczał się elegancką prostotą, właściwą jedynie białej broni.

Ale po co ten przycisk?

Wyciągnąłem miecz przed siebie i nacisnąłem mały czerwony krążek. Przycisk lekko zapadł się w rękojeść, zamarł na chwilę i z lekkim pstryknięciem wyskoczył z powrotem. Szara półkula gardy zaślniła błękitnym ogniem, a kilka świetlistych kręgów podążyło ku klindze. Kręgi zwężyły się, tworząc migotliwą obręcz.

Wstrzymałem oddech i patrzyłem.

Świetlista obręcz napęczniała i oderwała się od metalu, tworząc spłaszczony pierścień białego płomienia, który z lekkim trzaskiem i charakterystycznym zapachem ozonu przesunął się po ostrzu w górę. Na czubku miecza płomień skurczył się w biały ognik i zgasł, jakby wessany w metal.

Broń znowu wyglądała zwyczajnie. Wyciągnąłem rękę do ostrza, ale nie dotknąłem go – jakoś nie miałem ochoty. Przekręciłem je tylko tak, by zwrócić się do mnie tnącą krawędzią.

Klinga zmieniła się w ledwie zauważalną, mglistą linię, nitkę, cień. Odwróciłem rękojeść –

i nitka rozwinęła się w błyszczący metalowy pas. Znowu obrót – i znowu nieuchwytny, drżący zarys.

Ostrze „ceremonialnego” miecza miało grubość mikrona albo nawet mniej. To tak jakby zabrakło mu jednego wymiaru – grubości, jakby poprzestał na długości i szerokości. Płaszczyznowy miecz.

Nazwa broni pojawiła się sama. Przekręcałem miecz, obserwując, jak klinga znika i pojawia się znowu. Wąska, niewyobrażalnie ostra płaszczyzna, która przyjęła kształt miecza. Miecz płaszczyznowy...

Krótkim, niezbyt silnym uderzeniem ciąłem leżący na ziemi kamień. Klinga bezszelestnie rozcięła powietrze, przecięła kamień na pół i nie zatrzymując się, weszła w ziemię. Wyhamowałem miecz i przyciągnąłem go do siebie. Ostrze wyszło bez najmniejszego oporu.

Kamień leżał sobie nadal, cały i nieuszkodzony, bez śladu przecięcia. Ze zdumieniem popatrzyłem na niego, potem na miecz. Zabawne. Klinga tak ostra... że nie tnie.

Kopnąłem kamień – i rozpadł na połówki. Krawędź, wzdłuż której się rozdzieliły, była idealnie gładka i lśniąca jak lustro.

Do lasu doszedłem w południe, gdy słońce dopełzło do zenitu i zamarło na niebie, jakby zastanawiając się, czy warto schodzić na dół. Do tego czasu pragnienie zupełnie mnie wykończyło. Nie od razu zrozumiałem, że ciemny pasek na horyzoncie, stopniowo przybierający wygląd zielonych frędzli, to nie tylko drzewa. To również woda. Życie.

Ostatnie metry dzielące mnie od brzegu lasu pokonałem kłusem. To musiał być komiczny widok – ledwie powłóczący nogami człowiek nagle zaczyna biec, zyskując kilka minut i tracąc resztkę sił.

Wody nie było.

Drzewa, z pozoru zupełnie zwyczajne, z kołysanymi wiatrem gałęziami i żółknącymi liśćmi, wyrastały z suchej, twardej jak kamień ziemi. Oszołomiony przeszedłem kilka kroków, rozglądając się na wszystkie strony. Ani źdźbła trawy, ani jednego krzaczka. Tylko pnie metrowej średnicy, pokryte spękaną białą korą. Gdzie, na jakiej głębokości korzenie znajdują tu wodę? Jak mam ugasić pragnienie w tym dziwnym lesie?

Drżący cień liści osłaniał mnie do słońca, przynosząc chwilową ulgę. Chwyciłem najbliższą gałązkę i przesunąłem po niej zaciśniętą dłoń, zdzierając sprężyste, cierpko pachnące liście. Wepchnąłem do ust garść, zacisnąłem szczęki...

Gardło wypełniła gorycz. Ohydny, oleisty smak. Po prostu nie dało się żuć tych liści. Wyplułem zielone świństwo, z trudem powstrzymując torsję. W normalnej sytuacji na pewno bym zwymiotował, ale teraz organizm nie chciał pozbywać się nawet odrobiny płynu.

Powoli dochodziłem do siebie i wtedy usłyszałem za plecami wzdrgliwy śmiech. Właśnie

w ten sposób, z całej duszy, śmieją się silni, zdrowi ludzie, obserwując wygłupiającego się klauna.

Nie czułem strachu ani ciekawości. Widocznie byłem zbyt zmęczony. Powoli odwróciłem się w stronę źródła dźwięku, kładąc rękę na pistolecie – powodowany raczej odruchem niż lękiem. W śmiechu dźwięczała wrogość, ale nie było groźby.

Stał pięć metrów ode mnie – wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna w dziwacznym stroju. Miał na sobie coś w rodzaju szerokiego, luźnego płaszcza z plamście zielonego materiału, nie skrywającego sylwetkę, lecz podkreślającego ją w niezrozumiały sposób. Płaszcz zwisał fałdami z ramion, a jednocześnie wydawał się naelektryzowany – w kilku punktach przywierał do ciała, obrysowując jego kontury. Na nogach nieznamy miał spodnie z karbowanego pomarańczowego materiału, wpuszczone w wysokie buty. Można by powiedzieć, że mężczyzna wygląda komicznie, gdyby spod fałd płaszcza nie wystawała rękojeść miecza – identyczna jak moja, z takim samym czerwonym przyciskiem.

– Kim pan jest? – spytałem ochryple.

Mężczyzna zrobił krok w moją stronę. Kiedy wyszedł z cienia drzew, zrozumiałem, że jest niewiele starszy ode mnie. Smagłą twarz pokrywała gęsta siateczka drobnych, starych blizn. Spod tego zapisanego życiem kryptogramu wylaniały się nierówne plamy, przypominające ślady oparzeń. A jednak mężczyzna nie wyglądał odpychająco. Z jego rysów można było wyczytać tę spokojną ironię, która sprawia, że godzisz się z licznymi wadami właściciela.

– Kim pan jest? – powtórzyłem.

Mężczyzna niespiesznie wyjął z fałd płaszcza miecz. Usłyszałem lekki szelest wysuwającej się z pochwy klingi.

– Jestem żołnierzem imperatora – powiedział półgłosem. – Umrzesz, obcy.

Nie mówił ani po rosyjsku, ani po angielsku, który znałem całkiem nieźle. Kompletnie nieznanym językiem, ale z jakiegoś powodu rozumiałem każde słowo, mało tego, sam się nim posługiwałem!

– Broń się – dodał mężczyzna, wyciągając miecz w moją stronę. – Umrzyj w walce, obcy.

Nacisnął guzik na rękojeści miecza. Po ostrzu prześliznęła się świetlista fala.

Nietrudno wyciągnąć pistolet z kabury. Sekundę później już mierzyłem do mężczyzny. Ogarnęła mnie złość.

– Nie mam zamiaru bawić się w pojedynki – powiedziałem, nie zastanawiając się, czy on mnie rozumie, czy nie. – Nie ruszaj się, bo będę strzelał.

Mężczyzna znowu się zaśmiał, tak samo dobrodusznie jak poprzednio.

– Spróbuj, obcy. Strzelaj.

I ruszył do przodu.

Wycelowane w bok, w drzewo, zza którego on się wyłonił. Naciskając spust, już

wiedziałem, że pistolet nie zadziała.

– Jesteśmy w neutralizującym polu, obcy – powiedział z uśmiechem mężczyzna. – Weź miecz.

Nie wyjmując swojej klingi, patrzyłem, jak idzie w moją stronę. Nie chodziło nawet o to, że nie znałem szermierki, walka na miecze była dla mnie taką samą egzotyką jak rzucanie lassem czy tomahawkami. W głowie wirowała mi pewna myśl: co się stanie, jeśli uderzą o siebie dwa miecze mogące przeciąć wszystko? Czy oba się złamią? Czy... jeden przetnie drugi?

Sądząc po zachowaniu przeciwnika – raczej to drugie.

Wyciągnąłem wreszcie miecz z pochwy i podobnie jak mój przeciwnik nacisnąłem guzik. Przez klingę przeszła fala białego płomienia.

– Nie rozumiem, o co tu chodzi – starałem się mówić bardzo spokojnie i pojednawczo. – Nie mam żadnych powodów ani tym bardziej chęci, by walczyć tu z kimkolwiek...

Mężczyzna stał dwa kroki ode mnie, na długość miecza w wyciągniętej ręce.

– Jesteś gwardzistą Shorreya – wzruszył ramionami. – Przynosisz nam wojnę. I będziesz musiał zrozumieć, że zwycięstwo władcy wcale nie oznacza zwycięstwa każdego z jego sług.

Zamachnął się mieczem, bezgłośnie przecinając powietrze między nami. Odruchowo, nie uświadamiając sobie bezsensu tego gestu, szarpnąłem swoim mieczem, próbując odbić klingę nieprzyjaciela.

Miecze zderzyły się ze świstem i... jakby ostra brzytwa przecięła kartkę papieru. Trzymałem teraz w ręku krótki, może dwudziestocentymetrowy odłamek. Odrąbane ostrze leżało na ziemi.

– Dobry pomysł, fatalne wykonanie – powiedział z pewnym rozczarowaniem mężczyzna. – Widzę, że przestali uczyć pilotów władania tymi mieczami. Niesłusznie...

Znowu uniósł miecz i zawahał się.

– Możesz dezaktywować swój kombinezon, pilocie. I tak ci nie pomoże, najwyżej przedłuży agonię.

Czułem się bardziej bezbronny niż królik hipnotyzowany przez węża. Chciano mnie zabić – i to nie w ataku gniewu czy za jakąś realną winę, lecz ot tak, jak wyrывa się chwast, który wyrósł na kwietniku.

– Nie umiem dezaktywować kombinezonu. Szczerze mówiąc, nie umiem go nawet aktywować.

– Kłamiesz.

Miecz osaczał mnie z taką szybkością, jakby miał mały silniczek odrzutowy. Miałem wrażenie, że połyskliwe ostrze samo podąża w stronę mojego ciała, a mężczyzna tylko trzyma rękę, nie pozwalając mu rozprawić się ze mną zbyt szybko.

Mimo wszystko zdążyłem zrobić unik. W jedyny możliwy sposób – upadłem na plecy i odturlałem się na bok. Żalonym kikutem mojego miecza cisnąłem w mężczyznę i oczywiście

nie trafiłem. W chwilę później mój przeciwnik stał nade mną, wznosząc miecz do ostatniego ciosu.

Zakodowane w podświadomości odruchy okazały się silniejsze od rozumu. Wyciągnąłem prawą rękę, zasłaniając twarz. Doskonała ochrona przed kopniakiem czy ciosem pałki, ale kompletnie bezsensowna wobec miecza. Zwłaszcza takiego.

– Skąd masz ten pierścień? – zapytał mężczyzna podniesionym głosem. Miecz zamarł kilka centymetrów od mojej ręki.

– To podarunek – powiedziałem krótko.

– Od kogo?

Ostrze nadal wisiało nad moją twarzą.

– Od dziewczyny... dziewczynki – poprawiłem się. – To było pięć lat temu...

Niedbałym ruchem mężczyzna wcisnął miecz do pochwy, nachylił się i podał mi dłoń – poły płaszcza zakołysały się, poczułem słaby zapach ozonu.

– Wstańcie, wasza wysokość. Nie poznałem was.

4. Nauczyciel lorda

Wszystkie bunkry wyglądają tak samo. W każdym świecie i na każdej planecie służą jednemu celowi – żeby chronić ludzkie życie. O komfort nikt się nie troszczy. Wilczy Szaniec Hitlera czy podziemna kwatera Stalina to wyjątki.

Betonowa kopuła, pod którą wszedłem, czy raczej dowlokłem się za nieznanym, z zewnątrz przypominała mały pagórek obłożony darnią i obsadzony drzewami. Wnętrze natomiast świeciło surową nagością. Betonowych ścian nawet nie otynkowano, gdzieniegdzie widać było stalowe rury. Na środku widniał wycięty w podłodze właz, zastawiony plastikowymi skrzynkami, wielkim kanistrem i butlami. Z boku leżało coś, co przypominało kwadratowy nadmuchiwany materac. Na nim pomięta pościel. Obok, na betonowej podłodze, stały otwarte puszki z resztkami jakiegoś jedzenia. Mimo woli przełknąłem ślinę.

– Jest pan głodny, ekscelencjo – stwierdził mężczyzna, rzucając mi szybkie spojrzenie. – Proszę spocząć, zaraz przygotuję obiad.

Opadłem bezsilnie na materac. Popatrzyłem na sufit, gdzie samotnie świeciła się biała matowa kula na sznurze. Oświetlenie było chyba elektryczne. Nic szczególnego.

Przedemną pojawiły się dwie otwarte puszki – jedna z gęstą, okraszoną mięsem kaszą, druga z parującym bulionem. To też znałem – samopodgrzewające się konserwy.

– Proszę spróbować, ekscelencjo – powiedział mężczyzna, podając mi wąski widelec z dwoma zębami. – Wydaje mi się, że mamy podobny metabolizm i jedzenie nie powinno stwarzać problemów.

Zdumiony wziąłem widelec, przypadkiem naciskając koniec trzonka. Zęby szczęknęły, rozszerzając się i łącząc w małą półkulę. Teraz trzymałem w ręku wygodną, głęboką łyżkę. Taki sprzęt widziałem po raz pierwszy w życiu.

Kasza była całkiem znośna, a gorący bulion – po prostu wspaniały. Dopijając go, zapytałem:

– Dlaczego zwracasz się do mnie „wasza ekscelencjo”?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Człowiek zaręczony z księżniczką jest lordem, bez względu na to, kim był na swojej planecie.

Odsunąłem pustą puszkę i wrzuciłem ramionami.

– Nazywam się Serge... a przynajmniej tak nazywają mnie przyjaciele. Jestem tylko studentem i byłem sierżantem wojsk desantowych. Jak brzmi twoje imię, jeśli mogę je poznać?

W spojrzeniu mężczyzny pojawiła się ciekawość.

– Nazywam się Ernado. Przyjaciele mówią do mnie Sierżant. Też jestem sierżantem wojsk desantowych i też byłem. Nasze wojska już nie istnieją, a komandosi prawdopodobnie zostali zlikwidowani. Bronili pałacu do ostatniego człowieka.

Nasze spojrzenia spotkały się.

– Tak jak zawsze. Tak jak u nas – powiedziałem cicho. – Pierwsi przyjmujemy walkę i ostatni ją kończymy. Zwyciężając albo ginąc.

Po chwili wahania Ernado wyciągnął do mnie rękę.

– Istnieje u was taki zwyczaj, Serge? – zapytał. Uścisnąłem jego dłoń, twardą i gorącą jak metal, który nie zdążył ostygnąć po hartowaniu.

– Tak, Sierzancie. I zwracamy się do przyjaciół na „ty”.

Na surowej twarzy Ernada pojawił się krótki, szybki uśmiech.

– To dobrze, Serge. Na naszych planetach panują dobre zwyczaje.

Poczułem, że wreszcie się rozluźniam.

– Wyjaśnij mi, co się dzieje, Sierzancie – poprosiłem.

– Nasza planeta może ci się wydać dziwna – zaczął Sierzant, siadając na materacu obok mnie. – Tym bardziej że nie znasz żadnego innego świata istniejącego we wszechświecie. Zacznę od tego, że rządzi nami imperator.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jesteś zdziwiony, bo na twojej planecie władza królewska jeszcze nie odeszła w daleką przeszłość. Ale we wszechświecie monarchia to rzadkość. W galaktyce współistnieją i stykają się ze sobą dziesiątki i setki najróżniejszych cywilizacji, ale monarchia nie ma szans przetrwania. Jest zbyt konserwatywna, zbyt skoncentrowana na samej sobie, by móc z powodzeniem bronić się przed agresją z zewnątrz. A jednak na naszej planecie przetrwała władza imperatora.

– Dlaczego? – zadałem niezupełnie retoryczne pytanie. Wszystko, co miało związek z księżniczką, bardzo mnie interesowało.

Z wielu powodów. Zacznę od tego, że planeta została skolonizowana przez zbiegłych monarchistów z następcą tronu, księciem Tarem, na czele. Na ostatnich ocalałych statkach floty musieli ratować się ucieczką ze zbuntowanej planety Itania. Wyruszyli w niezbadaną część kosmosu. Udało im się odkryć planetę nadającą się do życia, ale o bardzo ograniczonych zasobach naturalnych. Wystarczy powiedzieć, że jedynie pół procent jej terytorium można wykorzystywać pod uprawę, a zapasy surowców ograniczają się do złóż metali i szalenie ubogich skał uranowych. Biosfera jest skromna, praktycznie nie występuje tu węgiel i nafta. Zasoby słodkiej wody skupione są w lodowcach górskich i w kilku jeziorach, co może zapewnić istnienie zaledwie milionowi ludzi. Nasza planeta, która stała się przystanią dla garstki zbiegów, nigdy nie interesowała najeźdźców. Przez pięćset lat nie niepokojeni ingerencją z zewnątrz, nasi przodkowie stworzyli ustrój społeczny oparty na licznych rytuałach i skomplikowanych zasadach. Skrępowani umowami o przyjaźni z dziesiątkami sąsiednich cywilizacji, traktujących nas jak nieszkodliwe curiosum, nasz świat zdołał osiągnąć wielkość. Ernado niespiesznie wyjął

miecz.

– To był nasz pierwszy krok do sławy. Atomowy miecz, stworzony w laboratoriach imperatora Tara VIII, ściągnął na nas uwagę całego wszechświata. Chodzi o to – wyjaśnił, widząc moje zdumienie – że od setek lat znano pole neutralizujące, powszechnie wykorzystywane w wojnach planetarnych. Właśnie to pole, wytwarzane przez generatory bunkra, nie pozwoliło ci zamienić mnie w molekularny pył. W promieniu działania generatora niemożliwe jest użycie broni laserowej, wybuchowej czy energetycznej. W polu neutralizującym milkną silniki odrzutowe i benzynowe, z trudem funkcjonują elektryczne o małej mocy. Wojny na planetach przebiegały więc jak bitwy na białą broń, prowadzone pod osłoną generatorów pola. Wykorzystywano substancje trujące i broń biologiczną, żołnierze walczyli w maskach przeciwgazowych, a nawet w skafandrach kosmicznych. Atomowy miecz, przy którym zwykła biała broń jest bezużytecznym złodem, chciały mieć wszystkie rozwinięte planety. Właśnie dlatego nie pozwolili sobie nawzajem na podbicie nas. Przez pięćdziesiąt trzy lata, dopóki tajemnica atomowych mieczy nie została odkryta przez inne cywilizacje, wzbogaciliśmy się jako jedne z największych ośrodków produkcji broni. Za tym poszły inne odkrycia. Molekularny destruktor, którego rodzajem jest twój pistolet, hiperprzestrzenny lokator, miny grawitacyjne i pajęczynowe, meszki elektroniczne...

Sierżant zamilkł na chwilę. Pogrzebał w kieszeni płaszcza i wyjął płaskie pudełeczko. Pstryknął wieczkiem, wyciągnął pomarańczową kapsułkę i ścisnął ją w placach. Dał się słyszeć słaby chrzęst, zapachniało niedojrzałymi cytrynami. Lekki, słodkokwaśny, świeży aromat... Patrzyłem czujnie, spodziewając się prezentacji nowej broni. Ale Ernado z całym spokojem wsadził kapsułkę do ust, zastygł na sekundę z rozanieloną miną i wyjaśnił, dostrzegając moje spojrzenie:

– To słaby stymulator. Jego użycie powoduje uczucie przyjemności, ale wyrządza pewne szkody organizmowi.

– A nie macie czasem innego stymulatora? – zapytałem z nieoczekiwanym zainteresowaniem. – Używa się go, wdychając dym tłących się suszonych liści. Też przyjemne i też szkodliwe.

Na twarzy Sierżanta pojawiło się lekkie zaskoczenie połączone ze wstrętem.

– Idiotyczna metoda – oznajmił, nie bawiąc się w dyplomację. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem... Chcesz?

Podsunał mi pudełeczko z kapsułkami. Cytrynowy aromat rozpląwał się w powietrzu.

– Nie – odpowiedziałem po chwili wahania. Skoro muszę się wyzbyć jednego nałogu, nie warto wpaść w inny. – Organizm przyzwyczaja się do tych kapsułek, prawda?

Ernado stropił się.

– Tak – wymamrotał. – Ale można rzucić.

– Nie, dzięki – powiedziałem twardo.

Ernado skinął głową.

– Dobrze. Ale ja, jeśli pozwolisz...

Pożuł chwilę i kontynuował:

– W produkcji broni niemal dorównaliśmy zaginionym cywilizacjom przeszłości, nawet tym, które zginęły, bo odnosiły zbytne sukcesy w tej dziedzinie. Naszych mistrzów porównywano do Siewców, a ta rasa nie miała sobie równych w gwiazdnych wojnach. Niezależność i bogactwo planety pozwalały na kultywowanie wielu pięknych tradycji, wśród nich szczególnie wyróżniała się ceremonia zaręczyn księżniczki.

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Nachyliłem się do Ernada, bojąc się uronić choć słowo.

– Zaręczyny księżniczki symbolizują jedność naszej planety ze wszystkimi zamieszkanymi światami kosmosu. W dniu swoich czternastych urodzin księżniczka w towarzystwie kilku ochroniarzy wyrusza w podróż. Odwiedza najróżniejsze planety, cywilizowane i zacofane, wiedzące o naszej planecie i te, których mieszkańcy nie opuścili swojego systemu gwiazdowego. Księżniczka podróżuje incognito, samotnie. Ochrona włącza się jedynie w przypadku bezpośredniego zagrożenia jej życia lub czci.

– Jasne, pamiętam, jak energicznie zadziałała ochrona na mojej planecie – nie wytrzymałem.

Ernado uśmiechnął się.

– A ja pamiętam, jak odważnie jej broniłeś. Staliśmy dziesięć metrów od was. Nie było realnego niebezpieczeństwa. Księżniczka mogła z łatwością pokonać trzech zarozumiałych aborygenów.

– Dlaczego w takim razie... – ugryzłem się w język. Zrozumiałem.

– Chciała cię sprawdzić, Serge.

– Mów dalej.

– Nie obrażaj się, Serge. Ani na nią, ani na mnie.

– Dobra, opowiadaj.

– Na jednej z planet księżniczka wybiera sobie narzeczonego, który otrzymuje z jej rąk pierścień, zdolny na rozkaz księżniczki przenieść wybrańca na naszą planetę. Gdy księżniczka kończy dziewiętnaście lat, wyznacza się termin ślubu.

– I naręczony zostaje wyciągnięty ze swojego świata wprost przed ołtarz? – zapytałem ironicznie.

– Oczywiście, że nie. Ogłasza się konkurs pretendentów. Wszyscy chętni zbierają się na planecie i walczą w turniejach.

– Nie ma czego zazdrościć waszej księżniczce – ogarnęła mnie złość. – Siedzieć i czekać, kto zwycięży w turnieju naręczonych...

– Zwycięzca jest znany z góry – powiedział łagodnie Sierżant. – Imię prawdziwego

wybrańca dyskretnie podaje się do wiadomości wszystkich uczestników. Pokonanie go to nietakt i bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

– Dlaczego? Wystarczająco silny i śmiały miłośnik przygód...

– Choćby dlatego, że imperator może nie zaakceptować przyszłego zięcia. Ślub może zostać odwołany albo odłożony. A niedoszły pan młody z rozpaczy skończy ze sobą... albo jego statek nie wyjdzie z hiperprzejścia.

– Jasne – odwróciłem wzrok. – Sierzancie, a ci... potencjalni narzeczeni, symbolizujący jedność ze wszechświatem... często zwyciężali w turniejach?

– Nigdy w nich nie uczestniczyli – powiedział bezlitośnie Ernado. – Księżniczka raczej nie uważa za konieczne niepokoić młodzieńca, który przypadkiem spodobał jej się pięć lat temu.

– Wychodzi na to, że miałem szczęście – powiedziałem poważnie.

– Tak – skinął głową Sierzant. – Zginąć za księżniczkę i imperatora to wielki honor.

– Dlaczego od razu zginąć? Turnieje są aż tak niebezpieczne? – Turniej już się odbył – uśmiechnął się Ernado. – Zwycięzcą został Shorrey Manhem, władca Federacji Gyarów. Zatkalo mnie, aż musiałem odchrząknąć.

– To właśnie on miał zostać zwycięzcą? Księżniczka... wybrała Shorreya?

Ernado pokręcił głową.

– Nie. Trudno wyobrazić sobie bardziej odrażającego typu. Nie jestem miłośnikiem plotek, ale podobno księżniczka kocha swojego partnera z kosmicznych wyścigów, jakiegoś młodego nawigatora, człowieka bez obywatelstwa, kosmicznego włóczęgę, najemnika...

W głosie Sierzanta dało się słyszeć rozdrażnienie. Wiernego monarchistę niezbyt radowały sympatie księżniczki do włóczęgi, a zawodowy żołnierz, sierżant elitarnych wojsk desantowych, nie mógł czuć sympatii do najemnika. Ale widocznie brakowało mu delikatności, w przeciwnym razie nie omawiałby tak otwarcie stosunku księżniczki do młodego nawigatora.

Kocha...

Cóż, ty wezwałaś, a ja przybyłem. Cała reszta to bzdura.

– Ten... Shorrey zwyciężył w turnieju wszystkich pretendentów? Włączając w to nawigatora włóczęgę?

– Zwyciężył – potwierdził Ernado ze złością. – Niespodzianką dla niektórych osób był fakt, że przyjaciel księżniczki w ogóle nie stawiał się na turnieju.

– Coś się stało z jego statkiem?

– Prościej, Serge. Znacznie prościej. Zastraszono go albo przekupiono. A raczej i jedno, i drugie.

Milczeliśmy. Ja próbowałem ukryć zadowolenie, Ernado rozgryzał kolejną kapsułkę.

– A co z prawem imperatora do odłożenia ślubu?

– Shorrey Manhem jest przywódcą federacji dwudziestu rozwiniętych i gęsto zaludnionych

planet. Odmowa ślubu równałaby się obrazie wszystkich Gyarów. Wystarczający powód do wojny, w której nie zdołamy zwyciężyć.

– Shorrey tak kocha księżniczkę, że gotów jest walczyć?

– Księżniczkę? Skąd, nie o to chodzi. Żeniąc się z księżniczką, Shorrey staje się nominalnym następcą imperatora. Po ceremonii może wrócić do swojego systemu gwiazdowego, sam albo z żoną, i spokojnie czekać. A gdy już się doczeka i przejmie władzę, jednym edyktem przyłączy planetę Tar do swojej federacji. Nasze prawodawstwo pozwoli mu to zrobić bez pytania mieszkańców o zgodę.

– I nie ma żadnego sposobu, by mu przeszkodzić? Zmienić prawa dziedziczenia, na przykład?

– Nie ma żadnych legalnych sposobów. A nielegalne mogą być powodem do wojny. Myślę, że jego prawnicy nieźle pogrzebali w naszych kodeksach.

Cóż... Obrzuciłem spojrzeniem schron. Skrzynie, pudła, zimne światło z sufitu. Tajny, niewykończony bunkier, o którym, na moje szczęście, wiedział przezorny sierżant Ernado.

– Na miejscu imperatora zaryzykowałbym i odmówił Shorreyowi – powiedziałem.

– Słusznie, Serge. On też postanowił zaryzykować.

– I co?

– Gyarские statki zaczęły lądować na naszej planecie w godzinę po decyzji imperatora. Rezultaty sam widzisz. Niedobitki armii ukrywają się na całej planecie, statki ochrony uciekły albo zginęły w walce. Co się stało z imperatorem, nie wiem. Może nie żyje, a może zdołał się ukryć. Najgorsze, że nie ma powodu do ingerencji sojusznicznych planet. Shorrey Manhem działa w ramach naszych praw. Jest tylko jedna przeszkoda na drodze jego małżeństwa z księżniczką...

Ernado wyjął z pudełka jeszcze jedną kapsułkę. Powietrze nasycił cytrynowy aromat.

– Daj jedną – wyciągnąłem rękę. Wszystko stało się jasne, ułożyło w wyraźny, choć ogólny obraz. Poczułem zawrót głowy, strasznie chciało mi się palić. – Daj.

– Najpierw rozgnieć – poradził Ernado, podając mi kapsułkę.

Cienka powłoczka pękła w palcach. Położyłem kapsułkę na języku i poczułem ostry, gorzko-kwaśny smak. Nagle ciało stało się lekkie, przyjemnie nieposłuszne... Świadomość zatonała w mgielce otumanienia. Ernado przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Przeszkodą dzielącą Shorreya Manhema od księżniczki jestem ja, tak? Karykaturalny lord z zacofanej planety. Przypadkowy bohater, którego spotkała księżniczka.

– Tak, Serge. Aż do turnieju byłeś uważany za oficjalnego narzeczonego księżniczki. Jesteś lordem. I nawet fakt, że nie zaproszono cię do uczestnictwa w turnieju, nie likwiduje twojego prawa.

– Jakiego?

– Przez trzy doby od turnieju masz prawo zażądać pojedynku albo po prostu wykraść

księżniczkę i poślubić ją.

– I co mi radzisz, Sierzancie?

– Porwanie, Serge. W pojedynku nie będziesz miał żadnych szans. Przy porwaniu też są one bliskie zeru, ale...

– Ale warto umrzeć za księżniczkę – przerwałem mu. Narkotyczny obłąd wirował mi w głowie niczym różnobarwna zamieć. Świadomość uległa przyćmieniu. Możliwe, że mój organizm jest wyjątkowo podatny na te lekkie kapsułki.

– Postaram się dać ci szansę – wzruszył ramionami Ernado. – Wprawdzie jestem tylko sierżantem wojsk desantowych, ale również instruktorem walk na jednoatomikach. Strzelać i bić się pewnie i tak umiesz.

– Umiesz. Powiedz, często widywałeś księżniczkę?

Twarz Ernado rozjaśnił krótki uśmiech.

– Tak, Serge. Bywałem w ochronie pałacu. Nawet dawałem jej lekcje walki.

– Ile trzeba czasu, żeby nauczyć się walczyć mieczem?

– Pół roku, rok... My mamy dwa dni, Serge.

Poczułem lęk. Ernado mówił zbyt spokojnie, bym mógł uznać jego słowa za straszenie.

– Nie da rady szybciej? Waszego języka nauczyłem się bez żadnych lekcji.

– Języka nauczyłeś się podczas przejścia przez hipertunel, pod wpływem pierścionka. Ta błyskotka warta jest tyle co średniego rozmiaru statek. A schron to, niestety, nie imperatorskie laboratorium.

Skinałem głowę.

– Dobrze. Zaczniemy od jutra, zgoda, Sierzancie? Strasznie chce mi się spać.

– Jak sobie życzysz, lordzie. – Ernado znowu wskoczył w niewidoczny pancerz etykiety.

– Jak ty sobie życzysz, nauczycielu. Powiedz mi jeszcze jedno: jak księżniczka ma na imię?

Ernado pokręcił głową.

– To pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Księżniczka otrzyma imię w dniu ślubu, od swojego przyszłego męża. To, jak nazywali ją rodzice, jest nieistotne... i dość intymne.

– Rozumiem. – Wyciągnąłem się na materacu, podłożyłem ręce pod głowę. – Dobrze, Ernado. Mam całe dwa dni, zdążę wymyślić imię.

Przez jakąś minutę Ernado milczał. Potem odezwał się z jawnym zachwytem:

– To chyba przyjemne być tak pewnym siebie jak ty.

– Nie wiem – wymamrotałem, zasypiając. – Nie umiem być inny...

Księżniczka potrzebuje imienia. A ja potrzebuję księżniczki. Reszta to drobiazgi, które co najwyżej mogą mnie zabić.

Rzeczywiście, przyjemnie jest być zuchwałym. Przynajmniej pozornie.

5. Lekcje Ernada

Miecz w rękach Ernada zakreślił półkole, nurkując pod moją klingę. Szarpnąłem broń, unikając zetknięcia, i zadałem cios – zgodnie z regułami, w boczną część miecza Ernada.

W ostatnim momencie Ernado zdążył przekreślić miecz. Ostrza zetknęły się tnącymi krawędziami i płynnie przeszły przez siebie. Na ułamek sekundy wydawały się złączone w całość, wtopione w siebie. A potem moja klinga rozpadła się na połówki.

Miecz Ernada ocalał. Mój instruktor wzruszył ramionami i nacisnął przycisk na rękojeści. Po ostrzu przebiegł biały płomień.

– Już lepiej – podsumował pojedynek Ernado. – Ale i tak zostałeś zabity.

Odrzuciłem swój złamany miecz na bok, na stertę podobnych kawałków, z których tylko jeden należał do Ernada.

– Dlaczego tak się stało? – spytałem, łapiąc oddech. – Ostrza zetknęły się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dlaczego to mój miecz się złamał?

– Zbyt długo go nie ostrzyłeś – wyjaśnił spokojnie Ernado, znowu pstrykając guzikiem. – Ostrze zdążyło się stępić w wyniku tarcia powietrza. Grubość klingi stała się równa dwóm, trzem atomom. W zwykłych warunkach to nic takiego, ale jeśli porywasz się na bezpośrednie zetknięcie kling... Zauważyłeś, jak często ja ostrzę miecz?

Demonstracyjnie nacisnął przycisk. Ostrze otoczył biały płomień.

– Miecz naostrzony...

Ernado zrobił kilka wypadów, zakreślił mieczem nad głową, ze świstem tnąc powietrze.

– Teraz miecz stępił się mniej więcej o jeden atom.

Skinąłem głową. Wziąłem nową broń z leżącego pod najbliższym drzewem arsenału. Obejrzałem ją krytycznie.

– Przycisk umieszczony jest w złym miejscu. Muszę przerwać walkę, żeby go nacisnąć.

– Są również inne modele rękojeści, lordzie. Tam guziki umieszczone są pod palcami. Przynieść taki miecz?

– Chyba tak... Chociaż nie, poczekaj. Zrobmy pół godziny przerwy, zjadłbym coś.

– Jeść będziemy wieczorem, lordzie. Z pełnym żołądkiem to żaden trening. Teraz tylko sok i bulion.

– Przynajmniej sok...

Usiedliśmy przy wejściu do bunkra, pijąc powoli gęsty, słodki sok z wąskich szklanych kielichów. Skończyłem swoją porcję, odrzuciłem kielich. Brzęknął, tocząc się po kamieniach, ale się nie rozbił.

– Ernado, to bez sensu. Nigdy sobie nie poradzę w pojedynku na atomowe miecze. Tym bardziej po dwóch dniach nauki.

Sierżant z powątpiewaniem pokręcił głową. Ostrożnie dobierając słowa, powiedział:

– Nie trzeba wpadać w przygnębienie. Bardzo szybko się uczysz, lordzie. Jestem pewien, że w pojedynczej walce pokonałbyś dowolnego gwardzistę.

– A Shorreya?

– On jest arystokratą... jeśli użyć terminologii waszej planety. Władania jednoatomowym mieczem uczył się od dzieciństwa.

– Wychodzi na to, że nie mam szans?

– Od początku sugerowałem wariant porwania – odpowiedział dyplomatycznie Ernado.

Westchnąłem i ze smutkiem popatrzyłem na kupę złomu – szczątki mieczów zepsutych przeze mnie w ciągu poranka.

– To, czego mogłem się nauczyć w ciągu dwóch dni, już umiem. Dalszy trening nie ma sensu. Powiedz mi lepiej, jaką jeszcze broń mogę wykorzystać w polu neutralizującym.

Ernado skrzywił się, ale posłuchał.

– Po pierwsze, kombinezon. Nie może odbić atomowego miecza, ale zasklepi się błyskawicznie, zamknie przecięcie.

– Jaka z tego korzyść, jeśli ostrze przetnie mnie na półówki razem z kombinezonem?

– Cięcie od dobrze naostrzonego miecza płaszczyznowego jest tak cienkie, że w ciągu dwóch sekund bezruchu komórki ciała mogą się zrosnąć. Kombinezon stwardnieje na trzy sekundy w miejscu, w którym zadano cios, i zapewni tę nieruchomość. Wszyscy gwardziści będą mieli takie same kombinezony, ale Shorrey nie zniży się do jego użycia.

– To dobrze, że jest taki dumny. – Z mimowolnym szacunkiem popatrzyłem na swój kombinezon. Więc to miał na myśli Ernado, proponując dezaktywację mojego kombinezonu przy naszym pierwszym, niezbyt serdecznym spotkaniu...

– Po drugie, gazy trujące i szybko działające wirusy. Ale to nic nie da, bo ani Shorrey, ani jego najemnicy nie pogardzą filtrami ochronnymi. Filtry chronią przed wszystkimi znanymi truciznami.

– A jeśli podam wzory chemiczne ziemskich trucizn? Na sekundę w oczach Ernado zabłysło zainteresowanie, ale od razu pokręcił głową.

– Bardzo możliwe, że jedynym człowiekiem w pałacu nienoszącym maski będzie księżniczka.

Przygryzłem wargę.

– W porządku. Gazy i trucizny odpadają. Co jeszcze?

– Kusze, łuki, topory, pałki. Ale to nie ma sensu. Kombinezon odbije strzałę, a miecz przerąbie rękojeść topora. Pistolety na trujące igły? To samo: pole obniży prędkość strzały i kombinezon zdoła odbić pocisk.

– To wszystko?

– Wszystko – potwierdził spokojnie Ernado.

– Cóż, wasi zbrojmistrze mają ubogą wyobraźnię – powiedziałem ze złością. – Gdybym miał tydzień...

Chyba moje słowa uraziły Ernada, bo powiedział ironicznie:

– A półtora dnia?

– Wystarczy półtora. Mamy w schronie narzędzia?

– Mały zestaw remontowy.

– Świder, spawarka, szlifierka?

– Tak. Jest również prasa do termicznej masy plastycznej i urządzenie do obróbki metalu ze sterowaniem komputerowym.

– Doskonale. Potrzebuję kilkudziesięciu dysków o średnicy, powiedzmy, dziesięciu i pół centymetra, zrobionych z tego samego metalu co płaszczynowy miecz.

Ernado popatrzył na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– To niemożliwe. Ten metal wytwarzany jest w specjalnych fabrykach i od razu ostrzony.

– W takim razie zrób tarczę ze zwykłej cienkiej stali. A do krawędzi przyspawaj ostrza złamanych mieczy.

– Nie da się przyspawać tak cienkiego metalu. Przepali się na wylot.

– No to go przyklej! Chyba macie tu klej do metalu?

– Mamy – powiedział powoli Ernado. W jego oczach po raz pierwszy zobaczyłem nie ironię czy litość, lecz pełen zdumienia szacunek.

– Dobrze. Na środku dużej tarczy powinna być wypukłość, wygodna dla palców, ale niezakłócająca aerodynamiki. Pośrodku małych – trzy-, czteromilimetrowy otwór.

– Twoja broń będzie śmiertelnie niebezpieczna również dla ciebie – rzekł z zadumą Ernado.

– Bardzo możliwe. W małych tarczach powinno być jeszcze...

– Już wszystko zrozumiałem – przerwał mi Ernado. – Zajmie mi to jakieś cztery godziny.

– Pomóc ci?

– Nie trzeba. Nie sądzę, by nasze narzędzia przypominały te, do których przywykłeś. Lepiej włącz projektor i trenuj.

Znikł w schronie. Westchnąłem i podszedłem do plastikowego pudełka projektora. Nacisnąłem klawisz odtwarzania i na panelu zaświecił przezroczysty ekran. Kilka metrów ode mnie pojawiła się bardzo realistyczna postać w plamistym kombinezonie. Holograficzny przeciwnik wyglądał niezwykle przekonująco, zwłaszcza teraz, gdy wyciągał z pochwy miecz płaszczynowy...

Stałem w pozycji wyjściowej i podniosłem z ziemi pierwszy lepszy miecz. Nacisnąłem przycisk, naostrzyłem klingę. Iluzoryczna postać zamachnęła się niespiesznie. Cóż, zaczynamy „Kurs młodego wojownika”. Zrobiłem zamach, parując nieistniejący cios.

Gdybym urodził się sto lat wcześniej, byłoby mi znacznie łatwiej. W XX wieku dawno zapomniano o mieczach i szablach. Na szczęście uczyłem się kendo – japońskiej sztuki walki bambusowym mieczem – i nieraz miałem w ręku nunczako. Kiedy przypomniałem sobie o nunczako, zastanowiłem się, czyby nie wyprodukować również tej broni. Ale szybko zrozumiałem, że w świecie płaszczyznowych mieczy nic by ono nie dało nawet Bruce’owi Lee.

Ernado skończył pracę po trzech i pół godzinie. Do tego czasu zdążyłem przerobić pierwszy i drugi etap nauki oraz obejrzeć w zwolnionym tempie trzeci i siódmy, ostatni. Z siódmego starałem się zapamiętać najbardziej niebezpieczne sposoby ataku. Było ich sporo – na tym etapie nie istniały nieszkodliwe chwytów. Najbardziej niewinna pozycja obronna przechodziła w błyskawiczny i bezlitosny atak. Po chwili wahania postanowiłem nauczyć się dwóch sposobów atakowania, dość skomplikowanych, ale przypominających kendo. Poza tym odniosłem wrażenie, że zasady nauki walki mieczami jednoatomowymi nie dopuszczały możliwości pomijania poszczególnych etapów. Dzięki temu moja znajomość trudnych chwytów może zaskoczyć przeciwnika.

Przy tym zajęciu zastał mnie Ernado. Wyglądał na zdumionego, ale nic nie powiedział. W milczeniu postawił obok projektora plastikową skrzynkę wypełnioną moimi „zamówieniami” i cofnął się o krok. Przez chwilę uważnie obserwował moje poczynania, w końcu powiedział łagodnie:

– Spróbuj wykonać ten obrót bardziej płynnie. Miecz przeciwnika został już odbity albo przecięty. Pośpiech może ci tylko zaszkodzić. Tracisz równowagę przed atakiem.

Skinąłem głową, powtarzając obrót.

– Już lepiej. Gdybym tak mógł potrenować z tobą jeszcze ze dwa miesiące... – westchnął Ernado z żalem.

– Niestety, nic z tego.

– Wiem. Tylko Siewcy mieli władzę nad czasem. My dopiero zbliżamy się do umiejętności sterowania polami temporalnymi.

W milczeniu przyjąłem do wiadomości fakt, że jakaś nieznana mi cywilizacja była w stanie podporządkować sobie czas. Niewiele mi to dawało. Wyłączyłem projektor i pochyliłem się nad przyniesioną przez Ernada skrzynką Broń okazała się lepsza, niż przypuszczałem. Pod względem aerodynamiki dyski w niczym nie ustępowały japońskim szurikenom. Tnące krawędzie zrobione były z tak małych odłamków płaszczyznowego ostrza, że wydawały się jednolite. Dodatkowo Ernado wyposażył każdy dysk w futerał z cienkiego, prawdopodobnie magnetycznego materiału. Broń leżała w nim, nie dotykając ścianek i nie przecinając ich.

– Wypróbujesz?– spytał Ernado. W jego głosie brzmiało napięcie.

Popatrzyłem na niego i ze zdumieniem zrozumiałem, że ta obca broń, którą ja

prawdopodobnie umiałem się posługiwać, budziła jego strach.

– Chcesz spróbować pierwszy?

– Wielkie dzięki! – Roześmiał się nieoczekiwanie. – Już próbowałem.

Uniósł prawą rękę i zobaczyłem na dłoni długie, cienkie nacięcie pokryte przezroczystą warstewką jakiegoś plastra.

– Ostatni raz coś takiego zdarzyło mi się, gdy miałem pięć lat. Dobrze, że nie zahaczyło ścięgien.

– Boli? – spytałem ze współczuciem.

– Wcale. Rany od mieczy jednoatomowych prawie nie bolą. Jeszcze zdążysz się o tym przekonać – zapewnił mnie optymistycznie.

Ostrożnie wyjąłem dysk z pokrowca. Był dość ciężki. Ernado wybrał prawidłową wagę, chociaż zapomniałem mu o tym wspomnieć. Miałem duże szczęście, że trafił mi się właśnie ten nauczyciel.

Ściskając dysk za pogrubiony środek, cofnąłem rękę, przygotowując się do rzutu. Rozluźniłem się, próbując wyobrazić sobie, że trzymam zwyczajną „gwiazdkę” i cisnąłem nią, celując w cienkie drzewko przed schronem.

Drzewko zakołysało się i upadło, przecięte półtora metra nad ziemią. Dysk znikł.

Popatrzyłem na palce – całe – i zapytałem wstrząśnięty efektem:

– Gdzie on jest?

– Przypuszczam, że tkwi w betonowej ścianie schronu – powiedział z szacunkiem i powagą Ernado. – Dysk nie jest aż tak cienki, żeby przebić schron na wylot. Ten egzemplarz możemy chyba spisać na straty.

– Wszystkie duże dyski są wyważone jednakowo?

– Tak.

– W takim razie pierwszą część prób uważam za zakończoną. Małe dyski wypróbowaliśmy razem. Technika użycia była znacznie prostsza.

– Za pół roku ta broń będzie znana w całej galaktyce – zapewnił Ernado. – Kto wie, ile przyniesie bólu...

– Nie mam innego wyjścia – powiedziałem posępnie. – Z samym mieczem jestem jak bezbronny.

Ernado wzruszył ramionami. Chyba moje ćwiczenia z siódmego etapu zrobiły na nim wrażenie.

– Nie masz żadnych innych pomysłów?

– Na razie nie.

– Cieszę się.

W jego słowach nie było nawet śladu ironii.

Wyjął swoje „cytrusowe” kapsułki, rozgryzł dwie. zaproponował również mnie, ale tylko pokręciłem głową. Wyjął też zafoliowane białe tabletki. Jedną taką połknąłem przed śniadaniem.

– Weź. To stymulator pamięci i reakcji psychomotorycznej. Właśnie on pomógł ci poradzić sobie z mieczem.

Przełknąłem tabletkę, pozostałe wsunąłem do kieszeni kombinezonu. Ernado odprowadził je niespokojnym spojrzeniem i ostrzegł:

– Wieczorem nie bierz, bo nie będziesz mógł zasnąć. Jutro połkniesz dwie przed akcją.

– Dzisiaj, Ernado. Dzisiaj – poprawiłem go delikatnie. – Do pałacu wyruszę dziś wieczorem.

Ernado osłupiał i zaczął mi tłumaczyć łagodnie, jak dziecku:

– Nie ma takiej potrzeby, Serge. Mamy jeszcze całą dobę. Czas na przygotowania należy wykorzystać w pełni.

– Jestem pewien, że Shorrey też tak myśli. Jutro do pałacu nie zbliży się nawet mysz. Dzisiaj jeszcze jest szansa.

Ernado nie spierał się, właściwie nie wiem dlaczego. Może przekonały go moje argumenty, a może zadziałała pozycja lorda.

– To twoja walka i twój wybór – powiedział po prostu. – I ty decydujesz.

6. Niepodlegające czasowi

Siedziałem w kucki i piłem gorący bulion. Siedzący naprzeciwko Ernado świdrował mnie wzrokiem.

– Mam zacząć wyjaśnienia? – nie wytrzymał w końcu. – Tabletki już działa, zapamiętasz wszystko do ostatniego słowa.

Skinąłem głową, ale zanim mój instruktor zdążył powiedzieć choć słowo, zapytałem:

– Jesteś pewien, że to cała broń, jaką dysponujemy? Mam tak znikomą szansę, że nie chcę, by dodatkowo zmniejszył je przypadek. Miałem kiedyś przyjaciela, którego zapomniany w koszarach scyzoryk kosztował życie.

Pewnie wybrałem odpowiedni ton albo uderzyłem w czułą strunę – może Ernado też miał przyjaciela, którego zapomniany nóż kosztował życie... Tak czy inaczej, wahał się tylko sekundę.

– Poczekać chwilę, lordzie – powiedział, wstając.

Dopijając bulion, patrzyłem, jak Ernado odsuwa skrzynki zastawiające włącz w podłodze i nurkuje w ciemny otwór, z którego po minucie wyłonił się szary sześcienny pojemnik.

– Proszę mi pomóc, lordzie – usłyszałem stłumiony głos Sierżanta.

We dwóch wyciągnęliśmy skrzynkę i postawiliśmy na betonowej podłodze. Ernado pochylił się nad szarym sześciannym i zaczął majstrować przy sensorycznym panelu na pokrywie. Czasem jego działaniom towarzyszył krótki melodyczny dźwięk. Wtedy Ernado kiwał z zadowoleniem głową i zaczynał wybierać nową kombinację.

Po którymś z rzędu naciśnięciu skrzynka odegrała minorową frazę muzyczną i na wieczku zaświecił różowy prostokąt.

– Pierwsze akordy *Pieśni zwycięzców* – wyjaśnił usatysfakcjonowany Ernado. – W mojej aranżacji.

– A ja myślałem, że to *Lament po poległych bohaterach* – wymamrotałem.

Ernado nie zareagował na ironię. Przyłożył prawą dłoń do lśniącego prostokąta i zamarł. Nic się nie działo.

– Przekłeta rana – powiedział z wyraźną ulgą Ernado. – Chyba jednak sejf się nie otworzy. Komputer nie rozpoznał mojej dłoni...

Nie dokończył. Wieczko sejfu drgnęło i zaczęło się unosić.

– Coś mi się zdaje, że martwi cię doskonałość własnego sejfu – zauważyłem z udawaną prostodusznością.

Ernado skinął głową.

– Owszem, lordzie. To nie scyzoryki.

– Tylko co?

– Broń Siewców. Niech wybaczą nam moce przeszłości i przyszłości...

Zajrzałem do skrzynki.

Od wewnątrz wydawała się znacznie mniejsza niż z zewnątrz. Prawdopodobnie ścianki mogły wytrzymać każde uderzenie, ale mimo to w środku nie zabrakło miejsca dla licznych dziwnych przedmiotów. Broń Siewców nie była duża.

Na miękkiej szarej tkaninie, wyścielającej sejf od wewnątrz, przyciśnięte cienkimi przezroczystymi rzemykami spoczywały przedmioty przypominające twory rzeźbiarza abstrakcjonisty. Kolorowe kryształy w spiralach z niebieskiego metalu i półprzezroczyste kule wypełnione pomarańczową cieczą. Powyginane rurki, których każdy koniec mógł być zarówno lufą, jak i kolbą. Połączone matowobiałe płytki przypominające wachlarz. Piramidki, sześciany i cylindry różnej wielkości i w różnych kolorach...

– To broń? – spytałem zdumiony.

– Tak. Wszystkie te przedmioty znaleziono w arsenale uszkodzonego kutra patrolowego Siewców, który miliony lat dryfował w przestrzeni. Nie pytaj, jak trafiły do mnie. Nie chcę kłamać, a nie mogę powiedzieć prawdy.

– Dlaczego nie wspomniałeś o nich wcześniej?

– Dlatego że nie wiem, jak działa ta broń. No, prawie nie wiem.

Wyjął ze skrzynki kilka przedmiotów.

– To te, które choć trochę opanowałem.

Na podłodze przed nami spoczął biały wachlarz, rubinowy cylinderek i niewielki sześcian ozdobiony wymyślnym reliefowym wzorem.

– Siewcy używali dziwnego języka... niemal tak dziwnego, jak oni sami. Ma niewielki zasób podstawowych słów, cztery przyimki i dwa spójniki oraz kilka tysięcy partykuł precyzujących, zdolnych całkowicie zmienić znaczenie danego słowa, a nawet całego zdania.

– Znasz ten język?

– Trochę...

Ernado podniósł biały wachlarz i otworzył go. Końcówki płytek zamigotały bladobłękitnym światłem.

– To tarcza siłowa. Tworzy niewidoczne pole ochronne, przypominające kształtem elipsę. Całkowicie odbija promieniowanie w bardzo wąskim zakresie fal.

– Doskonale.

– Nie zrozumiałeś, Serge. Tarcza odbija tylko część fal. Zwykły pistolet laserowy załatwi ją błyskawicznie, niszcząc człowieka w dolnej i górnej części swojego spektrum.

– W taki razie jaki jest sens tego urządzenia?

– Prawdopodobnie jest to broń do pojedynków, chroniąca jedynie przed specjalnym pojedynkowym pistoletem. Tak przynajmniej sędzę.

– Głupota...

Popatrzyłem z żalem na złożony „wachlarz”. Ernado tymczasem wziął czerwony cylinderek i nacisnął na niewidoczny występ.

Z czoła cylindra wysunął się metrowy, oślepiająco biały płomień. Cofnąłem się odruchowo.

– Miecz plazmowy. Wspaniała broń, znacznie doskonalsza od miecza jednoatomowego. Niestety, nie działa w polu neutralizującym.

Biały ogień zgasł.

Malutki sześcian Ernado tylko musnął palcami.

– Bardzo silna broń. Po aktywacji niszczy komórki ludzkiego mózgu w promieniu dwóch kilometrów. Pole neutralizujące nie ma na nią żadnego wpływu, ale pierwszą ofiarą jest człowiek, który ją aktywował. Właśnie tym ochotnicy skazańcy zniszczyli drugą Twierdzę Galaktyczną.

– A gdyby stworzyć urządzenie aktywujące broń automatycznie? Żeby dało się w porę wyjść ze strefy rażenia?

– Sześcian może uruchomić wyłącznie żywa ludzka dłoń. Żadne manipulatory, nawet obciążone ciepłą ludzką skórą, nie dadzą rady go włączyć.

– Siewcy nie byli humanoidami – powiedziałem z przekonaniem.

– Byli. Tylko ich logika i moralność nie odpowiadały ludzkim.

Ernado umieścił bezużyteczną broń w sejfie i powiedział sucho:

– Teraz sam widzisz, że broń starożytnych do niczego nam się nie przyda.

Z powątpiewaniem skinąłem głową i zająrzałem do sejfu, w którym drzemały śliczne śmiercionośne zabawki Siewców.

Coś przykuło moją uwagę, samo przyciągnęło spojrzenie. Przezroczyste przedmioty, jakby wykonane z górskiego kryształu...

– A to co, Sierzancie?

Ostrożnie wyjąłem z sejfu dwa cienkie przezroczyste cylinderki, przypominające sześciograniaste szklane ołówki. Na jednej z krawędzi widniały nieznanne litery.

– Nie wiem – powiedział Ernado szybko... zbyt szybko. – Nie używaliśmy tego nigdy i nigdzie.

– Co tu jest napisane?

Wziął jeden z cylinderków i utkwiał wzrok w wypukłych literach. Wydawało mi się, że doskonale rozumie sens napisu, tylko gra na zwłokę.

– To bardzo niejednoznaczny tekst – powiedział niechętnie. – Można by go przetłumaczyć tak: „Ostatni atut. Nie podlega czasowi”.

– Co to może znaczyć?

– Najwidoczniej broń jest na tyle silna, że wykorzystuje się ją jedynie w ostateczności. A przy tym nie sposób jej zniszczyć w żadnych warunkach. Nie radziłbym brać tych kryształów,

lordzie.

– Dlaczego?

– Ostatni atutem dla Siewców mogło być wszystko. Eksplozja planety, unicestwienie gwiazdy... Zniszczenie całego wszechświata.

– Gdyby tak było, nie wykonano by dwóch takich granatów.

Przesunąłem palcami po chłodnej, przezroczystej krawędzi.

Kryształowy ołówek, zdolny przekreślić całą galaktykę...

– Wezmę je.

– Lordzie!

– Wezmę, Sierzancie! Będą moim ostatnim atutem. Czy sam nie mówiłeś, że warto umrzeć za księżniczkę?

– Ale nie wspominałem o milionach ofiar!

Patrzyliśmy na siebie w napięciu. W końcu Ernado odwrócił wzrok.

– Nie na darmo mówi się, że broń Siewców sama znajduje sobie właściciela. Jak aktywizować te granaty, Serge?

– Przełamać! – odpowiedziałem automatycznie, bez zastanowienia. Jakby ktoś ofiarował mi tę wiedzę.

– Sam widzisz, lordzie... Jednorazowa broń Siewców zawsze włącza się podczas zniszczenia. I nie ma obawy, że pałeczki złamią się przypadkiem, wytrzymają nawet cios jednoatomowego miecza. Złamać je można wyłącznie celowo i tylko wtedy, gdy one same tego zechcą.

Ostrożnie umieściłem kryształowe ołówki w kieszeni kombinezonu. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, nie patrząc na siebie. W końcu poprosiłem:

– Ernado, powiedz, jakie masz plany. Zostało niewiele czasu.

– Lepiej żeby nie było go wcale. – Ernado wyciągnął pudełeczko ze swoim stymulatorem i rozgryzł jedną kapsułkę. Mnie już nie proponował. Zaczął mówić, najpierw niechętnie, a potem coraz bardziej angażując się we własną opowieść: – Mam tylko jeden plan, ale wystarczająco szalony, żeby się powiódł. Pałac jest położony w górach, na placu otoczonym przepaściami. Kiedyś był to górski szczyt, Kieł Smoka. Potem wierzchołek zburzono i splantowano, a na okrągłej płaszczyźnie o średnicy dwóch kilometrów zbudowano zespół pałacowy. Istnieje z nim jedynie łączność powietrzna, ale wyszkolony człowiek może wspiąć się na Złamany Kieł po zboczach góry. Prawdopodobnie ochrona jest nastawiona na samoloty; w promieniu dwudziestu kilometrów od pałacu działa pole neutralizujące, w którym nie działają silniki. Przeprowadziłem pewne obliczenia i wyszło mi, że maksymalnie odciążony flajer sportowy zdoła poszybować do pałacu z niedziałającym silnikiem. Zbliżysz się do granicy pola, podniesiesz flajer na maksymalną wysokość i polecisz do pałacu. Wylądujesz nie na lądowisku, bo tam pewnie też na ciebie czekają, lecz na dachu jednego z budynków. Nie zdołają cię zestrzelić, bo pole nie pozwoli

zadziałać ich własnym bateriom przeciwlotniczym. Problemy zaczną się dopiero w pałacu...

– Zaczną się znacznie wcześniej, Ernado. Nie umiem sterować flajerem, podobnie jak lotnią czy gwiazdolotem.

Ernado zerknął na mnie z ironią.

– Nie wątpiłem w to, lordzie. Ale flajer ma autopilota, w którym zostanie umieszczony odpowiedni program. Autopilot sam wylądował w wyznaczonym miejscu. Dalej już wszystko zależy od ciebie. Będziesz musiał przedostać się do wewnętrznych pomieszczeń pałacu, znaleźć księżniczkę, dostać się na lądowisko i zepchnąć dowolny flajer na start awaryjny.

– Co to takiego?

– Betonowy pas spadający w przepaść. Tocząc się po tym pasie, flajer osiągnie prędkość szybowania. Do autopilota wsuniesz dysk z programem, który doprowadzi maszynę do bazy wojsk lotniczych imperatora. Baza mieści się w górach, niżej niż pałac, na samej granicy działania pola neutralizującego. Została zniszczona, ale zapasowe hangary ocalały. Weźmiesz najszybszy z wojskowych kutrów, rozpędzisz się na starcie awaryjnym i wyjdiesz poza granice pola. Drugi dysk, który ode mnie dostaniesz, skieruje kuter do Świątyni Wszechświata.

– Nic o niej nie mówiłeś.

Ernado skrzywił się.

– Po co miałbyś zaśmiewać sobie pamięć zasadami naszej religii? Wystarczy ci informacja, że w tej Świątyni ty i księżniczka staniecie się mężem i żoną. Shorrey nie zaryzykuje zakwestionowania decyzji Świątyni. A już tym bardziej nie zaatakuję was w środku.

– Brzmi nieźle. A jak znajdę księżniczkę w ogromnym pałacu, w którym nigdy nie byłem?

– Będziesz miał elektroniczny wskaźnik kierunku. Nie sądzę, by Shorrey był na tyle zuchwały, żeby przenieść księżniczkę z jej pokojów.

Skinąłem głową, akceptując jego znajomość pałacowej etykiety. W myślach przewinałem wszystkie etapy szalonego planu.

– Ernado, a jeśli działa przeciwlotnicze albo kutry bojowe będą czyhać poza granicami pola neutralizującego? Przecież tam nikt nie przeszkodzi im zestrzelić mojego statku.

– To jest tak zwane nieuniknione ryzyko, lordzie. Mam nadzieję, że Shorrey zlekceważy cię na tyle, by nie podejmować wszystkich środków ostrożności.

Nie oburzałem się rozmiarami nieuniknionego ryzyka. W końcu sam niedawno powiedziałem, że księżniczka warta jest śmierci. Spytałem tylko:

– A co ty będziesz robił, Sierzancie?

Odpowiedział bez zastanowienia:

– Początkowo myślałem, że zaczekam na ciebie przy Świątyni. Ale wzięłeś broń Siewców, a to wszystko zmienia... Wyruszę na swoim kutrze do północnego pasma górskiego. Tam na małym prywatnym kosmodromie stoi mój jacht. Postaram się wyjść na maksymalnie wysoką

orbitę i tam zaczekam na rezultat.

Od początku wiedziałem, że Ernado nie wyruszy ze mną do pałacu. To był mój pojedynek. Ale mimo wszystko zrobiło mi się smutno.

– Masz rację. Dobrze, że w waszej armii nawet sierżanci mają prywatne rakiety. Dzięki za wszystko, nauczycielu.

Ernado odwrócił się i powiedział cicho.

– Okazałeś się bardzo zdolnym uczniem. Wstań. Posłuchałem go. Zimne elektryczne światło nadawało naszym twarzom wyraz martwego spokoju. Ernado przesunął dłońią po moim prawym ramieniu. Już wyciągnąłem do niego rękę, sądząc, że to gest pożegnania, ale pod palcami Ernada na czarnej tkaninie kombinezonu zapłonął rój żółtych i zielonych światełek. Wpatrzyłem się w niezrozumiały wzór.

– Kombinezon w porządku – powiedział zadowolony Ernado. – Już się do ciebie dostosowałam. Zaraz dam ci lotniczą bieliznę pod kombinezon... Zapamiętaj te światełka – wskazał trzy żółte punkty płonące w pewnym oddaleniu od innych. – Pierwsze to aktywizacja ochrony, drugie – pomoc medyczna, trzecie – stymulacji mięśni. Włączasz dotykiem palca, zaczną wtedy świecić na zielono.

– Dobrze.

– Tabletki stymulatora połkniesz, gdy flajer zacznie szybować. Nie więcej niż trzy, bo inaczej zajdzie odwrotna reakcja.

– W porządku.

– Jednoatomowy miecz wybierzesz sobie sam. Z takim przyciskiem, jaki ci najbardziej odpowiada. Ale nie nadużywaj ostrzenia, miecz wytrzyma półtora tysiąca cykli, nie więcej.

– Zapamiętam.

– Weź dobry nóż i pistolet-destruktor, na wszelki wypadek. I nie zapomnij swoich dysków.

– Nie zapomnę.

Popatrzyliśmy na siebie, marionetkowy lord z planety Ziemia i były sierżant wojsk imperatorskich z planety Tar. Niezły duet do walki z armią całej planety.

– Chodźmy, trzeba przygotować maszyny – wymamrotał Ernado.

7. Złamany Kiel

Słońce jeszcze nie zaszło, ale niebo już czerniało, płonąc na zachodzie wszystkimi odcieniami czerwieni.

– Na pustyni często bywają burze piaskowe. – Ernado zauważył moje spojrzenie. – Ale tutaj wiatr dotrze nieprędko.

Wejście do podziemnego hangaru, oddalonego dwadzieścia metrów od kopuły schronu, stało otworem. Ogromne metalowe skrzydła wycelowane były w niebo, ale gruba warstwa ubitej na nich ziemi wcale się nie osypywała. Rosnące na bramie drzewa i krzaki po jej otwarciu znalazły się w pozycji poziomej.

Kuter Ernada wyglądał jak lekkoatletyczny dysk o dziesięciometrowej średnicy. Na równej szarej powierzchni nie było żadnych występów czy otworów, żadnego przezroczystego elementu, anteny czy czujnika. Wszystko kryło się w środku.

Przy tym metalowym potworze, którego wojskowe przeznaczenie nie ulegało wątpliwości, mój flaer wyglądał jak zabawka. Przezroczyste cygaro z małutkimi skrzydełkami z białego plastiku od razu kojarzyło się ze spitfire'em. Przezroczysty korpus pozwalał zobaczyć całe wnętrze flaera; zacząłem podejrzewać, że fotel pilota umieszczono dokładnie nad bakiem paliwa.

– Jeśli trafią flaer i zapali się paliwo, usmażę się – wypowiedziałem na głos swoje obawy.

– Jeśli trafią flaer, usmażysz się, zanim zapali się paliwo – pocieszył mnie Ernado. – Pamiętaj, jak włączyć autopilota?

– Jasne.

– Masz tu programy – podał mi dwa małe, przezroczyste dyski wielkości starego rubla. Na jednym widniała zamaszysta czerwona jedyńka, na drugim dwójka.

– Te malowidła nie będą przeszkadzać?

– Absolutnie.

Ernado włożył kombinezon podobny do mojego, na wierzch narzucił płaszcz. Miecz wisiał mu przy pasie.

Własne miecze – po namyśle postanowiłem wziąć dwa – umocowałem na plecach, na modłę japońską. Jeśli nawet Sierżanta zdumiał podobny pomysł, nie dał tego po sobie poznać. Wyraził tylko nadzieję, że nie odetnę sobie głowy, wyciągając klingę przez ramię.

– Startujemy? Musisz dotrzeć do pałacu, nim zapadnie ciemność.

W milczeniu podałem mu rękę. Ostatni uścisk dłoni, przemknęła przez głowę nieproszone myśli. Ernado poklepał mnie po ramieniu. Ostatnie pożegnanie – panikowała dalej podświadomość. Podeszedłem do flaera, odchyliłem przezroczystą kopułę kabiny i usiadłem w miękkim, sprężystym fotelu. Nie znalazłem nic przypominającego katapultę, zresztą pilot i tak nie miał spadochronu. Na wygiętym w podkowę pulpicie świeciły wskaźniki nieznamomych

przrządów. Zachodzące słońce odbijało się w matowych „lustrach” wyłączonych ekranów. Ostatni zachód słońca! – pisnęła rozhisteryzowana podświadomość i umilkła.

– Włącz autopilota – dobiegł mnie z zagłówek głos Ernada.

Dotknąłem żółtej płytki na środku pulpitu i po dysku programowym przemknęły tęczne błyski. Jednocześnie kopuła kabiny płynnie opadła nad moją głowę. Pstryknęły zamki. Fotel odchylił się lekko i zauważyłem ze zdumieniem, że w jego oparciu powstało coś w rodzaju wgłębienia na miecze – prawie ich nie czułem.

– Już lecisz, Serge.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem odpływające drzewa, otwartą bramę hangaru i kuter Ernada. Ale po chwili kuter zaczął się unosić – wzbijał się w górę niczym strzała, doganiając mnie szybko.

Nie czułem wibracji ani huku pracujących silników, jedynie szum na granicy słyszalności, który przestałem zauważać po kilku sekundach. Wtedy dołączył inny dźwięk – świst rozcinanego powietrza. Ziemia zostawała w dole, mnie wcisnęło w fotel. Flaer przechodził na lot poziomy.

Szary dysk Ernada trzymał się z boku jak przyklejony. Z mimowolnym szacunkiem pomyślałem, że Ernado prowadzi maszynę bez autopilota.

– Jeszcze raz powodzenia, lordzie – usłyszałem jego głos.

– Jeszcze raz dziękuję, nauczycielu.

Dysk przechylił się lekko w bok i po chwili znikł w niebie.

Zostałem sam.

Flaer leciał na zachód, ku opadającej tarczy słońca. Lot powinien zająć około godziny. Potem znajdę się w pałacu... jeśli mnie przedtem nie zestrzela.

Po raz pierwszy od chwili, gdy znalazłem się pod ciemnym niebem obcej planety, poczułem zakłopotanie.

Co ja tu w ogóle robię? W jakim celu wpakowałem się w tę nieprawdopodobną historię, dlaczego ruszyłem na pewną śmierć? Sam, z nieznaną bronią, przeciwko tysiącom wyszkolonych zawodowców?

Co mnie do tego pcha? Abstrakcyjna sprawiedliwość? Właściwie nie wiadomo, co gorsze – władca o nieprzyjemnym imieniu Shorrey czy imperatorska dynastia Tarów. Żądza władzy? Nieograniczona władza nad całą planetą to bardzo kusząca wizja. Ale na zdobycie jej mam mniej więcej tyle szans, co zając na wymoszczenie swojej nory lisimi skórkami.

Co w takim razie?

Księżniczka?

Dziewczynka z chłopięcych marzeń?

Czy ona mnie w ogóle kocha? Wezwała mnie, ale nawet nie na turniej pretendentów, nie w charakterze egzotycznego dziwołaga. Wezwała mnie na śmierć, na pojedynek z armią

okupanta. Wezwała, by wykorzystać do końca wszystkie możliwości oporu. Tak wygrzebuje się z kieszeni ostanie drobne, płacąc nieugiętemu wierzycielowi. A może jednak wystarczy, a może nagle pośród miedzi błysnie srebrna moneta. A jeśli nawet nie, to przynajmniej wszyscy zobaczą, że jesteś bankrutem. Tak właśnie miało być ze mną. Może jednak zdołam dokonać cudu. A jeżeli się nie uda, wszyscy będą mieli pewność, że księżniczka walczyła do końca.

Wpatrywałem się tępo w zachodzące słońce, w czarne obce niebo, w nieznajome gwiazdozbiory – flajer już zdążył unieść się do stratosfery – i nagle zrozumiałem: gwiazdę na rozsądne argumenty. Księżniczka mnie wezwała, więc przybyłem. Wszystko przez to, że w moim życiu nie było nic lepszego niż ten wieczorny park i nieprawdopodobne pytanie – „Można się w tobie zakochać?” Nie było bardziej sprawiedliwej walki niż tamta, z trzema pijanymi przyglupami, nawet jeśli w ciemności czał się oddział kosmicznych żołnierzy z płaszczyznowymi mieczami w pogotowiu. Nikt nigdy nie dotykał w ten sposób mojej twarzy, ścierając z niej krew i ból nieoczekiwanego zwycięstwa. Księżniczka z odległej planety, dziewczyna, której po raz pierwszy ktoś bronił nie dlatego, że jest księżniczką – kochała mnie tamtego wieczoru. I wzywając mnie, przypomniała sobie tamtą chwilę.

Ja kochałem ją zawsze.

Flajer nie miał radaru w ziemskim rozumieniu tego słowa. Zamiast niego był wideoblok – umieszczony po prawej stronie pulpitu hologramowy obraz terenu, nad którym przelatywałem. W półmetrowym sześcianie wisiał jaskrawozielony punkt – mój flajer. Pod nim powoli przepływała pagórkowata powierzchnia planety. Zbliżałem się do gór.

Najpierw zobaczyłem pole neutralizujące: w błękit sześcianu wsunęła się różowa półkula, wznosząca się nad górami. Odruchowo popatrzyłem przed siebie, ale oczywiście nic nie zobaczyłem. Pole dostrzegały jedynie czujniki flajera. Ja widziałem tylko sterczące w niebo góry, połyskujące gdzieś lustrami lodowców, otulone mgłą. Tymczasem różowa półkula w wideosześcianie rosła; flajer zbliżał się do jej granicy, coraz bardziej stromo przecinającej moją drogę. Za dwie, trzy minuty maszyna znajdzie się w polu neutralizującym. W hologramowy obraz wpływała już góra ze spłaszczonym wierzchołkiem i złocistymi punktami budowli na stworzonym przez człowieka plateau. Złamany Kieł, rezydencja imperatora i dom księżniczki...

Gdy w wideosześcianie zapłonęły czerwone punkty, nie zdziwiłem się. W odróżnieniu od Ernada byłem pewny, że trafię na ochronę, więc pospiesznie wlatujące ze zbocza góry maszyny nie wywołały szoku. Dziwne było tylko, że nie pojawiły się wcześniej.

– Pilocie flajera, zbliżający się do strefy ochrony pałacu! – Drgnąłem, słysząc obcy głos w zagłówniku fotela. Nie spodziewałem się pertraktacji. – Zatrzymaj się natychmiast, w przeciwnym razie zostaniesz zlikwidowany!

Nie wiem dlaczego, ale wydało mi się, że właściciel tego pozornie nieustraszonego głosu jest bardzo młody. W jego rozkazującym tonie kryła się nieśmiałość i jednocześnie pragnienie

zasłużenia się.

– Mam ważną wiadomość dla władcy Shorreya. – Staralem się, by moje słowa brzmiały spokojnie. – Informacja dotyczy broni Siewców. Wiozę wzorce – dodałem, posłuszny naiwnemu pragnieniu zmylenia przeciwnika.

Cóż, nawet nie kłamałem... Trwała napięta cisza; zauważyłem jeszcze jeden czerwony punkt zbliżający się do granicy pola. Czyżby wsparcie?

– Pilocie flaera! Podaj kod i hasło!

Ciekawe, czy zaryzykują zestrzelenie flaera z bronią Siewców?

– Zaraz podam. Chwileczkę...

Do wejścia w pole została tylko minuta. Potem będę bezpieczny. Ale w ciągu minuty mogą mnie zestrzelić co najmniej sześćdziesiąt razy...

– Hej, wy! – słysząc znajomy głos, znowu spojrzałem na wideo-blok. Samotny czerwony punkt leciał ku granicy pola neutralizującego.

– Nie pomoże wam żadna broń Siewców! Księżniczka należy do mnie!

Kutry patrolowe porzuciły mnie tak błyskawicznie, jakby nie istniały dla nich przeciążenia. I znowu znajomy głos – szalony, wyzywający:

– Spróbujcie mnie dorwać! Warto umrzeć za księżniczkę! Ostatnie słowa były przeznaczone dla mnie. Ale rozpoznałem Ernada znacznie wcześniej.

– Dziękuję, nauczycielu – wyszeptalem, patrząc, jak kutry patrolowe zbliżają się do samotnej maszyny Ernada. – Nie śmiałem cię o to prosić. To twój wybór i twoja walka.

Głośniki ożyły znowu. Od razu zgadłem, do kogo należy nowy głos. Spokojny, bynajmniej nie władczy, raczej protekcyjny. Takim tonem pewni swojej bezgrzeszności kapłani rozmawiają z parafianami.

– Zestrzelcie flaer, idioci! Kuter nie doleci do pałacu, to tylko przynęta!

Wideosześcian zapłonął żółtym światłem. Od każdego kutra patrolowego w moją stronę pomknęły świetliste nitki promieni laserowych – ale było już za późno. Łagodne wygięcie pola osłoniło mnie przed patrolem. Laserowe promienie dotknęły różowej półkuli i zgasły.

Po chwili umilkł również szum silników. Flaer drgnął lekko i przechylił się. Jego krótkie skrzydełka zaczęły się wydłużać, zamieniając maszynę w ciężki, niezgrabny, ale mimo wszystko szybowiec.

Za flaerem ciągnęła się teraz tęcza smuga – program uruchomił spust paliwa. Wyjąłem z kieszeni trzy tabletki stymulatora.

– Pierwsza runda należy do ciebie, lordzie z planety Ziemia – odezwał się Shorrey. – Udało ci się mnie zainteresować, gratuluję. Teraz próbują zabić cię od razu.

Nie odpowiedziałem. Najlepszy sposób, żeby wytrącić przeciwnika z równowagi, to nie reagować na jego prowokacje.

Flaer zniżał się szybko i nieodwracalnie jak postrzelony myśliwiec, ogon paliwa dopełniał obrazu. Spojrzałem na wideosześcian. Kilka kutrów patrolowych weszło za mną w pole neutralizujące w daremnej próbie dogonienia i staranowania kruchego flaera. Dla tych ciężkich jednostek zadanie było niewykonalne. Kutry znalazły się nade mną i teraz czekało je lądowanie na skałach z wyłączonymi silnikami. Poza granicami pola neutralizującego nadal trwało powietrzne starcie. Czerwone punkty kutrów, żółte igły laserowych pocisków, czarny pył „elektronicznych meszek” wirowały w jakimś nieprawdopodobnym, kalejdoskopowym danse macabre. Dwie maszyny już spadały – jedna niespiesznie rozlatywała się na kawałki, drugą otoczyła śmiertcionośna czarna mżawka. Ale walka nie cichła – z ulgą pomyślałem, że Ernado ciągle żyje.

Przede mną wyrósł Złamany Kieł.

Widziałem go w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Leciałem szybko, prawie jakbym spadł. Strome zbocza miejscami pokrywał śnieg, gdzieniegdzie jeżyły się brunatne, jakby przytulone do kamieni, kłujące nawet z wyglądu drzewa. Ale tam, gdzie zaczynał się płaskowyż, widok się zmieniał. Szczyt tonął w zieleni ogrodów, w białych i czerwonych kwiatach. Widocznie gleba i powietrze były tu ogrzewane – innego wyjaśnienia nie znalazłem. Wśród ogrodów wznosiły się ażurowe łuki, smukłe wieże, koronkowe mosty, olbrzymie tarasy pałacu imperatora Tara.

Trudno go było do czegokolwiek porównać. Gdyby najwspanialsze ziemskie budowle zbudować nie z granitu czy marmuru, lecz z różowego, fioletowego, błękitnego i przezroczyście żółtego kamienia, a następnie połączyć je tak, by różnorodność stylów stworzyła harmonijną całość – wtedy otrzymalibyśmy pałac imperatora.

Flaer spadał – szaleńczy lot w dół trudno było nazwać lądowaniem – na stożkowaty budynek wznoszący się załomami na jakieś sto metrów. Budynek wydawał się ułożony na przemian z błękitnych i jasnych bloków. Szyby w szerokich oknach mieniły się błękitem. Na płaskim dachu wznosiły się kamienne rzeźby przedstawiające ludzi i nieznane zwierzęta; pośrodku rosło niskie, ale za to bardzo grube drzewo, sądząc po rozmiarach, dość sędziwe. Gdy do dachu zostało kilka metrów, zauważyłem, że powierzchnia pokryta jest równą warstwą białego piasku.

Skrzydła flaera szarpnęły i dziwnie wykręciły do dołu. Sens tego działania zrozumiałem w chwilę później, gdy moje ciało owinął elastyczny pas, a skrzydła uderzyły o dach i wygięły się, amortyzując upadek. Wstrząsy, które poczułem, były już znacznie osłabione. Niestosowanie spadochronów nie przeszkodziło twórcom flaera zatroszczyć się o bezpieczeństwo pilota.

Flaer znieruchomiał, a fotel mnie uwolnił. Jednocześnie z lekkim pstryknięciem odchyliła się kopuła kabiny. Wstałem i zeskoczyłem z dwumetrowej wysokości – flaer stał na zwiniętych w harmonijkę, ale mimo wszystko całych skrzydłach. Nogi po kostki ugrzęzły mi w miękkim piasku. Obróciłem się w miejscu i rozejrzałem.

Kamienne rzeźby wyglądały w półmroku jak uśpione olbrzymy. Cicho szeleściły liście drzewa. Rzadkie porywy wiatru uderzały zimnem; warstwa ciepłego powietrza nad dachami pałacu była bardzo cienka i od czasu do czasu przebijało się przez nią lodowate tchnienie gór.

Wskaźnik kierunku – szeroka bransoleta na prawym nadgarstku – drgnął i wyszeptał: „Naprzód”. Zejście z dachu znajdowało się prawdopodobnie w pobliżu ogromnego drzewa.

Ale nie pozwolono mi spokojnie do niego dojść.

Zza rzeźby przedstawiającej człowieka w rozwianym płaszczu wyszło dwóch mężczyzn w takich samych jak mój, czarnych kombinezonach, z obnażonymi mieczami w rękach i bezużytecznymi pistoletami przy pasie.

Dotknąłem ramienia i aktywowałem kombinezon. Przeciwnicy chyba zrobili to wcześniej.

– Rzuć broń, lordzie – zażądał władczo jeden z gwardzistów. – Jeśli nie będziesz stawiać oporu, zachowasz życie.

– Nieaktualna informacja, chłopcy. Shorrey odwołał rozkaz wzięcia mnie do niewoli.

Gwardziści popatrzyli po sobie.

– Tym gorzej dla ciebie, lordzie.

Na ostrzach ich mieczy zatańczył biały płomień.

Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnąłem, były popisy szermierskie. Nie dlatego że bałem się pojedynku. Jeśli wierzyć Ernado, miałem szansę pokonać dwóch, może nawet trzech gwardzistów. Ale z każdą sekundą traciłem swój główny atut – zaskoczenie. Z kabury na pasie wyjąłem pistolet – przerobiony przez Ernada gazowy miotacz igieł.

Twarze moich przeciwników zasłoniły przezroczyste przyłbice i gwardziści ruszyli na przód. Nie bali się mojego pistoletu – w polu neutralizującym laserowa i destrukcyjna broń nie zadziałała, a zatrute strzały pistoletu igłowego nie zdołają przebić aktywowanego kombinezonu ochronnego.

Nacisnąłem spust.

Malutki tytanowy dysk z płaszczynowymi krawędziami ześliznął się z magnetycznego magazynka do lufy. Sprężony do pięciu atmosfer dwutlenek węgla popchnął tłok i jednoatomowy frez wyleciał. Podczas lotu dysk, wirując jak szalony, zdążył osiągnąć grubość molekuly. Ale nie miało to żadnego znaczenia.

Gwardzista, który stał najbliżej mnie, krzyknął i chwycił się za pierś, gdzie wbił się malutki pocisk. Aktywowany kombinezon natychmiast zasłonił przecięty otwór, zasklepiając ranę. Ale to, co mogło uratować po ciosie mieczem, nie pomogło w tym przypadku. Titanowy dysk nie był wyważony. Wchodząc w ciało, rozpędzał się i wyruszał w chaotyczną, śmiertcioną podróż przez mięśnie, naczynia i narządy.

Widziałem, jak umierali ludzie trafieni pociskiem rtęciowym. Płaszczynowy dysk zabijał szybciej.

Gwardzista upadł na piasek jak podcięty. Z otwartych do bezgłośnego krzyku ust na przezroczystą przyłbicę chlusnęła ciemna krew.

Wycelowałem w jego towarzysza. Zamarł, patrząc to na mnie, to na zabitego. Nie mógł pojąć, co się stało. Przecież w neutralizującym polu pistolety nie działały. Nie mogły zabijać!

– Niepotrzebnie przybyliście na tę planetę – powiedziałem, naciskając spust.

Na piasek upadło drugie ciało. Więcej wrogów nie było. Niepotrzebnie przybyli na tę planetę. W przeciwieństwie do mnie. Warto umrzeć za księżniczkę.

– Naprzód – zakomenderował wskaźnik kierunku. – Naprzód.

CZEŚĆ DRUGA
KSIEŻNICZKA

1. Porwanie

Zdarzało mi się już zabijać. Na Ziemi, między osiemnastym a dwudziestym rokiem życia, w tym dziwnym wieku, gdy państwo daje ci już do ręki broń, ale jeszcze nie pozwala kupować wódki, służyłem w oddziałach desantowych. W ogromnej, uzbrojonej po zęby armii państwa, którego już nie było.

Rzucano nas tam, gdzie gmach imperium walił się zbyt szybko, gdzie pojawiała się ryzyko, że przygniecie mieszkańców górnych pięter. A czasem, bardzo rzadko, tam, gdzie rdzenni mieszkańcy małych państweczek zaczęli zbyt ochoczo wieszać swoich „lokatorów”.

Nie wiem, ilu rumuńskich ochotników, próbujących sforsować Dniestr, poległo od kul mojego automatu, i do dziś podejrzewam, że w zakaukaskich walkach moje strzały nie znalazły celu. Ale od tamtej strasznej nocy w Benderach, gdy po raz pierwszy mierzyłem do biegnących z bronią figurek, zdobyłem tę dziwną, nieludzką umiejętność.

Umiejętność zabijania. Umiejętność zapominania, że twoi wrogowie to tacy sami ludzie jak ty, ze swoją prawdą i swoją wiarą, skuci żelaznymi okowami rozkazu albo stalowym łańcuchem fanatyzmu. Umiejętność dostrzegania w swoich wrogach łajdaków, potworów, kosmicznych agresorów – wszystko jedno kogo, byle nie ludzi, żyjących na tej samej ziemi, pod tym samym niebem.

Zabici przez mnie gwardziści nie pochodzili z Ziemi. Spokojnie mógłbym nazwać ich kosmitami. Ale z jakiegoś powodu nie potrafiłem tego zrobić i gdy mijałem nieruchome ciała, serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe.

Po raz pierwszy w życiu zabiłem nie dlatego, że taki dostałem rozkaz. Dwóch ludzi zginęło, bo ośmieliłem się pokochać księżniczkę.

Czy warto umrzeć za miłość?

Biegłem w dół po szerokich schodach, po przezroczystych chropowatych stopniach lśniących pod moimi nogami. Na szmaragdowych ścianach wisiały obrazy, których nie miałem czasu obejrzeć. Za zamkniętymi drzwiami mogły być windy, których nie miałem czasu szukać. „Na dół, na dół” – szeptał wskaźnik.

Na dół.

Schody kończyły się w okrągłej sali, gdzie hebanowe kolumny podtrzymywały przezroczystą kopułę sufitu. Nad kopułą świeciło słońce, które już dawno skryło się za horyzontem.

– W lewo...

Wysokie drewniane drzwi były zamknięte. Pociemniałe skrzydła pokrywały rzeźbione ornamenty.

– Naprzód.

Wyciągnąłem miecz z pochwy i dwoma uderzeniami załatwiłem zawiasy. Pchnięte drzwi

ciężko upadły do wewnątrz. Wąski mroczny korytarz, walczące z ciemnością pochodnie na ścianach – pewnie fałszywe, mimo słodkawego zapachu smolnego drewna...

I nieruchome postacie na końcu korytarza.

– Naprzód...

Wyjąłem z pokrowca płaszczyznowy dysk i krzyknąłem:

– Precz! Nie chcę was zabijać!

Odpowiedzią był oślepiający błysk ostrzonych mieczy.

Cisnąłem dysk, zdjąłem z pasa dwa następne. Nie były już potrzebne. Wojownicy Shorreya nie mieli zamiaru zostać żywymi tarczami w zaimprovizowanej strzelnicy. Trzasnęły otwierające się w ścianach drzwi i gwardziści znikli, zabierając ciało zabitego. Pobiegnąłem korytarzem. Kończył się następnymi rzeźbionymi drzwiami.

– Zapasowe wyjście z salonu księżniczki – oznajmił wskaźnik.

Nie rozwalilem tych drzwi. Dotknąłem sensorów na kombinezonie, uruchomiłem tryb wzmocnienia mięśni, napałem ramieniem...

Grube drewno pękło jak przegniła dykta. Przekrzywione drzwi stanęły otworem.

Przełożyłem miecz do lewej ręki i wszedłem.

Sala nie była duża, dwadzieścia na trzydzieści metrów, może nawet mniej. Niewysoki sufit, ściany pokryte panelami z ciemnego drewna. Pochodnie. Zwyczajne, wąskie okna, przez które nie zaglądało fałszywe słońce. Długie purpurowe zasłony. A pośrodku – dziwna, rzucająca błyski rzeźba, przypominająca zastygłą fontannę. Strugi wody – kryształowe albo lodowe – przepuszczały łagodne pomarańczowe światło.

Powoli obszedłem oryginalną lampę. Nie było widać żadnych innych drzwi. Wskaźnik milczał. Dokąd mam teraz iść?

Oparłem się plecami o marmurową misę fontanny, rozejrzałem się stropiony i zamarłem. Dostrzegłem postać przy oknie.

Stojąc bez ruchu w ciemnoczerwonej sukni, księżniczka była prawie niewidoczna na tle zasłon. Dlatego nie zauważyłem jej wcześniej. Na sukni, na delikatnych obnażonych ramionach, na rozpuszczonych, ujętych w złoty diadem włosach połyskiwały blade iskiereki brylantów.

Dziewczynka urosła.

Mała księżniczka stała się kobietą.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Wydawało mi się, że dopatruje się znajomych rysów – jej twarz była spięta, skupiona. Wreszcie się rozluźniła.

– Gwardziści Shorreya pozwalają sobie na zbyt wiele – powiedziała łagodnym, ale władczym głosem. – Precz.

Przeklęty zdobyczny kombinezon...

Ściągnąłem z głowy cienką tkaninę kaptura, przyglądałem dłonią włosy.

– Można się we mnie zakochać, księżniczko – powiedziałem.

Podeszła bliżej, powoli, gotowa cofnąć się w każdej chwili.

– Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj.

– Shorrey również.

– Wierzyłam, że się przedrzesz.

– Wezwałaś mnie, księżniczko. Przybyłem.

Ciemnoniebieskie oczy w owalnej, leciutko tylko opalonej twarzy. Kasztanowe włosy, spadające na obnażone ramiona. Smutny uśmiech.

Ja poznałem cię od razu, księżniczko. Ty mnie nie. I wcale nie z powodu czarnego kombinezonu.

– Masz jakiś plan działania?

– W przeciwnym razie nie dotarłbym do pałacu.

– Ile mamy czasu?

Pozwoliłem sobie na uśmiech.

– Minus jedna minuta.

– Czyli minus dwie. Muszę się przebrać.

Fakt, w długiej balowej sukni daleko by nie uciekła. Skinąłem głową. Księżniczka wyciągnęła rękę.

– Nóż.

Odpiąłem kindżał od pasa i podałem ostrożnie, rękojeścią do przodu. Nie podnosząc głosu, powiedziała:

– Dila, strój do fechtunku. Natychmiast.

Szybkim ruchem rozcięła aksamit sukni i krótko wyjaśniła:

– Zbyt długo się ją zdejmuję. Odwróc się.

Stałem twarzą do świecącej fontanny i położyłem dłoń na rękojeści pistoletu. W każdej chwili mogli się tu wdrzeć żołnierze Shorreya... Za moimi plecami zaszeleścił spadający na podłogę materiał.

To wygląda idiotycznie. Scena z teatru absurdu.

Jeden z drewnianych paneli ściany przekręcił się bezszelestnie i z ciemności wyszła siedmioletnia na oko dziewczynka z dużym pomarańczowym pakunkiem w rękach. Rzuciła mi wrogie spojrzenie, spostrzegła księżniczkę za moimi plecami i krzyknęła.

– Nie czas na etykietę, Dila – powiedziała cicho księżniczka. – Pomóż mi się ubrać.

– Ale...

– To lord z planety Ziemia, mój narzeczony. Szybciej, Dila! Dziewczynka prześliznęła się obok mnie, w biegu wyciągając z paczki kombinezon – trochę podobny do mojego, ale mniejszy i pomarańczowy.

Przez minutę za moimi plecami trwała cicha krzątanina. Potem księżniczka krzyknęła:

– Lordzie!

W jej głosie była rozpacz i przerażenie. Odwróciłem się. Zbyt wolno.

Półnaga księżniczka w pośpiechu zapinała kombinezon, przez rozcięcie widać było złociste, nagie ciało. A z otwartych w ścianie drzwi wyskakiwały czarne postacie z płaszczyznowymi mieczami w rękach. Od błysków ostrzenia mieniło się w oczach. Zanim zdążyłem zareagować, jeden z gwardzistów zamachnął się i wbił mi w ramię nóż.

Ernado nie wspominał o płaszczyznowych nożach, ale istniały – jeden z nich właśnie powoli wysuwał się z mojej rany. Odniosłem wrażenie, jakbym wsadził ramię w imadło – kombinezon stwardniał, blokując uszkodzone miejsce. Nie było czasu na ocenę rany, na myślenie o bólu. Nacisnąłem spust pistoletu i zakreśliłem lufą krótki łuk.

W stronę napastników pomknął wachlarz srebrzystych dysków. W sali zabrzmiały jęki bólu. Kilku gwardzistów upadło, ale pięciu, przeskakując przez rannych i zabitych, skoczyło do przodu.

Znowu strzeliłem. Pistolet wypluł płaszczyznowy dysk, załatwiając kolejnego gwardzistę. Bezgłośnie – dysk ugodził go w twarz.

Ale następny strzał już nie padł. Skończył się magazynek, pistolet zmienił się w bezużyteczny kawałek metalu. Nie było czasu na przeładowanie.

Prawą ręką wyrwałem zza pleców miecz, lewą próbowałem wyciągnąć drugi, ale nie zdołałem. Ból w ramieniu nie był silny, jednak kombinezon nadal krępował ruchy.

Następne sekundy to był kalejdoskop następujących po sobie ciosów, uników i zmyłek. I cofania się pod naporem czterech uzbrojonych zawodowców.

Prawdopodobnie tylko zaskoczenie śmiercią towarzyszy przeszkodziło im zabić mnie w pierwszych sekundach walki. Prostym cięciem udało mi się przerąbać miecz szczególnie zaciekle atakującego gwardzisty i lekko drasnąć dłoń drugiego. To jednak nie zrobiło na nich większego wrażenia i już wkrótce parowałem ciosy, przyciśnięty do ściany.

Pomoc nadeszła niespodziewanie. Oddzielając mnie od księżniczki i jej służącej, gwardziści chyba zapomnieli o ich istnieniu. Błąd.

Księżniczka podniosła z podłogi miecz jednego z zabitych i zaatakowała gwardzistów od tyłu. Pierwszy cios okazał się śmiertelny dla ranionego przeze mnie gwardzisty. Jakąś krawędzią świadomości zarejestrowałem, że księżniczka specjalnie użyła nienaostrzonego miecza, wystarczająco ostrego, żeby przeciąć kombinezon, i dostatecznie grubego, żeby przecięte tkanki nie mogły się zrosnąć. Korzystając z chwilowego zamieszania zabiłem jeszcze dwóch, również używając stępionego miecza. W ostatniego, który próbował zrejterować, księżniczka cisnęła kindzałem, który wypadł z mojej rany. Na płaczących się nogach, ze sterczącą pomiędzy łopatkami ręką noża gwardzista pokuśtykał do drzwi.

Dila siedziała skulona, zasłaniając twarz rękami. Wśród poharatanych, nieruchomych ciał słabo jęczało dwóch czy trzech rannych.

Popatrzyłem na księżniczkę. W pomarańczowym kombinezonie, z płaszczyznowym mieczem w ręku, w niczym nie przypominała dziewczyny w sukni balowej. Dziewczynkę z nocnego parku przypominała jeszcze mniej.

– Jak zdołałeś ich wszystkich zabić? – zapytała w końcu.

– Pistolet strzelał płaszczyznowymi dyskami.

– Nie słyszałam o takiej broni.

– To mój... eee... wynalazek.

– Rzeczywiście warto było się w tobie zakochać – usta księżniczki drgnęły w znajomym uśmiechu. Zachowywała się tak, jakby wokół nas nie było martwych wrogów, a żywi nie czaili się tuż obok. – Jak twoja ręka?

Ramię jeszcze bolało, ale mięśnie działały i znowu mogłem ruszać ręką.

– Nie czas o niej myśleć, księżniczko.

– Racja. Dokąd mamy się udać?

– Na pasy startowe.

Błysk zdumienia w niebieskich oczach.

– Pole nadal działa, nie zdołamy się wznieść.

– Wiem.

– W porządku. – Księżniczka wzruszyła ramionami i powiedziała, choć wyraźnie nie do mnie: – Wszyscy, którzy są wierni Tarowi, wszyscy, którzy... – zająknęła się, ale ciągnęła: – ...pozostali wierny imperatorowi. Wychodzę z pałacu z ziemskim lordem, moim prawowitym narzeczoną. Ci, którzy mogą nam pomóc, niech to zrobią. Komunikator werbalny: autodestrukcja.

Pod sufitem zabłysnął i rozpadł się element drewnianego panelu.

– Słudzy zrobią wszystko, co w ich mocy – wyjaśniła księżniczka. – Ale nie będę mogła wezwać ich ponownie. Centralka była dostrojona do mojego głosu, mogliby nas śledzić przez pulpity, musiałam ją zniszczyć. Proszę za mną, lordzie.

Przechodząc obok płaczącej Diii, rzuciła szybko:

– Rozkaz dotyczy również ciebie. Dobij rannych i zatrzymaj tych, którzy przyjdą. Rzadko widywałem śmierć – wyjaśniła mi. – Ale jest oddana tylko mnie i umie zabijać. Shorrey pożałuje, że darował życie moim sługom.

Poczułem ucisk w piersi. Nie wolno w ten sposób wysyłać ludzi na śmierć. Nikt nie ma takiego prawa. Nawet księżniczka.

Pomajstrowała przy jednej pochodni, otworzyła kolejne tajemne drzwi i wyjaśniła:

– To najkrótsza i najbezpieczniejsza droga. Możesz biec? Skinąłem głową i pobiegliśmy

korytarzami, jednakowymi, nie do odróżnienia, z tymi samymi fałszywymi pochodniami. W biegu załadowałem pistolet drugim i ostatnim magazynkiem. Trzeba było przygotować więcej małych dysków, ale kto wiedział, że okażą się tak skuteczne...

Księżniczka biegła, jakby nie przeszkadzał jej płaszczynowy miecz w ręku. Nie mogła powiesić go na pasie – nie miała pasa.

– Czy mój rozkaz cię zaszokował? – spytała nieoczekiwanie.

– Tak – odpowiedziałem krótko. Korytarz lekko spadał w dół, teraz biegło się łatwiej.

– Ich obowiązkiem jest walczyć za mnie – powiedziała twardo. – Nie ty jeden gotów jesteś ryzykować życie. Wiesz, my tu mamy takie powiedzenie...

– Wiem – przerwałem ostro. – Warto umrzeć za księżniczkę.

– Nie zgadzasz się z tym?

– Nie – odparłem nieoczekiwanie dla samego siebie. – Oczywiście, że nie.

Zatrzymaliśmy się jednocześnie. Księżniczka zapytała cicho:

– Więc dlaczego tu jesteś, lordzie? Dlaczego przyszedłeś?

– Dlatego że warto umrzeć za miłość – powiedziałem, łapiąc oddech. – Dlatego, że cię kocham.

Mocno przyciągnąłem dziewczynę do siebie. Popatrzyłem jej w oczy i choć czułem, że mówię za dużo, nie mogłem się już powstrzymać.

– A może wcale nie ciebie. Może tę dziewczynkę, która spytała, czy można się we mnie zakochać. Która jeszcze nie umiała rozkazywać dziecku, żeby dobiło rannych. Która nazwała mnie silnym i śmiałym, i sprawiła, że się taki stałem. Właśnie tę dziewczynkę, która jeszcze jest w tobie, chcę teraz uratować. I za nią gotów jestem umrzeć...

Pocałowałem ją w usta, leciutko, tak jak całuje się śpiących. I na chwilę, tylko na chwilę, jej twarz stała się twarzą przestraszonej dziewczynki z nocnego parku...

– Musimy się spieszyć, księżniczko – powiedziałem, dławiąc się grzęznącymi w gardle słowami. – Musimy się spieszyć.

Biegliśmy dalej, nie mówiąc już ani słowa, nie myśląc o tym, co się właśnie stało. Ona nadal była dziewczyną moich marzeń, księżniczką z dalekiej, obcej planety. Nikt nie zawinił, że moje marzenie nie przystawało do rzeczywistości.

Korytarz kończył się szerokimi metalowymi drzwiami. Na styku z futryną widniały ślady spawania. Tam, gdzie wcześniej był zamek, pozostała czarna, wypalona plama.

– Rąb – rozkazała księżniczka.

Podniosłem płaszczynowy miecz i czterema ciosami wylałem drzwi.

2. Start awaryjny

Na zewnątrz panowały kompletne ciemności. Tylko szelest drzew i miękka trawa pod nogami podpowiadały, że wyszliśmy do ogrodu.

– Dlaczego nie świecą latarnie? – zapytałem, rozglądając się. – Shorrey powinien był włączyć wszystkie możliwe światła.

– Nie na darmo wydałam rozkaz – odpowiedziała oschle księżniczka. – Któryś ze służących zdołał wyłączyć elektrownię.

Przysunęła się do mnie, mocno chwyciła moją dłoń i zupełnie innym, przeprasającym tonem powiedziała:

– Wiem, że to głupie... ale od dzieciństwa boję się ciemności. Przepraszam.

– W porządku. – Ścisnąłem jej palce. – W którą stronę mamy iść?

– W prawo.

Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, już widziałem drzewa i ciemną, martwą bryłę pałacu. Tylko gdzieś w oddali, na samym brzegu płaskowyżu, były w niebo czerwone słupy ognia.

– Pożar – oznajmiła spokojnie księżniczka. – Nie najlepsze miejsce, tam akurat są archiwa i biblioteka. Trudno, niech się pali.

Szliśmy przez ogród szybko, ale starając się zachować ciszę. Kilka razy trafialiśmy na wysypane piaskiem dróżki, ale księżniczka z uporem z nich schodziła.

– Nie zabłądzimy? – zapytałem cicho.

– W tym ogrodzie spędziłam całe dzieciństwo.

Na krótką chwilę jej głos zabrzmiał znajomo, takim głosem prosiła mnie kiedyś, żebym poczekał, aż ona dorośnie. Być może pod tymi właśnie drzewami spacerowała tamta dziewczynka po powrocie z krótkiej podróży na planetę Ziemia.

Drzewa stały się rzadsze; byliśmy przy ogrodzeniu – niskim, dekoracyjnym, z ażurowej metalowej kraty sięgającej mi do pasa. Za nim ciągnęło się równe, gładkie pole pokryte betonem albo stopionym kamieniem. Raczej to drugie – widocznie była to podstawa plateau, którą w innych miejscach przysypano żyzną ziemią.

Usiadłem przy ogrodzeniu i wpatrzyłem się w ciemność. Na pasie startowym w pozornym chaosie zastygły dyski kutrów bojowych i lekkie, półprzezroczyste cienie flajerów. Nawet nie schowali maszyn do hangarów... Liczą na pole neutralizujące.

– Księżniczko, gdzie jest start awaryjny? – spytałem półgłosem.

Wydawało mi się, że drgnęła.

– Chyba nie chcesz z niego skorzystać?

– Innego wyjścia nie ma.

– Za hangarami... Lordzie, nie przypominam sobie, by ktoś prócz zawodowych pilotów ryzykował podobny start. Nie spierałem się. Po prostu przeskoczyłem płot.

– Chodźmy, księżniczko.

Przeskoczyła w ślad za mną, nie dotykając mojej troskliwie wyciągniętej ręki.

– Lordzie, możemy skorzystać z tunelów prowadzących na równinę – zaproponowała. – Tam będzie ochrona, ale...

W milczeniu szedłem przed siebie. Spieranie się z dziewczyną, tym bardziej królewskiego rodu, byłoby nieuprzejme. Łatwiej nie zostawić jej możliwości wyboru.

Hangary były ukryte głęboko w skale, na zewnątrz widać było jedynie kopuły szybów wind. Zawsze lubiłem okrągłe budynki – wykluczają możliwość napaści zza rogu. Zresztą tutaj zasadzki nie było, tylko jeden jedyny wartownik oparty plecami o nagrzaną w ciągu dnia powierzchnię kopuły.

Zauważyłem go pierwszy. Zatrzymałem się, oceniłem odległość. Na celny strzał z pistoletu było za daleko. Wyciągnąłem z pokrowca płaszczyznowy dysk i cisnąłem go, niemal pewien sukcesu.

Ale tym razem wyczucie odległości mnie zawiodło: dysk wszedłby w betonową ścianę kilka centymetrów od głowy wartownika... A wartownik już się odwracał, wyciągnął miecz z pochwy i podnosił rękę do ramienia, żeby aktywizować kombinezon.

Czasem dobry słuch może zaszkodzić – wartownik naprawił mój błąd i zrobił krok w stronę lecącego dysku. Płaszczyznowe ostrze zgilotynowało go lepiej niż wprawny kat. Ciało zrobiło jeszcze kilka kroków i runęło. Odrąbana głowa potoczyła się do naszych nóg.

Poczułem mdłości. Księżniczka wypuściła miecz, chwyciła mnie za ramię i zaczęła krzyżeć. Ten krzyk najwyraźniej od dawna wzbierał w jej piersi. Od tego dnia, gdy w turnieju narzeczonych wygrał Shorrey. Od tej godziny, gdy planetę podbiły jego wojska. Od tej minuty, gdy w sali gościnnej odbyła się krwawa rzeź. Od tej sekundy, gdy zrozumiała, że będziemy musieli przejść przez nieznaną mi groźbę startu awaryjnego.

Płakała, przytulona do mojego ramienia – władczyni planety, zdolna wysłać na śmierć tysiące ludzi, ale nigdy nie widziała prawdziwej śmierci. Nie tej, która przychodzi w uczciwym pojedynku na płaszczyznowe miecze, gdy najstraszniejsze rany skrywa błyskawicznie zrastający się kombinezon. Taka śmierć, kryjąca się pod ubraniem, fałszywa niczym pochodnie na ścianach, była w jej świecie czymś normalnym. Na płaszczyznowych mieczach nie zostawała nawet kropla krwi.

A teraz śmierć pokazała prawdziwe oblicze, całą swoją ohydę, krew chlustającą z przebitych arterii. Może ta księżniczka była pierwszą, która zobaczyła, jak ludzie za nią umierają.

Objąłem ją łagodnie i mocno, zapominając o bólu w rannym ramieniu i o uciekających sekundach i wyszeptąłem, wtulając twarz w miękkie włosy:

– Zabiłby nas, gdyby zdążył, księżniczko. Nie warto go żałować.

– Ale tak się nie zabija...

– Umarł od razu. Nie zdążył nic poczuć.

Księżniczka zamilkła i uwolniła się z moich rąk.

– To przejdzie, zaraz przejdzie – powiedziała po chwili. – Zachowuję się jak histeryczka, wstyd mi za siebie...

– A ja zacząłem być z ciebie dumny, księżniczko...

Starając się nie patrzeć na ziemię, księżniczka ominęła martwe ciało.

– To właśnie start awaryjny – machnęła ręką. – Prawdopodobnie ochraniał go... ten nieszczęśnik.

Podszedłem bliżej.

Na pierwszy rzut oka start nie budził przerażenia. Niewielka pochyłość, jakieś pięć stopni, na równym pasie. Sztuczny wawóz, łagodnie schodzący w ciemność. Dróżka miała jakieś siedem, osiem metrów szerokości, w sam raz dla kutra, nie mówiąc już o flaerze. Oczywiście, dwadzieścia metrów dalej start awaryjny będzie przypominał wyciosane w kamieniu koryto i pojawi się realne niebezpieczeństwo wyrżnięcia we wznoszące się po bokach ściany. Ale przecież sterować ma autopilot...

– Proszę mi pomóc, księżniczko – powiedziałem. – Musimy podciągnąć tu jakiś flaer.

Czterdzieści metrów dalej stała odpowiednia maszyna. Była nawet mniejsza od tej, na której przyleciałem, i wydawała się wystarczająco lekka. We dwójkę dość łatwo podtoczyliśmy flaer do startu awaryjnego.

– Dobrze tym latasz? – spytała zatroskana księżniczka.

– Dobrze to jeżdżę na rowerze – mruknąłem posępnie. Słowo „rower” powiedziałem po rosyjsku, widocznie język planety Tar nie zawierał odpowiedników. Pewnie, że byłoby świetnie uratować księżniczkę, samemu sterując maszyną. Ale nic z tego. Do sekcji szybownictwa nie należałem, a w wojsku uczyli nas jedynie skakać ze spadochronem. – W tym flaerze jest autopilot?

– Oczywiście. Masz dysk z programem?

– Tak.

Ustawiliśmy flaer tuż przy brzegu pochyłego pasa. Rady Ernada nie zawiodły – szybko znalazłem zamek i otworzyłem kopułę kabiny. Księżniczka w milczeniu weszła do środka i pochyliła się nad pulpitem. Po sekundzie w kabinie zabłysło światło.

– Dysk z programem – zażądała.

Podąłem jej dysk z zamaszystą dwójką, odwróciłem się i ostatni raz popatrzyłem na równinę Złamanego Kła. Było cicho, zdumiewająco cicho jak na miejsce, w którym właśnie trwało rozpaczliwe polowanie na nas. Tylko w oddali szalał pożar.

Naparłem na burtę fliera i wytoczyłem go na pas startu awaryjnego. Czując, że maszyna drgnęła i zaczęła powoli zsuwać się w dół, wskoczyłem do kabiny.

Przy starcie awaryjnym nie nabierało się szybko rozpędu. Zanim prędkość stała się odczuwalna, zdążyliśmy usiąść wygodnie w fotelach i sprawdzić przyrządy.

– Prawie nie ma paliwa – powiedziała zakłopotana księżniczka.

– Nie będzie nam potrzebne – odparłem, uruchamiając w swoim kombinezonie tryb pomocy medycznej. Zaczęło mnie pobolevać w okolicach łędźwi. Potem zakłuło w ramieniu. Wrażenie nie należało do przyjemnych.

Po obu stronach fliera coraz szybciej przemykały kamienne ściany. Zjazd stawał się naprawdę stromy.

– Nigdy nie ufałam autopilotom – powiedziała z udręką księżniczka. Siedzieliśmy obok siebie, w malutkiej kabinie były tylko dwa wąskie fotele. Przed nami, nad pulpitem, świecił hologramowy obraz w dużej skali; pas startowy, po którym sunął zielony punkt naszego fliera, był wyraźnie widoczny.

– Cóż począc, księżniczko – powiedziałem, wpatrując się w obraz. – Niestety, nie jestem pilotem... Ani nawet nawigatorem. I nie biorę udziału w międzygwiazdnych wyścigach.

Księżniczka zerknęła na mnie.

– Co wiesz o Pratterze, lordzie?

Skląłem się w duchu za zbyt długi język. O niedoszłym mężu księżniczki nie wiedziałem prawie nic. Nawet jego imię usłyszałem po raz pierwszy. Ale było za późno, żeby się wycofać.

– Tylko to, że jest tchórzem.

Hologramowy obraz zmieniał się coraz szybciej. Teraz widać było spadającą w przepaść krawędź płaskowyzu. Ale awaryjny zjazd wcale się tam nie kończył.

– Pratter nie jest tchórzem! Nie waź się o nim mówić w ten...

Fotele zacisnęły się, biorąc nas w mocne objęcia, dławiąc oddech i uniemożliwiając dalszą rozmowę. Równina się skończyła, a trasa startu awaryjnego biegła dalej, spadając w dół pod niemal prostym kątem. Serce podskoczyło mi do gardła. Spadaliśmy. Flaer mknął, ledwie dotykając kołami gładkiej jak szkło powierzchni. A ja już widziałem w sześcianie hologramu, co czeka nas dalej. Ostry zakręt, pół kilometra poniżej poziomu wyżyny. Krótki odcinek poziomy i niewielki kawałek pod górę. Awaryjny start wcale nie przypominał pasa spadającego w przepaść, jak twierdził Ernado. To była skomplikowana, wyliczona komputerowo konstrukcja, której tor nadawał maszynie maksymalne przyspieszenie. Przeciężeniami, którym byli poddawani pasażerowie, konstruktorzy się nie przejmowali.

– Trzymaj się, księżniczko... – wyszeptałem, wpatrując się w najbliższy łuk zakrętu. Nie wypadliśmy z pasa chyba tylko dlatego, że rozwinięte skrzydła fliera przyciskały nas do podłoża.

– Trzymaj się.

Wisieliliśmy w fotelach twarzami w dół, patrząc, jak przybliża się fatalny zakręt awaryjnego startu. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że przeciążenie poprzeczne nie powinno być zbyt nieprzyjemne...

...i w chwilę potem zostałem pozbawiony możliwości myślenia o czymkolwiek.

Bolało mnie całe ciało. Po twarzy płynęła mokra struzka, smak na wargach podpowiadał, że to krew. Przed oczami, które końcu udało mi się otworzyć, płynęła gęsta czarna mgła.

Ale żyłem, a flajer nie zmienił się w stertę złomu na dnie przepaści. Lekkie kołysanie świadczyło o tym, że lecimy.

Czarna mgła rozpływała się bardzo powoli. Pod łopatką i w pasie coś mnie kłuło – najwidoczniej kombinezon pracował w trybie pomocy medycznej.

Najpierw zobaczyłem blade światło hologramowego sześcianu. Płynęliśmy powoli w różowej półkuli pola neutralizującego, oddalając się od Złamanego Kła. To znaczy, że „wyłączyłem się” dosłownie na kilka sekund.

Walcząc z bólem, odwróciłem głowę i popatrzyłem na księżniczkę. Reagując na ruch, fotel zwolnił uścisk, wypuścił mnie.

Wargi nieprzytomnej księżniczki były zakrwawione. Twarz pokrywały czerwone punkciki popękanych naczyń. Ciało obwisło bezsilnie.

Dotknąłem jej ramienia. Czy w kombinezonie do fechtunku jest tryb medyczny, jak w kombinezonie bojowym? Na szczęście światełka z boku były takie same jak u mnie. Dotknąłem świecącego żółto punktu. Bez efektu. Za to czujniki kontrolne zapłonęły alarmową czerwienią.

Jęknąłem z bezsilności i posłuszny raczej intuicji niż świadomemu pragnieniu, ująłem rękę księżniczki i dotknąłem przycisku jej palcem. Światełko natychmiast zaświeciło zielono.

Odchyliłem się na oparcie fotela, nie wypuszczając z ręki jej bezwolnych palców. Kiedyś dotykały mojej twarzy, sprawiając, że ból odpływał. Nie umiem robić takich cudów, księżniczko. Mogę tylko ztrzeć krew z twoich warg i przyłożyć do czoła chłodną dłoń. I jeszcze jedno: gdy odzyskasz przytomność, powiem ci, że nawet teraz, po przeciążeniach, jesteś najpiękniejszą dziewczyną we wszechświecie.

Księżniczka skrzywiła się. Widocznie kombinezon wstrzyknął kolejną dawkę lekarstwa. Poruszyła się, przytuliła do mojej dłoni i wyszeptała:

– Dziękuję, Pratter... Już mi lepiej.

– Nie nazywam się Pratter – odpowiedziałem spokojnie. – Jestem lordem z planety Ziemia, twoim ceremonialnym narzeczonym, którego imienia do tej pory nie zdążyłaś poznać.

– Wybacz. Jak się nazywasz?

– Siergiej. Może być Serge.

– Wolę Siergiej. Brzmi bardziej niezwykle...

Otworzyła oczy i śmiesznie ściągnęła brwi.

– Muszę wyglądać koszmarnie. Przeciężenie wyniosło co najmniej dziesięć jednostek...

– Jesteś piękna, księżniczko. A czerwone kropki szybko znikną.

– A więc musiała być dziesiątka. I pewnie mam tak samo czerwone oczy jak ty.

Skinąłem głowę. Jeśli wyglądam tak jak księżniczka, mogę bez charakteryzacji zagrać wampira w horrorze. Nasze biedne naczynka krwionośne nieźle oberwały...

– Jak lot, Siergiej?

Popatrzyłem na autopilota. Tablica kontrolna świeciła się na zielono.

– W porządku.

– Mamy szczęście. Bałam się, że flajer się rozpadnie. Te maszyny nie są przeznaczone do podobnych sztuczek. Nie ma w nich kompensatorów grawitacyjnych, jak w statkach bojowych. Dokąd lecimy?

– Do bazy wojsk lotniczych imperatora.

– Została zniszczona.

– To nieważne. Mój nauczyciel przewidział wszystko.

– Jeśli się uratujemy, będzie dowodził armią – powiedziała twardo księżniczka.

Z sierżanta na głównodowodzącego? Czy Ernado mógł wyobrazić sobie taką karierę? Przypomniałem sobie nierówną walkę w okolicach pałacu i spuściłem oczy.

– On już nie może przyjąć twojej nagrody, księżniczko.

3. Przegrany pojedynek

Flaer nie zawiódł. Trochę się zdenerwowaliśmy tuż przed lądowaniem, gdy zniżająca się maszyna leciała dwa, trzy metry nad grzbietami skał. Czujniki autopilota świeciły nerwową czerwienią, a fotele ścisnęły nas, ubezpieczając na wszelki wypadek. Ale flaer przeleciał nad skałami i zaczął szybować ku górskiej dolinie.

Mogliśmy obserwować to wszystko na hologramie. Światło gwiazd raczej zagęszczało, niż rozpraszało ciemność, a naturalnej latarni księżycy planeta nie miała. Może to i lepiej, naszym nerwom zaoszczędzono kolejnej próby wytrzymałości.

Baza ucierpiała mniej, niż przypuszczałem. Niemal wszystkie budynki wyglądały na całe – przynajmniej na hologramie, a na ogromnym lądowisku widać było jedynie dwa niewielkie leje po eksplozjach.

– Bazę zdobyły oddziały desantowe Shorreya – wyjaśniła księżniczka, jakby zgadując moje myśli. – Możliwe, że większość maszyn jest w porządku.

– Zostawili ochronę?

– Powinny być ze dwie, trzy osoby – odparła niepewnie księżniczka. – Pożycz mi jeden miecz, Siergiej. Lepiej wychodzi ci walka na pistolety.

Przełknąłem obraźliwą uwagę i skinąłem głową. W końcu miecz wziętem do ręki zaledwie dwa dni temu.

Flaer dotknął równej jak stół powierzchni lądowiska i potoczył się płynnie, wytracając prędkość. Skrzydła rozwinęły się pod kątem prostym, działając jak aerodynamiczny hamulec. Na monitorze autopilota pojawił się napis: Koniec programu.

Uniosłem się w fotelu, odpiąłem prawy miecz i podałem księżniczce.

– Na tym mieczu przycisk ostrzenia umieszczony jest niestandardowo, na boku rękojeści – uprzedziłem. – Weź to pod uwagę, księżniczko.

– Dobrze. Siergiej, a może warto użyć tego samego flaera? Wytrzymał start awaryjny i nie ma żadnych uszkodzeń. Szukanie nowej sprawnej maszyny to zbędne ryzyko.

– Co rozwija większą prędkość, flaer czy kuter bojowy? Mam na myśli normalny lot, z włączonym silnikiem.

– Oczywiście kuter.

– Czyli potrzebny nam właśnie kuter. Poza tym we flaerze nie ma paliwa.

Księżniczka skinęła niechętnie głową, jakby nie całkiem zgadzając się moimi argumentami. Potem się uśmiechnęła.

– Masz rację. W kutrze jest kompensator przeciążeń, start będzie łatwiejszy. A granica pola naturalizującego znajduje się kilometr stąd.

Flaer przystanął. Otworzyłem luk, wyszedłem na zewnątrz. Światło z kabiny rozjaśniało

ciemność w promieniu sześciu metrów. Musiałem zaufać słuchowi.

Cisza.

Słaby podmuch wiatru, szelesty w kabinie fliera.

– Wszystko w porządku – powiedziałem pewnym siebie tonem.

Księżniczka wyszła.

– Szukałam zestawu awaryjnego, tam powinny być latarki, ale... Siergiej!

Uskoczyłem w bok, wyciągając jednocześnie miecz. Cholera jasna, jeszcze trochę, a wyrobię sobie automatyczną reakcję na każdy ostry dźwięk. I pewnie uratuje mi to życie, tak samo jak teraz.

W miejscu, w którym przed chwilą stałem, błysnęło ostrze płaszczyznowego miecza. W płomieniu ostrzenia dostrzegłem niewysoką postać przeciwnika. Skoczył do nowego ataku.

– Uciekaj, księżniczko! – krzyknąłem, przyjmując pozycję obronną. Nie było czasu na wyjmowanie pistoletu. – Uciekaj!

Napastnik znieruchomiał, odwrócił się do księżniczki, która zamiast uciekać, wyjmowała miecz, i wykrzyknął stropiony:

– Księżniczka?!

Dziewczyna wyprostowała się, wsunęła miecz z powrotem do pochwy i zimno powiedziała:

– Tak. Może trudno mnie poznać po przeżyciach startu awaryjnego, ale to ja.

Rzucony na ziemię miecz żałośnie brzęknął. Mężczyzna padł na kolana jak podcięty i powiedział łamiącym się głosem:

– Mój miecz, moja krew, mój honor u twoich nóg, księżniczko. Nie wypuszczając broni, podszedłem bliżej. Wyglądało na to, że z walki nici.

– Kim jesteś? – Głos księżniczki nadal był wyniosły i władczy.

– Lans Dari, kadet drugiej szkoły lotniczej – odparł młodzieniec z odcieniem dumy. Mógł mieć z siedemnaście lat.

– Pochodzisz ze znakomitego rodu – powiedziała w zadumie księżniczka. – Powinieneś więc wiedzieć, jaka jest kara za atak na członka rodziny imperialskiej. Nawet nieumyślny...

– Śmierć – powiedział twardo młodzieniec. – Wiem i...

– Na szczęście nie napadłeś na mnie, lecz na lorda z planety Ziemia. Jest moim narzeczonym, ale jeszcze nie zdążył zostać mężem. Twoje życie jest w jego rękach.

Młodzieniec wstał z kolan i podszedł do mnie. Zwracając się do ziemskiego lorda, przedstawiciel znakomitego rodu wyraźnie nabrał śmiałości, ale jego głos nadal był pełen szacunku i pokory.

– Moja krew należy do ciebie, lordzie. Jestem winien i przyznaję to.

Przyglądałem mu się z zaciekawieniem. Nie miał ochronnego kombinezonu, tylko przylegający strój z czarnej skóry z jakimiś naszywkami. Włosy przewiązał wąską białą taśmą,

haftowaną miodową i czerwoną nicią. Od przypuszczalnego wieku można było spokojnie odjąć rok. Dzieciak. Ale dumny. Mnie dał tylko prawo decydowania o swoim życiu. Miecz i honor zostawił księżniczce.

Uśmiechnąłem się i dotknąłem jego ramienia.

– Swoją krew zostaw sobie. Miecz podnieś, jeszcze będzie służył księżniczce. A twój honor, jak sądzę, zawsze jest z tobą.

Księżniczka popatrzyła na mnie ze zdumieniem i aprobatą. Pewnie moja wyszukana odpowiedź doskonale wpisywała się w zasady etykiety.

Młodzieniec skinął głową, jakby zgadzając się z moimi słowami, i rzekł:

– Po imperatorze i księżniczce mój miecz gotów jest walczyć o ciebie.

– Miecz niewiele jest wart bez pewnych i twardych rąk – powiedziała w zadumie księżniczka. – Czemu nie wspomniałeś o swoim ojcu?

– Pułkownik Dari zginął, broniąc bazy.

Wydawało mi się, że w oczach chłopaka błysnęły łzy, ale głos mu nie drgnął.

– Z honorem przeżył swoją drogę. Czy w bazie są żołnierze Shorreya?

– Już nie. Było pięciu szeregowców i jeden oficer.

– Gdzie są teraz?

– Na dnie przepaści.

– Sam ich zabiłeś?

– Tak. Trzech w uczciwym pojedynku, trzech z zasadzki. Nie zasłużyli nawet na taką śmierć.

– Jak udało ci się przeżyć atak na bazę? – kontynuowała przesłuchanie księżniczka.

– Siedziałem w areszcie. Nie znaleźli mnie, wyszedłem dopiero następnego dnia – odpowiedział z goryczą Lans.

– Za co zostałeś aresztowany?

– Za pojedynek.

Poczułem dziwną mieszaninę szacunku i zawiści. Ten pochodzący ze starego rodu chłopiec władał mieczem znacznie lepiej ode mnie. Cóż, nie było to dziwne, ale upokarzające.

– Lans, musimy wytoczyć kuter na start awaryjny. Czy na lądowisku są sprawne maszyny?

– Obok startu awaryjnego stoi kuter gyarskich gwardzistów. Działa, ale nie zaryzykuję lotu.

Nie mam doświadczenia ze startem awaryjnym.

Popatrzyliśmy na siebie z księżniczką rozbawieni.

– Niewiele osób ma takie doświadczenie – skinęła głową księżniczka. – Ale nie będzie potrzebne. Mamy program autopilota.

Lans pokręcił głową.

– Księżniczko, program nic nam nie da. Ich autopiloty mają inny kod, chociaż samo sterowanie jest podobne.

– W takim razie potrzebny nam kuter naszej armii.

– Sprawne kutry są tylko na trzecim i czwartym pasie startowym. – Lans popatrzył na mnie z powątpiewaniem. – A we dwóch dociągniemy go do startu awaryjnego najwcześniej za czterdzieści minut.

– We trójkę – sprostowała księżniczka.

– W takim razie za trzydzieści.

– W porządku. Nawet jeśli generator pola został wyłączony od razu po zjawieniu się lorda, pole przestanie działać dopiero po godzinie. Mamy czas.

Lans skinął głową.

– Dobrze, księżniczko. Chodźmy po kuter.

Chłopak szedł pierwszy, wskazując drogę, za nim księżniczka, ja wlokłem się ostatni. Coś we mnie protestowało przeciwko takiemu rozwiązaniu. Wolałem zaufać zdolnościom Lansa niż pół kilometra pchać ogromny, ciężki dysk. Może w ten sposób odreagowałem niechęć do chłopca, przy którym księżniczka znowu stała się władczą córką imperatora? A może to zwykłe lenistwo?

Wzmacniacze mięśni w kombinezonach pomagały nie na długo. Sto metrów pchaliśmy kuter razem z księżniczką bez najmniejszego wysiłku. Gdy rozładowały się baterie, dołączył do nas Lans. Niestety, trudno było uznać tę zamianę za pozytywną. Chłopiec umiał walczyć, ale sił miał niewiele.

Pokonaliśmy ponad połowę drogi, tracąc na to dwadzieścia minut i orientując się jedynie po oświetlonej kabinie naszego flatera. W końcu księżniczka poprosiła:

– Zatrzymajmy się na chwilę i odpocznijmy. Już dłużej nie mogę. – Nie będziemy mieli sił, żeby potem ruszyć kuter z miejsca – wymamrotałem, napierając na gładki metalowy bok. – Łatwiej pchać maszynę już w ruchu, niż na nowo ją rozpędzać.

– Odpocznijmy pięć minut – zaproponował Lans, zerkając na księżniczkę. – W tym czasie baterie w kombinezonach podładują się trochę i będziemy mogli rozpędzić kuter.

Czułem, jak zwiększa się ciężar kutra. Księżniczka przestała pchać, Lans poszedł za jej przykładem. Przez kilka sekund próbowałem sam się szamotać z kilkunetonową maszyną, w końcu dałem spokój. W milczeniu położyłem się na ciepłym betonie. Księżniczka usiadła obok mnie. Lans stał.

– Piękne macie niebo, księżniczko – powiedziałem, patrząc w górę. – Mnóstwo gwiazd.

– Jesteś niezadowolony, że się zatrzymaliśmy, lordzie?

– Gdy się ucieka, nie pora myśleć o odpoczynku. Zresztą ja też jestem zmęczony, księżniczko. Może masz rację.

Lans patrzył na nas wstrząśnięty. Księżniczka rzuciła niedbale w jego stronę:

– Nie zwracaj uwagi na tę drobną rodzinną kłótnię. Lord ma prawo się ze mną spierać.

– Tak jest, księżniczko.

Próbowałem się odprężyć, każdą komórką ciała wchłaniając sekundy odpoczynku. Czyste światło gwiazd i porywy chłodnego wiatru. Ciemna sylwetka kutra i postać opartego o maszynę Lansa. Zmęczony oddech księżniczki i odległy, przeciągły świst...

– Co to za dźwięk, Lans?!

Zerwałem się na równe nogi. Tam, skąd zbliżał się świst, mignęła gwiazda, na sekundę zasłonięta sunącym w powietrzu cieniem. I jeszcze jedna, znacznie bliżej horyzontu.

– To flajer – oznajmił zakłopotany Lans. – Flajer lądujący z wyłączonymi silnikami.

Księżniczka dotknęła mojej ręki i powiedziała drżącym głosem:

– Ktoś zaryzykował i poszedł tą samą drogą co my. Tylko jeden człowiek mógł się porwać na awaryjny start bez przygotowania.

– Shorrey – odparłem bez wahania. – Naturalnie. Niepotrzebnie zaufaliśmy polu neutralizującemu.

Spodziewałem się czegoś takiego. Zbyt łatwo nam szło. Nie można tak po prostu wykraść księżniczki. Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

A tym kimś będę ja.

– Możemy ukryć się w pomieszczeniach bazy – zaproponował Lans. – Znam wszystkie przejścia i kryjówki. Nie znajdą nas.

– Nie znajdzie nas Shorrey, ale za godzinę pole zniknie i żołnierze przeczeszą tu każdy metr.

Księżniczka odwróciła się do mnie i powiedziała cicho:

– Przegraliśmy, lordzie. Dziękuję, że próbowałeś mi pomóc.

– Dlaczego przegraliśmy? – Poczułem, jak ogarnia mnie wściekłość. – We flajerze nie może być wielu żołnierzy! Przyjmiemy walkę!

– Tam w ogóle nie będzie żołnierzy – wyjaśniła łagodnie księżniczka. – Shorrey przyleciał sam. Ale ani ty, ani Lans, ani my we trójkę ani nawet pluton najlepszych żołnierzy planety nie zdoła go pokonać.

– Dlaczego?

– To największy szermierz we wszechświecie – powiedziała po prostu. – Niektórzy uważają, że – spróbowała się uśmiechnąć – nie do końca jest człowiekiem. Shorrey to łajdak i kanalia, ale najlepszy miecz świata.

Lans patrzył na nas. Odwróciłem się do chłopca.

– I co ty na to, kursancie Lansie Dari?

Chłopiec powiedział z uporem:

– Moja krew, mój miecz, mój honor należą do was.

Znowu spojrzałem na księżniczkę. Przyciągnąłem ją do siebie, zajrzałem w niebieskie jak ziemskie niebo oczy. Ten kawałek ziemskiego nieba będzie przy mnie pośród tej obcej nocy.

– Pamiętasz, co powiedziałem ci w pałacu? – zapytałem i usłyszałem w moim głosie zdradziecką, pożegnalną czułość. – Warto umrzeć za miłość, księżniczko. Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Dziesięć metrów od nas rozległ się łoskot. Shorrey nie miał zamiaru tracić czasu na długie wytracanie szybkości na gładkim lądowisku. Zmusił swoją maszynę do złożenia skrzydeł i spadł obok nas.

Odsunąłem się od księżniczki. Widziałem, jak skrzydła-amortyzatory miażdży ciężar flaera, jak otwiera się luk, jak wyskakuje na beton wysoki barczysty mężczyzna ubrany w biały, lekko błyszczący kombinezon. Do diabła, do tego jeszcze pozer! Miecz w czerwonej pochwie, półtora raza dłuższy od zwykłego, długie jasne włosy rozrzucone w artystycznym nieładzie, twardy krok... Hollywoodzki reżyser zaprzedałby duszę diabłu, żeby tylko dostać tego człowieka do następnego filmu akcji. I zrobiłby dobry interes.

Shorrey był coraz bliżej. Zrobiłem krok w jego stronę, ale on jakby mnie nie widział. Odezwał się, a jego głos, który słyszałem już przez radio, pasował do postaci. Łagodny, ale silny, niemal hipnotyzujący...

– Cieszę się, że was tu zastałem. Nie warto przenosić naszej małej sprzeczki na teren Świątyni. Jak rozumiem, właśnie tam zdążaliście, księżniczko?

Milczała. Odpowiedziałem ja, daremnie usiłując nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie:

– Nie próbuj nas powstrzymać, Shorrey. Nie uda ci się.

Popatrzył na mnie po raz pierwszy i uśmiechnął się pobłażliwie.

– A więc to ty jesteś ziemskim lordem... Co za towarzystwo:

moja przyszła żona, zarozumiały dzikus i wystraszony chłopiec. Właśnie, mały może odejść. Nie lubię zabijać dzieci. Lans skoczył do przodu i krzyknął z nienawiścią:

– Obraziłeś mnie! Twój żołnierz zabił mojego ojca! Groziłeś imperatorowi i księżniczce! Wyzywam cię na pojedynek!

Powinienem był go powstrzymać, ale nie zdążyłem. Ruszył już na Shorreya z mieczem w rękę. Shorrey tylko wzruszył ramionami.

– Każdy sam wybiera swoją drogę, chłopcze...

Wyciągnął miecz tak szybko, że nawet nie zdążyłem dostrzec ruchu. Błysnęło światło pola ostrzącego. Lans zadał cios – wspaniały, śmiertelny cios w odsłonięte nogi Shorreya... i krzyknął z bólu.

Nigdy więcej nie chciałbym oglądać czegoś takiego. Teraz ja miałem ochotę krzyknąć, że tak nie należy zabijać. Nawet poza dobrem i złem istnieją pewne granice, których nie wolno przekraczać.

Shorrey nie uchylił się ani nie sparował ciosu. Niewiarygodnie szybkim ruchem zaatakował

sam – i odciął Lansowi dłoń. Miecz, którego rękojeść nadal ścisnęły smukłe chłopięce palce, upadł na beton. A Shorrey dalej ciął po rękach, każdym uderzeniem odcinając kilka centymetrów żywego ciała. Jego miecz wirował jak ostrze w tokarce, skracając ręce chłopca aż do ramion. Beton pokrył się rozbryzgami krwi, które szybko przemieniły się w ciemne kałuże. Lans upadł. Był martwy. Zabił go ból, znacznie przewyższający wszystko, co może znieść człowiek.

Shorrey włączył ostrzenie miecza i wsunął broń do pochwy.

– Wybrał swoją drogę i umarł z czystym sumieniem – powiedział w zadumie. – Nie każdemu dana jest taka śmierć.

Milczeliśmy. Twarz księżniczki była biała jak kreda; aż dziw, że dziewczyna jeszcze trzymała się na nogach.

– Powinnaś się odwrócić, księżniczko – powiedział łagodnie Shorrey. – Dlaczego chcesz oglądać takie sceny? Jeszcze widać po tobie awaryjny start.

Shorreyowi przeciężenia najwyraźniej nie zaszkodziły. Wyjąłem płaszczyznowy dysk i wyszeptalem:

– Umrzesz. Musisz umrzeć...

Potem cisnąłem niezawodny pocisk w Shorreya. Shorrey machnął ręką, jakby odganiał natrętą muchę, i zauważyłem, że jego palce zaciskają się na dysku.

– Potworna, barbarzyńska broń – rzekł ze smutkiem. – Rok temu kazałem stracić trzech uczonych, którzy wymyślili coś podobnego. Nie wolno sprowadzać sztuki władania bronią do chytrych rzutów zza węgła. Ale ty wprowadziłeś ją do użytku i na tym polega twoja wina. Usprawiedliwia cię tylko to, że jesteś mądry i śmiały.

Płaszczyznowy dysk wbił się w burtę kutra.

– Zabiję cię uczciwie, mieczem – ciągnął Shorrey. – Księżniczko, jesteś świadkiem, że przestrzegam reguł pojedynku. W odróżnieniu od lorda.

Szedł niespiesznie w moją stronę. A mnie nogi same niosły do tyłu.

– Pojedynku nie będzie – powiedziałem, wyjmując pistolet. – Będzie egzekucja. Zasłużyłeś na nią.

Pistolet zareagował na naciśnięcie spustu i wystrzelił serię miniaturowych dysków, cały magazynek. Rój dwudziestu czterech małych śmierci...

Postać Shorreya rozmazała się, straciła zarysy. Jakby taśmę z nagraniem szybkiej muzyki puszczono w podwójnym albo potrójnym przyspieszeniu. Wydawało rai się, że dyski znalazły swój cel, że to, co oglądam, to agonía, drgawki rozrywanego na części ciała. Ale wtedy Shorrey wyprostował się i spokojnie popatrzył na swoje ramię.

– Zraniłeś mnie – powiedział urażony. – Jeden dysk drasnął kombinezon i naderwał mięsień.

– Nie jesteś człowiekiem – wyszeptalem, odrzucając pistolet. – Jesteś maszyną. Robotem bojowym...

– Roboty nie panują nad światami. Jestem człowiekiem, takim jakim powinien być człowiek. Geny składające się na moje ciało zebrano od tysięcy ludzi. Jestem człowiekiem idealnym.

– A ja nienawidzę idealnych ludzi – powiedziałem i przystanąłem. Cofanie się nie miało sensu. Znowu zabolalo mnie ramię. Śmieszne... trafiłem Shorreya w to samo miejsce.

– To niczego nie zmienia. Wyjmij swój miecz, lordzie z planety, której nie ma.

Jak zahipnotyzowany wyciągnąłem broń. Bezsensowne słowa Shorreya ukłuły świadomość i znikły. Przegrałem...

– Każdego czeka własny koniec – rozmyślał głośno Shorrey, podchodząc do mnie. – Twoja śmierć będzie piękna i pozbawiona męczarni. O tym pojedynku dowiedzą się miliony i przyznają mi słuszność. Jeszcze zanim się pojawiłeś, wiedziałem, jak umrzesz.

O wszystkim trzeba decydować wcześniej. Broń się, lordzie.

Nasze miecze się skrzyżowały. Walczyłem jak automat, mechanicznie powtarzając obronne chwyt z kursu. Miecz w rękach Shorreya tańczył, ledwie dotykając mojego ostrza. Dopiero po minucie zrozumiałem, co on robi.

Odrąbuje mój miecz centymetr po centymetrze. Skraca go. Zamienia w ostrugany ogryzek.

W bezsilnej wściekłości przypuściłem atak – skomplikowany zestaw ciosów z siódmego poziomu kursu. Mój miecz skrócił się do połowy.

Shorrey skinął głową.

– Umiesz więcej, niż przypuszczałem. Mógłbyś stać się interesującym przeciwnikiem... z czasem. Cóż, przestrzegalem reguł pojedynku. Pora...

– Stój! – Ledwie poznałem głos księżniczki. – Stój, Shorrey! Zasady pojedynku wymagają, by silniejszy zadał ostatnie pytanie!

– Po co mi teraz zasady, księżniczko?

Głos dziewczyny był wyprany z emocji.

– Czy mój stosunek do ciebie jest ci zupełnie obojętny, Shorrey?

Popatrzył na nią z zadumą i rzekł uprzejmie:

– Dobrze, księżniczko. Zgadzam się. Lordzie z planety Ziemia, przegrałeś pojedynek. Czy zgadzasz się zrezygnować ze swoich praw i spędzić resztę życia na wygnaniu, na swojej planecie, bez prawa opuszczania jej?

Zobaczyłem, że wargi księżniczki drgnęły. Wyszeptała coś, a ja zrozumiałem: „Zgódź się”.

Shorrey czekał, patrząc na mnie z ciekawością. Nie spieszył się. Mógł sobie na wiele pozwolić, na przykład na łaskę dla pokonanego przeciwnika. Miał w rękach wszystkie karty, a ja...

Po ciele przebiegł mi zimny dreszcz. To ja miałem ostatni atut. Broń Siewców. Kryształowe cylindry w kieszeni kombinezonu.

– Shorrey, pamiętasz, co powiedziałem twoim patrolom, wdzierając się do pałacu?

– Ja niczego nie zapominam, marionetkowy lordzie. Powiedziałeś, że musisz dostarczyć broń Siewców.

Niespiesznie, starając się, by ruch nie wyglądał groźnie, wyjąłem z kieszeni kryształowy cylinderek. Zacisnąłem go w palcach i powiedziałem, starannie wymawiając każde słowo:

– Nie kłamałem, Shorrey. Mam w ręku broń. Wypuść mnie i księżniczkę albo umrzesz.

Jego spojrzenie, baczne, niemal fizycznie odczuwalne, zatrzymało się na cienkim kryształowym ołówku. Przez chwilę jego twarz była napięta, potem rozluźnił się.

– Blefujesz, lordzie – powiedział wzgardliwie. – Broń Siewców odeszła razem z nimi. To, co zostało, nie mogło trafić do rąk dzikusia. Słyszałeś moją propozycję. Odpowiedz.

Popatrzyłem na księżniczkę. Zdaniem Ernada broń Siewców może zniszczyć miasto albo planetę. Czy dziewczyna, stojąca dziesięć metrów od nas, ocaleje? Czy mam prawo narażać ją na śmiertelne ryzyko?

Księżniczka zaczęła ostrożnie wysuwać miecz z pochwy. Leciutko skinęła głową. Myśli, że gram na czas i chce zaatakować Shorreya od tyłu!

Warto umrzeć za miłość.

– Nie zrezygnuję ze swoich praw, Shorrey.

Zacisnąłem palce, próbując przełamać cienki cylinderek. Nie mogłem. To było jak usiłowanie złamania stalowego pręta.

– Więc umrzyj, dzikusie.

Nadal ściskając w palcach niepokorną rurkę, drugą ręką podniosłem odłamek miecza w rozpaczliwej próbie obrony. Shorrey zaczął atak. Piękny, wyliczony co do milimetra cios, wyraźnie bez wysiłku i pośpiechu. Tak żeby nie zdążył już nic zrobić, ale żeby mógł w całej pełni odczuć bezsilny strach przed spadającą klingą. Pamiętałem ten cios – jeden z najbardziej skutecznych, choć niebezpiecznych dla wykonawcy chwytów najwyższego stopnia trudności. Cios wbijający się w serce, które nie zdoła zatrzymać się na tyle sekund, żeby zdążyły się zrosnąć przecięte płaszczyznowym mieczem tkanki. Uderzenie godne mistrza... Miecz Shorreya zakreślił krótki łuk i ściął żałosne resztki mojego ostrza aż po gardę. Zmierzał do mojej piersi. Zobaczyłem, jak wąskie ostrze dotyka kombinezonu...

I w tym momencie kryształowy cylinderek złamał się – lekko, niczym zwykły ołówek. Broń Siewców sama decydowała, kiedy zadziałać...

Zapadła noc.

4. Porwanie księżniczki.

Replay

To przypominało skok przez hiperprzestrzeń, ale bez feerii barw, bez upajającej lekkości, bez niezrozumiałej euforii. Przeciwnie. Świadomość zanurzyła się we mgle. Nie mogłem myśleć ani się dziwić, a obcy, pozbawiony emocji głos rozlegający się na dnie mojej świadomości nie budził najmniejszej reakcji.

Aktywizowano granat temporalny. Jesteście bezpieczni.

Leciałem przez ciemność. W otaczającej mnie ciszy i spokoju nie było najmniejszego ruchu. Nie czułem swojego ciała, tylko szybki upadek. Temporalny granat... więc tak nazywa się kryształowy cylinderek. Interesujące.

Użycie uzasadnione, niebezpieczeństwo pierwszego stopnia. Zaleca się powrót do trzeciego momentu węzłowego.

Jaka zabawna broń, potrafi dawać dobre rady. Cóż, ona wie lepiej. Siewcy umieli walczyć.

Decyzja została podjęta.

Ciemność znikła. Znowu byłem sobą... i stałem przed otwartym podziemnym hangarem obok Ernada.

Purpurowe słońce schodziło za horyzont. Niebo było czarne jak roztopiona smoła. Czerwone odbłyски igrały na przezroczystym korpucie fliera i szarym pancerzu kutra bojowego.

– Na pustyni często bywają burze piaskowe – rzekł Ernado. – Ale tutaj wiatr dotrze nieprędko.

Świadomość pracowała z taką ostrością jak nigdy dotąd. Pamiętałem wszystko, co wydarzyło się do momentu, gdy temporalny granat Siewców odrzucił mnie w przeszłość. A Ernado nie pamiętał niczego. Dla niego, księżniczki, Shorreya, Lansa i wszystkich ludzi znajdujących się na tej planecie – a może w całym wszechświecie? – nic się jeszcze nie wydarzyło. Ernado nie osłaniał mojego przedarcia się do pałacu, gwardziści nie padali od wystrzałów pistoletu, księżniczka nie płakała na moim ramieniu, kadet Lans nie umarł straszną śmiercią. A klinga Shorreya nie dotknęła mojej piersi, by przebić serce.

Broń, która nie zabija. Ostatni atut, możliwość ponownego rozegrania przegranego pojedynku. Kryształowy ołówek, który wykreśla wszystkie błędy.

– Jeśli trafią flier i zapali się paliwo, usmażę się.

To był mój głos. Powiedziałem te same słowa, co za pierwszym razem. Wargi poruszały się pomimo mojej woli.

Poczułem przerażenie. Czy jestem skazany na powtórzenie drogi, którą już przeszedłem? Czy muszę mówić i robić tylko to, co wtedy?

Ernado podał mi dyski z programami. Wziąłem je, wsunąłem do kieszeni... i spróbowałem powstrzymać opadającą rękę.

Początkowo było to trudne. Jakbym rozciągał sprężystą gumę, która spowiła moje ciało, jakbym szedł przez galaretę. Potem napięcie znikło i znowu miałem władzę nad swoim ciałem.

Dotknąłem kieszeni kombinezonu, w której leżały temporalne granaty, i wymacałem tylko jeden cylinderek. Słusznie, tak właśnie powinno być.

– Startujemy? Musisz dotrzeć do pałacu, zanim zapadnie ciemność.

W milczeniu podałem mu rękę. Absolutnie odruchowo, bez jakiegokolwiek wysiłku. Ale już się nie bałem, wiedziałem, że w każdej chwili mogę podporządkować ciało własnej woli, wyrwać się ze strumienia wydarzeń, które już się rozegrały. Zastanowiłem się, dlaczego Siewcy przewidzieli taką fatalistyczną pułapkę, dziwnego autopilota, skoro wyjście spod jego wpływu wymaga tylko trochę wysiłku... Odpowiedź była oczywista. Fatalizm pozwalał zachować w niezmiętej postaci wszystkie udane działania, nawet słowa i gesty, które sprawiły, że Ernado zmienił decyzję i nie wycofał się na orbitę, a kończąc na celnych strzałach do atakujących gwardzistów. Czuję się we własnym ciele jak obserwator, który może przejąć stery wtedy, gdy jest to konieczne. Na przykład uciec z bazy, zanim pojawi się tam Shorrey. Albo zdążyć uchylić się przed rzuconym we mnie nożem... Ramię już nie bolało. Wiedziałem, że rana znikła bez śladu w momencie skoku w czasie, ale nieprzyjemne wspomnienie przeżytego bólu pozostało.

Rozważając to wszystko, wsiałem do kabiny fliera i usadowiłem się w fotelu. Usłyszałem głos Ernada:

– Włącz autopilota.

Dotknąłem żółtej płytki i uśmiechnąłem się. Inaczej niż przedtem. Na autopilocie dotrze do celu nie tylko flier, ale również jego pilot. Wygodna rzecz takie temporalne granaty. Dziwne... Tak łatwo zaufałem broni Siewców, tak łatwo ta broń mnie uznała...

– Już lecisz, Serge.

Oczywiście, że lecę. A ty polecisz ze mną, nawet jeśli jeszcze się tego nie domyślasz.

– Jeszcze raz powodzenia lordzie.

Poczułem wstyd. Co za łajdak ze mnie, słowo daję. Ja dostanę się do pałacu, a Ernado zginie w nierównym pojedynku! Muszę go uprzedzić, muszę...

– Jeszcze raz dziękuję, nauczycielu.

Uprzedzić? Ernado jest wystarczająco ostrożny bez moich rad. Mam zabronić mu lecieć do pałacu? Wtedy to ja zginę pod strzałami kutrów patrolowych. Wyjścia nie było. Temporalny granat dawał drugą szansę, ale tylko swojemu właścicielowi. Pozostali uczestnicy zabawy nie byli brani pod uwagę.

Nie było innego wyjścia. Ernado sam wybrał swoją drogę.

Za to kadet Lans nie zginie z ręki Shorreya, a ja i księżniczka dotrzemy do Świątyni

Wszechświata.

Warto umrzeć za miłość. Szkoda tylko, że tymi słowami nie da się uspokoić sumienia.

Autopilot prowadził flajer do pałacu.

Wszystko się powtórzyło. Wydarzenia przewinęły się od nowa, jak epizody w puszczonej ponownie filmie. Kadr po kadrze. I tylko ja znałem z góry cały scenariusz.

Kutry patrolowe, które zbyt długo decydowały, czy mnie zniszczyć, czy nie... I pojawienie się Ernada, który odciągnął je w decydującej chwili.

Ogród rzeźb na dachu pałacu. I dwóch gwardzistów – pierwsze ofiary mojego pistoletu.

Bieg po korytarzu prowadzącym do sali księżniczki. Płaszczynowy dysk rzucony w stronę zagradzających mi drogę żołnierzy Shorreya.

Księżniczka, która poznała mnie nie od razu. I jej prośba, żebym się odwrócił.

Skoncentrowałem się i wyrwałem ze strumienia wydarzeń. Księżniczka musiała zmienić suknię na kombinezon. Ale ja nie zamierzałem obrywać z powodu jest wstydlivosti.

Odwrociłem lekko głowę i obserwowałem ciemne prostokąty okien pomiędzy zasłonami. Odbijały wszystko, co działo się w pokoju. Księżniczkę, która zrzuciła rozciętą suknię. Jej służącą Dilę rozwijającą kombinezon.

Serce tłukło mi się jak szalone. Do diabła, co się ze mną dzieje? Nie jestem dziesięcioletnim chłopcem, który ogląda w szkolnej toalecie rozmazane zdjęcia pornograficzne. Ani siedemnastolatkiem, drżącą ręką rozpinającym dżinsy swojej dziewczyny. Widziałem takie orgie, jakich pozazdrościłaby mi Emmanuelle. Zdarzało się, że zasypiałem w ramionach jednej dziewczyny, a budziłem się w ramionach innej. Miałem tyle kobiet, że nawet nie pamiętam ich imion...

Ale żadnej z nich nie kochałem.

Patrzyłem na nagie ciało okryte przezroczystą mgiełką bielizny, i wiedziałem, że żadnej innej kobiety na świecie nie będę tak pragnął. Chcę pojąć księżniczkę. Chcę dotykać jej ciała przez delikatny pancerz kombinezonu. Chcę poczuć jej pieszczoty i ofiarować jej swoje.

I zabić Shorreya, który śmiał pragnąć tego samego.

Tajne drzwi w ścianie otworzyły się, a ja omal znów nie przegapiłem tego momentu. Zacząłem uchylać się przed rzuconym nożem zaledwie odrobinę szybciej niż za pierwszym razem. Niezły początek.

– Lordzie!

Ostrze kindżału musnęło ramię, rozpruwając kombinezon i zostawiając na ciele krwawiący ślad. Lepiej niż poprzednio, ale mimo wszystko...

Poczułem złość. Nie po to aktywizowałem temporalny granat, nie po to znowu wysłałem Ernada na śmierć, żeby uwierzyć w przeznaczenie!

– Macie! – krzyknąłem, strzelając do gwardzistów.

I znowu pięciu gwardzistów przeżyło. Znowu zastrzeliłem jednego z nich, a w pistolecie skończyły się pociski. Znowu, jak poprzednio, cofałem się, z trudem powstrzymując ich napór. Przeznaczenie?

Jeden z gwardzistów odsłonił się, robiąc za duży zamach do zadania ciosu. Poprzednim razem zraniłem go w rękę.

Teraz uderzyłem w serce – tym samym ciosem, którym Shorrey próbował zabić mnie. Klinga weszła w pierś, a na twarzy gwardzisty rozlała się martwa bladość. Miecz wyszedł z rany i kombinezon zamknął się, zsuwając rozcięcie. Ale gwardzista już padał, nogi się pod nim ugiwały; księżniczka, które podbiegła na pomoc, zaatakowała nie jego, lecz innego żołnierza.

Przeznaczenie znikło.

Kilka sekund później było po wszystkim. Staliśmy z księżniczką naprzeciwko siebie, a pomiędzy nami leżały cztery nieruchome ciała w ukrywających rany kombinezonach.

– Doskonale władasz mieczem – powiedziała księżniczka.

– Ty również.

– Mnie uczono tego od dzieciństwa. Ale jak zabiłeś pozostałych?

Wargi poruszyły się same:

– Pistolet strzela płaszczyznowymi dyskami.

Znowu „szedłem” na autopilocie. Zmieniająca się rzeczywistość z uporem próbowała powrócić do pierwotnego stanu. Cóż, nie było w tym nic złego.

Ruszyliśmy do pasów startowych.

Znowu bieg przez ciemny ogród i ochroniarz zabity płaszczyznowym dyskiem. I męczące przeciążenia awaryjnego startu.

Flaer szybował do bazy imperatorskich wojsk lotniczych. Tam gdzie miałem zginąć.

Maszyna zakończyła krótką drogę po ziemi i zatrzymała się. Z tym samym wysiłkiem wyrwałem się z poprzedniego biegu czasu. Długa dyskusja z Lansem była zbędna.

Wyskoczyłem z kabiny i wpatrzyłem się w ciemność. Najmniejszego ruchu. Martwa cisza. Ale wiedziałem, że właśnie podkrada się młody mściciel, który wziął nas za wrogów.

– Lans! – zawołałem głośno. – Lansie Dari! Kadecie!

Księżniczka popatrzyła na mnie zdumiona.

– Czeka tu na nas twój przyjaciel?

– Tak. Przyszły. Lans!

Z ciemności wyłoniła się sylwetka młodzieńca. Patrzył na nas z napięciem.

– Jestem lordem z planety Ziemia – powiedziałem, nie pozwalając chłopcu ochłonąć – pięć

lat temu zaręczonym z księżniczką.

Lans popatrzył na księżniczkę.

– Księżniczko... uratowałaś się? – powiedział niepewnie.

– Nie do końca – padła lakoniczna odpowiedź. – Jesteś synem pułkownika Dari?

Lans krótko skinął głową w geście pełnym szacunku i dumy jednocześnie.

– Tak. Poległ za imperatora.

Następne zdanie... wiedziałem, jakie będzie.

– Mój miecz, moja krew, mój honor są twoje, księżniczko. Było w tym coś śmiesznego i wstydliwego. Powtórzone w innych warunkach zdanie straciło cały swój blask, stawało się śmieszne i pompatyczne... Skarciłem się w myślach. Ten chłopiec, powtarzający ceremonialną formułkę wierności, nie bał się iść na pewną śmierć.

– Księżniczko, nie mamy czasu – przerwałem gwałtownie. – Shorrey dogoni nas za kilka minut.

– W jaki sposób?

– Wykorzysta start awaryjny... Lans, potrafisz sterować kutrem stojącym na awaryjnym starcie? Mam program autopilota, ale nie jest przeznaczony do zdobyczej maszyny.

– Skąd wiesz o kutrze ochroniarzy? – głos Lansa zdradzał napięcie.

– Lans, chłopcze – powiedziałem cicho, ale twardo. – Nie wątpię, że przewyższasz mnie urodzeniem i dorównujesz tytułem. Ale mimo wszystko jestem starszy i mogę mieć swoje tajemnice.

Lans skinął głową.

– Proszę o wybaczenie, lordzie. Nie podejrzewam cię, ale zdumiała mnie twoja wiedza...

– Potrafisz sterować zdobyczym kutrem?

– Uczono nas... – zająknął się Lans – ...ale nigdy nie dokonywałem awaryjnego startu, tym bardziej w polu neutralizującym.

– Będziemy musieli zaryzykować.

– Lordzie, niedaleko stoi sprawny kuter naszej armii, jeśli podciągniemy go tutaj...

– Lans, nie mamy czasu. Będziesz musiał przypomnieć sobie wszystko, czego was uczyli.

Lans zrobił nieokreślony gest.

– W takim razie chodźcie za mną. Na starcie awaryjnym będziemy za dziesięć minut.

Gdy szliśmy za Lansem, księżniczka spytała cicho: – Nie rozumiem, co się tu dzieje, Siergiej. Znałeś tego kursanta wcześniej? Bywałeś w tej bazie?

– Nie – odparłem po chwili wahania.

– W taki razie skąd wiesz o zdobyczym kutrze, o pogoni, w jaki sposób...

– Księżniczko – przerwałem jej delikatnie. – Będziesz musiała mi zaufać. Możliwe, że jestem tylko marionetkowym lordem... z planety, której nie ma.

Księżniczka drgnęła. Przez minutę szliśmy w milczeniu, wreszcie powiedziała:

– Lordzie, wcale nie uważam cię za marionetkę. To słowa Shorreya. Ale zaczynam się ciebie bać, prawie tak samo jak Shorreya Manhema.

– Shorrey Manhem to marny aktorzyzna usiłujący grać Supermana – powiedziałem z nagłą złością. – Cała jego zręczność, siła i wytrzymałość nie zastąpią najważniejszej rzeczy.

– A co jest najważniejsze?

– Umiejętność improwizacji. Podejmowania zaskakujących decyzji. On gra rolę, którą sam napisał, ale boi się zmienić w niej choć słowo.

– Jeśli umie się przewidywać wydarzenia na dziesięć ruchów naprzód, nie ma potrzeby improwizacji – zaprotestowała księżniczka.

– Możliwe. Nigdy nie byłem w tym dobry.

– A więc to ty jesteś prawdziwym Supermanem – powiedziała z lekką ironią księżniczka.

Uśmiechnąłem się z przymusem.

– Być może, księżniczko. Według miar naszej planety... Powiesz mi, czemu ją tak dziwnie nazywają?

– Tak. Kiedy już dotrzemy do celu i wyjawisz mi źródło swojej nieoczekiwanej wiedzy. Ja też muszę mieć jakąś tajemnicę.

– Ty sama jesteś tajemnicą, księżniczko – zakpiłem delikatnie. Dziewczyna poprawiła włosy, które wysunęły się spod złotego diademu.

– Oczywiście, lordzie – uśmiechnęła się. – W przeciwnym razie nie byłabym księżniczką.

Lans, który szedł przodem i wyraźnie próbował usłyszeć naszą rozmowę, zatrzymał się.

– Księżniczko, lordzie... jesteśmy na miejscu – oznajmił ponuro. – Oto kuter.

Maszyna nie przypominała kutra Ernada. Była półtora raza większa, w kształcie cygara, a z korpusu wysuwały się skrzydła.

– Model desantowy – wyjaśnił Lans. – Cięższy niż normalny, ale zdolny do szybowania w polu neutralizującym.

Otwierając luk, zawahał się chwilę.

– Księżniczko, nie jestem zbyt dobrym pilotem. Może jednak warto podciągnąć tutaj nasz kuter i startować na autopilocie?

– O tym musi zdecydować lord – odparła niewzruszenie księżniczka.

– Już zdecydowałem.

Lans nie spierał się dłużej. W kabinie – było tu więcej przyrządów niż we flaerze – ustawiono cztery fotele w dwóch rzędach. Lans usiadł w jednym z przednich, ja i księżniczka za nim. Wąski, owalny luk z tyłu prowadził zapewne do przedziału desantowego. Kuter mógł pomieścić ze dwudziestu ludzi...

Lans dotknął kilku klawiszy, włączył przyrządy. Rozbłysnął hologramowy sześcian, niemal

taki sam jak we flaezje. Pochyliłem się do przodu, wpatrzony w kolorowe migotanie. Różowy łuk pola ochronnego, my przy samej jego granicy, miniaturowe kopie pałaców wieńczących Złamany Kieł... Zielony punkt płynący w naszą stronę od rezydencji imperatora.

– To Shorrey – powiedziałem, dotykając ramienia chłopca. – Wykorzystał start awaryjny. Gdybyśmy spróbowali dopchać tu inny kuter, zaskoczyłby nas. Rozumiesz, co by się wtedy stało?

– Zabiłby cię, lordzie. I mnie również. Księżniczkę zabrałby do pałacu.

– Dokładnie tak. Pamiętaj, los księżniczki jest teraz w twoich rękach. A to znaczy, że również los całej planety. Jeśli zdołamy wydostać się poza granice pola, Shorrey nas nie dogoni. Przegra i będzie musiał ze wstydem wynieść się do swoich włości. Jeśli zaś zginiemy, Shorrey stanie się pośmiertnym mężem księżniczki. Rozumiesz?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, lordzie. – Wydawało mi się, że po raz pierwszy w tej rzeczywistości w słowach Lansa zabrakło nutki pogardy.

– Wobec tego zaczynajmy. – Usadowiłem się wygodnie w fotelu i wyjąłem z kieszeni ostatni granat temporalny. Jeśli chłopiec nie poradzi sobie ze sterowaniem, złamię kryształowy cylinderek.

Pod warunkiem że zdążę.

5. Świątynia

Nie musieliśmy pchać kutra, już stał na pochyłym pasie startu awaryjnego. Lans jedynie zwolnił hamulce, a raczej to urządzenie, które utrzymywało desantowy kuter na pochyłości.

– Znowu przeciążenia – powiedziałem bezradnie, gdy maszyna nabierała rozpędu.

Księżniczka pokręciła głową.

– Nie, lordzie. Przeciężenia powyżej półtorej jednostki zneutralizuje kompensator grawitacyjny.

Z powątpiewaniem wzruszyłem ramionami. Przy słowie „kompensator grawitacyjny” wyobraziłem sobie sprężyny i cylindry hydrauliczne w podstawach foteli. Z podobnymi urządzeniami sporo eksperymentowano na Ziemi, ale na razie działały jedynie w powieściach Juliusza Verne’a i jego kontynuatorów.

Księżniczka wyczuła mój sceptycyzm.

– Spójrz na sufit, Siergiej. Widzisz czarną kulę?

Na środku sufitu zamontowano niezrozumiałe urządzenie: cienki pierścień błękitnego metalu obejmujący czarną kulę wielkości piłki futbolowej. Chociaż kula była do połowy wsunięta w sufit, nie było widać najmniejszej szczeliny.

– Obserwuj ją, kiedy zaczniemy się rozpędzać. Kula się zmniejszy, wciągając grawitację, a potem rozszerzy, oddając ją z powrotem. Wielkość grawitacji oddziałująca na kuter pozostanie bez zmian, ale przeciążenia jakby rozciągną się w czasie, dzięki czemu będą niższe.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na sześcian hologramu. Kuter zbliżał się do zjazdu. Do tej pory Lans prowadził go równo, ale czy poradzi sobie na skoczni?

– Jeśli ta kulka działa, uznam ją za genialny wynalazek. To osiągnięcie waszej planety?

– Nie – odpowiedziała oschle księżniczka. – Nie zajmujemy się grawitacją. Ta, jak ją nazywasz, kulka to jedno z niewielu zrozumiałych urządzeń Siewców. Była taka zaginiona cywilizacja...

Znowu Siewcy! Zdobyli władzę nad czasem, pokonali grawitację... i zginęli? W bratobójczych walkach? Zbyt prymitywnie. Niczym opowiadka historyczna z morałem: „Będziesz za dużo walczył, zginiesz jak Siewcy...”

Kuter sunął w dół. Poczułem, jak wbija mi powietrze w płuca; grawikompensator nie miał zamiaru walczyć z nieważkością. Pewnie nie uważał tego za konieczne. Lans pochylił się do przodu, niemal rozplaszczając się na przednim ekranie. Ręce leżały na panelu sterowniczym jak przyklejone. Łuk skoczni wypełnił ekran...

Przeciężenia wcisnęły nas w fotele łagodną falą. Rzeczywiście, półtora g, nie więcej niż w rozpędzającym się samochodzie... patrzyłem na grawikompensator, płynnie zmniejszający się do rozmiarów dużego jabłka. Po czarnej powierzchni pływały białe iskierek wyładowań.

– No dalej, dalej, Lans... – wyszeptała księżniczka. Chłopiec chyba jej nie słyszał.

Kuter mknął po skoczni. Wyskoczył z pasa i od razu pochylił się dziobem do przodu. Z lekkim trzaskiem rozwinęły się skrzydła, ale nie spowodowało to wyraźnych zmian. Kuter leciał jak topór, wprawdzie puszczony silną, wprawną ręką, lecz mimo wszystko beznadziejnie ciężki. A grawikompensator się rozszerzał, sprawnie wyrzucając na nas półtora g, jakby chcąc pozbawić nas najmniejszego wrażenia lotu.

Spadaliśmy. Spadaliśmy na morderczo strome zbocza, na bezlitośnie sterczące w niebo skały. Ciekawe, czy grawikompensator może wytlumić prędkość upadku? Przemienić go w coś długiego, nieprzyjemnego, ale nie śmiertelnego? Nie miałem ochoty eksperymentować. Ścisnąłem w dłoni granat temporalny. Gdy do skał zostanie dziesięć metrów...

Na pulpicie rozbłysły kolorowe światelka. Zaświecił wyłączony do tej pory ekran. A gdzieś pod nami, w część „rufowej”, pojawił się cienki, świszczący dźwięk.

Nie poczuliśmy żadnego pchnięcia, półtora g nadal wciskało nas w fotele. Ale grawikompensator znowu się kurczył, a skały oddalały się szybko. Silniki zadziały. Wznosiliśmy się. Pole neutralizujące zostało za nami. Teraz niech sobie Shorrey z nim walczy.

– Dziękuję, Lansie Dari – powiedziała miękko księżniczka. – Jesteś wspaniałym pilotem, zapamiętam to.

Chłopiec odwrócił się do nas i po chwili wahania powiedział ze smutkiem:

– Jestem marnym pilotem, księżniczko. Zrobiłem dwa albo trzy błędy, które powinny były nas zabić. Ale kuter zablokował ręczne sterowanie i uratował nas. Prawdopodobnie w jego autopilocie umieszczono program startu awaryjnego.

Wzdrygnąłem się. Więc wychodziło na to, że wszystkie nasze wysiłki w poprzedniej rzeczywistości były daremne? Traciliśmy czas, pchając ciężki kuter przez całą bazę, a na starcie czekała na nas mądra, sprawna maszyna. I Lans zginął tylko dlatego, że słabo znał obcą technikę...

– Będę musiała cię ukarać – powiedziała księżniczka znajomym, surowym tonem.

– Rozumiem.

– No cóż... Myślę, że w zupełności wystarczy miesiąc... zajęć pilotażu z najlepszymi instruktorami planety. Oczywiście, po odniesieniu zwycięstwa.

Lans skinął głową z poważną miną.

– Tak jest, księżniczko.

– Lans, zawiniłeś również wobec mnie – wtrąciłem się. – Dlatego kara zostanie wzmocniona moim osobistym nadzorem w ciągu całego miesiąca.

Lans skinął głową, przetrawiając to, co usłyszał. Księżniczka nie wytrzymała i roześmiała się, jakby wyobrażając sobie tę niezwykłą karę – marzenie każdego nastolatka na jej planecie, i jak się okazało, również ziemskiego dzikusa, jej przyszłego męża. Po chwili śmialiśmy się już

wszyscy – trójka szczęściarzy lecących na spotkanie nieznaną przyszłości.

Lot trwał trzy godziny. Zdaniem Lansa, można by było osiągnąć większą prędkość po wyjściu w stratosferę, ale tam mogły nas dostrzec i zestrzelić orbitalne patrole Shorreya. Dopóki szliśmy lotem koszącym, nad skałami, zarejestrowanie nas było prawie niemożliwe.

Księżniczka spała albo udawała, że śpi. Lans całkowicie skoncentrował się na sterowaniu kutrem. A ja drzemałem, od czasu do czasu otwierając oczy i zerkając na sześcian hologramu. Pod kutrem ciągnęła się smętna okolica – skaliste, pozbawione drzew góry, wąskie doliny przypominające koryta wyschniętych rzek. Potem zaczęła się pagórkowata równina z rzadkimi plamkami płytkich i pewnie słonych jezior.

Byłem zbyt zmęczony, żeby zastanawiać się nad dalszymi działaniami. Zresztą naprawdę nie jestem mocny w planowaniu. Niech się tym zajmuje Shorrey – człowiek idealny, produkt idiotycznego eksperymentu genetycznego. Nie sądzę, żeby zdołał znaleźć rozwiązanie. Księżniczka i Ernado byli zbyt pewni, że zawartego w Świątyni małżeństwa nie można zakwestionować.

Patrzyłem na śpiącą dziewczynę. Księżniczka. Dziewczynka z moich marzeń, która rozkochała mnie w sobie i ściągnęła na odległą planetę, należącą do jej ojca, mojego przyszłego teścia... Na usta wypełzył mi krzywy uśmiech. *Mój teść imperator...* Doskonały tytuł przyszłych pamiętników. Albo nie! Skoro jest teść, to w domyśle mamy też teściową. *Moja teściowa imperatorów a.* Stustronicowa książeczka w miękkiej okładce z półnagimi ślicznotkami i płonącymi gwiazdolotami. Aha, przy pasie ślicznotki musi wisieć płaszczyznowy miecz bez pochwy. Wydana przez prywatne wydawnictwo o pretensjonalnej nazwie Renesans czy Smok Gorynicz jako fantastyka, co zapewnia zbyt dowolnym bredniom. Przestałem się uśmiechać.

Do diabła, ja nadal nie wierzę w realizm tego świata! A przecież naprawdę wpakowałem się w sam środek gwiazdnej wojny, a księżniczka, jeśli dotrzemy do Świątyni żywi, rzeczywiście zostanie moją żoną, imperatorowa zaś teściową. Zabijałem i byłem ranny, cudem uratowałem się od nieuchronnej śmierci. Skąd więc ta ironiczna obojętność, dlaczego z takim uporem próbuję traktować otaczający mnie świat jak sen?

Może dlatego, że księżniczka jest inna niż w moich marzeniach? Łatwiej uznać cały świat za iluzję, niż pogodzić się z realnością księżniczki. Bo ta dziewczyna, która tak spokojnie śpi w sąsiednim fotelu, wcale mnie nie kocha. I nie mam pojęcia, jak ją zdobyć! Na długo przed naszym spotkaniem uwierzyła w fałszywą tezę: warto umrzeć za księżniczkę. Mogę dokonywać dowolnych czynów, mogę oddać za nią życie, ale nie zdołam przekonać jej, że przywiodła mnie tu miłość. W tej dziwnej grze, którą na moich oczach prowadzą dwie potężne siły, przydzielono mi żalostną rolę gońca królowej. Gońca, która pokonał całą szachownicę.

Ale goniec, nawet kiedy ma otwartą drogę, nie może zostać królem.

– Dolatujemy, lordzie. – W głosie Lansa usłyszałem zdenerwowanie. – Obudź księżniczkę.

– Nie śpię – odezwała się natychmiast dziewczyna. – Lepiej przyjrzyj się Świątyni, lordzie. Na waszej planecie takiej nie ma. Na tym właśnie polega cały problem...

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem w ekran.

Świtało. Ciemność jakby opadła w dół, spoczęła na ziemi – równina, nad którą lecieliśmy, była wypalona, po prostu ogromne pole czarnego żużlu. Jeśli nawet były tu kiedyś góry, zmieniły się w tłuczeń. Jeśli był piasek – stopił się. Niebo jaśniało, gasząc iskry gwiazd. A na granicy jasnego nieba i czarnej ziemi wisiała ogromna kula – przezroczyście nieważka, wchłaniająca ciemność i światło.

Dopiero gdy wylądowaliśmy i wyszliśmy z kutra, mogłem ocenić rozmiary Świątyni. Miała co najmniej kilometr średnicy i wisiała dziesięć metrów nad ziemią, opierając się – jeśli można użyć tego słowa – na cienkiej kolumnie. Kula armatnia umieszczona na igle wyglądałaby znacznie stabilniej.

Powierzchnię kuli pokrywała mozaika ułożona z malutkich płytek. Tylko dwa kolory... A właściwie jeden kolor i milion barw. Część płytek była czarna – czerń wysyłała światło jak materiał kombinezonu bojowego. Większość za to – lustrzana. Ułożone chaotycznie płytki przecinały się. Mrok i lustrzane odbicia; smoliste kleksy plamiły błyszczące pola, rój kwadracików odbijających szarość nieba rozcieńczał atramentową czerń kręgów.

W półmroku Świątynia budziła niepokój. W dzień, odbijając światło słońca, zapewne wywoływała przerażenie.

– Twoja planeta potrafiłaby stworzyć coś takiego? – spytała półgłosem księżniczka.

Popatrzyłem jej w oczy i odparłem, jakby nie zauważając, że pod maską ironii księżniczka stara się ukryć niepokój.

– Nie. I twoja planeta również. Świątynię stworzyli Siewcy.

– Mówiono ci o tym?

– Nie. Ale wszystko, co zadziwiające w twoim świecie, stworzyli właśnie oni.

Nie wiem, skąd wzięła się ta pewność. Ze słodkiego bólu w piersi, z niepokojącej bliskości tajemnicy... Po prostu zrozumiałem jeszcze jedną prawdę, którą będę musiał zdradzić księżniczce.

Jeśli zwyciężymy.

Żużel chrzęścił pod nogami jak tłuczone szkło. Szliśmy pod kulą, która zasłoniła nam pół nieba, do cienkiej kolumny podtrzymującej cały świat.

– Świątynia Wszechświata, czy też Świątynia Siewców, jak ją czasem nazywają, znajduje się na każdej planecie, na której żyją ludzie – powiedziała księżniczka. – Nawet na tych, na których ludzie osiedlą się za tysiące lat. Wszędzie tam, gdzie jest woda i tlen, gdzie było lub będzie życie.

– Prócz Ziemi – wyszeptalem.

– Prócz Ziemi. Planety, której nie ma.

– Nie mogli o nas wiedzieć. Wszechświat jest nieskończony, Siewcy nie mogli podbić całego...

– Wiedzieli o Ziemi. W przeciwnym razie nie spotkalibyśmy się pięć lat temu. Widzisz, Siergiej, Świątynia Wszechświata to coś więcej niż symbol nieskończoności, różnorodności i zarazem jedności wszystkich światów ludzi. To również latarnia morska. Jak wiesz, lordzie, podróżować w przestrzeni można na różne sposoby.

– Wiem. Latać z prędkością światła...

– Nie. To w ogóle nie jest podróżowanie, to męka... Można lecieć w hiperprzestrzeni, orientując się na sygnały trzech latarni dających współrzędne wyjścia. Można lecieć od planety do planety, od Świątyni do Świątyni w linii prostej. To droga handlu i jednocześnie droga wojen. I wreszcie, można w ogóle nie lecieć. Ograniczoną masę da się przerzucić przez hiperprzestrzeń na dowolną planetę, której czasoprzestrzenne współrzędne są znane. To droga kurierów rządowych, wywiadowców, bogatych podróżników...

– Szukających rozrywki księżniczek.

– Tak, lordzie. Właśnie tak. Nie ma ładunku, który mógłby pokryć koszty zużytej na hiperprzejście energii.

– Prócz ludzi.

– Prócz nielicznych ludzi. A więc, Siergiej, nikt na świecie nie jest w stanie określić tych czasoprzestrzennych współrzędnych. Robią to Świątynie. Gdy cywilizacja na danej planecie osiągnie odpowiedni poziom rozwoju, by móc korzystać z hiperprzestrzeni, jej Świątynia włącza się do ogólnej sieci. A kiedy koloniści przypadkowo znajdą planetę z wodą i tlenem i wejdą do jej Świątyni, zostaje ona włączona do ogólnej sieci. Jednocześnie we wszystkich aktywnych Świątyniach, w sali współrzędnych, pojawiają się współrzędne danej planety. Ale jest świat, którego współrzędne są znane, a Świątyni na nim nie ma. To Ziemia. Można po niej podróżować, można ją badać jak zabawne, egzotyczne miejsce. Ziemię odwiedzano już wtedy, gdy Ziemianie mieszkali w jaskiniach i ubierali się w skóry zwierząt. Siewcy zjawili się na waszej planecie i podali innym światom jej współrzędne. Stworzyli na waszej planecie życie. Nasze geny są jednakowe, wszyscy jesteśmy ich potomkami.

Przełknąłem okrzyk. Geneza słowa „siewcy” była oczywista, a jednak...

– Ale na Ziemi nie ma Świątyni. Siewcy uznali waszą planetę za niepotrzebną, odizolowali ją. Z Ziemianie można handlować, więc co pokryje koszt hiperprzejścia? I nie warto z nią walczyć – przez hipertunel nie można wprawdzie przenieść ciężkiej broni, ale nawet lekka wystarczy, by zwyciężyć. Ziemia jest zagubiona w głębi wszechświata, nie ma sensu jej szukać. To planeta, której nie ma.

– Świątynia mogła zostać zniszczona w czasie trzęsienia ziemi albo wybuchu wulkanu... – zamilkłem, uzmysławiając sobie absurdalność własnej sugestii. Wisząca nad nami kula wyglądała na bardziej pewną niż sama gleba. Opierając się na symbolicznej kolumnie, drwiła z siły przyciągania, jakby podkreślała swoją niezniszczalność.

– Świątyni nie można zniszczyć. Wiele cywilizacji, przechodząc przez epokę barbarzyństwa, próbowało to zrobić. Na Świątynię zrzucano bomby termojądrowe, celowano do niej z dział laserowych, cięto atomowymi mieczami... wszystko na próżno. Świątynia może zginąć jedynie wraz z całą planetą.

– To się zdarzało?

– Tak. Kilka razy.

Lans, który szedł przodem, odwrócił się. Byliśmy już pod Świątynią, dwadzieścia metrów od kolumny.

– Książniczko, czy pozwolisz towarzyszyć sobie w Świątyni? Dziewczyna skinęła głową. Na twarzy Lansa pojawił się dziecinny zachwyty. Uśmiechnąłem się i zapytałem:

– Nigdy nie był w Świątyni?

– Oczywiście, że nie. Świątynia wpuszcza tylko władców i tych, którzy przyjdą z nimi.

Interesująca budowla, pomyślałem. Niezbyt skłonna do demokracji.

W tym momencie Lans krzyknął. Chciał się cofnąć, odsunąć od niewidocznego dla nas niebezpieczeństwa, ale nie mógł oderwać nóg od ziemi. Zamachał bezradnie rękami, próbując utrzymać równowagę, i upadł.

Podskoczyłem do niego. Lans turlał się po czarnym żwirze w przedziwnej pozycji – ręce przyciśnięte do tułowia, nogi zbliżające się do podbródka, odrzucona do tyłu głowa, siniejąca twarz...

– Do tyłu, lordzie – wycharczał. – Pajęczyno...

Wciągnął powietrze ze szlochem i zamilkł. Ciało wyprężyło się jak w ataku epilepsji. Ale to nie był atak. Dopiero teraz zobaczyłem, że Lansa oplata sieć cieniutkich, niemal niewidocznych nici. Tam, gdzie nić wpijała się w nieosłonięte ciało, skóra puchła, podzielona na małe czerwone kwadraciki. Sieć zaciskała się, powoli dusząc jeńca.

– Pajęczynowe miny – wyszeptała książniczka, stając nad nim z obnażonym mieczem w ręku. – Kto się odważył? Pajęczynowe miny przed wejściem do Świątyni!

– Trzeba go ratować... – popatrzyłem błagalnie na dziewczynę.

– To niemożliwe, lordzie. Miecz przetnie nici razem z ciałem. On nawet nie ma kombinezonu. Nie zdołamy mu pomóc.

Tył głowy Lansa już niemal dotykał pleców. Na szyi, podzielonej siecią na kwadraty, wystąpiły kropelki krwi. Chłopiec już nie próbował się uwolnić. Jego oczy, wypełnione przerażeniem i bólem, obserwowały nas. Potem usłyszałem mdlący chrzęst łamanego kręgosłupa

i wzrok Lansa stał się szklany.

– Już nie cierpi. – Księżniczka popatrzyła na mnie, jakby szukając wsparcia. – To zdarzyło się bardzo szybko, prawda, lordzie?

Patrzyłem na skulone, ściągnięte śmiercionośną pajęczyną ciało. Co za straszny pech cię prześladowe, kadecie Lans. Przeżyłeś dzięki temporalnemu granatowi, który zapobiegł spotkaniu z Shorreyem. Doprowadziłeś kuter do Świątyni i jak dziecko cieszyłeś się, że do niej wejdiesz. Ale śmierć nie lubi, gdy się z nią gra, trzymając w rękawie atutowego asa. Dorwała cię również tutaj. I wcale nie była mniej potworna.

– Musimy iść, lordzie – głos księżniczki drżał. – Potem go pochowamy, ale teraz musimy iść. Zginął jak bohater.

Nie, księżniczko. Za pierwszym razem zginął jak bohater. Teraz zabiła go nasza beztroska.

– Musimy sprawdzić drogę mieczem, tu mogą być jeszcze inne miny... Lordzie, ocknij się!

Najpierw zginął Ernado. A ja nawet nie mogłem go ostrzec, zaczynając drugą próbę porwania. A raczej mogłem, tylko stchórzyłem. Teraz przyszła kolej na Lansa. Czy naprawdę znowu stchórzę?

Temporalny granat czekał na moje palce na dnie kieszeni. Delikatny chłód oszlifowanych krawędzi, wzór nieznanego alfabetu. „Ostatni atut. Silniejszy od czasu” – oto jak należy odczytać jego nazwę.

Ścisnąłem w dłoni wąski cylinderek. Najpierw słabo, potem z całych sił. Na próżno. Broń Siewców nie widziała konieczności jej użycia.

Oblizałem wyschnięte wargi i zrobiłem krok do przodu. Jeden, drugi, trzeci... Zmuszę cię do posłuszeństwa, zarozumiała zabawko Siewców.

– Lordzie...

Jeszcze dwa kroki. Cienkie nici podniosły się z kamiennego żwiru, pętając nogi, ogarniając całe ciało.

Przezroczyły cylinderek w moich palcach pękł.

6. Prawo wchodzącego

Ciemność. Lodowaty spokój napełniający świadomość. I szept w głębi mózgu:

Aktywizowano temporalny granat, jesteście bezpieczni.

Upadek. Lot przez ciemność.

Użycie uzasadnione, niebezpieczeństwo drugiego stopnia. Zaleca się powrót do pierwszego węzłowego momentu.

Czym ma być ten pierwszy węzłowy moment? Chwila, gdy podszedłem do miny? To mnie nie urządza. Wtedy Lans już nie żył..

Zmiana została przyjęta, powrót do drugiego węzłowego momentu.

Świat wokół mnie pojawił się na nowo.

– Księżniczko, pozwolisz towarzyszyć sobie w Świątyni? – zapytał Lans.

Dziewczyna skinęła głową. Lans, cały i zdrowy, zajaśniał z zachwytu i ruszył do przodu.

– Nigdy... – zacząłem skupiony, wrywając się ze strumienia poprzedniej rzeczywistości.

Krzyknąłem na całe gardło: – Stój, Lans! Stój! Nie ruszaj się!

Lans stanął jak wmurowany. Widocznie kadetów uczono przede wszystkim posłuszeństwa... Szybko podszedłem do niego i pochyliłem się, wpatrzony w czarny żużel. Ani śladu pułapki. Wyjąłem miecz z pochwy, przesunąłem nim po kamieniach.

Cieniutkie szare nici skoczyły do góry, objęły ostrze i upadły rozcięte. Znowu się wyciągnęły do metalu płaszczyznowego miecza i znowu rozpadły się na kawałki. Trzymałem klingę dopóty, dopóki chytra pułapka nie zmieniła się w krótkie, bezsilnie drgające na kamieniach strzępy.

– Kto śmiał rozstawić przed Świątynią pajęczynowe miny? – Głos księżniczki drżał. – To więcej niż podłość, to bluźnierstwo!

– Najwidoczniej nasz wspólny znajomy, Shorrey. – Powoli podchodziłem do kolumny, każdy krok poprzedzając uderzeniem miecza o ziemię. Kolejna pajęczynowa mina zaczęła się wic w daremnej próbie złamania płaszczyznowego ostrza.

Lans nadal stał bez ruchu, patrząc na drgające pod jego nogami resztki pajęczyny. Chłopiec miał chyba bujną wyobraźnię.

– Skąd wiedziałeś o minach, Siergiej? – zapytała księżniczka z lekkim zdumieniem. Może nawet podejrzliwie.

– My, mieszkańcy nieistniejących planet, mamy pewne bardzo realne zdolności – skłamałem złośliwie. – Założmy, że zastosowałem jedną nich.

Lans otrząsnął się z osłupienia, podszedł do mnie i powiedział bez ceremonialnego patosu:

– Lordzie, uratowałeś mi życie. Na zawsze jestem twoim dłużnikiem.

Odwrociłem się do niego i wyciągnąłem rękę.

– Wolałbym, żebyś był moim przyjacielem, a nie dłużnikiem. Przez chwilę staliśmy, patrząc sobie w oczy. W końcu księżniczka odezwała się z rozdrażnieniem:

– To bardzo wzruszające, moi drodzy, ale czy moglibyśmy jednak kontynuować drogę przez pułapki? Mamy mało czasu, a poprosić Świątynię, by przeniosła nas do sali ceremonialnej, można dopiero pod samą kolumną.

Lans pospiesznie skinął głową i wyjął miecz. We dwóch oczyściliśmy drogę w ciągu pół minuty, niszcząc jeszcze trzy pajęczynowe miny.

Księżniczka ostrożnie szła do nas po bezpiecznej już drodze, a ja przyglądałem się cienkiemu słupowi podtrzymującemu gigantyczną budowlę Świątyni. Prosta kolumna z ciemnego metalu mogła mieć dziesięć centymetrów średnicy i kończyła się odlaną z tego samego metalu ludzką ręką. Rozwarta dłoń podtrzymywała gigantyczną kulę.

Dotknąłem kolumny – była ciepła niczym prawdziwa ręka.

– Rozkazuję zanieść naszą trójkę do ceremonialnej sali Świątyni – powiedziałem posłuszny nieoczekiwanemu impulsowi. – Natychmiast.

Zwęglone kamienie pod nogami znikły i nieznana siła delikatnie pociągnęła nas w górę.

Przeszliśmy przez powierzchnię kuli jak przez mgłę. Nawet mi się zdawało, że czuję wilgotny opar otulający ciało. Potem otoczył nas obłok żółtego światła. Płynęliśmy coraz wyżej. Od czasu do czasu ponawiało się wrażenie przejścia przez wilgotną mgłę. Pewnie mijaliśmy wewnętrzne ściany Świątyni. Oryginalna winda Siewców albo „zmiękczała” przedmioty po drodze, albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, powodowała, że nasze ciała stały się przenikalne dla materialnych przeszkód. Ciekawe, czy tutaj są zwykłe drzwi?

Żółte światło zgasło, zatrzymaliśmy się. Poczulem pod nogami miękką, sprężynującą nawierzchnię. Znaleźliśmy się w ogromnej kwadratowej sali, śnieżnobiałe ściany lśniły łagodnym, przyjemnym dla oczu blaskiem.

– Dlaczego Świątynia cię posłuchała? – zapytała stropiona księżniczka. – Ty nawet nie prosiłeś, ty żądałeś! Świątynia nie znosi takiego traktowania, nawet od wybrańców!

Głos dziewczyny brzmiał cicho, ale dobitnie. Białe ściany tłumiły dźwięki. Sala ceremonialna przypominała raczej salę operacyjną. Ta sama zimna, sterylna czystość, to samo światło bezcieniowych lamp. Tylko rozmiar nie pasował. W sześcianie o krawędzi równej pięćdziesięciu metrom można by było zmieścić cały szpital.

– Dlaczego Świątynia cię posłuchała? – powtórzyła z uporem księżniczka. – Dlaczego?

Miałem odpowiedź, i to chyba cholernie bliską prawdy. Używając broni Siewców, mogłem wydać się Świątyni kimś w rodzaju spadkobierców dawno zaginionych panów... Ale taka odpowiedź pociągnęłaby za sobą długie i niepotrzebne wyjaśnienia.

– Pewnie jej się spodobałem – odpowiedziałem niejasno. – Kto zrozumie tych Siewców...

Księżniczka skinęła głową. Widocznie opinia o braku logiki supercywilizacji była dość

rozpowszechniona.

– I to jest właśnie ceremonialna sala, księżniczko? – zapytałem, próbując zmienić temat.

Odpowiedział mi ktoś inny:

– Tak, lordzie z nieistniejącej planety. To właśnie jest sala ceremonialna, do której tak dążyłeś.

Shorrey stał za naszymi plecami, w świetliście białym kombinezonie niemal niewidoczny na tle ścian. Miecz w czerwonej pochwie przesunął na plecy, włosy – i tak jasne – przykrył kapturem. Nic dziwnego, że go nie zauważyliśmy. Takiego maskowania pozazdrościłby mu niejeden ninja.

– Wiedziałem, że was tu spotkam. – Głęboki, spokojny głos Shorreya doprowadzał mnie do szaleństwa. – Szkoda, że musimy przenosić nasz drobny spór na teren Świątyni...

– Nie waż się nam przeszkodzić, Shorrey! – powiedziała zimno księżniczka. W jej głosie brzmiał triumf. – Znasz prawa Świątyni i nie odważysz się ich złamać!

– Znam. Ten, kto wszedł do Świątyni, ten, kto okazał się godny, ma prawo do spełnienia swojego życzenia. I nikt nie może mu przeszkodzić.

Po raz pierwszy Shorrey mówił bez cienia pompatyczności. Uznał siłę i nie próbował się nią spierać.

– Przegrałeś, Shorrey – ciągnęła księżniczka. – Jesteśmy w Świątyni i jeśli staniesz nam na drodze, umrzesz. Siewcy znikli w przeszłości, ale ich prawa nadal panują we wszechświecie.

– Nie mam zamiaru stawać na waszej drodze. Po prostu chcę być świadkiem uroczystej chwili, gdy księżniczka ze starożytnego rodu poślubi dzikusa z nieistniejącej planety.

– On cię prowokuje, Siergiej – wyszeptła księżniczka. – Nie reaguj.

– Wiem.

– Po co wzięliście ze sobą chłopca? W charakterze zapasowego narzeczonego, jeśli lord nie spełni pokładanych w nim nadziei? A może to resztki waszej armii?

Księżniczka pobladła, a Lans już chciał zrobić krok w stronę Shorreya. Spodziewałem się tego i przytrzymałem chłopca za rękę. Powiedziałem, balansując na tym poziomie arogancji, gdy jeszcze nie jest obraźliwa:

– Lans, jeśli chcesz być moim przyjacielem, jeśli pozostajesz mi wdzięczny, nie możesz obrażać się na człowieka, który przegrał. Uspokój się.

Chłopiec skinął głową, nie odrywając od Shorreya nienawistnego spojrzenia.

– Nadejdzie jeszcze dzień zapłaty – warknął. – Ale święto nie zostanie zbrukane twoją krwią.

Shorrey skinął głową.

– Ten dzień nadejdzie, chłopcze. Nie powinieneś w to wątpić. Księżniczka odwróciła się do mnie i powiedziała cicho, drżąc na całym ciele:

– Siergiej, nie podoba mi się to, on coś wymyślił. Trzeba się spieszyć.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Księżniczka poprawiła włosy, zerknęła kątem oka na zastygłego nieopodal Shorreya i powiedziała podniesionym głosem:

– Ja, księżniczka imperatorskiego rodu Tar, przybyłam tu zgodnie z prawem naszej planety. Proszę o dokonanie obrzędu zawarcia związku małżeńskiego i uznanie za mojego męża lorda Siergieja z planety Ziemia.

Przez ściany sali przepłynęła fala światła, barwiąc je na delikatny, błękitny kolor. W naszej świadomości usłyszeliśmy pytanie:

Zgodnie z jakim obyczajem ma być przeprowadzony obrzęd?

Nie przypominało to zimnego, obojętnego tonu granatu temporalnego. Łagodny, piękny kobiecy głos, którego nie powstydzilaby się śpiewaczka operowa.

– Zgodnie z obyczajem mojej planety – powiedziała zmieszana księżniczka.

– Zgadza się – potwierdziłem.

Sala pogrążyła się w ciemności. Znikła wysoka postać Shorreya, nawet jego kombinezon przestał lśnić. Rozpłynęła się w mroku zadowolona twarz Lansa. Wokół mnie i księżniczki pojawiło się złociste lśnienie, jakby błyszczało samo powietrze. Ładne obyczaje mają na planecie mojej żony...

Czy wstępujecie w związek małżeński z dobrej woli?

– Tak – odpowiedziała chłodno księżniczka.

– Tak – zawtórowałem i nagle uświadomiłem sobie, że nie czuję najmniejszej radości. Jakby wypełniał zwykłą procedurę niezbędną do wypędzenia Shorreya, a nie żenił się z ukochaną kobietą.

Kto będzie świadkiem waszego ślubu? Spojrzałem w ciemność i powiedziałem:

– Kadet Lans Dari, mój przyjaciel, i władca Shorrey Manhem, mój wróg.

– A także każdy, kto znajduje się teraz w Świątyni Siewców na wszystkich planetach wszechświata – dodała księżniczka.

Czy istnieją jakieś przeszkody w prawie waszych planet lub w waszych czynach, uniemożliwiające zawarcie małżeństwa?

– Nie... – księżniczka popatrzyła na mnie. Wzruszyłem ramionami. Jakie mogą być przeszkody? Nie jestem żonaty i nie wyznaję żadnej religii...

– Nie.

Czy świadkowie znają przeszkody uniemożliwiające zawarcia tego małżeństwa?

Zapadła cisza. Dziwna, żywa cisza wypełniona oddechami tysięcy ludzi. Mój Boże, przecież oni nas teraz słyszą i widzą – ludzie setek zamieszkanym planet!

– Wiadomo mi o przeszkodzie czyniącej to małżeństwo niemożliwym.

Czekałem na te słowa. Shorrey nie mógł się nie wtrącić. To była jego ostatnia próba.

Na czym ona polega?

– Nierówność pochodzenia księżniczki i lorda.

Pauza i spokojny głos Świątyni:

Księżniczko, czy nierówność podchodzenia małżonków jest sprzeczna z prawem waszej planety?

– Nie. Lord Siergiej jest moim narzeczonym. Byliśmy od dawna zaręczeni. Starożytny obyczaj dopuszcza małżeństwo z człowiekiem dowolnej pozycji społecznej.

Lordzie, czy nierówność pochodzenia małżonków jest sprzeczna z waszym prawem lub przekonaniem?

Coś dziwnie nielogiczne było w tym pytaniu. A może nie samym pytaniu, lecz w różnicy między nim a tym, które zadano księżniczce... Nie było czasu na zastanawianie się.

– Nie.

Powiedzieliście prawdę – oznajmił niewzruszony głos. – Shorreyu Manhem, twoje zastrzeżenia są fałszywe. Powtórne kłamstwo pociągnie za sobą wykluczenie cię z rzeczywistości. Czy są inne przeszkody?

Cisza. Tysiące oczu wpatrzonych w dziwny spektakl. Tysiące uszu łowiących każde słowo. Tysiące mocno zaciśniętych ust.

Sprzeciwów brak. Czy przygotowano obrączki niezbędne do zawarcia małżeństwa?

Dotknąłem swojego pierścienia i odparłem:

– Przygotowano, ale należy przywrócić im pierwotny wygląd. Księżniczka spojrzała na mnie przerażona. Czyżbym powiedział coś niewłaściwego?

– Wykonano. Obrączki zostały wyposażone w hiperprzestrzenną nić.

W oczach księżniczki zobaczyłem zachwyt i zdumienie, jak wtedy, w nocnym parku na Ziemi. A na gładkiej powierzchni pierścienia znowu lśnił malutki kryształ.

Lordzie, czy chcesz pojąć za żonę księżniczką z dynastii Tar, dzielić z nią radości i troski, oddać jej swoją siłę i przyjąć jej słabość, zawsze i wszędzie, od narodzin aż do końca świata?

– Tak.

Księżniczko, czy chcesz pojąć za męża lorda z planety Ziemia, dzielić z nim radości i troski, oddać swoją siłę i przyjąć jego słabość, zawsze i wszędzie, od narodzin aż do końca świata?

– Tak.

Wymieńcie obrączki.

Brakuje tylko marsza Mendelssohna, pomyślałem, robiąc krok w stronę księżniczki i podając jej swój pierścień.

Księżniczka ostrożnie wsunęła pierścień na mój palec. Ująłem jej dłoń, podniosłem do ust i pocałowałem, drżąc. Dziecięce marzenia nie mogą się spełniać, bo wtedy na świecie zabrakłoby dorosłych. Pierwsza miłość nie może być szczęśliwa, bo inaczej druga przemieni się

w przekleństwo.

Włożyłem pierścień na palec księżniczki i popatrzyłem w jej oczy. Było w nich wszystko: radość, spokój i zmęczenie. Wszystko prócz podniecenia.

Wszystko prócz miłości.

W imieniu wszechświata ogłaszam was mężem i żoną.

Do sali powróciło światło. Pojawił się uśmiechnięty Lans. I Shorrey Manhem, też uśmiechnięty.

– Proszę Świątynię o przekazanie pewnej wiadomości wszystkim sojusznicznym planetom – powiedziała triumfalnie księżniczka. – Na mocy praw władców mojego świata prosimy wraz z księciem o militarną pomoc w przerwaniu agresji gyarskiej armii dowodzonej przez władcę Shorreya.

Wiadomość została przekazana – oznajmiła beznamiętnie Świątynia.

– Dziękuję – księżniczka skinęła głową niewidocznemu rozmówcy.

– Jeszcze nie wiecie, na czym polega wasz błąd, księżniczko? – Głos Shorreya nie stracił protekcjonalności.

– Nie! – Księżniczka odwróciła się do niego gwałtownie.

– Każdy, kto wszedł do Świątyni, ma prawo do spełnienia jednego życzenia. Ja przybyłem tu na pojedynek z lordem... – Shorrey uśmiechnął się – ...przepraszam, księciem Siergiejem z planety Ziemia. Porwał moją narzeczoną i obraził mnie, a teraz umrze. Nikt nie ma prawa przeszkodzić naszemu pojedynkowi.

Zobaczyłem, że Lans blednie, a księżniczka przyciska dłoń do twarzy. Shorrey powiedział triumfalnie:

– Proszę przenieść nas do sali pojedynków.

Znowu przepływaliśmy przez ściany Świątyni w pomarańczowym świetle, w mglistym dotyku wilgoci. Nie czułem nic prócz złości na własną głupotę.

Wojownicza cywilizacja Siewców nie mogła zbudować Świątyni bez sali pojedynków. Shorrey to rozumiał i zaplanował wszystko z wyprzedzeniem. A ja nie miałem już temporalnego granatu, by przerwać przegraną partię.

Światło zgasło. Staliśmy w okrągłej sali, mniejszej niż ceremonialna, ale robiącej mocniejsze wrażenie. Czarne ściany ozdobione lśniącoymi płaskorzeźbami. Czarna kopuła sufitu z kulą purpurowego płomienia pod sklepieniem. Dziesięcioro drzwi, a w każdych nieruchoma postać w mundurze gyarskiego gwardzisty.

– Twój pojedynek bardziej przypomina morderstwo, Shorrey – powiedziałem, dostrzegając nienawistne spojrzenia żołnierzy.

– Nie martw się, książę. To tylko warta honorowa... i eskorta pogrzebowa dla przegranego. Nie wtrącaj się do pojedynku. Zabiję cię uczciwie, książę.

– Nie mam podstaw, by ci wierzyć.

– Jak chcesz, książę... Poproszę Świątynię o transmitowanie pojedynku na wszystkie planety wszechświata, poczynając od tego momentu, a kończąc na śmierci jednego z nas.

Transmisja jest rozpoczęta – tym razem Świątynia przemawiała twardym głosem mężczyzny.

– *Proszę o podanie warunków pojedynku.*

Shorrey zatonął w udawanej zadumie, wyraźnie rozkoszując się sytuacją. Machnąłem ręką, a księżniczka w milczeniu odeszła pod ścianę. Za nią podążył Lans, rzucając mi błagalne spojrzenie. Zignorowałem je. Wiedziałem doskonale, czym skończyłby się ten pojedynek dla Lansa.

Wiedziałem również, czym zakończy się ta walka dla mnie.

– Wybieram białą broń – rzekł wreszcie Shorrey. – Będę walczył tylko mieczem, a książę z nieistniejącej planety może użyć również swoich płaszczyznowych dysków. Może to wyrówna nasze szanse.

Chyba nie doceniłem Shorreya. Nie był drugorzędnym aktorem grającym Supermana. Był gwiazdą, która weszła w rolę. Genialnie napisaną rolę. Każde jego słowo miało wzbudzać sympatię widzów. Nie przypadkiem pozwolił nam dotrzeć aż do Świątyni...

Broń została wybrana – oznajmiła Świątynia – *Destruktory i lasery uczestników pojedynku zostały zablokowane.*

Wyjąłem dysk z pokrowca. Shorrey uchylił się albo schwycił go w powietrzu, ale musiałem go rzucić, powtarzając początek naszego poprzedniego pojedynku... Dlaczego?

Zasadniczą wadą podświadomych postępów jest to, że są niezrozumiałe dla samego wykonawcy.

Shorrey nie spieszył się. Rozglądał się po sali, ale czułem, że obserwuje każdy mój ruch. Zwrócił się do mnie i do księżniczki:

– Zdumiewające, jak podobna jest symbolika wszystkich planet. Nawet w ojczyźnie naszego zabawnego księcia czarny kolor oznacza kłamstwo i zło, a biały czystość i szlachetność.

Poczułem, że mój strach się oddala. Prawdziwie wielcy aktorzy znali umiar...

– Przesadzasz, Shorrey. Mam na sobie kombinezon twojej armii. Nie miałem czasu przebrać się w biały strój.

Przez twarz Shorreya przemknął błysk wściekłości. Nie miał zamiaru znosić drwin przegranego przeciwnika.

– Rozsądzą nas miecze, książę.

Broń pojawiła się w jego ręku błyskawicznie. Dobrze jest mieć refleks trzy razy szybszy od normalnego...

Płaszczynowy dysk wyruszył w swój krótki lot – od mojej ręki do dłoni Shorreya.

– Straszna, barbarzyńska broń – rzekł z goryczą Shorrey. – Wprowadziłeś ją do użytku i na tym polega twoja wina.

Dobry aktor potrafi odegrać tę samą scenę w dowolnych warunkach. Shorrey niemal dosłownie powtarzał swoje poprzednie słowa. Poczułem nieśmiałe tchnienie nadziei.

– Zasłużyłeś na śmierć, Shorrey. – Wyjąłem pistolet i nacisnąłem spust.

Srebrzysty wachlarz małych płaszczynowych dysków. Rozmyty cień ludzkiej postaci z nieprawdopodobną szybkością uchylającej się przed pociskami.

– Nawet mnie nie drasnąłeś. – Shorrey ruszył do przodu. – Wyjmij miecz, księżę z planety, której nie ma.

Wyciągnąłem miecz zza pleców. No dalej, Shorrey, wygłaszaj te swoje przygotowane zawczasu kwestie. Szykuj się do nieuchronnego i pięknego zwycięstwa...

– Każdego czeka jego własny koniec – rozmyślał na głos Shorrey, podchodząc do mnie. – Twoja śmierć będzie piękna i pozbawiona cierpienia. Ten pojedynek widzą miliony i przyznają mi słuszność. Na długo przed twoim przybyciem na planetę wiedziałem, jak umrzesz. Broń się, księżę.

Krótkie starcie, wymiana ciosów, mój miecz, który z każdym wypadem stawał się coraz krótszy...

Potrzebuję trzech lub czterech centymetrów klingi...

Atak... skomplikowany wypad, który skrócił mój miecz do połowy. I narastający chłód w piersi. Tak, mam szansę. Małą szansę królika, którym może udławić się pyton. Ale i tak będę musiał podskoczyć wyżej głowy. Jeśli nawet nie dorównam Shorreyowi w szybkości, to przynajmniej muszę spróbować.

– Umiesz więcej, niż myślałem. Stałbyś się interesującym przeciwnikiem... z czasem.

– Stój, Shorrey! – krzyknęła księżniczka. Ale Shorrey jakby jej nie słyszał.

– Umieraj, dzikusie.

Zaczął atak – na pół gwizdka, na jedną trzecią swoich możliwości. Tak żeby niewidoczni widzowie zdążyli się nim zachwycić i żeby ja zdążył sobie uświadomić nieuchronność śmierci.

Miecz Shorreya ściał moje ostrze – tym razem nie do końca, lekko cofnąłem rękę – i rozpoczął nieodwracalny ruch do mojego serca.

Ale na ułamek sekundy przed ostatecznym pchnięciem zanurkowałem pod opadający miecz.

Shorrey jeszcze próbował dosięgnąć mnie klingą, przejść do obrony, uchylić się... ale piękny i skuteczny cios w serce niebezpieczny jest właśnie dlatego, że nie można go przerwać w połowie. Nawet dysponując nieludzkim refleksem...

Rzuciłem się pod błyszczący miecz płaszczynowy, pod rozciągniętą w wypadzie postać Shorreya. I wysunąłem rękę z krótkim, żalonym ogryzkiem swojej klingi.

Ostrze dotknęło piersi Shorreya i zatrzymało się, jakby zapierając o pancerz. Jednak Shorrey włączył ochronę kombinezonu. Wielki aktor nie chciał umierać z ręką statysty...

Intuicyjnie, jakby kierowany czyjąś podpowiedzią, ścisnąłem rękojeść miecza, włączając tryb ostrzenia. Odłamek klingi zniknął pod białym płomieniem i wszedł w ciało niczym gorący nóż w masło.

Shorrey krzyknął. Nabijał się na ostrze, nadal kontynuując swój bezsensowny cios. A lśniącą, nieprzerwanie ostrzona klinga pruć jego ciało. Pole ostrzące, otaczające klingę, niszczyło molekularne związki, zmieniając wąskie, chirurgiczne cięcie w ziejącą ranę.

Wydostałem się spod nieruchomego ciała. Nadal ścisnąłem rękojeść miecza, a klinga płonęła białym ogniem, topniejąc niczym kawałek cukru w gorącej herbacie.

Nikt się nie odezwał. Gwardziści jakby skamienieli. Księżniczka wczepiła się w ramię Lansy. Kadet nie odrywał ode mnie nieruchomego spojrzenia.

Shorrey powoli przewrócił się na plecy. Próbował unieść się na łokciach, ale nie zdołał. Wyszepiał coś.

Podszedłem bliżej i usłyszałem jego cichy głos, nawet teraz władczy i pewny:

– Nie mogłeś przewidzieć ciosu... nie mogłeś mnie zabić.

– A jednak zrobiłem to.

– Wszystko jedno... i tak... – Shorrey zakasłał, na jego wargach pojawiła się różowa pianka, ale mówił dalej: – I tak jesteś przybłądą. Pokonując mnie, nie pokonasz uprzedzeń naszych światów. Jesteś zabawką... w cudzych rękach. Jesteś przybyszem z nieistniejącej planety. Jesteś niepełnowartościowy.

– Wygrałem.

– Przegrałeś. Zrozumiesz to... jeszcze dzisiaj.

– Zwyciężyłem. Jestem księciem.

– Nie na długo... Ja zrozumiałem twoją tajemnicę, ale zbyt późno. A ty nie poznasz jej nigdy.

Nie powinienem był walczyć z tobą... tutaj...

– Jaką tajemnicę?

Shorrey uśmiechnął się, kpiąco i zwycięsko. Grał swoją rolę do końca.

– Żegnaj, księżę...

Zamknął oczy i zrozumiałem, że już nikt nigdy nie usłyszy głosu władcy Shorreya. Zabrał ze sobą moją tajemnicę, – jeśli ona rzeczywiście istniała. I umarł, głęboko przekonany, że to ja przegrałem.

Shorrey Manhem zawsze przewidywał przyszłość.

Położyłem obok niego cienki jak igła odłamek miecza i popatrzyłem na zszokowanych gwardzistów.

– Kto jest dowódcą w tej waszej brygadzie grabarzy?

Jeden z gwardzistów wystąpił bez słowa.

– Zabierzcie ciało i wynoście się z planety.

– I radzę zrobić to szybko – dodała księżniczka, podchodząc do mnie. – Sojusznicza flota przybędzie za kilka godzin i zniszczy wszystkich, którzy jeszcze zechcą walczyć.

Dotknęła mojej ręki. – Zwyciężyliśmy.

Popatrzyłem w jej oczy, błękitne jak niebo Ziemi. Była w nich radość, zachwyt, spokój i pewność. Nie było i nie mogło być miłości. My zwyciężyliśmy. Ja przegrałem.

7. Wybór

Służący postawił tacę ze śniadaniem i zamarł, czekając na rozkazy. Skinąłem głową, zwalnając go. Przy stole w moim pokoju mogłoby się zmieścić jakieś dziesięć osób. A przyniesionego jedzenia w zupełności wystarczyłoby dla wszystkich na lekkie śniadanie.

Nawet marionetkowy książę ma pewne przywileje.

– Masz ochotę coś zjeść?

– Nie odmówię, książę.

Ernado wziął z tacy garść pomarańczowych jagód.

– Spróbuj ich, książę, to królewska potrawa. Śnieżne winogrona rosną na jednej jedynej planecie w galaktyce.

Wrzuciłem do ust garść jagód. Wargi sparzył oleisty chłód. Dziwny, drażniący smak – kwaśno-słodki i miętowy jednocześnie.

Nigdy nie lubiłem papierosów mentolowych i miętowej gumy do żucia.

– Opowiadaj dalej, Ernado.

Mój były nauczyciel odłożył pomarańczowe grono.

– Prowadziłem walkę na granicy pola neutralizującego. Gdy postrzelili mój kuter, wszedłem w pole na kilka sekund przed wybuchem, który dzięki temu nie nastąpił. Jedyne, co musiałem jeszcze zrobić, to wylądować.

– Niezbyt przyjemne zajęcie z nieczynnym silnikiem.

– Grawikompensator osłabił uderzenie. A w górach nie zdołałby mnie dopaść nawet oddział gwardzistów... Gdy zobaczyłem, że już trwa ewakuacja, zacząłem się przedzierać do pałacu. Było jasne, że Shorrey przegrał. Ale nie przypuszczałem, że nie żyje...

– To był wypadek.

– Shorreya nie można pokonać przypadkiem, książę.

W głosie Ernada dźwięczała taka pewność, że się nie spierałem. Popatrzyłem na tacę i w końcu wybrałem coś odpowiedniego – wędzone mięso pocięte na wąskie paski, polaną niemal pozbawionym smaku sosem.

Ernado zerknął na okno. Zza gęstej zieleni parku wyzierał poczerniały od pożaru szkielet jednego z pałaców.

– Gyarowie wypłacą reparacje, i to spore – powiedział mściwie. – Za dwa miesiące wszystko zostanie odbudowane. Szkoda, że...

Zamilkł.

Napiłem się wody z kryształowego kielicha. Całkiem niezła mineralna.

– Mów dalej, Ernado – poprosiłem. – Szkoda, że ja tego nie zobaczę? Tak?

Ernado spuścił wzrok.

– Odpowiedz!

– Tak.

Wstałem zza stołu i podszedłem do ogromnego lustra na ścianie. Drewniana rama, rzeźbiona, a jakże, była arcydziełem. Samo lustro, równe i czyste, odbijało mnie całego. Strój z cienkiej złocistej tkaniny. Wspaniale ułożone przez fryzjera włosy. Książę...

– Władcą wielkiej planety nie może być człowiek, który przybył znikąd, lord z nieistniejącego świata – powiedziałem. – Może sobie być bohaterem, który pokonał Shorreya, porządnym facetem, godnym złotego pomnika naturalnej wielkości – nie ma sprawy. Kim tylko zechce. Ale nie władcą, nie przyszłym imperatorem. Nie mężem księżniczki. Tak, Ernado?

– Tak.

– Wiedziałeś o tym zawsze. Od dnia naszego pierwszego spotkania. Ale nic nie powiedziałeś. Dlaczego?

– Ratowałem swój świat, książę. Swoją planetę. Jestem winien, ale nie mogłem postąpić inaczej.

Chwilę milczałem w zadumie. Ja też zawiniłem wobec niego, ale on o tym nie wiedział. Bardzo wygodna sytuacja, gdy winny może udawać urażonego...

– Być może poproszę cię znów o coś podobnego, Ernado. Nawet jeśli okaże się, że nie mam racji.

P Ernado popatrzył na mnie z zaciekawieniem i powiedział, starannie dobierając słowa:

– To będzie sprawiedliwe, książę. Jestem twoim dłużnikiem, a moja planeta jest już bezpieczna.

Skinąłem głową i odezwałem się nieoczekiwanie dla samego siebie:

– Chyba umówiliśmy się, że będziemy po imieniu, co, Ernado?

– W takim razie nie będę mógł nazywać cię księciem ani lordem.

– Niezupełnie jestem księciem i nie całkiem lordem. Jestem Serge z planety, której nie ma.

– Masz rację, Serge. To przynajmniej uczciwe... Księżniczka wyjaśniła ci sytuację?

– Nie. Ciągle nie może się zdecydować na poważną rodzinną rozmowę.

– Więc kto?

– Shorrey. W poufnej, choć niestety, zbyt krótkiej pogawędce.

Ernado musiał dokończyć śniadanie w samotności. Wpadłem w ten dziwny stan, w którym proces jednoczesnego pożywiania się czy nawet przebywania z nim w jednym miejscu wydaje się przestępstwem.

Ruszyłem do księżniczki.

Z każdą minutą utwierdzałem się w przekonaniu, że ten pałac to labirynt. Nie miałem wskaźnika kierunku, a na zasięgnięcie informacji u któregoś z nielicznych służących nie

pozwalala mi ambicja. Książę, który zabłądził w pałacu, niechby nawet w obcym, stałby się doskonałym tematem do żartów.

Snułem się po wielkich salach – kamień i drewno; ani śladu techniki, wielokrotnie przecież przewyższającej ziemską. Może właśnie dlatego nie było jej widać, że miała się do ziemskiej jak mieszczący się w teczce laptop do pierwszego lampowego IBM... Pospacerowałem po galeriach absolutnie przezroczystych od wewnątrz i kamiennych od zewnątrz. Mijałem korytarze, gdzie zapach starożytności był tak autentyczny, że musiał być fałszywy.

Ten świat też grał swoją rolę, jak Shorrey rolę nadczołowieka. Był monarchią, ponieważ odpowiadało to wszystkim poddanym. Lepiej być imperatorskim żołnierzem czy młodszym pałacowym sługą niż najemnikiem demokratycznego reżymu czy sprzątaczką w budynku parlamentu. Łatwiej żyć w oparciu o mgliste tradycje, przestrzegając tysiącletnich rytuałów, niż ustanawiać sprawiedliwe prawa, zdezaktualizowane nazajutrz po ich podpisaniu.

Jeśli ma istnieć monarchia, konieczny jest pradawny i tajemniczy pałac. Co z tego, że w jego murach jest więcej mikroukładów i metalu niż kamienia. Najważniejsza jest fasada. Najważniejsze to nie wyjść z roli.

Nigdy nie lubiłem starannie przygotowanych improwizacji i wielokrotnie próbowanych amatorskich spektakli.

Zatrzymałem się przed kolejną salą, przypominającą wystawę malarstwa batalistycznego. Było tu chyba ze sto obrazów, na których pokojowo współistniały spienione konie i spadające na skały gwiazdoloty. Zapewne znawca tematu znalazłby tu sporo interesujących rzeczy.

Ja niestety nie mam pojęcia o rysunku.

– Najkrótsza droga do pomieszczenia, w którym znajduje się obecnie księżniczka – powiedziałem głośno.

Łatwo zabłądzić w takim pałacu, nawet jeśli mieszka się w nim całe życie. A imperatorowi nie wypada wzywać na pomoc służących.

Na białych marmurowych płytkach podłogi pojawiła się cienka, błyszcząca czerwona linia. Skinąłem z zadowoleniem głową.

Rytuał to rytuał i nie wolno go łamać. Jeśli trzeba wprowadzić głos tymczasowego księcia w pamięć komputera pałacu, zostanie to zrobione. Ale niekoniecznie trzeba informować o tym zainteresowanego.

Poszedłem po cienkiej czerwonej linii gasnącej pod moimi stopami.

Przed drzwiami stał ochroniarz. Może jeden z tych, którzy kryli się w górach przed przeważającymi siłami przeciwnika. A może był to żołnierz, pospiesznie zwerbowany na sojuszniczej planecie. Był w przylegającym do ciała naelektryzowanym płaszczu, z płaszczynowym mieczem i pistoletem przy pasie. Jeśli nawet zdumiał się na mój widok, nie

okazał tego. Odezwał się uprzejmie:

– Księżniczka prosiła, by jej nie niepokoić.

– Mnie ta prośba nie dotyczy – odpowiedziałem, odsuwając ochroniarza na bok. Na szczęście zostało to przyjęte jako coś oczywistego.

Mimo wszystko jestem trochę księciem.

Pokój był nieduży i niemal pozbawiony ozdób. Pewnie dlatego, że przeznaczono go do pracy, a nie do tworzenia królewskiego entourage'u. Panoramiczne okno. Szerokie biurko z ciemnego drewna, tonący w papierach terminal komputera. Skórzany fotel, sądząc po rozmiarach, przeznaczony dla księżniczki. Żadnego innego krzesła czy fotela. Petenci nie byli przewidziani.

Widząc mnie, księżniczka wstała. Dzisiaj miała na sobie surowy szary kostium, a la asystentka wielkiego bossa. Długa plisowana spódnica, krótka marynarka... Wyglądało to całkiem nieźle, ziemską sekretarką poszłaby w takim na pierwszą rozmowę.

Ale w czerwonym księżniczce było bardziej do twarzy.

– Dzień dobry – powiedziałem, siadając na brzegu biurka.

– Dzień dobry, Siergiej.

Wydawała się raczej zmieszana niż zakłopotana. Moja wizyta była nieuniknioną i przykrą dla nas obojga procedurą.

– Nie ma żadnych nowych wiadomości o losie imperatora?

Księżniczka drgnęła.

Nie. Zapewne sytuacja była bez wyjścia i ojciec użył pierścienia. Skinąłem głową ze zrozumieniem. O dziejach imperatorskiej rodziny coś niecoś już wiedziałem. Księżniczka wychowywała się bez matki, był to albo zawołowany rozwód, albo długotrwała separacja z niewiadomej przyczyny. Nawet sam imperator nie wiedział, gdzie znajduje się jego żona. A jednak wolał podróż w niewiadome przez hiperprzestrzenny tunel, łączący jego pierścień i pierścień imperatorowej, niż hańbiącą niewolę.

Przede mną siedziała teraz nie księżniczka, lecz bardzo zmęczona dziewczyna martwiąca się o los ojca. Musiał wiele dla niej znaczyć ten niemłody, samotny człowiek, jedyny, który znał jej imię, którego pochwały nie były nieuniknionym pochlebstwem, a dezaprobata – państwowym przestępstwem. Imperator był jedynym ogniwem, żywym, realnym człowiekiem łączącym księżniczkę z długim szeregiem utytułowanych przodków.

Był jej ojcem, a to znaczyło tu nie mniej niż na Ziemi.

– Myślisz, że tata żyje? – zapytała niepewnie księżniczka.

Nawet moje zdanie było dla niej ważne...

– Myślę, że tak.

– Dlaczego?

Postąpił tak nielogicznie, że musiało mu się udać. Księżniczka wzruszyła ramionami. Nie podzielała mojej teorii o nierozzerwalnym związku nielogicznych czynów i powodzenia.

– Dużo spraw? – Wziąłem do ręki pokrytą drobnym drukiem kartkę.

– Tak. Planeta nieprędko otrząśnie się po tym, co się stało. Straciliśmy dwie trzecie armii.

– Widzę, że sobie radzisz.

– Jestem księżniczką.

Jej głos zmienił się nieuchwytnie. Zaczynała się rozmowa, której oboje nie chcieliśmy.

– Mógłbym pomóc.

– Musisz odpocząć.

Ja jestem księżniczką. Ty jesteś obcy. Odważny, silny, użyteczny, ale obcy.

– Od wydarzeń w Świątyni minęły dwa dni. Już wypocząłem. A spacer po ogrodzie w pewnym momencie zaczynają być męczące.

– Wydam polecenie, żeby zorganizowano ci podróż po planecie. Jesteś bohaterem, wszyscy chcą cię zobaczyć na własne oczy.

Zanim bohater wróci na swoją planetę.

Popatrzyłem w oczy dziewczyny, którą kochałem przez całe życie. Nie były teraz niebieskie, miały barwę pochmurnego jesiennego nieba.

Z którego nie spadnie deszcz.

– Czy aby uzyskać rozwód, będziemy musieli udać się do Świątyni? Czy ta formalność wymagana jest tylko w szczególnych przypadkach?

Zapadła cisza. Z drukarki wysunęły się jeszcze dwie kartki z pilnymi informacjami.

– Wszystko zrozumiałeś? – zapytała cicho księżniczka. – Nie chodzi o ciebie, lecz o twoją planetę. Gdy miałam trzynaście lat, uważałam to za zabawny drobiazg, ale teraz...

– Twój naród nie zaakceptuje władcy z nieistniejącego świata. Sojusznice planety nie zechcą utrzymywać kontaktów z księciem, na którego ojczyźnie spoczywa przekleństwo Siewców – mądrych, wszystkowiedzących istot, które uznały Ziemię za niegodnych galaktycznej cywilizacji.

– Tak. Pokręciłem głową.

– To nieprawda, księżniczko. A raczej tylko część prawdy. Nie kochasz mnie i to jest najważniejsze.

Księżniczka odwróciła się.

– Teraz nie kocham nikogo.

Podszedłem do okna, przywarłem czołem do szyby. Nie lubię jesiennego deszczu i kobiecych łez. I nienawidzę, gdy za gardło chwyta mnie bezsilne oburzenie na cudzą podłość.

– Nigdy bym cię nie zdradził.

– Zapewne. Wiele ci zawdzięczam, podobnie jak cała nasza planeta. Byłabym twoją żoną,

prawdziwą żoną i mogłabym cię pokochać. Ale twój świat nosi piętno trędowatego.

Dobrze, że można zamknąć oczy. Nie chcę widzieć góry, za którą stoi Świątynia Siewców. Nie chcę myśleć o istotach, które podporządkowały sobie przestrzeń i czas, ale zapomniały zbudować na małej planecie lustrzano-czarną kulę, czarodziejski klucz otwierający drzwi do wszechświata.

Nie chcę znowu uczyć się nienawiści.

– Możesz zabrać ze sobą wszystko, co zechcesz. Broń, technologię, klejnoty. Maksymalna masa przerzutu przez hipertunel wynosi około siedemdziesięciu ton. Planeta odda ci cały potencjał energetyczny nagromadzony przez setki lat. Ta nagroda będzie i tak zbyt niska za to, czego dokonałeś.

Zaśmiałem się gorzko. Cholera, jeszcze mi tylko hysterii brakowało! Broń, technologia, klejnoty... Atomowy miecz na wytapetowanej ścianie mieszkania! Wieżowiec w centrum miasta wybudowany za złoto kosmicznej cywilizacji!

Dwa kutry bojowe niszczące siły powietrzne ościennych.

Pole neutralizujące, które osłoni świeżo upieczone imperium przed staroświeckimi bombami termojądrowymi.

Uzbrojona w destruktory armia, którą tak łatwo zebrać w imię wyższych celów ogólnoplanetarnego mocarstwa. Albo uzbrojona w destruktory banda psychopatów, którzy nie potrzebują żadnych wyższych celów, tylko rozkazu. Niepokorne miasta, przemieniane w molekularny pył!

Pokój całemu światu!

Burzliwe brawa, przechodzące w owacje!

Statki kosmiczne budowane w ziemskich fabrykach na podstawie nieziemskich technologii...

Rozkaz wydany przez najwyższego władcę dzielnym pilotom: „Odnaleźć planetę, na której panuje dynastia imperatora...”

– Nie – wyszeptałem. – Nie. Nie!

Nawet miłość nie jest warta podłości.

Ziemia sama dojdzie do etapu wszechświatowego mocarstwa i gwiazdolotów. Bez zniszczonych miast i szalonych tyranów. Udowodni – ze mną albo beze mnie – że ma prawo wejść do galaktycznej cywilizacji.

Ziemia nie będzie planetą, która potrafi zabijać najlepiej.

– Nie – powtórzyłem.

– Nie rozumiem, Siergiej...

– Nie zwracaj uwagi. To tylko... wspomnienia z przeszłości i przyszłości.

Odwróciłem się do księżniczki. Chyba musiałem strasznie wyglądać, bo dziewczyna drgnęła.

– Księżniczko, nie potrzebuję potencjału energetycznego zbieranego przez setki lat. Ani

siedemdziesięciu ton klejnotów. Potrzebny mi statek, który potrafi latać bez radarów, w trybie swobodnych poszukiwań.

– Po co? Czy... chcesz odnaleźć Ziemię?

– Tak.

– To beznadziejne, Siergiej. Siewcy odizolowali twój świat na zawsze.

– W takim razie znajdę Siewców. Ci, którzy podporządkowali sobie czas, nie znikają bez śladu.

Gdyby księżniczka była chrześcijanką, przeżegnałaby się.

– Nie znajdziesz załogi, który zgodzi się wyruszyć na taką wyprawę.

– Mam przyjaciela, który jest mi coś winien.

– Lans? Pewnie się zgodzi, ale to jeszcze dziecko.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

– Lans? Z przyjemnością go wezmę, jeśli zechce zaryzykować. Ale mówię o kimś innym.

O niedoszłym głównodowodzącym waszej armii...

Księżniczka nic nie powiedziała. Popatrzyła na mnie i poznałem to spojrzenie.

Stropione i dumne spojrzenie dziewczynki, za którą inni idą na śmierć.

– Dostaniesz najlepszy statek.

Skinąłem głową. Po chwili wahania zapytałem..

– Mam złożyć podanie o rozwód?

Teraz zawahała się księżniczka.

– Jeśli odleczisz z planety... i zostaniesz faktycznie odsunięty od rządów... nie ma potrzeby się tak spieszyć. Nie należy demonstrować fikcyjności małżeństwa.

Poczułem słabość w całym ciele, jak po długiej walce. Jakbym wygrał najważniejszą bitwę. Jakbym to nie tylko ja, ale i księżniczka dokonała najważniejszego wyboru.

Zmusiłem się, żeby nie oglądać się za siebie i poszedłem do drzwi. Usłyszałem głos księżniczki:

– Siergiej, nie nadałeś mi imienia. To nasz zwyczaj.

– Wiem. Ale jeszcze go nie wymyśliłem.

– Dobrze. Poczekam.

Zatrzymałem się, przytulony się do ciepłego drewna drzwi i powiedziałem cicho:

– Jeśli zmęczysz się czekaniem... albo zdołasz mnie pokochać... włóż pierścionek. Zrobię wszystko, co trzeba.

– Nie miałam zamiaru go zdejmować.

Pchnąłem drzwi i przestąpiłem próg. Nie odwracać się, najważniejsze to się nie odwracać.

W przeciwnym razie nie zmuszę się, by odejść w niewiadome.

I znowu zatrzymał mnie jej głos:

– Stracisz całe życie na poszukiwania! Nawet tysiąca żywotów będzie za mało!

– To nic – odparłem. – To nawet dobrze.

I zanim zamknąłem drzwi, powiedziałem słowa, które zrozumiałem w Świątyni Siewców, gdy stałem obok księżniczki jako pewny siebie lord z nieistniejącej planety:

– Miłość warta jest życia.

PLANETA, KTÓREJ NIE MA

CZEŚĆ PIERWSZA,
BIAŁY RAIDER

1. Ślad

Uliczka była obrzydliwie wąska i składała się z samych zakrętów. Biegłem po wyszlifowanych przez czas kamieniach, ślizgałem się na stertach odpadków, objąłem o nieprzyjemnie wilgotne ściany. Z okien umieszczonych co najmniej dwa metry nad ulicą, w dodatku zakratowanych, padało słabe światło. Kilka razy rzucono we mnie z góry pustymi butelkami, na szczęście niezbyt celnie.

Sądząc po tupocie, prześladowcy mnie doganiali. Tutejsze zaułki znali znacznie lepiej niż ja i zapewne mieli większe doświadczenie w pościgu po kamiennych labiryntach. Jedyne, co im przeszkadzało, to zbyt duża liczba ścigających i zbyt gorące pragnienie rozprawienia się ze mną. Kilka razy usłyszałem za sobą łomot upadku, hałas i nieuniknione przekleństwa towarzyszące tworzącemu się zatorowi.

Na kolejnym zakręcie mignęła mi z przodu sylwetka człowieka, którego tropiłem od dwóch tygodni. Uciekał z szybkością, jaką daje jedynie śmiertelne zagrożenie. Zdumiewające swoją drogą, jaką prędkość może rozwinąć chudy, kulejący i w dodatku pobity pół godziny temu nieudacznik.

Nie zatrzymując się, wyjąłem z kieszeni na piersi dwie lekkie białe kulki przypominające piłeczki pingpongowe. Ścisnąłem je w dłoni, zgniatając powłokę ochronną i rzuciłem za siebie. W gruncie rzeczy nie miałem nic przeciwko moim prześladowcom i wierzyłem, że mają ważne powody do niezadowolenia. Ale nie będę przecież tracił czasu na pokojowe pertraktacje!

Zostawione na drodze kulki zadziałały bez zarzutu. Nie widziałem wprawdzie, jak się otwierają, zmieniając w kwadratowe sieci z cienkiej, niemal niewidocznej nici. Ale trudno nie usłyszeć wrzasków ludzi, którzy wpadli w zastawione pułapki.

Po chwili krzyki umilkły. Pajęczynowe miny nie zabijają od razu, ale oplątując ofiarę, w pierwszej kolejności pozbawiają ją możliwości oddychania.

Kości zaczynają pękać dopiero po kilku chwilach.

Przyspieszyłem. Jeśli ulica się rozgałęzi, to mój własny zbieg będzie miał szansę uciec.

Ale jeśli właśnie na to liczył, przeliczył się.

Silnym uderzeniem w ramię przewróciłem go na jezdnię, prosto w kałużę pod jedyną na tej ulicy latarnią – oczywiście niedziałającą. Zatrzymałem się, łapiąc oddech.

Na razie z tyłu było cicho. Pogoń się zatrzymała.

– Idioto! – Z trudem powstrzymałem się od dosadniejszych epitetów. – Myślisz, że ratowałbym szulera dla przyjemności załatwienia go własnymi rękami?

Uciekinier nie odpowiadał. Leżał skulony w błocie, nie próbując wstać. Nachyliłem się i z obrzydzeniem przekręciłem go na plecy. Szara skóra mieszkańca planety Daliedo, czarne włosy i wyblakłe niebieskie oczy, poszarpana szrama na prawym policzku. Rysopis się zgadzał.

– Odpowiadaj uczciwie, a daruję ci życie. Rozumiesz? – Dotknąłem niepozornych przycisków na szerokiej złotej bransolecie i owalny kryształ zabłysnął złotym światłem. – To wykrywacz kłamstw – ostrzegłem. – Dobrze się zastanów, zanim mi coś powiesz.

Skinął głową i z obawą zerknął w ciemność, skąd znowu dobiegł hałas pogoni.

– Jesteś Redrak Sholtry z planety Dalyedo, były pilot flagowca drugiej ekspedycji transgalaktycznej, prawda?

– Od dawna nikt nie nazywa mnie tym imieniem.

– Odpowiadaj!

– Tak!

– Brawo – pochwaliłem, gdy kryształ na bransolecie mrugnął zielenią. – Tylko tak dalej. Jakie rejony zbadała ekspedycja?

– Do dwunastego włącznie od szóstej osi współrzędnych w systemie miar Dalyedo.

Bransoleta znowu zamigotała twierdząco.

– Nieźle – ucieszyłem się szczerze. – Pięćdziesiąt sześciennych jednostek...

– Pięćdziesiąt dwie.

Proszę, proszę... Wieloletnie pijaństwo najwyraźniej nie zaszkodziło pamięci byłego pilota.

– Przyczyny zagłady ekspedycji?

Mężczyzna milczał.

– To tylko ciekawość badacza – uspokoiłem go. – Nie zamierzam się za nikogo mścić.

– Bunt – odpowiedział niechętnie Redrak.

Zielone światełko na bransolecie. Uśmiechnąłem się.

– Pominę nieuprzejme pytanie, po czyjej stronie stałeś. To oczywiste... Słyszałeś o takiej planecie, co się nazywa Ziemia?

– Nigdy. Chyba nigdy.

– Czasami nazywają ją planetą, której nie ma.

Redrak wstał i oparł się o latarnię.

– Już wiem, kim jesteś – oznajmił.

– Zachowaj tę wiedzę dla siebie – poradziłem.

– Oczywiście, książę.

Tupot i wściekle ryki były coraz bliżej.

– Słyszałem o planecie Ziemia – ciągnął Redrak. – Ale zanim odpowiem, musi mi pan przysiąc, że mnie uratuje... przed tymi dzikusami.

– A jeśli nie przysięgnę? Redrak uśmiechnął się.

– Ma pan wykrywacz kłamstw, ale nie ma czasu na tortury i zastrzyk prawdy. Zabiorę swoją wiedzę ze sobą... choćby do grobu.

– Przysięgam.

– Domyślam się, o co chce pan zapytać, książę. Odpowiedź brzmi: nie. Nasza ekspedycja nie znalazła planety Ziemia. Ani żadnych poszlak co do jej współrzędnych.

Kryształ mrugnął zielonym okiem. Co prawda, po pewnym wahaniu... ale nie było czasu na zastanawianie się nad tym, bo zza zakrętu wyłonili się prześladowcy. Odwróciłem się do nich – zadanie mi ciosu w plecy nie leżało w interesie Redraka. Przeciwnie. Teraz byłem jego jedyną nadzieją.

– Są tutaj! – wrzasnął biegnący na czele dwumetrowy drab. Jego odwaga wyraźnie dorównywała wzrostowi – nie każdy ośmieliłby się biec jako pierwszy po doświadczeniach z pajęczynowymi minami.

W rękach dryblas tkwiła potężna pałka usiana metalowymi kolcami. Unosząc broń nad głową, drab ruszył w moją stronę. Z tyłu napierali inni miłośnicy linczu.

Niespiesznie wyciągnąłem miecz. Długi, cienki miecz z czerwonym przyciskiem na rękojeści.

Dryblas prychnął pogardliwie. Grzmotnął pałką w ścianę – na ulicę posypał się tynk i odłamki cegieł.

Przyjąłem pozycję bojową i nacisnąłem przycisk na rękojeści miecza.

Po ostrzu przebiegła fala ostrego białego płomienia, na chwilę oświetlając kilkanaście wściekłych pysków i najróżniejszą broń.

Dryblas stanął jak wmurowany i wychrypiał:

– Ma atomowy miecz!

Prześladowcy zatrzymali się, od razu tracąc cały bojowy zapał.

– Tak jest – potwierdziłem. – To atomowy miecz, którym całkiem nieźle władam. Albo rozejdziemy się pokojowo w różne strony, albo odejdę razem z moim przyjacielem, a wy zostanieie tu do rana. O świcie uprzątną wasze ciała, żeby nie cuchnęły.

Tłum zaczął się cofać. Nikt nie chciał witać dnia w ten sposób. Tylko dryblas z pałaniem ruszył się z miejsca.

– Bronisz oszusta, który okradał nas trzy wieczory z rzędu! – oznajmił kłótliwie.

– Jest mi potrzebny – powiedziałem po prostu.

– Zabiłeś dwóch chłopaków w oberży i jeszcze dwóch swoimi pułapkami na ulicy!

– Czy nie proponowałem wam od początku okupu za jego życie? Ten argument chyba podziałał. Dryblas opuścił bezużyteczną broń i odwrócił się. Jego towarzysze stali daleko z tyłu, przysłuchując się naszej rozmowie.

– Twoje słowa nie pocieszą rodzin zabitych... Odczepiłem od pasa skórzaną sakiewkę. To niewygodne, gdy nie ma w obiegu papierowych pieniędzy.

– Może złoto będzie bardziej przekonujące niż słowa? Dryblas skinął głową i szybko podniósł sakiewkę, która upadła tuż przed nim.

– Może... ale nie bardziej niż twój miecz – burknął. Poczekaliśmy, aż pechowi gracze i nie mniej pechowy miłośnik linczu odejdą i odwróciłem się do Redraka. Nigdzie nie uciekł, to oczywiste.

– Chodźmy – rzuciłem krótko. Ruszyłem w stronę przeciwną do tej, w którą poszedł tłum. – Twoja parszywa skóra drogo mnie kosztowała – powiedziałem ze złością. – Nie sądzę, by warta była życia czterech niewinnych ludzi.

– Proszę się nie przejmować, książę – oznajmił radośnie Redrak.

– Do tej oberży nie zaglądną porządni ludzie. A gardła podrzynają tam sobie co tydzień, bez pomocy obcych.

– Nazywam się Serge. Kapitan Serge, jeśli wolisz – przerwałem. – O reszcie radzę zapomnieć.

– Kapitan Serge, jak mniemam, ma własny statek? – zainteresował się przymilnie rozmowny szuler.

Nie odpowiedziałem.

– Zaryzykuję i poproszę kapitana o niewielką przysługę. Nie mam ochoty zostawać w tej mieścinie, a zarobiłem tu grosze, więc czy nie zechciałby pan podwieźć mnie do dowolnej planety z powietrzem, wodą i ludźmi lubiącymi hazard?

Chciało mi się śmiać.

– Redrak, ludzie często mówią mi, że jestem bezczelny. Ale widzę, że pod tym względem nie dorastam ci do pięt.

– Jest pan jeszcze taki młody, kapitanie... Wszystko przed panem.

Roześmiałem się i nieoczekiwanie powiedziałem:

– Dobrze, Redrak. Zawiozę cię na inną planetę. Ale całą drogę spędzisz w pokładowym karczerze. Nie korzystam z niego od dwóch lat. Karygodne marnotrawstwo.

– Całkiem rozsądne posunięcie – zgodził się uprzejmie Redrak.

– To standardowy karczer? Dwa na dwa, pięć stopni powyżej zera?

– Oczywiście.

– Cóż, w trumnie jest ciasniej i zimniej – zauważył filozoficznie Redrak. – Dziękuję, kapitanie.

– To ma być cała twoja wdzięczność?

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Ulica nadal była kręta, ale teraz odrobinę szersza. Musiałem skrócić krok, żeby Redrak nie został w tyle.

– Kapitanie, postępuje pan bardzo szlachetnie.

– Aż za bardzo.

– Nie, kapitanie. W sam raz. Zrewanżuję się niezłą wiadomością. Druga transgalaktyczna rzeczywistość nie dowiedziała się niczego o Ziemi. Ale rok temu spotkałem człowieka, który

twierdził, że był na planecie, której nie ma. Doleciał do niej na uszkodzonym statku... uciekając przed natrętnym krążownikiem patrolowym.

Serce mi przyspieszyło. Spytałem stłumionym głosem:

– Cóż warte są pijackie przechwałki?

Fakt, kapitanie, był bardzo pijany. Nawet za bardzo jak na gracza, ale za to przekonująco opowiadał, jak kupował pluton i tytanowe płyty w dużym mieście na brzegu oceanu. To miasto nazywało się chyba... Niujork.

– Powtórz! – krzyknąłem, chwytając Redraka za ramiona. – Powtórz nazwę miasta!

Redrak powtórzył, podkreślając każde słowo:

– Spotkałem człowieka, który twierdził, że był na planecie, której nie ma. W mieście zwanym Niuork albo Niujork kupował materiały niezbędne do naprawy statku. Jestem pewien, że nie kłamał.

Wskaźnik bransolety świecił zielonym ognikiem. A ludzie tacy jak mój nowy znajomy nigdy nie mówią prawdy niekorzystnej dla nich samych.

– Obawiam się, Redrak, że nasza znajomość potrwa dłużej, niżbym chciał – wyszeptałem, puszczając Dalyedańczyka.

Redrak skinął głową.

– Bardzo na to liczę, książę.

Były pilot siedział przy terminalu komputerowym ponad trzy godziny. Cały ten czas spędziłem na małej narożnej kanapce, czując się jak gość we własnej kajucie.

Redrak Sholtry posługiwał się komputerem jak wirtuoz. Szeptał do mikrofonu urywane polecenia, przechodził na klawiaturę, a czasem po prostu kreślił coś w powietrzu smukłymi, zręcznymi palcami. O takim poziomie kontaktowania się z kompem mogłem tylko marzyć.

Posłuszny poleceniom komputer tworzył obraz holograficzny. W obracającym się nad terminalem holosześcianie pojawiła się ludzka twarz – najpierw niewyraźna, rozmazana, potem linie nabrały wyrazistości, widać było krótko obcięte włosy i wąskie brwi. Obraz stał się kolorowy – blada skóra z lekkim żółtym odcieniem, włosy czarne, oczy ciemnoszare.

Teraz Redrak wprowadzał poprawki. Uszy wytrzymały szereg zmian, oczy się zwężyły, na nosie pojawiła się plamka – pieprzyk albo ślad po oparzeniu. Kości policzkowe lekko się zaostrzyły.

Przez jakiś czas Redrak przyglądał się efektom swoich twórczych wysiłków. W końcu, zerkając na leżącą między nami bransoletę-wykrywacz, oznajmił:

– To portret człowieka twierdzącego, że był na Ziemi. Wykonany z maksymalną dokładnością.

Bransoleta świeciła zielono.

– Bardzo przeciętny wygląd – zauważyłem z irytacją. – Co dziesiąty, a nawet co piąty mężczyzna w konkretnym przedziale wiekowym będzie podejrzany. Nietrudno zmienić kolor włosów, a skóra może pociemnieć od opalenizny. Mógł przytyć albo schudnąć...

– Tak, kapitanie, minęło już trzy lata. Człowiek jego profesji może się w tym czasie bardzo zmienić. Jeśli w ogóle jeszcze żyje.

– Naprawdę nie nasz jego nazwiska ani ojczystej planety?

– Nie, kapitanie.

Przez jakiś czas milczałem, patrząc na trójwymiarowy portret pirata kosmicznego, który zdobył w Nowym Jorku pluton i tytan do naprawy swojego statku. Redrak Sholtry z uporem dążył do swojego celu – i przy tym działał wyjątkowo uczciwie. Wiedział, czego potrzebuje, i wykorzystywał swoją przewagę, jak tylko mógł.

– Coś mi się wydaje – powiedziałem złośliwie – że poznałbyś tego człowieka bez względu na to, jak bardzo by się zmienił.

– Ma pan absolutną rację, kapitanie.

Uśmiechnąłem się. Sholtry potrzebował mnie nie mniej niż ja jego.

– Włączenie do załogi byłego buntownika to mało radosna perspektywa.

– Rozumiem pańskie wątpliwości, kapitanie. Ale nie mam najmniejszego zamiaru pana zdradzać. Po prostu obecny zawód z każdym dniem staje się coraz trudniejszy.

Popatrzył na mnie uczciwym spojrzeniem utalentowanego oszusta.

– Jest tylko jedna możliwość włączenia cię do załogi „Terry” – powiedziałem twardo. – Kodowanie psychiczne.

Redrak zachnął się i zerwał z fotela.

– A nie zechciałby pan odprowadzić mnie do karceru, kapitanie? – zapytał z uprzedzającą grzecznością. – Z przyjemnością ponudzę się tam do pierwszej zamieszkaney planety.

– Czy nie lepiej będzie, jak odprowadzę cię do śluzy? – zasugerowałem. – Jeszcze nie wystartowaliśmy i za dwie godzinki będziesz mógł wrócić do poprzednich zajęć.

Redrak skinął głową i z dziwną dumą oznajmił:

– Dobrze, kapitanie. Zgadzam się zginąć jako człowiek wolny. Ale żyć jako niewolnik nie zgodzę się nigdy.

A to ci szuler pijaczyna... Lepiej umrzeć stojąc, niż żyć na kolanach. Zresztą sam nigdy nie miałem nic przeciwko temu hasłu.

– Proponuję ci częściowe kodowanie, a nie całkowite stłumienie woli. Chwytasz różnicę?

– I jakież to reguły chce mi pan narzucić?

Z uśmiezkiem obserwowałem czujną twarz Redraka. Na szczęście nie będę musiał na nowo odkrywać Ameryki. Pewien mądry pisarz, żyjący nieopodal „Niujorka”, wymyślił te teorie dawno temu. Jedyne, co będę musiał zrobić, to zaadaptować trzy prawa robotyki Asimova na

potrzeby człowieka.

– Pierwsza: nie możesz swoim działaniem czy brakiem działania wyrządzić szkody członkom załogi mojego statku. Rozsądne?

Redrak skrzywił się jak męczennik.

– Druga: musisz wykonywać wszystkie regulaminowe obowiązki w zakresie, w jakim nie kłóć się one z pierwszym prawem. Zgoda?

– No...

– Trzecia: masz prawo dokonywać dowolnych czynów, niesprzecznych z dwoma pierwszymi prawami. Koniec.

Jasne, porządnie przerobiłem prawa Asimova, zaczynając od tego, że sprowadziłem pojęcie „człowieka” do wąskiego kręgu członków załogi... Ale w końcu Redrak nie jest robotem, a ja nie jestem Stwórcą, który wziął się za jego reedukację.

Nie sposób podróżować po kosmosie w białych rękawiczkach.

– Te prawa bardzo przypominają przysięgę wierności na statkach pirackich – skomentował ponuro Redrak.

– Skoro tak mówisz...

– Jaką karę pociągnie za sobą złamanie tych praw?

– Standardową. Zatrzymanie pracy serca.

Redrak milczał.

– Decyduj – powiedziałem. – Decyduj, Sholtry. Potrzebuję tylko gwarancji dla twoich obietnic. Zgódź się albo ruszaj do karceru. Dostarczę cię do najbliższej planety, na której jest życie.

2. Nocny gość

W luk ktoś zastukał. Cicho, ale wyraźnie. Z trudem rozkleiłem powieki. Nie ma co, wybrałem sobie idealne miejsce do wypoczynku – w przedziale śluzowym, na zimnej, pokrytej ceramicznym, chropowatym pancerzem podłódze kutra. Jeśli nie nabawię się zapalenia płuc, to tylko dzięki termoizolacji kombinezonu pilota. Pod głową miałem torbę z narzędziami, dziesięć centymetrów od wyciągniętej ręki leżała niewyłączona lutownica, niczym rozpalone żądło.

Usiadłem i potarłem twarz zimnymi dłońmi. Po jaką cholere automatyka utrzymuje w służbie temperaturę otoczenia? Czy w ramach przygotowania do warunków panujących na zewnątrz, czy to po prostu oszczędność energii?

Czego jak czego, ale energii nie musieliśmy oszczędzać. Spadając w lesie, statek nie uszkodził reaktora, tylko dysze i połowę automatyki.

Sporo zresztą zepsuło się wcześniej, podczas krótkiego, najwyżej trzysekundowego pojedynku z pirackim statkiem. Jego destruktory, nastrojone na materiał logicznych kryształów komputerów, załatwiły nam znaczną część elektroniki, zanim salwa naszych laserów przebiła osłonę korsarza. Wrogi statek przemienił się w obłok rozpalonego gazu, a nas czekało przymusowe lądowanie.

Znowu zastukano. Zerknąłem na zegarek i westchnąłem. Pięć godzin snu po dwóch dobach nieprzerwanej pracy to jednak zbyt mało. A w ogóle to po co się dobijać do luku? Nie prościej nacisnąć guzik?

Odwróciłem głowę w kierunku, z którego dobiegał dźwięk, i dopiero teraz zrozumiałem, co się dzieje.

Nie chodziło o drzwi prowadzące do wewnętrznych pomieszczeń statku. Ktoś stukał do zewnętrznego włazu.

Senność się ulotniła. Dotknąłem płaszczyznowego miecza wiszącego na magnetycznej pochwie przy pasie, przesunąłem zabezpieczenie. Na zewnątrz nie mogło być nic, co stawiałoby opór jednoatomowej klindze. Zaraz po lądowaniu statek uruchomił generator pola neutralizującego. Ani laserowe działa, ani destruktory, ani bomby termojądrowe nie zadziałają.

Zresztą czy mogły być jakieś lasery na planecie o ustroju feudalnym?

Pewnie to mój słaby punkt: nie potrafię nie otworzyć drzwi, do których ktoś stuka, nawet jeśli za nimi stoi niewiadoma. Od dziecka nie znosiłem wyłączonych telefonów i zamkniętych na klucz drzwi.

Pancerz „Terry” pokrywały co prawda setki detektorów, zdolnych przekazać dokładny trójwymiarowy obraz przestrzeni przed statkiem. Ale właśnie te czujniki miałem naprawić, gdy zmorzył mnie sen.

Dotknąłem sensorów i wybrałem kombinację cyfr odblokowującą właz. Elektroniczny zamek

był zbyt prosty, by mógł mu zaszkodzić cios destruktora.

Po monitorze detektorów klimatycznych – które oszczędził przypadek – przemknęła linijka symboli. Podświadomość przetłumaczyła je odruchowo: „Atmosfera odpowiednia do oddychania, brak toksyn. Temperatura plus siedem stopni, wilgotność czterdzieści sześć procent, prędkość wiatru półtora metra na sekundę”.

Niezbyt przytulny zakątek...

Powtórny dotknięciem potwierdziłem polecenie otwarcia włazu. Cielsko płyty powoli uniosło się w górę.

Białe światło zapalonych lamp rozproszyło ciemność przed lukiem. Mżawka osiadająca na błotnistej ziemi, wąski metalowy trap biegnący w dół, zwalone podczas lądowania drzewa wyglądające jak saksauł owinięty drutem kolczastym.

Pusto.

Wpatrywałem się w ciemność, mrużąc oczy pod mokrym dotykiem wiatru. Nikogo nie ma. I nikogo nie mogło być – wylądowaliśmy w środku lasu. Gdyby nawet któryś z tubylców zapędził się w okolice statku, i tak nie podszedłby do niego z własnej woli. Ogromna metalowa kula spadająca na las w kłębach płomieni, wysuwająca grube podpory, łamiąca stuletnie drzewa jak zapalki... To nie jest widok dla ludzi średniowiecza. A wspinanie się po pięciometrowych schodkach, wyglądających tak, jakby miały się zaraz złamać, łomotanie w owalny luk, w niczym nieprzypominający normalnych drzwi, byłoby sprzeczne z ich logiką...

Może jednak stukano od wewnątrz? Albo może mam halucynacje?

– Zabłądziłem...

Jednak halucynacje. Znowu wyrząłem na zewnątrz. Omamy słuchowe przeszły w zwidy, przyjmując postać małej ciemnej figurki stojącej na schodkach w połowie drogi do luku.

– Zabłądziłem – powtórzyła figurka cienkim dziecięcym głosem.

– Właz – powiedziałem, wyciągając rękę. Sytuacja powoli stawała się normalna. Może miejscowi rycerze nie zaryzykowałiby stukania do kuli, która spadła z nieba. Ale zagubione, zmarznęte dziecko bardziej przestraszy się ciemnego lasu niż tajemniczego „zamku”.

Ująłem chłopca – a może dziewczynkę? – za rękę i wciągnąłem do środka.

Jednak chłopiec, chyba dwunastoletni. Kolor włosów i skóry, ukryty pod szczelną warstwą błota, pozostawał zagadką. Posiadacz bujnej wyobraźni mógłby strzępy ubrania uznać za spodnie i kurtkę.

– Jesteś sam? – zapytałem, ze współczuciem gapiąc się na nieoczekiwanego gościa.

– Tak... zabłądziłem.

– To już wiem. Załóżmy, że teraz się znalazłeś. Zamknąłem właz. Chłopiec nie ruszał się z miejsca, w żaden sposób nie reagując na to, co się działo. Nie zdziwiło go ani elektryczne oświetlenie, ani sam kuter. Pewnie jak się człowiek pół nocy przedziera przez kłujące krzaki i nie

mniej kolczaste drzewa, to potem brak mu sił na zdumienie. Chłopiec przede wszystkim potrzebował gorącej kąpieli. Później będzie można zająć się leczeniem, karmieniem, wypytywaniem, gdzie mieszka i odpowiadaniem na nieuniknione pytania.

– Możesz iść? – Leciutko poklepałem gościa po ramieniu.

Podtrzymując chłopca za łokieć, wszedłem do windy. Gdy kabina się zatrzymała i znaleźliśmy się na szerokim korytarzu poziomym mieszkalnego, mały wyszeptał:

– Ciepło...

Bose stopy zostawiały na białej puszystej wykładzinie szare ślady. Z żalem przypomniałem sobie, że większość automatycznych sprzątaczy nie działa, a do ich naprawy jeszcze się nie zabraliśmy. Za mało było ludzkich rąk na moim statku...

– Wchodź.

Otworzyłem drzwi swojej kajuty i zaprowadziłem go do łazienki. Chłopiec nie zadawał żadnych pytań, co mi bardzo odpowiadało. Im mniej zapamięta z tego, co się dzieje, tym lepiej dla niego. Gdy wyjaśni, skąd się wziął, dostanie tabletkę silnego środka usypiającego. Potem półgodzinny lot flakerem i pobudka na progu domu. Statek zostanie w jego pamięci jako czarodziejska baśń.

W najgorszym razie na planecie powstanie legenda o dobrym czarodzieju z magicznego Żelaznego Zamku.

Wyregulowałem temperaturę i ciśnienie wody, rozpakowałem bakteriobójcze mydło. Chłopiec obserwował moje poczynania z pewnym zainteresowaniem.

– Wchodź. Tutaj.

„Tutaj” oznaczało wannę – pojemnik z różowego plastiku o średnicy dwóch metrów. Nie sądzę, by jakiś mieszkaniec tej planety spotkał się z czymś takim.

–Ja sam...

– Pomogę ci. Nie wstydz się.

Chłopiec popatrzył na swoje łachmany.

– Nie mam się już czego wstydzić.

Pomogłem mu zdjąć resztki ubrania i wejść do wanny. Dalsza procedura przypominała wykopywanie ziemniaków na mokrym jesiennym polu.

Dziesięć minut później obejrzałem krytycznie efekt swoich wysiłków. Chłopiec wyglądał prawie jak Ziemianin. Lekko opalony, ciemnowłosy smarkacz, podrapany w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Poważnych ran nie zauważyłem... cóż, przynajmniej tyle. Zmieniłem wodę i zostawiłem go, żeby się wygrzał, a sam wyszedłem z kajuty.

Pojawiające się problemy najlepiej rozwiązywać możliwie szybko i przy jak najmniejszym wysiłku. Wyjąłem z kieszeni na piersi płytkę fonu.

– Lans, jesteś zajęty?

Na płaskim ekraniku pojawiła się twarz drugiego pilota. Właśnie wydostawał się z wąskiej rury wypchanej pajęczyną przewodów i otwartymi pudełkami układów logicznych. Nawet nie przypuszczałem, że na statku są takie zakamarki.

– Średnio, kapitanie. Kończę regulację czujników zewnętrznych.

Uśmiechnąłem się. Musztarda po obiedzie.

– Możesz przyjść do mojej kajuty?

– Oczywiście, kapitanie – odparł z gotowością Lans. – Coś się stało?

Streściłem mu sytuację. Lans tymczasem wyszedł z tunelu i nie przerywając połączenia, ruszył do windy. Kątem ucha słuchałem plusku wody za przykniętymi drzwiami. Wyjaśniłem Lansowi jego zadanie.

– Chłopca trzeba nakarmić, naszpikować lekarami, dowiedzieć się, gdzie mieszka, i dostarczyć flarem pod dom.

– Rozumiem.

Lans już jechał w ciasnej kapsule szybkobieżnej windy. Fon nadal trzymał przed sobą, więc mogłem dostrzec jego ponurą minę.

– Kapitanie, czy powierza mi pan to zadanie dlatego, że jestem najmłodszym członkiem załogi? – zapytał urażony.

Uśmiechnąłem się pojednawczo. Prawdziwa przyczyna była jeszcze gorsza – Lans o naprawie układów elektronicznych miał nie większe pojęcie niż ja.

– Tak. Jesteś od niego starszy o pięć lat, łatwiej będzie wam znaleźć wspólny język. Musimy jak najszybciej pozbyć się naszego młodego gościa i kontynuować przygotowania do startu.

Lans stanął w otwartych drzwiach windy. Chowając fon do kieszeni kombinezону, zapytał krótko:

– Ciągle jest w łazience?

Skinąłem głową.

– Możesz wyciągnąć go z wody, wytrzeć i przystąpić do karmienia. I zrób to w miarę sprawnie, dobrze?

– Jasne, kapitanie – obiecał posępnie. – W korpusie kadetów często przydzielano mi nowicjuszy jako podopiecznych. Mam pewne doświadczenie...

Z trudem stłumiłem uśmiech.

Znałem Lansa wystarczająco dobrze, żeby nie przejmować się tą udawaną surowością. W walce mógł z zimną krwią zabić kilku przeciwników, ale bezbronnemu chłopcu nie da nawet klapsa.

Zamknąłem oczy i zapadłem w drzemkę. Mam chyba prawo przespać się tę godzinkę, gdy Lans będzie się zajmował młodym aborygenem?...

– Kapitanie!

Popatrzyłem na Lansa, odpędzając senne oszołomienie. Takiego zdumienia w jego głosie nie słyszałem nawet po pojedynku w Świątyni Wszechświata.

– Kapitanie – powtórzył Lans już ciszej. – Przepraszam... W jakim języku rozmawiał pan z chłopcem?

Nasz nocny gość stał za Lansem, zawinięty w wielki kosmaty ręcznik, i z ciekawością patrzył na pilota.

– Głupie pytanie. W standardowym galaktycznym, oczywiście. Innych nie znam.

– Widzi pan, kapitanie – wytłumaczył cicho Lans – z galaktycznego chłopiec nie rozumie ani słowa.

Zmęczenie pozbawiło mnie możliwości logicznego myślenia. Powtórzyłem z uporem:

– Rozmawialiśmy w standardzie, Lans.

– Skąd ten dzieciak miałby znać galaktyczny język? Planeta jest bardzo zacofana, statki lądują na niej wyłącznie przypadkiem. Zgodnie z informatorem, tubylcy porozumiewają się kilkoma miejscowymi dialektami...

Podszedłem do chłopca i przykucnąłem obok niego. Zapytałem:

– Rozumiesz mnie?

-Tak.

– A mojego przyjaciela?

– Nie.

Coś zaczęło do mnie docierać, ale zbyt powoli. Zapytałem tępo:

– W jakim języku mówisz?

Chłopiec ziewnął. Gorąca kąpiel zupełnie pozbawiła go sił, zasypiał na stojąco.

– Po rosyjsku.

Usiadłem, a Lans zapytał rozczarowany:

– Więc to właśnie jest Ziemia, kapitanie?

3. Burza mózgów

Sala była obliczona na dużą załogę. Teraz, gdy znajdowała się w niej tylko nasza czwórka, wydawała się pusta.

Obrzuciłem spojrzeniem moich towarzyszy.

Ernado, mój były nauczyciel, obecnie porucznik imperatorskich wojsk lotniczych planety Tar, siedział rozwalony w wygodnym fotelu. Narzucony na kombinezon luźny „naelektryzowany” płaszcz nadawał mu pokojowy wygląd. Tylko blizny na twarzy nie pasowały do tego obrazu.

Lans, jedyny kadet, który ocalał z 230. grupy korpusu oficerskiego Tara. Otrzymał Order Wierności, najwyższe odznaczenie swojej planety... i został pozbawiony stopnia za decyzję przerwania nauki i wyruszenia ze mną w niekończący się lot ku Ziemi.

Redrak Sholtry, jeden z najlepszych pilotów Dalyedo, pirat. Oszust i – po seansie hipnokodowania – mój ochroniarz mimo woli.

Załoga składająca się z dwóch przyjaciół i jednego niewroga. Ludzie, którzy z najróżniejszych przyczyn zdecydowali się pomóc mi w poszukiwaniu Ziemi.

Milczenie się przeciągało. Zapewne wszyscy mieli coś do powiedzenia, ale zasady regulaminu i niepisane prawa statku wymagały, by kapitan przemówił jako pierwszy.

– Na mojej planecie – zacząłem – na tej samej, której tak beznadziejnie szukamy już drugi rok, istnieje pojęcie „burzy mózgów”. Zasada jest prosta: mówi się najróżniejsze brednie dotyczące interesującego nas problemu, a potem się człowiek zastanawia, czy w tym steku bzdur nie ma czegoś sensownego.

– Czyli to, co robisz zazwyczaj – burknął Ernado. Nasza dawna umowa zwalniała go z nadmiernego szacunku.

Lans skinął głową, nie wiadomo, czy zgadzając się ze słowami Ernada, czy z moją propozycją. Redrak zakręcił się w fotelu.

– Wolałbym najpierw otrzymać więcej informacji, kapitanie. Porozmawiać z chłopcem...

– Dzieciak śpi – sprzeciwiłem się twardo. – Spędził całą noc w lesie, błakając się w ulewnym deszczu. Musi odpocząć.

– Można go obudzić, nic mu się nie stanie. Zbyt ni sentymentalizm...

– Wystarczy, Redrak! – przerwałem mu. – Chłopiec jest z mojej planety, rozumiesz? Odpowiadam za niego. Dopóki ja jestem tu kapitanem, będzie gościem, a nie jeńcem!

– Nie byłbym taki pewien, że chłopiec rzeczywiście jest z Ziemi – nie poddawał się Redrak.

– I ja, i Lans sprawdziliśmy jego słowa wykrywaczem kłamstwa.

Znasz chyba to urządzenie? – zakończyłem złośliwie. Redrak zamilkł. Usatysfakcjonowany mówiłem dalej: – A więc ile wiemy? Chłopiec nazywa się Danił, ma jednaście lat...

– To ziemskie imię? – wtrącił się natychmiast Redrak.

– Ziemskie. Niezbyt popularne, ale... Mieszka w mieście Kursk. To ziemskie miasto, Redrak. Byłem tam przejazdem. Nawet kojarzę ulicę, którą wymienił chłopiec.

Redrak skinął głową. Ernado uśmiechnął się złośliwie. Wyraźnie bawiła go gorliwość, z jaką Sholtry próbował zdemaskować podejrzanego przybysza i uchronić mnie przed niebezpieczeństwem. Nic dziwnego. Jeśli Redrak poczuje, że jest osobiście winien czegoś, co stało się jednemu z członków załogi, w jego świadomości zadziała mina o opóźnionym zapłonie. Hipotetyczny rozkaz zostanie aktywowany i były pirat umrze...

– Danił nie podejrzewał, że nie jest na Ziemi. Mówi, że pamięta jedynie, jak zabłądził w lesie, wpadł w jakieś bagno i długo próbował się z niego wydostać. Potem zrobiło się ciemno, a on szedł przez las. Nie zatrzymywał się, bo było zimno i padał deszcz. Zauważył, że drzewa są jakieś dziwne, ale nie przywiązywał do tego szczególnego znaczenia. Gdy trafił na statek, pomyślał, że to fabryka albo stacja łączności kosmicznej. Odszukał właz i zaczął stukać...

– Co za zdumiewająca historia – zauważył sarkastycznie Redrak. – Zabłądził na jednej planecie, a znalazł się na innej. Szedł przez las zajmujący połowę kontynentu i wpadł na jedyny gwiazdolit. W dodatku dokładnie w momencie, gdy systemy ochronne są nieczynne, a kapitan zasnął w śluzie i może usłyszeć pukanie. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby pukać do statku kosmicznego!

Chciałem mu przerwać, ale uprzedził mnie Lans.

– Nieufność to potrzebna rzecz, Redrak. Ale skoro nie wierzysz chłopcu, podaj bardziej prawdopodobną wersję.

Redrak wzruszył ramionami.

– Z przyjemnością. Zaczynamy burzę mózgów, kapitanie?

Skinąłem głową.

– Wersja pierwsza: chłopiec nie jest Ziemianinem. W ogóle nie jest człowiekiem. To istota obdarzona telepatią i mająca zdolność transformacji swojego ciała. Wyciągnęła z pamięci kapitana wszystko, co było konieczne do udawania ziemskiego dziecka, i przeniknęła na statek. Istota imituje Ziemianina, ponieważ jest to ojczysta planeta kapitana, pierwszego człowieka, którego spotkał na statku... a przyjęła postać dziecka, ponieważ usypia to naszą czujność. Albo po prostu brakuje mu masy do imitowania dorosłego człowieka.

– Ale gdy istota nas pożre, wystarczy jej masy do imitowania hipopotama – podjął poważnym tonem Lans. – Bzdura, Redrak! Taka nadistota od razu załatwiłaby kapitana, a następnie mnie. A teraz kończyłaby trawienie ciebie i Ernada. Poza tym przebadaliśmy chłopca cyberdiagnostyką. W jego organizmie nie ma żadnych odchyleń.

– Ta resztką aparatury diagnostycznej, która ocalała, nie zdołałaby niczego wykryć. – Ernado nieoczekiwanie przyszedł Redrakowi z pomocą. – Pierwsza przyczyna jest znacznie bardziej

przekonująca. Nierozumny drapieżnik zaatakowałby od razu, a rozumne stworzenie wymyśliłoby bardziej wiarygodną wersję.

– Dobrze – zgodził się szybko Redrak. – Wersja druga: chłopiec jest tubylcem obdarzonym telepatią. Ziomkowie wysłali go, żeby zawładnąć statkiem. Możliwości ma niewielkie, naszych sił nie zna... więc czeka, aż stracimy czujność.

Tym razem nikt nie zaprotestował, ale też nie poparł Redraka.

– To wszystkie twoje wersje? – zapytałem. – Na Ziemi zrobiłbyś karierę jako scenarzysta horrorów... Lans?

– Ja mam tylko jedną wersję – zaczął kadet lekko zmieszany. – Być może jestem zbyt ufny, ale moim zdaniem chłopiec nie kłamie. Zgodnie z teorią hiperprzestrzeni, możliwe są samorzutne zakłócenia cztero wymiarowego kontinuum. Krótko mówiąc, chłopiec rzeczywiście jest z Ziemi. Na tę planetę dostał się przez hipertunel, który powstał samoistnie.

– Zbyt niesamowity zbieg okoliczności – zaprotestował pogardliwie Redrak. – Chłopiec trafił akurat tam, gdzie znajduje się jedyny we wszechświecie Ziemianin, który opuścił swój świat!

– Wiesz przecież, że teoria hiperprzestrzeni nie jest zbadana do końca – zaprotestował żarliwie Lans. – Kapitan mógł odegrać rolę katalizatora przeniesienia, żywej latarni morskiej, na którą został nakierowany hipertunel! Chłopiec trafił tam, gdzie znajduje się okruch Ziemi!

Parsknąłem śmiechem i zwróciłem się do zmieszanego Lansa: – Twoja wersja jest bardzo prawdopodobna... Zwłaszcza zachwyciły mnie dwa nowe określenia mojej osoby. Żywa latarnia morska i okruch Ziemi! Lepsze to niż marionetkowy lord, prawda?

– Katalizator przeniesienia też brzmi nieźle – rzekł w zadumie Ernado.

Lans poczerwieniał aż do nasady włosów.

– Ja tylko tak... w przenośni... – wymamrotał.

Podniosłem się z fotela i uściśnąłem mu rękę.

– Pokój, pilocie. Przepraszam. Szczerze mówiąc, twoja wersja bardzo mi się podoba. Ernado?

Były instruktor wyjął z kieszeni pudełeczko ze stymulatorem, wsunął do ust pachnącą cytrusami kapsułkę i cicho powiedział:

– Nie wierzę w przypadkowe hiperprzejście. Jeśli już mamy wygłaszać szalone hipotezy, oto jedna z nich: Danił rzeczywiście jest chłopcem z Ziemi, zdolnym siłą woli przenosić się przez hiperprzestrzeń. W kosmosie krążą legendy o takich ludziach... W takim przypadku nasz kapitan mógł rzeczywiście odegrać rolę latarni.

– To tylko legendy – zauważył z powątpiewaniem Lans. – Z gatunku żywych planet i jezior nieśmiertelności. Do takich sztuczek nie byli zdolni nawet Siewcy i ich wrogowie.

– Być może. Druga sugestia jest bardziej realna.

– Dzięki, że nas uprzedziłeś – burknął Redrak.

– Łączy wersje Lansa i Redraka – ciągnął spokojnie Ernado. – Ale na początek mam kilka pytań. Jak to się stało, że wyszliśmy z hiperskoku obok tej planety, a nie w rejonie Shedmona, dokąd zmierzaliśmy?

– Fluktuacja pola – odparł Redrak. – To się zdarza, chociaż rzadko.

– Bardzo rzadko. Powinieneś o tym wiedzieć najlepiej. Dalej: co robił na orbicie planety piracki statek? Tutaj nie ma dla niego zdobyczy.

– Ukrywał się przed krążownikiem patrolowym sektora – zasugerował Lans.

– Być może. Po co w takim razie atakował nasz gwiazdolot? Na policyjny krążownik nie wyglądamy, na łatwą zdobycz tym bardziej. Co potwierdziła walka.

– Chcesz powiedzieć, że przeciwko nam ktoś prowadzi wojnę? – włączyłem się do rozmowy.

– Wojnę albo inną okrutną grę. Szukaliśmy Ziemi przez dwa lata, kapitanie, i zazwyczaj te poszukiwania były wycieczką po mało zbadanych rejonach kosmosu. Skok do gwiazdy o spektrum klasy Słońca, sprawdzenie planet... Dwa, trzy kolejne skoki i powrót na najbliższą bazę orbitalną. Przegląd statku, uzupełnienie paliwa, odpoczynek... Ale w ciągu ostatniego miesiąca wszystko się zmieniło. Kwarantanna na Lodowej Kopule. Niskogatunkowe paliwo, sprzedane nam na Pomarańczowej. Odmowa naprawy w szóstej i czternastej bazie kosmicznej. Policyjny mandat za ponadnormatywne promieniowanie silników.

– Chcesz powiedzieć – zaczął z ukrywaną furią Redrak – że wszystkie nieprzyjemności zaczęły się po moim pojawieniu się na statku? Tak?

Ernado wytrzymał jego spojrzenie.

– Tak. Ale to nie twoja robota. Nie dałbyś rady prowadzić tak zmasowanego ataku. Prawdopodobnie rzeczywiście naprowadziłeś nas na ślad Ziemi... i komuś się to nie spodobało.

Zapadła cisza. Z trudem zmusiłem się do zabrania głosu.

– Ernado, mylisz się. Komu zaszkodzi, jeśli znajdziemy Ziemię? W galaktyce jest dziesiątki tysięcy zamieszkanego światów, handlujących i walczących ze sobą, znajdujących się na różnych stopniach rozwoju, od drewnianego pługa do hiperprzestrzennych statków. Komu może zawadzać jeszcze jedna planeta, niezbyt cywilizowana, niezbyt silna i wcale nie najładniejsza? Kto chce nam przeszkodzić?

– Nie wiem, kapitanie. Ale czuję coraz silniejszą presję. Zaczęło się od drobnych przykrości, a skoczyło na kosmicznej walce. Chłopiec jest tylko kolejnym ogniwem tego łańcucha.

– Kolejną drobną przykrością – próbował zażartować Redrak.

– Mam nadzieję, że tak. Myślę, że Lans ma rację i Daniil rzeczywiście jest z Ziemi. Zakładam, że on sam nawet nie podejrzewa, co się stało. Ale pojawił się na statku nie przez przypadek. Dostarczono go tu z Ziemi, śpiącego albo sparaliżowanego, porwano w czasie spaceru w lesie. Hiperprzestrzenny tunel wyrzuciłby chłopca w dowolnym punkcie planety, więc musiał mu towarzyszyć jakiś kuter. Daniila wysadzono w pobliżu naszego statku, wyznaczono

kierunek, gdy był pod lekką hipnozą... i sprawdzono, co się stanie dalej, korzystając z tego, że nasz statek po walce oślepl i ogłuchl.

– Przerzucenie kutra przez hipertunel... To dziesięć, może piętnaście ton masy – zastanawiałem się na głos. – Wyobrażasz sobie, ile by na to poszło energii? Czy nie taniej byłoby wynająć eskadrę statków, żeby nas zniszczyć? Jak może nam zaszkodzić jedenastoletni chłopiec?

– Powiedz mi szczerze, Serge – zapytał cicho Ernado – czy kiedy porozmawiałeś z małym i dowiedziałeś się, że jest z Ziemi, nie miałeś ochoty przerwać poszukiwań? Wrócić na Ziemię przez hipertunel, zobaczyć rodziny i przyjaciół, znowu żyć poprzednim życiem, tylko z nową wiedzą i możliwościami?

Zacisnąłem pięści aż do bólu. Ernado trafił w sedno.

– Nostalgia tkwi w każdym człowieku – mówił dalej w zadumie. – I nietrudno ją obudzić. Postanowiono wypróbować na tobie jeszcze jedną broń: psychologiczną. Dość humanitarną.

Pokręciłem głową.

– Humanitarną bronią mnie nie wezmą. Nie zrezygnuję z poszukiwań.

– Może Daniil ma również inne zadanie. Może w jego podświadomość wprowadzono zakodowany rozkaz: dokonać wybuchu reaktora lub zabić cię, jeśli nie zdecydujesz się wrócić na Ziemię.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Śpiący w mojej kajucie chłopiec mógł okazać się śmiertelnym wrogiem. Bezbronne dziecko, które kąpałem i opatrywałem godzinę temu, mogło być niebezpiecznym przeciwnikiem. Jeśli w jego świadomości coś zakodowano...

– Odnoszę wrażenie, Ernado – powiedziałem – że w swojej „burzy mózgu” użyłeś wszystkich naszych szarych komórek. Nie wiem, czyja wersja jest najbliższa prawdy, ale będziemy działać zakładając, że twoja.

Redrak skinął głową. Lans odwrócił wzrok.

– Po pierwsze, wszyscy rozchodzą się do swoich kajut. Ja i Lans śpiemy sześć godzin, Ernado i Redrak cztery. Musimy odpocząć.

Nikt nie protestował.

– Ernado i Redrak w dwie godziny po pobudce przygotowują systemy obserwacyjne gwiazdolotu i jeden z kutrów bojowych. Ja, Lans i chłopiec zrobimy sobie małą wycieczkę po planecie.

Redrak skrzywił się.

– Po drugie – ciągnąłem – w rozmowach z chłopcem wszyscy trzymają się wersji Lansa. Daniil nie powinien wiedzieć, że jest o coś podejrzewany. Wylądujemy na najbliższej rozwiniętej planecie i przez hipertunel przetransportujemy małego na Ziemię.

– Jeśli zdołamy opłacić hipertunel – zauważył pesymistycznie Ernado. – Remont statku może pochłonąć resztki naszego kredytu.

– Po trzecie, dopóki chłopiec zachowuje się normalnie, nie podejmujemy żadnych działań. Danił staje się członkiem załogi statku. Junga albo kadetem, jak wolicie.

Redrak z udręką pokręcił głową. Ten trzeci punkt dotyczył właśnie jego. Teraz Dalyedończyk musiał ochraniać życie chłopca jak swoje własne.

– To wszystko. Zarządzam odpoczynek – wstałem z fotela.

– Kapitanie, niech pan przeniesie chłopca ze swojej kajuty do mnie albo do Ernada – poprosił bezradnie Redrak.

Popatrzyłem na niego ze współczuciem.

– Zostanie z mną, ale nie ma w tym twojej winy. Ostrzegłem mnie, więc twój psychokod nie zostanie aktywowany, nawet gdyby Danił udusił mnie we śnie. Dobranoc.

Li W kajucie było ciemno, tylko na terminalu komputera migotało żółte światełko. Starłem się iść bezszelestnie. Czterokabinowy apartament przysługiwał tylko kapitanowi. Pozostali zadawalali się pojedynczymi kajutami.

Otworzyłem drzwi do sypialni i bez szczególnej nadziei na powodzenie poleciłem:

– Lampka nocna, słabe światło.

Nad łóżkiem rozlał się bladuróżowy blask. Brawo, Redrak. Za naprawę oświetlenia odpowiadał właśnie on.

Danił spał, obejmując rękami poduszkę. Zwinięta w kłębek kołdra leżała na podłodze.

Ciekawe, jak można rzucić przez sen „naelektryzowaną” kołdrę? Pewnie trzeba mieć duże doświadczenie w walce ze zwykłą...

Ostrożnie przykryłem chłopca. Cienka kołdra jakby wisiała w powietrzu, ledwie dotykając małego ciała. Na skórze dziecka błyszczały paseczki błony ochronnej przykrywające liczne zadrapania.

– Śpij, mały – wyszeptałem. – Śpij, Dańka...

Jeśli w jego świadomości rzeczywiście umieszczono kodowany program, znajdę człowieka, który wydał ten rozkaz, i zabiję go. Jeśli takiego programu nie ma, znajdę tego, który porzucił półnagiego chłopca w lesie obcej planety.

My, Ziemianie, bywamy bardzo okrutni.

Przesunąłem dłonią po miękkich, rozczochranych włosach. Co za szczęściarz, pomyślałem. Dobę temu był na Ziemi, oddychał jej powietrzem, siedł przez normalny, porządny las. Za tydzień znajdzie się tam znowu.

Dla mnie nie ma drogi na Ziemię.

Wyjąłem z szafy wnękowej czystą pościel i na palcach wyszedłem z sypialni. Zbędna ostrożność – chłopca nie obudzi teraz żaden hałas. Zmęczenie plus tabletki środka nasennego to bardzo skuteczna mieszanka.

Pościeliłem sobie na sofie w gabinecie i wszedłem pod prysznic. Stałem kilka minut pod jego

chłodnymi strumieniami, wreszcie wytarłem się i nagi wyciągnąłem się w czystej pościeli. Wszeptałem, czując, że zanurzam się w słodkie odmęty snu:

– Sygnał pobudki za pięć godzin i czterdzieści minut.

– Timer został włączony – odpowiedział takim samym szeptem blok serwisowy u wezłowa.

Już zasypiając, z wyrzutem pomyślałem, że w końcu nie wziąłem udziału w burzy mózgów. I nie wypowiedziałem swojego szalonego pomysłu, który do tej pory krążył mi po głowie...

4. Raider

Gdy diafragma luku zaczęła się rozsuwać i kuter wyleciał z hangaru, Daniil obejrzał się.

Na tylnym ekranie widać było oddalający się statek. Srebrzysta kula, wczepiona w ziemię dziesięcioma grubymi kolumnami podpór, otoczona pierścieniem powalonych i zwęglonych drzew przypominała Świątynię Siewców... na tyle, na ile tani samochód małowitrazowy przypomina luksusowego rolls-royce'a.

– Teraz wierzę, że nie jesteśmy na Ziemi – wyszeptał chłopiec. Skinąłem głową. Wschodzące za statkiem słońce było dwa razy większe od ziemskiego i miało barwę ciemnej miedzi. Rzeczywiste rozmiary różniły się jeszcze bardziej. Gwiazda Shor XVII była typowym czerwonym gigantem.

– Zawsze wiedziałem, że zdarzy mi się coś takiego – mówił dalej Daniil.

W dzieciństwie każdy wierzy w swoją niezwykłość. To właśnie nam przeznaczone są niezwykle przygody, starożytne skarby, piękne księżniczki i straszne potwory. Może to i lepiej, że tak szybko zapominamy o dziecięcych marzeniach. W przeciwnym razie wielu ludzi nie znalazłoby w sobie sił, by żyć.

Lans, siedzący w fotelu pilota, powiedział półgłosem:

– Dziękuję, Ernado, wyszliśmy ze strefy ochrony. Włącz generator.

W holograficznej mgiele szczęścia nad statkiem zamigotała różowa kopuła. Neutralizujące pole, wyłączone w chwili naszego startu, znowu okryło statek.

Daniil patrzył na hologramowy obraz jak zaczarowany. Potem przeniósł spojrzenie na Lansa.

– On nie zna rosyjskiego, kapitanie?

– Nie. Rozmawiamy w standardowym galaktycznym, to podstawowy język humanoidalnych planet. A tak w ogóle... gdy rozmawiamy nieoficjalnie, możesz do mnie mówić Siergiej. W przeciwnym razie wkrótce zapomnę, jak mam na imię.

– Dobrze. W takim razie niech pan mówi do mnie Dańka – zaproponował poważnie chłopiec. Skinąłem głową.

Daniil znowu popatrzył na Lansa i półgłosem powiedział:

– Wygląda zupełnie jak człowiek, prawda? A po tym z szarą skórą to od razu widać, że z innej planety.

– Nazywa się Redrak.

Dańka zachichotał. Pochwycił moje zdumione spojrzenie i wyjaśnił:

– Redrak. Przypomni mi się dowcip... o takim jednym nazwisku, którego nie tłumaczy się na rosyjski.

Z trudem stłumiłem chichot. Dowcip oczywiście pamiętałem. Ciekawe swoją drogą, że na żadnej innej planecie dowcipy nie są tak rozpowszechnione jak na Ziemi. Ale Daniila trzeba

przywołać do porządku.

– Słuchaj i postaraj się zapamiętać, junga – zacząłem.

Przestraszony Dańka skulił się.

– W galaktyce są tysiące planet zamieszkanymi przez ludzi. Czasem ich mieszkańcy bardzo przypominają Ziemiaków, czasem pod wieloma względami się od nas różnią. Szara skóra to drobiazg w porównaniu z pancerzem rogowym czy sierścią. Ale wszyscy wywodzimy się z jednego korzenia, wszystkich nas stworzyli Siewcy. W przeważającej większości przypadków geny mieszkańców różnych planet są identyczne. Rozumiesz?

Chłopiec niepewnie skinął głową.

– Spotykałem wiele imion, które Ziemiakom wydałyby się niezwykle zabawne. Ale nie należy się z nich śmiać, choćby przez wzgląd na własne bezpieczeństwo. Ziemia i tak nie jest zbyt szanowaną planetą. Rozumiesz?

Dańka powiedział żałośnie: – Już nie będę...

Lans mrugnął do mnie. Nie rozumiał naszej rozmowy, ale surowy ton nie wymagał tłumaczenia.

– Uczy pan dzieciaka grzeczności, kapitanie?

– Trzeba.

– Bardzo słusznie. Pójdziemy spiralą, kapitanie?

– Tak. Wiesz, czego szukamy?

– Obcego statku.

– Raczej jego śladu. Szansa jest niewielka, ale warto spróbować.

Lecieliśmy dość nisko, dwadzieścia metrów nad drzewami, za szybko, żeby dostrzec jakieś szczegóły, ale tym zajmowały się detektory poszukiwawcze, skanujące leśną gęstwinę we wszystkich możliwych zakresach. Skupisko metalu, promieniowanie cieplne, źródło radioaktywności – to wszystko mogło naprowadzić nas na ślad.

– Kapitanie – odezwał się cicho Dańka. – Kapitanie... Popatrzyłem na chłopca. Mój Boże, przecież on wygląda jak zbity pies. Zastosowałem zbyt surowy ton.

– Co, Dańka?

Chyba go zachęciłem.

– Kapitanie, dlaczego Ziemia nie jest szanowaną planetą? Bo ciągle walczymy, tak?

Wzdrygnąłem się. Co za idiota ze mnie. Przecież tyle dowiedziałem się od Daniła o tym, co wydarzyło się w mojej ojczyźnie przez te dwa lata...

Życie na granicy nędzy, elektryczność włączana na trzy godziny dziennie, mieszkania zamrażające zimą. To jedna strona medalu, ta, do której należał Dańka.

Wille nad Morzem Czarnym, wielopiętrowe domy, lustrzane witryny supermarketów. To wszystko dla innych...

Etap pierwotnej akumulacji kapitału. Prawa historii, żeby je diabli wzięli!

A poza tym lasy, dokąd chodzi się nie na spacer, lecz żeby zbierać grzyby i jagody zatrute chemikaliami. Cementarzyska toksycznych odpadków, przywiezionych z krajów rozwiniętych. Zmieniające się rządy. Niekończące się konflikty na nieuznawanych granicach. No i przestępczość. Wszędzie, w szkołach i na ulicach, pustoszejących, gdy zapadnie zmrok.

Świat, z którego ma się ochotę uciec. Świat, w którym w możliwość ucieczki wierzą tylko dzieci, chociaż są pewne, że bez względu na to, dokąd uciekną, będzie tam działać to samo prawo. Prawo silniejszego. Prawo jednego do decydowania za wielu. Prawo do fałszowania prawdy.

Czy naprawdę chcę, żeby ten świat Dańka zapamiętał w taki sposób? Surowa nagana kolejnego dowódcy, obwieszeni bronią supermani. Pogarda dla własnej planety.

– To długa historia, mały – powiedziałem łagodnie. – I wcale nie chodzi o to, że jesteśmy gorsi od innych.

Chłopiec szybko skinął głową, jakby zgadzał się z tym, że żadnych wyjaśnień nie będzie.

Westchnąłem i odwróciłem się do niego bokiem.

– Czasu mamy dużo... – zauważyłem niezbyt konsekwentnie. – Posłuchaj... wszystko zaczęło się miliony lat temu. W naszej galaktyce istniała cywilizacja, która sama siebie nazwała Siewcami. Najbardziej ze wszystkiego na świecie lubiła walczyć i tworzyć nowe życie.

Mówiłem, wybierając jak najprostsze słowa. O Siewcach, którzy przed swoim zniknięciem zostawili nasiona na wszystkich planetach z atmosferą. O Świątyniach, pozwalających cywilizacjom przemieszczać się od planety do planety. O Ziemi, na której z jakiegoś powodu Świątynia nie została zbudowana. O piętnie, które spoczęło na naszym świecie.

Opowiedziałem o księżniczce z planety Tar, o jej darze, o tym, jak mnie wezwała, bym uratował jej świat, który wpadł w pułapkę własnych tradycji. O Ernadzie, który stał się moim nauczycielem.

Dańka nie odrywał ode mnie płonących oczu, gdy opisywałem ucieczkę na flaerze z wyłączonym silnikiem i spotkanie z Lansem w bazie wojsk lotniczych. Wstrzymał oddech, gdy opisywałem pojedynek z Shorreyem, i zacisnął pięści, jakby do walki, gdy wyjaśniłem, dlaczego musiałem, już jako księżę, wyruszyć na dobrowolną tułaczkę. Na poszukiwanie planety, której nie ma. Naszej ojczyzny Ziemi.

– Więc jest pan księciem? Władcą całej planety? – wykrztusił w końcu.

– Formalnie. Dopóki Ziemi nie ma na gwiazdnych mapach, jestem włóczęgą. Przybyszem znikąd.

– Wszystko jedno. Znajdzie pan Ziemię?

– Nie wiem. – Doszedłem do granicy szczerości. Psychokod umieszczony w świadomości chłopca? Bzdura! A jednak powiedziałem: – Możliwe, że wrócę razem z tobą.

Wydawało mi się, że te słowa niezbyt go ucieszyły, ale nie zdążył nic powiedzieć.

– Przed nami osada – oznajmił Lans, lekko zmieniając kurs.

– Zaraz przelecimy nad wsią – przetłumaczyłem na rosyjski Daniłowi. Dotknąłem panelu sterowniczego, przełączając boczne ekrany na widok przestrzeni pod kutrem. Dańka drgnął; wrażenie było takie, jakbyśmy nagle przewrócili się na bok. Pod nami ścielił się brązowoszary dywan lasu. W świetle dnia wyglądał nie mniej nieprzyjaźnie niż w nocy.

– Zmniejsz prędkość do dwustu – poleciłem. – Chcę popatrzeć na tubylców.

Po kilku chwilach las zaczął rzednąć. Pojawiły się wypalone polany, kwadraciki pól obsiane jakimiś roślinami. Karczownicza uprawa roli, jeden z najbardziej prymitywnych sposobów zdobywania pożywienia.

Wkrótce pola się skończyły. Mignęły łańcuchy płotów, małe stożkowate chaty, trochę przypominające afrykańskie. Ludzie pomiędzy nimi zastygli w najbardziej dziwnych pozach, przykucnięci, przytuleni do ziemi, wpatrzeni w niebo. Ubrani w długie futrzane płaszcze, mieli nieoczekiwanie białą skórę i słomiane włosy.

– Typowa reakcja humanoidów na nieznamy obiekt latający – wyjaśnił Lans. – Uczono nas podstaw socjologii. Jeśli znajdą tu cenne złoża albo pożyteczne rośliny, planeta szybko się wzbogaci, a jakiś rozwinięty świat ustanowi nad nią protektorat.

Wieś została z tyłu.

Socjologia, protektorat, pożyteczne rośliny – mój mózg przetwarzał urzędowy język w zrozumiałe dla mnie słowa. Dla Dańki być może zabrzmiałyby one jak „nauka o kontaktach międzyludzkich, opieka, rzadkie zioła”... A dla mądrzejszego ode mnie przedstawiciela Ziemi pojęcia stałyby się bardziej złożone, co najlepiej oddałoby prawdziwy sens języka galaktycznego...

– Teraz widzisz, że to nie Ziemia – powiedziałem z ironią. – Ja i Dańka w niczym nie przypominamy tych ludzi.

Lans w milczeniu skinął głową.

W niczym nie przypominamy... Czy na pewno? Kolor włosów i skóry to drobiazg, sam przed chwilą wyjaśniałem to Daniłowi. Najważniejszy jest poziom techniki. A pod tym względem Ziemia jest równie zacofaną planetą co ten niegościnnie świat krążący wokół zimnej gwiazdy Shor XVII. Nad nią też mogą ustanowić protektorat i zacząć wydobywanie uranu, cenionego w kosmosie nie mniej niż u nas. Mogliby eksportować pawie pióra i chińskie jedwabie, indyjskie przyprawy i starożytne obrazy. Przy okazji Ziemia zostanie ucywilizowana, przerwie się niepotrzebne wojny, a w zamian protektorzy zaczną werbować młodzież do armii swojej planety...

Może mamy szczęście, że na Ziemi nie ma Świątyni? Rozwijamy się sami, nie odczuwając własnej niedoskonałości. Sięgamy gwiazd, nie przypuszczając, że możemy się znaleźć w długim

szeregu zacofanych, nikomu niepotrzebnych światów. Czy warto szukać Ziemi i otwierać jej szeroką drogę zamiast obecnej krętej ścieżki? Czy nie lepiej wrócić na nią razem z Daniilem... albo przynajmniej przerwać poszukiwania, za które w przyszłości przeklną mnie tysiące pokoleń Ziemian?

– Kolejna osada. – Głos Lansa wyrwał mnie z zadumy. – Przeczesałiśmy strefę o promieniu stu kilometrów wokół statku. Żadnych śladów.

– Kontynuujemy poszukiwania – odpowiedziałem Lansowi... i samemu sobie.

Muszę odnaleźć Ziemię. Choćby dlatego, że dotarł do niej ten cwaniak, który kupił pluton i tytan za kilka tanich technicznych nowinek. Chłopiec z Ziemi, Dańka, nie przypadkiem znalazł się obok mojego statku. Ktoś włączył się do tej gry, w której nagrodą jest Ziemia. Zresztą lepszy już protektorat Tara, zawdzięczającego swoją wolność Ziemianinowi, niż jakiegś innej planety. Może nie zostanę władcą Tara, ale księżniczka nigdy nie wyrządzi krzywdy mojej planecie.

Odnajdę Ziemię albo zginę. To więcej niż miłość. To życie Ziemi, która zrodziła mnie i wszystko, co jest mi drogie. Będę zabijał, będę łamał twarde galaktyczne prawa, zostanę zdrajcą i katem. Ale Ziemia musi pozostać wolna. Pamięć milionów przodków, sól ziemskich oceanów w mojej krwi – to wszystko nie pozwoli mi zrezygnować.

Mój świat musi pozostać wolny, w przeciwnym razie będę niewolnikiem nawet na tronie imperatorów Tara.

– Znowu wieś! – Dańka przykleił się do ekranu. – Rozbiegli się. Ale tchórze...

– Daniil zachwycony? – zapytał z uśmiechem Lans.

Skinąłem głową. Coś obudziło moją czujność.

– Ładny ten wasz język, książę. Niezrozumiały, ale przyjemny dla ucha. Aż chciałoby się go nauczyć.

– Nauczyłbym się rosyjskiego już choćby dlatego, że posługiwał się nim książę [Parafraza fragmentu wiersza W. Majakowskiego *Naszej młodości*: „Nauczyłbym się rosyjskiego już choćby dlatego, że mówił nim sam Lenin”] – zakpiłem i nagle zrozumiałem, co mi się nie spodobało. – Zawracaj do wsi, Lans!

Lans od razu wykonał rozkaz, niemal od razu zmieniając kierunek lotu przy takiej prędkości, że kula grawikompensatora skurczyła się, pochłaniając przeciążenia. Dańka jęknął. Dla niego nawet półtora g to zbyt dużo. Dopiero potem Lans zapytał:

– O co chodzi, kapitanie?

– Nie zauważyłeś? – wykrztusiłem, walcząc z przeciążeniem. – Czego was uczyli w tym korpusie oficerskim? Mieszkańcy tej wsi reagują nietypowo na pojawienie się kutra! Widzieli już latające maszyny!

– Rozumiem.

Kuter zawisł nad stożkami chat. Kula grawikompensatora rozszerzała się powoli, wyrzucając

z siebie wchłoniętą grawitację. Na brzegach osiedla majaczyły plecy tubylców pospiesznie uciekających do lasu. Kobiety z dziećmi, kilku chłopaczków z dzidami. Dwóch potężnych mężczyzn prowadzących starca...

– Paralizator na tę trójkę, Lans! To wódz, powinien sporo wiedzieć!

Z dna kutra wyskoczył błękitny promień. Spóźnieni uciekinierzy padli na ziemię.

– Unieruchomiłem ich, kapitanie. Na wszelki wypadek, żeby uniknąć ataku.

– Trójka z plusem, pilocie. – Podtrzymałem ślaniającego się Dańkę. – Ląduj.

Wydostałem się na zewnątrz przez otwarty luk, z trudem niosąc ciężkiego chłopca. W ślad za nami wyskoczył Lans z walizeczką lingwersora w rękę.

Odeszliśmy na dziesięć metrów od kutra i ciężar znikł. Dańka natychmiast wyrwał się z moich objęć, pokręcił głową i wyszeptał:

– Co to było, Siergiej?

– Później ci wyjaśnię. Trzymaj się z tyłu, dobrze?

Biegliśmy między chatami, po udeptanym gliniastym podłożu.

– Oto oni, kapitanie!

Przed nami leżały trzy rozciągnięte ciała. Starzec i dwóch strażników.

– Aktywizuj starca, Lans.

Lans pochylił się nad domniemanym wodzem wsi i przesunął nad jego ciałem mały czarny dysk. Staruszek poruszył się. Lans pospiesznie otworzył walizeczkę lingwersora, wystukał coś na klawiaturze i powiedział przeprasającym tonem:

– W pamięci komputera jest tylko jeden dialekt tej planety. Mam nadzieję, że to wystarczy.

Pochyliłem się nad starcem.

– Przyszliśmy w pokoju i nie skrzywdzimy nikogo – powiedziałem. – Nie atakujcie pierwsi, a wszystko będzie dobrze.

Lingwersor wydał serię urywanych, szczekliwych dźwięków. Staruszek z trudem wstał i zaczął mówić tym samym nieprzyjemnym językiem. Lingwersor przetłumaczył:

– Demony przybywające z nieba i mówiące słowami górskich barbarzyńców! Czego znowu chcecie? Obiecaliście odejść na zawsze!

Wymieniliśmy spojrzenia z Lansem.

– Miał pan rację, kapitanie. Ktoś tu był przed nami!...

– Przesłuchaj go, Lans. Potrzebuję wszelkich informacji. Nawet gdybyś musiał wyjąć mu mózg.

Lans po chwili skinął głową.

– Tak jest, kapitanie.

Dańka pociągnął mnie za rękę.

– Siergiej... czego my się chcemy dowiedzieć?

– Widzisz – odpowiedziałem niewinnym tonem – szukamy przyjaciół, którzy powinni byli przylecieć na planetę przed nami. Boję się, że się rozminiemy.

Dańka skinął głową i z nieudawanym zainteresowaniem zaczął przyglądać się leżącemu obok tubylcowi, który trzymał krótką dzidę i miecz ze stopu przypinającego brąz. Potem chłopiec zerknął na mój miecz wiszący w pochwie za plecami. Chyba wieczorem będę musiał mu wyjaśnić zasadę działania broni płaszczyznowej...

5. Ślad na niebie

Czekaliśmy na Lansa w kabinie, na szczęście grawikompensator już się rozładował. Z nudów zdążyłem opowiedzieć Dańce o możliwościach kutra bojowego i szczegółach sterowania. Wyjaśnienia były tym łatwiejsze, że ja nie rozumiałem wielu rzeczy, o których mówiłem, Dańka zaś bał się pytać o nieznajome terminy. Lans wrócił po dwudziestu minutach. Na widok jego twarzy zacząłem grzać silniki.

Lans opadł na swój fotel i powiedział:

– Wyśledziliśmy ich, kapitanie. Mam dać łączność ze statkiem? Skinąłem głową. Lans poczekał, aż na ekranie pojawi się Ernado, i dopiero wtedy zaczął opowieść.

Po raz pierwszy w życiu mieszkańcy wsi zobaczyli kuter wczoraj rano. Wylądował na środku wsi i demony z płonącymi mieczami zażądały od mieszkańców wody i jedzenia. Kiedy przyniesiono dary, demony odleciały. Któryś z tubylców zauważył w otwartym luku nieruchomą postać chłopca. Ze współczuciem popatrzyłem na Dańkę. Więc jednak go zahipnotyzowali. Dzieciak, znający hipnozę jedynie z występów teleszarlatanów, był łatwym obiektem.

Nocą demony pojawiły się jeszcze raz, ale już dwoma kutrami. Znowu zażądali jedzenia, a do jedynej we wsi studni wpuścili giętke rury, które wyssały niemal całą wodę. Potem nieproszeni przybysze ukryli się, obiecując, że więcej się nie pojawią.

– Najwyraźniej mają problemy z aprowizacją – powiedział ze złośliwą radością Lans. – Jeśli połączyci się na miejscowe ziarno i błotnistą wodę, to znaczy, że są w sytuacji krytycznej. Co najważniejsze, tubylcy zauważyli, skąd pojawiły się kutry i dokąd odleciały! Na zachód, czyli tam, gdzie ich zdaniem mieszkają demony.

– Nie musiałeś używać siły? – zapytałem.

– Nie. Wystarczyło parę gróźb i dużo obietnic.

Ernado martwił się czym innym.

– Jakiego typu były te kutry?

– Trudno wyciągnąć szczegóły techniczne z człowieka, który nie miał w ręku nic bardziej skomplikowanego od motyki...

– Nie bądź taki skromny.

– Jeśli sędzić po kształcie, soczewka i cygaro. A więc mały zwiadowczy i desantowy.

Ernado zamknął oczy, próbując sobie coś przypomnieć. Zadowolony skinął głową.

– Albo mają niestandardowe wyposażenie, albo ich statek to krążownik. Wolałbym pierwszą ewentualność.

– Zapewniałeś, że nasz statek może zaatakować krążownik – nie wytrzymałem.

– Ale nie twierdziłem, że wyjdziemy z walki zwycięsko. Tym bardziej w naszym obecnym stanie.

– Dobrze. Stan statku omówimy później. Startuj, Lans. Lecimy na zachód.

Znowu lecieliśmy na najmniejszej możliwej wysokości. Ale tym razem nie w poszukiwaniu Obcych. Lot koszący zmniejszał ryzyko wykrycia.

– Siergiej...

Spojrzałem pytająco na Dańkę.

– Czy ja muszę wracać na Ziemię?

– No wiesz! Nie żal ci rodziców?

Dańka spuścił oczy.

– Żal. Ale skoro już tu trafiłem... oni by się ucieszyli, ja wiem. Mama zawsze mówiła, że wszystko by zrobiła, żebym mógł żyć w normalnym kraju.

Teraz ja odwróciłem wzrok. Chłopiec trafił w czuły punkt. Kto dał mi prawo bycia jedynym Ziemianinem, który przekroczył granice Układu Słonecznego? Czy mogę zabronić Daniłowi, który cudem trafił w kosmos, zbliżyć się do cywilizacji galaktycznej?

Muszę zabronić.

– Danił – powiedziałem łagodnie. – To wcale nie jest normalny kraj w rozumieniu twojej mamy. To nie Stany czy Niemcy. Trafiłeś do świata składającego się z tysięcy planet, bardzo często okrutnie walczących ze sobą. Tutaj też bywa nudno... też się zdarza, że się boisz i że czujesz ból. Wielu głoduje, a wielu żyje w niewoli. Normalne życie nie jest wcale łatwiejsze niż na Ziemi. Tym bardziej dla dziecka, które wie dziesięć razy mniej niż jego tutejsi rówieśnicy. Co zrobisz, gdy ja wrócę na Ziemię?

, Dańka wyszeptał tak cicho, że ledwie usłyszałem odpowiedź:

– Niech mi pan pomoże zamustrować się na jakiś statek... Ja też będę szukał Ziemi. Niech się stanie prawdziwą planetą.

Zrobiło mi się nieswojo. Mocno ścisnąłem go za rękę.

– Dańka, jesteś bardzo dzielny, ale... porozmawiamy o tym później.

Chłopiec bez nadziei skinął głową i zapytał:

– A będę mógł zachować to ubranie? Na pamiątkę?

Przypomniałem sobie, z jakim zachwytem Dańka wkładał srebrnoszary kostium pilota, z trudem dopasowany do jego wzrostu. Magnetyczne zapięcia, cienkie rękawiczki przypięte do rękawów, leciutki kaptur z syntetycznego futra, wszyte w środek czujniki i wskaźniki, tryb wzmocnienia mięśni, liczne kieszenie, wypełnione niezbędnymi na statku czy w rajdzie przedmiotami, przypięta do pasa kabura (pusta), pochwa z ciężką wibroklingą, tnącą metal jak drewno... Marzenie każdego chłopca.

A jednocześnie jaki z tego pożytek dla każdego spryciarza. I dla bezpieczeństwa narodowego państwa, w którym Dańka znajdzie się po hiperprzejściu. Takiego kombinezonu na Ziemi nie

znają. Żeby zdobyć tkaninę odbijającą silne promieniowanie, odporną na napalm i skoncentrowany kwas, mieszkańcy mojej ojczystej planety nie cofną się przed niczym.

– Nie. Znajdziemy ci coś prostszego.

Dańka skinął głową i odwrócił się. Cholera, jeszcze mi tylko brakowało dziecięcych łez.

– Podchodzimy do gór – oznajmił Lans. – Najlepsze miejsce do ukrycia lądowiska.

Zamilkł, wpatrzony w holosześcian. Nie było widać nic prócz odległych szczytów, ale kuter nagle poszedł ostro w dół.

– Co się stało? – nachyliłem się do Lansa.

– Słup jonizacji! Jakiś statek grzeje silniki przed startem!

Teraz i ja zauważyłem żółtą kolumnę unoszącą się nad górami i powoli topniejącą w stratosferze. Napromieniowane powietrze, zauważalne jedynie dla detektorów kutra, płynęło w górę jak dymek z rozniecanego ogniska.

Kuter opadł w lesie, łamiąc gałęzie i zgniatając młode drzewka. Ostatni wstrząs i wysunięte podpory dotknęły gruntu. Hologramowy obraz drgnął, tracąc wyrazistość.

– Wyłączyłem lokator – wyjaśnił Lans – Mogliby nas zauważyć.

Skinąłem głową i wpatrzyłem się w syntetyzowany przez komputer obraz. Słup jonizacji stawał się coraz ciemniejszy i grubszy, rozpływał się daleko, otaczał góry mgiełką. Sądząc po sile promieniowania, to rzeczywiście był krążownik.

Gdy się szuka stojącego na ziemi statku, otoczonego polem neutralizującym, to zanim zdążą wyłączyć pole, można się znaleźć tysiąc kilometrów od statku, poza strefą rażenia... Ale znacznie gorzej jest natknąć się na gotowy do startu wrogi krążownik z uaktywnionymi systemami ochronnymi. Mogą nas spalić, zanim uświadomimy sobie, co się dzieje.

Siedzieliśmy przed ekranami w absolutnej ciszy. Niczego nierozumiejący Dańka patrzył na mnie przerażony.

– To on – westchnął Lans.

Hologramowy sześcian nie był już potrzebny. Startujący w odległości stu kilometrów krążownik był doskonale widoczny na ekranach.

Śnieżnobiały korpus, pod którym drżał purpurowy płomień, wznosił się nad górami. Z tej odległości wyglądał nieszkodliwie, przypominał ozdobę choinkową.

– Wielki, samotny raider – wyszeptał Lans. – Moc ogniowa wystarczająca do podboju planetarnej twierdzy. Nie mielibyśmy żadnych szans.

– Czy Shorrey Manhem nie miał przypadkiem spadkobierców? – zapytałem. – Gyarski władca też lubił biel.

– To po prostu powłoka ochronna, rozpraszająca promieniowanie laserowe. Wynaleziona pięć lat temu. Nigdy nie słyszałem, żeby komuś wystarczyło środków na pokrycie całego statku. Najwyżej na kadłub kutra bojowego.

– Jasne. Daj łączność z „Terrą” w wąskim zakresie.

Lans pochylił się nad pulpitem, celując w nasz statek ukierunkowanym czujnikiem. Biały stożek statku tonął w niebie.

– To są właśnie ci przyjaciele, kapitanie? – zapytał Dańka.

– Tak – odparłem niechętnie.

– Też miałem takich przyjaciół. Kiedyś pół dnia chowałem się przed nimi w sali gimnastycznej pod materacami. Chcieli, żebym im oddał kasę, a ja nie miałem.

Popatrzyliśmy na siebie uważnie; w końcu pokręciłem głową.

– Jak byłem w twoim wieku, też mnie wkurzało, że dorośli traktują dzieci jak półgłówki. Masz rację, to właśnie tacy przyjaciele. Ale nie mogę ci niczego wyjaśnić. Założmy, że to tajemnica wojskowa.

– Dobrze, kapitanie – powiedział bez uśmiechu Dańka. Uścisnąłem mu dłoń – mocno, jak dorosłemu – i odwróciłem się do Lansa.

– Kiedy będzie łączność?

– Zaraz...

Po ekranie fonu przesuwały się rozmyte cienie.

– Obrazu nie będzie, kapitanie, tylko dźwięk. Za daleko.

– Nie ma sprawy. Ernado, widzisz statek?

– Tu Redrak. Ernado jest na mostku.

– Podłącz go do rozmowy.

– Tak jest, kapitanie.

– Określacie odległość i kierunek ruchu krążownika?

– Oczywiście, kapitanie – usłyszałem głos Ernada. – Mamy go na celowniku. Trzeba przyznać, że się tam cały nie zmieścił.

– Możemy go załatwić?

– To rozkaz?

Zawahałem się.

– Nie, prośba.

– Nie możemy.

– Spotykałeś się ze statkami tego typu?

– Niestety, tak. Ale tamte nie miały pancerza przeciwlaserowego.

– Jak można go zniszczyć?

– Bardzo prosto. Bierze się eskadrę dwudziestu statków naszej klasy...

– Możesz nie kończyć.

Rozłożyłem ręce.

Lans skinął głową ze zrozumieniem.

– Nie wychylamy się, tak?

– Otóż to.

Krótko wyjaśniłem Dańce, że przez najbliższe dwie godziny będziemy zajmować się nicnierobieniem, i wyjąłem plastikowe pudełka z prowiantem.

– Co załoga myśli o obiedzie? – zapytałem.

Załoga była za. Zaczęliśmy otwierać pudełka.

Oto jeden z kompletnie niezrozumiałych dla mnie zwyczajów planety Tar: pojemniki zjedzeniem na statkach nie są w żaden sposób oznakowane. Kolorowe paseczki na etykietkach informują jedynie o wartości kalorycznej, a kształt pudełek mówi, co w nich jest – pierwsze danie, drugie danie czy deser. Prawdopodobnie ten dość sadystyczny chwyt wprowadza do każdego posiłku element niespodzianki. Niestety, niespodzianki dzielą się na przyjemne i niemiłe. Ten drugi rodzaj jest bardziej rozpowszechniony.

Dostałem napój przypominający w smaku połączenie herbaty po turecku i kawy po polsku. Ale to była jeszcze całkiem znośna ewentualność... Druga puszka kryła w sobie białe ziarenka kaszy, pomieszane z wąskimi paseczkami gotowanej ryby i niewiarygodną ilością przypraw. Na podstawie smaku i wyglądu potrawy można było wyciągnąć wniosek, że na długo przede mną w galaktyce bywali Koreańczycy, a upływ czasu bynajmniej nie poprawił ich umiejętności kulinarnych.

Zacząłem pospiesznie łykać kaszę, zapijając ją ciepłym, orzeźwiającym napojem.

Dańka miał więcej szczęścia. Brązowa jednorodna masa w jego porcji była, mimo podejrzanych skojarzeń, doskonale przyrządzonym mięsnym puree. Napój okazał się słodkim sokiem o słabym zapachu czekolady. Po minucie Dańka skończył puree, uprzednio opróżniwszy puszkę z sokiem.

Wyjąłem z szafki jeszcze kilka pojemników i w milczeniu podałem chłopcu. Lans zerknął na mnie ze zdumieniem.

– Nie sądziłem, że noc spędzona w lesie aż tak wpływa na apetyt.

– Nie chodzi o zeszlą noc – wykrztusiłem. – Kraj, gdzie mieszka Dańka... cóż, daleko tam jeszcze do dobrobytu.

Lans odwrócił wzrok, jakby to jemu, a nie mnie zrobiło się wstyd za ojczyznę.

– Proszę wybaczyć, książę... Czy nigdy nie chciał pan wrócić na Ziemię przez hipertunel? Z niewielkim oddziałem i odpowiednim wyposażeniem?

– Chciałem. Ale zbyt gorliwie mnie do tego namawiali.

Nie umawiając się, odwróciliśmy się do ekranu, gdzie sylwetka krążownika nadal wznosiła się nad planetą. Dańka entuzjastycznie rozprawał się z dokładką.

– Zbyt energicznie się rozpędza – przerwał przydługie milczenie Lans. – Zbędna strata

paliwa.

- Myślisz, że chce wyjść w hiperprzestrzeń?
- Tak. Z jego mocą można wejść w skok w bezpośredniej bliskości planety.
- Wezwij Redraka.

Redrak od razu zgodził się z nami. Sądząc po głosie, odlot wrogiego krążownika wyraźnie poprawił byłemu piratowi humor. Połączyłem się z Ernadem i wydałem kilka poleceń, pewnie zbędnych, ale zawsze lepiej się zabezpieczyć. A my kontynuowaliśmy przymusowe oczekiwanie.

Krążownik nie kazał nam się zbyt długo nudzić. Najpierw na ekranach pojawiło się lekkie migotanie, które otoczyło cały statek. Potem pojawiło się mlecznobiałe lśnienie. Gdy ekrany się oczyściły, krążownika już nie było.

Otworzyłem luk i popatrzyłem na niebo. Zdążyłem jeszcze zobaczyć gasnącą gwiazdę, która na chwilę zaćmiła czerwone słońce.

– Wyszedł w hiperprzestrzeń – oznajmił zadowolony Lans. – Jeśli nawet cierpią na braki żywności, to energii mają pod dostatkiem. Przyciąganie planety zżarło im siedemdziesiąt procent mocy.

Wsiadłem do kutra i dostrzegłem pytające spojrzenie Dańki.

– Wszystko w porządku, kadecie. Nasi przyjaciele odlecieli. Dańka skinął głową i zręcznie cisnął pustą puszką w zamykający się luk.

Westchnąłem, ale kolejną przemowę odłożyłem do następnego razu. Usiadłem przy pulpicie i zapytałem:

- Ernado, śledziłeś skok?
- Tak, kapitanie. Szedł prosto na sygnał.
- Sygnał został zidentyfikowany?
- Tak. Planeta Raysway, wchodząca w skład Trójprzymierza Wolnych Światów. Peryferie galaktyki.
- Bywałeś tam?
- Pierwszy raz o tym słyszę. I o planecie, i o Wolnym Związku. Pójdziemy za nim?
- Nie od razu – odpowiedziałem z żalem.

6. Koktajl Nostalgia

Restauracja Galaktyka mieściła się na obrzeżach kosmoportu. Przy całej swojej trywialności, nazwa pasowała idealnie – na planecie Argant krzyżowało się mnóstwo dróg handlowych i w restauracji gościli przedstawiciele niemal wszystkich zamieszkanym planet.

Nad budynkiem w kształcie piramidy wirował szyld, mieniając się wszystkimi kolorami, aż po ultrafioletowe i podczerwone zakresy widma; nazwę restauracji napisano w miejscowym języku i w standardzie. Ogłoszenie nad wejściem prezentowało się już znacznie skromniej – Tylko dla załóg statków kosmicznych.

Przyłożyłem osobistą kartę do płytki identyfikatora i drzwi się otworzyły. Dańka nie miał dokumentów, ale to było bez znaczenia – każdy członek załogi miał prawo przyprowadzić ze sobą gościa.

W holu kolejne ogłoszenie ostrzegało, że restauracja wyposażona jest we własny generator pola neutralizującego.

– Bardzo porządna knajpa – powiedziałem. – Nic dziwnego, że Redrakowi niespieszno do nas. Jego ideał spędzania wieczoru to obskurny bar z rozróbą co godzina.

Dańka skinął głową, rozglądając się. Na ścianach migotały zmieniające się z kalejdoskopową szybkością trójwymiarowe pejzaże najróżniejszych planet. Poznałem purpurowe lasy Rantowi-Ra i spalone na czarno równiny Sheiera, planety-samobójcy. Przez chwilę odniosłem wrażenie, że przemknęło pole pszenicy z brzozowym zagajnikiem w oddali. Ale oczywiście tylko mi się wydawało.

Pewnym krokiem specjalisty świadomego swojej wartości podszedł do nas siwowłosy mężczyzna w fioletowym uniformie obsługi, z zawodowym uśmiechem na twarzy.

– Oddzielny gabinet?

Skrzywiłem się.

– Stolik w ogólnej sali, na pięć osób. Dołączą do nas przyjaciele. I pospiesz się, sługo.

Mężczyzna drgnął, ale przełknął zniewagę. Dotknął guzików na płycie ze schematem restauracji. Dostrzegłem jego króciutkie wahanie i zrozumiałem, że nie będę długo czekał na rewanż za obelżywe słowa. Strzeż się małych wodzów...

– Proszę iść za wskaźnikiem.

Przed nami zapłonął zielony punkt i zaczął sunąć po podłodze. Wzruszyłem ramionami i wziąłem Dańkę za rękę.

Ogólna sala zajmowała niemal całą naziemną część restauracji. Ściany i sklepienie piramidy otulała migocząca mgielka unosząca się znad kilku małych basenów. Pomiędzy nimi stały owalne stoliki. Niektóre zasłaniała ta sama świetlista mgłą pozwalająca dostrzec jedynie sylwetki

gości pragnących odosobnienia.

Usiedliśmy przy wyznaczonym stoliku. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że dostaliśmy całkiem znośne miejsce. Wprawdzie dość blisko sąsiednich stolików, za to nieopodal okrągłej estrady, na której występowała sympatyczna dziewczyna z przyjemnym głosem. Śpiewała po argancku, a ja nie znam tego języka, ale muzyka była cicha, smutna i piękna.

Przed nami pojawił się kelner w fioletowym stroju. Młody, lecz równie pewny siebie jak kierownik sali.

– Czy nasi goście życzą sobie spróbować narodowych dań Argantu? – zapytał. – Do schłodzonej galaretki proponuję wystać wino Czarny Mag. Pierwsza butelka gratis, na koszt restauracji.

Nie lubię, gdy ktoś próbuje decydować za mnie.

– Życzymy sobie coś innego – odpowiedziałem uprzejmie.

W rękach kelnera pojawiła się płytka.

– Dla chłopca proszę mięsną zupę z kuchni planety Tar, kotlety według przepisu z tejże planety oraz lejańskie słodycze i sok kilany.

Kelner skinął głową, wyraźnie zadowolony z wartości zamówienia. Nie każdego stać na słynne lejańskie słodycze.

– Dla mnie smażone mięso i zimny regraw.

Regraw to tani i niezbyt popularny napój, a jednocześnie najlepszy odpowiednik soku pomidorowego, jaki udało mi się znaleźć.

– To wszystko? – zapytał kelner.

– I schłodzony roztwór spirytusu etylowego. Na czterdzieści części spirytusu sześćdziesiąt wody destylowanej i szczypta cukru. Kelner patrzył na mnie osłupiały.

– Jak nazywa się ten napój?

– Koktajl Nostalgia – odparłem uprzejmie. – Proszę spróbować, nie pożałuje pan.

– W jakiej ilości podać mięso... i koktajl?

– Pół kilograma mięsa, pół litra koktajlu i tyle samo regrawu.

– Mięso przyrządzić z przyprawami? – kelner podjął ostatnią próbę naprowadzenia mnie na słuszną drogę.

– Żadnych przypraw. Sól poda pan oddzielnie.

W oczekiwaniu na zamówienie przyglądaliśmy się gościom. Interesujący widok, i to nie tylko dla chłopca. Szkoda, że miejsca w pobliżu nas były puste albo osłonięte mgielką. Jeden sąsiedni stolik był wyraźnie widoczny – trzech młodych ludzi o cytrynowożółtej skórze. Przed nimi stały puste talerze i coś w rodzaju wielkiego kwadratowego rondla.

Dwóch kelnerów przyniosło nam zamówione dania. Dańka z zainteresowaniem patrzył na różowy bulion, w którym pływały apetyczne kawałeczki mięsa i pocięte w paski warzywa.

– Spróbuj, to bardzo smaczne – zachęciłem go. Na moim talerzu widniał dobrze wysmażony plaster mięsa prawie bez przypraw. Tak jak powinno być.

Na środku stołu kelner postawił kryształowe karafki z sokiem kilany dla Dańki, „sokiem pomidorowym” oraz koktajlem dla mnie.

– Dziękuję – powiedziałem, napełniając największy kielich do połowy sokiem.

– Zgodnie z regulaminem naszej restauracji chłopcu nie wolno pić alkoholu – oznajmił jeden z kelnerów.

– Nie tknie go – uspokoiłem stróża moralności. – To wszystko dla mnie.

Kelnera przeszył dreszcz. Jego towarzysz przyszedł mu z pomocą.

– Musimy uprzedzić, że w pańskim stoliku włączony jest blok kontroli automatycznej. Jeśli zaproponuje pan chłopcu alkohol, będzie pan zmuszony opuścić restaurację.

– W porządku – zgodziłem się zupełnie szczerze. – Zaczyna mi się u was podobać...

Uzupełniłem kielich koktajlem i powąchałem otrzymaną mieszankę. Kelnerzy odsunęli się, a Dańka zapytał z wyrzutem:

– Będziesz pił wódkę?

– Tylko trochę – odparłem, opróżniając kielich. Do przelyku spłynęło płonące ciepło, a w ślad za nim, zmywając nieprzyjemny smak, porcja czystego „soku pomidorowego”.

Dańka z obrażoną miną zaczął jeść zupę, a ja odkroiłem kawałek mięsa i popatrzyłem na sąsiedni stół.

Jeden z młodych ludzi właśnie unosił pokrywkę rondla. Wsunął rękę do środka, pogrzebał na dnie... i wyciągnął puszyste stworzonko, przypominające wielkookiego kotka bez ogona, pokryte krótką szarą sierścią.

Zwierzak żałośnie pisnął. Mężczyźni zarechotali i zobaczyłem długie kły, powoli wysuwające się z ich górnych szczęk.

Drgnąłem i odwróciłem wzrok, ale było już za późno. Dańka zauważył, gdzie patrzę. Najpierw uśmiechnął się na widok zwierzątka. Potem oczy zrobiły mu się wielkie jak spodeczki, a wargi zadrżały. Zrozumiał.

– Siergiej, to... to nie może być prawda!

– Prawda – odpowiedziałem twardo – To wampiry z planety Pal. Mogą jeść dowolne produkty, ale wolą krew żywych istot. Żałuję, że nie rozpoznałem ich od razu.

– Siergiej...

W jego głosie było znacznie więcej błagania i strachu, niż mógłbym znieść.

Wstałem od stołu, z hukiem odsuwając krzesło. Oto zemsta doskonała – posadzić gości obok wampirów.

Mężczyźni jednocześnie odwrócili się w moją stronę. Z ust sterczały ostre końce kłów.

Powoli podszedłem do ich stolika. Co wiem o planecie Pal? Była kiedyś kolonią Gyarów.

Palijczycy to dobrzy wojownicy i doskonali budowniczości, a także amatorzy krwi ciepłokrwistych istot...

– Mam do was małą prośbę – powiedziałem cicho.

– Mów – odpowiedział dobrym galaktycznym młody mężczyzna, cały czas trzymając skazanego zwierzaka.

– Włączcie holograficzną zasłonę nad swoim stolikiem. Wasz sposób odżywiania się jest dla nas nieprzyjemny.

– Prośba została odrzucona – odpowiedział Palijczyk z nieukrywaną kpina. – Każda istota rozumna ma prawo do jawnego uprawiania swoich obyczajów.

– Jeśli nie obrażają one uczuć innych istot rozumnych.

– Nie znajdujemy w naszym zachowaniu nic obraźliwego. W przeciwieństwie do twojego zachowania.

Palijczyk opuścił zwierzątko na talerz i niedbale musnął rękojeść płaszczyznowego miecza na pasie.

Wszyscy trzej byli uzbrojeni.

Nawet nie sięgnąłem do swojego miecza, schowanego w pochwie. Jeśli dojdzie do walki, wyjmę go szybciej niż każdy z tych uśmiechniętych wampirów. Przeszkodzi im stół i wzajemna bliskość.

– Jestem księciem z planety Tar – nadal mówiłem półgłosem. – Tym samym, który zabił władcę Gyarów, przez trzysta lat niewolącego waszą planetę.

Kły wampirów drgnęły.

– Nie zrobiłeś tego dla naszego świata – rzekł Palijczyk, nie zabierając dłoni z rękojeści. – Nie jesteśmy ci nic winni.

– Zabiłem Shorreya Manhema – powtórzyłem. – Nadal dążycie do pojedynku?

W końcu do nich dotarło.

– Czego chcesz?

– Więcej niż przed chwilą. A moje żądania mogą jeszcze wzrosnąć.

– Mów.

– Dodaj „wasza wysokość”.

Kły mignęły w kącikach warg i znikły.

– Proszę mówić, wasza wysokość.

– Ograniczycie swoją kolację do tradycyjnych miejscowych dań. Zwierzęta zostaną odniesione do kuchni z poleceniem wypuszczenia ich na wolność.

Palijczycy milczeli.

– Nie mam ochoty patrzeć na ich krew. Ale mogę zapragnąć sprawdzić kolor waszej.

– Dobrze.

– Wasza wysokość!

– Dobrze, wasza wysokość.

Podniosłem zwierzątko z talerza, posadziłem w zgięciu łokcia i bez pośpiechu ruszyłem do swojego stolika, czując na plecach nienawistne spojrzenia.

Kelner, który przyniósł nam zamówienie, mrugnął do mnie dyskretnie i skierował się do stolika wampirów z wyraźnym zamiarem zabrania rondla. Niezły ma słuch...

Dańka czekał, ściskając rękojeść swojego wibronoza. Chyba miał zamiar przyjść mi z pomocą, gdyby doszło do bójki... Poczulem coś na kształt dumy – nie z siebie, z całej Ziemi.

Mój świat zdobywa sobie reputację. Całkiem niezłe jak na planetę, której nie ma.

– Trzymaj – położyłem zwierzątko na kolanach chłopca. – Trofeum. Pozostałe zaraz wypuszczą.

Dańka przytulił wiercące się „trofeum” i powiedział z zachwytem:

– Niezłe ich nastraszyłeś!

– Nie w tym rzecz, Dańka. Palijczycy nie unikają walki. Po prostu ich świat coś niecoś mi zawdzięcza...

Nalałem sobie pełny kielich wódki, wypilem, ukroiłem kawałek mięsa. Dańka zapytał, głaszcząc zwierzątko:

– To kotek, tak?

– Coś w tym rodzaju. Możesz go wziąć na statek, powinien dobrze znosić lot.

– Nazwę go Trofeum – oznajmił dzieciak Dobra. Może być Trofeum.

Po ciele rozlewała się euforia. Świat wokół stawał się coraz bardziej przyjemny.

– O, są Ernado i Redrak – chłopiec uniósł się i pomachał im ręką.

Ernado jak zawsze wydawał się niewzruszony, za to Redrak wyraźnie się czymś denerwował. Przywołał kelnera, który chyba postanowił nie oddalać się od naszego stolika w oczekiwaniu na nowe rozrywki, zamówił dwie butelki Czarne Maga i owoce.

– Opowiadaj – poleciłem. – Ale poproszę najpierw o dobre wiadomości.

– Wobec tego będę musiał milczeć.

– Wymyśl coś.

Redrak wzruszył ramionami. Uniósł butelkę, obejrzał wino pod światło i oznajmił:

– To prawdziwe, wystane wino na ziołach tonizujących. Czy to dobra nowina?

– Ujdzie. Możesz przejść do pozostałych.

– Nigdzie nie znalazłem swojego znajomego. Albo nie ma go na planecie, albo radykalnie zmienił upodobania. Nie widziano go ani w Gwiezdznej Koronie, ani w Przystani Szaleńców...

– Jasne. Wał dalej.

– Dowiedzieliśmy się, ile kosztuje przerzut na Ziemię. Pieniądzy wystarczy nam na hiperprzejście dla chłopca z trzema kilogramami ładunku.

Pokręciłem głową.

– To nie jest dobry pomysł. Dańkę mogłoby wyrzucić w dowolnym punkcie planety: na środku oceanu, na pustyni, w dżungli... Nie, na to się nie zgadzam.

– Chłopiec bardzo rwie się do domu? – zapytał Ernado.

– Wcale – przyznałem.

– W takim razie jest jeszcze jedna możliwość... – Ernado zamilkł.

– No?

– W dyspozytorni kosmoportu zaproponowano nam korzystny fracht: dostarczenie niedużego, ale wartościowego ładunku na skolonizowaną planetę. Wybrano nas ze względu na prędkość statku i godnego zaufania kapitana. Książę z planety Tar nie połączy się na zysk ze sprzedaży cudzego ładunku...

– Zdaje się, że nie mam co liczyć na incognito?

– Nie, kapitanie.

– Szczegóły?

– Ładunek to komórki embrionalne kolonistów. Trzy inkubatory, ogólna waga pięć ton. Termin realizacji dziesięć dni. Opłata po dostarczeniu, sześć tysięcy energojednostek. Wystarczy, żeby przerzucić na Ziemię dwieście kilogramów.

– Brzmi nieźle... Można by to nawet uznać za dobrą nowinę.

– Można by... Gdyby nie podejrzana strona tego frachtu.

– Jaka?

– Ładunek należy dostarczyć do systemu Raysway, tam gdzie odleciał biały krążownik. Wygląda to na pułapkę.

Skinąłem głową. Pułapka? Bardzo możliwe. Ale krążownik mógł nas zniszczyć również na planecie. Jaki to problem dobić uszkodzony statek?

– Ernado, jeśli odłożymy odesłanie Dańki do domu, to wystarczy nam pieniędzy na całkowitą naprawę statku?

– Tak.

– W takim razie zawrzyj umowę na przewóz ładunku i przystąp do napraw.

– Już to zrobiłem, kapitanie. Pozwoliłem sobie odgadnąć pańską decyzję.

Popatrzyliśmy na siebie. Ernado zauważył pojednawczo:

– Fracht mógł nam przejść koło nosa, kapitanie, a pan nie wziął ze sobą komunikatora. Musiałem działać na własne ryzyko.

– Mam nadzieję – powiedziałem cicho – że to twój pierwszy i ostatni domysł tego rodzaju. Nie ryzykuj więcej, dobrze? Swoje decyzje zawsze podejmuję sam.

– Tak jest, kapitanie. – Na twarzy Ernada nie drgnął żaden mięsień. Sytuację rozładował kelner, który pojawił się z nienacka, niosąc wielką plastikową torbę z emblematem restauracji,

wypełnioną firmowymi butelkami.

– Niewielki upominek od naszego zakładu – oznajmił. – Pięć butelek koktajlu Nostalgia i pięć wina Czarny Mag.

Postawił torbę obok stolika i ulotnił się. Redrak patrzył na niego wstrząśnięty.

– Nigdy nie słyszałem o tak rozrzutnej reklamie. Może oni też wiedzą, że jest pan księciem, kapitanie?

Wskazałem Dańkę, który bawił się zwierzątkiem.

– Nie. Raczej przypadła im do gustu moja rozmowa z Palijczykami. Jeszcze nie spotkałem planety, na której darzono by sympatią wampiry.

– Nie doszło do walki? – zapytał zaniepokojony Redrak.

– Nie, załatwiliśmy sprawę pokojowo.

Spędziliśmy w restauracji jeszcze pół godziny, w milczeniu pochłaniając zamówione dania. Dańka spróbował lejańskich słodyczy i przepadł dla świata. Nic dziwnego – wytwory lejańskich cukierników przewyższają szwajcarską czekoladę o tyle, o ile owa czekolada przewyższa wyroby czekoladopodobne.

Z restauracji do statku szliśmy pieszo. Mijaliśmy wieże administracji, gdzie mimo późnej pory świeciło się we wszystkich oknach, i ogromne magazyny z ochroniarzami obwieszonymi bronią. Ernado i Redrak szli przodem, za nimi ja z Dańką. Ja niosłem mruczącego Trofeum, który niczym najprawdziwszy kot wczepił się pazurkami w mój kombinezon, a chłopiec torbę z prezentami.

Gdy przechodziliśmy obok głębokiego, wybetonowanego rowu, jednego z wielu przecinających łądowisko, a przeznaczonych na odprowadzanie płomienia startujących statków, Dańka bardzo naturalnie krzyknął. Usłyszałem brzęk butelek spadających z wysokości pięciu metrów na beton.

– Przepraszam – powiedział szybko chłopiec. – Ja niechący...

Zatrzymałem się i popatrzyłem na niego z zainteresowaniem.

Był uosobieniem skruchy i żalu. W świetle odległych latarń i małego miejscowego księżycy uśmiech zadowolenia był niemal niewidoczny.

– Przepadło pudełko z twoimi słodyczami – westchnąłem.

– Do diabła z nimi.

– Wiedziałaś, że butelki z miejscowego szkła się nie tłuką? Dańka spuścił wzrok i pokręcił głową. Poklepałem go po policzku:

– Dobra, mały, chodź. Niepotrzebnie się o mnie boisz, ale mimo wszystko dziękuję.

7. Mściciel

Obudził mnie natrętny dźwięk interkomu. Spojrzałem na świecące cyfry i zerwałem się z łóżka. Do wyjścia z hiperprzestrzeni zostało cztery godziny. Musiało zdarzyć się coś nadzwyczajnego, skoro budzili mnie w środku nocy Kapitan, słucham – powiedziałem, wciągając kombinezon. Na ekranie pojawiła się twarz Redraka.

- Zarejestrowaliśmy dryfujący statek.
- No i co z tego?
- Statek wysłał sygnał SOS na wszystkich falach.
- Jest w zwykłej przestrzeni?
- Tak.
- Działaj zgodnie z regulaminem.

Szybko przeszedłem przez kajutę, zerknąłem na Dańkę. Chłopiec spał spokojnie w mojej sypialni, w jego nogach zwinął się Trofeum. Przez trzy doby lotu kotek osiągnął wielkość pudła, nie tracąc przy tym wdzięku pluszowej zabawki.

Gdy winda wiozła mnie na mostek, pospiesznie przekartkowałem książeczkę regulaminu lotu – zestaw praw wspólnych dla wszystkich statków galaktyki. Byliśmy zobowiązani do udzielenia pomocy, jeśli tylko nie zauważyliśmy przekonujących oznak, że to pułapka. W pierwszym kosmoporcie, w którym wylądujemy, kontrolerzy sprawdzą nagrania naszej czarnej skrzynki, bezpośrednio połączonej z komputerem i zabezpieczonej mnóstwem plomb. Jeśli zostanie stwierdzone złamanie prawa, zwłaszcza takiego jak nieudzielenie pomocy uszkodzonemu statkowi, umieszczą nas poza wspólnotą statków.

Podobno piraci często korzystają z tego punktu regulaminu, żeby przechwycić w hiperprzestrzeni statki handlowe.

Na mostku byli już Ernado i Lans. Skinąłem im i usiadłem w swoim fotelu. Pulpit przede mną pozwalał wydawać priorytetowe komendy, „przebijające” sygnały idące z każdego innego pulpitu i odwołujące decyzje centralnego komputera.

– Znajdziemy się obok niego za cztery minuty – oznajmił Redrak. – Uruchomiłem sondę migoczącą.

Migocząca sonda była skomplikowanym i drogim urządzeniem, zdolnym na ułamek sekundy wyjść z hiperprzestrzeni w rzeczywisty kosmos, zebrać informacje i wrócić na statek.

– Co z detektorami? – Zerknąłem przelotnie na ekran hiperlokatora i odwróciłem wzrok. Splot różnokolorowych linii i punktów, odwzorowujących pięciowymiarową przestrzeń na płaszczyźnie, mógł odczytać jedynie pilot wysokiej klasy. Taki jak Redrak.

– Uproszczenie obrazu – zakomenderował Redrak. Ekran oczyścił się błyskawicznie, pozostały jedynie dwa punkty: migoczący zielenią nasz statek, idący z prędkością nadświatłą,

i nieruchomy czerwony – obcy, dryfujący w zwykłej przestrzeni.

– Mamy niewiele informacji, kapitanie. To spory statek, może krążownik. Wyłączone pola ochronne, wokół mnóstwo małych obiektów i rozpraszający się obłok gazu.

– Wygląda, że to jednak prawda – powiedział Ernado. – Typowy obraz katastrofy. Nie możemy go ominąć.

– Zaraz wróci sonda – uprzedził Redrak.

Zapłonęły ekrany pomocnicze, przekazując obraz. Czerń realnego kosmosu, kolorowa mozaika gwiazd... i zgnieciony, stopiony kształt przypominający gigantyczny cylinder zakończony półkulą.

– To nie pułapka – powiedział drżącym głosem Lans. – To krążownik klenijskich najemników! Ktoś go rozwalił! Oderwany przedział silnikowy, zniszczone pokłady bojowe, rozhermetyzowane przedziały mieszkalne...

– Wychodzimy z hiperprzestrzeni – oznajmił ponuro Redrak. – Nie rozumiem, co tu się stało, ale eskadra, która zniszczyła klenijski krążownik, sama się prosi o kłopoty. Tym gościom lepiej nie wchodzić w drogę.

Podłoga zawibrowała. Nasz statek wychodził w trójwymiarowy kosmos, szybko wytracając prędkość. W głębi pokładów maszynowych kurczyły się kule grawikompensatorów, pochłaniając potworną energię hamowania. W ciągu kilku minut straciliśmy prędkość bliską prędkości światła, za co będziemy miesiącami płacić przeciążeniami wysokości półtora g. Istniało jednak pewne wyjście z tej sytuacji...

Przypomniałem sobie o Dańce, który właśnie dusił się pod nieoczekiwanym ciężarem, i poleciłem:

– Tryb oszczędzający dla kajuty kapitańskiej.

– Tak jest, kapitanie.

Indywidualny grawikompensator mojej kajuty włączył się, obniżając siłę ciężenia do jednego g. Uruchomiłem interkom.

– Dańka, ubierz się i zostań w kajucie – powiedziałem. – Czekaj na dalsze polecenia.

– Prędkość wytracona – oznajmił Lans. – Znajdujemy się pięćdziesiąt kilometrów od celu.

– Ile grawikompensatorów zużyliśmy na zlikwidowanie inercji?

– Trzydzieści dwa procent, kapitanie.

– Wydać polecenie wystrzelenia ich w przestrzeń.

Redrak zawahał się.

– Czy to nie za duża rozrzutność, kapitanie? Jedna trzecia ogólnego zapasu... stracimy rezerwę bojową.

Bez słowa nacisnąłem klawisz, wydając komendę ze swojego pulpitu. Statek drgnął, przeciążenie znikło. Czarne kule kompensatorów, które wchłonęły w siebie energię hamowania,

będą teraz latami płynąć w kosmosie, rozprzestrzeniając wokół siebie strefę grawitacyjnych anomalii.

– Nie możemy pełzać po statku jak niedobite muchy – wyjaśniłem. – Premia za uratowanie krążownika wystarczy na nowe kompensatory.

Zresztą protesty i tak nie miały już sensu.

– Załoga ratunkowa: Redrak i Ernado. Weźmiecie dwa kutry, sondy awaryjne i kapsuły ratunkowe. Ja i Lans będziemy osłaniać was ze statku.

– Mam nadzieję, że to nie będzie potrzebne – oznajmił Redrak, gramoląc się z fotela. – Klenijski krążownik, nawet uszkodzony, może swobodnie zniszczyć dwa kutry. Każdy metr jego korpusu jest naszpikowany czujnikami i laserami.

Skinąłem głową. Ryzyko było duże, ale nieuniknione.

– Dajcie nieprzerwany sygnał: „Przyjaciel. Idę z pomocą” – poradziłem. – Może zadziała.

Redrak machnął ręką i wszedł za Ernadem do windy. Znowu włączyłem interkom.

– Dańka, możesz przyjść na mostek. Tylko bez twojego puszystego przyjaciela, dobrze?

– Planeta Kleń to mały skalisty światek w systemie białego karła, znanego jako Diabelska Gwiazda – przekazywałem Dańce to, co usłyszałem kiedyś od Ernada. – Temperatura na powierzchni waha się od minus dwustu do plus stu sześćdziesięciu pięciu stopni. Promieniowanie Diabelskiej Gwiazdy zabija człowieka w ciągu kilku dni. Ale na Klenie jest tlen i woda, jest Świątynia Siewców, jest życie, dostosowane do miejscowych warunków... Klenijczycy są humanoidami, lecz przedział warunków, w jakich mogą żyć, jest niewyobrażalny. Wysokie promieniowanie, wrząca woda, ciekły azot, opary rtęci, pięcioprocentowa zawartość tlenu w powietrzu... dla Klenijczyków to nieprzyjemne, ale całkiem znośne środowisko. Przez całe stulecia walczyli ze sobą, więc dołączając do cywilizacji galaktycznej, zostali żołnierzami. Najemnikami.

– Bardzo drogimi żołnierzami – wtrącił Lans.

– Tak jest. Nie każdą planetę stać na wynajęcie klenijskiego krążownika choćby na kilka miesięcy. Poza tym oni mają bardzo twarde zasady. Zgadzą się walczyć tylko w tych wypadkach, gdy uznają walkę za etyczną, a ich ingerencja nie jest niezgodna z prawami walczących planet. Shorrey Manhem na przykład nie zdołał namówić ich, by wzięli udział w zajęciu Tara.

– Moim zdaniem dlatego, że Klenijczycy szanują naszą planetę – znowu włączył się Lans. – Od wieków sprzedajemy im broń...

Na ekranach kutry Ernada i Redraka krążyły wokół zniszczonego giganta. Klenijski statek nie dawał żadnych oznak życia.

– Najczęściej krążowniki Klenijczyków są wynajmowane przez planetarne federacje do ochrania szlaków handlowych czy polowania na statki pirackie... Załoga każdego krążownika

to jedna rodzina, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Walczą do końca, nawet jeśli siły są nierówne. Klenijczyk nie może zdradzić swojego statku...

Zamilkłem, uświadamiając sobie, że Lans włączał się do naszej rozmowy, choć rozmawiałem z Dańką po rosyjsku! – Lans! Pilot odwrócił się zmieszany, Danił się zaczerwienił.

– Co to ma znaczyć? – zapytałem cicho. – Spisek za plecami kapitana? Nie jesteśmy Klenij czy karni, ale...

– Kapitanie, nie przypuszczałem, że sprawi to panu przykrość – powiedział w standardzie zakłopotany Lans. – Chłopiec prosił, by nauczyć go galaktycznego, ale uznałem, że to niepotrzebne. Na Ziemi do niczego mu się nie przyda, no i nie wszystkie pokładowe rozmowy są przeznaczone dla jego uszu. A panu będzie miło przypomnieć sobie ojczysty język. Użyliśmy lingwersora i hipnotranslatora. Teraz mam ten sam zasób rosyjskich słów co Danił.

Zaczerpnąłem powietrza i wygłosiłem bardzo długie zdanie w ojczystym języku.

Lans poczerwieniał, jak przed chwilą Dańka. Widocznie chłopiec całkiem nieźle znał język potoczny.

Do diabła, naprawdę przyjemnie przypomnieć sobie ojczysty język.

– Kto jeszcze skorzystał z hipnotranslatora? – zapytałem. – Ernado?

– Nie, on zna dziewiętnaście języków, mózg ma wystarczająco przeciążony. Redrak.

Utkwiłem niewidzące spojrzenie w ekranie. Głupio byłoby się obrażać; Lansem kierowały jak najlepsze pobudki, a Dańce po prostu znudziło się rozmawianie tylko ze mną. Tym bardziej że ostatnie dni spędziłem w sali treningowej, zajęty niszczeniem mieczy płaszczyznowych.

A jednak było mi przykro. Dańka mógł mi przecież powiedzieć, czym zajmowali się z Lansem.

– Siergiej...

Odwróciłem się do chłopca.

– Myśleliśmy, że to będzie niespodzianka...

– Niech no tylko znajdę na statku prawdziwy skórzany pas, to niespodzianki zaczną pojawiać się znacznie częściej – obiecałem.

Dańka skinął głową bez uśmiechu.

– Kapitanie, może lepiej odsiedzę kilka dni w karcerze – odezwał się Lans w galaktycznym.
– Moja wina jest znacznie większa.

– Nie bądź głupi – powiedziałem, też przechodząc na galaktyczny. – Jeśli któryś tknie chłopca choćby palcem, zabiję na miejscu.

– Zrozumiałem. Ale Dańka każdą groźbę traktuje bardzo poważnie. Wychowywano go... zbyt surowo.

Znowu zakląłem, tym razem wybierając łagodniejsze zwroty.

– Wspaniała załoga, nie ma co. Chłopca nie można ukarać, bo dość już oberwał na ojczystej

planecie. Ty zawsze jesteś gotów wziąć na siebie cudze błędy. A Redrak Sholtry umrze na miejscu, jeśli się go przekona, że jest winien... To był jego pomysł?

– Tak... Skąd pan wie?

– Redrak musi kogoś podejrzewać. Jest spokojny o swoje życie, dopóki ostrzega nas przed wszystkimi możliwymi i niemożliwymi niebezpieczeństwami. A Dańkę uważa za szpiega. Jak mówią na Ziemi, język wroga trzeba znać...

Z fonu rozległ się głos Redraka:

– Kapitanie, jest sygnał z poziomów mieszkalnych! Wychodzę z kutra, spróbuję dostać się do środka.

– I jeszcze mówi się u was „o wilku mowa...” – pochwalił się nową wiedzą Lans.

Skinąłem głową.

– Dobra, Redrak, zasuwasz.

Przysunąłem się bliżej fonu i wyszeptałem jeszcze kilka słów.

Weszliśmy do hangaru, gdy tylko kompresory wypełniły go powietrzem. Od srebrzystych dysków kutrów ciągnęło chłodem, na pancerzach pojawił się szron. Lans rozpiął kaburę i wymamrotał:

– Jeden Klenijczyk to o jednego za dużo. Tak nam mówiono w szkole...

Z luku pierwszego kutra wyszedł Ernado. Zauważyłem, że rozpiął zamocowanie miecza: mój nauczyciel wyraźnie nastawiał się na nieprzyjemności.

– Jesteście pewni, że na krążowniku nikogo nie ma? – zapytałem.

Ernado skinął głową.

– Poziomy mieszkalne przeszukaliśmy bardzo dokładnie. A na posterunkach bojowych i pokładach maszynowych radiacja jest zbyt duża. Nawet dla nich.

Redrak też otworzył swój luk, ale nie wychodził. Lans zmarszczył brwi i położył rękę na pistolecie.

I wtedy pojawił się Klenijczyk. Chwiał się, ale wyglądał nieźle jak na kogoś, kto sześć godzin przeleżał w na wpół rozhermetyzowanym skafandrze pod szczątkami metalowych grodzi. Redrak też wyszedł z luku i ruszył za Klenijczykiem, kulejąc bardziej niż zwykle.

Na pierwszy rzut oka Klenijczyk niezbyt różnił się od człowieka. Barczysty, ale proporcjonalnie zbudowany, o jasnej skórze, która w każdej chwili mogła zmienić kolor. Był to jeden z elementów maskowania oraz ochrona przed promieniowaniem słonecznym. Ten osobnik miał młodą twarz, wypraną z emocji i pozbawioną blizn czy oparzeń. Nie świadczyło to jednak o małym doświadczeniu bojowym czy niezwykłym szczęściu. Po prostu Klenijczyki nadzwyczajnie się regenerują. Podobno nawet odcięte ucho czy palec odrastają po upływie dwóch, trzech miesięcy.

Klenijczyk obrzucił nas szybkim spojrzeniem, nieomylnie rozpoznając dowódcę. Gdy kroczył po metalowych płytach hangaru, jego wysokie buty na grubej podeszwie stuknęły głośno i jakby przyklejały się do podłoża. Zatrzymał się kilka metrów ode mnie i skłonił głowę.

– Kapitanie, jestem wdzięczny, że mogę dalej pełnić obowiązek. Ma pan prawo wybrać nagrodę: pieniądze, immunitet albo służbę.

Jego wymowa była bez zarzutu, ale sens rytualnych zdań dość mętny. Na Tarze też złościły mnie podobne zwroty... Spojrzałem pytająco na Lansę.

– On musi wypełnić swój obowiązek, w przeciwnym razie jego rodzina narazi się na pogardę mieszkańców ojczystej planety – wyjaśnił Lans po rosyjsku. – Z wdzięczności, że dał mu pan tę możliwość, proponuje majątek swojej rodziny, nietykalność ze strony wszystkich Klenijczyków, którzy nigdy nie poprą pana wrogów, albo służbę do końca życia, po spełnieniu obowiązku. Osobiście wybrałbym drugą wersję, kapitanie.

Klenijczyk patrzył na Lansę z ciekawością. Nie znał wszystkich języków galaktyki, ale na pewno uczono go określać pochodzenie po brzmieniu mowy. Nie sądzę jednak, by kiedykolwiek miał okazję słyszeć rosyjski czy też inny ziemski język...

– Rezygnuję z nagrody. Udzielenie pomocy w kosmosie to sprawa honoru – powiedziałem. Stojący za plecami Klenijczyka Ernado skinął głową z aprobatą. – Wyjaśnij mi za to, co się stało z twoim statkiem i na czym polega twój obowiązek.

– Jedno wynika z drugiego – odpowiedział Klenijczyk bez wahania. – Statek został zniszczony w uczciwym pojedynku. Mam obowiązek pomszczenia mojej rodziny.

– Czy teraz jest to obowiązkiem całej planety Kleń?

– Nie. Pojedynek był uczciwy, jeden na jednego. My rzuciliśmy wyzwanie. Śmierć statku to jednak hańba dla mojej rodziny. Jestem jedynym, który przeżył. Jeśli się zemścę, będę mógł odrodzić mój ród.

Lans pokręcił głową i powiedział w standardzie:

– Pojedynek był uczciwy? Mielicie dobrego przeciwnika...

– Tak. Zbyt dobrego – odpowiedział obojętnie Klenijczyk.

– Jak się nazywasz?

– Kleń.

Dla obcych mógł mieć tylko dwa imiona – swojej rodziny albo swojej planety. Rodzina została okryta hańbą, jej imienia nie można wypowiadać, dopóki nie zostanie pomszczona. Jeśli ten, który przeżył, nie dokona pomsty, imię rodziny zginie na zawsze.

– Jak to się stało, że krążownik z planety Kleń został zniszczony w pojedynku jeden na jednego? – pytałem dalej.

– To żadna tajemnica. Patrolowaliśmy ten rejon na podstawie kontraktu z Trójprzymierzem Wolnych Światów. Osiem godzin temu obserwatorzy zarejestrowali w hiperprzestrzeni statek bez

sygnałów wywoławczych. Zmusiliśmy go, żeby wyszedł w otwartą przestrzeń, i zażądaliśmy zezwolenia na przeprowadzenie rewizji...

– Rewizja to krok ostateczny – powiedział w zadumie Lans. – Tylko dlatego, że statek szedł bez sygnałów wywoławczych?

Kleń jakby nie słyszał jego słów.

– ...Gdy statek odmówił przyjęcia na pokład grupy desantowej, otworzyliśmy ogień ostrzegawczy. Walka była uczciwa, ale przegraliśmy.

– Statek, z którym walczyliście, był krążownikiem w antylaserowym pancerzu? – rzuciłem, nie mając wątpliwości, jaka będzie odpowiedź.

Kleń drgnął.

– Tak. Skąd pan wie o „Białym Raiderze”?

– To również nasz wróg – odparłem twardo. – Mamy z nim swoje porachunki. Czy Raider udzielił jakichś informacji przed walką?

Skóra Klenijczyka stopniowo ciemniała. Świdrował mnie zimnym, niemal nieludzkim spojrzeniem, jakby decydując, czy skoczyć mi do gardła. Ręka Ernada znieruchomiła na rękojeści miecza.

– Jestem księciem z planety Tar – przedstawiłem się szybko. – Nie mam powodów, by kłamać. „Biały Raider” to nasz wróg.

Kleń popatrzył mi uważnie w oczy.

– Tak, książę. Poznałem cię i wierzę twoim słowom. Człowiek, który zabił w pojedynku Shorreya, nie skłamię bez potrzeby.

Interesująca konkluzja...

– Raider odmówił poddania się rewizji pod pretekstem, że należy do sekty Potomków Siewców i znajduje się poza podejrzeniami.

Redrak pokiwał głową.

– Tego nam tylko brakowało! Grupa religijnych fanatyków, która zawładnęła superstatkiem...

Wiedziałem o sekcie Potomków wystarczająco dużo, by poczuć się nieswojo.

– Kleń – powiedziałem niemal błagalnie. – Twój wróg jest również naszym wrogiem. Dlaczego chcieliście dokonać rewizji statku sekciarzy?

Milczał tak długo, że straciłem nadzieję na odpowiedź.

– W promieniowaniu raidera nasze detektory wykryły widmo bomby kwarkowej – powiedział wreszcie.

Poczułem strach. Dziki strach człowieka, któremu Ziemia usuwa się spod nóg. Ziemia z dużej litery – nie grunt, nie piasek i glina obcych światów, nie stal podłogi statku, lecz cała planeta.

Ziemia.

Bomba kwarkowa służyła tylko do jednego celu i użyto jej tylko dwa razy. Potem nawet najbardziej wojownicze światy galaktyki przyłączyły się do umowy o zakazie używania tej broni.

Bomba kwarkowa niszczyła całą planetę. I nie istniała żadna możliwość ochrony.

CZEŚĆ DRUGA
SHEDMON

1. Potomkowie Siewców

Kosmoport Rayswaya nie był zbyt ożywiony. Prócz nas stało tam tylko kilka niezgrabnych statków otoczonych transporterami i patrolowy stateczek, dość nowy, ale niezbyt dobrze uzbrojony. To on przywitał nas przy wyjściu z hiperprzestrzeni i eskortował na planetę – symboliczna ochrona, danina złożona tradycji i ambicjom młodej kolonii.

Siedziałem w swojej kajucie przed szerokim panoramicznym oknem, które tak naprawdę nie było oknem, tylko ekranem. Cienka nitka światłowodów łączyła go z umieszczonym na pancerzu statku obiektywem, rzutując na szklaną błonę obraz wzmocniony fotoelektronowymi powielaczami.

Na zewnątrz była noc. Noc pozbawiona ciemności przez promienie reflektorów i światło dwudziestu dużych i małych księżyców. Magiczna noc pięknej, słabo zaludnionej planety, której stolica nie miała nawet stu mieszkańców; planety pokrytej lasami i łańcuchami przezroczystych jezior. Była tu Świątynia Siewców, więc z czasem mogło rozwinąć się rozumne życie. Ale na planetę przybyli koloniści ze starszych, duszących się z przeludnienia światów i miejscowe życie już nigdy nie wzniesie się na wyżyny rozumu.

Aborcja na kosmiczną skalę – oto czym jest kolonizacja planety niemającej własnego rozumnego życia.

Ale transakcje przeprowadzano tu uczciwie i dotrzymano umów. Już wczoraj, po tym, jak ostatni inkubator z zarodnikami został sprawdzony i pod ochroną zabrany ze statku, na nasz rachunek **n** w handlowym banku Shedmona przelano całą uzgodnioną sumę. Władze planety wiedziały, za co płać. Za rok każda kobieta dostanie na wychowanie pięciu zdrowych, krzepkich malców. A za piętnaście, dwadzieścia lat podwojona ludność planety w dziewięćdziesięciu procentach będzie się składać z młodzieży, która przystąpi do przekształcania swojego świata.

Szkoda tylko, że straci on wtedy wiele ze swojego piękna...

Dańka zajrzał ostrożnie przez uchylone drzwi.

– Mogę?

Skinąłem głową.

– Też nie możesz zasnąć?

– Właśnie. Wcale.

– To się zdarza, gdy czas statku nie pokrywa się z czasem planetarnym. W dzień snujemy się senni jak muchy, w nocy łykamy środki nasenne. Chcesz tabletkę?

– Nie, dziękuję.

Dańka usiadł wygodnie w sąsiednim fotelu, z ciekawością przypatrując się terminalowi komputerowemu.

– Siergiej, mógłbym nauczyć się pracować na tym komputerze? W szkole mieliśmy atari,

umiem trochę programować.

– Proszę bardzo. Tym komputerem można dowolnie sterować, nawet głosem. Najważniejsze jest precyzyjne formułowanie zadań, a czasem podpowiadanie optymalnych dróg rozwiązań.

W oknie pojawiła się długa, ciężka maszyna na gąsienicach, pełną w stronę naszego statku.

– Przywieźli kompensatory – wyjaśniłem. – Do rana załoga je zamocuje i będziemy mogli startować.

– Nie powinniśmy im pomóc? To znaczy... myślałem o sobie. – Dańka wyraźnie się spieszył.

– Raczej nie. Ani ty, ani ja nie znamy się na tutejszej technice na tyle, by pomóc w pracach montażowych. Nasi poradzą sobie z tym znacznie lepiej i szybciej, jeżeli nie będziemy się im plątać pod nogami.

– Źle jest być nieukiem – powiedział poważnie Dańka.

– Jeszcze gorzej stać się zawadą – odparłem.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Dańka chyba się przestraszył, że mnie uraził.

– Chcesz się wykąpać? – zapytałem nieoczekiwanie dla samego siebie.

– Co?

– Wykąpać się. W jeziorze innej planety. Przy świetle dwudziestu księżyców. Weźmiemy kuter bojowy, skoczmy tam na dwie godziny, a potem wrócimy i położymy się spać. No to jak?

W oczach Dańki zapłonął zachwyt chłopca, który nigdy nie był w Disneylandzie, raz do roku jeździł nad zbyt bliskie Morze Czarne, a za granicą był tylko w niepodległej Ukrainie.

– Już lecę! – krzyknął, wyskakując z fotela. – Tylko zawołam Trofeum, dobrze?

Jezioro było małe i okrągłe, a woda ciepła i nieprawdopodobnie czysta. Wystarczyło oddalić się sto kilometrów od stolicy, by jedyną oznaką cywilizacji stał się nasz kuter na brzegu.

Dawno wyszedłem z wody i leżałem na termopodkładce, a Dańka dalej pluskał się w płytkim miejscu. Trofeum biegał przy brzegu, skamłając żałośnie. Zabawne połączenie – psi głos i psia wierność, za to koci wygląd i wstręt do wody.

Piętnaście dużych i pięć małych księżyców na nocnym niebie dawało nieco więcej światła niż ziemski satelita w czasie pełni. Ale to światło składało się z kilku kolorów. Duży księżyc był cytrynowożółty, średnie – pomarańczowoczerwone, a małe asteroidy o nieregularnym kształcie, krążące po niskich orbitach, rzucały białoniebieskie promienie.

Gdy jeden satelita planety zasłaniał drugi, co w ciągu ostatniej godziny zdarzyło się dwa razy, okolica przeobrażała się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Las stawał się tajemniczy i mroczny albo przejrzysty i przyjazny, jakby napełniony własnym blaskiem. Woda w jeziorze migotała błękitem albo mieniła się bursztynowo, reagując na harce księżycowego światła.

Popijałem prosto z butelki słodkie miejscowe wino i myślałem sobie, że Raysway mógłby stać się wspaniałym kurortem. Ciągnęliby tu wszyscy, od poddanych korony Tara do ponurych Klenijczyków i uśmiechniętych palijskich wampirów. O dziwo, pojęcie idealnego piękna jest podobne na wielu planetach...

Ale jaki kurort mógłby przetrwać na peryferiach galaktyki, otoczony wojowniczymi sąsiadami? Żeby przeżyć, wszystkie planety w galaktyce zbroją się po zęby. Tu też powstaną kosmoporty i bazy raketowe, stacje obserwacyjne i fabryki broni. Tylko w nielicznych skansenach, pod światłem księżyców zmienionych w orbitalne twierdze, będą odpoczywać mieszkańcy sprzymierzonych planet...

Trzeba przyznać, że Siewcy, wielka cywilizacja wojowników i twórców życia, potraktowali galaktykę z dużym poczuciem humoru. Znikli – albo natrafiając na kogoś potężniejszego od siebie, albo wyczerpując w niekończących się wojnach swój życiowy potencjał. Ale pamięć o Siewcach przetrwała w genach stworzonych przez nich światów, w niezniszczalnych twierdzach Świątyń, w nie wiadomo skąd biorących się legendach, w zniszczonych planetach i zgaszonych gwiazdach, które miliony lat temu były areną galaktycznych bitew. Dryfują w kosmosie opustoszałe statki Siewców, starannie się bada żalosne resztki ich broni. Wielcy twórcy życia pozostawili nam w spadku wojnę, śmierć i pragnienie przewyższenia zaginionej rasy.

Siewcy stali się bogami galaktyki, nawet jeśli nie wszyscy to rozumieli.

A do okrutnych bogów nie zanoszą się dobrych modłów.

– Dańka, wyłaż na brzeg! – krzyknąłem. – Płetwy i tak ci nie wyrosną, za to się przeziębisz!

Dańka ruszył w stronę brzegu, rozchlapując wodę. Zatrzymał się na sekundę, z zachwytem patrząc na wysychające błyskawicznie kąpielówki z hydrofobowej tkaniny.

– Siergiej, mogę to wziąć na Ziemię?

– Możesz – zezwoliłem wielkodusznie. – Majtki możesz wziąć. Takie materiały są również na Ziemi.

Dańka skinął głową i pogładził ocierającego się o jego nogi Trofeum.

– Jego oczywiście nie wezmę – westchnął rozpaczliwie.

Nie odezwałem się. Niestety Miczurin i jego następcy nie nauczyli się krzyżować psów z kotami.

– Wiesz, że urosłeś przez te dwa tygodnie?

– Naprawdę?

– Grawitacja na statku jest niższa niż ziemską. Organizm w twoim wieku reaguje na to bardzo szybko. Kręgosłup się rozciąga, tkanki kostnej przybywa...

No i jeszcze sprawa przyzwoitego odżywiania. Ale o tym nie wspomniałem.

Chłopiec wyciągnął się obok mnie, podłożył ręce pod głowę i powiedział w zadumie, patrząc

na różnobarwny korowód księżyców na niebie:

– Kiedyś myślałem, że takie rzeczy zdarzają się tylko na filmach... albo we śnie. A teraz mam takie wakacje, że potem będzie mi głupio czytać książki fantastyczne. Dziękuję, Sergiej.

– Za wakacje?

– Tak.

– Obawiam się, że mogą się przeciągnąć, Dańka.

– Nie mam nic przeciwko temu... A dlaczego?

– Z powodu ludzi, którzy nazywają siebie Potomkami Siewców.

– To ci, którzy pokonali krążownik Klena?

– Tak.

Nie wiem, dlaczego zebrało mi się na szczerość. Pewnie Dańka był dla mnie przede wszystkim Ziemianinem, najbliższym człowiekiem w galaktyce, a dopiero potem chłopcem w wieku szkolnym, dla którego lot na międzygwiazdowym statku to tylko pasjonujące wakacje. I jako Ziemianin powinien wiedzieć to, czego nie powiedziałbym dziecku.

– Sekta Potomków Siewców jest stara jak świat. Na każdej planecie religia polega na oddawaniu czci Świątyni i jej twórcom. Chociaż ludzie w końcu zrozumieli, że Siewcy byli jedynie bardzo rozwiniętą rasą, pozostali fanatycy, doszukujący się głębszego sensu w ich czynach. Najczęściej chodziło o to, że Siewcy nie znikli bez śladu, lecz odeszli do innej galaktyki czy innego wymiaru, skąd nadal obserwują stworzone przez siebie życie. Uwierzono, że ludzie muszą dokonać jakiegoś szczególnego, rytualnego czynu, przejść zagadkową próbę, by stali się godni swoich bogów, a wtedy oni powrócą... I wszystko się zmieni na lepsze.

– To niby Siewcy mają sprawić, że będzie dobrze? Przecież jedyne, co umieli robić, to walczyć!

– Zgadza się. A to znaczy, że próba musi być odpowiednio trudna – na przykład zniszczyć wroga niedobitego przez Siewców i udowodnić w ten sposób swoją wierność. Takich wrogów było wielu, szczególnie na początku: prymitywne, nieludzkie formy życia albo mający szczęście człowiek-zdobywca. Bo prawdziwych przeciwników zniszczyli sami Siewcy. A więc Potomkowie Siewców wybili rozumne gady na Aldze, zagonili do rezerwatów pierzastych Cetersów, ledwie ci zdążyli wziąć w rękoskrzydła kamienne topory. Palijczyków i kilka innych narodów tak załatwili, że przez tysiące lat musiały tkwić na swoich planetach, nie wysuwając nosa poza granice atmosfery. A Siewcy się nie objawili. Sekta niemal przestała istnieć, ale jej niedobitki mają jeszcze przynajmniej jednego potencjalnego wroga. Przeklętą planetę, planetę, której nie ma... Ziemię. Siewcy nie postawili na niej Świątyni, i to jest znak: tam mieszkają nasi i wasi wrogowie. Znajdźcie ich, zniszczcie, pokonajcie; taka będzie wasza próba.

Dańka drgnął i przytulił się do mnie.

– No i szukają?

– Szukali, potem dali spokój. Sekta właśnie upadła, jej idee nikogo już nie porwały. Walczyć można między sobą, po co miotać się w poszukiwaniu zacofanej planety, która nawet nie wyszła w kosmos. A teraz chyba znowu szukają, statkiem zdolnym zniszczyć całą eskadrę. Z bombą kwarkową, która zmieni Ziemię w obłok pyłu.

Dańka ścisnął mnie za rękę.

– Musimy im przeszkodzić, prawda? Znaleźć ich statek i rozwalić go na kawałki!

– Spróbuję, Dańka. Spróbujemy. Ale dopóki Ziemi grozi niebezpieczeństwo, nie puszcę cię tam. Mamy niewielkie szansę, by wyjść cało z pojedynku z „Białym Raiderem”, ale powrót na Ziemię jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

Odrzuciłem pustą butelkę i dodałem z goryczą:

– Tak to właśnie wygląda, Dańka. Wyruszyłem, by walczyć swoją miłość, a okazało się, że muszę walczyć o swoją planetę. Wszystko się strasznie poplątało. Są ze mną przyjaciele, Ernado Lans. A także były wróg, Redrak, i przypadkowy sojusznik, Kleń. I jeszcze ty.

– A ja kim jestem?

– Ty? – roześmiałem się. – Na pewno kimś więcej niż przyjacielem. Walczę teraz o naszą planetę, o Ziemię. A to znaczy, że również o ciebie.

„Biały Raider” przeliczył się, podrzucając mi Dańkę. Nostalgia może człowieka złamać... a może też zmusić, by poszedł na całość.

– Siergiej, przecież zacząłeś szukać Ziemi tylko dlatego, żeby udowodnić księżniczce, że nasza planeta nie jest gorsza od innych. Nie wróciłbyś do domu, gdyby księżniczka cię kochała, prawda?

– Tak myślę.

– A jeżeli księżniczka nagle cię pokocha i powie, że nie musisz już szukać żadnej Ziemi? Wrócisz do niej i przestaniesz się uganiać za statkiem Potomków Siewców?

– Księżniczka niczego takiego nie powie.

– A jeśli powie?

Patrzyłem na kolorowy wzór księżyców na niebie.

– Dańka, nie wiem, czy nie jesteś za młody na to, co ci teraz powiem, ale spróbuj zrozumieć. Zacząłem szukać Ziemi nie tylko dlatego, żeby udowodnić księżniczce, że jestem pełnowartościowym człowiekiem. I nawet nie dlatego, że to mój obowiązek wobec ojczyzny. Zbyt długo byłem marionetkowym lordem, rytualnym narzeczonym, pionkiem w cudzej grze. Nawet gdy zostałem księciem, nie czułem się prawdziwy. Moje zwycięstwo nad Shorreyem to wynik przypadku, plus pomoc przyjaciół i szczęście. Muszę dokonać czegoś własnego, wybranego przeze mnie, udowodnić, że jestem wart więcej, niż chcą przyznać. Dopiero wtedy będę godny własnego szacunku, będę godny, by zostać księciem. Kiedyś powiedziałem, że warto oddać życie za miłość, ale dopiero potem zrozumiałem, że także życie powinno być warte

miłości. Nie za bardzo to pokręcone?

– Nie, wszystko zrozumiałem. Myślisz, że nie jesteś godny księżniczki?

– Tak. Odrzuciła mnie z powodu głupiego zabobonu, ale istnieje też znacznie poważniejsza przyczyna. Nawet jeśli tylko ja jestem jej świadom.

Wstałem i ruszyłem do kutra.

– Chodźmy, Dańka. Trzeba się w końcu przespać. Chłopiec podniósł z ziemi termopodkładkę, wytrzeptał i powiedział z przekonaniem:

– Ja to się na pewno nie zakocham. Potem są same problemy. Trzeba coś udowodniać, coś przeżywać...

– Masz rację – uśmiechnąłem się, wchodząc przez luk. – Też tak myślałem, jak byłem w twoim wieku. Szkoda, że potem wszyscy głupiejemy i zapominamy o swoich rozsądnych decyzjach.

2. Praca dla Klenijczyka

Wspomnienia to przewrotna rzecz. Mogą drzemać latami, ale wystarczy je poruszyć i pamięć zaczyna gorliwie podsuwać wszystko to, o czym starałeś się zapomnieć.

Nie chciałem wspominać Tara, jego równin i gór, imperatorskiego pałacu i milczącego ogromu Świątyni nad stopionymi skałami. Lepiej zapomnieć, niż cierpieć, lepiej żyć teraźniejszością niż przeszłością bez przyszłości.

Księżniczka, która wsuwała mi na palec pierścień zaręczynowy w nocnym parku na Ziemi, jest znacznie przyjemniejszym wspomnieniem niż dziewczyna tłumacząca mi logicznie, dlaczego nie może mnie pokochać, nawet pomimo wszystkiego, czego dokonałem dla jej ojczystej planety.

Stałem sam w półmroku centralnego mostku statku. Środkowa wachta, najlżejsza ze wszystkich, podczas której gwiazdolot leci w hiperprzestrzeni i nie potrzebuje korekty kursu.

Kapitan, któremu można powierzyć jedynie najłatwiejszą wachtę... Śmieszne i wstydlive. Udowadniając Dańce, że muszę dokonać czynu, który wyniosłby mnie ponad rolę marionetkowego księcia, wierzyłem w swoje słowa. A przecież stałem się marionetkowym kapitanem, za którego wszystko robią przyjaciele.

Lans wziął na siebie sterowanie podarowanym przez księżniczkę statkiem, Ernado podpowiedział, żeby przesłuchiwać piratów i buntowników, kosmicznych miłośników przygód i zwiadowców w rezerwie, zamiast przeczesywać niezbadane rejony kosmosu. Redrak wskazał ślad – człowieka, który był na Ziemi.

A ja tylko dowodzę. Rozkazuję. Nie cofać się i nie poddawać! Lecieć na tę czy inną planetę, często wybraną ze względu na dźwięczną nazwę.

Naprawdę wierzyłem, że mogę odnaleźć Ziemię i że księżniczka nie będzie już miała powodu, by odmówić małżeństwa. Ale czy naprawę nie ma innej drogi zdobycia jej miłości?!

Dwa czy trzy miesiące w roli bohatera planety, tymczasowego „męża” to dość czasu, by zdobyć sympatię ludności, zmniejszyć niechęć do planety, której nie ma. I znacznie więcej niż potrzeba, by zdobyć serce dziewczyny rozczarowanej poprzednim narzeczonym i uratowanej przez człowieka, który kiedyś jej się podobał...

Trudną drogę do celu wybiera się tylko wtedy, gdy łatwa wydaje się zniewagą dla marzeń. Albo gdy sama droga jest ważniejsza od rezultatu. Chciałbym wierzyć, że kierowało mną to pierwsze.

...Drzwi na mostek otworzyły się, piszcząc ostrzegawczo. Miękkim i bezszelestnym krokiem wszedł Ernado.

– Nie mam nic do roboty – oznajmił. – Pobędę na mostku do końca pańskiej wachty, kapitanie.

– Jestem w stanie odbyć ją samodzielnie.

– Jak pan sobie życzy. – Ernado stanął obok fotela nawigatora, który zazwyczaj zajmował. Obrzucił czujnym spojrzeniem przyrządy. – Ale ja naprawdę nie mam co robić.

– Siadaj – burknąłem. W końcu moje kompleksy to wyłącznie moja sprawa...

– Dziękuję – odpowiedział bez cienia ironii Ernado.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Ernado w zadumie patrzył na ekran kontroli generatorów hiperprzestrzennych. Pochwyciłem jego spojrzenie i pospiesznie przełączyłem tryby. Powinienem był to zrobić dawno temu. Cholera...

– Kiedy ostatnio łączyłeś się z Tarem? – zapytałem.

– Pięć dni temu, po tym, jak wzięliśmy na pokład Klenu.

– No i co tam słycać?

– Wszystko w porządku. – W głosie Ernada zabrzmiała ironia. – Tar zawarł umowę o przyjaźni, handlu i...

– Kronikę w infosieci potrafię przejrzeć sam – przerwałem mu. – Na pewno rozmawiałeś z przyjaciółmi z desantu. Opowiedz kilka plotek.

– Rozpowszechnianie plotek hańbiących dom panujący – zaczął Ernado – karane jest dwoma latami katorgi, jeśli zaś owe plotki...

– Daj spokój. Jestem księciem. Pozwalam ci.

– Podobno jakiś czas temu księżniczka spotkała się nieoficjalnie z Pratterem, swoim dawnym znajomym. Spotkanie przebiegało w przyjaznej atmosferze i trwało pół godziny. Po jego zakończeniu Pratter udał się na kosmodrom i opuścił planetę.

– Dziękuję, Ernado. Co jeszcze?

– Kosmiczna flota wojskowa została uzupełniona trzema statkami średniej klasy. Dwa z nich wysłano na poszukiwanie imperatora i imperatorowej. Nieoficjalne polecenie księżniczki brzmiało: zbierać wiadomości o planecie Ziemia.

– Dalej.

– Na przyjęciu z okazji drugiej rocznicy wygnania gyarskich agresorów księżniczka wysoko oceniła rolę księcia Siergieja z planety, której nie ma, jego mistrzostwo oraz zimną krew w pojedynku z Shorreyem Manhemem.

– Ernado, gdybyś był kucharzem, przesłodziłbyś wszystkie dania.

– Możliwe. Powiedz, Serge, nie przyszło ci kiedyś do głowy, żeby w korespondencji z księżniczką wyjść poza oficjalne powinszowania z okazji świąt?

– Nie przyszło – odparłem sucho. – Podobnie jak księżniczce. Na pulpicie zabręczał timer. Dotknąłem klawiatury, przełączając sterowanie.

– Kapitan zdał wachtę. Prostej drogi.

– Nawigator przyjął wachtę. Kurs prawidłowy, uwag nie ma.

Ernado rozsiadł się wygodniej w fotelu i włączył program testujący systemy statku. Wyjął

z kieszeni kombinezonu giętką plastikową płytkę.

– Popatrz na to. Nowe hobby kadeta.

To było zwykle trójwymiarowe zdjęcie. Ernado i Kleń z płaszczyznowymi mieczami w rękach, stojący w pozycjach bojowych w sali treningowej. Sądząc po napiętych mięśniach, fechtowali się przy grawitacji półtora g.

– Nieźle – powiedziałem. – Dobra kompozycja i nieźle uchwycony moment. Kto zwyciężył?

– Kleń – odparł niechętnie Ernado. – Zna mnóstwo oryginalnych chwytów... Chłopiec prosił Lansa, żeby pokazał mu fotografię Świątyni, i był bardzo zdziwiony odmową.

– Wyjaśniliście mu powód?

– Tak. Mały umie zadawać interesujące pytania.

Głos Ernada zmienił się nieuchwytnie.

– Kapitanie, pozwoli pan, że połączę się z kosmoportem?

– Z Shedmonem? Po co?

– Żeby załatwić przygotowanie hipertunelu na Ziemię. Dzięki temu będziemy mogli wysłać chłopca do domu kilka godzin po wylądowaniu.

Przykucnąłem przed pulpitem i popatrzyłem na Ernada ponad migotaniem paneli wskaźników. Jego twarz była jak zawsze niewzruszona, tylko oczy jakby bardziej obojętne i zimne niż zwykle. To pewnie przez niebieski odbłask włączonych ekranów.

– Ernado, czy ty rozumiesz, co znaczy bomba kwarkowa na raiderze sekciarzy?

– Oczywiście. Chcą zniszczyć Ziemię.

– I proponujesz mi, żebym wysłał chłopca na planetę, która w każdej chwili może przemienić się w obłok pyłu?

– Tak. Nic im z tego nie wyjdzie. W przeciwnym razie dawno zniszczyliby planetę, wysyłając bombę przez hipertunel. Na naszym statku chłopiec jest w większym niebezpieczeństwie. Powinniśmy wysłać go na Ziemię.

– Ernado, opamiętaj się – powiedziałem cicho. – Pleciesz bzdury. Jeśli to twoje ostateczne zdanie, to lepiej zamów hipertunel do Taru. Księżniczka na pewno sownie cię nagrodzi.

Ernado drgnął, opuścił wzrok i nieoczekiwanie speszony rzekł:

– Wybacz, Siergiej. Nie pomyślałem. Ale wydaje mi się... wydawało mi się to konieczne.

– Szkodliwy wpływ Redraka – spróbowałem się uśmiechnąć. – Może przysłać Lansa, żeby cię zastąpił? Mógłbyś potrenować albo odpocząć.

– Nie, Serge. Dziękuję, czuję się dobrze. To moja wachta.

Wzruszyłem ramionami i zszedłem z mostka.

Gdy Dańka prosił Lansa, by pokazał mu zdjęcie Świątyni, rzeczywiście poruszył interesujący problem.

Zdjęcia Świątyni nie istniały. Nie było żadnych filmów wideo, kryształografik czy klisz. Świątynia nie pozwalała utrwalić siebie na jakimkolwiek z istniejących nośników informacji. Dlaczego? To pozostawało zagadką – jedną z milionów zagadek Świątyni.

W najlepszym razie miejsce Świątyni na zdjęciu zajmowała jedynie rozmazana plama. W najgorszym – prześwietlała się cała klisza. Magnetyczne nośniki ulegały skasowaniu, kryształy optyczne – zniszczeniu. Można by pomyśleć, że Świątynie uważają się za niefotogeniczne i z uporem nie dopuszczają do zarejestrowania swojego wyglądu. Planety, na których Świątynie nadal były przedmiotem kultu, zadowalały się obrazami malarzy, którzy wybrali za temat swojej twórczości ogromne lustrzane-czarne kule. Trzeba przyznać, że te swoiste ikony robiły spore wrażenie, a niektóre z nich pod względem wierności przekazu w niczym nie ustępowały zdjęciom.

Przypomniałem sobie, że na Shedmonie jest coś w rodzaju muzeum poświęconego Świątyniom, i postanowiłem przeznaczyć pół dnia na pokazanie go chłopcu. Potem można by się przejść do Świątyni Shedmona.

Wziąłem prysznic, poleżałem pół godziny i w końcu wyszedłem z kajuty. Drzemiący w fotelu Trofeum odprowadził mnie spojrzaniem zmrużonych żółtych oczu i pytająco szczeknął.

Dziwne zwierzątko okazało się niesłychanie inteligentne, co jeszcze bardziej zwiększyło moją wrogość do Palijczyków, jeśli to tylko możliwe.

Wszedłem do windy i wcisnąłem guzik z numerem sali treningowej. Zazwyczaj jest to najbardziej ożywione miejsce na statkach wojskowych, ale moja załoga była bardzo nieliczna, więc miałem nadzieję, że będę mógł potrenować w samotności...

Nic z tego. Pośrodku okrągłej sali stał Kleń, leniwie opędzając się mieczem od Lansa i Redraka. Klingi obu pilotów były już znacznie skrócone. Nieopodal na podłodze leżał Dańka z małym aparatem w rękach. Zdaje się, że chciał utrwalić walkę w niezwykłym ujęciu.

Moje przybycie przerwało trening. Piloci podeszli do stojaka z bronią, żeby zmienić miecze, Dańka zerwał się z podłogi i wycelował we mnie aparat, zanim zdążyłem pozbyć się niezadowolonej miny. Kleń nadal stał, opuścił tylko miecz. Zauważyłem, że jego skóra przybrała lekko pomarańczowy odcień, pod kolor ścian sali treningowej.

– Dobrze walczysz – pochwaliłem.

Kleń skinął głową.

– Specjalizowałem się w bezpośrednich potyczkach. Do walki w polu neutralizującym nie wymyślono nic lepszego od jednoatomowego miecza.

– A dyski płaszczyznowe? – spytałem zazdrośnie.

– Broń przeciwko tłumowi. Shorrey Manhem udowodnił, że prawdziwy zawodowiec nie musi się ich bać.

Nie spierałem się. Shorrey miał nieludzki refleks i mógł się uchylić przed lecącymi dyskami.

Ja prawdopodobnie nigdy nie zdołam tego zrobić. Ale kto wie, jaką szybkość Klenijczycy uważają za normalną...

– Czy mogę prosić kapitana o sparring? – zapytał Kleń.

– Nie sędzę, że bym był interesującym przeciwnikiem – odparłem z nutką żalu. – Poziom mojego przygotowania dorównuje poziomowi Lansa i Ernada. No, może jest odrobinę wyższy.

Kleń uśmiechnął się lekko, po raz pierwszy, odkąd pojawił się na statku.

– Widziałem pana walkę z Shorreyem. To jeden z tych przypadków, gdy niezwykle mistrzostwo spotkało się z mistrzostwem wyjątkowym. Nagranie pojedynku pokazywane jest w klenijskich szkołach na wszystkich etapach nauki. Uśpienie czujności przeciwnika, wykorzystanie jego ataku na dopasowanie długości własnego miecza, odgadnięcie decydującego uderzenia, uchylenie się przed nieuniknionym ciosem, wypad i cięcie, wykorzystanie trybu ostrzenia miecza w celu pokonania ochrony kombinezonu, ogólna etyka pojedynku...

Omam mi szczęka nie opadła. Mój rozpaczliwy, beznadziejny, wygrany jedynie dzięki temporalnemu granatowi Siewców pojedynek okazał się klasyką walki na miecze płaszczyznowe! Studiuje się go na najbardziej wojowniczej planecie!

Dobrze chociaż, że Dańka nie rozumie standardowego galaktycznego. Nigdy nie chciałem zostać fałszywym idolem. Po tyradzie Klenijczyka byłoby to nieuniknione. A nuż Dańka by pomyślał, że sztuka władania płaszczyznowym mieczem to wrodzony talent wszystkich Ziemi. Nie wyłączając jego.

– Obawiam się, Kleń, że ten pojedynek był nietypowy. Działalem intuicyjnie.

– Oczywiście. Każdą prawdziwą walkę prowadzi się intuicyjnie. W przeciwnym razie stałaby się rzemiosłem.

Ostatnie słowo wypowiedział z pogardą, na jaką mógł się zdobyć tylko Klenijczyk, potomek setek pokoleń przodków, którzy zajmowali się wyłącznie prowadzeniem wojny. Poczułem, że coraz bardziej lubię tego samotnego człowieka ze zniszczonego statku, mimo jego żaroodpornej skóry i zdumiewającej obojętności na śmierć ogromnej rodziny.

Lubię sztukę i nienawidzę rzemiosła.

Nieważne, co robi człowiek, kładzie cegły czy komponuje muzykę. Wybór pomiędzy sztuką i rzemiosłem zawsze zależy od stopnia intuicji, nieprzewidywalności, uczucia, które wkładasz w swoje dzieło.

– Wiesz, wolałbym popatrzeć na twój sparring z Lansem i Redrakim. To mi się przyda w przyszłości.

Kleń skinął głową.

– Postaram się pokazać wszystkie zasadnicze chwytły naszej szkoły walki.

– Zdecydowałeś już, co zrobisz na Shedmonie? – zapytałem.

– Mam dwie możliwości. – Kleń wsunął miecz do pochwy. – Albo kupić statek i wynająć

załogę do polowania na „Białego Raidera”, majątek mojej rodziny na to pozwala. Albo poprosić pana o tymczasowy kontrakt. Mogę wykonywać na statku dowolną pracę. I wolałbym ten drugi wariant.

– Dlaczego? My szukamy Ziemi, mojej ojczystej planety. Odnalezienie „Białego Raidera” przewidujemy w drugiej kolejności.

– Wasze drogi się skrzyżują – powiedział twardo Kleń. – Ja to wiem.

– Chciałbym mieć taką pewność...

– Nawet dwa słońca świecą na jednym niebie – odpowiedział Kleń przysłowiem z Shedmona.

– W porządku. Mam nadzieję, że nie będziesz żałował swojego wyboru.

Skinąłem głową Lansowi, który do nas podszedł.

– Wciągnij Klena na listę załogi. Tymczasowy kontrakt, z wszystkimi niezbędnymi formalnościami... daj mu dowolne niezajęte stanowisko, które sobie wybierze. Potem przynieś do podpisu.

Redrak westchnął. Lista osób podlegających jego ochronie rozszerzała się nieubłaganie. To, że Klenijczyk mógł się obronić lepiej niż ktokolwiek z nas, nie miało żadnego znaczenia.

3. Zapłata za milczenie

Na kosmodromie Shedmona wylądowaliśmy samodzielnie. To było coś w rodzaju najwyższego pilotażowego szyku – lądować w ten sposób, gdy na planecie jest najnowszy kosmoport ze wszystkimi systemami autolądowania, od zdalnego sterowania i raketowych holowników do eksperymentalnych urządzeń przymusowego lądowania w promieniu grawitacyjnym.

Jeśli zwyczajne lądowanie na prawie pustym kosmodromie czy w przestrzeniach planety jest zadaniem niezbyt trudnym nawet dla początkującego pilota, to lądowanie na betonowym placyku o średnicy dwa i pół razy większej od średnicy statku wymaga niemałego skupienia od mistrza. Nawet mimo nieco niższej grawitacji.

Manewrowaniem zajmował się Redrak w czarnym hełmie zasłaniającym całą twarz. Nie miał już czasu na liczne pulpity i ekrany. Najważniejsze informacje przesyłane były poprzez wewnętrzną powierzchnię hełmu i powtarzane przez syntezator mowy w słuchawkach. Z pulpitu pilotażowego wysunęły się dodatkowe konsole, pokryte setkami sensorów bezpośredniego sterowania silnikami. W zwykłych warunkach się ich nie używa, komendy wydaje się przez naciśnięcie kilku klawiszy głównego pulpitu, ale teraz Redrak sterował silnikami na ślepo, dotykając sensorów wypracowanymi przez lata ruchami, niczym pianista niepatrzący na klawisze.

Zadanie Lansa było nieco łatwiejsze – kontrolował pracę głównego reaktora i silników, dopływ paliwa i chłodzenie dysz. Bez względu na to, co zechce wycisnąć ze statku Redrak, rezerwa energii nie powinna zostać naruszona.

Kleń niemal leżał na maksymalnie opuszczonym oparciu fotela. Pozwalało mu to obserwować wszystkie ekrany jednocześnie, poczynając od głównego, zajmującego połowę sufitu, a kończąc na wideosześciacie z obrazem optycznym, świecącym nad jego prawą ręką. Stanowisko, które wybrał sobie Kleń, nazywało się dość wyszukanie – „taktyk pilotażowy” i należało do kategorii funkcji całkowicie zbędnych, które w pewnych sytuacjach stają się niezastąpione. Klenijczyk faktycznie sterował wszystkimi manewrami statku w krytycznych momentach lotu.

– A-trzy – powiedział półgłosem Kleń. – Przerwa. Przerwa. B-cztery. Przerwa. Wisimy. Jeszcze. A-jeden, leciutko... – komendy wydawane przez Klana przypominały bredzenie pijanego szachisty. Podawane w sposób nieuporządkowany numery silników manewrowych oraz wygłaszane w swobodnej formie rady były zapewne niezbyt zrozumiałe nawet dla Lansa. Ale Redrak Sholtry był pilotem ekstraklasy. Czuło się to w głosie Klana – początkowo mówił czujnie i powoli, teraz pewnie i szybko.

Ernado, zajmujący niezbyt trudne stanowisko nawigatora, zwyczajnie się nudził. Mógłby się

przydać wyłącznie wtedy, gdyby Redrak zdecydował się unieść statek poza granice atmosfery i powtórnie zejść do lądowania. Przypadek czysto teoretyczny.

Było tylko dwóch ludzi absolutnie zbędnych na statku: Dańka i ja. Kapitan i junga. Nieważne, że pulpit, przy którym posadziliśmy chłopca, został w tajemnicy przed nim odłączony, a mój – kapitański – mógł odwołać dowolny rozkaz Redraka czy Klena. I tak nie miałem zamiaru się włączać i demonstrować załodze swojej skromnej wiedzy.

– D-cztery – dyktował Kleń. – D-pięć, D-sześć dwa razy. D-siedem. Dobrze, odeszliśmy. Przerwa. Schodzimy do zera...

Półgłosem wyjaśniałem Dańce, co się właściwie dzieje. Przynajmniej na to wystarczało moich wiadomości.

– Teraz załoga działa według trybu bojowego. Jest jeszcze bojowy-bojowy, czyli pojedynkowy. Wtedy ja, ty oraz wszyscy niezajęci manewrowaniem, czyli Ernado i Lans, kontrolowalibyśmy systemy ochrony i ataku. Znasz podstawy walki kosmicznej?

– Tak, Redrak mi wyjaśniał. – W kanale połączenia dwustronnego głos Dańki zdrzął z podniecenia. – Kapitanie, na tym ekranie pośrodku pulpitu jest widok z góry?

– Tak. Główny ekran pokazuje teraz kosmodrom z wysokości naszego lotu. To nieco mniej niż cztery kilometry. Placyk, na którym lądujemy, otoczony jest czerwoną przerywaną linią.

– To światła?

– Nie, to podpowiedz komputera pokładowego. Takie światła są oczywiście na lądowisku, ale rzadko się ich używa.

– Tu jest tyle statków... A jeśli Redrak się pomyli i w jakiś uderzymy?

– Nie na tym kosmodromie. Przejmą nas promieniem grawitacyjnym i posadzą w wydzielonym miejscu. Cała sprawa zakończy się niewielką grzywną i sporym wstydem.

Dańka zamilkł, przypatrując się sylwetkom statków na ogromnym, zbliżającym się powoli polu. Kule i cygara, stożki i cylindry, dyski i piramidy. Statki z różnych planet, wszystkich istniejących klas – od lekkich sportowych jachtów do krążowników bojowych. Odległość i lekka mgiełka zacierały szczegóły i statki wyglądały niczym pomoce naukowe do stereometrii, rozłożone na stole w szachowym porządku. Kosmoport Shedmona był jednym z największych w galaktyce – planeta służyła za punkt przeładunkowy między nieposiadającymi Świątyni koloniami i innymi światami. Tutaj tankowano i remontowano statki, tutaj załogi odpoczywały przed następnym lotem w hiperprzestrzeni od Świątyni Shedmona na sygnał Świątyni swojej planety.

Poza tym od niepamiętnych czasów Shedmon był handlowym i kulturalnym ośrodkiem tego sektora galaktyki.

Nie mówiąc już o tym, że okolice kosmoportu słynęły z melin i spelunek proponujących rozrywki na każdy gust.

– Kapitanie, a nie prościej wylądować w promieniu grawitacyjnym? Nie musielibyśmy tak manewrować.

– Dańka, jeździłeś kiedyś na rowerze bez trzymania i z zamkniętymi oczami?

– Jeździłem – odparł chłopiec z nieukrywaną dumą.

– A po co? Nie prościej trzymać mocno kierownicę i patrzeć na drogę?

– Rozumiem...

Kleń nadal odbębniał swoją literowo-cyfrową abrakadabrę, teraz bardzo szybko i bez żadnych ozdobników. Statek zawisł pięćdziesiąt metrów nad lądowiskiem.

– Zero zero, manewrowe stop, ciąg minus zero dwa. Kołysanie wzdłużne zero, wyłączenie zero... Ciąg minus cztery... Stoimy. Minus pięć... pięć, a nie cztery! Stoimy. Podpory. Grawikompensacja. Minus dziesięć. Silniki stop, idziemy na rezerwie. Dystans plus jeden, dotyk...

Statek zakołysał się lekko, opadając na lądowisko.

Redrak powoli zdjął czarny hełm, dodatkowe konsole jego pulpitu z cichym szumem rozjechały się na boki. Światelka na panelach zamigotały na żółto i zielono. Twarz Redraka wyglądała jakoś obco: nie było na niej ani śladu podejrzliwości. Wyłącznie duma. Duma człowieka, który dokonał tego, co było prawie niemożliwe.

– Siedliśmy jeden do jednego – oznajmił usatysfakcjonowany. – Odchylenia w granicach centymetra!

Kleń skinął głową i uniósł się ze swojego fotela, wyciągając rękę do Redraka. Pilot uściśnął ją bez wahania. Widocznie na ich planetach panowały całkiem ziemskie zwyczaje...

– Jesteś pilotem – powiedział tylko Kleń.

– Jesteś taktykiem – odparł Redrak.

Patrzyłem na nich w zadumie. Miałem przed sobą coś nowego i niezwykłego. Nigdy bym nie przypuścił, że Klenijczyka może ucieszyć coś poza zwycięską walką i że Redrak zdoła pokonać wszczępioną hipnokodowaniem podejrzliwość.

Jak się okazuje, wszystko jest możliwe.

Nawet dla Klena życie nie polega na niekończących się walkach o ojczystą planetę. Wie, że istnieje po prostu praca – zwykła praca, w którą można włożyć wszystkie siły, oraz przyjaciele, którzy są przy tobie w czasie tej pracy.

– Dziękuję wszystkim – powiedziałem. – Dwie godziny na formalności i kontrolę celną. Następnie odpoczynek. Proponuję spacer po miejscowych spelunkach.

Redrak uśmiechnął się. Lans skinął głową. Ernado wzruszył ramionami.

– Przydam się wam? – zapytał Kleń.

– Prawdopodobnie – odparłem, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Szukamy „Białego Raidera”?

– Szukamy człowieka, którym interesuje się załoga krążownika. – Z przyjemnością przejdę się po shedmońskich jaskiniach rozpusty.

Popatrzyłem w zadumie na Dańkę.

– Po knajpach będziemy chodzić bez ciebie, kadecie. Umowa stoi?

Chłopiec nadął się i urażony zaprotestował:

– Ja też jestem członkiem załogi! A jak będzie striptiz, to mogę się odwrócić!

Pierwszy zachichotał Lans. Potem pozostali. Tylko Redrak ledwie się uśmiechnął.

– Chłopiec ma rację, kapitanie. Ma prawo iść. Zgodnie z regulaminem każdy członek załogi ma prawo do odpoczynku po locie trwającym dłużej niż pięć dób.

– Dobrze.

Zerknąłem kątem oka na Ernada, ale wszystko było w porządku. Żadnych śladów poprzedniego chłodu w spojrzeniu.

– Ernado, przed zejściem ze statku wydasz kadetowi pistolet paralizujący i wyjaśnisz, jak się nim posługiwać.

Przebite w miękkim wapieniu przejście było wąskie i kręte. Gdzieś z sufitu kapąła woda, tworząc na podłodze płytkie, kryształowo czyste kałuże.

– Najważniejszą zaletą restauracji Grota – opowiadał Redrak – są liczne wejścia i wyjścia. Niektóre bardzo eleganckie, z windami i schodami ruchomymi, a inne takie jak to, z tą całą romantyką... są nawet plamy krwi na ścianach w miejscu, gdzie kogoś stuknęli. Plamy są regularnie odświeżane.

Dańka ostrożnie ujął moją rękę. Chyba uważał mnie za lepszą ochronę przed nieprzyjemnościami niż paralizator w kaburze na pasie.

Korytarz kończył się dość nieoczekiwanie tęczową zasłoną holograficzną. Spodziewałbym się raczej solidnych drzwi z drewna czy metalu.

Po przejściu iluzorycznej kotary zanurzyliśmy się w półmroku niewielkiej sali. Kamienne ściany, połyskujące iskierki krystalicznych okruchów, niski nierówny sufit... Prawdziwa jaskinia, lekko ucywilizowana masywnymi meblami i sztucznymi pochodniami, wąska i długa, z licznymi wnękami, w których kryły się niskie okrągłe stoliki. Było sporo wolnych miejsc.

– Za wcześniej? – spytałem.

– Przeciwnie, zbyt późno. Zabawa trwała do rana. W południe zawsze jest tu cicho, wtedy zagląдают tu nawet miejscowi.

Zajęliśmy jeden ze stolików, przy którym stały trzy fotele. Nasza załoga podzieliła się dziś na dwa pozornie nieznanające się towarzystwa. W każdym razie chwilowo.

Przekonany, że w restauracji jest normalna obsługa, przeżyłem rozczarowanie. Nikt nie pospieszył do naszego stolika, za to w powietrzu pojawił się napis w standardzie, proponujący

zamówienie żądanych dań głosem albo poproszenie o polecane zestawy.

– Obsługa na poziomie kawiarni-automatu – warknąłem.

Redrak wzruszył ramionami.

– Niestety, kapitanie... Niewielu jest chętnych do pracy w restauracji, w której niemal co wieczór dochodzi do strzelaniny. Za to kuchnia jest tu wyśmienita.

– Mogliby włączyć generator pola neutralizującego – zauważyłem.

– Wtedy przepadłaby cała romantyka Groty. Do tego miejsca przychodzi się właśnie dla ryzyka pozostania w nim na zawsze.

Zamawianie dań powierzyłem Redrakowi i Dańce. Mnie bardziej interesowali goście. Na wpół ukryte w kamiennych niszach stoły nie pozwalały się im dobrze przyjrzeć. Zresztą na razie nie dostrzegłem nic niezwykłego. Dziesięć metrów od nas dwoje młodych ludzi, czule przytulonych. Sympatyczne, ale dość naturalne. Starsza dama z dwoma facetami w średnim wieku. Trywialne. Grupka pięciu czy sześciu wstawionych pilotów w obcych mundurach – wyjątkowy banał.

– Obawiam się, że niepotrzebnie tu przyszedliśmy – stwierdziłem, odbierając z okienka ogromne talerze: garniowane mięso dla mnie, zupa i słodycze dla Dańki, trzy talerze sałatki i butelka wina dla Redraka.

– Przynajmniej nie będziemy głodni – zauważył swobodnie Redrak. – Zaraz się rozejrzę.

Napełnił swój kieliszek i niedbale wyciągnął z kieszeni okulary. Z pozoru całkiem zwyczajne, z lustrzanymi szklami i zwykłą plastikową oprawką, ale i z elektronicznymi bajerami, które czyniły z nich skrzyżowanie lornetki i noktowizora.

– Ernado, Kleń i Lans – powiedział półgłosem. – A ja myślałem, że ich wyprzedziliśmy.

– Gdzie są?

– Po przeciwnej stronie, siedem stolików od nas. Coś jeszcze?

Redrak w milczeniu wpatrywał się w odległy kąt restauracji. Podniósł rękę do twarzy, by poprawić okulary i dostroić zbliżenie. Napił się wina, wbrew swoim zwyczajom nie próbując go najpierw.

– Redrak!

Pilot odwrócił się do mnie. W lustrzanej tafli szkieł płąsały płomienie pochodni.

– Wierzy pan w szczęście, kapitanie?

Po moim ciele przebiegł dreszcz. Wytarłem wargi serwetką, zgmiotłem ją i odłożyłem na bok.

-Tak.

– On tu jest. Przy stoliku w narożnej niszy, z jakimś młokosem i dwiema dziewczynami.

– Jesteś pewien?

Redrak skrzywił się i z urazą wycodził:

– Niech pan włączy swoją bransoletkę.

– Zostawiłem na statku. Powiedz o tym Ernadowi.

Redrak skinął głową.

– Poczekamy, aż facet ruszy do wyjścia?

Zawahałem się. Najlepiej byłoby wziąć języka w jednym z licznych krętych wyjść z restauracji, ostatecznie w kabinie windy. Ale coś zimnymi młoteczkami stukalo w mojej piersi: niecierpliwość, strach albo przekłeta intuicja.

– Bierzemy go natychmiast. Wariant „bezczelny kawaler”.

Redrak zdjął okulary, w milczeniu wstał od stołu i ruszył wąskim przejściem. Cały czas obracając okulary w dłoni, upuścił je, przechodząc obok stolika, przy którym siedziała druga połowa naszej załogi. Pochylił się, podniósł je i wymamrotał coś uprzejmie.

Ernado niedbale skinął głową. Odwrócił się do Lansa z uśmiechem i coś mu powiedział.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Za chwilę Lans z toporną delikatnością pijanego małolata zacznie odbijać piratowi damę, a potem obaj oddalą się do najbliższego korytarza, żeby sobie „porozmawiać”. Tam już będą na nich czekać Ernado i Kleń.

Niezbyt uczciwe. Ale bardzo skuteczne.

Wziąłem kieliszek Redraka i upiłem łyk kwaśnego wina. I to ma być najlepszy gatunek?

Wszystko szło doskonale. Lans powoli wstał od stolika, Ernado i Kleń znikli. W drzwiach toalety pojawił się Redrak. Miał mokrą twarz.

– Siedzisz na miejscu i do niczego się nie wtrącasz – nakazałem niczego niepodejrzewającemu Dańce. – Jak zacznie się strzelanina, nurkujesz pod stół. Jasne?

Chłopiec zakrztusił się deserem wyglądającym jak lody posypane różnokolorowym owocowym pudrem.

– Co? – zapytał.

– To rozkaz, kadecie! – warknąłem. Udało mi się przy tym nie podnieść głosu i zachować dobroduszny uśmiech. – Masz się nie wtrącać! Do każdego obcego, który podejdzie do twojego stolika, strzelaj natychmiast!

Z kieszeni kurtki wyjąłem własne okulary. Włożyłem je i dotknąłem malutkiego przycisku. Świat wokół rozrósł się i skoczył do przodu. Twarz kumpla Redraka miałem teraz tuż przed oczami. Mrok się rozproszył. Mężczyzna mówił coś z ożywieniem, energicznie gestykulując i uśmiechając się z zadowoleniem. Koleś pewnie lubił sobie pogadać. Wypić najwyraźniej też.

Drugi przycisk: mikrofony z systemem aktywnej filtracji dźwięku... Usłyszałem mlaskanie dziewczyny – dźwięk był tak nieprzyjemny, że skrzywiłem się i pokręciłem głową. Mikrofony się dostroily.

– Mimo wszystko nie wierzę. Wybacz, Dray.

Lekkim skinieniem głowy potwierdziłem rejestrację tego głosu. Młody rozmówca naszego przyszłego znajomego nie zgadzał się z nim w jakiejś kwestii. Posłuchamy, póki Lans odgrywa

komedię, objijając się od stolika do stolika i prawiąc komplementy damom. Żeby tylko nie wywołał skandalu zbyt wcześnie.

– Po co miałbym ci kłamać?

To już Dray. Człowiek, który kupował pluton w Nowym Jorku. Znowu schyliłem głowę, potwierdzając konieczność podsłuchiwania również jego. Ależ się zaprawił!

– Widzę cię po raz pierwszy i ostatni, jeśli nie oduczę się sterować statkiem... Nawet nie jesteś dla mnie człowiekiem, wiesz? Najwyżej rybą w płytkiej kałuży, kurą w klatce... Urodziłeś się na tej planecie i na niej zdechniesz... jak ci... Ziemianie. Byłem tam, rozumiesz? Byłem!

– Ale mnie mówiono – powiedział rozmówca Draya bardzo uprzejmie, nie reagując na obraźliwe słowa – że do planety, której nie ma, nie da się dotrzeć w rzeczywistej przestrzeni. Tylko przez ten, jak go tam... hipertunel.

Zacząłem wstawać, a ręka sama mi się wsuwała pod połę kurtki.

Chłopiec rozmawiający z Drayem nie był nawet wstawiony. Nie był również rdzennym Shedmończykiem. Tylko pijany i zarozumiały kretyn mógł nie zauważyć charakterystycznego gardłowego brzmienia jego standardowego galaktycznego. Brzmienia, spowodowanego odmienną budową więzadeł głosowych.

Młodziak umiejętnie i z uporem wyciągał z Draya potrzebne mu informacje. Informacje o Ziemi. Gorliwie rozprawiająca się z kolejnym daniem dziewczyna uważnie przysłuchiwała się rozmowie. A druga, obracając w palcach kryształowy kieliszek, bacznie wpatrywała się w zbliżającego się Lansę. W jej oczach nie było znudzenia taniej prostytutki, lecz zimne wyrachowanie zawodowca.

-Głupi... Rozumiesz tyle, co ten stół... Dotarłem do planety, której nie ma, po ślepym skoku z oparciem o punkty orientacyjne Shedmona, Oara i Rega-N... A wiesz, na co orientował się wektor? Na gwiazdę...

Powiedział już wystarczająco dużo, by dało się wyznaczyć kurs.

– Na podłogę! – krzyknąłem, wyrwijąc blaster z kabury pod pachę. Laser o działaniu impulsowym małej mocy, z systemem chłodzenia, zasięg sto dwadzieścia metrów...

Dziewczyna, do tej pory starannie dziobiąca jedzenie, wyskoczyła zza stołu. W jej ręku błysnął metal. Nie miałem czasu na rozmyślanie.

Wąski biały promień przemknął przez długą salę. Nie chciałem zabijać, zresztą nie jestem aż tak dobrym strzelcem. Laserowy impuls trafił w wycelowany we mnie pistolet dziewczyny. W ułamek sekundy metal pistoletu rozpałił się do czerwoności. Zaraz potem stopiła się izolacja i dziesięć megawatów wniknęło w rękę ściskającą blaster.

Dziewczyna nie zdążyła krzyknąć ani drgnąć. Umarła natychmiast – zwęglony czarny trup stał przez kilka sekund, by osypać się na podłogę garstką prochu.

Dray wytrzeźwiał natychmiast, przeskoczył przez stół i zaczął biec w stronę najbliższych

drzwi. Ale powstrzymał go silny cios niedawnego rozmówcy. Młodzieniec działał z szybkością godną Klenijczyka, którym jednak nie był, zważywszy na cienkie kły, które wysunęły mu się z ust... Palijczyk nie miał teraz głowy do kontrolowania instynktów.

Ponad powalonym Drayem rozgorzała walka. Lans błyskawicznie ocenił sytuację i spróbował odciągnąć Draya na bok. Z trudem sparował pierwszy atak Palijczyka. Przez kilka sekund trwała wymiana ciosów, w końcu pomiędzy nimi rozbłysnął błękitny płomień pistoletu paralizującego. Do gry włączyła się druga dziewczyna. Lans upadł.

Następny strzał unieruchomił Draya. Młodzieniec podniósł go, zarzucił sobie na plecy i skoczył w stronę wyjścia. Dziewczyna obojętnie popatrzyła na nieruchomego Lansa i uniosła broń.

Pistolet paralizujący nie zabija. Ale trzy lub cztery strzały mogą zatrzymać akcję serca... Przyjaciółka Palijczyka zdążyła wystrzelić tylko raz.

Smagany psychokodem Redrak wyprzedził nawet mnie. Cisnął nóż, najzwyczajniejszy nóż, nie płaszczyznowy i nie wibracyjny, ale wystarczyło – dziewczyna miała na sobie tylko długą wieczorową suknię z dekoltem na plecach. Tam właśnie weszła klinga.

Przez chwilę wydawało mi się, że wszystko już w porządku. Redrak zdążył dogonić porywacza, za nim pobiegnę ja... Ale wtedy z nisz stolików zaczęli wyskakiwać inni goście i rozgorzała zwyczajna bijatyka.

Nie zauważyłem, kiedy w tłumie pojawili się Kleń i Ernado. A Redraka zobaczyłem dopiero wtedy, gdy rzucił na krzesło nieruchome ciało Lansa, wyrwane przez niego z kłębowiska bójki...

Nachyliłem się, jakby to gwarantowało mi niewidzialność, i obserwowałem Palijczyka niosącego Draya. Nawet po śmierci swoich towarzyszek nie był sam. Oslaniało go co najmniej sześciu ludzi. Dla pozostałych gości cała heca była jedynie doskonałą okazją do rozruszania się i postrzelania, a mała zgrana grupka umiejętnie osłaniała ucieczkę towarzysza.

Widziałem, jak Klenijczyk sunie przez tłum. Ci, którzy znaleźli się na jego drodze, rozpraszali się niczym suche liście od podmuchów wiatru. Ale gdy doszedł do dwóch osiłków z długimi płaszczyznowymi mieczami, zatrzymał się i wyciągnął swoją broń. Sekunda, drugą, trzecia... i siłacze zaczęli go powoli spychać w tył. Klenijczyka. Najemnika. Człowieka, którego zawodem było zabijanie!

Załatwili nas.

Ernado oczyszczał sobie drogę nieprzerwanym ogniem paralizatora. Wachlarz błękitnych promieni kładł wszystkich bez różnicy. I nagle, kompletnie nieoczekiwanie, Ernado uskoczył w bok. Nie bez powodu. W miejscu, w który przed chwilą stał, kipiała pomarańczowa ognista kula. Ciężki plazmowy blaster, model wojskowy. Broń, którą wielu pogardzało za zbyt dużą moc.

Mojemu nauczycielowi udało się uprzedzić strzelca. Robiąc unik, Ernado schował się

w jednej ze skalnych nisz, skąd dobiegł stłumiony kobiecy pisk. Natychmiast przy wejściu do tej zaimprovizowanej kryjówki zapłonął ciemnożółty płomień. Nawet jeśli Ernado nie zostanie spopielony odbiciem energii cieplnej, na pewno nie uda mu się wyrzeć z groty.

Palijczyk kopniakiem otworzył drzwi. Nie, błąd – te drzwi też były iluzoryczne. Po prostu wszedł w nie, przechodząc przez nieistniejące drewno i metalowe inkrustacje. Dray bezwładnie wisiał na jego ramieniu.

Pirat, kontrabandzista, łajdak, pijaczyna, bałwan... Jedyne człowiek, który znał drogę do Ziemi. Mój niedoszły przewodnik.

A może przyszedł przewodnik „Białego Raidera”? Nie znałem innej potęgi zdolnej zorganizować takie polowanie na gadatliwego pirata.

Ale właścicielom „Białego Raidera” nie powie już nic.

Wycelowałem blaster w jego plecy. I nacisnąłem spust.

4. Słowo sekty

Nigdy nie celowałem w plecy. Nigdy nie strzelałem do bezbronnych. Nigdy nie zabijałem niewinnych.

Ale Dray, samochwała i łajdak, uważający się za bohatera, wiedział to, czego nie powinien był wiedzieć. Może tylko parę jego słów dzieliło Ziemię od nieodwracalnego koszmaru. „Biały Raider” na bezpiecznej orbicie, gdzieś w okolicy Saturna, i dziesięciometrowa kula bomby kwarkowej, powoli spadająca w stratosferę. Coraz bliżej Ziemi, jej oceanów i skał, i łądów – materii wystarczająco gęstej, żeby wejść w reakcję z kwarkami... I szary dzień apokalipsy. Właśnie dzień – zniszczenie całej planety potrwa najwyżej kilkadziesiąt godzin. Ogromny, rozszerzający się szybko lej wypełniony atomowym kurzem... Szary wrzód, rak na ciele planety, rozprzestrzeniająca się pustynia nieważkiego pyłu, który jeszcze przed chwilą był kwiatami i drzewami, domami i samochodami, ptakiem nad lasem i człowiekiem w polu... Szara chmura nasuwająca się na miasta, ludzie uciekający przed niezrozumiałą, straszną śmiercią... Samoloty krążące nad rozsypującą się na atomy planetą, dopóki nie pochwyli ich reakcja odpychania kwarków...

Istnieje wiedza, która zabija przez sam fakt swojego istnienia.

Nacisnąłem spust i biały promień pistoletu laserowego przekreślił życie Draya. Życie, z którego znałem tylko jeden epizod – ucieczkę przed krążownikiem patrolowym, zakończoną na planecie Ziemia.

Strzał rozwiązał przy okazji wszystkie problemy młodego Palijczyka, wszystkie rozterki związane z niewykonaniem zadania. Co to za różnica – jeden cel czy dwa.

Ubranie na Drayu zapłonęło, a niosący go Palijczyk zachwiał się i wypadł przez iluzoryczne drzwi na korytarz prowadzący do wyjścia, do ratunku...

– Pilnuj chłopców! – krzyknąłem do Redraka. Nie obchodziło mnie, czy urażę uczucia Lansy, wprawdzie sparaliżowanego, ale słyszącego wszystko. Rzuciłem się do drzwi, za którymi znikli palijski wampir i Dray.

Restauracja nie robiła już wrażenia pustej. W jej głównej sali – jaskini długiej na sto metrów i szerokiej na dziesięć – walczyła ze sobą co najmniej setka ludzi. Nie licząc kobiet, które przeważnie zostały w niszach przy stolikach. Mignęła mi twarz jednej z nich – czarująca, subtelna brunetka w błyszczącej wieczorowej sukni. Niespiesznie kroїła befsztyk, nie odrywając zaciekawionego spojrzenia od trwającej wokół rzezi. Idiotka? Sadystka? Psychopatka?...

Padłem na kamienną podłogę, uchylając się przed płaszczyzną klingą, która błysnęła mi nad głową. Wyrwałem miecz i sparowałem następny cios. Napastnik, pozbawiony dwóch trzecich ostrza, zrejterował.

O dziwo, wszyscy uczestnicy jatki – prócz mojej załogi i porywaczy Draya – używali

wyłącznie jednoatomowej broni. Dlaczego? Przecież nie ma tu pola neutralizującego, nic nie przeszkadza wykorzystać w walce na przykład generator antymaterii... Jakby dla wszystkich tu zebranych walka była przede wszystkim rozrywką, możliwością zaprezentowania swoich umiejętności. A czy może być mowa o elegancji pojedynku, gdy twój przeciwnik ma blaster?

Co zrobić, ja walczę według własnych reguł. Dla mnie sztuka walki polega na zwycięstwie, nieważne, jaką drogą zdobytym... Z prawej strony błysnął promień lasera i jeden z przeciwników Klena upadł. Uratowany przez nas wojownik wyraźnie był tego samego zdania.

– Siergiej, z tyłu! – Głos Redraka załamał się ze strachu. Odwróciłem się i zobaczyłem szczupłego niskiego mężczyznę w pstrokatym miejscowym stroju. Właśnie z uśmiechem triumfu unosił miecz do ciosu. Klinga płonęła białym ogniem. Nieprzerwane ostrzenie, metoda, którą osobiście wprowadziłem do użytku... Nawet gdybym zdążył zaatakować, wzniesiona klinga i tak na mnie opadnie.

Od naszego stolika strzelił błękitny promień. To nie Redrak; nie zdążyłby wyciągnąć swojego blastera spod ubrania. To Dańka. Nie wiem, co zaważyło na tym strzale – lekcje Ernada, wrodzona celność czy po prostu szczęście... W każdym razie Dańka trafił.

Shedmończyk, który postanowił zabawić się w towarzystwie kosmonautów, zastygł. Twarz mu zeszywniała, usta wykrzywiły się

w idiotycznym uśmieszku, ręce obwisły. Powoli, jak podcięte drzewo, runął na podłogę.

Pochyliłem się nad nim i końcem klingi dotknąłem gardła.

– To nie fair bić leżącego – powiedziałem w standardzie – ale atakowanie od tyłu też nie jest w porządku.

Mój miecz nakreślił na podłodze linię grubości mikrona.

– Więc jesteśmy kwita.

Walczący rozbili się na małe grupki, pobojuwisko przypominało zmultiplikowaną scenę pojedynku. Prześlizgując się pomiędzy zajętymi własnymi sprawami ludźmi, dotarłem do iluzorycznych drzwi, za którym znikli Dray i jego porywacz. Martwi? A może jednak nie?

Korytarz za holograficzną zasłoną w niczym nie przypominał drogi, którą doszliśmy do restauracji. Miękkie dywany na podłodze, szerokie, biegnące w górę schody... Jasne światło, ale o dziwo nierażące oczu po półmroku restauracji. I absolutna cisza. Korytarz oddzielały od sali nie tylko iluzoryczne drzwi, ale również dźwiękoszczelne pole tłumiące okrzyki walczących i jęki rannych. Co prawda, dyskretna elegancja głównego wejścia do restauracji została nieco zakłócona.

Na ogromnym białym dywanie z naturalnego futra rozpląwała się ciemnoczerwona plama. Na środku krwawego kleksa leżeli Dray i Palijczyk, nieruchomi, beznadziejnie martwi. Głowa Palijczyka była nienaturalnie wykręcona, wysunięte na kilka centymetrów kły wyrwały w dywanie dwie bruzdy.

Jakież straty poniosła przeze mnie restauracja...

Nieco dalej zamarła wystraszona trójka – przystojna, choć niemłoda kobieta i dwóch ciemnoskórych, prawie czarnych mężczyzn. Gdzieś ich już widziałem... Przynajmniej kobietę...

– Nie żyje? – spytała kobieta. Jej głos rażąco kontrastował z wyrazem twarzy. Absolutnie spokojny, lekko zaciekawiony.

Wreszcie sobie przypomniałem. Siedzieli w restauracji naprzeciwko nas. Szybko wyskoczyli na korytarz... A może wyszli przed rozpoczęciem bójk?

Podniosłem powiekę Draya, zobaczyłem rozszerzoną źrenicę i skinąłem głową.

– Nie żyje.

– Szkoda – zauważyła kobieta. Jej towarzysze nie wtrącali się do rozmowy.

Szkoda – powtórzyłem jak papuga. I poczułem zapach niebezpieczeństwa, lekki, niemal nieuchwytny. Miecz w pochwie, blaster w kaburze... Ale przecież zdążę je wyciągnąć, zanim ktokolwiek z tego niecodziennego tria – niechby nawet kobieta – sięgnie po broń!

– Bierz go, Vaich – rzuciła krótko kobieta.

Palijczyk, leżący nieruchomo w kałuży krwi, wyprostował się błyskawicznie. Cios w twarz odrzucił mnie na ścianę. Sięgnąłem po miecz, przeklinając się za zadufanie i głupotę. Ernado opowiadał mi wystarczająco dużo o Palijczykach, bym zrozumiał, że nie można jednym strzałem zabić istoty mającej trzy niezależne układy krwionośne i zdublowane mniej ważne organy!

Mój miecz odleciał na bok. Krzyknąłem z bólu w wywichniętym stawie i kopnąłem Palijczyka. Ten jakby nie poczuł ciosu, zdolnego powalić na ziemię każdego człowieka. Na wielkich Siewców, czy on w ogóle jest humanoidem?

Ręce wampira przyspiliły mnie do ściany stalowym chwytem.

– Brawo, Vaich – powiedziała czule kobieta. – A teraz zaczekaj. Muszę mu się przyjrzeć.

Kobieta oglądała mnie bez pośpiechu, a ja mogłem jedynie gapić się na nią. Gdy już wiedziałem, że rozpoznam ją pod dowolnym makijażem – jeśli w ogóle przeżyję to spotkanie – przełączyłem się na Vaicha.

Teraz palijski wampir niezbyt przypominał człowieka. Kły – zdumiewający twór ewolucji, naturalna strzykawka umożliwiająca wyssanie krwi albo wstrzyknięcie toksyn paralizujących; oczy, teraz jasnoczerwone; blada, niemal błękitna skóra obciągnięta na kościach czaszki. Nie przypadkiem ziemski folklor tak dokładnie opisywał wampiry! Palijczycy byli starożytną i bogatą cywilizacją, zapewne wielu jej przedstawicieli mogło pokryć koszt hiperprzejścia na Ziemię, planetę, której nie ma, doskonały rezerwat dla znudzonych standardową żywnością wampirów...

– Spodziewałam się czegoś więcej – powiedziała w końcu kobieta.

– Na „więcej” mam innych pretendentów – powiedziałem ze złością. – Pani kolejka przyjdzie nieprędko.

– Porzuć ten ton – poradziła kobieta prawie serdecznie. – Chciałabym dać ci pewną radę.

– A ja chciałbym zadać pytanie.

Musiałem grać na zwłokę. Jeszcze dwie minuty i ci, którzy nie pozwalają moim przyjaciółom przyjść mi z pomocą, będą martwi.

– Cóż, pytaj.

– Jesteście z „Białego Raidera”? Sekta Potomków Siewców? Kobieta pokręciła głową i uśmiechnęła się do jednego ze swoich towarzyszy.

– Słyszałeś, Rely, jak nazywają nasz statek?

Rely ochoczo pokiwał głową. Nieprzyjemny widok – taki mężczyzna całkowicie podporządkowany kobiecie. Znowu spojrzała na mnie.

– Tak, lordzie. Jesteśmy Potomkami Siewców ze statku, który wy nazywacie „Białym Raiderem”.

Dziwne. Skoro tak doskonale zna moją biografię, powinna wiedzieć, że nie jestem już lordem, lecz księciem, niechby nawet symbolicznym. To nie mogło być przypadkowe przejęzyczenie.

– A teraz zapamiętaj moją radę. Nie mogę cię zabić ani pozwolić na zabójstwo któremuś z członków sekty czy z najemników.

– Miło mi to słyszeć.

– Więc masz jeszcze szansę, żeby zostać przy życiu. Najlepszym i najbardziej honorowym wyjściem dla ciebie jest powrót na Ziemię.

– Żeby zginąć razem z nią?

– Tak. Umrzeć wraz ze swoją planetą to bardzo szlachetny czyn. Dowiedz, że nie przypadkiem zostałeś lordem.

– Nie znajdziecie Ziemi. Dray nie zdążył wam nic powiedzieć. – Ależ zdążył. Planetę, której nie ma, znajdziemy najpóźniej za rok. To nie twoja wina, że urodziłeś się na Ziemi, ale nie możemy pozwolić na żadne wyjątki. Wszyscy mieszkańcy przeklętej planety muszą zginąć.

– Idioci – powiedziałem cicho. – Co z was za idioci! Jeśli wazycie się zniszczyć Ziemię, spalę planety, z których pochodzą wasi obłąkani sekciarze. Przysięgam! Fabryki Tara wyprodukują bomby kwarkowe dla swojego księcia.

Kobieta uśmiechnęła się wzgardliwie i oznajmiła tajemniczo:

– Gdy Ziemia zginie, na pomoc Tara nie możesz liczyć.

Rely skłonił z szacunkiem głowę i powiedział coś do kobiety. Dziwne... Według moich informacji w sekcie Potomków kobiety nie odgrywały szczególnej roli.

– Możesz być tego pewny... Wycofujemy się. Vaich! Palijczyk, który nadal przygwałdział mnie stalową dłonią, rzucił kobiecie szybkie, uważne spojrzenie. Jakby ważne były nie słowa, lecz intonacja, mimika...

– Gdy się oddalimy, możesz uznać, że dotrzyaliśmy umowy, i postąpisz tak, jak uznasz za stosowne.

Vaich uśmiechnął się.

– *Znalazłaś* wspaniałe wyjście z sytuacji, babciu! – krzyknąłem za oddalającą się kobietą.

– Nie należy obrażać zwycięzcy – powiedział głośnym szeptem Vaich. – Za chwilę umrzesz, Ziemianinie.

– Zobaczymy.

To przykre zginąć od klów wampira, któremu pięć minut temu osobiście wsadziło się w plecy promień laserowy... Nie. To po prostu niemożliwe. Ernado albo Kleń muszą dotrzeć tutaj i mi pomóc.

– Wypiję twoją krew, Ziemianinie. Moi przodkowie lubili odwiedzać Ziemię, jej mieszkańcy zawsze nam smakowali. Nasze planety są ze sobą związane od niepamiętnych czasów... Pal ukarano zamiast Ziemi... Myśleli, że to nas przekłeli Siewcy. Zostaliśmy osądzeni i skazani.

– Vaich zamilkł i przymknął oczy. Jego uścisk lekko osłabł. Zauważyłem, że cały jest we krwi, nadal płynącej z rany. Przelączasz się na rezerwową krwiobiegi? – zapytałem drwiąco. Czas, najważniejsze to zyskać na czasie...

– Tak – wysyczał Vaich. Jego ręce znowu chwyciły mocniej. – Jesteśmy doskonalsi niż wy, Ziemianie. Jesteśmy silniejsi, odporniejsi... Jesteśmy starsi od was...

– I dlatego nienawidzicie nas tak, jak słaby nienawidzi silniejszego? Kłamiesz, Palijczyku. Dostajesz pęcherzy na skórze od ultrafioletu naszego słońca, dusisz się od zapachu czosnku. Nie możesz powstrzymać upływu krwi, gdy zostaniesz zraniony przedmiotem wykonanym z dowolnego drzewa Ziemi!

– Jasne... ale tutaj ja jestem silniejszy! Zdechniesz, człowieku z planety, której...

Przerwał i zamarł, jakby trafił go promień paralizatora. Ale na korytarzu nikt się nie pojawił, a ręka wampira trzymała mnie z tą samą siłą.

– Słuchaj i odpowiadaj – powiedział Vaich zmienionym, zimnym głosem. – Nie zwracaj uwagi na ciało mówiącego, to tylko nadajnik, kukła, parawan... Masz zamiar prześladować raidera?

Dziwna gra. To już nie był Vaich, to ktoś inny. Może w ogóle nie człowiek...

– Kim jesteś?

– Bez odpowiedzi.

– Jak podporządkowałeś sobie Palijczyka?

– Bez odpowiedzi. Będziesz prześladował sekciarzy?

– Tak. Jeśli twoja kukła mnie nie zabije. Powstrzymasz go?

Nic nie zostało postanowione. Nie ma potrzeby prześladowania „Białego Raidera”. Oni nie mogą zaszkodzić Ziemi. Nie bój się o swój świat.

– Dlaczego nie mogą?

– Bez odpowiedzi. Nie bój się o Ziemię. Daj spokój sekciarzom.

– Nie wierzę ci.

– To źle. Niebezpieczeństwo grozi tylko tobie i twojej załodze. Musisz odesłać chłopca na Ziemię.

Popatrzyłem w oczy Palijczyka, jasnoczerwone, ale teraz jakby szkliste.

– Poznałem cię. To ty ze mną rozmawiałeś... przez Ernada.

– Tak.

– Dlaczego nie możesz wziąć mnie pod kontrolę? Znacznie prościej zmienić mnie w kukłę, niż namawiać obcymi głosami.

– Zakaz. Bezpośredni wpływ i czynna ingerencja są niemożliwe. Tylko rady i groźby...

Za dużo tu doradców. I każdy z nich boi się mnie zabić. Czy ty i kobieta z sekty macie ten sam powód, by mnie oszczędzić? Jesteście tą samą istotą?

– Jesteśmy absolutnie różni. Motywy również mamy odmienne. Żadnych innych odpowiedzi nie będzie. Zrezygnujesz z prześladowania raidera? Wtedy zmuszę kukłę, żeby cię uwolniła.

Wampir stał już w kałuży krwi – nawet puszysty dywan nie mógł jej wchłonąć. Vaich musi być mocno osłabiony...

– Nie przekonałeś mnie. Muszę zniszczyć „Białego Raidera”.

– Przerywam ingerencję i odchodzę.

Z twarzy Vaicha znikła nieruchoma maska. Drgnął.

Wyczułem szansę!

Zaatakowałem, kopiąc w to miejsce, gdzie ludzie mają krocze. Vaich zawył i zgiął się wpół. Jakie przyjemne podobieństwo do Ziemi... Odskokczyłem w bok i wyrwałem z pochwy płaszczyznowy miecz.

– I co, łajdaku, przyjemnie? – zapytałem.

Vaich wyciągnął swój miecz. Chwiejnie ruszył w moją stronę, pstryknął przyciskiem ostrzenia, a po mieczu przesunął się jasny pierścień. Uwaga, jego słabość może być pułapką...

Też naostrzyłem swój miecz i machnąłem nim lekko, by się trochę stępił. Jeśli klinga będzie zbyt ostra, rana się zasklepi. Tym bardziej rana wampira.

– Szkoda, że nie mam kołka osinowego... – powiedziałem z rozmarzeniem. – Wiesz, jak zabijaliśmy nieproszonych gości z twojej planety? Drewniany kołek w serce. Zresztą ty pewnie masz tam nie serce, lecz splot naczyń. A w głowie chyba wyłącznie kość.

– Zabiję cię – zacharczał Vaich. – Zabiję.

Z jego kłów spadły żółte krople trucizny paralizującej. Dodatkowa szkoda wyrządzona nieszczęsnemu dywanowi.

– Wytrzymaj ślinę – poradziłem. – Nieprzyjemny widok.

I zaatakowałem.

Zdołał odbić dwa albo trzy ciosy. Gdyby był w formie, bez dziurki po pistolecie laserowym, pojedynek mógłby zakończyć się inaczej.

Włączyłem ostrzenie miecza, bo to doskonale oczyszcza klingę z krwi. Zgubiło cię gadulstwo, wampirze. Trzeba było wbić mi zęby w gardło od razu, bez zbędnych dyskusji o Ziemi.

Zresztą najbardziej pomógł mi ten obcy, „życzliwy” telepata, który tak łatwo przejmuje kontrolę nad cudzą świadomością. Zaliczę mu to przy spotkaniu...

Przez nieistniejące drzwi przeszedł Kleń. Obrzucił pomieszczenie szybkim spojrzeniem, wsunął miecz do pochwy i wyjaśnił:

– Było ich ośmiu, kapitanie. Zawodowcy... niemal mojej klasy. I cała masa amatorów.

– Co z załogą?

– Ernado ma liczne oparzenia... niezbyt groźne, nawet dla Taryjczyka. Lans zaczął się już ruszać. Redrak ma podrapane ręce. Dańka cały i zdrowy. Będziemy gonić tych, którzy uciekli?

Pokręciłem głową. Ocenę obrażeń przez Klenijczyka można było śmiało pomnożyć przez dwa. Teraz naszym problemem była nie pogoń, lecz dotarcie na statek.

– Nie, Kleń. Nie teraz. I nie na piechotę.

5. Tryb pojedynkowy

Zebrałem Taryjczyków w swojej kajucie. Dańka został odesłany do Redraka na zajęcia z informatyki. Przejedzony Trofeum spał sobie spokojnie na koi chłopca. Kleń pełnił wachtę, sam na mostku statku wiszącego na stacjonarnej orbicie nad Shedmonem.

Ernado był chyba jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Jego twarz nabrała purpurowej barwy pod warstwą maści regenerującej. Poparzenia drugiego i trzeciego stopnia, nieprzyjemna diagnoza nawet jak na możliwości galaktycznej medycyny. Lans też był zbyt czerwony jak na mieszkańca Tara, ale to już nie z powodu poparzeń. Jakieś moje słowa przypomniały mu niedawną kompromitację w restauracji, gdy przeleżał pod ochroną Redraka całą walkę. Cóż, czas delikatności minął.

– Załatwili nas, ale sytuacja nie jest beznadziejna – oznajmiłem. – Skonsultowałem się z Redrakiem i dwoma specjalistami z kosmoportu. Znajomość punktu hiperskoku znacznie zawęży rejon poszukiwań, ale żeby odnaleźć Ziemię, samotny statek będzie potrzebował około dwóch lat. A „Biały Raider” jeszcze nie opuścił Shedmona.

– Mamy przewagę czasu. Dlaczego nie mielibyśmy odnaleźć Ziemi, zanim zrobi to raider? – zapytał cicho Lans.

– Dlatego że mowa o życiu całej planety! Mojej ojczyzny, Lans! Na pewno ich nie prześcigniemy! Raider ma większą moc silników, większe rezerwy energetyczne, będzie mógł działać niezależnie od baz dłużej niż my. Sekciarze mają znacznie więcej szans, by trafić na Ziemię.

– A więc walka – powiedział szybko Lans. – Od razu, gdy tylko wystartują z planety... Ernado, czy moglibyśmy poprosić o wsparcie floty wojennej Shedmona? Jeśli Siergiej zwróci się oficjalnie, jako księżę Tara...

Ernado pokręcił głową.

– Nie mamy żadnych dowodów. Gdyby zachowały się nagrania klenijskiego krążownika, planeta zostałaby zablokowana, przeczesano by wszystkie kosmoporty. Bomba kwarkowa to nie żarty. Ale bez dowodów... Nie da rady. Nawet imperator nie uzyskałby pomocy, władz Shedmona.

– Czyli pojedynek – powiedział twardo Lans.

Nagle zobaczyłem w nim tego upartego nastolatka, który rzucił wyzwanie Shorreyowi Manhemowi, chłopca o niezłomnym pojęciu honoru i wierności... Chłopca, który w kontaktach ze mną nie mógł się zdecydować na przekroczenie pewnej granicy, nie potrafił zostać po prostu przyjacielem. Choćby takim jak Ernado, z jego demonstracyjną poufałością, skrywającą zdumienie, jak bardzo zmienił się jego niedawny uczeń, który kiedyś wyruszył na ratunek księżniczce i rzucił wyzwanie całej armii...

– Pojedynek... – rozmyślałem na głos. – Na Ziemi pojedynki odbywały się głównie w średniowieczu. Pojedynek gwiazdolotów to brzmi idiotycznie.

– Nie masz racji, Serge – zaprotestował Ernado. – To sprawiedliwy i uczciwy zwyczaj. Gdyby go nie było, nie pozwolono by nam na przechwycenie „Białego Raidera” w pobliżu planety. Statki policyjne potraktowałyby nas jak agresorów...

– Ależ ja nie protestuję – przerwałem mu. – Jak pojedynek, to pojedynek.

Średniowiecze. Galaktyczne średniowiecze. Jakby jakaś siła specjalnie utrzymywała tysiące planet w kruchej równowadze pomiędzy pokojowymi stosunkami i totalną wojną z użyciem kwarkowych bomb i planetarnych anihilatorów.

Starannie odmierzona dawka agresji, niepozwalająca na totalne zniszczenie. Pojedynki na płaszczyznowe miecze, laserowe pistolety i pajęczynowe miny. Odmierzona dawka śmierci.

Brednie. Ale nie większe niż pojedynek gwiazdolotów bojowych.

Nie po raz pierwszy pomyślałem o niewidocznej sile władającej tysiącami światów galaktyki. Nieważne, materialnej czy uosobionej w tradycjach, podaniach, w historii narodów zasiedlających planety najróżniejszych gwiazd. Ta siła istnieje i włada wszystkimi – Ernadem i Lansem, Klenem i Redrakiem, Palijczykami i Shedmończykami. To ona sprawia, że kobiety w restauracji zachwycają się krwawą rzezią, że spokojny urzędnik kosmoportu rzuca się na mnie z mieczem. To ona prowadzi sektę Potomków do ich potwornego celu.

To jej cień nasuwa się na mnie i zmusza, bym ze wszystkich dróg wybrał najbardziej krwawą i najkrótszą.

Brednie. Syndrom Kandinskiego, tak to się nazywa w medycynie, jeśli jeszcze cokolwiek pamiętam z psychiatrii...

Ale nawet przez sen będę bronił mojej planety. Nawet szaleństwo nie zmusi mnie do porzucenia ojczyzny.

– Nie wezwałem was, żeby omawiać dalsze działania, skoro są oczywiste – przerwałem przeciągające się milczenie. – Musimy porozmawiać o przeszłości.

Ernado zerknął na mnie z zainteresowaniem.

– Gdy mówiliśmy o pojawieniu się Dańki, po raz pierwszy zwróciłeś mi uwagę na to, co przeszkadza nam w poszukiwaniach. Odmowy napraw, paliwa, odpoczynku... awarie...

– Pamiętam.

– Miałeś rację. Gdy więc spotkaliśmy statek sekciarzy, byliśmy przygotowani na istnienie wroga. Zapomnieliśmy jednak o tym, że żadna dywersja, żadne przeciwdziałanie nie jest możliwe bez stałych i dokładnych informacji o naszym statku, jego trasie, o naszych planach...

Ernado spochmurniał. Powoli i jakby z wysiłkiem zapytał:

– Chcesz powiedzieć, że na statku jest zdrajca?

– Chcę tylko zapytać, który z was – ty czy Lans – regularnie wysyła przez hiperpołączenie raporty o tym, co dzieje się na statku.

– Serge! – Ernado po raz pierwszy podniósł na mnie głos. – To zbyt poważne zarzuty, by szafować nimi pod wpływem...

– Nie szafuję zarzutami, sierżancie!

Używając dawnego stopnia Ernada, zmusiłem go, by zamilkł.

– Nie jestem specjalnie zdolnym pilotem... i posługuję się techniką gorzej niż dowolny uczeń z waszych szkół. Ale umiem kontrolować stratę energii i tryb pracy hipernadajnika! Od momentu naszego wylotu z Tara regularnie raz w tygodniu wysyłane były przekazy.

– Automat? – zainteresował się Ernado.

– Nie sądzę. Już dwa razy zmienialiśmy oprzyrządowanie, żaden nadajnik szpiegowski nie mógł się zachować.

– Program w komputerze pokładowym?

– Kleń sprawdził wszystkie bloki pamięci za pomocą programu ze swojej planety. Trzy godziny temu, na moją prośbę. Komputery z wyjściami na hipernadajnik są czyste.

– To znaczy...

– Któryś z was regularnie składa raporty. Nie chciałbym przedłużać tej sytuacji ani zniżać się do użycia wykrywacza kłamstw czy innych świństw. Jako książę imperium Tar żądam od was, moich poddanych, uczciwej odpowiedzi: przekazywaliście informacje ze statku czy nie?

– Nie – powiedział twardo Ernado. – Raz czy dwa razy w miesiącu rozmawiam ze swoimi przyjaciółmi na Tarze, ale żadnych informacji o statku nie udzielałem, nie udzielam i udzielać nie mam zamiaru. Po prostu chcę wiedzieć, co dzieje się w moim świecie, na mojej ojczystej planecie!

– Nie prowadziłem, nie prowadzę i nie będę prowadził pertraktacji z wrogami ani przekazywał im jakichkolwiek informacji... – Lans odwrócił wzrok.

– A z przyjaciółmi? – spytałem ostro. – Z księżniczką dynastii Tar na przykład? Z prawowitą władczynią twojej planety?

Ernado podparł twarz dłońmi i popatrzył na Lansa. Nie był zdumiony, raczej delektował się pasjonującym spektaklem. Może już dawno powinienem był poprosić o radę dawnego nauczyciela?

Lans milczał. Jego chłopięce rysy wyostrzyły się, spojrzenie nabrało twardości.

– Odpowiadaj!

– Kapitanie, mogę odpowiedzieć jedynie w obliczu śmierci. Taki jest rozkaz.

Nasze spojrzenia spotkały się i zauważyłem w oczach Lansa coś w rodzaju nieśmiałej ulgi. I odrobinę ironii.

Wstałem, dotknąłem sensorów na ścianie i wyjąłem z sejfu pistolet. To był ostatni model wyprodukowany na „mojej” planecie, na Tarze. Sto sześćdziesiąt płaszczyznowych dysków, zasięg celnego strzału do stu metrów.

– Przysięgam – powiedziałem najbardziej twardo i przekonująco, jak tylko potrafiłem – że zabiję cię, jeśli nie powiesz, do kogo były adresowane komunikaty z pokładu statku. To moje prawo. Jestem twoim władcą, mów!

Lans skinął głową.

– Wykonuję rozkaz. Księżniczka pozwoliła mi lecieć z wami w zamian za obietnicę cotygodniowych raportów o przebiegu podróży. Zgodziłem się, ponieważ powodował nią jedynie niepokój o ciebie, księżę. To nie mogło nam zaszkodzić.

Lans wypalił to wszystko na wydechu i zamilkł. Ernado lekko uniół prawą rękę.

– Serge, a gdyby Lans się nie przyznał? – zapytał z nieukrywaną ciekawością.

– Zostałbym krzywoprzysięzcą – odparłem. – Lans, czy ty rozumiesz, że zdradzałeś nas wszystkich? Hiperprzekazy można bardzo łatwo przechwycić. Sam zajmowałeś się tym na środkowych wachtach!

– Nikogo nie zdradzałem – rzekł dumnie Lans. – Wszystkie przekazy były wysyłane w kodzie imperatorskim.

Ernado gwizdnął.

– Powierzyli ci taką tajemnicę? – zapytał nieufnie. – I zdołałeś zapamiętać cały system przemiennego kodowania, oparty o wyliczenia nieliniowe i lingwistykę pięciuset planet?

Lans wyjął z kieszeni cienką plastikową płytkę. To taka fotografia przechowująca kilkaset stereoobrazów. W każdym razie tak to

wyglądało na pierwszy rzut oka. Sam miałem kilka takich płytek z pejzazami różnych planet, wśród których zdarzały się też ziemskie. Egzotyka...

– To komputer szyfrujący.

Lans dotknął palcem wskazującym jakiegoś sobie tylko znanego miejsca na całkiem przeciętnym portrecie rodzinnym. Ten pulchny chłopczyk to mógł być Lans, mężczyzna i kobieta obok – jego rodzice... Obraz się rozplątał, a zamiast niego pojawiły się czarno-białe kwadraciki z literami i cyframi.

– Teraz trzeba tylko wybrać tekst na klawiaturze sensorycznej i podłączyć płytkę do terminala nadajnika. Komputer zaszyfruje tekst i wyda komendę na orientację anteny... Proszę to wziąć, kapitanie. Wyjaśnię, jak przestroić płytkę na pana.

Obracałem w rękach plastikowy prostokącik. Komputer szyfrujący! Jakie to proste!

– To rzeczywiście bezpieczny szyfr, Ernado?

– Tak, księżę. Rozszyfrować przesłanie można wyłącznie metodą długiej analizy komputerowej, która da co najmniej dziesięć różnych wariantów tekstu. Przy następnym

przekazie kod będzie już zupełnie inny.

– Tylko członkowie panującej rodziny... i zaufane osoby mają dostęp do urządzeń kodujących. A blok deszyfrujący ma tylko księżniczka. Przedtem miał go imperator.

Lans mówił powoli i niechętnie. Albo czuł się niezręcznie, zaliczając siebie do szczególnie zaufanych osób, albo peszyła go cała ta sytuacja, gdy ja – wprawdzie formalny, ale jednak księżę – nie znałem tajnego szyfru swojej planety.

– Tylko księżniczka... – powtórzyłem. – A przedtem imperator. A jeszcze wcześniej...

– Nawet jeśli deszyfrator trafi w obce ręce, nie zadziała. Ma skomplikowany system rozpoznawania człowieka.

– Nie wątpię.

Nagle wszystko zrozumiałem. Wszystko od początku do końca, od informowania sekty o naszych planach do ich dziwnej pobłażliwości wobec mnie i załogi... Nawet pojawienie się Dańki stało się absolutnie oczywiste, utraciło aurę przypadkowości.

Czasem błędy mówią o naszym wrogu znacznie więcej niż sukcesy.

– Ernado, Lans – zacząłem – moim zdaniem w tej sytuacji będziemy musieli dokonać nieprzyjemnego wyboru...

Pod sufitem zawyła syrena, zagłuszając dalsze słowa. Część ściany odjechała w bok, otwierając dostęp do wyposażenia bojowego. Alarm mógł zostać ogłoszony tylko z jednego powodu.

– Do załogi od pilota wachtowego – głos Klena w głośnikach brzmiał nie bardziej emocjonalnie niż syntezytor mowy komputera pokładowego. – Alarm drugiego stopnia, powtarzam, alarm drugiego stopnia. Wszyscy zajmują stanowiska według trybu bojowego-bojowego. Przedział bezpieczeństwa: dwie i pół minuty...

Ernado i Lans wynieśli się z kajuty błyskawicznie. Muszą wziąć swój ekwipunek i zmieścić się w odcinku bezpieczeństwa podanym przez Klena.

– Powtarzam, alarm drugiego stopnia, tryb bojowy-bojowy, przedział bezpieczeństwa dwie minuty piętnaście sekund. Na polu startowym prywatnego kosmodromu Dolheb zauważono „Białego Raidera”, który wyszedł z pola maskującego. Analiza widma wskazuje na rozgrzewanie silników. Sugerowany czas startu...

Zapiąłem przedni suwak magnetyczny, zmieniając bojowy uniform pilota w coś w rodzaju lekkiego skafandra. Miękki, nieaktywizowany hełm wisiał na moich plecach niczym plastikowa torebka.

Drzwi się otworzyły i do kajuty wpadł Dańka. Zanim jeszcze zasunęły się drzwi, zajrzał Redrak. Skinął mi głową i znikł bez słowa.

– Pojedynek?! – zawołał Dańka, chwytając mnie za rękę. – Schwytałismy tamten gwiazdolit...?

Mocno pchnąłem chłopca, nadając mu odpowiednie przyspieszenie.

– Ubiór bojowy! – krzyknąłem. – Szybko! Minuta do walki!

Dańka, płacząc się w czarnosrebrzystej szeleszczącej tkaninie, zaczął rozwijać kombinezon. Jednym ruchem wsunąłem chłopca w nogawki i zapiąłem szew na piersi, pozwalając mu samemu dojść do ładu z rękawami, kołnierzem i systemem hermeryzacji. Kadet może nie zmieścić się w wyznaczonym czasie. Kapitan nie ma takiej możliwości.

– Przedział bezpieczeństwa minuta – dogonił mnie obok windy głos Kleń. – Nawigator i inżynier reaktora na stanowiskach. Raider kończy grzanie silników, czas do startu dwadzieścia, trzydzieści sekund.

Winda w końcu zahamowała na moim poziomie. Wpadłem do środka i warknąłem:

– Główny mostek, maksymalna prędkość.

Podłoga uderzyła mnie w nogi, przypominając o prawach fizyki i powszechnie znanym fakcie braku grawikompensatora w kabinie windy.

– Przedział bezpieczeństwa czterdzieści... Wskoczyłem z windy i pobiegłem do swojego fotela. Jednocześnie ze mną na mostku pojawił się Redrak.

– Kapitan i pilot na stanowiskach – oznajmił sucho Kleń. – Wachta została przekazana.

– Dańka, natychmiast na mostek! – syknąłem, siadając w fotelu. – Kleń, co możemy zrobić?

Na ekranach startował z planety „Biały Raider”. Mały kosmodrom, na którym się ukrywał, znajdował się najwyżej sto kilometrów od głównego portu Shedmona. Jedno z wielu odpowiednich miejsc dla amatorów odosobnienia. Doskonała kryjówka, w której załoga raidera czekała przez kilka dni, licząc na to, że jednak zejdziemy z orbity. To znaczy, że chcieli uniknąć walki...

Winda po raz ostatni zakończyła podjazd na mostek. Dańka w nie do końca zapiętym kostiumie zanurkował na swój fotel. W ramionach trzymał wyjaśnienie spóźnienia: Trofeum.

– Jeśli chcemy zaatakować, teraz jest na to najlepszy moment – powiedział niegłośnie Kleń. – Każdy inny statek byłby absolutnie bezbronny. Wysokość nie pozwala na swobodny lot w promieniu kosmoportu, a orbita jeszcze nie jest stabilna. Ale to jest niezbyt uczciwe.

Redrak opuścił na twarz czarny hełm i zapytał jadowicie:

– Raider spalił twój statek zupełnie uczciwie, co?

– Owszem – odparł ostro Kleń. – Taktyk gotów do walki. – Nawigator gotów do walki. – Ernado przebiegł palcami po klawiaturze. Ekran wyświetlił jakąś nieprawdopodobną kombinację cyfr i wyliczeń.

– Pilot gotowy – oznajmił znudzonym głosem Redrak. Opuścił ręce na dodatkowe konsole. Statek zakołysał się lekko.

– Inżynier gotowy – zameldował Lans.

– Strzelec gotowy – oznajmił pewnym głosem Dańka.

– Kapitan przyjął gotowość. – Jeszcze raz spojrziałem na ekran, gdzie startował raider. Wysokość około setki, prędkość pięć na sekundę... – Zawrót bojowy do dystansu pojedynkowego... Lans, na wszystkich zakresach żądasz kapitulacji i przeprowadzenia rewizji. Ernado, oblicz możliwości obronne.

Statek jakby spadł. Sekundowa nieważkość podeszła falą do gardła. Po chwili przeciążenia opadły łagodnie, osłabione kompensatorami. Pod obrazem raidera na ekranach zamigotały zmieniające się cyfry. Zbliżaliśmy się na odległość bezpośredniego uderzenia.

Jednocześnie raider zwiększył przyspieszenie, starając się jak najszybciej wyjść na stałą orbitę.

– Zbliżamy się. Raider nie odpowiada na sygnały...

– Komputer zaleca atak na anteny i elementy kadłuba...

– Nie wiemy, z czego zrobiony jest kadłub – odpowiedziałem Ernadowi.

Kleń mamrotał coś niegłośno do Redraka w łączności dwukierunkowej, wytyczając maksymalnie bezpieczną trajektorię zbliżenia.

Na chwilę zapadła cisza. Dwa statki zbliżały się do siebie nad planetą i wszyscy wiedzieli, co się zaraz stanie. Moja załoga, sekciarze na „Białym Raiderze” i miliony wdzięcznych widzów na Shedmonie... wszyscy czekali.

Czekali na moje słowa.

Za pół minuty, w gorączce kosmicznego starcia, gdy nawet komputery nie nadążą z podejmowaniem decyzji, nie będzie już miejsca na rozkazy. Z załogi pozostaną jednostki działające absolutnie samodzielnie, połączone jedynie rutyną i tą nieuchwytną atmosferą, jaka pojawia się w chwilach niebezpieczeństwa, jeśli ludzie znają się od dawna.

Ale przedtem...

Przedtem musiałem wydać rozkaz.

A jeszcze wcześniej, jeśli oczywiście chcę grać uczciwie, powinienem wyjaśnić Ernadowi i Lansowi, przeciwko komu będą walczyć.

Ale nie mam siły ani czasu na uczciwą grę.

– Załoga, zaczynamy – wyszeptałem do usłuznego mikrofonu. – Na statku są moi wrogowie, ale wyobraźcie sobie, że na miejscu Ziemi znalazła się wasza planeta. Ci, którzy szukają wrogów, nie poprzestają na jednym. Zabawa w bogów jest zbyt wciągająca, by można się było powstrzymać... Zaczynamy.

Cisza. Zbliżający się statek na pokreślonym siatkami celowników ekranie.

– Zaczynamy akcję po słowie jeden, od zaatakowania elementów generatorów ochronnych. Użycie rakiet protonowych i termojądrowych; głowice o maksymalnej mocy... Zniszczcie laserem systemy antenowe i detektorowe. Następne działania odpowiednie do rozwoju sytuacji.

Nabrałem powietrza w płuca i powiedziałem, mimo woli podnosząc głos:
– Trzy... dwa... jeden... Statek drgnął.

6. Porażenie

Gdy systemy bojowe statku pracują na pełnej mocy, dają ciąg przewyższający moc startującej ziemskiej rakiety. Działa laserowe i anihilatory sprawiają, że statek trzęsie się jak przy awaryjnym lądowaniu.

Gdy dziesięć rakiet bojowych – trzytonowych metalowych potworów wypełnionych ładunkiem jądrowym – startuje przez otwarte luki, siła odrzutu lekko spycha statek z toru.

Zbliżaliśmy się do „Białego Raidera” nierównym kursem, zmienianym przy uruchamianiu kolejnych baterii laserów i starcie każdej nowej rakiety. Kleń i Redrak mogliby wyrównać kurs, kompensując odrzut laserów pracą silników, ale to akurat nie było potrzebne. Zmieniający się chaotycznie kurs ratował nas przed trafieniem przez wroga.

Kleń się nie mylił. Każdy inny statek na miejscu raidera byłby skazany. Jedyne, co mógłby zrobić, to włączyć pole neutralizujące i runąć na planetę pod jego osłoną, żeby w ostatnich sekundach uratować załogę kutrami.

„Biały Raider” przyjął walkę.

Zasypaliśmy się nawzajem raketami – każda z nich mogła zmienić statek w plazmowy obłok. Ale laserowe systemy przeciwraketowe z komputerowym naprowadzaniem działały na obu jednostkach.

Pola destrukcyjne przenikały przez statki, niszcząc substancje, na które były nastrojone. Ale przy takiej odległości lasery mogły działać godzinami.

W odległości pięciuset kilometrów jedynie szerokokresowe lasery mogły być skuteczną bronią. Cóż, kiedy bezradną wobec śnieżnobiałego poszycia raidera.

Zauważyłem na jednym z dziesiątków ekranów, w jakimś specjalnym zakresie, którego nazwy nie znałem i nie miałem zamiaru zapamiętywać, jak korpus raidera otuliło kolorowe lśnienie. To była przesunięta w bezpieczne części widma energia naszych laserów. Tylko mała część ich mocy szła na zniszczenie białego pancerza, większość zniknęła w kosmosie.

Kierowany instynktem zacząłem koncentrować punkty celownicze laserów. Czy teraz ich ogień mógłby przepalić pancerz? Ale celowniki rozbiegły się po całym korpusie, gdy tylko zwolniłem sterowanie. Ktoś, Kleń albo Ernado, nie zgodził się z moją decyzją. Sięgnąłem do blokady naprowadzania, ale powstrzymałem się. Ten, kto to zrobił, miał rację. Niewiele było szans na przebicie pancerza przeciwlaserowego, lepiej załatwić zewnętrzne czujniki, zniszczyć lufy dział laserowych albo otwierające się luki raketowe.

My byliśmy takim samym celem. Każdy zwrot stawał się nieuniknionym kompromisem, poświęceniem pewnej liczby detektorów i baterii laserowych, kolejnej stopionej warstwy poszycia. My też mogliśmy odeprzeć laserowy ogień, ale w bardziej rozrzutny sposób. Pomiędzy płytkami wielowarstwowego pancerza umieszczony był gaz, który parował od ognia laserowego.

Z boku wyglądało to jak kłęby dymu – gęsta szara mgła rozpraszająca promień lasera.

Raider wznosił się nadal. Z każdą sekundą zbliżał się do punktu, w którym osiągnię stabilny tor, a wtedy zostalibyśmy pozbawieni jedynej przewagi. Gdy sekciarze będą mogli włączyć pole neutralizujące bez ryzyka upadku na planetę, zdołają odeprzeć każdy nasz atak.

Obraz „Białego Raidera” na ekranach zaczął się przechylać. Usłyszałem zdumiony głos Ernada:

– Przegrzewa mu się pancierz!

Nawet doskonale poszycie krążownika nie mogło opierać się laserom w nieskończoność. Teraz sekciarze musieli manewrować, co nieuchronnie obniży celność ich strzałów.

– Spada moc systemów przeciwrakietowych – zameldował Lans. – Przestało działać sześćdziesiąt procent naszych detektorów i około połowy dział bliskiego zasięgu.

– To dużo. – Kleń włączył się na chwilę do ogólnej łączności. – Manewrowałem.

– Ich destruktory są nastrojone na elektronikę. Stary numer.

Ale pewny, pomyślałem z niepokojem, patrząc na migające nerwowo ekrany. Uszkodzone układy wyłączały się, zaczynały działać rezerwowe. Cóż nawet najważniejszy układ statku jest zdublowany najwyżej dwa razy. Jeszcze kilka minut i przyrządy przestaną działać.

– Trafiłem! – krzyknął nagle Dańka. – Trafiłem!

Na ekranach szalał biały płomień... „Trafieniem” Dańka nazwał eksplozję rakiety mezonowej kilometr od „Białego Raidera”. Jedna z setek, które przedarły się przez laserową sieć wroga i wybuchły wystarczająco blisko, by zaszkodzić statkowi.

– Zauważyłem, na jakim dystansie on niszczy nasze rakiety, i wydałem komendę wcześniejszej eksplozji – mówił podekscytowany Dańka. – Nie spodziewali się tego!

– Brawo – pochwalił go krótko Redrak. – Zaraz zobaczymy efekty. Płomień powoli zniknął. Kleń przebiegł palcami po klawiaturze i w stronę krążownika wystartowały nasze ostatnie rakiety. Te, które były w przestrzeni w momencie wybuchu głowicy mezonowej, zmieniły się w pył albo leciały na oślep, z przepalonymi blokami sterowania.

– Żyje, bydlę – wyszeptał Lans. – Żyje.

Poszycie statku częściowo pociemniało, ogień przycichł, lecz żadnych poważnych uszkodzeń nie zauważyliśmy. Potrzebował kilku minut, żeby zastąpić uszkodzone detektory zewnętrzne, i kilku dalszych na naprawę dział... Ale najważniejsze, że wyszedł już na stałą orbitę.

– Trzy sekundy do wybuchu rakiet – powiedział cicho Ernado. – Dwie... Jedna... Zero.

Nic się nie stało. Na ekranie o maksymalnym powiększeniu zobaczyłem, jak rakiety, tracąc orientację, z wyłączonymi silnikami, lecą w stronę „Białego Raidera”. Jedna z rakiet uderzyła w pancierz i powoli rozpadła się na kawałki.

Połyskliwy elektroniczny złom, mglisty obłok zamrożonego płynu z hydraulicznych serwomotorów, kawałki ciemnoszarego metalu – to wszystko jakby „odbiło się” od pancierza

raidera.

- Włączyli pole neutralizujące – oznajmił spokojnie Kleń.
- Poznałeś ich już trochę, Kleń – powiedziałem szybko. – Jaką taktykę teraz przyjmą?
- Dobiją nas.

Potężny maszyn raidera zbliżał się powoli. Ani jednego strzału, najmniejszej oznaki życia... Jedynie włączone pole neutralizujące zdradzało, że statek nadal funkcjonuje.

– Pięćdziesiąt procent dział laserowych i destrukcyjnych uległo zniszczeniu, uszkodzone są cztery z sześciu warstw pancerza, rakiety zużyte całkowicie. – Ernado starał się mówić spokojnie, lecz głos mu drżał. – Serge, jestem żołnierzem i gotów jestem walczyć za ciebie, ale wolałbym robić to na planecie.

Nacisnąłem kilka klawiszy. Na białym cielsku krążownika pojawiły się kółka celowników. Jedno dotknięcie i w dziobowej części „Terry” otworzyły się pułapki magnetyczne, wyrzucając w stronę wrogiego statku drobinki metalu bardzo przypominające sól.

Ale to był antysód. Dwa gramy antimaterii mogły zmienić raidera w obłoczek pyłu równie skutecznie jak wszystkie te rakiety, które nie eksplodowały. Ledwo zauważalne migotanie znaczyło na ich drodze anihilację molekuł atmosfery, dopóki nie weszły w pole neutralizujące krążownika.

– W polu anihilacja jest niemożliwa – rzekł Kleń z lekką ironią.

– Oczywiście. To znaczy, że nie będą mogli wyłączyć pola – powiedziałem, patrząc na zbliżający się statek. – Gdyby nasze destruktory zadziałały...

Kleń krótko skinął głową i dodał przepaszającym, niezwykłym u niego tonem:

– Tak, kapitanie. To był dobry plan: atak podczas startu, niszczący cios w generatory pola...

Niestety, raider wytrzymał.

Redrak odwrócił się do niego, czarna kula hełmu sprawiała, że wyglądał jak robot. Zapytał z rozdrażnieniem:

– Taktyku, to pojedynek czy wakacje?

Skóra Klena pociemniała. Odpowiedziałem zamiast niego:

– Pojedynek, Redrak. Jak postąpiłby twój kapitan... poprzedni?

– Poszedłby w hiperskok. Od początku walki mam trzy punkty orientacyjne. Nie mamy szans, żeby go teraz pokonać. Zaczynać orientację, kapitanie?

– Nie mamy szans, żeby się ukryć! – Kleń energicznie pokręcił głową, jakby Redrak mógł go zobaczyć. – W takiej odległości bez trudu zdołają trafić na nasz ślad.

Drobinki antysodu uderzyły w pancerz krążownika. Już po chwili komputer zaprezentował na ekranach cienkie linie rykoszetu. Zaraz potem na obrazie „Białego Raidera” zaczął pulsować czerwony punkt.

– Jedna drobinka wniknęła w pancerz. – Kleń zaczął oddychać szybciej, jego skóra stała się

niemal czarna. – Albo trafienie pod kątem prostym, albo już było tam uszkodzenie. Teraz nie będzie mógł wyłączyć pola.

Malutka drobinka antimaterii, która przylepiła się do poszycia, sprawiła, że statek stał się absolutnie bezbronny. Nie mógł wyłączyć pola neutralizującego, otworzyć ognia ani uruchomić silników, bo rozwaliliby go nieunikniony wybuch. Gdy masa przemienia się w energię, każdy pyłek staje się niebezpieczny.

– Manewr maksymalnego zbliżenia, szósta i ósma grupa silników, B-pięć, A-siedem – dyktował pospiesznie Kleń. – A-trzy, siedem, dziewięć...

Nasz statek drgnął, nabierając prędkości. Kleń wyjaśnił szybko:

– Podejmiemy bliżej i będziemy kontynuować ostrzał. Sparalizujemy go zupełnie.

Poszukałem wzrokiem Dańki, który dziwnie ucichł. Chłopiec siedział w fotelu, odsunięty od pulpitu, przytulając do siebie Trofeum. Zwierzak z ciekawością gapił się na kolorowe światelka paneli. Podniósł mordkę i popatrzył na mnie niemal ludzkim wzrokiem.

– Dańka – wyszeptałem w dwukierunkowym połączeniu.

Szybkie, przeprasające spojrzenie. Zmieszany uśmiech.

Najsilniejszy strach pojawia się po beztrioskiej pewności zwycięstwa. Najstraszniejszą rzeczą dla dziecka jest nagła świadomość możliwości śmierci. Czasem podniecenie pasjonującą grą dzielą od przerażenia dwie lub trzy sekundy, dwa lub trzy nieostrożne słowa.

– Dańka, wszystko w porządku – powiedziałem z przekonaniem. – Mamy go, rozumiesz? Sprawdź naprowadzenie dział laserowych, może spróbują się katapultować.

Chłopiec skinął głową i pochylił się nad pulpitem.

Automaty zrobiłyby to sto razy szybciej.

Ale po co wtedy byłaby potrzebna załoga?

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie. Zbliżyliśmy się do „Białego Raidera” – dwa kilometry to w kosmosie żadna odległość. Kleń naprowadzał nas na bezpośrednie uderzenie. Jeszcze trochę i oblepiony antimaterią statek będzie nie bardziej niebezpieczny niż skutny kajdankami chuligan.

I wtedy potężny fragment poszycia z wczepioną drobinką antimaterii oddzielił się od „Białego Raidera” i popłynął ku nam. W polu neutralizującym silniki nie działają, ale sprężony gaz ma wielką siłę i może przesunąć pięć czy sześć ton.

– Mają pancierz segmentowy! – krzyknął Lans. W tym samym momencie ktoś – może nawet on sam – włączył generatory pola. Ale pole neutralizujące potrzebuje co najmniej pół sekundy, żeby zadziałać.

Żeby je wyłączyć, potrzeba jeszcze więcej czasu. To już nie miało znaczenia. Kapitan „Białego Raidera” przewidział nasze działania. Wyłączyli pole neutralizujące dwadzieścia sekund temu, teraz zanikało. Drobinka sodu, której od zwykłej nie odróżniłby nawet najbardziej

doświadczony fizyk, uwolniła się spod nacisku, który przerwał molekularny rozpad.

Substancja pancerza przeciwlaserowego weszła w reakcję z antysodem.

Pomiędzy naszym statkiem i krążownikiem rozbłysło białe słońce. Większość energii wybuchu zmieniła się w promieniowanie świetlne i rentgenowskie. Ale jeszcze coś zostało na ultrafiolet i fale podczerwone, radiację i promieniowanie gamma.

Ekran zapłonął oślepiająco, daremnie próbując oddać cały przepych zjawiska. Zanim automatyka je wyłączyła, w oczach pojawiły się nam różnobarwne kręgi. Redrak krzyknął – przez swój hełm pilotażowy oberwał najbardziej.

– Zawrót! – Kleń nawet nie odwrócił głowy. – Zawrót, Redrak! Z niemal zwierzęcym wyciem Redrak sięgnął do pulpitu i zaklął.

– Wyłączcie pole, idioci!

Kilka razy nacisnąłem klawisz wyłączenia pola, blokując generator. Ale minęło co najmniej pięć sekund, zanim pole znikło i Redrak mógł obrócić statek, odwracając się do raidera czynnymi, niespopielonymi czujnikami.

„Biały Raider” walił do nas ze wszystkich baterii, jakby próbował dorównać gasnącemu procesowi anihilacji. On też oberwał; jego pancerz poczerniał, na zawsze likwidując ochronę statku przed ogniem laserowym. Ale śluzy promieniowania były zamknięte w czasie wybuchu, więc większość laserów i destruktorów przetrwała. Poszycie naszego statku, otulone szarą mgłą parującego plastiku, topiło się niczym kostka cukru w gorącej herbacie. Trwożnie migotały cyfry, wyświetlając procent elektronicznej aparatury zniszczonej przez destruktor wrogiego statku.

– Niech pan decyduje, kapitanie! – jęknął Redrak. – Niech pan decyduje! Jeszcze możemy wejść w hiperskok!

– Ma dwunastokrotną przewagę mocy bojowej. – Ernado nie panikował, ale jego twarz utraciła poprzedni spokój.

Najspokojniejsi byli Lans i Kleń. Taktyk pilotażowy chyba po prostu nie umiał się bać. Tysiące pokoleń Klenijczyków uczyło się żyć i umierać bez strachu, a Kleń był ich godnym potomkiem. Za to Lans, który jakimś cudem utrzymywał przy życiu resztki *przrzędów*, po prostu nie miał czasu na emocje.

Celowniki dezintegratorów patrzyły prosto na „Białego Raidera”. Wydawało się, że jego ciemny korpus świeci własnym blaskiem – przestrzeń pomiędzy nami wypełniona była pyłem rozpraszającym promieniowanie laserowe. To trochę zmniejszyło śmiertelność siłę baterii, ale dawało wspaniały efekt optyczny. Kosmos nie był już czarny, stał się błękitny niczym ziemskie niebo.

Klawisz, którego dotknąłem, wyzwalał salwę z wszystkich dezintegratorów. Rezerwa bojowa, która nam jeszcze została. Teraz na moją komendę magnetyczne akceleratory wyrzuciły w kosmos cały swój ładunek.

W stronę krążownika pomknął obłok błękitnych kryształków. Przez ułamek sekundy jego automatyczne baterie laserowe nadal prowadziły ogień, próbując wyprodukować maksymalną ilość antymaterii. Potem kilka kryształków zetknęło się z wypełniającym przestrzeń pyłem i oślepiające rozbłyski anihilacji zlikwidowały naprowadzanie laserów automatycznych. Kapitan, a może komputer raidera podjął więc jedyną słuszną decyzję.

Wrogi statek otuliło pole neutralizujące. Ogień ustał i Lans odetchnął z ulgą.

-Straciliśmy dziewięćdziesiąt procent automatyki... – zameldował.

Nie słuchając go, Ernado zapytał:

– Kapitanie, podjął pan decyzję? To tylko chwila przerwy.

– Nie, sierżancie. To więcej niż chwila przerwy.

W końcu uchwyciłem jego spojrzenie. Ernado przemówił z wysiłkiem:

– Byłoby mi łatwiej walczyć na planecie...

Będziemy musieli walczyć o planetę. Spójrz na ekrany! Błękitne iskierki uderzyły w bok raidera – i znikły. Przez sekundę nasz na wpół rozwalony komputer przetrwał tę informację, a potem pokrył całą powierzchnię krążownika purpurowym kreskami.

– Ten komputer nie działa – wymamrotał Ernado.

– Działa! – wykrzyknął urażony Lans.

Zapadła cisza. W końcu Kleń zapytał:

– Kapitanie, jaką substancję wykorzystają dezintegratory?

– Antyhel. Z niewielkim dodatkiem izotopu antyhelu.

Kleń zrozumiał od razu. Ale pierwszy zareagował Redrak, krztusząc się ze śmiechu.

– Wspaniały dowcip, kapitanie... Antyhel z katalizatorem nadprzewodnictwa. Nadprzewodnictwa i nadciekłości!

– Rozpływa się po całym pancerzu – powiedział w zadumie Kleń. – Mikronowa warstwa antymaterii. Wystarczy wyłączyć pole neutralizujące... i nie zostanie po nich nawet pył. Pewne jak bomba kwarkowa.

„Biały Raider” wisiał przed nami cały i zdrowy. Najdoskonalsze narzędzie walki, zdolne roznieść na atomy planetę. Niewinna broń...

– Nie pomoże mu zrzuć pancerza? – zapytał Lans.

Pokręciłem głową. Wszyscy patrzyli teraz na mnie. Tak zachwyceni widzowie wpatrują się w artystę, który dał pokaz szczytu swoich możliwości.

– Nie. To przecież substancja nadciekła. Jeśli zrzucą pancerz, dostanie się na wewnętrzną warstwę poszycia.

– Podgrzeją – odezwał się nieoczekiwanie Kleń. – Od ciepła antyhel wyparuje.

Spojrzałem na niego pobłaźliwie.

– Zauważ, że mają nieczynne potężne źródła energii. A podgrzanie całego poszycia za pomocą prymitywnych...

– Nie muszą podgrzewać całej powierzchni, kapitanie. To przecież nadciekły hel.

Przez kilka sekund nie wiedziałem, o czym on mówi. W końcu do mnie dotarło.

Podczerwony ekran był umieszczony nieco z boku, pewnie dlatego, że w czasie walki nikt z niego nie korzysta. Łatwo wykryć za jego pomocą wrogie lasery i destruktory, ale komputery zrobią to znacznie szybciej i wyświetlą informację na głównym ekranie.

Za to komputery pominają plamkę na poszyciu wrogiego statku. Mogło się wydarzyć tyle rzeczy! Pożar w przedziale, przegrzany generator...

Z zamierającym sercem patrzyłem na błękitny ekran i na jasno-czerwony punkt, który wskazywał miejsce podgrzewania od wewnątrz powierzchni krążownika. Potem nad czerwonym punktem pojawił się malutki pomarańczowy gejzer. Antyhel parował i ulatniał się. Na jego miejsce napływał nowy – zimny i nadciekły.

Mój genialny pomysł okazał się nie absolutnym zwycięstwem, lecz chwilowym odpoczynkiem.

– Idziemy w skok, kapitanie? – Redrak zdjął czarny pilotażowy hełm, dając do zrozumienia, że nie będzie już walczył z krążownikiem.

Skinąłem głową. Nie miałem ochoty ani sił na gadanie. Odchodzimy. Chowamy się. Zostawiamy raidera w spokoju. Porzucamy Ziemię na pastwę losu.

– Cała energia w generator hiperprzejścia – zarządził szybko Redrak. – Nawigator, wyliczenie według punktów orientacyjnych.

Usiadłem wygodniej na fotelu. Za parę chwil Ernado poda cyfry hiperprzestrzennych współrzędnych i pojawią się narkotyczne majaki hiperprzejścia. Świadomość oddzielona od ciała robi zabawne rzeczy...

– Nie można ustalić współrzędnych – głos Ernado zadrżał.

Kleń wydał niezrozumiały dźwięk i pochylił się nad pulpitem.

Potem po raz pierwszy usłyszałem, jak Redrak mówi falsetem: – To niemożliwe! Sygnały są zawsze stabilne!

– Ale nie teraz. – Kleń był z nas najbardziej aktywny. Ja wpadłem w jakieś otępienie. Dańka i Lans też.

– Bierzemy bezpośredni namiar na planetę Kleń – ciągnął nasz taktyk pilotażowy. – Nikt nie ma nic przeciwko?

Z trudem pokonując nieoczekiwane oszołomienie, wyszeptalem:

– Szybciej, Kleń. Zaraz wyrwą się z pułapki.

Mijały chwile wyliczeń i coraz bardziej zmniejszał się wianuszek antygazu nad korpusem

raidera. Mieliśmy najwyżej minutę.

– Nie można ustalić punktu... on się przesuwa – głos Klena przeszedł w zdławiony szept. Chwycił się za głowę i skulił w fotelu. Na skórze, która teraz stała się śnieżnobiała, wystąpiły czarne i zielone plamy. Skóra na głowie poruszała się, twarz drgała, jakby podłączona do elektryczności. Spod włosów, które stanęły dęba, od czoła aż do karku wysunął się niewielki kościany grzebień.

– Co z tobą? – Redrak niepewnie wstał zza pulpitu.

– Nie! Nie! – Kleń zerwał się, drapiąc sobie twarz pazurami, które wysunęły się z czubków palców. Bryznęła ciemna krew. – Nie... – Z powrotem opadł na fotel. – Nie dam się...

– Co się stało? – Chyba straciłem umiejętność dziwienia się. – Kleń!

– Atak psychiczny.

– Czyj? – zapytałem głupio.

I usłyszałem głos Lansa – cichy, pozbawiony intonacji:

– Nieważne. Odpowiedzi nie będzie.

7. Psychokod. Początek

Tylko ja rozumiałem, co się dzieje. Kleń wyjął blaster z kabury. Musiałem zareagować.

– Mylisz się, taktyku. To nie Lans cię zaatakował, on jest ofiarą tego samego ataku. Tylko że ty się oparłeś... a on nie zdołał.

– Zgadza się. – W głosie Lansa zabrzmiała nutka uprzejmości. – Twój przyjaciel jest od tej pory kukłą... mówiącą.

– I co chcesz mi powiedzieć... Siewco? Kleń pospiesznie opuścił blaster. Ernado i Redrak zastygli, słuchając moich słów.

– Nie jestem Siewcą. – Lans wybuchnął zimnym, nienaturalnym śmiechem. Tak rzeczywiście zaśmiałyby się kukła. – Jestem ich sługą. Wystąpiłeś przeciwko prawu i musisz przegrać. Żaden punkt orientacyjny nie wyśle sygnałów twojemu statkowi. Żegnaj.

Lans oklapł jak nadmuchiwana zabawka, z której wypuszczono powietrze, i powiedział żałośnie:

– Czy... czy ja coś mówiłem? Co to za bzdury?

– Za dziesięć sekund skończą się wszystkie bzdury. – Gdy niewidoczny sługa Siewców zamilkł, Kleń odzyskał spokój. – Kapitanie, proszę wydać rozkaz ewakuacji.

Zanim Kleń skończył mówić, moja ręka znajdowała się już w połowie drogi do owalnej płytki sensorów. Przebiłem palcami przezroczystą błonę i dotknąłem gładkiego metalu. Przez kilka milisekund, nieuchwytnych dla świadomości, komputer sprawdzał, czy to naprawdę moja ręka wydała rozkaz i czy wydałem go z własnej woli. Pod moim fotelem, podobnie jak pod innymi, znajdował się luk awaryjny.

Spadaliśmy. W wąskim tunelu, prowadzącym ze środka centrum statku do hangarów, fotele ślizgały się po niewidocznych prowadnicach, w miękkich objęciach pól magnetycznych, pod rzadkimi rozbłyskami pomarańczowych lamp. Obojętny głos komputera dudnił przy moim uchu:

– Awaryjny system ratunkowy aktywowany. Ewakuacja przebiega zgodnie ze schematem numer cztery.

Numer 4? Przecież było ich tylko trzy!

– Podział załogi:

Kapitan Siergiej, Redrak, Daniil – szalupa numer 1. Ernado i Lans – szalupa numer 2. Kleń – szalupa numer 3.

– Kleń! – krzyknąłem. – Trzecia szalupa jest desantowa! Osiąga minimalną prędkość!

– Tak, kapitanie. Ale za to ma maksymalną ochronę i uzbrojenie.

– Coś ty wymyślił, Kleń?

– Łądujcie na planecie, kapitanie. To wasza jedyna szansa na ratunek. Ja zaatakuję raidera.

– W pojedynkę?!

– Tak.

Tunel się skończył. Nasze fotele wpadły prosto do kapsuły ratunkowej. Jednocześnie czarna kula grawikompensatora ściągnęła się, wybawiając nas od przeciążeń przyspieszenia awaryjnego. Na ekranach zobaczyłem oddalający się szybko statek – naszą „Terre”, nasz dom. Nieco dalej „Biały Raider”, który już pozbył się kaftana antymaterii.

Widziałem, jak spadają na planetę szalupy, moja i ta, w której byli Ernado i Lans. Jak po krótkim łuku zbliża się do „Białego Raidera” kapsuła sterowana przez Klena. Planował staranowanie albo abordaż.

Przebiegłem palcami po klawiaturze, próbując zmienić kurs i podążyć za Klenem. Bez powodzenia. Automatyka nie słuchała moich komend. Statek zbuntował się przeciwko własnemu kapitanowi.

– To nic nie da, kapitanie – pojawił się w głośnikach głos Klena. – Przeprogramowałem wszystkie bloki sterowania, używając naszych klenijskich programów. To ma być moja walka. Wy musicie przeżyć.

– Kleń! Mieliliśmy walczyć razem!

– Być może, kapitanie. Ale to nie będzie walka ostateczna. Odciągnę ich... na długo. A wy postarajcie się zebrać siły i zemścić. Moje konto w Banku Shedmońskim zostało przepisane na pana... Może pan kupić nowy statek i zniszczyć sekciarzy.

Byliśmy coraz bliżej planety, ryczące na dopalaczach silniki wytracały prędkość. A szalupa Klena już się przykleiła do pancerza „Białego Raidera”, biały plazmowy płomień wypalał dziurę w poszyciu. Wtedy usłyszałem głos Klena; nie mówił w standardzie, lecz krótkimi urywanymi frazami, trochę przypominającymi język niemiecki.

– Tłumaczenie – zażądałem, naciskając klawisz lingwersora.

– To wiersz – oznajmił komputer. – Jakie ma być tłumaczenie? Dosłowne czy literackie?

– Maksymalnie oddające sens.

– Dlaczego raider nie strzela, dlaczego? – krzyknął histerycznie Redrak. – Już wyłączyli pole, wystarczyłoby kilka salw...

– Nie wiedzą, w której szalupie jestem. Są powody, dla których sekciarze nie zdecydują się na zabójstwo.

– Jakie powody?

– Więzy rodzinne.

Redrak zamilkł, chyba wszystko zrozumiał. Z lingwersora popłynęły słowa tłumaczenia:

– Moja rodzina to ja, ja to moja rodzina. Matka, ojcowie, nauczyciel, wszyscy jesteście we mnie. Kobiety i dzieci – cały jestem w was. Dopóki żyję, żyje moja rodzina. Jeśli umieram w boju – rodzina żyje w pokoju. Moja krew zmyje hańbę, honor powróci do rodziny Aler. Ostatni z wojowników idzie na śmierć, nasz ród będzie żył. Żegnaj, Klenie, witaj, Aler-II. Idę.

– Fanatyk, tępogłowy fanatyk – jęczał Redrak. – Po co on to zrobił?

– Rodzina. Dla niego honor rodziny jest ważniejszy niż wszystko. Jeśli zginie w godnym pojedynku, jego rodzina zostanie pomszczona.

Zamilkliśmy na jakiś czas. Szalupa spadała na planetę niemal pionowo, na przekór prawom fizyki. Nieprzerwanie działające silniki wyhamowały do zera orbitalną szybkość, a grawikompensatory obniżyły śmiertelne przeciążenia. Wokół zaczynało się purpurowe lśnienie. Wchodziliśmy w atmosferę.

Sięgnąłem do panelu sterowania i wprowadziłem na ekran miejsce lądowania. Dość daleko od miasta, za to blisko Świątyni...

Uderzenie przy lądowaniu kompletnie mnie zaskoczyło. Nawet go sobie nie uświadomiłem, tak jak nie czuje się ołowianego ciężarka, który spada na głowę. Po prostu świat wybuchł barwami, szybko przeskakując wszystkie kolory widma i przechodząc w bezdenną czerń.

Umierałem. A może już umarłem? Ale w ciemności, która mnie wchłonęła, słyszałem cichnący szept. Wielogłosowy, bezosobowy, jakby kłóciły się ze sobą tysiące bliźniaków. Tysiące temporalnych granatów... tysiące Świątyni.

... Umiera i to jest słuszne...

...Ale doszło do ingerencji, pośredniego oddziaływania...

... Brak dowodów...

...Logiczne... Łańcuch przyczynowo-skutkowy: wpływ na Klena, który traci wiarę w zwycięstwo, atak na raidera, śmierć dwudziestu czterech członków załogi, niewykonanie rozkazu przez operatora lasera, zniszczenie szalupy, grawikompensatory przestają działać, przeciążenie pięćdziesiąt jednostek, śmierć człowieka.

...Śmierć człowieka...

...Śmierć...

...Zakaz...

...Poprawka. Wariant: korekta w czasie...

... Uchylono – złamanie praw...

... Wariant: ochrona szalupy...

...Uchylono – człowiek powinien zostać zneutralizowany bez łamania praw...

...Wariant: reanimacja człowieka, dopuszczenie do uszkodzeń szalupy...

...Prognoza: śmierć po dwustu pięćdziesięciu dwóch sekundach jako konsekwencja skokowego wylądowania grawikompensatora...

...Brak bezpośredniej ingerencji...

... Prawa są przestrzegane...

...Może być, przyjęte...

...Jest niebezpieczny...

...Może być, przyjęte...

...Nie powinien się dowiedzieć...

... Nie jest przewidziany...

...Poprawka: Danił musi zostać odesłany na Ziemię. Zakłócenie biegu historii...

...Konsekwencja pierwotnego błędu: kuter sekciarzy porywających człowieka powinien być zostać zniszczony...

...Dawny błąd. Poprawka: powrót Daniila na Ziemię, taktyka: wpływ na Redraka Sholtry'ego...

...Przyjęte.

Przy ostatnim słowie szept przeszedł w krzyk, w huk gromu. Jakby tysiące, setki tysięcy głosów wypowiedziało to jednocześnie. A potem poczułem ciężar – ołowiany ciężar wbijający mnie w gorącą nierówną powierzchnię.

Szalupa leżała pomiędzy skałami. Cylindryczny korpus był rozpruty na całej długości, stopione brzegi rozcięcia nadal żarzyły się purpurowo. Z rozdarcia zwisały przezroczyste kable światłowodów i zerwane przewody, sterczały błyszczące rury hydrauliki i przewodów paliwowych, cytrynowożółty sześcian izotopowego energizatora. A najbardziej nieszkodliwie i niepozornie wyglądała malutka, nie większa od orzecha włoskiego czarna kulka grawikompensatora. Wokół niej płonęło tęczne światło. Przyrząd działał, wyrzucając w przestrzeń nagromadzoną podczas spadania na planetę grawitację.

Dwieście pięćdziesiąt dwie sekundy. Trochę więcej niż cztery minuty. Usłyszaną w majaczeniu rozmowę uznałem za prawdziwą, a to znaczyło, że za cztery minuty grawikompensator wylądował się skokowo, tworząc wokół siebie nieznośną siłę ciężenia. W najlepszym przypadku po prostu umrę. W najgorszym – przeistoczę się w kałużę czerwonej protoplazmy.

Odwróciłem głowę. Udało się, ale z trudem. Przeciężenie utrzymywało się na poziomie sześciu, może siedmiu jednostek. Nie zdołałem nawet pełznąć, a co dopiero wstać...

Miejsce, w którym spadła rozbita szalupa, było dość równe. Wokół ściany skał i strome zbocza. Gdyby nie rozładowujący się grawikompensator, lądowanie można by uznać za udane.

– Kapitanie!

Nie widziałem, kto to mówi, ponowne odwrócenie głowy było ponad moje siły. Ale poznałem głos Redraka.

– Żyje pan, kapitanie?

– Tak... – wydawało mi się, że krzyczę, ale pewnie ledwie szeptałem.

Redrak jednak usłyszał.

– Kapitanie, idę do pana.

W jego głosie była mieszanina najróżniejszych uczuć. Radość, bo chyba naprawdę byliśmy załogą. Strach...

I żal – ze słabym, ale wyraźnym odcieniem zawiści.

Redrak Sholtry szedł mi z pomocą nie dlatego, że był moim przyjacielem. Zmuszał go do tego psychokod, formuła hipnotycznej sugestii. Jeśli nie spróbuje mi pomóc, umrze razem ze mną. Pójdzie na pewną śmierć jak automat. Jak robot.

– Stój!

Tym razem rzeczywiście udało mi się krzyknąć. Spróbowałem odczołgać się od szalupy, ale nie mogłem.

– Redrak! Zdejmuję psychokod!

Cisza. I zdumiony głos Redraka:

– Ale, kapitanie...

I drżący, płaczący głos Dańki:

– Siergiej, nie trzeba...

– Redrak, słuchaj! – Z wysiłkiem przeszedłem na rosyjski. – Siódmego listopada 1917...

Znowu cisza. Teraz, po tekście dekodującym, Redrak powinien sobie wszystko przypomnieć – i proces psychicznego kodowania, i śmiertelny rozkaz chroniący mnie przed ewentualną zdradą. Teraz jest wolny. Mam nadzieję, że nie zrobi krzywdy Dańce... Nawet gdyby chciał wyładować na chłopcu utajoną nienawiść do mnie, bałby się zemsty Ernada i Lansa.

Ciążar napływał pulsującymi falami. Morze ołowiu, ocean rtęci. Tonę w nim, w jego metalowych falach, w jego dławiącej grząskości. Powietrze, które wpływa do moich płuc, też jest ciężkie. Każdy kamyczek na ziemi, po której mnie ciągną, wbija się w ciało niczym nóż...

Ciągną?

Palce Redraka ściskają moje ramiona jak stalowe imadła. Jego twarz kołysze się nade mną – białą, pokrytą kroplami potu owal w obramowaniu kaptura kombinezonu bojowego. Jakim cudem on może się ruszać?

Redrak zachwiał się, przeciągając mnie przez niski wzgórek i wtedy zobaczyłem żółte światełka na jego ramieniu.

Aktywny tryb kombinezonu. Wszczepione w syntetyczną tkaninę pseudomięśnie niosły teraz mnie i ubranego w kombinezon Redraka. Ciągnęły przez pulsujące pole grawitacyjne, pozwalały ustać na nogach. Ale niestety, nie chroniły od przeciążeń naszych przyzwyczajonych do normalnego ciężenia ciał. A kombinezon Redraka już się wyczerpywał. Za kilka sekund Sholtry upadnie obok mnie pod ciężarem nieco mniejszego, ale nadal bardzo dużego przeciążenia...

– Mój kombinezon... włącz – wysyczałem.

Palce Redraka chwyciły moją dłoń. Spod jego paznokci płynęła krew, a moją rękę przeszył

ból. Gdy kombinezon działa w trybie aktywnym, trudno obliczyć własną siłę.

Redrak dotknął sensorów mojego kombinezonu moimi palcami, w przeciwnym razie automatyka by nie zadziałała. Poczulem ukłucie pod łopatkami – to włączył się system pomocy medycznej. W chwilę później ciało przestało być bezwładne. Powoli zacząłem się przepychać przez pięciokrotne przeciążenie.

– Twoja kolej, książę – wyszeptał Redrak i zwił mi na rękach. Nagle poczułem szaloną, niczym nieuzasadnioną radość; dlatego że Sholtry mimo wszystko mi pomógł i dlatego że tak pobłażliwie użył zwrotu „książę”, a także dlatego że powiedział szczerze, co myśli, zamiast pompatycznie prosić, bym go porzucił i ratował siebie.

Bo gdyby w jego umyśle pozostała reszta psychokodu, Redrak na pewno by się tak zachował. Ernado i Lans są zdolni do czegoś takiego nawet teraz. Ich psychokod to wierność imperatorskiej władzy – i mnie.

Szliśmy jakby przez gęstą, grząską ciecz pod powoli słabnącym naciskiem przeciążenia. Coraz dalej od rozbitej szalupy, coraz bliżej skał, gdzie Dańka niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, przyciskając do piersi Trofeum.

Mój kombinezon zaczął się wyczerpywać, ale strefa wyładowywania grawikompensatora już się kończyła. Szliśmy, podtrzymując się nawzajem z Redrakiem, przypominając parę czułych przyjaciół albo pijaczków.

– Po cholere mnie wyciągałeś? – zapytałem. – Nie wierzysz, że naprawdę zdjąłem psychokod?

Redrak odezwał się po chwili milczenia: – A po cholere go zdejmowałeś?

– Jasne – powiedziałem z uczuciem. – Kuśtykaj szybciej.

– Ty z moją nogą pełzłbyś jeszcze wolniej...

Tam, gdzie stał Dańka, nadmierna grawitacja była niemal nieodczuwalna. Zwaliliśmy się na piasek. Natychmiast, jakby w moim ciele zadzwonił niewidoczny budzik, wrzasnąłem:

– Twarzą do szalupy! Włączyć tryb medyczny kombinezonów! Zaraz wybuchnie grawikompensator...

Redrak puścił taką wiązanę, że zacząłem mieć poważne wątpliwości, czy rosyjski rzeczywiście przewyższa galaktyczny pod względem emocjonalności. Leżeliśmy twarzą do szalupy, patrząc na rozszerzające się wokół czarnej kuli grawikompensatora lśnienie.

Potem wybuchło.

Ognisko paliło się słabo, chociaż drewno było suche jak piasek pustyni. To wina wysokości; zawartość tlenu w powietrzu na Shedmonie i tak jest nieduża, a już na trzech kilometrach nad poziomem morza...

Grawitacyjny wybuch rozwalił całą aparaturę prócz odbiorników o małej mocy

w kombinezonach bojowych. Teraz czekał nas nocleg w górach, jeżeli miejscowe władze nie zechcą w środku nocy zbadać miejsca upadku szalupy – co było bardzo wątpliwe.

Przegrani mogą budzić współczucie. Ale czy ciekawość? Po nasze ciała przylecą najwcześniej jutro rano.

Dańka spał przy ognisku, zawinięty w resztki materiału zebrane wokół spłaszczonej na placek szalupy. Redrak poszwendował się po okolicy, zerwał kilka garści żółtej trawy przypominającej przejrząły koper i suszył ją teraz nad ogniskiem na cienkiej stalowej blaszce. Sądząc po resztkach napisów, arkusz blachy był przedtem osłoną jednego z małych detektorowych otworów strzelniczych. Wybuch grawikompensatora ją rozpląszczył. Z człowieka przy takim przeciążeniu nie zostałyby nic. Krwawa miazga i sproszkowane kości po prostu wsiąkłyby w ziemię jak gorący śrut w mokry śnieg.

Znowu poczułem dreszcz. Czekał mnie mi niewesoły los. W spokojnej, zimnej rozmowie Świątyń nie wyczułem nawet cienia współczucia.

Nie miałem wątpliwości, że w przedśmiertnych przywidzeniach, gdy technika wszechpotężnych Siewców zatrzymała czas i utrzymywała mnie na granicy bytu, słyszałem właśnie dialog Świątyń. Ta dziwna świadomość pojawiła się nie wiadomo skąd, niczym intonacja głosu, zdolna odkryć wiele z tego, co nie zmieściło się w słowach.

– Co robisz, Redrak? – zapytałem leniwie.

Redrak odpowiedział po chwili, lekko zmieszany:

– Takie tam... ta trawa to słaby narkotyk. Ma oryginalny sposób zażywania.

– Wdychanie dymu?

Redrak wyraźnie się zdumiał.

– Słyszałeś o trebie, kapitanie?

– No... tak jakby.

– W takim razie usiądź bliżej.

Usiadłem obok Redraka. Ten nadal potrząsał nad ogniem zaimprovizowaną blachą, susząc trawę. Potem zsypał na dłoń pomarańczowy pył i powąchał w skupieniu.

– W porządku...

Rzucił na ogień szczyptę proszku i chciwie wciągnął gorzki dym, który popłynął nad tłącymi się węglami.

– Dobry gatunek, kapitanie.

Pochyliłem się nad ogniem, mimowolnie przymykając oczy przed nieznośnym żarem i odetchnąłem głęboko.

Żar w piersiach... w płucach... zimny dreszcz przebiegający po skórze... lawina dźwięków, bo bardzo wyostrzył się słuch. Potrzaskiwanie gałęzi chrustu brzmiało niczym salwy armatnie, a senny oddech Dańki prawie je zagłuszał; mamrotanie Redraka słyszeć było głośno i wyraźnie.

– Najlepiej wychodzą nam środki odurzające, kapitanie. Narkotyki, alkohol... Wszystkie rozrywki to też narkotyki...

Dreszcz minął, w piersiach nadal płonął ogień. Za to świadomość otuliła upajająca mgielka euforii.

– Równie dobrze wychodzi nam broń, Redrak. I zabijanie.

– To też służy odurzeniu... Zabawa, nie lepsza i nie grosza od seksu... czy trebu.

– Redrak, posłuchaj... – Bardo chciałem z kimś porozmawiać. Przekłęte przyzwyczajenie do libacji, którego nie umiem wykorzenić! Nieważne, czym się wywołuje upojenie, butelką wódki na imprezie czy kosmicznym narkotykiem o nieprzyjemnej nazwie treb. – Słuchaj, Redrak... Pamiętasz, co mówił Lans na mostku, przed ewakuacją?

– Brednie, kapitanie.

– Nie, Redrak. Posłuchaj, ten ktoś połączył się ze mną po raz trzeci. I dopiero niedawno zrozumiałem, kto stoi za parawanem... Kto porusza lalkami...

Opowiedziałem Redrakowi wszystko. Od pierwszego pojawienia się głosu, gdy wykorzystano do tego Ernada. O dialogu z Palijczykiem, o usłyszanej w malignie rozmowie Świątyni.

Nad ogniskiem płynął szary dym. Siedzieliśmy pochyleni nad płomieniem. Narkotyk trzymał nas mocno. Przedmioty wokół rozmywały się, tracąc kontury. Jak to się nazywa w medycynie? Metamorfopsja... chyba.

– Serge... – Redrak sypnął do ognia ostatnią garść proszku. – Jeśli rzeczywiście masz przeciwko sobie Siewców... Świątynie... to nie ma sensu walczyć. One potrafią zetrzeć w pył wszystkie planety w galaktyce. Nie jesteś nawet mrówką wobec słonia... najwyżej wirusem.

– Wirus też może wykończyć słonia.

– Siergiej... przestań się stawiać. Jesteś innym wirusem.

Skąd on zna moje pełne imię?

Skupiłem się, próbując otrząsnąć z upojenia. Nie mogłem. Wrzasnąłem, aż poczułem ucisk w uszach. Pożyteczna rzecz takie wyostrzone zmyły.

– Skąd znasz moje pełne imię?!

Redrak, nic nie rozumiejąc, wzruszył ramionami. – – Dańka mi powiedział... Uspokój się, kapitanie. Nie jestem Siewcą. Niestety. Nawet nie kukłą Siewców. Ale mogę ci poradzić to samo. Dość tego uganiania się za raiderem. Jeśli Siewcy... jeśli Świątynie obiecały, że tamci nie znajdą Ziemi, to znaczy, że tak właśnie jest. Ich słowom można wierzyć. Lepiej wracaj na Tara, do księżniczki. I weź ze sobą chłopca, widzę przecież, jak się do siebie przywiązaliście.

Redrak ze smutkiem popatrzył na puste dłonie, jakby miał nadzieję, że znajdzie jeszcze odrobinę narkotyku. Zachichotał nieśmiało i dodał:

– Możesz dla mnie też znaleźć miejsce przy dworze... albo zaproponować obywatelstwo

Tara.

– Dobry pomysł, Red... – po raz pierwszy pozwoliłem sobie na skrócenie jego imienia. –
Myślisz, że księżniczka na mnie czeka?

– Oczywiście.

– A może myślisz, że nadal ją Kocham?

– Rzecz jasna.

Ktoś zaśmiał się we mnie złym, pijanym śmiechem. Dańka poruszył się we śnie i żałośnie
coś wymamrotał.

Zamilkłem. Pijane otumanienie szybko mijało. Trochę bolała głowa, ale wróciła jasność
myśli.

– Treb działa bardzo krótko – powiedział z przygnębieniem Redrak. – Organizm szybko go
wydala. Do diabła, sporo się nawdychaliśmy...

Skinąłem głową i z niepokojem popatrzyłem na Dańkę. Mam nadzieję, że chłopcu
narkotyczne opary nie zaszkodziły.

– W pana opowieści, kapitanie – oznajmił oficjalnym tonem Redrak – są trzy kluczowe
kwestie, które mogłyby wszystko wyjaśnić. Po pierwsze, dlaczego jest pan nietykalny dla
Świątyni; po drugie, czemu one się niepokoją o Dańkę; po trzecie, dlaczego sekciarze nie chcą
pana zabić... bezpośrednio.

– Na ostatnie pytanie znam odpowiedź.

Redrak skinął głową i powiedział głucho:

– Domyślam się. Jeśli Ernado i Lans ocaleli, będą problemy.

– Właśnie.

Ognisko się dopalało, gałęzie trzaskały nieznośnie głośno – treb ciągle działał. Gdzieś daleko
w niebie narastał huk. Silniki szalupy idącej na dopalaniu. Śpiący Trofeum zastrzygł uszami,
podniósł głowę.

– Słyszysz, Red?

– Ernado i Lans.

– Na pewno.

Wyciągnąłem rękę i poklepałem Dańkę po ramieniu.

– Obudź się, mały. Przyszli po nas.

CZEŚĆ TRZECIA
ŚWIĄTYNIA

1. Psychokod

Szalupą sterował Ernado. Jeśli oczywiście można nazwać sterowaniem niespieszne krążenie nad skałami w granicach bezpośredniej widoczności od sterty metalowego złomu, obok której dopalało się nasze ognisko.

– Obserwowaliśmy Klena do ostatniej minuty – powiedział ponuro Lans. – Zdołał połączyć się z Raiderem... i chyba przeniknął do środka. Co się działo potem, to tylko Siewcy wiedzą.

– Potem Kleń... to znaczy Aler-II zabił dwudziestu kilku członków załogi raidera – odpowiedziałem ze złością. – Sam jeden! Gdybyśmy byli z nim, moglibyśmy zwyciężyć.

– Skąd wiesz?

– Od Siewców.

Ernado powiedział cicho, nie odrywając się od pulpitu:

– Teraz gotów jestem uwierzyć nawet w to.

– Będziesz musiał uwierzyć jeszcze w niejedno, Sierzancie.

Ernado rzucił mi szybkie, czujne spojrzenie.

– Mów, Serge!

Kobieta stojąca na czele sekty to imperatorowa planety Tar. Lans pobladł zupełnie, jak Kleń w momencie odpierania ataku psychicznego. Z obrażoną miną, niczym oszukany dzieciak, powiedział:

– Żartujesz, Serge... książę.

– Nie. Jeśli zdecydujecie się kontynuować walkę z raidерem, staniecie się zdrajcami.

– Imperatorowa nie jest najwyższą władzą – rzekł Ernado twardo, jakby przekonując sam siebie. – I ty, i księżniczka stoicie ponad imperatorowa, która zdecydowała się na dobrowolne wygnanie.

– Ernado, jak nazywał się imperator? Rely?

– Relian Tar – wyszeptał Ernado. – Imperator Relian Tar.

– On jest całkowicie podporządkowany imperatorowej i razem z nią kieruje sektą Potomków Siewców.

Zrobiło się bardzo cicho, tylko ledwie słyszalnie pomrukiwał silnik szalupy i w tempie allegro moderato biło serce przytulonego do mnie Dańki.

– Jeśli pójdziecie z księciem, będzie to oznaczało walkę przeciwko imperatorowi. Jeśli przeciwko księciu, wystąpicie przeciwko formalnej władzy. Myślę, że najlepsze, co możecie zrobić, to stanąć z boku. Wrócić na Tar. Imperatorowa o nic was nie oskarży. Nawet ona nie zdecyduje się zaatakować mnie bezpośrednio.

– Teraz rozumiem, dlaczego podrzucili nam Dańkę – powiedział z nieoczekiwanym uśmiechem Ernado. – Logika podpowiadałaby zwabienie Serge'a na Ziemię przy pomocy

podrzuconej dziewczyny, pięknej i mądrej...

– Oczywiście. Ale którzy rodzice przyznają, że jest na świecie dziewczyna piękniejsza od ich córki?

– Nie mylą się – powiedział głucho Lans.

No tak. Jeszcze jedna odsłonięta karta w talii przeciwnika. Nie przepadam za pasjansem, ale lubię grę w durnia. Nawet jeśli mam na ręku szóstki i inne blotki, potrafię wykorzystać je przeciwko partnerowi.

– Decydujcie, chłopcy – poprosiłem. – Jeszcze dzisiaj kupię statek. Za pieniądze Kle... Aler-Ila. Zginie raider albo ja.

Dańka, który dzielił ze mną szeroki fotel szalupy ratunkowej, wyszeptał:

– Sieriożka, mam w kieszeni paralizator. Jakby co, strzelę rozproszonym promieniem.

W milczeniu ścisnąłem go za rękę. Boże! Wielcy Siewcy! Czy jedyne, co umiemy robić, to walczyć?

– Schowaj swoją zabawkę, Dańka – poprosił Ernado. – Nie jestem rodakiem Serge'a... ale ryzykowałem życie, gdy on ratował księżniczkę. Raczej sam zginę, niż wyrządę mu krzywdę.

– Co masz zamiar robić, Sierzancie?

– To, o czym mówisz, Serge, to tylko domysły. Nawet wymysły. Na razie jesteś księciem z planety Tar, więc będę słuchał ciebie.

– Ja też – powiedział cicho Lans.

– Wobec tego bierzemy kurs na główny kosmoport Shedmona. Statek klasy bojowej można kupić tylko tam.

Nie wierzę w przeznaczenie. Wierzę w przypadek. Jeśli nasza droga przez Shedmon biegła nad Świątynią Siewców, to był wyłącznie przypadek.

Gdy przed nami pojawiła się lustrzano-czarna kula Świątyni, Ernado musiał unieść szalupę wyżej. Dańka krzyknął i przywarł do ekranu.

Świątynia widziana po pierwszy raz w życiu działała hipnotyzująco. Nawet nocą, gdy przypomina kulę ciemności upstrzoną iskrami gwiazd. Lustrzane i czarne kwadraty poszycia, ułożone bez żadnej widocznej logiki. Ale gdy patrzysz w tę ciemność, gęściejszą niż czerń kosmosu, na odbicia odległych gwiazd w lustrzanych płytkach Świątyni, z głębin pamięci wynurza się dziwne uczucie. Deja vu... Jakbym to już gdzieś, kiedyś widział... Jakbym znał Świątynię od dawien dawna, od dnia narodzin. Jakbym pamiętał ją genetyczną pamięcią milionów przodków, chociaż na Ziemi nie ma Świątyni.

– Chciałbym ją zobaczyć – wyszeptał Dańka. – Siergiej?... Wahaniem się tylko sekundę. Pojawiło się to dziwne przecucie, które czasem decyduje o losie człowieka. Albo o losie planety.

– Ernado, obok Świątyni jest muzeum.

– Widzę.

– Wyląduj przed nim.

– Muzeum powinno być czynne całą dobę – oznajmił uprzejmie Lans. – Ale czy mamy czas na wycieczki?

Nie odpowiedziałem. Szalupa wylądowała na betonowym kręgu lądowiska obok budynku w kształcie kuli – pomniejszonej kopii Świątyni. Architekci nie poradzili sobie jedynie z podtrzymującą ją dłońią. W blasku świateł widać było wyraźnie przezroczyste kolumny, na których wspierało się muzeum. W jednej z nich sunęła w dół kapsuła windy...

...z której wyszedł pospiesznie mężczyzna w srebrzystoczarnym stroju. Ruszył w naszą stronę, kiwając nam ręką.

– Też pewnie fanatyk – mruknął Dańka.

– Wątpię. – Redrak otworzył luk szalupy i wyskoczył na beton. – Kustosze w takich muzeach to zazwyczaj okropni sceptycy.

Ernado nadal siedział przy pulpicie. Obrzucił spojrzeniem okolicę, przyjrzał się uważnie kuli prawdziwej Świątyni czerniejącej na tle horyzontu i zapytał:

– Serge, czy jest sens zatrzymywać się tak blisko Świątyni? Jeśli twoje domysły są słuszne, i Siew... Świątynie chcą pokrzyżować twoje plany, byłyby to dla nich doskonała okazja do kolejnej nieprzyjemności.

– Czy to nie ty mówiłeś, że dla Świątyni odległości nie istnieją?

Ernado z westchnieniem wyszedł spod wątpliwej osłony szalupy.

– Mamy list żelazny – uspokoił go nieoczekiwanie Lans. – Z jakiegoś powodu Dańka jest dla Świątyni nietykalny. Nawet bardziej niż księżę. Pewnie dlatego tak naciskają, żeby odesłać go na Ziemię.

List żelazny?

Popatrzyłem na Dańkę.

Półtora metra wzrostu, niecałe czterdzieści kilo wagi. Ciekawskie spojrzenie spod miękkich, dawno niestrzyżonych włosów.

Czy rzeczywiście wykorzystujemy chłopca jako zakładnika? Niechby nawet nieświadomie?

– Cieszę się, że mogę powitać nowych gości Świątyni. – Głos pracownika muzeum, który do nas podbiegł, brzmiał całkiem szczerze. – Będę miał zaszczyt opowiedzieć wam o...

Nie słuchałem faceta. Patrzyłem na Dańkę i myślałem, że w następnym polowaniu na „Białego Raidera” chłopiec nie weźmie udziału. Choćby dlatego, że następnym razem technika Siewców może zawieść. No i nie należy walczyć, kryjąc się za plecami dziecka.

Bez pośpiechu weszliśmy do niezwykłego muzeum. Nie było tu zdjęć ani ekranów, tylko obrazy i rzeźby, przedstawiające Świątynię albo bardzo realistycznie, albo kompletnie

abstrakcyjnie.

Ale gdzie odesłać smarkacza? Na Ziemię? Dopóki raider lata w przestrzeni, nie uwierzę w uspokajające perswazje Świątyń. Na Tara? Do księżniczki? Poczuję się nieswojo. Dzieciak jako załącznik do oschłych powinszowań z okazji świąt. Droga żono, dopóki nie wybrałaś odpowiedniego momentu do rozwodu, zaopiekuj się moim młodym przyjacielem. On też jest z planety Ziemia. Tej, którą twoi rodzice tak bardzo pragną zniszczyć.

Ale mimo wszystko to niezły pomysł. Księżniczka nie odmówi spełnienia takiej prośby.

Podobnie jak każdej innej.

– A oto jeden z najlepszych cykli Dorna Sie, naszego znakomitego malarza – wyjaśniał z zachwytem muzealnik. – Świątynia jest przedstawiona na dwunastu płótnach, z maksymalną dokładnością oddających lustrzano-czarny wzór powierzchni. Żaden inny malarz...

Obrazy naprawdę były wspaniałe i ogromne – dwa na dwa metry każdy. Namalowano je zaskakująco jasnymi, żywymi barwami. Czysto symboliczne, krystalicznie błękitne tło nieba i błyszczące, czarne kule Świątyń. A raczej Świątyni – jednej, ale widzianej z różnych stron.

Świątynie nie pozwalały się sfotografować, ale te obrazy właściwie nie ustępowały zdjęciom.

– Po co nam ta wycieczka? – zapytał znowu Lans. Wzruszyłem ramionami. Pożegnałny prezent dla Dańki? Krótki wypoczynek przed biurokratyczną krzątaniem kosmoportu na Shedmonie? Chwilowy kaprys księcia?

Dańka przeszedł się po sali, poklepał makietę Świątyni – pstrokatą metrową kulę – i rzucił mimochodem:

– Rozmazany globus...

Uklucie w piersi. Głupota, brednie...

– Lans, poproś przewodnika, żeby się zamknął i posiedział chwilę z boku.

Sam nie poznawałem swojego głosu. Tak nie mówił nawet Serge po powrocie z oddziałów specnazu, gdy pretendował na władcę dzielnicy; nawet pewny siebie, bezczelny lord z planety Ziemia nie rozmawiał tym tonem z Shorreyem Manhemem. Nigdy tak naprawdę nie umiałem rozkazywać.

– Redrak, Ernado, ochraniajcie wejście. Dańka, za mną... Podbiegłem do terminalu komputera – standardowego elementu wyposażenia, który był tu tak samo na miejscu jak w kajucie „Terry”. Odsunąłem biały panel peryferyjnego oprzyrządowania na żółbkowanym boku procesora. Wyjąłem przezroczystą płytkę czujnika optycznego. Przesunąłem dłonią po sensorze uruchomienia. Ekran się rozjaśnił. Chwała Siewcom, komputer gotów był pracować z każdym, do jego programu nie wprowadzono kontroli użytkownika.

– Tryb pracy optyczny i dźwiękowy! – prawie krzyczałem, zachłystując się słowami, pogrążony nieoczekiwanym domysłem. – Wprowadzenie informacji do głównego programu z przenośnego detektora optycznego. Źródło informacji: dwanaście obrazów malarza Dorna Sie,

pokaz każdego zostanie poprzedzony dźwiękową komendą: zdjęcie obrazu. Proces pracy: synteza holograficznego modelu z dwunastu obrazów obiektu kulistego. Wskazówki szczególne:

maksymalna dokładność w rozmieszczeniu czarnych i lustrzanych fragmentów na powierzchni kuli. Wyprowadzenie informacji w trybie holograficznym pod kontrolą dźwiękową. Czy zadanie jest zrozumiałe?

– Zadanie przyjęte – odpowiedział komputer miękkim, przyjemnym głosem, bez cienia emocji z powodu nietypowego zadania. To nawet lepiej...

Skierowałem czujnik optyczny w stronę pierwszego obrazu.

– Zdjęcie – poleciłem.

– Hej, co macie zamiar zrobić? – odezwał się pracownik muzeum, usadzony przez Lansę na jednym z miękkich foteli dla odwiedzających. – Porwanie?

– Nie – odparłem łagodnie, przechodząc do następnego obrazu. – Zdjęcie.

– No to dlaczego mnie trzymacie pod lufą? Wybryki z komputerem to drobiazg, ale atak na...

– Dańka, jeśli facet nie przestanie gadać, uspij go na dwie godzinki... Zdjęcie!

Zapadła cisza. Obszedłem długi rząd obrazów, wróciłem do komputera i nakazałem:

– Rozpocząć syntezę.

– Zadanie w trakcie wykonywania – oznajmiła uprzejmie maszyna. – Pozostało dwanaście sekund... jedenaście sekund... dziesięć...

– Książę, mam nadzieję, że wiesz, co robisz – odezwał się półgłosem Ernado. – Świątynia to świętość. Nikt z nią nie żartuje... z jej muzeum również.

– Trzy... dwie... jedna... Synteza zakończona. Podobieństwo do oryginału dziewięćdziesiąt dwa procent. W celu uzyskania obrazu wyższej jakości niezbędne jest przedstawienie obrazu fotograficznego lub innego materiału dokumentalnego.

– Pokazać obraz – poleciłem drżącym głosem.

Nad terminalem komputera zawisła lustrzano-czarna kopia Świątyni. Półmetrowa kula ciemności i blasku. Jakby kierowany intuicją, a może po prostu odwzorowując tło obrazów, komputer otoczył kulę błękitną mgiełką. Rozmazany globus...

– Skala standardowa. Korekta niezbędna?

– Nie. Niezbędny jest ruch obrotowy.

Tym razem komputer mnie nie zrozumiał.

– Proszę o sprecyzowanie zadania.

– Świątynia... to znaczy kula powinna obracać się wokół własnej osi, umieszczonej pionowo... za oś można przyjąć kolumnę oporową przedstawioną na obrazach.

– Prędkość obrotu?

Wzruszyłem ramionami. Skąd miałbym wiedzieć? Głupstwa robi się intuicyjnie, a nie na

podstawie szczegółowych wyliczeń.

– Jeden obrót na sekundę. Przyspieszenie o jeden obrót co dwie sekundy aż do komendy „stop”.

Kula zaczęła się obracać. Lustrzano-czarne plamy zamigotały przed oczami. Ernado i Lans patrzyli na to z daleka, Redrak podszedł bliżej. Zniewolony kustosz wyciągnął szyję.

Kula wirowała coraz szybciej. Czarne plamy i lustrzane pasy zlewały się w dziwny, nieoczekiwanie płynny i zamaszysty wzór.

– Globus – powiedział Dańka cichym, niepewnym głosem. Dla niego w całym wszechświecie istniał tylko jeden globus – model planety o nazwie Ziemia.

Trochę niewyraźna, rozmazana, czarno-biała, rodem z ekranu starego telewizora, wirowała przed nami Ziemia. Czarne kontury kontynentów i punkty wysp, lustrzane, białe tafle mórz i oceanów. Bezbarwna kopia mojej planety wisząca w delikatnej błękitnej mgle. Kiedy kula zwalniała, mapa nabierała ostrości. Potem globus drgnął i zaczął wirować w drugą stronę. Efekt stroboskopowy. Właściwości niedoskonałego ludzkiego wzroku. Wszystko razem.

Niezwykły czarno-lustrzany wzór kryjący w sobie oblicze Ziemi.

– Stop – poleciłem.

– Prędkość obrotowa: dwadzieścia pięć obrotów na sekundę – oznajmił komputer nieproszony.

– Zostawić dwadzieścia cztery.

– Wykonano.

Globus znowu był wyraźny.

Odwróciłem się – za moimi plecami stali Lans i Ernado, Redrak i Dańka, a także zapomniany przez wszystkich kustosz muzeum.

– Pozwólcie, że zaprezentuję wam prawdziwe oblicze Świątyni Siewców – powiedziałem z ukrytą złością. – I jednocześnie globus planety Ziemia.

– Po co... Po co Siewcy mieliby kopiować przeklęty świat... planetę, której nie ma? – zapytał drewnianym głosem kustosz. – Właśnie na naszej planecie, na Shedmonie... taka hańba...

– Uspokój się, przyjacielu – powiedziałem, znowu przyłapując się na zdenerwowaniu. – Na wszystkich planetach Świątynia wygląda jednakowo. Siewcy kopiowali swój ojczysty świat. Ziemię.

Lans siąknął nosem i zapytał z nieoczekiwaną nieśmiałością: – Księżę... a więc Siewcy żyli wcześniej na waszej planecie?

Dlatego zamknęli ją... przed odpadkami?

Szarpnąłem się jak uderzony prądem. Skąd ten strach, ta uniżoność przed Siewcami?

– Myślę, że prawda jest znacznie bardziej złożona – powiedział w zadumie Ernado.

Skinąłem głową, w myślach dziękując mu za jego spokój. Powiedziałem, podnosząc głos,

choć wiedziałem, że nie ma takiej potrzeby:

– Prawdę zaraz nam wyjaśnią.

– Kto? – zapytał głupio Lans.

– Ty. Albo Ernado... albo Redrak, albo nasz miły przewodnik. Ten, kogo Świątynie wykorzystają w charakterze tuby Ernado drgnął, Lans cofnął się o krok. Obaj wiedzieli, co to znaczy być marionetką.

– Czekam na odpowiedź – obrzuciłem spojrzeniem otaczających mnie ludzi. – Kontrolujecie mnie przez cały czas, wiecie, że żyję. Więc odpowiedzcie!

– Moim zdaniem oni się schowali – powiedział Dańka. – Albo zrobiło im się wstyd.

Wszyscy się mimo woli uśmiechnęli. Lans i Ernado byli wyraźnie rozluźnieni. Redrak ostrożnie pogłaskał Dańkę po głowie.

– Zuch chłopak – powiedział. – To całkiem niezła wersja.

Zdumiewające, ale pozbawiony psychokodu Redrak był znacznie bardziej sympatyczny. Jakby spod przesłodzonej akwareli wyłonił się rysunek piórkami. Prosty, surowy, ale harmonijny.

– Oni nie znają pojęcia wstydu – skrzywiłem się, wspominając zimny, pozbawiony emocji dialog Świątyń. – Po prostu zaszedł przypadek nieprzewidziany przez program.

– Co proponujesz, Serge? – Ernado wyraźnie demonstrował mi swoje poparcie.

– Przechadzkę po Świątyni. Chyba nie zrobi nam krzywdy. Drugie prawo jest zredukowane do połowy, ale bez pierwszego Siewcy nie mogli się obejść.

– O czym ty mówisz, Serge?

Uśmiechnąłem się złośliwie.

– O trzech mądrych prawach, Ernado. Wydaje mi się, że budowniczy Świątyń dobrze je znali. Ale najpierw... Ma pan lek nasenny?

– zwróciłem się do kustosza. – A może wystarczy alkohol? Alternatywą jest paralizator.

Wydawało się, że pracownik muzeum nawet się ucieszył.

– Paralizator nic tu nie da, muzeum ma generator pola – wyjaśnił z niejaką dumą. – Ale... zgadzam się na alkohol. Butelka jest w szafce, w pokoju obok.

Redrak przyniósł litrową butelę z podejrzaną cieczą i kolorową etykietką. Po drodze odkorkował ją, łyknął trochę i uśmiechnął się zadowolony.

– Nalewka orzechowa... co najmniej czterdzieści procent. Wypijesz połowę.

Wzdrygnąłem się, ale pracownik bez sprzeciwów przypiął się do butelki. Przerwał, złapał oddech i przyssał się znowu.

– Gwarantowana i humanitarna metoda piratów – powiedział niemal wesoło Redrak.

Dańka wyciągnął z kieszeni małą tabliczkę w połyskującej folii – miejscowy ekwiwalent czekolady – i podał kustoszowi:

– Niech pan weźmie.

Kustosz, dławiąc się, żuł czekoladę. Jego wzrok mętniał powoli.

– Kontynuujmy...

Spojrzałem na Lansa. Chłopiec wyraźnie nie mógł się wyrwać spod wpływu autorytetu Siewców.

– Dla ciebie mam szczególne zadanie. Bardzo ważne.

Lans popatrzył na mnie uważnie, jakby oceniając, ile prawdy jest w moich słowach.

– Świątynie i ci, którzy za nimi stoją, muszą wiedzieć, że nie zasłaniamy się Dańką. Weźmiesz chłopca i dostarczysz go do kosmoportu...

– Zdrajca! – krzyknął Dańka z bezradną rozpaczą w głosie.

– Tam połączysz się z planetą Tar i przekażesz moją prośbę do księżniczki, żeby chłopiec przez jakiś czas pobyl pod jej opieką... i twoim osobistym nadzorem.

– Czy to ostatnie jest konieczne? – zapytał pochmurnie Lans.

– Nie – powiedziałem po chwili zastanowienia. – Nie jest. Jeśli nie wrócimy, a sekciarze zostaną zniszczeni, księżniczka powinna odesłać chłopca na Ziemię. Pod ochroną i z wiarygodnym wyjaśnieniem jego długotrwałej nieobecności. Czy to jasne?

– Zdrajca – powtórzył bezsilnie Dańka. Potem, niespodziewanie drewnianym głosem zapytał: – Nie masz zamiaru wrócić na Ziemię?

– Nie... – zacząłem i urwałem, wstrząśnięty dziwną zmianą jego głosu.

Dańka pokręcił głową i powiedział ze zdumieniem:

– Wiesz co, Sergiej, będę musiał cię zabić.

2. Maestro

Widziałem, jak ręka Ernada sunie do blastera przy pasie... i zatrzymuje się. Pole neutralizujące... A Dańka miał w ręku wibronóż. Broń przebijającą człowieka nawet przy słabym rzucie. Jedynym ratunkiem był włączony kombinezon bojowy. Mój był akurat wyłączony.

Lans zrobił ruch w stronę Dańki. Stał za jego plecami i do skoku brakowało mu kilku metrów. Umiejętność zabijania gołymi rękami to obowiązkowy przedmiot w szkole oficerskiej na Tarze.

– Wszyscy stać – powiedziałem cicho. – Nie ruszajcie się. Nie róbcie krzywdy Dańce.

Chłopiec kołysał się lekko, nie odrywając ode mnie obcego, sennego i jednocześnie czujnego spojrzenia.

– To sprawka psychokodu – wymamrotał Redrak. – To już nie chłopiec, to maszyna do zabijania. Uprzedzałem...

– Danił, z tobą wszystko w porządku? – zapytałem cicho.

Chłopiec mrugnął i powtórzył bardziej świadomie.

– Rozumiesz, co się dzieje? – zapytałem. – Dostałeś hipnotyczny rozkaz, żeby zabić mnie w razie zagrożenia sekty. Posłuchasz? Jeśli tak, może zginąć cała Ziemia.

– Pamiętam – powiedział wyraźnie Dańka. – Pamiętam, jak mnie porwali i wydali rozkaz... zabić cię, jeśli pojawi się niebezpieczeństwo, jeśli spróbują mnie usunąć...

– Posłuchasz? – zapytałem z bezgraniczną ciekawością. Skok i cios w rękę... gwarantujący złamanie przedramienia. Ale to nic, kości u dzieci zrastają się szybko.

– Nie! – W głosie Dańki zabrzmiało wyraźne zdumienie. – Czy ja jestem idiotą o słabej woli? Siergiej, wiesz, że wśród sekciarzy najważniejsza jest imperatorowa Tara? A ona nie może wydać rozkazu, żeby cię zabić. Opuścił wibronóż.

– Książę, ostrożnie! – Redrak wyciągnął z pochwy miecz płaszczyznowy. – Psychokodu nie można pokonać! Chłopak udaje!

W milczeniu ruszyłem do przodu. Krok. Jeszcze jeden. Ująłem rękę Dańki z zaciśniętym w niej nożem. Przystawiłem ostrze do swojej piersi. Chłopiec patrzył na mnie przerażony.

– Zostaniesz odesłany na Tara, a następnie na Ziemię – powiedziałem, wyraźnie akcentując każde słowo. – Sekciarze zostaną zniszczeni. Przysięgam.

W oczach Dańki błysnęły łzy.

– *Zdrajca* – powtórzył załośnie. – Razem przegrywaliśmy, a wygrywać chcesz sam.

Opuścił rękę z nożem i odwrócił się. Usłyszałem głośne westchnienie ulgi Redraka i jego stropiony głos:

– Nie można pokonać psychokodu...

Objąłem Dańkę – był spięty, ale się nie wrywał – i zapytałem:

– Redrak, Ernado, jesteście specjalistami. Czy kodowanie psychiczne zostało opracowane na podstawie metod Siewców?

– Tak – powiedział Ernado. – Pierwsze doświadczenia... – To nieistotne... Zapamiętajcie: broń Siewców zawsze sama wybiera sobie wrogów i przyjaciół.

– I nie działa przeciwko swoim panom... – wybełkotał kustosz muzeum. Cielęco uśmiechnięty, uniósł się z miękkiego fotela, rozłożył ręce i opadł z powrotem. Tym razem chyba nie wstanie do rana.

Obrzuciłem przyjaciół szybkim spojrzeniem. Strach, strach, strach. Irracjonalny lęk, stropiona obawa w spojrzeniach. Chyba tak samo wyglądałby każdy starożytny Grek, gdyby zetknął się z bogiem wojny Aresetn.

– Odwołuję rozkaz – powiedziałem z narastającą wściekłością. – Wszyscy idziemy do Świątyni. Dańka, zostaniemy razem do końca. Czy to jasne?

– Tak jest, kapitanie – powiedział z zachwytem chłopiec. Chyba tylko on nic nie zrozumiał.

Świątynia wyglądała tak samo jak na Tarze, Klenie czy innej tlenowej planecie. Świątynia Siewców na Shedmonie – kilometrowa kula z lustrzanych i czarnych płytek, nietykalna, starożytna jak sama planeta. Świątynia budząca przerażenie pierwotnych plemion; pałac bogów zgodnie z wierzeniami średniowiecznymi, spadek po cywilizacji – założycielce niemal jedynej w galaktyce religii. Pod jej murami modlono się i przeklinano wroga; lustrzane kwadraty odbijały strumienie krwi ludzkich ofiar i kwiaty w rękach nowożeńców. Świątynię obrzucano kamieniami i ostrzeliwano z dział wielkiego kalibru, u jej stóp składano różnobarwne girlandy i naczynia z drogocennymi pachnidłami.

I przez tysiące lat Świątynia chroniła tajemnicę swojego wzoru, tajemnicę leżącą dosłownie na powierzchni. Globus – ogromny model i malutka kopia Ziemi.

Planety, której nie ma.

Podeszliśmy do podstawy Świątyni – cienkiej, odlanej z metalu kolumny. Rozwarta dłoń lekko podtrzymywała kulę o kilometrowej średnicy.

Nikt nie powiedział ani słowa. Przodem szedł w milczeniu Ernado; Lans kroczył ostrożnie, patrząc pod nogi, jakby pamiętał pajęczynowe miny wokół Świątyni na Tarze; Redrak kulał bardziej niż zwykle, ledwie nadążając za pozostałymi. Ja i Dańka szliśmy w środku. Z każdym krokiem chłopiec przytulał się do mnie coraz mocniej.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli ty to zrobisz – powiedziałem mu, gdy znaleźliśmy się obok kolumny. Kula przytłaczała swoim ogromem. Choć była absolutnie nieruchoma, wydawało się, że kołysze się nad nami, gotowa spaść w każdej chwili.

– Co zrobię? – zapytał nieśmiało Dańka.

– Przyłóż rękę do słupa i poproś... to znaczy rozkaz, żeby zaniecono nas do góry. Do sali informatorium.

– Posłucha?

– Tak.

Dańka westchnął i pogłaskał dłonią metalową kolumnę. Powiedział cicho:

– Przenieście nas do góry, do sali informatorium... Proszę. Przez chwilę nic się nie działo. Nagle uświadomiłem sobie z przerażającą jasnością, że wszystkie moje nadzieje to kompletna bzdura. Świątynia nie posłucha Dańki i nie wykona mojego polecenia. Przecież nie wiem, dlaczego Świątynie boją się wyrządzić nam krzywdę. Sam globus jeszcze niczego nie dowodzi. Sekciarze dotrą do Ziemi, a kwarkowa bomba spadnie na dach mojego rodzinnego domu. Obłok szarego pyłu zamiast trzeciej planety od Słońca...

Podrzuciło nas w górę miękkim, ale silnym szarpnięciem. Przeszliśmy przez nieprzenikalne ściany Świątyni niczym przez mgłę. I znowu poczułem znajomy, wilgotny oddech przenikanych ścian... Troskliwe objęcia chmury żółtego światła.

Świątynia posłuchała rozkazu Dańki. Chłopca z planety, której nie ma.

...Staliśmy w sali ogromnej nawet jak na Świątynię, wewnątrz gigantycznego sześcianu o czarnych ścianach pokreślonych tysiącami świecących pasów. Każda migocząca mętnym pomarańczowym blaskiem linia zawierała informacje o jednej z planet zamieszkałych przez ludzi. Gdzieś tutaj były również współrzędne Ziemi, planety, do której można dotrzeć jedynie tunelami bezpośredniego połączenia hiperprzestrzennego. Planety przeklętej, do której nie latały gwiazdoloty; wyrzuconej ze strumienia galaktycznej cywilizacji. Jeszcze niedawno zainteresowałyby mnie te cyfry, długie wyliczenia zawierające abstrakcyjne, pięciowymiarowe współrzędne niedające wyobrażenia ani o kierunku, ani o odległości. Teraz było mi wszystko jedno.

Obejrzałem się – wszyscy byliśmy na miejscu. Dańka i Lans, Ernado z Redrakim i nawet siedzący u ich nóg Trofeum. Ale to właśnie mnie niewidzialna winda wysunęła na czoło delegacji.

– Jestem człowiekiem z planety Ziemia – powiedziałem cicho, a echo pochwyliło moje słowa, roznosząc je z hukiem po sali. – Jestem mieszkańcem planety, której nie ma. Jestem tym, który przypadkiem trafił do waszego świata. Tym, który żąda podporządkowania.

Podporządkowują się... – głos dochodził zewsząd, spływał z sufitu, wyrывał się ze ścian, tryskał z płyt podłogi. Bezcielesny, bezosobowy. Głos Świątyni. Głos, który skazał mnie na śmierć.

– Żądam całkowitego podporządkowania! – krzyknąłem. – Wszystkich Świątyń! Wszystkich planet! Dostyc tej gry! Odgadłem waszą tajemnicę i otrzymałem prawo wydawania rozkazów!

Cisza.

A potem dziwne, nieznanome odczucie, jakby miękka sprężysta błona opinała moje ciało.

Zresztą nie takie znowu nieznajome – temporalny granat dawał podobny efekt. W mojej świadomości rozległ się obojętny głos:

Niestandardowa sytuacja, konflikt pomiędzy celem a ograniczeniami. Brak wskazówek w programach struktur logicznych. Zastosowano przesłanie człowieka z Ziemi...

Wokół mnie zgęstniała ciemność.

...I aktywizację matrycy emocjonalnej.

Spróbowałem wyrwać się ze sprężystej błony, ale nie mogłem. Wszystkie moje działania dawały tyle efektu, co szamotanina muchy w smole.

Człowieku z planety Ziemia, posiadasz immunitet i masz prawo do taktycznego sterowania systemem Świątyni. Ale żądania dotyczące sterowania strategicznego wychodzą poza ramy działań dozwolonych. Zostanie ci udostępniona możliwość dyskusji z twórcą Świątyni, po czym podejmie się decyzję co do twojego losu.

Czarna zasłona owinęła mój mózg.

...Siedziałem w fotelu – wygodnym i miękkim, pokrytym aksamitem w kolorze piasku. Meble w pokoju były chyba z hebanu, podłogę i ściany zasłaniały ogromne brązowordzawe kobierce. Dominowały tu dwa kolory. Nawet ogień w kominku z czarnego marmuru był żółto-pomarańczowo-rudy, bez dodatku błękitu wysokich temperatur czy purpurowo-czerwonych błysków gaśnięcia. Żółty środek. We wszystkim – nawet w kolorach.

– To jest miejsce podejmowania decyzji.

Fotel mojego rozmówcy stał naprzeciwko. Wąski czarny stolik pomiędzy nami był zastawiony kolorowymi butelkami, owocami i cukierkami w kryształowych misach, pucharami i kielichami. Z boku tkwiła masywna zapalniczka i pudełko z długimi, grubymi cygarami oraz kilka paczek papierosów.

Twórca Świątyni pasował wyglądem do tego kolorytu. Wysoki, bardzo chudy, miał ogromną grzywę miedzianych włosów, okulary w delikatnych oprawkach i staromodny garnitur. Nieco nieregularne rysy sugerowały skomplikowaną mieszankę narodowości, ale ogólnie twarz była sympatyczna i szczerą. A oczy zdumiewająco mądre, serdeczne i łagodne.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że w Świątyni są takie pomieszczenia... I tacy kustosze – zauważyłem, starając się pokryć zmieszanie ironią.

Mężczyzna przepaszająco rozłożył ręce.

– Niestety. Ku mojemu rozczarowaniu, Siergiej, takiego pomieszczenia w Świątyni nie ma. Nie zostało przewidziane. Spierałem się z projektantami i budowniczymi, ale ich zdaniem znacznie prościej jest zadowolić się iluzją.

Pochyliłem się w fotelu, czując jego miękką sprężystość, sięgnąłem do misy i wziąłem różową soczystą brzoskwinię. Całkiem przyjemne te iluzje...

– Zapach, kolor oraz smak są bardzo realistyczne – zapewnił mnie mężczyzna z lekkim uśmiechem. – Nie mówiąc już o ogólnym wrażeniu. Może pan napić się wina i poczuć lekkie upojenie. Albo wypalić papierosa, nie bojąc się o swoje zdrowie. Możemy rozmawiać, jak długo chcemy, tutaj czas nie istnieje. Pańscy przyjaciele nie zauważą nieobecności dowódcy.

– Dlaczego nie zaprosił pan Dańki? – zapytałem, oglądając etykiety butelek. – Przecież on też jest Ziemianinem. Siewcą.

– Dla Świątyni dowolny Ziemianin jest władcą, ale dla mnie Danił to przede wszystkim dziecko. A nas czeka poważna rozmowa, Siergiej. Dorosła. O chłopcu będziemy musieli pogadać oddzielnie.

Skinąłem głową, zgadzając się w milczeniu. Wyciągnąłem z kolekcji butelkę białego muskatu i otworzyłem – korek poddał się natychmiast. Iluzoryczny korek w nieistniejącej butelce z nieprawdziwym winem.

– Widzę, że jest pan znawcą dobrych win... – mężczyzna podsunął mi swój kielich. – Lubię ten gatunek mimo swojej fantomowej natury.

Zamrugąłem i omal nie rozlałem wina. Zapytałem, usiłując zachować spokój:

– Pan... też jest nieprawdziwy?

– Oczywiście! Fantom, ułuda, hologram. – Mój towarzysz upił mały łyżeczek wina i uśmiechnął się z zadowoleniem. – A jednocześnie dokładna kopia realnie istniejącego człowieka. Siewcy, jeśli pan woli.

Zjawa, delektująca się nieistniejącym winem... zabawne.

– Świątynia nazwała pana twórcą. Czy to prawda?

– Ależ skąd! – Tak energicznie pokręcił głową, protestując przeciwko niezасłużonej sławie, że wychlapało się wino z kielicha. – Jestem tylko twórcą teorii... ogólnej metodologii podejścia do świątynnego systemu formowania cywilizacji. Z budową samych gmachów, z ich techniką nie mam nic wspólnego!

– Ideolog zawsze jest ważniejszy od wykonawcy – sparowałem. – A prawodawca ważniejszy od kata.

– Skąd takie porównania? – W jego głosie zabrzmiało szczere oburzenie.

Znowu napiłem się wina. Popatrzyłem na ogień w kominku przez szklany tulipan kielicha. Oleiste smugi na kryształach potwierdzały wrażenia smakowe – wino było mocne. I niezwykle smaczne. Do diabła, pierwszy raz w życiu piję dobre wino, które nie jest prawdziwe!

– Przepraszam – powiedziałem cicho. – Porównanie było nietrafione, przyznaję. Bardziej przypomina pan muzyka niż prawodawcę. Będę pana nazywał Maestro.

– Jak pan sobie życzy. – Fantom był wyraźnie urażony.

– Sytuacja przypomina film gangsterski klasy C – wyjaśniłem. – Serdeczna rozmowa przy obfitym poczęstunku poprzedza zazwyczaj przesłuchanie trzeciego stopnia.

– Wykluczone – powiedział z żarem Maestro. – Tortury i zabójstwo... tym bardziej Ziemi... są wykluczone!

„Tym bardziej Ziemi...”... Przejęzyczenie czy ostrożne dawkowanie informacji? Sięgnąłem do papierosów, wybrałem najbardziej znajomą paczkę. Gitanes, najmocniejszy ze wszystkich znanych mi gatunków tytoniu.

– Jest pan człowiekiem skrajności, Siergiej – powiedział w zadumie Maestro. – Wyśmienite wino i najmocniejszy tytoń. Jak kochać, to księżniczkę, jak nienawidzić, to całej cywilizacji.

– Charakter, Maestro. Taki charakter... Niech mi pan powie, co było pierwsze?

– Jajo czy kura?

– Pan czy ja.

Maestro westchnął i też wziął papierosa. Pstryknął zapalniczką, podał mnie, przypalił sam.

– Pan, Siergiej. Pan. Może nawet jestem pańskim potomkiem. Studia archiwalne, bardzo utrudnione pańską znikomą rolą w ziemskiej historii, dowiodły, że w ciągu swego krótkiego życia przed zniknięciem miał pan sporo dzieci.

Zaciągnąłem się nerwowo, wciągnąłem do płuc pół papierosa. W głowie zakręciło mi się mocniej niż po kieliszku wina.

– Nie wiedziałem o tym, Maestro.

– Trzy przypadki są udokumentowane badaniami genetycznymi, pozostałe kwestionowane... Chce pan usłyszeć ich imiona?

– Nie. Raczej nie. To gorsze nawet od przesłuchania trzeciego stopnia.

– Jak pan sobie życzy. To jak, przystąpimy do konkretów?

Skinąłem głową i zgasilem papierosa w plasterkach ananasa.

Maestro skrzywił się.

– To przecież tylko dekoracje... iluzje... – wyjaśniłem dobrodusznie. – Niech pan zaczyna.

– Najpierw prehistoria... albo raczej „pohistoria” z pańskiego punktu widzenia. Pod koniec XXI wieku ludzkość zaczęła międzygwiazdną ekspansję, używając niedawno odkrytej zasady hiperprzestrzennych przejść. Pana przyjaciele nazywają to lotem po prostej, hiperskokiem na trzy punkty orientacyjne i tunelowym hiperprzejściem. Z powodów ekonomicznych Ziemiianie wykorzystywali dwa pierwsze sposoby – hipertunel jest zbyt drogi nawet dla was. W 2132 roku od narodzin Chrystusa...

Mimo woli uśmiechnąłem się, słysząc uroczysty ton, jakim mój towarzysz wymówił tę datę. Maestro wytłumaczył to sobie po swojemu.

– Jest pan chrześcijaninem? Według muzułmańskiej rachuby czasu...

– Jestem ateistą.

– W 2132 roku – powtórzył sucho Maestro – Ziemia zetknęła się z konkretnymi problemami. Jedynym wyjściem z sytuacji była zmiana metody kolonizacji. Zamiast ekspansji w przestrzeni

zastosowano kolonizację w czasie. W dalekiej przeszłości, w epoce, gdy Ziemię zamieszkiwały jedynie organizmy pierwotne, stworzono bazę projektu X. Baza produkowała tylko jedną rzecz – hiperprzestrzenne punkty sygnalizacyjne wyposażone w urządzenia do rozprzestrzenienia zarodników. Statki automaty roznosiły je po całej galaktyce, wychodząc nawet poza jej granice. Każdy statek dostarczał siedem takich punktów, po czym następowała jego autodestrukcja. Punkty sygnalizacyjne, tworząc wokół siebie życie z dominującą cywilizacją humanoidalną, stały się jej bogami, Świątyniami... zgodnie z pierwotnym założeniem.

– Wychodzi na to, że teraz znajduję się w przeszłości Ziemi? – spytałem cicho. – Co tam teraz trwa? Mezozoik? Wyprawy krzyżowe?

– Ależ, Siergiej... Na Ziemi jest koniec XX wieku. Rozwój cywilizacji satelickich zajął sporo czasu. Pan znajduje się w swojej terażniejszości... ja zaś, a raczej mój moduł informacyjny, w swojej przeszłości. Podróżowanie w czasie to ciekawa rzecz, ale nie ma tu nic do rzeczy.

– A temporalne granaty?

– To drobiazg. Urządzenie o małej mocy, stworzone w celach czysto eksperymentalnych. Nie przenosi fizycznych obiektów, lecz informacyjne składniki osobowości.

– Z kim walczyliście w przeszłości? – Nagle obudziło się we mnie na wpół abstrakcyjne zainteresowanie, wywołane wspomnieniem granatów temporalnych. Lekceważąca charakterystyka tej „absolutnej broni” była zapewne obliczona na moje moralne pogębienie.

– Z nikim! – roześmiał się Maestro. – Zniszczone statki, wypalone planety i zgasłe gwiazdy to tylko rekwizyty! Inscenizacja! Legendy o Siewcach plus duchowe oddziaływanie Świątyń ukształtowały niezbędny typ cywilizacji...

– Niezbędny do czego? – zareagowałem ostro. Maestro zamilkł. Wyciągnąłem rękę do paczki gitane’ów, zapaliłem kolejnego papierosa. – Proszę mi wybaczyć tę drobną słabość, Maestro. Na stworzonych przez was planetach nie ma tytoniu. A treb i inne stymulatory jakoś mnie nie kręcą.

– Za to nie są tak szkodliwe dla organizmu – zauważył mentorskim tonem Maestro. – Wojownik powinien szanować swoje zdrowie.

Zamilkł, jakby zorientował się, że za dużo powiedział. A może świadomie podrzucił mi kolejną porcję informacji.

– W jakim celu Ziemia postanowiła kolonizować przeszłość? – Pochwyciłem spojrzenie Maestra, łagodne, mądre, kłamliwe spojrzenie. – Jaki cel miało tworzenie tysięcy zamieszkanym planet? Dlaczego Ziemia jest traktowana jak wyrzutek? Dlaczego Świątynie mają oblicze Ziemi?

– Odpowiem na wszystkie pytania prócz pierwszego – powiedział szybko Maestro. – Ono zresztą nie jest dla pana istotne.

– A więc? – Usiadłem wygodniej w fotelu. Rozkoszowałem się iluzorycznym winem, mocnymi papierosami, nieistniejącą przytulnością pokoju. I prawdziwym, mądrym i silnym

przeciwnikiem.

– Statki z innych planet nie mogą przylatywać na Ziemię, ponieważ nie było tego w naszej historii. Dobrze mówię, Siergiej?

– Ale pewien pirat przyleciał...

– Owszem. Kupił pluton, płacąc partią sztucznych brylantów ogromnej wielkości... i zmył się po cichu. Brak precedensów.

– Zgadza się. – Sięgnąłem do butelki muskata i stwierdziłem, że znowu jest pełna. Czarodziejskie wino z ziemskich bajek.

– Ale galaktyczne cywilizacje muszą wiedzieć o Ziemi, pamiętać ją jak straszną legendę, tworzyć wszelkie możliwe hipotezy. A wszystko po to, by kiedyś, za wiele lat, gdy Świątynie na wszystkich planetach zaczną wirować i zlikwidują wideoblokadę, gdy biliony zdumionych ludzi zobaczą w symbolach swoich religii obraz planety-wyrzutka...

– Rozumiem. Połączą się z Ziemią i jej nielicznymi prawdziwymi koloniami w jedną cywilizację. I Ziemia będzie przewodzić w tym niesłychanym imperium.

– Na prawach planety założycielki. Życie we wszechświecie to rzadkość. A my podarowaliśmy galaktyce miliony form życia.

– Na prawach planety, która umieściła na wszystkich zamieszkanym światach miny o opóźnionym zapłonie. Świątynie najpierw rozwinęły cywilizacje, a teraz powstrzymują ich rozwój. Wszystko po to, by w momencie połączenia Ziemia była najsilniejsza. Żadna planeta nie może pokonać ochrony Świątyni. A mieszkańcy tych światów domyślają się, że Świątynia może zniszczyć ich planetę w każdej chwili. Przemienić ją w plazmę... albo uruchomić urządzenie rozpadu kwarków.

Maestro popatrzył na mnie w zadumie. Spojrzenie nadal miał poczciwe, a twarz spokojną. Mądry, przebaczący fantom.

– Nie pan, przyjacielu... ani nawet nie ja... nie będziemy decydować o przyszłości ziemskiej cywilizacji. Ale mimo wszystko jest pan patriotą ojczystej planety, prawda?

– Byłem patriotą bardzo wielu planet – powiedziałem drwiąco. – Zna pan historię mojego kraju?

– Znam, Siergiej. Cóż, widzę, że rozmowa o sprawach globalnych nam nie wychodzi. Porozmawiajmy o pańskim losie.

Jego ton sprawił, że stałem się czujny. Nie lubię, gdy mówi się o moim losie. W mojej młodości zbyt wielu było chętnych do decydowania o nim.

– Porozmawiajmy, Maestro.

– Jak pan myśli, Siergiej, czy pańskie szczęście było dziełem przypadku?

3. Prawo człowieka

Przypadki, gdy Ziemianie z przeszłości, z mojej przeszłości, trafiali na planety Świątyni, nie są odosobnione – zaczął Maestro tonem wykładowcy. – Czasem wracali, jeśli ich porywacze wydzielili energię na powrotny hipertunel. Najczęściej żyli aż do śmierci na tej czy innej planecie. Zazwyczaj w roli błaznów, egzotycznych zwierząt czy włóczęgów. Rzadko osiągnęli wysoką pozycję w społeczeństwie. Świątynie obserwowały ich, rejestrowały bieg wydarzeń, ale nie ingerowały. Jeśli człowiek trafił z Ziemi do kosmicznej cywilizacji, był to fakt ziemskiej historii. Wiele tajemniczych zniknięć, podniecających wyobraźnię kryminologów i ufologów, polegało właśnie na tym...

– Swój wkład w takie zniknięcia mieli również Palijczycy – powiedziałem ze złością.

– Niestety, Siergiej... Ale nawet wampiry są naszymi potomkami, naszymi dziećmi. Nawet oni są potrzebni w galaktycznym imperium. Ale mówimy teraz nie o pańskich wrogach, lecz o panu.

– Słucham z uwagą, Maestro.

– Okazał się pan rzadkim okazem, Siergiej. Pańskie pojawienie się na Tarze w charakterze ceremonialnego narzeczonego było absolutnym przypadkiem. Jednak aby zachować stabilność, należało zachować władzę imperatorską na Tarze i zniszczyć Shorreya Manhema. Dlatego udzielono panu pomocy, najpierw wysadzając pana w pobliżu schronu Ernada i kierując właśnie do niego. Potem zastosowaliśmy drobną ingerencję w psychikę sierżanta imperatorskich wojsk. To on „poznał” zaręczynowy pierścień na pańskiej ręce. Fenomenalna pamięć, nieprawdaż? Nie zastanawiał się pan, jak Ernado rozpoznał w panu lorda?

– Nie miałem do tego głowy...

– Na to właśnie liczyliśmy. Sam Ernado jest przekonany, że doznał olśnienia. Potem były drobne kłopoty, które zdenerwowały pana i skłoniły do wymyślenia nowego rodzaju płaszczyznowej broni. A Ernado przygotował ją, jak na warunki polowe, w zbyt krótkim czasie.

– Wszystko, co wymyśliłem, to pod waszym wpływem?

Maestro pokręcił głową i powiedział twardo:

– Psychika i życie każdego Ziemianina są nietykalne. To prawo Świątyni. Inna sprawa, że w interesach Ziemi i jej planów Świątynie mogą wpływać na otoczenie Ziemian. Ale nawet w tych przypadkach są posłuszne bezpośrednim rozkazom, zwłaszcza tym dobrze umotywowanym. Skorzystaliśmy z tego, przenikając do Świątyni na Shedmonie.

– Maestro, dwa pytania... Gdy docierałem do pałacu imperatorskiego, Ernado przyszedł mi z pomocą. Czy także pod wpływem Świątyni?

– Nie. To była jego osobista decyzja. Ale Ernado osłaniałby pana nawet wbrew swojej woli, Świątynia Tara była gotowa do ingerencji.

– A moje zwycięstwo nad Manhemem? Czy spowolniono jego reakcje? Zmuszono do błędnej taktyki?

– Spowolniono jedynie cios w pojedynku w bazie wojsk powietrznych Taru. W przeciwnym razie lord nie zdążyłby aktywizować granatu. Zwycięstwo w Świątyni było uczciwe, dokonał pan tego samodzielnie. Ten bohaterski czyn był jednak zbędny. Wystarczyło, żeby wydał pan rozkaz. Świątynia nie musi ochraniać życia pojedynczego Ziemianina, ale musi posłuchać rozkazu. Manhem zostałby błyskawicznie zlikwidowany.

...Przypomniałem sobie Świątynię Tara, Shorreya umierającego na czarnej podłodze sali pojedynków w purpurowym świetle plazmowych pochodni i jego szept: „Zrozumiałem twoją tajemnicę, ale zbyt późno. Nie należało walczyć z tobą... tutaj”.

– On zrozumiał związek pomiędzy Ziemią a Świątyniami, Maestro. Ale dopiero w chwili śmierci.

Maestro skinął głową.

– Właśnie dlatego należało go zniszczyć. Nadludzie nie są nam potrzebni.

Nie spierałem się. Na pewno różnie pojmowaliśmy, ale i tak nie czułem współczucia dla „nadczołwieka” Shorreya. Za to poczułem szacunek. To on sprzeciwił się Siewcom-Ziemianom. Chociaż sam o tym nie wiedział.

– To, co zrobił pan później, nie było zbyt rozsądne. Mógł pan zdobyć miłość księżniczki... i pozostałby pan w pamięci wielu cywilizacji jako uchodźca z przeklętej planety, który udowodnił swoją wyższość nad zwykłym ludźmi. W przyszłości sprzyjałoby to przyjęciu prawdy na wszystkich planetach. Ale pan zaczął szukać Ziemi i drogi do niej ze zwykłej przestrzeni. Pańskie motywy są oczywiste. Ale i tak nie zdoła pan znaleźć swojej planety.

– Dlaczego? – spytałem wściekły.

– Przeszłość już się dokonała, Sergieju. Pan nie znalazł drogi, a sekta... – Maestro uśmiechnął się kpiąco. – Sekta nie mogła zniszczyć Ziemi. W przeciwnym razie nie powstałaby cywilizacja przyszłości, wielka cywilizacja, która pokonała czas, stworzyła Świątynie i tysiące sojusznicznych planet...

Maestro rzucał okruchy informacji niczym skąpiec rozdający miedziaki przed kościołem. Ale mnie wystarczyły te drobinki.

– Maestro, taki jest pan pewien swojej wiedzy o naturze czasu?

Uniósł ze zdumieniem brwi.

– A jeśli sekciarze nie zniszczą Ziemi tylko dlatego, że zniszczy ich mój statek, moja załoga? A może moja wizyta na Ziemi na współczesnym statku, jeśli nawet nie zostanie zauważona, da impuls do rozwoju nauki?

Maestro pokręcił głową z wyrzutem.

– Sergiej, naciąga pan fakty. Wszystko będzie tak, jak było. Sekciarze nie zdołają znaleźć

Ziemi, a przez hipertunel na Ziemię nie można przesłać broni silniejszej niż blaster. Jeśli ich bomba kwarkowa przejdzie przez hipertunel, stanie się tak samo niebezpieczna jak straszak. Podjęliśmy pewne środki ostrożności.

– Ale oni szukają drogi według trzech punktów sygnalizacyjnych! – krzyknąłem rozpaczliwie. – Powstrzymajcie ich!

– Siergiej, nie wiem, co stanie się z sekciarzami. Wiem tylko, że Ziemi nie znajdą, niechże mi pan zaufa! Może aresztuje ich klenijski patrol, który będzie miał więcej szczęścia niż poprzedni. Albo reaktory ulegną zniszczeniu... Sekciarze są skazani. Porozmawiajmy o pana losie.

– Ma pan prawo o nim decydować? – zapytałem z ironią.

– Uchowaj Boże... Obaj jesteśmy Ziemianami. Obaj mamy prawo do sterowania Świątyniami i mam nadzieję, że nie będziemy tego nadużywać. Znam znacznie więcej podstawowych praw Świątyni i mógłbym zwrócić sytuację przeciwko panu. Ale bardzo bym tego nie chciał.

On się bał. Bał się mnie, zacofanego nieuka, jakim byłem w jego oczach. Tak bałby się strateg w Pentagonie na wieść, że czerwony guzik rosyjskich sił jądrowych znalazł się w rękach obszarnika z XIX wieku, niewiadomym sposobem przeniesionego w wiek XX.

– I co pan proponuje, Maestro?

– Niech pana wraca na Tara, do księżniczki. Wszystko będzie dobrze, Siergiej. Zapewniam pana. A Daniil musi natychmiast wrócić na Ziemię. Chodzi o to, że pod pewnym względem chłopiec jest dość znaczącą postacią w historii Ziemi. Nie może przepaść. Odeślemy go na Ziemię jak najbliżej momentu zniknięcia i nikt się nie dowie o jego przygodach. Ale musimy się spieszyć, bo chłopiec rośnie. Za kilka miesięcy jego wygląd zewnętrzny trzeba będzie korygować... odmładzać go przed powrotem. A to nie jest wskazane.

– O co wam chodzi? – zapytałem ze złością. – Przegapiliście moment porwania dzieciaka, zaufaliście swojej zasadzie niezmienności czasu, nie zwracaliście uwagi na zniknięcia innych ludzi, a teraz boicie się odesłać chłopca do domu?! Odsyłajcie! A ja wrócę na Tara... jak tylko znajdę „Białego Raidera”.

Wzmiankę o krążowniku Maestro puścił mimo uszu. Skrzywił się, nalał sobie wina, ostentacyjnie ogrzał kielich w dłoniach... Naprawdę miał dużo czasu. Całą wieczność.

– Niech pan spróbuje zrozumieć, Siergiej... Chłopiec jest Ziemianinem. Siewcą, jeśli użyć terminologii tubylców i Świątyni. Gdyby powstrzymywano go siłą... wydałbym rozkaz bez zastanowienia. Ale teraz on sam chce zostać w galaktyce z panem i pańską mieszaną załogą. I tu rodzi się konflikt. Nie chodzi o pana ani o mnie, w końcu obaj jesteśmy dorosłymi, poważnymi ludźmi i rozumiemy, że nastolatek nie może podejmować samodzielnych decyzji. Ale Świątynie nie znają pojęcia dziecka. One stosują tylko jeden podział: Ziemianie i nie-Ziemianie. Jeśli rozwiążę konflikt siłą, tłumiąc wolę chłopca i udowadniając Świątyniom konieczność jego

powrotu na Ziemię, będzie to miało niekorzystny wpływ na układy logiczne Świątyń. Po co nam zakłócenia w pracy najbardziej złożonych systemów cybernetycznych galaktyki? A jeśli one nagle zdecydują, że mają prawo dyktować swoją wolę ludziom... Ziemianom?

– Co mogę zrobić?

– Przekonać chłopca. To byłoby idealne rozwiązanie. Jeśli on sam postanowi wrócić na Ziemię, Świątynie spokojnie przyjmą jego decyzję.

– A jeśli namowy nie pomogą?

– Wtedy wspólnie możemy wydać rozkaz powrotu Dańki na Ziemię. To Świątynie również zrozumieją. Zasada wspólnej decyzji...

– Jasne.

Zamilkliśmy. Maestro odezwał się nieśmiało:

– Przecież pan również skłaniał się do odesłania chłopca...

– Oczywiście.

A teraz, gdy odkrył pan tajemnicę Świątyń, może pan obficie korzystać z ich pomocy. Nie afiszując się, oczywiście. Może pan rozkoszować się zwiedzaniem tysięcy niepodobnych do siebie światów, tworząc chwałę Tara, tworząc imperium galaktyczne... Siergiej, przecież może pan zjednoczyć wszystkie zamieszkane światy, jeszcze bardziej umocnić ich wspólnotę. Wtedy pojawienie się Ziemi, superplanety, władczyni i założycielki zostałyby przyjęte znacznie spokojniej. Siergiej, ma pan przed sobą wielką przyszłość! Jeszcze nieraz spotkamy się w takich gabinetach na szczerej pogawędce i powoli pozna pan cele kolonizacji przeszłości. Zrozumie pan, dlaczego pańscy potomkowie wybrali właśnie tę drogę. Siergiej, jest pan nasz... duchem, siłą i krwią! Historia bywa zabawna, zazwyczaj wybiera trudną drogę wyłonienia wodza przyszłych wojowników...

– Wojowników o co? – zapytałem ostro.

Maestro urwał.

– Jaka przyczyna zmusiła Ziemian do wyhamowania gwiazdnej kolonizacji? Kto był tą przyczyną? Niech pan odpowie!

Twarz Maestra spoważniała. Odezwał się cicho, ale groźnie:

– Debiutantom nie należą się odpowiedzi. Tylko rozkazy. Jasne?

– Nie!

Nie wiem, dlaczego nie godziłem się ze słowami Maestra. Na przekór samemu sobie, swojemu narodowi, Siewcom, Ziemianom, przeszłości i przyszłości. Wszystkie jego sugestie były logiczne, sprawiedliwe, dobre...

Może dlatego, że moja Ziemia, moja teraźniejszość nadal była zagrożona przez sekciarzy?

– Maestro, teraz najważniejszą rzeczą dla mnie jest powstrzymanie „Białego Raidera”. Potem chłopiec wróci do domu, a ja... pomyślę o swojej przyszłości.

– Co się pan tak uczeplił tego raidera! – warknął Maestro i zażądał: – Dane o aktualnej lokalizacji statku bojowego znanego jako „Biały Raider”, należącego do sekty Potomków Siewców!

– W chwili obecnej raider wychodzi ze skoku w rejonie planety Pluton – rażno odpowiedział mechaniczny głos. – Sprecyzować współrzędne?

Popatrzeliśmy na siebie.

– To pan zorganizował – rzekł potępiająco Maestro. – Pańskie plany wyrównania własnych rachunków mają teraz uzasadnienie! Jest pan zadowolony?

– Idioto! Przecież nie znam współrzędnych Ziemi!

Zerwałem się z fotela, jednym ruchem strąciłem na podłogę butelki i misy, kryształowe ozdóbki i przejrzałe owoce. Kałuże rozlanego wina błyskawicznie wsiąkały w dywan, ale w powietrzu pozostał słodkawy aromat.

– Przecież jest pan Ziemianinem, Maestro! Drwię z pana zachowuję się skandalicznie... Ale przecież jest pan Ziemianinem.

Nasza planeta znalazła się w niebezpieczeństwie... Teoria czasu nie jest do końca opracowana, dlaczego boi się pan to przyznać?! Sekciarze mogą zniszczyć nasz świat!

Wahał się tylko sekundę. A może udawał, że się waha – widma szybko podejmują decyzje.

– Nie będziemy ingerować. Sekciarze nie zrzucą bomby na Ziemię. Niech się pan uspokoi.

Rozumiałem go. Gdyby maszynę czasu wynaleziono w XX wieku i jakiś nieszczęśnik, na przykład uczestnik wojny przeciwko Napoleonowi, zaczął opisywać koszmar wzięcia Moskwy i przepowiadać przyszły podbój świata, usłyszałby to samo: „Niech się pan uspokoi. Nikt nie podbije świata”.

Moi potomkowie i wrogowie, którzy puścili w ruch tę kolosalną maszynę wojenną, nie będą ingerować w przeszłość własnej planety; nie chcą jednak wyjaśnić dlaczego...

– Na razie to tylko moje słowo przeciwko pańskiemu – powiedziałem półgłosem. – Słyszysz pan, Maestro? Jest pan zjawą, ale Świątynia traktuje pana jak prawdziwego człowieka, jak Siewcę, prawda?

Tak. – Głos płynął zewsząd. Ściany, podłoga, sufit, stolik z resztkami napojów rezonowały niczym ogromne membrany. To odpowiadała Świątynia.

– Jestem Ziemianinem z XX wieku – przedstawiłem się, rozumiejąc zbędność tych słów. – Wy, Świątynie, próbowaliście mnie zabić. Usiłowałyście zatrzymać drobnymi kłopotami...

Świątynia nie może bezpośrednio zabić człowieka.

– A pośrednio? Rzucić Ziemianina obok szalupy, która może wybuchnąć w każdej chwili?

Taki byłby rzeczywisty bieg wydarzeń, gdybyśmy nie wmieszały się w psychikę Klenijczyka.

– Dobrze, dajmy temu spokój. Czy teraz, gdy jestem w Świątyni, gdy rozumiem was i wasze cele, mam ten sam autorytet co Maestro?

Tak – rzekł głos z pewnym wahaniem. – *W definicji Siewcy brak ustaleń co do daty narodzin.*

– To był mój błąd – powiedział ponuro Maestro. – Zbyt nieprawdopodobne było założenie...

Do diabła!

– Żądam, żeby wydać mi statek zdolny dokonać natychmiastowego skoku na Ziemię.

Kurs zakazany – zareagowała natychmiast Świątynia. Maestro uśmiechnął się.

– Ziemia jest w niebezpieczeństwie. Ona jest ponad wszystko! – krzyknąłem na chybił trafił.

Postulat numer 1 – potwierdziła Świątynia. – *Statek jest niezakonserwowany.*

– Żądam odwołania rozkazu – zaprotestował Maestro. – Niebezpieczeństwa nie ma.

Logiczna sprzeczność – zauważyła Świątynia z ledwie zauważalną ironią. – *Twoje słowo, Staś, przeciwko słowu Siergieja. Proszę uzasadnić swoje wystąpienie.*

– Statek sekciarzy chce zrzucić na Ziemię bombę kwarkową. Powstrzymanie rozpadu kwarków jest niemożliwe...

Argument przyjęty, odpowiada pierwszemu prawu. Statek nie jest zakonserwowany.

– Sekciarze nie dotrą do Ziemi – zaprotestował uparcie Maestro. – Sprawdź bloki pamięci historycznej, czy jest w nich świadectwo o pojawieniu się statku sekciarzy pod koniec XX wieku?

Argument przyjęty. Przejęcie sekciarzy jest niebezpieczne i niecelowe. Statek został zakonserwowany.

– Siergieja z planety Ziemia należy odizolować w chronokapsule. – Maestro wyraźnie kuł żelazo póki gorące. – Jego towarzyszy wyrzucić na powierzchnię planety.

Wszystkich nie zdołam. – Teraz drwina była już wyraźnie słyszalna. – *Wpływ na Ziemianina Daniła jest niedopuszczalny. Kapsulacja księcia Siergieja nie jest konieczna. Księżę nie przejawia agresji.*

– Świątynio! – zacisnąłem zęby i spiąłem się, szykując do ostatecznego starcia. – Jak dalece dopracowana jest teoria czasu? Czy istniejąca rzeczywistość może zniknąć i zostać zastąpiona inną, bez planety Ziemia, ze Świątyniami, które pojawiły się niewiadomo skąd?

Niektóre teorie dopuszczają coś podobnego – przyznała Świątynia.

– Musisz chronić Ziemię – powiedziałem cicho. – Nawet jeśli jedna szansa na miliard zakłada jej śmierć, musisz stanąć po mojej stronie.

Tak – powiedziała niezbyt pewnie Świątynia.

– Ziemia XX wieku nie może dowiedzieć się o istnieniu galaktycznej cywilizacji! – powiedział Maestro zwany Stasem. – Nie słuchaj go! Wylicz rzeczywiste prawdopodobieństwo teorii dopuszczających zagładę Ziemi.

Cztery i pół procenta.

– To wystarczająco dużo – powiedziałem uparcie.

Zgadzam się. – Świątynia wyraźnie przechodziła na moją stronę. – *Staś, przyznaje pan rację*

człowiekowi z przeszłości?

– Nie – powiedział twardo Maestro. – Zbyt duże jest niebezpieczeństwo, że Ziemianie zauważą statek kosmiczny na niebie swojej planety. Oba warianty wychodzą poza ramy praw.

Ani chybi coś wymyślił. To dziwne, że los znowu zaprowadził mnie do Świątyni na decydujące starcie... Tylko teraz nie będzie to walka na miecze.

– Czy mogę wezwać intelektualne matryce innych Świątyni? – zapytał nagle Staś.

Nie – podjęła decyzję Świątynia. – Człowiek z Ziemi o imieniu Siergiej działa w ramach swojej logiki, w imię tego samego celu co ty. Wezwanie intelektualnych matryc byłoby równoznaczne ze zdławieniem osobowości Siergieja poprzez kolektywne myślenie, a jego błąd nie został udowodniony.

Przez sekundę panowała cisza. Następnie głos Świątyni dodał:

Proponuję mentalny pojedynek. Przegrany zostanie umieszczony w temporalnej kapsule, gdzie będzie przebywał aż do decyzji zwycięzcy. Zgadzacie się na te warunki?

Skinąłem głową. Spieranie się nie miało sensu; jeśli zaproponuję walkę na miecze płaszczyznowe, fantom znajdzie masę argumentów przeciw. A on może doskonale władać każdym rodzajem broni...

– Jestem gotów do mentalnego pojedynku – oznajmił sucho Staś. Poprawił ubranie, zdjął i odłożył na stolik swoje okulary. Jakby szykował się do zwykłej bójki... Mimo woli przesunąłem dłoń po broni: blaster, miecz płaszczyznowy, pistolet...

– W tym pojedynku broń ci nie pomoże – rzekł obojętnie Staś. – Tylko to, co sam stworzysz. Zaczynamy!

Znowu otoczyła nas wilgotna, zimna mgła. Przenosiliśmy się do miejsca, które Świątynia wybrała na mentalny pojedynek.

4. Umysł i emocje

Tłuste błoto bagna sięgało mi do kostek. Było ciepło, wiał lekki wietrzyk niedający ochłody. Na niebie rozpalonym węgielkiem tliło się małe, umierające słońce.

Na horyzoncie czerniał pasek dalekiego lasu.

Więc to ma być ten mentalny pojedynek? Wyrzucić mnie i Maestra na pustkowie i obserwować, który pierwszy załatwi przeciwnika? Co to właściwie za planeta? Nie czułem hiperprzejścia, ale w świecie, w którym nawet twórca Świątyń nie miał fizycznego ciała, miejsce pojedynku powinno być równie... iluzoryczne.

Obejrzałem swój kombinezon. Zabrano mi wszystko – płaszczynowy miecz, blaster i płaszczynowy pistolet. Nawet mały jednorazowy paralizator – cienką metalową pałkę, którą zawsze nosiłem w wewnętrznej kieszeni. Znikł również tak niezbędny przedmiot jak wibronóż. Baterie stroju bojowego okazały się wyladowane. Tryb ochrony nie działał, ale z tym jeszcze mogłem się pogodzić. Za to niedziałający tryb medyczny to już było za wiele...

Przerwałem bezcelowe poszukiwania nieistniejącej broi i rozejrzałem się. Nic nadzwyczajnego. Nagi, równy step... niemal taki jak w Kazachstanie. Daleki las też wyglądał całkiem zwyczajnie. A ciemny punkt lecącego nad lasem ptaka wnosił pewne ożywienie do tej bezludnej krainy.

Punkt się zbliżał. Najpierw pomyślałem, że to bardzo duży ptak, potem – że flajer albo kuter bojowy. Rzekomy ptak chwilami mienił się szarym błękitem, chwilami srebrzycie połyskiwał.

Wreszcie zrozumiałem, kto leci.

Smok. Długi na jakieś piętnaście metrów, pod białym i na pozór bezbronnym brzuchem miał dwie albo trzy pary krótkich łap. Skrzydła obciążone szarą skórą wydawały się zbyt małe dla tak potężnego cielska. Jakim cudem toto się utrzymuje w powietrzu?

Smok szarpnął się i zaczął spadać, kurczowo młócąc skrzydełkami.

To na tym polega istota mentalnego pojedynku? Walka logiki, intelektu i zimnej krwi?

Skrzydła smoka szybko rosły, co spowolniło upadek, pozwoliło mu szybować. Uśmiechnąłem się złośliwie i poczułem, że ciało ogarnia przyjemna lekkość. Na iluzorycznej planecie zmniejszyło się ciężenie.

Smok leciał teraz bardziej pewnie, mocno wymachując skrzydłami. Na pokrytym kościanymi płytkami pysku wyraźnie widać było duże złożone oczy. Pod nimi rozwierała się szeroka paszcza usiana długimi, ostrymi zębami...

Gwizdnałem, wzywając swojego konia. Wskoczyłem na siodło. Ciężka zbroja, która przez ten czas okryła moje ciało, wydawała się czymś naturalnym. A miecz, nie płaszczynowy, lecz zwykły, z przypominającego brąz stopu, jakby przyrósł mi do ręki.

Smok roześmiał się głośno i powiedział ludzkim głosem Maestra:

– Normalny początek mentalnych pojedynków, co, Siergiej? Ale brązowy miecz jest ciężki, nie możesz go trzymać tak lekko...

Miecz natychmiast zaczął mi ciążyć.

– Nie jest z brązu! – wykrzyknąłem szybko. – To stop tytanu i berylu.

Broń znowu stała się lekka.

Smok wysunął grube pazurzaste łapy i opadł na ziemię. Gdy machnął ogromnymi skrzydłami, huragan omal mnie nie zdmuchnął. A potem smok plunął ogniem z rozwartej paszczy.

Zeskoczyłem z konia i umknąłem w bok przed strugą ciemnego płomienia. Z radością uświadomiłem sobie błąd przeciwnika: płomień zrodził się wewnątrz smoka, nie poza granicą ostrych kłów, lecz w paszczy, w różowej, miękkiej głębi smoczego ciała...

Ryk, jaki wydaje smok poparzony własną ognistą mieszanką, można porównać jedynie do huku startującej rakiety. Zatkąłem uszy, żałując, że nie mogę jednocześnie zatkać nosa. Spalony żywcem koń ohydnie śmierdział...

W czasie upadku skręciłem prawą nogę i teraz pospiesznie kuśtykałem byle dalej od potwora. Ale jemu też nie było łatwo: potrząsając ogromną głową, pluł krwistoczarnym śluzem. W końcu zasyczał:

– W tych warunkach mamy niemal równe siły... Zmieniamy otoczenie?

Chyba niepotrzebnie się zgodziłem. Potwór już prawie umierał – moje przewidywania, że smok spali się od wewnątrz, były całkiem logiczne. Maestro o tym nie pomyślał... Ale mimo wszystko skinąłem głową, zgadzając się na zmianę scenerii pojedynku.

Tym razem okolica wyglądał zupełnie inaczej. Porośnięta niskimi, sięgającymi mi do pasa krzewami równina i dwie betonowe dróżki równoległe do siebie. Na ciemnoniebieskim niebie nie było ani jednej chmurki, ogromne białe słońce dławiło nieznośnym żarem.

Stałem na początku jednego z betonowych pasów, Maestro na drugim. Pomiędzy nami były trzy metry kolczastych krzewów.

– Mógłbym zaproponować pojedynek na kosmicznych krążownikach, podwodne polowanie albo trójwymiarowy wariant reversi – wyjaśnił pobłażliwie Maestro. – Ale postąpiłeś szlachetnie, więc wybrałem pojedynek, który da ci szansę. Bieg. Dystans – dziesięć kilometrów. Kto pierwszy dotrze do mety, zostanie zwycięzcą mentalnego pojedynku.

– Ładna mi mentalna walka! – rozżościłem się. – To sprawdzian dla mięśni! Zresztą ścigając się z fantomem, jestem z góry skazany na klęskę.

– Nie bój się. – Maestro teatralnym gestem rozłożył ręce. – Teraz mam te same fizyczne możliwości co w prawdziwym ciele. A umiejętności mentalne... też będą potrzebne. Biegniemy?

Skinąłem głową. Jakie miałem wyjście? Idiotyczny bieg w iluzorycznym, nieistniejącym

świecie decydował o moim losie – i o losie Ziemi.

Suchy trzask wystrzału. Zwykłego wystrzału ze zwykłego pistolet startowego. Maestro runął do przodu; idiotycznie wyglądał w eleganckim garniturze i lakierkach, ale był niesamowicie szybki na starcie.

Ruszyłem za nim, w biegu opracowując swój wygląd. Najpierw nogi. Lekkie, sprężynujące adidasy. Precz z ciężkimi butami kombinezonu bojowego! I ciemnowiśniowy dres Pумы... Stop, przegrzeję się... Dres stał się biały.

Biegliśmy niemal obok siebie i nie wiedziałem, czy nasze siły naprawdę są równe, czy to podstęp Maestra.

– Siergiej, przerwijmy pojedynek! Niszczymy strukturę logiczną Świątyń. Mogą dojść do wniosku, że ich twórcy nie są idealni – wyrzucił z siebie Maestro, ledwo dysząc. – Że nie trzeba im służyć!

Milczałem. Oszczędzałem oddech. W końcu nie byłem iluzorycznym fantomem, który może wygłaszać tyrady podczas biegu maratońskiego...

Maestro zaczął ciężko oddychać i został w tyle. Znowu przyłapałem go na logicznym błędzie. Musiał działać w ramach rzeczywistych, ludzkich sił, w przeciwnym razie następowała kara. Mentalny pojedynek! Świat wokół nas był niczym mgła, którą nasza świadomość może dowolnie formować...

Pas pod moimi nogami stał się bardziej szorstki, żeby zapewnić najlepszą przyczepność podeszwoom adidasów... Wiatr wiał z tyłu, stopniowo się nasilając. Ołowiane chmury zasłoniły mnie od niemiłosiernego słońca.

Doganiający mnie Maestro wybuchnął śmiechem. W ołowianych chmurach pojawiły się białe zygzaki błyskawic, w beton zabębniły ukośne strumienie ulewy. Zabawne... dróżka Maestra była kompletnie sucha...

Proszę bardzo.

Huknął piorun. W ścieżkę, po której biegł Maestro, uderzyła oślepiająca błyskawica. Maestro skoczył w krzaki, chroniąc się przed zsunięciem w szkliscie zielony krater, z którego sączył się lekki dym. Usłyszałem krzyk bólu – krzewy miały kolce. W chwilę później błyskawice zaczęły walić w mój pas. Za późno. Wzdłuż niego szeregiem wyrosły sosny czterdziestometrowej wysokości. Błyskawice waliły w ich wierzchołki, a po chwili wzdłuż drogi żółtym ogniem płonęły drzewne pochodnie.

Maestro znowu mnie dogonił. Krzyczał ochryple, zdzierając gardło:

– Może przerwiemy te eksperymenty pogodowe? Zagrajmy uczciwie, co, Siergiej? Doprowadźmy wszystko do normy!

W milczeniu skinąłem głową, pozwalając, by sam zaprowadził porządek w fantomowym świecie. Chmury się rozwiały, słońce znowu opuściło na nas swój ognisty ciężar, drzewa wzdłuż

drogi rozwiały się w kłęby zielonej mgły.

Pozostał tylko bieg, niekończące się betonowe taśmy. A na nich ja i Maestro szturmujący nieistniejącą odległość Wyrывая się przede mnie, Maestro wysapał:

– Mnie też doskwiera upał... też jestem zmęczony. Wszystko uczciwie.

Wierzyłem mu, temu dalekiemu potomkowi moich współczesnych. Nie zgadzał się z moimi celami, nie chciał rozmawiać jak równy z równym... ale grał uczciwie. Fair play... Po co wprowadziście w ruch tę potworną karuzelę śmierci, moi dalecy potomkowie, tak lubiący uczciwą grę?

Straciłem poczucie czasu. Był tylko szorstki beton i głośny oddech biegnącego obok Maestra. Było gorące powietrze, rozpalonym ołowiem wlewające się do płuc, i narastające zawroty głowy. I coś w rodzaju białej ściany na końcu drogi. I ciemne sylwetki na niej.

Poznałem wszystkich. Ernado – pierwsze narzędzie użyte przez Siewców do oddziaływania na moją psychikę... Ale do diabła, przecież z własnej woli zdecydował się na manewr odciągający! Lans, któremu dwa razy uratowałem życie podczas uwalniania księżniczki... i który nawet nie podejrzewał, co mi zawdzięcza! To prawda, szpiegował, meldował księżniczce o locie „Terry”. Ale przecież Tar to jego ojczyznę a księżniczka – potajemna, nieosiągalna miłość. Redrak, pirat i pijaczyna, szuler i złodziej... Człowiek, który wyciągnął mnie z szalupy tuż przed jej wybuchem, i to po zlikwidowaniu psychokodu!

Ich spojrzenia ponaglały, ale ja nadal szukałem sylwetki chłopca. Gdy znalazłem twarz Dańki, uśmiechnąłem się. Dobięgnę pierwszy. Muszę... dla ciebie i pozostałych Ziemi. Chłopców i dziewcząt, starców i nowożeńców, kapłanów i zabójców, geniuszy i debilów, łajdaków i altruistów, napakowanych atletów i wymoczkowatych okularników. Będę pierwszy.

Ale ołowiany ciężar, skoncentrowany w mojej głowie, już się roztopił i powoli spływał do nóg. Upadnę... albo pokonam ostatnie metry na czworakach. Za mało treningów... za dużo kontuzji...

Maestro przegonił mnie o pięć metrów. Jego elegancki garnitur już dawno znikł. Krótkie szorty, biała koszulka, na nogach stare, zdeptane trampki... Ciekawe, skąd wytrzasnął taki kostium gimnastyczny? Piłkarz z lat pięćdziesiątych... Ale pod zwykłym białym podkoszulkiem na chudym grzbiecie inteligenta napinały się nabite mięśnie, a gołe nogi były muskularne. Jeśli to jego prawdziwa postać, to moi potomkowie nie wyrodzili się w superintelektualnych cherlaków.

Nadal prowadził. Odległość powiększała się coraz bardziej, a ołów z nóg spływał rozpalonymi kroplami na drogę. Gdy upadnie ostatnia kropla, upadnę i ja. Bo jedyne, co jeszcze trzyma mnie na nogach, to zmęczenie...

Postacie pod białą ścianą rozstały się i zobaczyłem Klena – Aler-Ila z planety Kleń. Jego kombinezon bojowy pokrywały czarne plamy spalenizny, w kilku miejscach widać były otwory na wylot. Twarz przypominała krwawą miazgę ze strzępami mięśni. Jedno oko wypłynęło, drugie

zalał szary „przylepiec”. Więc najpierw próbowali wziąć go żywcem? Przykleić do ściany korytarza twardej błyskawicznie plastikiem?... Idiotyczny pomysł. Klenijczycy nie idą do niewoli.

Witam, kapitanie – powiedziały nieruchome wargi Alera-Ila.

Witaj, taktyku, powiedziałem w myślach. Pozwól, że będę nazywał cię Kleń, przywykłem do tego imienia.

Zmasakrowana twarz zaprezentowała uśmiech.

Oczywiście, kapitanie.

Dobrze walczyłeś, Kleń.

Nie kapitanie. Źle walczyłem. Nie zdołałem przedrzeć się do arsenału i aktywizować bomby kwarkowej. Będzie pan musiał walczyć o Ziemię beze mnie.

Zdobyłeś przebaczenie dla swojej rodziny, Kleń?

Okaleczona postać zaczęła się rozpląwać.

Nie wiem, kapitanie. O tym zadecyduje rada rodzin. Taką mam nadzieję... Zginąłem w walce... Niech pan zniszczy raidera, kapitanie. Umie pan kochać swoją planetę. Niech ją pan uratuje. Ale w tym celu musi pan dobiec pierwszy. Niech pan biegnie. To świat iluzji, kapitanie. To impulsy elektroniczne w logicznych układach komputera. Jeśli Świątynia pozwala panu nas widzieć, to znaczy, że już pana uznała. Niech pan biegnie. Niech pan nie myśli o zmęczeniu, niech pan biegnie...

Nabrałem rozpędu. Nie było już betonowej ścieżki i białej ściany na końcu. Była tylko szybkość i krzyk, chyba Dańki: „Siergiej!” A potem wilgotna mgła i bezcielesny głos:

Mentalny pojedynek zakończono. Przejawił pan większą wiarę w cel i większą stanowczość w pokonywaniu przeszkód. Otrzymuje pan prawo do sterowania zachowaniem Świątyń w granicach zadania podstawowego.

A więc znowu znaleźliśmy się w punkcie podejmowania decyzji. Stół był tak samo elegancko nakryty. Jedyna różnica, że Maestro siedział nienaturalnie wyprostowany, absolutnie nieruchomy, jakby zamrożony w bryle lodu. W jakimś sensie tak właśnie było.

Pański oponent został temporalnie zakapsułowany – poinformowała uprzejmie Świątynia. – *Proszę wyznaczyć czas kapsulacji.*

– Dwie sekundy – burknąłem.

Maestro poruszył się i poprawił okulary.

– O dziwo, Siergiej, wygrał pan w naszym małej sporze – westchnął. – Jakby dźgnęła pana ostrogą jakaś siła... Tuż przed metą.

– Mam wielu przyjaciół, Maestro, którzy bardzo pragnęli mojego zwycięstwa. A pan był sam... z całą swoją wiedzą o logice Świątyń. Pan walczył o swoją hipotezę naukową, a ja o naszą planetę.

– Ona i tak jest bezpieczna – powiedział ze znużeniem Maestro.

– Nie byłbym tego taki pewien! Świątynio, gdzie teraz znajduje się „Biały Raider”?

Oddala się od planety Ziemia z maksymalną prędkością. W chwili obecnej...

– Gdzie przeprowadzono lądowanie?! – wrzasnąłem. – Jest pan głupcem, Maestro Staś! Raider zostawił na Ziemi bombę kwarkową!

Statek zwany „Białym Raiderem „dokonał lądowania w trybie elektronicznej niewidzialności na przedgórzu Tien-Szanu. Współrzędne lądowania...

– Statek, Świątynio! Natychmiast statek! Muszę znaleźć się ze swoją załogą na Ziemi w rejonie lądowania „Białego Raidera”.

Co zrobić z...

– Zakapsułować aż do odwołania!

Uchylone wargi Maestra zastygły jak skamieniałe.

Wilgotne objęcia pól siłowych przeciągnęły mnie przez ściany Świątyni. Ale już się nie bałem tych lekkich muśnięć. To były maszyny mojej rasy, ziemskie automaty.

A walka, do której stanę, jest prowadzona także w ich imieniu. W imieniu tysięcy Świątyń, które zrodziły życie we wszechświecie. W imieniu Klena, Lansa, Ernada... i księżniczki.

W imię Ziemi.

5. Miłość i śmierć

Statek Siewców przypominał galaktyczne jednostki w tym samym stopniu, co kamienne topory neandertalczyków płaszczyznowe miecze. Wisieliśmy w migoczącym błękitnym obłoku nieskończenie daleko i nieprawdopodobnie blisko siebie. Ja, Dańka, Redrak, Ernado, Lans... Nie było foteli ani pulpitów.

Tylko świetlista chmura przypominająca iluzoryczną rzeczywistość mentalnego pojedynku.

Masz rację, Siergiej – słowa wpływały do świadomości jak czuły szept. Czyj? Statku? Świątyni? – Znajdujecie się w module pasażerskim standardowego statku Świątyni typu Goniec. Blok mentalnego przyjmowania i przekazywania informacji pozwala na pilotowanie z maksymalną efektywnością przy minimalnych stratach przestrzeni. Mostek sterowania może być...

Nie zdążyłem niczego zażądać. Zdążyłem tylko zrozumieć sens słowa.

Mgła pociemniała i rozplynęła się, zmieniając w ściany mostka bojowego „Terry”. Wokół, na swoich zwykłych miejscach stały fotele załogi. Ernado i Lans rozglądali się nerwowo, Redrak wczepił dłonie w podłokietniki. Zobaczył mnie i zapytał ochryple:

– Co się dzieje, Serge?

– A ja wszystko słyszałem! – wrzasnął radośnie Dańka. – I zrozumiałem!

Szybko się o tym przekonaliśmy.

Sztorm rozszalał się nie na żarty i statkiem rzucało z burty na burtę. Zza szarej zasłony chmur próbowało wyrzeć małe żółte słońce – słońce Ziemi. Strugi spienionej wody zalewały drewniany pokład. Chcąc utrzymać równowagę, chwyciłem ogromny rzeźbiony ster, przed którym w miedzianym naczyniu kołysała się strzałka. Po pokładzie kuśtykał Redrak w pstrokatym stroju pirata, z niezginającą się drewnianą nogą. Za pasem miał starodawny pistolet z długą, półmetrową lufą.

– Dańka! – wrzasnąłem.

– Jestem, kapitanie! – chłopiec wyskoczył zza moich pleców w nieprawdopodobnie egzotycznym, skórzano-dżinsowo-aksamitnym stroju. Za pasem miał co najmniej pół tuzina pistoletów i noży. Najwyraźniej jego zdaniem tak ubierali się jungowie na korsarskich fregatach.

– Przestań – zakomenderowałem, skoncentrowany. – Naczytałeś się Sabatiniego i Juliusza Verne’a? Nie mamy czasu na zabawy!

Iluzoryczny ocean i statek znikły, rozplynęły się jak błękitna mgiełka. Z Dańki warstwami opadała piracka skóra, został tylko kombinezon. Wisząc tuż przed moją twarzą, chłopiec powiedział urażony:

– Ale przecież tak byłoby ciekawiej! Wprowadzać i przekazywać dane możemy w dowolny sposób.

Może Maestro miał rację co do Dańki? Westchnąłem, z przerażeniem wyobrażając sobie jeszcze jeden mentalny pojedynek.

– Dańka, będzie tak, jak postanowię. Jasne?

Skinął głową.

– Mostek „Terry”! – zakomenderowałem i znalazłem się w fotelu dowódcy, na mostku statku, który już dawno stał się złomem.

Oszołomiony Redrak pokręcił głową. Twarz miał nadal mokrą, a na szyi kolorową piracką chustkę. Pochylił się, podejrzliwie obejrzał swoją nogę i zapytał:

– Kapitanie, jaki jest następny punkt programu? Konno przez kosmos?

– Wszystko w porządku – starałem się mówić pewnym głosem. – To statek Siewców... i słucha tylko mnie. Ale trzeba do niego przywyknąć. Lecimy z maksymalną prędkością?

– Na ekranach wylażą jakieś brednie – oznajmił stropiony Ernado. – Wszystkie wskaźniki...

Zagłuszając jego słowa, w mojej głowie zadźwięczał głos, który słyszałem tylko ja... i pewnie jeszcze Dańka.

Siewco, idziemy z maksymalną prędkością. Skanowanie informacji prowadzone jest w pańskiej pamięci. Cel lotu: Ziemia, miejsce lądowania „Białego Raidera „. Informuję, że pojawienie się statku w przeszłości Ziemi dopuszczalne jest wyłącznie w wyjątkowych wypadkach...

To, co się dzieje, nie jest wyjątkowe? – zapytałem w myślach.

Motywacja była przekonująca, w przeciwnym razie odmówiono by posłuszeństwa.

No tak. Statki Siewców, podobnie jak ich broń, miały charakterek...

Musimy znaleźć się na Ziemi przed „Białym Raiderem”.

To niemożliwe.

Nie kontrolując się, zacząłem mówić głośno. Cała załoga wytrzeszczała teraz oczy na swojego kapitana Siewcę, spierającego się z pustką...

– Dlaczego? Przecież możesz przemieszczać się w czasie! Posłuchaj! Ziemi grozi niebezpieczeństwo! Musisz przechwycić raidera, zanim wyląduje na planecie!

Siewco... – Albo mi się zdawało, albo w sztucznym głosie statku zabrzmiała smutna dobroć Maestra. Obca, wroga mądrość. – Są prawa, których nie można zmienić. Jest główny strumień czasu, ten, który doprowadził do stworzenia Świątyń, generatorów całej współczesnej cywilizacji. W tym strumieniu temporalne zmiany są niemożliwe... Są też poboczne linie, w których lord z planety Ziemia wygrywa i przegrywa pojedynki, żeni się z księżniczką albo zabija jej rodziców. W tych strumieniach czasu zmiany są dopuszczalne... w określonych granicach.

– Więc raider wyląduje na Ziemi?

Już wylądował i wystartował, wykorzystując tryb niewidzialności. Statek nie został zdemaskowany. Reakcja rozpadu kwarków na miejscu lądowania nie jest obserwowana.

– To jeszcze o niczym nie świadczy! Sekciarze mogli zostawić bombę z opóźnionym zapłonem... albo zdalnie sterowaną! Szybciej!

Idziemy przez bezpośredni hiperprzestrzenny tunel, Siewco. Do stworzenia i utrzymania go wykorzystywana jest cała energia Świątyni tego sektora. Szybsze przemieszczanie jest niemożliwe. Na miejscu, z którego wystartował raider, będziemy za siedem minut.

Po skórze przebiegł mi dreszcz. Za siedem minut wrócę na rodzinną planetę. Na Ziemię.

Wrócę, żeby uratować swój świat albo umrzeć wraz z nim. Maestro może być przekonany o nieszkodliwości sekciarzy i o dokonaniu się przeszłości. Ale ja wcale tak nie uważam.

Siewcy nie byli wszechpotężnymi czarodziejami z dziecięcej bajki. Bardziej przypominali Czarnoksiężnika z krainy Oz – zręcznego kuglarza, który oszukiwał cały świat.

Ale ja nie miałem ani zielonych, ani różowych okularów.

Jeśli przyszłość zmienia swoją przeszłość, to dlaczego przeszłość nie miałaby zająć się teraźniejszością?

– Uwaga, zaraz znajdziemy się na Ziemi – powiedziałem głośno. – Na planecie Siewców... myślę, że wszyscy już to zrozumieliście. Raiderowi jednak udało się na niej wylądować, a teraz my będziemy musieli odwalić robotę śmieciarzy.

– Unieszkodliwić bombę kwarkową? – zapytał cicho Ernado.

Skinąłem głową.

– To niemożliwe... Chyba że pomoże nam twój statek. Może umie powstrzymać rozpad kwarków?

Nie – odezwał się obojętny, spokojny głos w mojej głowie. – *Subatomowe procesy rozpadu są nieodwracalne. Można by wykorzystać skok temporalny ale na Ziemi jest to zabronione.*

Wielkie dzięki, pomyślałem ze złością.

Bardzo proszę, Siewco. Do lądowania na Ziemi pozostały trzy minuty. Hiperprzejście zakończy się wyjściem w atmosferze. Przewidywana odległość od gruntu – dwa metry. Zalecane jest opadanie grawitacyjne przy nieprzerwanym myślowym połączeniu.

Zapewnij maksymalną bliskość do miejsca, z którego startował raider.

Dobrze, Siewco. Wszyscy członkowie załogi otrzymają kombinezony chroniące przed promieniowaniem.

Staliśmy po kolana w śniegu. Brudnym, topniejącym śniegu górskiego zbocza zwróconego ku północy...

Zupełnie zapomniałem, jak wygląda wiosna na Ziemi.

Słońce lekko przygrzewało z bladego nieba utkanego rzadkimi pasmami obłoków. Na przeciwległym, południowym stoku śnieg stopniał całkowicie, widać było mieszaninę czarnego błota i żółto-szarej zeszłorocznej trawy.

A pośrodku, w dolinie między wzgórzami, ciemniała równa, sucha, jakby wyprasowana plama ziemi. Jasnej, gliniastej, dobrze znanej tylko rzadko tu bywającym pastuchom i jeszcze rzadszym turystom przedgórzy Tien-Szanu. Na tym suchym placyku otwarcie, bez żadnego maskowania stał półprzezroczysty, dwumetrowy sześcian. Płatanina rurek, kulek, cylindrów, kabli wciśnięta w korpus z mętnego plastiku.

Bomba kwarkowa.

Szczerze mówiąc, trudno było nazwać ją bombą. Prawdziwe wojskowe bomby mają systemy ochrony i naprowadzania, silniki i termoizolację... To miniaturowe statki kosmiczne jednorazowego użytku. A to, co stało przed nami, wyglądało obco na błotnistym stoku góry, było tylko miną.

Co wcale nie ułatwiało nam zadania.

Bomba kwarkowa wybucha w momencie, gdy składa się ją w laboratorium. Cała reszta jej istnienia to spowolnienie nieuchronnego procesu rozpadu kwarków, sprowadzenie lawinowej autodestrukcji atomów do powolnego, rytmicznego, stopniowego niszczenia dziesięciu gramów miedzianego pyłu – najlepszego aktywatora eksplozji. Jeśli na przykład strzeli się do bomby, niszcząc jej mechanizm, to nieodwracalny proces subatomowego rozpadu nastąpi od razu. Jedyne sposoby pozbycia się bomby kwarkowej to wyrzucenie jej w próżnię, w odległości dwóch czy trzech lat świetlnych od najbliższej gwiazdy, planety czy mgławicy. Rozpad kwarków teoretycznie może przerzucać się z planety na planetę wraz z maleńkimi meteoritami, cząstkami pyłu czy molekułami jonizowanego gazu...

Odwrociłem się instynktownie, jakby spodziewając się wsparcia. Za mną stali moi przyjaciele. Każdy z nich był opasany giętką metalową taśmą emitującą słabe światło. Obiecany kombinezon ochronny Siewców?

A nad nami, śmiesznie podobny do latającego talerza, wisiał standardowy świątynny statek typu Goniec. Dwie złożone miski o średnicy dwudziestu metrów. Maszyna zdolna pokonać miliony lat świetlnych, sterować polem temporalnym, walczyć z armadami gwiazdolotów...

To twój prawdziwy wygląd?

Tak. Jest bardzo funkcjonalny. Przyjąć inny?

Nie trzeba. To właśnie jest bomba?

Tak. Ma włączony mechanizm aktywacji. Rozpad rozpocznie się za piętnaście minut i trzydzieści dwie sekundy ziemskiego czasu.

Co możesz zrobić? Mam na myśli zniszczenie bomby.

Zadanie przyjęte. Wykonanie niemożliwe.

Wyjaśnij.

Technicy, którzy stworzyli to urządzenie, przewidzieli wszelkie możliwości ingerencji. Przy dowolnej próbie zewnętrznej ingerencji systemu ochronne dokonają natychmiastowej aktywacji

rozpadu kwarków. Detektory rejestrują całkowitą gotowość urządzenia do aktywacji.

A ingerencja temporalna? Zniszczenie bomby w przeszłości?

Ingerencja w granicach Ziemi i głównego strumienia historii jest zabroniona. Temporalny generator zablokowany. Przykro mi.

Te całkiem ludzkie przeprosiny zbiły mnie z pantałyku. Nie mogłem liczyć na pomoc statku Siewców. A na pomoc „Białego Raidera”?

Twórcy bomby powinni byli przewidzieć zabezpieczenia, które nawet teraz mogłyby powstrzymać wybuch.

Gdyby udowodnić im, że Ziemia to planeta Siewców... Ojczyzna ich bogów... Ale czy można udowodnić chrześcijaninowi, że szatan to tylko jeszcze jedno oblicze Boga? Czwarty członek Trójcy? Czy można w ciągu dziesięciu minut przekonać fanatyków, bez wahania oddających życie za swoją wiarę?

Nie. Nigdy. Wiary nie można złamać faktami.

Podniosłem rękę, jakby osłaniając się od przezroczyściego sześcianu bomby kwarkowej, jakbym tym gestem próbował wymazać ją z rzeczywistości... i zobaczyłem na swoim palcu pierścien. Złoty pierścienek z kryształem, nośnikiem energii. Hipertunel, który zawsze jest ze mną. Zaręczynowy pierścienek księżniczki. Twór mistrzów, którzy pragnęli zaćmić samych Siewców.

A przecież ten hipertunel może działać w obie strony...

Poszukałem wzrokiem czegoś twardego. Blastera, miecza, pasa ochronnego... nachyliłem się i podniosłem mały, ubłocony kamyczek. Odłamek starożytnego granitu, który za kilka minut przemieni się w kwarkowy pył.

Możesz zapewnić łączność z mostkiem raidera? – zapytałem statek.

Tak. Z kim konkretnie? Na mostku jest dwadzieścia osiem osób, z których...

Puść na ich ekrany nasz obraz i...

Przepraszam, Siewco, ale oni już mają ten obraz na swoich ekranach. W, urządzeniach do rozpadu kwarków znajdują się kamery i hipernadajnik.

Proszę bardzo. Ale ze mnie idiota. Mogłem się tego domyślić.

Jaka jest reakcja imperatorowej i imperatora planety Tar na nasze pojawienie się?

Są zadowoleni i zdumieni. Niepokoi ich fakt mojej obecności. Odpowiadam standardowym wyobrażeniom o statkach Siewców.

Przygotuj obraz mostku raidera.

Zamachnąłem się i uderzyłem kamieniem we własną pięść. W złoty pierścienek zaręczynowy. W diament, zawierający w sobie energię megatonowych bomb jądrowych.

Kryształ zapłonął niczym drobinka magnezji. Jaskrawobiałe światło zmuszało do odwrócenia wzroku.

– Można cię pokochać? – zapytałem cicho.

Dźwięki znikły. Kroki Dańki, drepczącego wokół latającego talerza, cicha rozmowa Lansa i Ernada. Jakby przykryto mnie kopułą. – To ty... księżę?

– Tak, księżniczko. Czy można cię kochać?

Cisza. Co się teraz dzieje na twojej planecie, na Tarze? Czy jest dzień, czy noc? Co robiłaś? Przymierzałaś nową sukienkę czy rozstrzygałaś kwestie międzyplanetarnego handlu? Jesteś sama czy z przyjaciółką, z tłumem doradców i ochrony... a może z przyjacielem? Nie będę zadawał osobistych pytań. Tylko jedno. Czy można cię kochać? Czy jeszcze pamiętasz swojego przypadkowego wybawcę i oficjalnego męża?

– Tak, Siergiej. Chyba można.

– Myślałaś o mnie?

Słaby śmiech i pytanie:

– Przecież dowiedziałeś się o meldunkach Lansa... prawda?

– Zapewne dostajesz wiele meldunków.

– Te czytałam, Siergiej.

– Przyjdiesz, jeśli poproszę?

Znowu przerwa. Chyba się zdziwiła. – A może na odwrót?

– Nie, księżniczko. Nie wybieram się teraz na Tara. – Znalazłeś swoją planetę, Siergiej? Ziemię? Coś w jej głosie ścisnęło mnie za serce. Dziwne, nadal cieszą mnie pewne intonacje...

– Tak, księżniczko. Wzywam cię na Ziemię. Na planetę, która zginie za kilka minut. Dwadzieścia metrów ode mnie stoi bomba kwarkowa z wyłączonymi spowalniaczami.

– Zwariowałeś, Siergiej! Masz statek?

– Tak.

– Startuj, próbuj uciec! Natychmiast!

– To mój świat, księżniczko. Przyjdiesz?

Znowu cisza. Błada twarz Lansa stojącego dwa metry ode mnie.

– Chcesz, żebym zobaczyła twój świat, Siergiej? Żebym jeszcze zdążyła?

– To też.

Lans skoczył ku mnie i odbił się, odrzucony niewidoczną siłą. Krzyknął:

– Nie trzeba, nie ważcie się! Księżniczko!

Usłyszałem jej głos.

– Rozbij kamień w pierścieniu. Przyjdę. Spróbuj mnie znaleźć... wezmę urządzenie dalekiej łączności. Planety nie giną od razu. Nawet od bomby kwarkowej.

Pokaż mostek raidera, zakomenderowałem bezgłośnie i zobaczyłem, jak na zboczach, za sześcianem bomby, pojawia się ogromny ekran. Jak w kinie.

Przestronna hala przypominająca fabrykę elektroniczną po pożarze... albo po wizycie

Klenijczyka samobójcy. Nanizane na żywą nitkę pulpity, ludzie siedzący w fotelach i stojący wokół. Imperatorowa. Imperator. Garstka Palijczyków.

– Księżniczko, nie wzywam cię, żebyś umarła z moim światem albo zobaczyła jego śmierć.

Bomba kwarkowa została tu umieszczona przez sekciarzy...

– Lans wspominał o tym.

– Ale wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że na czele sekty stoi imperator i imperatorowa Tara. Twój rodzice, księżniczko.

Ktoś z siedzących na mostku raidera pochylił się nad pulpitem i w półprzezroczystym sześcianie otworzył się wąski otwór. W moją stronę pomknął cienki biały promień.

Pięć metrów od nas bezsilnie zgasł w powietrzu.

Samodzielnie podjąłem środki ochrony. Siewco, do aktywacji bomby kwarkowej pozostało trzy i pół minuty. Przypominam, że ma pan obowiązek uratować Ziemię. W jej historii nie było kwarkowych eksplozji...

Omam nie wybuchnąłem histerycznym śmiechem. Słowa księżniczki, twarde jak stal, pomogły mi odzyskać równowagę.

– Książę, jesteś pewien tego, co mówisz?

– Tak. Jeśli znajdziesz się na Ziemi, oni powinni... mogą powstrzymać.

– Rozbij kryształ!

Znowu uderzyłem podniesionym z ziemi kamieniem w pierścień. Kryształ zapłonął bielą i pokrył się pajęczyną pęknięć. Tęczowa fala przebiegła przez pierścionek – i znikła w głębi metalu.

– Nie!!! – to krzyczała imperatorowa, starsza kobieta na mostku „Białego Raidera”, niepodważająca, że każde jej słowo i gest dostępne są wrogom.

Obok mnie rozbłysło tęczowe lśnienie. W powietrzu zawirowała kolorowa mgła, ledwie odczuwalnie powiało chłodem.

Samodzielnie podjąłem decyzję o korekcie punktu wyjścia z hipertunelu – oznajmił uprzejmie statek. – Dodatkowa ingerencja psychiczna...

Kolorowa mgła znikła. A wraz z nią – wrażenie kopuły osłaniającej mnie w czasie rozmowy przez pierścień.

Przedemną stała księżniczka.

Była niemal naga, ale wydawało się to absolutnie naturalne. Krótka złocista tunika nie ustępowała pod względem prostoty starogreckim strojom. Bose nogi. Księżniczka skrzywiła się, czując dotyk zimnego śniegu. Dobrze, że narkotyczny efekt hipertunelu nie pozwolił jej odczuć chłodu w całej pełni...

Księżniczka patrzyła mi w oczy, najpierw jakby nie widząc, w rozszerzonych źrenicach były jeszcze odbłyski innego świata. Potem już normalnie, serdecznie, nieco przekornie. Tak patrzy

się na dobrego, choć pechowego przyjaciela.

– Witaj, Siergiej.

– Dzień dobry, księżniczko – odpowiedziałem automatycznie. Potrząsnęła głową – mokre włosy zakołysały się ciężką ciemną falą.

– Bardzo dobrze trafiłeś, właśnie wyszłam z wanny...

Kiedy indziej ten zbieg okoliczności wywołałby uśmiech. Albo czujność.

– Księżniczko – pospiesznie, jękając się, powiedział Lans. – Proszę stanąć na tym...

Rzucił księżniczce pod nogi swoją kurtkę. Dziewczyna skinęła głową niedbale, jak dziękuje się za skasowany w autobusie bilet, i stanęła na czystym materiale, po czym odwróciła się i zamarła, patrząc na ekran.

Do rozpoczęcia rozpadu kwarków pozostała jedna minuta – oznajmił statek z usługą dobrze wychowanego idioty. – Siewco, jest pan zobowiązany nie dopuścić do zakłócenia biegu historii Ziemi.

Księżniczka podniosła rękę w powitalnym geście, a może po prostu chcąc zwrócić na siebie uwagę rodziców. Jakby ktokolwiek mógł jej nie zauważyć...

– Witajcie! Mamo, wcale się nie zmieniłaś...

Dopiero teraz na mostku raidera zrozumieli, że są obserwowani.

Imperatorowa wstała z fotela. Zauważyłem, jak od razu stali się czujni ludzie wokół niej.

– Terry, córeczko... ty... wy musicie natychmiast opuścić planetę. Jest skazana na zagładę. Wykorzystajcie statek, bez względu na to, czym on jest.

– Nie, mamo – odpowiedziała niemal wesoło księżniczka. – To przecież także moja planeta. Planeta mojego męża.

Nie poczułem najmniejszego zdumienia, słysząc imię księżniczki. Nie dlatego że pozostał we mnie już tylko strach, szalony strach o siebie, księżniczkę, Ziemię, swoją załogę... Po prostu zbiegi okoliczności i przypadki plotły swoją koronkową sieć, niedostępną nawet Siewcom. Terry – Terra. Ziemia.

– Nie można powstrzymać wybuchu, kochanie – tak samo spokojnie i twardo odpowiedziała imperatorowa. – Zostały sekundy...

– Mamo! – głos księżniczki przeszedł w krzyk i wyczułem, że dziewczyna jest na krawędzi hysterii. – Nigdy w życiu nie zrobiłaś niczego nieodwracalnego! Zbyt dobrze cię znam, mamo! Możesz powstrzymać wybuch!

– Nie!

– W takim razie zabijesz nas – powiedziała cicho księżniczka i powoli osunęła się na ziemię. Lans rzucił się do niej, ale byłem pierwszy i ramieniem odsunąłem kadeta. Chwyciłem księżniczkę na rękę i poczułem chłód skóry. Zajrzałem jej w oczy.

Były otwarte. Wcale nie straciła świadomości.

– Nie boję się... ale to zbyt gwałtowne – wyszeptała.

Podniosłem głowę i popatrzyłem na bombę kwarkową. Czy zdążę uchwycić moment, w którym świat zacznie się rozpadać na popiół? Poczuję coś?

– Powstrzymać rozpad! – krzyknęła imperatorowa. I w tym momencie na mostku raidera rozpętało się piekło.

6. Nieuchronność

Prawdopodobnie większość załogi raidera stanowili sekciarze podporządkowani tylko jednej idei – zniszczyć Ziemię. Ale imperatorowa rzeczywiście nie robiła rzeczy nieodwracalnych, a wśród zebranych na mostku byli ludzie oddani jej bez reszty. I ten z nich, który kontrolował bombę kwarkową, wykonał rozkaz.

Widziałem, jak to się stało. Ascetyczny, niepozorny mężczyzna, siedzący z boku głównych pulpity, drgnął, jakby dostał hipnotyczny rozkaz. Możliwe, że tak właśnie było. Szybkim ruchem przyłożył prawą dłoń do białego detektorowego panelu na pulpicie i natychmiast przewrócił się na bok, a ja nawet nie wiedziałem, kto do niego strzelił.

Mechanizm bomby kwarkowej otrzymał hiperprzestrzenny sygnał – poinformował mnie statek. – Sygnał jest chaotyczny, niemodulowany, nie poddaje się analizie strukturalnej. Prawdopodobnie kodem kontrolnym powstrzymania bomby był wzór linii papilarnych prawej ręki zabitego sekciarza.

Chwila przerwy i na ekranie, niczym w filmie gangsterskim, rozpoczęła się strzelanina. Lasery, pistolety dyskowe... jakiś fanatyk zdjął z ramienia ciężki polowy dezintegrator i natychmiast upadł, przeszyty serią płaszczyznowych dysków. Potem wybuchy ustały; widać na mostku włączono pole neutralizujące.

Bomba kwarkową została powstrzymana. Wyłączono mechanizmy ochronne, przystępuję do tworzenia lokalnego hipertunelu... – sucho, jakby z obowiązku oznajmił statek i dodał: – Do rozpoczęcia procesu rozpadu kwarków zostało dwie i pół sekundy.

Zrozumiałem, że za parę sekund wypchany śmiertelnościami mechanizmami sześcian na zawsze zniknie z Ziemi. Zatrzymany, z wyłączonymi bezpiecznikami, może łatwo zostać zniszczony przez statek Siewców. Wyrzuci się go przez hipertunel gdzieś w pustym sektorze kosmosu, a może na jakąś niezamieszkaną planetę, którą wkrótce odwiedzi ekspedycja jednej z galaktycznych cywilizacji. Ludzie znajdą w niezbadanym rejonie strefę atomowego pyłu – wyraźny ślad użycia bomby kwarkowej – i upewnią się, że walczyli tu Siewcy. Mit trzeba podtrzymywać. Zawsze dobrze jest upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Dziękuję za radę, Siewco – powiedział uprzejmie statek. – Bomba zostanie wykorzystana do stworzenia legendy o bitwie Siewców w rejonie pulsara R-23.

Kanał myślowego połączenia działał bez zarzutu, nawet lepiej niżbym sobie życzył. Teraz Siewcy wykorzystają mój pomysł...

Do diabła, jacy Siewcy? Sam jestem Siewcą! Ziemianie, którzy urzeczywistnili gigantyczny plan kolonizacji przeszłości, to moi potomkowie. Sami bliżsi krwią, duchem, pochodzeniem niż

wszystkie galaktyczne cywilizacje razem wzięte! Dlaczego z takim uporem odzegnuję się od nich?

Może dlatego, że na powietrznym ekranie właśnie kończy się krwawa rzeź. I fakt, że zabijają się tam moi wrogowie, wcale nie uwalnia mnie od wyrzutów sumienia.

Księżniczka wysunęła się z moich objęć i ciasno przytulona do ramienia patrzyła na ekran, na którym pod ciosami płaszczyznowych mieczy padali ostatni fanatycy. Załoga jej rodziców zwyciężała. Imperator i imperatorowa byli ochraniani przez dwóch barczystych, cytrynowożółtych Palijczyków. Kilku sekciarzy – ludzi i Palijczyków – zaganiało w kącie „ortodoksów”. Jeden z nich, ochryple wykrzykując jakieś przekleństwa, zawołał nagle:

– Ostatnie słowo, bracia!

Napastnicy zamarli. Imperatorowa powoli, jakby wbrew sobie, skinęła głową.

– Nie zniszczyliśmy przeklętej planety przez rozkaz swojej władczyni. Zapomnieliśmy, że jej władza to tylko cień władzy Siewców. Ona znajdzie usprawiedliwienie, a wy jej uwierzycie. Ale wszystkiemu winna jej córka i przybysz z przeklętej planety. Przepowiednia mówiła o Wielkim Pokuszeniu, i właśnie się dokonało. Okazaliśmy się niegodni. Od tej chwili świat jest skazany...

W tym momencie krótkim, niemal niewidocznym ruchem płaszczyznowego miecza odciął sobie głowę. Po chwili to samo zrobił jego towarzysz. Poczulem mdłości. Mimo wszystko harakiri jest bardziej eleganckie.

Imperatorowa zmęczonym wzrokiem patrzyła z ekranu.

– Nadal nas obserwujecie. – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. – My już was nie widzimy...

Zerknąłem na zbocze... bomba znikła. Statek Siewców dokonał przerzutu przez hipertunel tak szybko, że nawet nie zauważyłem.

Przywróć im obraz na ekrany.

Dobrze, Siewco. Jak postąpić z „Białym Raiderem „? Są na orbicie Plutona. Można go zniszczyć bardzo czysto.

Nie waż się. Możesz sprawić... żeby wrócili na Ziemię?

Cały statek?

I Tak. Albo cała załoga.

Lokalny hiper tunel... na granicy mocy... Statek Siewców chyba był skonfundowany. W operacji należałoby wykorzystać statek typu bojowego...

Możesz?

Na granicy możliwości. Główna trudność polega na zapewnieniu niewidzialności. Nad tym rejonem przelatuje jednocześnie około sześciu satelitów. Ustawienie pola elektronicznego...

Możesz?

Wykorzystując wszystkie rezerwy. Czy to konieczne, Siewco?

Tak. Żeby nie powtórzyło się dzisiejsze zagrożenie.

Umotywowane. Lądowanie raidera nastąpi za dwie i pół minuty. Wyjaśnij im bezsens stawiania oporu.

Dobrze. Działaj...

Popatrzyłem na ogromny ekran, który zaczął się zmniejszać i mętnieć. Goniec rzeczywiście wykorzystywał wszystkie rezerwy.

– Widzimy was. Rozkażcie wyłączyć silniki swojego statku i uruchomić systemy lądowania. Za dwie minuty Raider znajdzie się na Ziemi.

Na coraz słabiej widocznych twarzach zobaczyłem nieufność. – To technicznie niemożliwe... do Ziemi... – usłyszałem.

– Statek Siewców przerzuci was przez hipertunel – przerwałem. – Dla niego niewiele jest rzeczy niemożliwych.

Ekran znikł i nie usłyszałem odpowiedzi.

Ciekawe, dlaczego właściwie zażądałem ściągnięcia tu raidera? Udowodnić sekciarzom, że omal nie zniszczyli planety swoich bogów, mogłem w inny sposób. Po co zbędne komplikacje, kiedy mogłem triumfalnie wkroczyć na mostek raidera połączonego z malutkim statkiem Siewców?

Dziwny chłód przebiegł po moim ciele. Dzika, niestosowna myśl...

To, co zrobiłem, zostało przewidziane. I było nieuchronne. Posługując się terminologią Siewców, trafiłem do głównego strumienia historii i znowu stałem się marionetką, która mogła robić tylko to, na co pozwalały sprężyste sznurki... Skąd to uczucie? Nie wiem. Gdy po użyciu temporalnego granatu niosło mnie strumieniem wydarzeń, które już miały miejsce, odczuwałem to jako zasłonę – mocną, krępującą ruchy, ale taką, którą można pokonać. Mogłem rozegrać wydarzenia inaczej. Za to teraz ogarnęło mnie dziwne i straszne uczucie nieuchronności. Musiałem dostarczyć księżniczkę na Ziemię, żeby powstrzymać sekciarzy. Musiałem ściągnąć „Białego Raidera” na Ziemię, żeby... Do diabła, przecież mogę odwołać rozkaz!

Stworzono lokalny hipertunel. Raider jest transportowany w stronę Ziemi. Wylączęm się tymczasowo – dotarło do mnie w świadomości.

Nieuchronność? Ale jaka? Nieuchronność czego?

Popatrzyłem na księżniczkę i powiedziałem cicho:

– Masz bardzo ładne imię. Nie będę wymyślał ci innego, Terry...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Zgodnie z naszymi zwyczajami oznacza to, że dajesz mi pełną swobodę czynów. Aż do...

Zamilkła i zaraz twardo dokończyła:

– Postaram się tego nie nadużywać, ale sam wiesz, jaki mam okropny charakter...

Skinąłem głową. Więc naprawdę chcesz być moją, księżniczko? Jeszcze nie wiedząc, kim

jestem i dlaczego słucha mnie ten dziwny statek wiszący nad stopniałym śniegiem?

Przyjaciele stali z boku. Wszyscy razem, w milczeniu, o nic nie pytając, niczego nie proponując. Wydarzenia przytłoczyły ich, pogodzili się z rolą statystów.

Wszyscy prócz Dańki.

– Więc to pani jest księżniczką z planety Tar? – zapytał bezceremonialnie. – To jak, Siergiej udowodnił pani wszystko co trzeba, czy jeszcze nie?

Terry roześmiała się.

– Co niby miał mi udowodnić? Ty jesteś, Dańka, prawda? Lans opisał cię bardzo dokładnie.

Dańka poczerwieniał i cofnął się o krok.

– Witam na Ziemi, księżniczko – powiedział Ernado dziwnie uroczystym tonem. – Cieszę się, że mogę cię widzieć szczęśliwą i triumfującą...

– Daj spokój. – Księżniczka nie miała zamiaru wysłuchiwać długiego, ceremonialnego powitania. – Ja też cieszę się, że cię widzę Ernado. I ciebie, Lans. Twoje meldunki bardzo mi pomogły... Siergiej, mam nadzieję, że Lansowi nie za bardzo dostało się za szpiegostwo?

Uśmiechnąłem się.

– Postanowiliśmy nie stosować najwyższego wymiaru kary. Nieuchronność. Główny strumień historii. Znowu jestem w pułapce? Znowu w roli marionetki? Ale czego tym razem spodziewa się po mnie los-reżyser? Co podpowiadają niewidoczni suflerzy-okoliczności? Jak mogę zepsuć swoją rolę? I dlaczego tak bardzo chcę to zrobić?

– A ty oczywiście jesteś Redrak Sholtry, były pirat?

Terry najwyraźniej postanowiła poznać całą moją załogę.

– Tak, księżniczko. Co prawda, obecnie pracuję jako pilot...

u pani męża.

W głosie Redraka dała się słyszeć wyraźna wątpliwość, czy Siewca potrzebuje pilota. Ale księżniczka tego nie zauważyła.

– A gdzie Kleń? Zawsze lubiłam ich planetę...

Zapadła niezręczna cisza. W końcu Ernado powiedział sucho:

– Aler-II z planety Kleń zginął, próbując samotnie zniszczyć „Białego Raidera”.

Terry w milczeniu skinęła głową, przyjmując tę informację do wiadomości. Mimo wszystko była księżniczką. Odwróciła się do mnie i błyskawicznie zmieniając ton, zapytała:

– Siergiej, co zrobimy z sekciarzami? Dostałeś statek Siewców, prawda? A gdybyśmy tak przekonali ich, że Ziemia znajduje się pod szczególną opieką?

– Księżniczko – niezbyt dyplomatycznie, ale z wyraźną radością przerwał jej Dańka – Ziemia to właśnie planeta Siewców! Za sto lat Ziemianie postanowią zasiedlić całą galaktykę ludźmi i zorganizują ekspedycję w przeszłość. Tam wybudują Świątynie, zaludnią wszystkie planety i wymyślą legendy o sobie. I schowają się. Więc wcale nie musimy okłamywać

sekcjarzy. Powiemy im prawdę, a oni się powieszają.

– To prawda, Siergiej?

Wzruszyłem ramionami.

– W ogólnych zarysach... Myślę, że twoi rodzice mogą z czystym sumieniem zostawić sektę.

– Jesteś Siewcą?

– Tak. A raczej ich przodkiem...

Nie zdążyłem wytłumaczyć subtelności drzewa genealogicznego. W niebie nad nami rozległ się głośny trzask i mignęło tęczone światło. Potem niebo poszarzało to goniec ustawił ekran ochronny, by ukryć nas przed amerykańskimi, rosyjskimi, chińskimi i innymi satelitami. A pod szarym jak popiół baldachimem nieba spadał na nas stożek „Białego Raidera”.

Nazwać go teraz białym mógłby tylko optymistą. Gigantyczny kadłub raidera był szaroczarny, zwęglony, poryty wgnieceniami, i dziurami. Tylko miejscami wyzierały resztki białego przeciwlaserowego pancerza, który nadał kiedyś nazwę statkowi.

Raider opadał powoli i niespiesznie, jak listek herbaty w filiżance, jak nasiąknięty deszczem szary liść na jesienną alejkę.

– Nieźle nam to wyszło – powiedział ze zdumieniem Redrak. – Myślałem, że mniej ich uszkodziliśmy... na Wielkich Siewców, i w takim stanie wyruszyli na poszukiwania!

Wyruszyli i znaleźli Ziemię – od pierwszej próby. Los. Nieuchronność, niech ją diabli. Czego chcesz ode mnie teraz?

– Jaki on wielki – powiedział drżącym głosem Dańka. – W razie czego damy mu radę, jak myślisz, Siergiej?

Przysunął się do mnie i złapał za rękę. Tylko z dotyku dłoni dorosłego mógł czerpać siłę, by znowu poczuć pewność, poczuć się człowiekiem, a nie mrówką pod gigantycznym szarym butem.

– Wszystko w porządku, Dańka – zapewniłem – nie bój się. Nasz statek może zmienić tę ruinę w kupę złomu w ciągu pół sekundy. Nie bój się.

– Nie boję się...

Automatyka raidera została ustawiona na lądowanie. Imperatorowa Tara nadal trzymała w rękach wszystkie nici. Z podstawy statku bezgłośnie wysunęły się szerokie podpory – siedem albo osiem. Dysze były zimne, raider opadał podtrzymywany polem siłowym gońca.

Dobrze by było zastosować krótką hipnozę, żeby sekcjarzom łatwiej było przyjąć informację o Ziemi. Jasne?

Odpowiedzi nie było... i nie mogło być.

Wykorzystuję wszystkie rezerwy. Tymczasowo się wyłączam – uprzedził statek.

Cóż, poradzę sobie sam.

Podpory dotknęły ziemi. Tysiąctonowa masa wbiła się w rozmiękły grunt. To nic, pod cienką

warstwą gliny są granitowe płyty...

Poczułem w ręku kamień – ten sam, którym rozbiłem kryształ pierścionka. Skrzywiłem się z irytacją, zamachnąłem się, żeby go wyrzucić... i osłupiałem. Na dłoni mienił się duży, nieoszlifowany, a raczej na wpół oszlifowany diament. Co najmniej dziesięć karatów...

Księżniczka pochwyciła moje spojrzenie i zmarszczyła brwi.

– Rozbiłeś energokryształ tym kamieniem?

– Tak... Ale on wtedy nie był taki... ładny.

– Uboczny efekt hipertunelu. Widocznie nadmiar energii wytlumiono syntezą diamentu.

Zabawne. Hipertunel „wydał mi resztę”.

W podstawie raidera otworzyły się luki i zaczęli z nich wychodzić ludzie, powoli, niepewnie. Niektórzy od razu podnosili ręce do góry albo składali je za głową, inni rzucali na ziemię broń.

– Nie radzę strzelać – powiedziałem ze sztuczną pewnością siebie. – Znajdujecie się pod kontrolą statku Siewców!

W naszą stronę szło powoli, jakby z trudem, troje ludzi – imperatorowa, imperator Relian Tar i smagły mężczyzna w podeszłym wieku, zapewne jeden z przywódców sekty.

Na twarzach Lansy i Ernada pojawił się dziwny wyraz – tak patrzą dobrze wychowane dzieci na rodziców, którzy postąpili niesłusznie, źle... ale nadal są rodzicami.

A Terry patrzyła na imperatorską parę niemal z nienawiścią. Może to taki przywilej księżniczek – nie traktować rodziców jak ojca i matki. Wtedy, gdy to jest potrzebne, oczywiście.

– Tato!

Z jakiegoś powodu zwróciła się właśnie do ojca. Według mnie pierwsze skrzypce w tym dziwnym imperatorskim małżeństwie grała imperatorowa...

Relian Tar podszedł do córki, imperatorowa z przywódcą sekty została z tyłu. W głosie księżniczki brzmiała wściekłość:

– Nie rozumiecie, coście zrobili? Ziemia to planeta Siewców! Uczyłeś mnie, że nigdy...

Wszyscy patrzyliśmy na tę rodzinną kłótnię pomieszaną z dynastycznym konfliktem. To było interesujące widowisko.

Tylko Dańka, który widywał takie awantury na Ziemi, rozglądał się na boki.

...Wielokrotnie później przypominałem sobie tę scenę, raz po raz rekonstruując zdarzenia w pamięci. Wielokrotnie przewijałem nagranie wideo z zewnętrznych detektorów końca.

Chyba naprawdę nie było w tym mojej winy.

Nieuchronność.

Trzeci przywódca sekty, smagły niemłody człowiek pokornie stojący obok imperatorowej nagle drgnął, jakby coś sobie przypomniał i wyszarpnął z za pasa wibronóż. Dźwiękowe detektory wyłowiły jego szept: „Wielkie pokuszenie”...

– Siergiej! – krzyknął Dańka, rzucając się ku mnie.

Nie wierzę, nie chcę wierzyć, że on wiedział, na co się naraża. Chyba po prostu chciał mnie odepchnąć. Tak na jego ukochanych filmach gangsterskich odpychają ludzi z linii strzału dzielni amerykańscy policjanci...

Wibronóż to podła broń. Gdy dotyka ciała ostrze rozsuwa tkanki, rozcina skórę i mięśnie. Gdy nóż wejdzie już po rękojeść, zmienia się amplituda drgań i tkanki wokół klingi przemieniając się w molekularną papkę. Błony komórkowe pękają, rozpadają się łańcuchy DNA...

Nóż trafił Dańkę w głowę. Mnie trafiłby w serce.

Połączenie z powrotem rozciętego mięśnia serca to łatwizna dla medycyny Siewców.

Chłopiec zaczął się przewracać powoli, jak we śnie. Ale nie zdążył dotknąć ziemi swojej ojczystej planety.

Otoczył nas bezgłośny, niesłyszalny huk. Sylwetka raidera zakołysała się, jak gnieciona silną ręką fotografia. Błękitny wybuch pochwyił rzucającego wibronozem sekciarza, który zamarł, zanim zdążył wyciągnąć miecz z pochwy. Goniec przemieścił się bliżej nas i w otwartym na ułamek sekundy luku znikło nieruchome, skamieniałe ciało Dańki. Promień grawitacyjny wessał go do wnętrza statku niczym pyłek.

Próba zabicia Siewcy!

Widziałem, że sekciarze padli na śnieg – i zrozumiałem, że tym razem wewnętrzną mowę statku słyszę nie tylko ja.

Imperatorowa podniosła rękę i zatkała uszy. Nic z tego. Głos pojawiał się w głębi świadomości. Zbyt dużo było w nim technicznej terminologii i zwierzęcego, panicznego strachu, by wątpić w prawdziwość jego słów. Tym bardziej nie mógłby tego zrobić człowiek od lat czczący Siewców i samotna, nieszczęśliwa kobieta, która wymyśliła sobie bogów.

I zobaczyła, jak jej towarzysz i przyjaciel zabija młodego boga.

Próba zabicia Siewcy! Ingerencja w główny strumień historii! – rozległ się bezgłośny krzyk maszyny.

Uspokój się! Czekam na informacje! Jaki jest stopień uszkodzenia?

Zniszczono siedem i pół procent komórek mózgowych strefy skroniowej, ciemieniowej i potylicznej. Uszkodzone zostały struktury podkorowe.

Możesz go wyleczyć?

Ucierpiały komórki odpowiedzialne za pamięć operacyjną i długoterminową. Odtworzenie informacji jest niemożliwe, po zabiegach reanimacyjnych nieunikniona amnezja.

Nie zdziwiłem się i nie przestraszyłem. Nawet nie czułem rozpacz. Nieuchronność. Zabawka w rękach losu. Dańka, mały głuptas, który tak się cieszył ze swoich gwiazdnych wakacji...

Czy amnezja obejmie okres po porwaniu chłopca z Ziemi? Zapomni o swoim pobycie

w kosmosie?

Tak. Prawidłowy domysł, Siewco.

To nie domysł, elektroniczny kretynie! Chcę wiedzieć, jaką rolę odegrał Dańka w ziemskiej historii.

Podaję: Daniil jest jednym z najslynniejszych malarzy początków XXI wieku, twórcą stylu, który otrzymał nazwę koloryzm. Najważniejsze dane o życiu i twórczości...

Stój, wystarczy. Czy w biografii chłopca jest wspomnienie o jego długiej nieobecności w domu w wieku...

Przyjęte. W wieku dwunastu lat chłopiec uciekł z domu, po czym został znaleziony z objawami kompletnej amnezji o okresie nieobecności.

Wiedziałeś o tym.

Tak.

Nieuchronność. Chłopiec musiał zapomnieć, że był w kosmosie. Ale nikt w całym wszechświecie – ani Świątynie, ani ich „kustosz” Maestro – nie miał prawa ingerować w jego pamięć. Dańka był Ziemianinem, Siewcą, bogiem. Inni bogowie nie mogli pozbawić go pamięci.

Wtedy zadziałała nieuchronność. Zmusiłem raidera do wylądowania tylko po to, by ostatni z przyczajonych fanatyków cisnął we mnie nożem. Dańka skoczył mnie bronić. Wszystkie systemy obserwacyjne gońca były zajęte stworzeniem strefy niewidzialności wokół raidera. Żaden automat Siewców, nawet podjudzony ideą historycznej konieczności, nie odważyłby się pozostawić Ziemianina bez ochrony.

Dańka musiał się zresetować.

Goniec, zastosuj powrót w czasie! Uchron chłopca przed zranieniem!

Temporalne inwersje w granicach głównego strumienia historycznego są zabronione.

Dańka... chłopiec będzie zdrowy?

Tak.

Amnezja obejmie jedynie pobyt w kosmosie?

Na dziewięćdziesiąt pięć procent.

Kocha cyfry ten elektroniczny głupek...

Siewco, informacja do twojej wiadomości: mój pseudointelekt nie zawiera elementów elektronicznych i nie odpowiada definicjom kretynizmu czy głupoty. Po prostu jest odmienny od ludzkiego.

Rozumiem. Uznajmy, że przeprosiłem... łobuzie.

Zlikwidować sekciarza, który zranił chłopca? Typ śmierci?

Drgnąłem, wychodząc z oszołomienia mentalnego dialogu. Od momentu zranienia Daniila nie minęły nawet dwie sekundy. Gdy język nie bierze udziału w mówieniu, dialog idzie bardzo szybko...

Nie! Zostaw go mnie. Zdejmij z niego paraliż.

Sekciarz poruszył się, wysuwając miecz z pochwy. Ruszył w moją stronę. Głupiec...

– Gwizdzę na to, w co wierzysz – wysyczałem, odsuwając kogoś z drogi. Chyba teściową. –
Ale zraniłeś dziecko i zabiłeś w nim mojego przyjaciela. Zabiję cię w taki sposób, że nawet sam
poczuję przerażenie.

7. Planeta, która będzie

Maestro poprawił okulary, nalał sobie wina i wypił jednym haustem. Z uporem unikał mojego wzroku.

– W takich wypadkach najlepiej pomaga spirytus – powiedziałem sucho. – Koktajl Nostalgia...

Maestro wymacał wśród butelek małą karafkę. Skrzywił się, wpatrzony w bezbarwny, dający krótkie zapomnienie płyn.

– Dlaczego by nie... – wymamrotał.

Płyn przesączył się przez kryształowe ścianki karafki i wsiąkł w dłoń Maestra.

– Nie lubię smaku spirytusu... ani zapachu – wyjaśnił przeprasząco. – Niech od razu wejdzie w krew.

– Nie przesadz z dawką, magiku.

Maestro upił się momentalnie.

Uśmiechnął się przekornie.

– Drobiazg... książę... Pozwolisz, że będę cię tak nazywał? W dokumentach i raportach występujesz pod tym pseudonimem. Wszystko wokół nas jest iluzoryczne. Ty też możesz robić podobne sztuczki... i przerwać je w każdej chwili. Wystarczy tylko zapragnąć. Książę, dlaczego wypuściłeś pozostałych sekciarzy?

Teraz ja odwróciłem wzrok. Maestro niedawno obejrzał wideo-materiały gońca.

– Sekciarzom wystarczył ten jeden zabity. Pozostali do końca życia zapamiętają strach przed Ziemią, planetą Siewców.

– Nie wątpię. Żeby gołymi rękami...

– Zamilcz!

– Dziwne – powiedział Maestro w zadumie. – Zacząłem się ciebie bać, książę. Wprawdzie jestem zjawą, ale...

– Maestro! – przerwałem jego filozofowanie. – Wystarczy na ten temat. Raider jest spalony. Sekciarze zostali odesłani na swoją planetę i mają zakaz modlenia się przez pięćset pięćdziesiąt pięć lat...

Tym właśnie się zajmują – w terażniejszości. Ale nigdy nie interesowałem się przyczyną. Mała, dziwaczna sekta...

– Maestro! Zrobiłem dla Ziemi wszystko, co mogłem. Uratowałem ją. Powiesz, że to było nieuchronne, że nawet nasz pojedynek przegrałeś z tego powodu... że w głównym strumieniu historii był to fakt dokonany, że książę z planety Tar pokonał sekciarzy. Dobrze, zostawmy sofistykę. Ale mam chyba prawo do nagrody?

– Jakiej? – Na twarzy Maestra błędził pijany uśmiech.

– Proszę mi opowiedzieć o terażniejszości. O czasie, w którym pan żyje... pan, a nie pańska emocjonalna matryca. O tym czasie, kiedy Ziemia weszła w galaktyczną cywilizację. I oczywiście o przyczynach.

Maestro wytrzeźwiał w okamgnieniu.

– Jakich przyczynach?

– Po co zaczęliście kolonizację przeszłości? Z czym się zetknęliście, potomkowie? Co was wystraszyło?

– Cóż, Siergiej, wiedza o przyszłości jest czasem bardzo męcząca. Będzie panu łatwiej żyć o niczym nie wiedząc.

– Niech pan mówi, Maestro. W końcu mogę zażądać informacji od Świątyni, ale wolałbym dowiedzieć się wszystkiego od człowieka.

Zapaliłem. Maestro wyraźnie się wahał, wreszcie skinął głową. – Dobrze, Siergiej. Niech pan żyje z tym brzemieniem, skoro tak pan woli.

– Wolę.

Pałący dym słodką trucizną wpłynął do krtani. Nie odrywałem od Maestra badawczego spojrzenia. Kogoś mi przypominał. Potomek...

– W 2132 roku gwiazdolot „Tuluza” po raz pierwszy w historii Ziemi nawiązał kontakt z inną cywilizacją – powiedział oficjalnym, twardym tonem Maestro. – Ziemia spotkała obcych. Inną rasę. Inne plemię.

Plącząc się w synonimach i powtórkach, wyraźnie nie mógł znaleźć słów. Ale czułem, że za tą tautologią kryje się coś więcej – brak określenia.

– Jak wy ich nazywacie, Staś?

Maestro spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Fangowie. To ich własna nazwa. Spotkaliśmy Fangów. Zamilkł, wpatrzony w nakryty stół. Jakby znów poczuł alkohol we krwi.

– Minał rok, nim ludzie zrozumieli: albo my, albo oni. Ktoś musi odejść. Ludzie i Fangowie nie mogą istnieć w jednym wszechświecie.

– Dlaczego?

– Oni są obcy. Oni są... Fangami. Proszę nie uważać ludzi przyszłości za rasistów. Nie jesteśmy rasistami. Zna pan Cetresów? Cywilizację pierzastych humanoidów? Cetresi będą mieli te same prawa co ludzie i mieszkańcy skolonizowanych planet... w miarę swojego rozwoju, oczywiście. Możemy – i będziemy – z nimi współpracować.

– A z Fangami nie? Są aż tak inni?

– Są humanoidami... Są nam bliżsi pod względem biologicznym niż wielu naszych potomków. Czy Klenijczycy przypominają ludzi? A mieszkańcy Pala?

– A Fangowie? – wypuściłem w sufit strumień dymu, przypaliłem nowy papieros od

poprzedniego. – Są ludojadami? Sadystami? Składają jaja w ludzkich żołądkach? Ich ulubioną rozrywką jest strzelanie do żywych tarcz, czyli dzieci od lat trzech do siedmiu?

– Siergiej, literatura brukowa i horrory przetrwały do naszych czasów.

Skrzywiłem się. Maestro mnie osadził. I miał rację.

– Fangowie są istotami dysponującymi nieludzką logiką.

– Tylko tyle?

– To mało, książę?

– Niech mi pan wyjaśni, Maestro. Na czym polega istota tej logiki?

– Niech mnie pan zwolni z takich wykładów! Jestem fantomem, ale mam ludzkie emocje.

Proszę wziąć w bibliotece Świątyni książki albo taśmy o Fangach. Jest ich całkiem sporo. A przede wszystkim niech pan zapamięta: Fangowie to istoty, których nie można zrozumieć i zaakceptować.

I Palilem i myślałem. Co to za bzdury? Cywilizacja, której nie można zrozumieć, a więc trzeba ją zniszczyć? Z powodu odmiennej logiki postępowania? Swego czasu przeczytałem sporo książek fantastycznych i nigdzie nie spotkałem takich bzdur. Przeciwnie, jeśli wierzyć pisarzom – a ja, po tej ożywionej space operze, chciałem im wierzyć – porozumieć można się z każdą cywilizacją. Z istotami, które oddychają amoniakiem i chlorem, przypominają pająka albo brontozaura... A jeśli trafi się przedstawiciel krwiożerczej cywilizacji maniakałnych wojowników? O tym też czytałem. Ale każde zachowanie można wyjaśnić za pomocą zwykłej logiki. No, chyba że są to niezrozumiali Strannicy stworzeni przez braci Strugackich...

Dlatego niezrozumiali, że nie zostali opisani. Gdy pisarz albo scenarzysta wymyśla egzotyczną cywilizację, zajmuje się jedną ze stron ludzkiej psychiki. Krwiożerczy zabójca to po prostu kosmiczny łowca, mający za nic pozostałych ludzi. Inni absolutnie nieludscy bohaterowie to też tylko ludzie – ostrożni, zbyt sentymentalni, zbyt dumni albo szalenie okrutni, ale ludzie.

Myśląc o braciach w rozumie, zawsze spodziewaliśmy się zobaczyć ludzi. W dowolnej postaci – od kolonii myślących owadów do rozumnych kryształów i pleśni. Jednak ich zachowanie powinno pasować do naszych wzorców albo...

Cóż, możliwe są różne kombinacje i ewentualności. Cywilizacja zbyt niepodobna do ludzkiej może – w naszym rozumieniu – nie zechcieć kontaktu... W książce pewnego niezłego pisarza myślące kryształy ułożyły się w świecący napis: „Odejdźcie, przeszkadzacie nam”. I uprzejmi Ziemianie odlecieli.

A jeśli kosmita, kierując się własną logiką, poprosi Ziemian, żeby wynieśli się z Ziemi? Poprosi w bardzo przekonujący sposób...

– Nastąpiła kolizja interesów? – zapytałem Maestra.

– Tak... w pewnym stopniu. Zrozumieliśmy, że jesteśmy skazani na wojnę. Trzydzieści miliardów ludzi na dwunastu zamieszkałych planetach przeciwko trylionom Fangów. Do tego

doszły nasze wewnętrzne konflikty, bunt na Tuanie, starcia z Lotanem... Nie mieliśmy szans.

– I postanowiliście stworzyć armię...

– Tak. Nasza galaktyka nie została zbadana ani przez ludzi, ani przez Fangów. Ale postanowiliśmy rzucić desant w przeszłość. Projekt X. We wszystkich rejonach kosmosu, prócz najbliższych okolic Ziemi, umieszczono nasiona życia. Świątynie wychowują humanoidalne cywilizacje wojowników oddających cześć Siewcom, cywilizacji założycielce. I gdy dzień po desancie w przeszłość przeprowadziliśmy tajny zwiad na jednej z planet, na której powinna być Świątynia, istniała tam rozwinięta i bardzo pracowita cywilizacja ludzi. Przy okazji, to był właśnie Shedmon... Teraz, w teraźniejszości, w 2133 roku, musimy tylko aktywować mechanizm Świątyń, a tryliony ludzi, urodzonych wojowników, przyjdą Ziemi z pomocą.

– Jest pan pewien?

– A pan nie? Wszyscy wielbią Siewców... tym bardziej że Świątynie są nam posłuszne. Nie mamy zamiaru nikogo zmuszać do wojny przeciwko Fangom. Ci, którzy dowiedzą się o ich cywilizacji, sami dokonają wyboru. Mam nadzieję.

Zaśmiałem się.

– Maestro, niech pan przestanie kręcić. Stworzyliście tysiące planet-twierdz, tysiące narodów-armii, które najbardziej na świecie kochają wojnę i są zmartwione brakiem godnego przeciwnika. Gdy objawią się Siewcy i wskażą Fangów, to ci dopiero będzie święto! Wszyscy rzucą się do walki z pieśnią na ustach.

– Siergiej, jeśli zapozna się pan z materiałami o Fangach...

– Maestro! Ja wierzę... gotów jestem wierzyć... że ludzie i Fangowie nie mogą żyć w jednym wszechświecie. Chodzi o to, że wy, moi mądrzy i dobrzy potomkowie, przygotowaliście sobie ogromny zapas mięsa armatniego!

Staś wzdrygnął się.

– Tak się to nazywało w naszych czasach – mówiłem dalej. – Wasza logika jest bardzo ludzka. Może Fang was nie zrozumie, ale ja rozumiem doskonale. Zrozumiałem nawet, dlaczego Świątynie ustaliły rozwój wszystkich planet na mniej więcej jednym poziomie. Żeby nie prześcignęły mateczki Ziemi i nie stały się bardziej niebezpieczne od Fangów!

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Maestro...

– No dobrze. Ma pan rację, książę. Kolonie nie powinny wyprzedzić Ziemi w rozwoju, przynajmniej do momentu zniszczenia Fangów. To jedno z założeń projektu X.

Zamilkliśmy. Uświadomiłem sobie, że od piętnastu minut palę tego samego papierosa. Iluzoryczny świat... Świątynia wychwytuje i spełnia wszystkie moje pragnienia. Hej, kielichu wina, pojaw się w mojej dłoni...

Zimny kryształ musnął palce. Napiałem się.

– Skąd pochodzą Fangowie?

– Z karłowatej galaktyki, niedaleko naszej. Kiedyś miała numer i nazwę, teraz nazywają ją po prostu Fang-system.

– Przesiedlają się? Szukają większej przestrzeni życiowej?

– To ludzkie terminy. Oni się po prostu kontaktują. Na szczęście zdołaliśmy zapobiec ich powszechnemu przeniknięciu do naszej galaktyki. Dzięki temu, że żyjemy na peryferiach, zdołaliśmy przechwycić pierwsze statki Fangów.

– Nie prościej polecieć do ich galaktyki w „moim” czasie? I zniszczyć ich, zanim staną się rozwiniętą cywilizacją?

Maestro uśmiechnął się.

– Siergiej! Oni już się stali rozwiniętą cywilizacją... to główny strumień historii. To się już stało. Niech pan nie zapomina, że teraz jesteśmy w przeszłości.

– Nie zapominam, Maestro. Przy okazji, o tym też chciałbym porozmawiać. O ile rozumiem, mnie w historii Ziemi nie ma?

– Tak. Nie wrócił pan na Ziemię... Chyba że incognito. Ależ... to jest myśl! W innym państwie, pod innym nazwiskiem, niezauważalnie...

Zaśmiałem się.

– Maestro! Tak się panu spieszy, żeby mnie odesłać? Pozbyć się konkurenta w sterowaniu Świątyniami? Niezauważalne życie? To nie dla mnie.

Staś chyba się obraził.

– To tylko propozycja. A nuż chciałby pan wrócić do ojczyzny?... Nie zostawił pan śladu w historii. Znikł pan na zawsze. Najprawdopodobniej pozostał pan w galaktyce. Na Tarze albo innej planecie...

– W przeszłości...

– W przeszłości.

Maestro stał się czujny.

– Zaraz wyjaśnię, co chcę zrobić – wyjaśniłem uprzejmie. – Świątynia da mi mały bojowy statek typu Korsarz. Wsiądę do niego z żoną i przyjaciółmi i odlecę w przyszłość. To znaczy, w pańską terażniejszość. W 2133 rok.

– To szaleństwo! – Maestro zerwał się. – Tylko pana tam brakowało!

– Taak? A Świątynie uważają, że mogą przynieść pożytek Ziemi w przyszłości. I zgadzają się dokonać przerzutu w czasie.

– Świątynie przeceniają pańską rolę w poskromieniu sekciarzy...

– No, szkoda, że ciebie tam nie było, zjawo jedna! Zginął ci kiedyś przyjaciel?

– Tak – powiedział bardzo spokojnie Maestro. – A pan nikogo nie stracił. Najwyżej Klena... Danił przecież żyje.

– Ale to już nie jest ten Dańka, który był w mojej załodze! Tamten zginął, bo musiał zapomnieć o swoich przygodach. Dosyć mam życia w przeszłości. Wyruszamy w terażniejszość!

Przez chwilę miałem wrażenie, że Maestro się na mnie rzuci albo zaproponuje nowy mentalny pojedynek... ale nieoczekiwanie się uspokoił.

– Nie będę się z panem kłócił, książę. Niech pan bierze korsarza. Ale proszę wziąć pod uwagę, że przed trzydziestym trzecim rokiem życia nie uda się panu przejawić pańskich... talentów. Nie było pana w historii! Statek wyrzuci pana w momencie zjednoczenia, jedenastego kwietnia 2133 roku. W dzień po odejściu w przeszłość temporalnej ekspedycji projektu X.

– No i co?

– Trafi pan na moment kolosalnego galaktycznego zamieszania. Planety dowiedzą się o Ziemi, ojczyźnie Siewców, i o Fangach, zagrażających wszystkim ludziom. Wszechświat znajdzie się w przededniu wojny.

Wzruszyłem ramionami.

– Obecną sytuację w galaktyce uważa pan za pokój?

Maestro uśmiechnął się.

– Siergiej... nie zna pan Fangów. Nawet nie może pan sobie wyobrazić, co oznacza wojna z nimi. Miałem ochotę mu się sprzeciwić.

– To nic, Maestro. Jakoś nie boję się tej wojny. Poza tym bardzo bym chciał popatrzeć na Fangów.

Maestro skrzywił się, jakbym się przyznał do koprofagii.

– Niech pan sobie popatrzy, książę. Ale właściwy powód jest inny, prawda? Chce pan przerwać nieuchronność pańskich czynów. Skończyć ze zdeterminowaniem.

– Tak.

– Siergiej, to nie jest dobry ruch... Stary filozoficzny problem o wolnej woli został rozwiązany. Nie jesteśmy wolni. Niesie nas główny strumień historii i jedyne, co możemy zrobić, to mniej lub bardziej energicznie młócić wodę. Nawet w terażniejszości, która dla pana jest przyszłością, będzie pan skazany na robienie tego, czego wymaga od pana bieg historii. Nie ma wolnej woli.

– Wolność woli, Maestro, to brak człowieka z góry znającego twoje czyny. Nic więcej.

Wstałem, jakby można było wyjść stąd w zwykły sposób.

– Muszę oddać Świątyni rozkaz o pańskim odkapsułowaniu? – Niekoniecznie. Gdy pan odleci, znowu będę dla Świątyni stwórcą i jedynym kontrolerem. Trochę tu posiedzę i wyłączę się. Pośpię sobie do następnej planowej kontroli albo kolejnej niestandardowej sytuacji.

– A kiedy ma być planowa kontrola?

– Za dziesięć lat. Gdy ma się za sobą tysiąclecia, półtorej setki lat i piętnaście przebudzeń nie wydaje się tak przygnębiające jak na początku.

Patrzyliśmy na siebie, jakby rozumiejąc, że to nasze ostatnie spotkanie w iluzorycznym świecie Świątyni.

– Mimo wszystko obaj jesteśmy Ziemianami – powiedziałem cicho. – Pomyślnego dyżuru.

– Pomyślniej przyszłości – tak samo cicho powiedział Maestro. – Powodzenia, księżę.

Wyciągnął do mnie rękę, a ja uściśnąłem ją bez wahania. Dłoń była ciepła i twarda. Normalna, silna, męska dłoń – Maestro był zjawą najwyższej próby. Teraz pozostało tylko zapragnąć znaleźć się w hangarze Świątyni, gdzie obok lustrzanej kuli – statku bojowego typu Korsarz – czekali moi przyjaciele. I popiskujący, smutny, pozbawiony pana Trofeum. I księżniczka z planety Tar. Terry. Moja żona.

W ciągu tych dwóch dni, które spędziliśmy na Ziemi, zdążyłem wziąć z nią ślub w prawosławnej cerkwi. Sam nie wiem dlaczego. Tak samo jak nie wiem, co sprawiło, że ona zgodziła się na ślub i na imprezę z moimi oszołomionymi przyjaciółmi w małej miejskiej kawiarni, i na wieczór w najlepszym pokoju najdroższego hotelu Alma Aty. Jak to miło, że synteza gońca umieją kopiować pieniądze.

Może ona rzeczywiście mnie kocha?

Nadal coś nie pozwalało mi odejść w wolną i zagadkową przyszłość z tego nieistniejącego przytulnego pokoju, gdzie Maestro pozostanie, by rozmyślać o tym, co się stało. Nieuchronność? Chyba nie...

– Staś – odezwałem się nieoczekiwanie. – Czy Dańka... Danił... Czy z nim wszystko w porządku?

– Tak. Przecież sam dostarczył go pan na próg domu. Sprawdził pan nawet, kto otworzył drzwi. Wszystko będzie dobrze.

– Nie o tym mówię. Czy on był szczęśliwy?

Po chwili milczenia Staś wzruszył ramionami.

– Był znanym... wielkim malarzem.

– W XX wieku też byli znani malarze. Ilija Głazunow...

– Mówię o wielkich.

– I Marc Chagall.

Maestro popatrzył na mnie w zadumie.

– On został naprawdę wielkim malarzem. Wówczas zwykłe kryteria szczęścia nie mają zastosowania.

– Rozumiem.

– Proszę wziąć w bibliotece kasetę z jego pracami. Jest tam również kilka biografii, bardzo interesujących.

– Dziękuję. Nie pomyślałem o tym. Wezmę kasetę, to mi wystarczy. Maestro, czy on malował... kosmos?

Zręcznym ruchem Staś wyciągnął z kieszeni marynarki kolorową widokówkę.

– Tutaj jest kilkanaście jego prac, tych najbardziej znanych. Proszę obejrzeć. Na trzeciej albo czwartej jest jakiś kosmiczny akcent. Możliwe, że panu powiedzą one więcej niż mnie.

Nie jestem znawcą malarstwa, ale to były bardzo dziwne obrazy. Jeśli połączenie setki kolorowych, czystych tonów w całość i harmonijny obraz można nazywać koloryzmem, to Dańka wymyślił ciekawy styl. Kolorowy i odświeżony, jak ozdoby choinkowe. Niepokojący i smutny, jak nocne niebo widziane przez gałęzie nieprzebytego lasu.

Pierwsza praca była dość zwyczajna; malarze lubią mitologiczne wątki. Na obrazie Dańki Ikar – chłopiec, jego rówieśnik, z rozpostartymi skrzydłami leciał ku słońcu. Albo spadał na słońce, nie wiem, bo perspektywa była dość dziwna.

Nacisnąłem róg zdjęcia, pojawiła się czern. Pewnie jakieś zakłócenia.

– To też jest obraz – powiedział Staś zadowolony. – Nosi tytuł *Było ciemno*.

Kolejny obraz. Zamarłem wpatrzony w plastikową widokówkę.

Na obrazie brzeg jeziora oświetlony różnokolorowym lśnieniem płynących po niebie księżyców – niebieskich, pomarańczowych, czerwonych, zielonych... Nie liczyłem ich, w końcu to nieważne, czy Dańka się pomylił, czy nie. Ważne było to, że na piaszczystym brzegu jeziora, w różnobarwnym półmroku siedział, przytulając przypominające psa zwierzątko, doskonale mi znany chłopiec z mokrymi po kąpieeli włosami i zadartą do góry głową. Obok niego, na ciemnoczerwonej ciepłej podkładce, leżał młody, atletycznie zbudowany facet.

Malując mnie, Dańka trochę przesadził. Chyba.

Całą resztę oddał wiernie.

Nieźle mu wyszło to „spojrzenie z boku”.

Obróciłem widokówkę i zauważyłem, że za rzadkim lasem widać przezroczysty, szary cień. Ogromna kula nasuwająca się albo odsuwająca od leśnego jeziora...

Na Wielkich Siewców...

Dziewięćdziesiąt pięć procent pamięci o kosmicznych wakacjach zostało zniszczone. Cała reszta miała zmienić się w mieszaninę sennych wizji, niezrozumiałych zdań, zapomnianych przeżyć...

Coś jednak zostało.

Przypomniałem sobie, jak niedawno ostrożnie oparłem Dańkę – bezwolnego, pogrążonego w hipnotycznym transie – o ścianę przy drzwiach jego mieszkania. Lans i Ernado z paralizatorami zastygli na klatce schodowej. Patrzyłem na Dańkę. Ani śladu strasznej rany. Blok medyczny działał bez zarzutu. Ale nawet on nie mógł wpłynąć na pamięć...

– Może to i lepiej, co? – zapytałem niegłośno. – Mniej przeżyć i mniej tęsknoty. Traumatyczna amnezja. Ale uszczęśliwieni rodzice nie będą się tym martwić. Najważniejsze, że znowu jesteś w domu.

Wyjąłem z kieszeni diament – „resztę” z hiperprzejścia księżniczki. Uśmiechnąłem się złośliwie – jeśli była to nieuchronność, to przyjemna – i wsunąłem go Dańce do kieszeni modnej, kupionej w centrum miasta koszuli. Wyjaśniłem przeprasząco:

– Na pamiątkę... Trofea niestety nie mogę ci zostawić.

Chciałem poklepać Dańkę po policzku, ale powstrzymałem się.

Nie warto.

– Na razie, Dańka. Nad jeziorem było fajnie, no nie?

Jego oczy były senne i mętne. Nacisnąłem przycisk dzwonka i rzuciłem się w dół po schodach. Za mną, niczym bezgłośny cień, pobiegł Ernado. Zatrzymał się na parterze, rzucił okiem na bransoletkę z małym ekranem przekazującym obraz z wideoczuwnika – niezauważalnego pyłku na koszuli Dańki.

– W porządku. Matka płacze i bije go po twarzy, żeby się ocknął. Chyba pomaga...

Pomaga...

Zatrzymałem strumień wspomnień. W samą porę. Pokój podejmowania decyzji rozplynął się, zastąpiła go brudna klatka schodowa ziemskiego bloku. Przy wygiętych, pokrzywionych kopniakami prętach stał Maestro, trzymając się poręczy pokrytej złuszczoną farbą.

– Trudno walczyć z pańską siłą mentalną – wyszeptał. – Zmiana wnętrza pokoju nie była zaplanowana technicznie. Wypłynął pan bezpośrednio na obwody sterownicze Świątyni.

– Przepraszam – powiedziałem głucho. – Zaraz to przerobię. Przepraszam... Czy mógłbym wziąć tę widokówkę?

– To fantom. Ale możemy zamówić materialną kopię. Ten obraz coś panu przypomniał? To nasza rodzinna relikwia...

– Wasza?

– Danił to mój przodek – powiedział z dumą Staś.

Nie zdziwiło mnie to.

– Przypomniała – skinąłem głową. – Kilka wytartych, powszechnie znanych prawd.

Świat wokół zaczął się rozplywać; czekał na mnie hangar z bojowym statkiem Korsarz, żona, przyjaciele i pozbawiony przyjaciela Trofeum, i nieograniczona nieuchronnością przyszłość.

– Jakich? – krzyk Maestra wstrzymał na chwilę zmianę dekoracji. – Jakich prawd?

Nie odpowiedziałem. Po co? Pamięć jest silniejsza od miecza, a przyjaźń zwycięża śmierć. Jeśli wypowiem te prawdy na głos, staną się fałszywe i śmieszne.

– Miałeś wspaniałe wakacje, Dańka! – wykrzyknąłem, gdy transportowe mechanizmy Świątyni niosły mnie przez wilgotny dotyk pól siłowych. – Będziesz miał teraz całą Ziemię! Planetę, która jest!

Planetę, która będzie.

SZKLANE MORZE

CZEŚĆ PIERWSZA
SIEWCY

1. Na brzegu rzeki Suchej

Wschód słońca na Somacie, obojętnie którego, białego czy żółtego, to widok ustępujący jedynie zachodowi. Najpierw zapalają się szczyty gór, krystaliczny piasek załamuje pierwsze promienie, w dół spęta różnobarwna mgła. Na tle czarnego, zaszypanego gwiazdami nieba góry lśnią niczym drogocenne kamienie na aksamicie. I oto ponad krawędziami potrzaskanych skał ukazuje się krawędź słońca – białego albo żółtego, w zależności od pory roku. Niebo napełnia się granatem, a pomiędzy barwnymi, jakby przebranymi w karnawałowe stroje górami pojawia się szara, sunąca powoli wstęga. Rzeka Sucha płynie bardziej leniwie, spokojniej niż ziemskie rzeki. Nawet wodospady, w które obfitują doliny Gór Pomarańczowych, sprawiają wrażenie sennych i niespiesznych. Strumień spada ze skał powoli, niemal bezgłośnie, jakby koryto rzeki wypełniał lekki, nieważki pył.

Zresztą tak właśnie było.

Obudziłem się, gdy białe letnie słońce pokonało rudy grzbiet góry i załało wąwóz gorącym blaskiem. Niemal natychmiast zrobiło się duszno, chłód nocy znikł bez śladu. Kombinezon, który grzał mnie przez całą noc, zmienił kolor z czarnego na srebrzysty.

Przede wszystkim wyjąłem z kieszeni pudełeczko z filtrami nawilżającymi. Krzywiąc się, gdy poczułem nieprzyjemną suchość w ustach, zamieniłem filtry w nozdrzach na świeże – wilgotne i sprężyste kawałki włókna syntetycznego. W kasetce zostały jeszcze dwie pary – przy pewnej oszczędności powinny wystarczyć na dobę. Druga faza nawilżania zajęła kolejną minutę; ze zgniecionej tubki wycisnąłem kilka centymetrów tłustego białego wężyka maści nawilżającej i z rozkoszą wtarłem w spierzchniętą skórę rąk i twarzy.

Teraz mogłem przejść do zwykłych porannych czynności, identycznych zarówno na Ziemi, jak i sto parseków od niej. Pobiegłem wąwozem do żółtej skały i oddałem co należne przyrodzie Somata. Następnie ruszyłem w stronę przeciwną – do rzeki.

Moje stopy musnęły powolne szare fale. Kolorowe kamyczki, wypolerowane pyłem, ułożyły się w nowy wzór. Brzegi rzeki Suchej były najwspanialszym kalejdoskopem na świecie – tworzyły go kamienie wszystkich odcieni, jakie tylko może wyodrębnić ludzkie oko.

Pochylony, zaczerpnąłem pełną garść „suchej wody”. Na pierwszy rzut oka przypominała srebrzysty pył albo drobny piasek. Dotyk rozwiewał złudzenie. Pył był chłodny i lekko wilgotny. Drobne kropelki potu na dłoni rozpoczęły powolną reakcję chemiczną, niszcząc rozpuszczone w wodzie substancje krzemoorganiczne. Już śladowe ilości tego złożonego związku wielocząsteczkowego przemieniały zwykłą ciecz i to, co zapełniało rzeki i jeziora Somata, w tak zwaną suchą wodę. Mikroskopijne kropelki wody, otoczone płaszczem krzemoorganiki, odpychały się niczym ładunki jednoimienne. Żeby na całej planecie zmienić wodę w pył, wystarczyło kilka kilogramów substancji hydrodualnej, równomiernie rozproszonej w całej

atmosferze. Skąd na Somacie wzięły się te związki? Być może przyczyną był meteoryt z innej galaktyki... albo moi współplemieńcy, testujący na niezamieszkanym planecie egzotyczną broń.

Pomiędzy palcami przesączała się i spadła kropelka. „Sucha woda” rozpaczliwie próbowała przejść w swój stan normalny. A pot, krew, ślina były całkiem znośnymi katalizatorami. Kiedyś eksperymentowałem, próbując znaleźć pewną i prostą receptę przywrócenia wodzie stanu ciekłego. Niestety, nie znalazłem substancji o nieodwracalnym działaniu.

Wsypałem lekko wilgotny pył do ust i trzymałem go długo, mieszając suchą wodę językiem. Przypominała bezsmakową galaretkę – śliską i drżącą na języku.

Po kilku minutach proces dobiegł końca – zdobyłem cały łyk czystej, zimnej wody... W stan „suchy” przechodziła tylko czysta woda. Z cieczą zawierającą jakiegokolwiek drobnoustroje ta sztuczka się nie udawała.

Krzemoorganika wytrąciła się, tworząc niemal niewyczuwalny osad, z którym organizm powinien sobie poradzić.

Głównym problemem Somata było to, że nie zdążyło się na nim rozwinąć życie.

Teraz nie rozwinie się już nigdy.

Załatwiłem sobie jeszcze kilka „łyków” i poczłapałem do miejsca ostatniego noclegu. Widok pylistej rzeki drażnił, za to góry można było podziwiać w nieskończoność.

Słońce powoli sunęło do zenitu. Mały dysk był oślepiająco jasny, ciemnoniebieskie niebo wydawało się niemal czarne. Gorące, niestłumione chmurami czy mgiełką światło parzyło. Usiadłem pod skałą; jej wyszukany kształt dawał cień nawet w środku południowego upału.

– Przypominasz planetę bez atmosfery, Somat – poinformowałem półgłosem kolorowe skały.
– Najgorsza z asteroid!

Szczerze mówiąc, nigdy nie odwiedzałem planet pozbawionych atmosfery, a moje pretensje do Somata były niesprawiedliwe. W końcu oferowałem swoim gościom tlenową atmosferę, odpowiednią temperaturę i wodę – a że odrobinę wysuszoną...

Domaganie się od nieszczęsnej planety cienistych alejek i soczystych owoców byłoby nie w porządku.

W kieszeni na piersi spoczywało płaskie pudełeczko z tabletkami odżywczymi. Odchyliłem sprężynującą pokrywkę, która koniecznie chciała się z powrotem zatrzasnąć, i zajrzałem do środka. Efekty kontroli nie zdumiały mnie: połówka burej tabletki i garść ciemnego pyłu. Z pudełeczka nieoczekiwanie zaleciało miętą. Wczoraj awaryjna racja żywności pachniała wanilią.

O ile wiedziałem, zmiana zapachu wskazywała na pogorszenie jakości produktu. Szkoda tylko, że nie miałem pojęcia, jaki stopień nadawania się do spożycia oznaczał aromat miętą. Imperatorskim kucharzom z planety Tar mogło nie przyjść do głowy, że zepsute tabletki powinny wydzielać nieprzyjemny zapach...

Westchnąłem i rozgryzłem tabletkę. Miała rozmiar Medalu za Odwagę jakiegoś młodego afrykańskiego państewka, więc nawet ta połówka zapewniła szczękom sporo pracy. Jak zwykle, smak i konsystencja nie wzbudziły zachwytu. Z czystych chemicznie białek, węglowodanów, soli mineralnych i witamin trudno przyrządzić przysmak.

Bure kruszywo podażyło w ślad za połówką tabletki, a puste pudełko poszybowało ku suchym falom. Odprowadziłem je rozczarowanym spojrzeniem – nie dorzuciłem.

Zaczynał się szósty planetarny dzień, dziewiąta ziemską doba mojego przymusowego odosobnienia.

Somata miałem już powyżej uszu.

Zdumiewające, jak zmienia się stosunek człowieka do otaczającego go świata w miarę pogłębiania się kontaktu... Mieszkałem na Somacie dwa lata – z ukochaną kobietą, w wygodnym domu o kształcie kopuły, z mnóstwem przyjemnych drobiazgów w rodzaju basenu czy nadajnika hiperłączości, który co godzina rozpieszczał nas wiadomościami galaktycznymi. Sala treningowa z fantomowym partnerem sparringowym pozwalała utrzymywać ciało w kondycji, biblioteka nie dawała zardzewieć szarym komórkom. Żyjąc w ten sposób, zauważyłem zdumiony, że mnie, mieszczuchowi i ekstrawertykowi, zaczyna opowiadać takie życie. I to wcale nie z powodu Terry, która była ze mną.

Polubiłem samotność. Doceniłem zalety spokoju i bezpieczeństwa. Nie rzucali się na mnie doskonale wyszkoleni zabójcy z płaszczyznowymi mieczami, a gigantyczne statki nie próbowały zmienić Ziemi w nieistniejącą planetę. Nie musiałem nigdzie uciekać ani z nikim walczyć – najwyżej z holograficznym fantomem w sali treningowej albo z nieprzepadającym za kąpielą Trofeum.

Świat Somata był piękny. Nie jestem geologiem, nie mam pojęcia, jaki kaprys natury pomalował miejscowe góry paletą malarza surrealisty. Nie wiem, dlaczego „sucha woda” nie jest przezroczysta i ma srebrzysty odcień. Ale latanie nad Somatem na flarze to niezwykle przeżycie.

Nasz dom stał na Białym Wybrzeżu, jednym z najbardziej płaskich miejsc na planecie. Równina nie jest zbyt szeroka – najwyżej sto kilometrów między górami a brzegiem, za to ciągnie się wokół całego Morza Ovalnego. Wybrzeże pokrywa drobny biały piasek, rzadkie skały to jasny marmur. Na piasku, jeśli podlewa się go zwykłą wodą, mogą rosnąć drzewa. Obok naszego domu jest... był... mały ogród.

Zielone drzewa na białej ziemi to piękny widok.

Dzięki stymulatorom w ciągu kilku miesięcy osiągnęły dziesięć metrów wysokości. Pod koniec pierwszego roku ziemską sakura i tauryjski jedwabnik zakwitły, nadając zagajnikowi fantastyczny wygląd. Na śnieżnobiałej glebie stały obsypane różowymi i purpurowymi kwiatami drzewa – wysokie i mocne, ze zdumiewająco delikatnymi liśćmi i korą miękką jak u młodych

sadzonek.

Teraz piasek w zagajniku jest czarny i spieczony, pozlepiany w kanciaste, kłujące bryłki. Drzewa przypominają wycięte z antracytu rzeźby, chociaż może w głębi pni zachowały się jeszcze żywe komórki. Wokół rozprutych kopuł mieszkalnych znieruchomiały roboty bojowe...

Znieruchomiały na zawsze. Człowiek, który przygotował zasadzkę, nie przewidział siły mojego osobistego generatora pola ochronnego. O dziwo, powstrzymało ono salwy przez całą minutę – gdy ja, krztusząc się gorącym powietrzem i własnym krzykiem, brałem białe maszyny na celownik destruktora.

To, że statek agresorów nadszedł ze wschodu i zagajnik znalazł się pomiędzy nim a stacją osłony, było dziełem przypadku. Moje działa wystrzeliły w statek – po raz pierwszy i ostatni, po czym zostały wypalone laserem szerokopasmowym. Ale stacja żyła nadal, a komputer, nazwany przeze mnie Machno, nie posiadał w swoim programie pojęcia „kapitulacja”. Sam wprowadzałem mu określone cechy osobowości, robiąc z maszyny nerwowego, impulsywnego, ufającego intuicji dowódcę. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że Machno kiedykolwiek będzie musiał walczyć. Po prostu chciałem mieć rozmówcę o wrednym charakterze, kogoś jeszcze bardziej nieznośnego niż ja, ale z wyłącznikiem na pulpicie.

Pozbawiony destruktorów i laserów, Machno uruchomił siły drugiej linii – dom został osłonięty polem neutralizującym, a z licznych ukrytych kapsuł wyfrunęły w stronę statku elektroniczne meszki.

Siewcy nie tracili czasu na dostrajanie destruktorów do licznego i różnorodnego przeciwnika. Zastosowali deszcz protonowy, który spopielił wszystko, co wyszło poza granice pola ochronnego. Wtedy przez niewidoczną zasłonę pola neutralizującego przeszli... nie, nie uzbrojeni w płaszczyznowe miecze żołnierze – moi przeciwnicy nie mieli ochoty na walkę wręcz. Wysłali bioroboty funkcjonujące w polu neutralizującym. Znalazłem potem dwa w rozwalonym domu – nawet ich nie sprzątnięto. Karykaturalnie przypominające ludzi, pokryte łuską i wyposażone w długie bicz macek, budziły raczej wstręt niż strach. Oba bioroboty były posiekane na kawałki – a przecież Terry na ogół walczy bardzo racjonalnie. Łuskowate stwory walczyły nawet przecięte na pół.

Dwa absolutnie identyczne mózgi, umieszczone w klatce piersiowej robotów, miały wielkość dziecięcej piąstki i były zupełnie pozbawione kory.

Nie liczyłem, że Siewcy zostawią mnie w spokoju. Byłem przypadkiem, błędem, który zakradł się w idealne plany Ziemi XXII wieku. Choć moje nieobliczalne zachowanie nie tylko nie zaszkodziło Ziemi, ale przeciwnie, uratowało nieszczęsną planetę, która omal nie padła ofiarą własnych gier, niczego to nie zmieniło. Najpierw znalazłem się nie na swoim miejscu, potem w nie swoim czasie. Dopiero później zrozumiałem, że nawet dwanaście prac Herkulesa nie odkupiłoby błędu, który mogłem popełnić w każdej chwili. I właśnie dlatego naszym domem stał

się pozbawiony życia Somat. Nie planowaliśmy dożyć tu sędziwej starości, ale twardo postanowiliśmy posiedzieć kilka lat na peryferiach galaktyki.

Ziemianie mogą sobie spokojnie przeprowadzać projekt „Siewcy” i odgrywać przed oszołomionymi widzami rolę bogów. Wojna z nieznanymi, ale najwyraźniej mało sympatycznymi Fangami szła swoim torem – przechodząc ze stadium „zimnej”, gdy niemal zupełnie o niej zapomniano, do etapu „cieplej”, gdy wiadomości zapchane były znajomymi do bólu, patriotycznymi bredniami.

Ani ja, ani Terry nie wtrącaliśmy się do życia Ziemi. Ernado, Lans i Redrak, gdy osiedlali się na cywilizowanych planetach, otrzymali podobne instrukcje. Redrak miał ostrożność we krwi jeszcze z czasów pirackich, Lansowi i Ernadowi wystarczał rozkaz księżniczki.

Być może nie powinniśmy byli się rozdzielać. Mnie i Terry można było odnaleźć różnymi sposobami, ale najbardziej prawdopodobny był wariant porwania i przesłuchania kogoś z załogi.

Teraz to już nie miało znaczenia. Bez względu na to, jakim cudem nas znalezione, Terry trafiła do niewoli, a ja przeszedłem do partyzantki. Na Somacie, gdzie wilgotność powietrza wynosi zero procent, a roślinności nie ma i i nigdy nie było, ukrywanie się przed wrogiem jest prawie niemożliwe. W rozwalonej kopule nie znalazłem nic do jedzenia – najwyraźniej chciano zmusić mnie do poddania się. Nie miałem ani sił, ani czasu, by porządnie się rozejrzeć – w każdej chwili mogły się pojawić nowe oddziały.

Ukryłem się w górach z tym, co miałem przy sobie, gdy wyszedłem z domu na dwudniową wycieczkę. Możliwe, że nikt mnie nie szukał, ale nie mogłem ryzykować.

Nie rozumiałem tylko jednego – dlaczego Siewcy zdecydowali się na tak otwarcie wrogi gest?

Wiele mogłem zarzucić swoim potomkom. Że byli okrutni i nie przebierali w środkach. Że mieli za nic stworzony przez siebie system cywilizacji. Że patologiczny strach przed Fangami oraz wiara w historyczną nieuchronność zwycięstwa wyparła z nich wszelkie ludzkie uczucia.

Ale nie byli podli. Grali uczciwie, choć według własnych reguł. A pojęcie wdzięczności nie było dla nich pustym dźwiękiem.

Dlaczego więc zdecydowali się na taką niegodziwość?

Pokonałem w mentalnym pojedynku ich przedstawiciela, Maestra, ale pojedynek przebiegał zgodnie z ich regułami – po prostu byłem bardziej pewien swoich racji. Złamałem zasady Siewców, ale tylko po to, by uratować naszą wspólną ojczyznę, Ziemię. Uciekłem ze swojego końca XX wieku w połowę XXII, ale nigdy nie próbowałem przeszkodzić swoim potomkom. Wszystko, czego chciałem, to żyć nie podporządkowując się prawom „głównego strumienia historii”.

Mogli mnie szukać, żeby wygłaszać długie tyrady, prowadzić umoralniające dyskusje. Ale napad z bronią?

Krzywo uśmiechnięty, usiadłem wygodniej na ostrych kamieniach. Księżniczka żyje, tego jestem pewien. Wezwie mnie i pierścień umożliwi nam rozmowę.

Upał. Cisza. Śmierć.

Świat wokół mnie był sterylnie czysty i nieodwracalnie martwy. Wybrałem Somat w nadziei, że odnajdę tu spokój. Nie moja wina, że spokój stał się zbyt rzadkim przywilejem.

Zamknąłem oczy. Gdybym mógł się zdrzemnąć... Słońce podkradło się już do zenitu i cień skały spelzał ze mnie niezauważalnie. Od razu poczułem piekielny żar, jakby na ramiona zarzucono mi lepki, rozpalony brezent. Filtry w nozdrzach wysychały – niedługo będę musiał je zmienić.

Południe, XXII wiek. Ale niestety nie takie, jak w ulubionej książce mojego dzieciństwa.

Nic się nie zmieniło. Powietrze trwało nieruchomo, cisza dźwięczała, pomarańczowe światło sączyło się przez zaciśnięte powieki.

Drgnąłem.

Przecucie? Wrażenie nadchodzącego niebezpieczeństwa?

Ostrożnie obmacałem pierścień. Metal był zimny mimo upału, kryształ nośnika energii na swoim miejscu. Pierścień nie został aktywowany.

A dziwne uczucie nie mijało, stało się nawet bardziej konkretne, aż namacalne. Jak wzrok wbity w plecy.

Ktoś na mnie patrzył, dobrodusznie i niezbyt uważnie. Tak ogląda się znajomą okolicę, nieszczęśliwie interesując się przypadkowym człowiekiem.

Nie wiem, skąd bierze się uczucie „spojrzenia w plecy” i dlaczego czasem jest słabe i ledwie uchwytnie, a czasem ostre i wyraźne. W tej chwili mogłem z całkowitą pewnością określić kierunek obserwatora i odległość od niego – jakieś dziesięć metrów.

Otworzyłem oczy, powoli i ostrożnie.

Przez chwilę wydawało mi się, że spod uchylonych powiek dostrzegłem ludzką postać, właśnie tam, gdzie spodziewałem się ją zobaczyć. Ale szybko zrozumiałem, że nerwy spletały mi figla – pośród skał nikogo nie było.

Mimo wszystko wstałem i podszedłem do miejsca, w którym przywidział mi się człowiek. Nie mógł się ukryć wśród kamieni, a do najbliższej szczeliny było z pięćdziesiąt metrów. Dla porządku zajrzałem również tam. Pusto.

Co się dzieje? Halucynacje? Już raz w podobnej sytuacji wmawiałem sobie, że to tylko złudzenie. Niepotrzebnie: wśród nieprzebranych lasów obcej planety do wjazdu statku rzeczywiście dobijał się młody Ziemianin...

Człowiek zawsze powinien sobie wierzyć, nawet jeśli jest pewien, że się myli.

– Jeżeli jakiś mądrała chowa się pod polem maskującym – wychrypiałem, daremnie próbując wyartykułować przez wyschnięte gardło zrozumiałe dźwięki – lepiej zrobi, jak wyjdzie.

Odczekałem sekundę i sięgnąłem do małego dysku przy pasie. To cudencko z arsenału Siewców w pewnych sytuacjach bywa niezwykle przydatne.

Ochronna płytka pękła pod palcami, w niezrozumiały dla mnie sposób oceniając powagę sytuacji. Dysk zapalnika głośno szczęknął i rozsypał się w pył. „Laserowy pas” był bronią jednorazowego użytku.

Podniosłem rękę do góry, jakbym się poddawał. Jakiś czujnik stwierdził, że moje kończyny są poza strefą rażenia i pas zadziałał.

Poczułem, że ściska mnie gorąca obręcz. Wąska wstęga pasa, czarna z zewnątrz i biała od środka, zapłonęła, przemieniając się w strumień promieniowania. Termin „pas laserowy” nie jest zbyt precyzyjny, ale oddaje istotę rzeczy. Przez chwilę wokół mnie płonął, opalając skały, ognisty dysk. Połamane odbiłoby taki cios, co byłoby najlepszym dowodem jego istnienia.

Świetlisty dysk zgasł. Ochronne wnętrze pasa, cienkie jak papierosowa bibułka, opadło na piasek białymi strzępami.

Rozejrzałem się. Skały były równomiernie stopione, jakby ktoś przeciął piankę rozgrzanym nożem.

Nie było sensu wracać na poprzednie miejsce. Znalazłem nowy kawałek cienia i położyłem się w nim.

Nerwy miałem w strzępach. Nikt mnie nie obserwował; obserwator nie mógłby się schować ani uciec w hiperskok. Uboczne efekty przebicia hiperprzestrzeni – potężne promieniowanie czy głośny huk powietrza, które wybucha w miejscu znikającego ciała – były nieuniknione. Jacyś tauryjscy uczeni próbowali usunąć te demaskujące zjawiska, ale nie zdołali. Siewcy również.

– Będę musiał zmienić klimat – wymamrotałem. – Skoro już widzę ludzi na pustyni... i rozmawiam sam ze sobą... to znaczy, że nie jest dobrze.

– A ze mną porozmawiasz?

Ten głos poznałbym wśród miliona innych. – Terry!

Podniosłem rękę. Kryształ pierścienia pulsował niczym małe diamentowe serduszko. Metal buchał ciepłem.

– Gdzie jesteś, Terry? Co z tobą?

Pauza. Wesoły, beztroski śmiech.

– A ty co, nadal włóczysz się po górach? Nie wstąpiłeś do domu?

Jakieś obłęd...

– Wstąpiłem, Terry – powiedziałem, bardzo starannie dobierając słowa. – I znowu ruszyłem w góry.

Głos Terry się zmienił.

– Nie przeczytałeś notatki? Że jestem na Ziemi i masz wezwać statek Siewców?

– Wzięli cię do niewoli? – już prawie krzyczałem. – Zmusili cię do rozmowy ze mną?

– Siergiej! O czym ty mówisz? Nie jestem w niewoli, jestem na twojej planecie! Wszystko wyjaśniłam w notatce, dostałeś ją?

– Dostałem laserem przy próbie podejścia do domu – powiedziałem cicho. Dygotałem z upokorzenia. – Ktoś tu prowadzi podwójną grę. Nawet nie jestem pewien, że rozmawiam właśnie z tobą.

– Siergiej!

Przez kilka chwil milczeliśmy. Kamień pierścienia pulsował coraz szybciej. Jego rezerwy energetyczne też mają jakieś granice, pierścień nie może nam zapewnić długiej rozmowy.

– To naprawdę ja – głos Terry brzmiał teraz spokojniej. – Nie wiem, co się dzieje, ale musisz przybyć na Ziemię. Na orbicie Somata czeka statek, wezwij go na standardowej fali...

– Terry, w naszym domu nie ma już ani jednego całego mikroukładu. Nie ma nawet ścian. – Odkaszniałem. – Poza tym nie ufam moim ziomkom. Rozbij kamień.

– Pierścień wyrzuci cię w dowolnym punkcie Ziemi – powiedziała niepewnie Terry. – To przecież nie Tar, gdzie nie ma oceanów.

– Wiem. Ale musimy zaryzykować. Aktywizuj pierścień.

Moje słowa były tak samo suche jak moje gardło. Na drugim końcu hipertunelu mógł rozmawiać ze mną komputer albo Terry oszołomiona narkotykami i hipnozą.

– Dobrze – powiedziała pokornie Terry, jeśli to była ona. Nie wytrzymałem.

– Terry, malutka... Spotkajmy się w tym samym miejscu, w którym się poznaliśmy, dobrze? Pamiętaj?

– Tak. Siergiej, jesteś gotów?

– Całkowicie.

Wstałem i wyjąłem miecz z pochwy. Jeśli to pułapka, jeśli technika Siewców przechwyci mnie i wyrzuci w więzieniu, lepiej być uzbrojonym. Atomowy miecz pomoże mi przejść przez dowolne drzwi i znaczną liczbę strażników.

– No już, Terry – wyszeptałem.

Pierścień zapłonął pomarańczowym światłem i poczułem, że ciało krępuje mi błona pola siłowego. Naprzód, przez hiperprzestrzeń, przez narkotyczny obłąd tunelu... Z powrotem na Ziemię. Na obcą planetę, do świata moich potomków Siewców.

Ciemność zamknęła się wokół mnie.

2. Powrót

Przechodząc po raz pierwszy przez hipertunel, nie wiedziałem, co mnie czeka. Dziwna, nie do wytrzymania rozkosz ogarniająca człowieka w hiperprzestrzeni zaskoczyła mnie zupełnie.

Teraz byłem na to przygotowany. Na szaleństwo kolorów i zapachów, słodkie drzenie ogarniające całe ciało...

Nie było nic.

Tylko lekkość, znacznie bardziej dojmująca niż nieważkość – wrażenie całkowitej bezcielesności. Naprawdę nie istniałem w tym odcinku czasu, gdy przestrzeń, tracąc swoją trójwymiarowość, rekonstruowała moje ciało w innym punkcie.

Jesteś szczęśliwy?

To był mój własny głos. Sam zadałem to pytanie – i nie zdziwiło mnie, że zastanawiam się nad odpowiedzią.

– Chyba...

A więc nie jesteś. Dlaczego?

– Jestem zmęczony.

Śmiech. Śmiałem się, czując, jak napływa spóźniona euforia. Śmiałem się ze swoich pytań i odpowiedzi, z powagi i poufności tego dialogu.

Zmęczony? Dwadzieścia siedem lat to niewiele. Co ty wiesz o zmęczeniu?

– Zbyt dużo zdarzeń... za dużo zakrętów... nie nadążam.

Wokół mnie płonęła pomarańczowa zorza. Leciałem przez przestrzeń różowego i purpurowego śniegu, przecinając skrzepy białego płomienia. Ciepło i chłód, mrok i światło. I upajający zachwyty.

– Jestem strzałą puszczoną w zachodzące słońce – wyszeptalem. – Jestem szczęśliwy, nie czuję zmęczenia...

I sam siebie przestrzegłem:

Nie wariuj. Odpręż się. W takich chwilach myślenie szkodzi. Po prostu odpoczywaj. Nigdzie nie lecis, jesteś na Ziemi. W hiperprzestrzeni nie ma czasu. Wszystkie twoje odczucia trwają ułamek sekundy, gdy ciało nabiera materialności.

– Odpoczywam...

Słodczyz na języku. Czuła dłoń na czole. Zapach morza i cicha muzyka w oddali.

Odpoczywaj. I zapamiętaj, bo to dobra rada: najprostsza droga jest zawsze najlepsza, najprostsze decyzje są zawsze lepsze od skomplikowanych. Witamy na Ziemi.

Poczułem, że spadam, ale i w tym upadku zabrakło lekkości. Wiatr był zimny, a woda, do której wpadłem, uderzyła w nogi niczym gumowa płyta. Witamy na Ziemi...

Zapadłem się pod wodę i szybko wynurzyłem, plując i łapczywie chwytając powietrze. Uszy

miałem zatkane, ubranie przemiękło. No i dobrze. To była prawdziwa, żywa woda, jakiej nie widziałem od dwóch lat.

Niezgrabnie wymachując rękami – prawie oduczyłem się pływać – popatrzyłem w dal. Brzegu nie było widać. Nie na darmo Terry ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem wyjścia z hipertunelu nad oceanem. Do diabła, na Somacie takiego zagrożenia nie sposób było traktować poważnie...

Miecz ciągnął mnie na dno – płaszczyznowa klinga prawie nic nie waży, ale krępuje ruchy. Wyrzuciłem go bez wahania i ściągnąłem z pleców pas z pochwą. Pozbywając się ich, znowu zanurkowałem. Łyknąłem kolejną porcję wody...

Słodkiej wody!

Odwrociłem się i zobaczyłem brzeg – mniej więcej sto metrów ode mnie. Gdyby nie woda zalewająca uszy, usłyszałbym szum rozbijających się o niego fal.

Nie było sensu żałować miecza – płynięcie z nim było śmiertelnie niebezpieczne – jednak poczułem się oszukany. Jaki kaprys pierścienia wyrzucił mnie właśnie tu, a nie na brzegu?

Nie płynąłem długo; po pięćdziesięciu metrach miałem pod nogami dno. Stałem, popychany niewysokimi falami, i poszedłem po płyciźnie do brzegu.

Wieczór. Purpurowe chmury nad horyzontem – pewnie słońce niedawno zaszło. Szaroniebieskie, północne niebo. Ciemna ściana sosnowego lasu wzdłuż brzegu.

Ciekawe, gdzie jestem? W Kanadzie, w Krainie Wielkich Jezior? Nad Bajkałem?

Brzeg był kamienisty i czysty. Żadnych śladów człowieka. Poszedłem dalej, na skraj lasu i położyłem się na trawie. Przemokłem do suchej nitki, ale to mi nie przeszkadzało. Somat nauczył mnie cenić wilgoć.

Głód nie groził mi przez najbliższą dobę; tabletki odżywcza działała bez zarzutu. Potem będę łowił ryby, zbierał grzyby i jagody i szedł brzegiem poszukując oznak cywilizacji – miast, wsi... fabryk... zardzewiałych beczek wystających z wody... budki telefonicznej...

Uśmiechnąłem się i poklepałem po kieszeniach, żeby się zorientować, z czym przybyłem na swoją planetę.

O dziwo, materiał kombinezonu sechł w oczach. Parowały ostatnie krople wody, nagrzała się podkładka.

Zerknąłem na prawe ramię. Słabe migotanie zielonego światełka. Kombinezon działał i moje nieoczekiwane upodobanie do mokrych ubrań wcale go nie interesowało.

Prychnąłem i wyciągnąłem się na trawie. W końcu mogę chyba trochę odpocząć. Nie spiesz się, jeśli cię nie poganiają, jak uczył mnie kiedyś Ernado.

Najprostsza droga jest najpewniejsza, zapewniałem niedawno sam siebie. Zabawne majaki hipertunelu...

Niebo nade mną ciemniało, chmury stawały się coraz jaśniejsze. Niebo Ziemi... Ale nie

czułem radości powrotu. Raczej niepewność i zagubienie.

Co najsmieszniejsze, nie bałem się, że Ziemia zmieniła się nie do poznania. Najbardziej bałem się tego, że pozostała taka, jak była.

– Zobaczmy – powiedziałem na głos. – W końcu Maestro Staś nie był takim złym człowiekiem.

Tym bardziej że Siewcy najwyraźniej nie porwali Terry. Gdyby użyła pierścienia pod ich kontrolą, znalazłbym się nie na brzegu jeziora, lecz w celi wypełnionej gazem usypiającym. Albo w imadle pola siłowego. Żaden miecz by mi nie pomógł.

Zamknąłem oczy. Wszystko w porządku. Jestem na Ziemi i jestem bezpieczny. Jeśli z Terry jest wszystko w porządku, to nie będę się pakował w żadną awanturę. Nawet nie spróbuję się dowiadywać, kto urządził nalot na mój dom i nasłał roboty bojowe.

Do drugiej w nocy przesiedziałem na brzegu przy ognisku. Nie od razu udało mi się je rozpaścić – ze źródeł ognia miałem jedynie pistolet laserowy, w dodatku prawie rozładowany. W dodatku nawet na najniższej mocy promień nie podpalał gałęzi, tylko ciął je na kawałki. W końcu, rozzłoszczony piątym czy szóstym niepowodzeniem, wcisnąłem w stertę chrustu kamień i rozpałilem promieniem do czerwoności. Gałązki, nawet te wilgotne, zajęły się szybko. Usiadłem tak, żeby nie leciał na mnie dym i od czasu do czasu dorzucałem do ognia sosnowe gałęzie. Przez kilka chwil opierały się płomieniom, potem zapalały się olejki eteryczne i długie zielone igły jarzyły się rubinowym światłem. Od ogniska płynął zapach igliwia, i to nie spalonego, tylko żywego, jak od choinki w Boże Narodzenie.

Od pięciu lat nie obchodziłem świąt, a pozałowałem tego dopiero teraz. Pewnie to zbyt ziemskie święto.

Teraz jest chyba koniec lata, jeśli oczywiście nie zmienił się klimat i to jezioro to rzeczywiście Bajkał. Wiatr był chłodny i pachniał inaczej niż latem. Nie znalazłem wprawdzie jagód, ale może to z powodu półmroku. Żaden problem. W moim kombinezonie nie zmarzną nawet zimą.

Nocne niebo na Ziemi było najbardziej realnym dowodem upływu czasu. Rysunek gwiazdozbiorów się nie zmienił albo byłem zbyt słaby w astronomii, żeby zauważyć różnice. Ale pełzące po niebie światełka satelitów wprawiałyby w ekstazę Ciołkowskiego czy Korolowa. Szczerze mówiąc, taka obfitość budziła niepokój. Różnobarwne punkty mknęły we wszystkich możliwych kierunkach i z najróżniejszymi prędkościami. Kilka razy trajektorie sputników zmieniały się na moich oczach, i to pod takim kątem, że nie można było wątpić w istnienie grawikompensatorów. Kilka satelitów miało ogromne rozmiary – wyglądały nie jak punkty, lecz jak małe dyski. Wokół jednego płonęła słaba aureola, którą oceniłem jako wtórny efekt pracy silników plazmowych. Ta machina pełzła po tak niskiej orbicie, że cały czas musiała

kompensować utratę wysokości od hamowania w stratosferze.

Na wschodzie, niemal nad samym horyzontem, wisiało coś niezwykłego – kwadracik, od którego płynęła kolumna jasnego światła. Wiedziałem, że to tylko zwierciadło kosmiczne, ogromna błyszcząca błona nakierowująca na określony punkt powierzchni Ziemi światło Słońca. Ale pierwsze skojarzenie było bardzo prozaiczne: okno. Małe kwadratowe okienko w ciemnej piwnicy, przez które sączy się światło dnia.

Widok otwartego w niebie okna budził jakiś niesamowity lęk. Na żadnej planecie nie widziałem tak prostego i efektownego rozwiązania problemu nocnego oświetlenia.

Ziemia wydawała mi się obca, niczym dziewczynka z tej samej klasy, która zrobiła sobie ostre makijaż i włożyła dorosłą suknię. To już nie był mój świat.

Ale jeśli wierzyć Maestrowi, na tym świecie ceniono obrazy Dańki. A polityki, którą prowadziła Ziemia przez ostatnie dwa lata, wyjawiając planetom Świątyn swoje istnienie, nie można było nazwać niesprawiedliwą czy kolonialną.

Jedyne, na co Ziemia kładła nacisk, to stworzenie systemu wzajemnej pomocy ludzkich światów z korpusem desantowym w charakterze głównej siły uderzeniowej. Ale ta wojskowa struktura kierowana była przez ogólną radę przedstawicieli planet, miała na celu obronę przed Fangami i w ciągu ostatnich dwóch lat nie przejawiała żadnej aktywności.

Może jestem niesprawiedliwy wobec ojczyznej planety.

W środku nocy, gdy ognisko zaczęło dogasać, usłałem sobie łóżko z gałęzi i poszedłem spać. Po skałach Somata kłujące sosnowe łoża wydawało się całkiem znośne.

Obudziły mnie ptaki.

Przez jakąś minutę leżałem z zamkniętymi oczami. Gdzieś niedaleko, kilka metrów ode mnie, kłaskał niewidoczny ptaszek. Pięć lat temu uznałbym jego śpiew za niewiele bardziej melodyjny od krakania wrony.

Teraz te dźwięki sprawiały mi przyjemność. Witają mnie Ziemia – nie zawsze piękna, nie zawsze szlachetna. Wspólna ojczyzna ludzi. Moja planeta.

– Witaj – wyszeptalem. – Dzień dobry...

– Dzień dobry.

Przywitano się ze mną wprawdzie z lekkim zdumieniem, ale uprzejmie. Zanim nieznajomy dokończył, nie wstając z ziemi uskokczyłem w bok. To musiał być komiczny widok – półskok, półsalto z jednoczesnym poklepywaniem się po karku, bo pewnie tak wyglądała z boku moja próba wyciągnięcia utopionego miecza z nieobecnej pochwy.

Wylądowałem dwa metry od sosnowego łoża, sięgnąłem po pistolet i zamarłem.

Mój poranny gość nie wystraszyłby nawet dziecka. Chudy jasnowłosy chłopak, może siedemnastoletni, o długich włosach, w dużych okrągłych okularach. Czyżby w XXII wieku

Ziemia jeszcze nie poradziła sobie z krótkowzrocznością? Chłopiec miał na sobie czarne kąpielówki i błyszczącą wstęgę niedbale nawiniętą na prawej ręce od łokcia do ramienia. Mimo tak skąpego stroju był kompletnie nieopalony, skóra lśniła niemal mleczną bielą.

– To twój poranny trening? A może pana przestraszyłem?

Chłopiec uśmiechał się lekko. Chociaż byłem kompletnie zaskoczony, zdążyłem zauważyć nieoczekiwaną zamianę „ty” na „pana”. Zapewne mimo woli narzucałem dalszy styl naszych kontaktów...

Nie lubię, gdy próbuje się zdecydować za mnie. – I jedno, i drugie – odpowiedziałem, próbując się uśmiechnąć. Chłopiec patrzył na mnie w zadumie. W końcu podniósł dłonie w czymś w rodzaju pozdrowienia.

– Wybacz – powiedział serdecznie. – Czekałem, aż się obudzisz. Chciałem cię zaprosić na śniadanie.

Po rosyjsku mówił bez zarzutu, chociaż z lekkim łotewskim akcentem. Nie miałem jednak cienia wątpliwości, że to jego język ojczysty. W końcu przez sto kilkadziesiąt lat rosyjski mógł się nieco zmienić.

– Myślałem, że w pobliżu nikogo nie ma – wyjaśniłem. – Dlatego się spieszyłem.

– Jestem roaderem – rzekł spokojnie chłopak.

– Rogerem? – nie rozumiałem obcego słowa, czym zdumiałem swojego rozmówcę.

– Roaderem... no, wędrowcem – powiedział, dzieląc słowo na sylaby. – A może nikt już o nas nie pamięta?

Postanowiłem zagrać *va banque*.

– Wydawało mi się – zacząłem ostrożnie – że zostały tylko jednostki.

Chłopak skrzywił się, ale już wiedziałem, że zgadłem.

– Nie, dziesiątki... No tak. To przez Fangów i genormistów. My jesteśmy poza nawiasem. Ale jesteśmy.

Skinałem głową i przeciągnąłem się.

– To co słyhać w kwestii śniadania? – zapytałem. Chłopiec znowu wytrzeszczył na mnie oczy. Z jakiegoś powodu zdjął okulary i zauważyłem, że nie sprawia mu to różnicy.

– Ciekawie mówisz. Skąd jesteś?

Bez zastanowienia wskazałem ręką niebo.

– Kolonista?

– Z Ziemi, ale długo byłem tam.

– W zakresie – podsumował niezrozumiale chłopak. Moja odpowiedź chyba go zadowoliła. – W kwestii śniadania... w kwestii... – powtórzył, jakby smakując to słowo. – Chodźmy.

Ruszyliśmy do lasu.

– Poznajmy się – zaproponował chłopiec.

Skinałem głową. Im mniej będę mówił, tym lepiej.

– Andriej.

– Siergiej.

Szliśmy przez las – Andriej przodem, wymachując okularami, ja za nim. Chłopak lawirował pomiędzy drzewami w skomplikowany sposób. Nie zauważyłem żadnych śladów ścieżki i zaniepokoiłem się.

– Nie zabłądzimy?

Chwała Bogu, to słowo Andriej znał. Znowu się stropił, jak przy pytaniu o liczebność roaderów, i wymamrotał:

– Nie, mam pizczalę.

Nieokreślonym gestem wskazał swoje ucho. Przyjrzałem się uważniej i na płatku ucha dostrzegłem mały różowy plasterek.

– Sto metrów – dodał Andriej i podał mi okulary. – Popatrz sobie na razie.

Próbując zachować spokój, włożyłem okulary. Były bardzo lekkie, a szkła, jeśli to rzeczywiście były szkła, miały płaskie.

Gdy odsunąłem rękę od okularów, szkła lekko pociemniały. Z góry na dół przebiegł czerwony błyszczący pasek. Na ciemnym tle pojawił się obraz – wirujący biały sześcian. Stawał się coraz większy, aż wreszcie wypadł ze szkieł i poleciał przed moim nosem, nadal rosnąc.

– Dostroiły się? – zapytał z troską Andriej.

– Tak. – Z trudem stłumiłem pragnienie zdjęcia okularów. Szkła pojaśniały, iluzja sześcianu była teraz absolutna. Oto on, metr ode mnie, wystarczy jeden krok i sięgnę do niego ręką.

Sześcian rozłożył się i zmienił w półprzezroczyste płótno... w ogromny klonowy liść... w trzepoczącego skrzydłami motyla. To nie był prawdziwy owad, raczej animowany wariant. Motyl fruwał przed mną, starannie omijając gałęzie drzew. O, do diabła!

Opuściłem głowę i spojrzałem ponad okularami. Oczywiście żadnych motyli nie było.

W uszach zadźwięczała cicha muzyka – może flet, może fujarka, gdzieś daleko, daleko, niemal na granicy słyszalności.

– To Jurkinson, *Motylek i Io* [Aluzja do rosyjskiego barda, poety i pisarza SF, Julija Burkina i jego albumu *Yanessa Io.*] – powiedział Andriej. – Zaraz pójdziemy dołem... Jesteśmy na miejscu.

Z ulgą zdjąłem okulary i oddałem Andrzejowi. Wyszliśmy na polanę i roader pospiesznie zdarł z ucha plaster.

– Kompletnie nic – powiedział, rzucając pizczalę w krzaki. Jasne. Cóż, zmilczę. Widocznie roaderom, kimkolwiek oni są, podobne „pomoce” są zabronione.

– Oczywiście, Andriej. Kompletnie nic – uspokoilem go.

3. Śniadanie na polanie

W życiu nie widziałem dziwniejszego towarzystwa. Najważniejszy był tutaj Dziadek, mężczyzna około czterdziestki (prawdziwego wieku mogłem się najwyżej domyślać) o jasnorudych włosach, ubrany swobodnie, w coś przypominającego dres. Takie ubranie wyglądałoby równie naturalnie na Ziemi XX wieku czy na Tarze albo Shedmonie XXI. Moje pojawienie się skwitował znanym mi już gestem dłoni, po czym wrócił do rozpalania ogniska.

Ognisko ułożono beznadziejnie.

Jedyną dziewczyną w grupie była młoda osoba o imieniu Christa. Okrągła figurka rażąco kontrastowała z twarzą o ostrych rysach. Ale uśmiech miała miły i chyba szczery. Białe, ozdobiony kolorowym haftem strój wyglądał na rękodzieło, ale gdy Christa wstała z mokrej trawy, na ubraniu nie było ani jednej plamki.

Najbardziej obojętnie moje pojawienie się przyjęło dwóch czternastoletnich chłopców. Jeden drzemał pod drzewem na rozłożonej kołdrze. Miał na sobie tylko burozielone szorty i w myślach pogratulowałem mu zahartowania. Był ranek, od jeziora wiał chłodny, wilgotny wiatr. Potem zauważyłem, że powietrze nad nim drga jak nad asfaltową szosą w gorący dzień. Podobne modyfikacje ciepłych kołder spotykałem już nieraz.

Drugi chłopiec skinął mi głową i zanurkował do pomarańczowego niedużego namiotu. Zdażyłem tylko zauważyć, że twarz ma zupełnie dziecienną, a na szyi nosi złocisty okrągły medalion.

Andriej odprowadził chłopca spojrzeniem i powiedział:

– To Vic nas na ciebie naprowadził. Jest sensem, wprawdzie niezbyt silnym, ale w takiej głuszy wyczuje człowieka z odległości dziesięciu kilometrów.

Skinąłem głową. Skoro Świątynie posługiwały się telepatią, dlaczego nie mieliby tej sztuki posiąść Siewcy? Miałem tylko nadzieję, że sens nie zdoła odczytać moich myśli.

Dziadek w końcu poradził sobie z rzuconymi byle jak gałęziami, zaczęły trzaskać płomienie. Z miną niezmiernie zadowoloną odszedł od ognia i zapytał:

– Ma pan ochotę na pieczone mięso? Naturalne.

Skinąłem głową i zauważyłem, że moją zgodę przyjęto ze zdumieniem. Sytuację uratował Andriej:

– Siergiej jest kolonistą. Produkty naturalne to dla niego nic nadzwyczajnego.

Christa popatrzyła na mnie zaskoczona, drzemiący nastolatek podniósł głowę, a Dziadek zapytał:

– Skąd? Jeśli szczerze...

Rzadko oglądałem ziemskie wiadomości. Chyba bałem się nostalgii. Ale informacji z planet-kolonii nie przepuszczałem. Ziemia miała czterdzieści kolonii zasiedlonych przez

międzygwiazdne ekspedycje. Wszystkie pozostałe były tworem Świątyni. Stosunek do prawdziwych i „świętynnych” kolonistów mógł być różny.

– Z Brzegu Grunwalda – oznajmiłem.

Kolonię na Syriuszu, nazwaną na cześć poległego szwedzkiego pilota, zamieszkiwali głównie Słowianie. Poza tym zasiedlono ją stosunkowo niedawno, dopiero po zainstalowaniu ekranu chroniącego planetę przed promieniowaniem Syriusza. Kolonia była w dużej mierze zależna od metropolii, a jednocześnie miała swój język, zwyczaje i etykę.

– Z Brzegu? – drzemiący chłopak uniósł powieki i roześmiał się. – To tam gdzie niebo jest w kratkę?

– Sieć tarczy widać jedynie na zachodzie – zareagowałem ostro.

– Dzięki niej możemy chodzić bez zbędnej ochrony.

– Czego się złościsz – prychnął chłopak i znowu stracił zainteresowanie.

Czasem dobrze jest oglądać programy edukacyjne... W myślach postawiłem sobie plus i zacząłem opowiadać na pytania Dziadka i Christy – najbardziej ciekawskich osób w tym towarzystwie.

Owszem, urodziłem się na Ziemi, w Moskwie (miałem nadzieję, że nie zmieniono nazwy rosyjskiej stolicy). Na Brzeg Grunwalda poleciałem z rodzicami, jak skończyłem dziesięć lat. Pracowałem jako pilot, woziłem ładunki na dyskach transportowych i pasażerów na flakerach. Po co są potrzebni piloci? Automatyka nie radzi sobie z naszymi huraganami. Wynajmowanie zawodowych pilotów wychodzi taniej (wiedza rodem z wiadomości). Tak, jestem żonaty. Dzieci nie mam, zdążę. Zbieram modele statków kosmicznych, szczególnie dawnych. Wostok, Gemini... Nie słyszeliście? Na Ziemię wróciłem wczoraj. Cały dzień włóczyłem się po Moskwie, potem zachciało mi się pobyć na łonie natury. Jutro, może jeszcze dziś odleczę. Jasne, mogę upiec mięso „po grunwaldzku”, ale potrzebne będą przyprawy. Nie ma? Jaka szkoda.

Dziesięć minut później mimo wszystko nabijałem kawałki mięsa na cienkie stalowe druty. Może i było naturalne, ale na pierwszy rzut oka na to nie wyglądało – bez kawałka kości czy chrząstki, pocięte na równe sześciiany, zapakowane w przezroczystą folię.

– Teraz wszystko jest inaczej... – wymamrotał Dziadek. Trochę przypominał mi ojca. Tak samo milczący i żałujący przeszłości, niezbyt stary, ale szalenie dorosły. Zwłaszcza wtedy, gdy próbował się odmładszać.

– Czasy się zmieniają – wygłosiłem sprawdzoną przez tysiąclecia mądrość.

Dziadek zerknął na mnie spode łba.

-No, nie wiem. Ludzie się zmieniają, ale czasy... Pięćdziesiąt lat temu, gdy zostałem roaderem...

Oho! Dziadek rzeczywiście miał co najmniej sześćdziesiątkę. Przecież nie wyruszył na

włóczęgę w wieku niemowlęcym.

– Wtedy mieliśmy cel. I sens. Znałem roadera... pewnie jedyne prawdziwego roadera na świecie. Igor, nazwiska nie pamiętam...

Kiwałem głową z udawanym zainteresowaniem, kończąc kolejną porcję szaszłyka. W zamkniętym hermetycznie pojemniku znalazłem dziesięć dojrzałych pomidorów i teraz nadziewałem je na przemian z kawałkami mięsa. Jak udało im się nie zgnieść tych pomidorów w czasie pakowania?

– Wiesz, od czego się wszystko zaczęło? Dlaczego pojawili się roaderzy?

– Nie.

Rozmowa stawała się coraz ciekawsza. Aż nazbyt pouczająca, jeśli mam być szczery. Czy to aby nie byli podstawieni włóczędzy?

– Gdy syntezatory żywności stawały się coraz bardziej rozpowszechnione, a jedzenie było praktycznie bezpłatne, wielu ludzi przestało pracować. Nie mieli potrzeby zarabiania, a innych bodźców nie było. Na wyższe stanowiska przebijały się tylko jednostki...

Zamarłem. Ręce nadal nadziewały mięso i pomidory na szpikulec, a w głowie tłukła się jedna myśl: Syntezatory żywności, jedzenie bezpłatne...

Przypadek? Rezultat kontroli Świątyni? Znowu znalazłem się na pokładzie „Terry”. Łądowaliśmy na Rantori Ra. Mętne czerwone słońce wylaniało się znad horyzontu. Step był czarny i wypalony. Razem z Lansem wyładowywaliśmy skrzynie z konserwami i koncentratami, a sterujący transporterem Ernado powiedział: „Powietrze i woda prawie się oczyściły, ale gleba... Gdyby nie musieli jeść miejscowego pożywienia!... Ale czy sto milionów ludzi może żyć z samej jałmużny?” Rantori Ra, planeta-samobójca. Trędowata planeta, której ostatni mieszkańcy powoli gnili na zatrutej ziemi pod trującym niebem. Kilkanaście osób stało nieopodal statku – tylko wariat pozwoliliby im podejść bliżej. Pólludzie, półpotwory. A wystarczyłoby, żeby nie jedli skażonego jedzenia...

Przypomniałem sobie Shetly, planetę, która przegrała gwiazdną wojnę i płaciła rozłożoną na stulecia daninę. Nie wiem, kto w tej wojnie miał rację, a kto nie. Ale wystarczył jeden spacer po ulicach stolicy, by stracić całe zainteresowanie. Planeta płaciła reparacje żywnością – najdroższym towarem galaktyki, jeśli nie liczyć broni. A broni nie mogli produkować...

Szliśmy razem z Ernadem do biura miejscowej firmy handlowej, bloki ochrony osobistej na pasach mieliśmy włączone. Tak poradzono nam w administracji kosmoportu, a ja jakoś nie pałałem chęcią eksperymentowania. Przechodnie odprowadzali nas spojrzeniami, od których robiło mi się nieswojo. Nie byli wychudzeni, raczej jakby spuchnięci. „Brak racjonalnego żywienia” – skomentował Ernado, który lepiej orientował się w sytuacji niż ja. „Wejdźmy do restauracji, zobaczymy, co jedzą” – zaproponowałem półzartem. „Dobrze, tylko nie bierzmy mięsa”. Przez sekundę stałem na środku chodnika, próbując odnaleźć w słowach Ernada jakiś

mniej obrzydliwy sens. W końcu powiedziałem: „Odlatujemy. Nie zabiorę z tej planety ani grama żywności, bez względu na to, ile zapłacą”. Ernado skinął głową i dodał: „Czy to coś zmienia?”

Ziemia od stu lat używała syntezatorów żywności. Ale żadnej planecie Świątynie nie podpowiedziały takiego rozwiązania.

– Nie przeszkadzam ci, Siergiej? – zapytał Dziadek.

– Nie, opowiadaj, słucham.

– Najczęściej roaderami zostawali młodzi ludzie. Nawet dzieci, te, które dostały Znak Samodzielności. Do czasów, gdy powstały hipersilniki, innego wyjścia nie było. Dopiero wtedy, gdy zaczęła się kolonizacja...

Umocowałem rożny z mięsem nad ogniem. Jeśli chodzi o roaderów, wszystko było mniej więcej jasne: połączenie hipisów, punków i rockersów. Mieszanka abstrakcyjnej dobroci hipisów z pogardą do rzeczywistości punków i zamiłowaniem rockersów do przemieszczania się. Zresztą nie uznawali ani motocykli, ani innej techniki. Przeważnie wędrowali na piechotę, tylko jeśli chcieli dostać się na inny kontynent, korzystali z transportu – bezpłatnego. Ziemia naprawdę była bogatą planetą.

– ...kusila możliwość nowych podróży, ciągnęła romantyka niezbadanych światów. Roaderów dosłownie wyssało z Ziemi. A w koloniach wszystko było inaczej. Najbardziej uparci ginęli, pozostali zaczęli pracować. To okazało się bardziej interesujące niż włączęga po drogach z wykorzystaniem gwarantowanego minimum usług.

Dziadek zamilkł, patrząc w ogień. Christa przysunęła się bliżej.

– Kończ, Dziadku – prychnęła. – Siergiej słucha z uprzejmości. Opowiadasz jak z podręcznika historii. Wszyscy to wiedzą.

Dziadek przepaszająco skinął głową i zaczął obracać rożen z mięsem. Za moimi plecami ktoś półgłosem powiedział:

– Siergiej tego nie wiedział. On po prostu wchłaniał informacje. Po skórze przebiegł mi dreszcz. Odwróciłem się. Za mną siedział Vic, chłopiec, który wyczuł moją obecność. Sens, no jasne.

Do kompletnego zdemaskowania brakowało mi tylko telepaty. – Nigdy nie interesowałem się historią – wyjaśniłem obojętnie. – Ani roaderami. Pewnie niesłusznie.

Podszedł Andriej i z zachwytem zasugerował:

– A może jesteś zwiadowcą z chronokolonii? W zeszłym tygodniu mówili o jednym takim z planety Kleń.

Teraz już patrzyli na mnie wszyscy. I doskonale wiedziałem, co widzą. Twardą twarz o bardzo suchej skórze, a na Brzegu Grunwalda jest wysoka wilgotność; półwojskowy kombinezon, dość nietypowy jak na strój codzienny; przypiętą do pasa pochwę, w której trudno

nie rozpoznać kabury.

– Zwiadowca przygotowałby się znacznie lepiej – odparłem z udawaną wesołością w głosie i dorzuciłem jedno z usłyszanych niedawno slangowych zwrotów: – Twój pomysł nie jest w zakresie.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszedł mi Vic.

– On nie jest zwiadowcą, Andriej. Jest nasz, z Ziemi. Kosmitów wyczuwam.

– Szkoda – powiedziała ze szczerym westchnieniem żalu Christa. – Byłoby ciekawiej.

Pewnie. Gdyby zwiadowca z chronokolonii był na tyle bezczelny, żeby przeniknąć do świata Siewców, bez wahania zlikwidowałby świadków. Roaderskie towarzystwo chyba tego nie rozumiało.

Zaczęliśmy jeść, ale w powietrzu nadal wisiało skrępowanie. Andriej zaczął zwracać się do mnie per „pan”. Christa rzuciła mi zaciekawione spojrzenia, szybko odwracając wzrok. Vic i drugi chłopak milczeli. Tylko Dziadek zachowywał się jak przedtem.

Spóźnione śniadanie – słońce było już w zenicie – zakończyliśmy sokiem pomarańczowym z kartoników. Zauważyłem, że puste kartoniki, niedbale odrzucone do tyłu, po kilka minutach rozmiękły i pociemniały. Z problemem odpadków Ziemianie też sobie poradzili.

Mój pojemnik, który ku zdumieniu roaderów wrzuciłem do ogniska, zapłonął jasnym płomieniem bez dymu.

Pierwszym, komu znudziło się udawanie zrelaksowanego, był Andriej. Wstał z trawy, otrząpał nogi z przyklejonych śmieci i zapytał, nie wiadomo, czy zwracając się do Christy, czy do wszystkich obecnych:

– Może się pobawimy?

Christa skinęła głową, wstała i powoli poszła w stronę jeziora. Przechodząc obok namiotu, podniosła z trawy przezroczysty pakunek – materac albo nadmuchiwaną tratwę – Den, Vic – zagadnął Andriej chłopców. – Podtrzymujecie? Vic pokręcił głową, Den leniwie powlókł się za Christą. Andriej poszedł ostatni.

Mnie do swoich wodnych zabaw nie zaprosili... Skrzywiłem się. No i dobrze. I tak nie miałem ochoty. Lepiej zapytam Dziadka, jak się stąd wydostać.

Poczekalem, aż ta trójka zniknie mi z oczu, i odwróciłem się do przywódcy roaderów. Zdumiała mnie zmiana, jaka w nim zaszła. Spadła z niego maska solidności, znikły również idiotyczne próby odmłodzenia się. Stał przede mną zwykły mężczyzna w średnim wieku, rozpaczliwie próbujący ukryć rozczarowanie. Ciekawe, co go tak rozstroilo.

– Dziadku... – zacząłem i nagle poczułem obrzydzenie do tego przezwiska. Niech go sobie używa Andriej i reszta towarzystwa. – Jak masz na imię?

– Mike – powiedział po prostu i pokręcił głową. – Jesteś bardzo dziwny, Siergiej. Obcy.

– Jak zapewnił Vic, jestem z Ziemi.

– To jeszcze nic nie znaczy.

Mike podniósł gałązkę, pogrzebał nią w ogniu i powiedział cicho:

– Pytaj, Siergiej, a ja odpowiem. I nie dam po sobie poznać, jeśli pytania mnie zdziwią.

– Dawno wróciłeś do roaderów?

– Miesiąc temu. Zebrałem brygadę i odszedłem. Niepotrzebnie, powinienem był iść sam.

Skinąłem głową.

– Ty jesteś tu jedynym prawdziwym włóczęgą, Mike. – Wiem. Liczyłem na Andrieja... może na Vica. Ale oni nie umieją milcząco krzyczeć.

Zrozumiałem. Zerknąłem na przyglądającego się nam obojętnie Vica i powiedziałem:

– Może czasy biernego oporu minęły. Walczyliście przeciwko temu, że w życiu nie ma miejsca dla milionów. Z czym roaderzy chcą walczyć teraz? Przeciwko czemu chciałeś ich dzisiaj zbuntować?

– Przeciwko czemu? – powtórzył Mike i dodał ze złością: – Jesteś z kolonii... jeśli to prawda. Czy nie widzisz, co się dzieje? Czym stała się Ziemia?

– Nie widzę – odpowiedziałem szczerze.

– Wiesz, skąd się wzięły chronokolonie?

– No, tak ogólnie... – Serce zatłukło mi się w piersi.

– Ogólnie można znać tylko kłamstwo. Prawda leży zawsze w szczegółach. Żadnego projektu „Siewcy” nie było.

– Czyżby? – z trudem stłumiłem uśmiech.

– Tak. Wielka misja Ziemi, by zapełnić galaktykę istotami rozumnymi, stworzyć tysiące nowych cywilizacji, to bzdury. Fangowie! Oto cała przyczyna! Nasze rządy są tak samo szalone jak oni. Jacyś mądrale postanowili stworzyć z niczego całą armię sprzymierzeńców, rozgromić Fangów rękami marionetek.

Patrzyłem na Mike’a osłupiały. Mój Boże, czy on naprawdę myśli, że powiedział coś nowego? Czy większość Ziemian wierzy w altruizm projektu „Siewcy”?

A czy wiedzą o projekcie „Świątynie”? O tym, że planety chronokolonii są całkowicie kontrolowane przez Ziemię?

– Mike – zacząłem ostrożnie – jeśli masz rację, to cały pomysł z chronokoloniami jest nieetyczny, ale bardzo rozsądny. Przecież sojusznicy się pojawili.

– Pojawili? – Mike uśmiechnął się gorzko. – A co będzie jutro? Kiedy już wojownicy chronokolonii załatwią Fangów? Wezmą się za Ziemię i jej żalosne czterdzieści kolonii. Jak to się mówi... z deszczu pod ulewę?

– Nie. Z deszczu pod rynną. A moim zdaniem Ziemia umie całkiem niezłe kontrolować kolonie. W końcu tamci są na niższym stopniu rozwoju, słabiej uzbrojeni i nawet nie mają syntezatorów żywności.

– Tym bardziej, Siergiej. Teraz uważają nas za półbogów, prarodzców, wielki i dobry świat. A jeśli dowiedzą się, że tak naprawdę jesteśmy planetą tchórzy chowających się za plecami swoich dzieci? Zamieniliśmy swoje jutro w dzień wczorajszy. Nieważne, że w ten sposób ratujemy swoje dzisiaj. Zapłata przyjdzie prędzej czy później, Siergiej. Nie wybaczą nam, że utrzymywaliśmy ich w zacofaniu, w roli mięsa armatniego. Już teraz chronokolonie próbują zrozumieć, kim jesteśmy. Nie wybaczą nam.

Milczałem. Masz rację, Mike. Nie wybaczą. Nigdy. Ani roli bezpłatnych żołnierzy w galaktycznej rzezi, ani wielowiekowego treningu przed generalną bitwą, w który zmieniły ich życie Świątynie, ani głodu, ani wiecznego strachu przed Siewcami-bogami.

A przede wszystkim nie wybaczą nam uzurpacji. Nie wolno udawać boga, ale można udowodnić, że się chce być bogiem. Nieważne, dobrym czy złym. Nie wolno się tylko zatrzymywać, bo można spaść z Olimpu...

Ziemia się zatrzymała.

– Mike, co ty chcesz osiągnąć? Tutaj nie pomogą metody roaderów... ich milczący krzyk i rezygnacja z cywilizacji.

– Siergiej, ile ty masz lat? Ziemskich biołat?

– Dwadzieścia osiem.

Mike spojrzał na mnie zdumiony.

– Myślałem, że o dziesięć więcej. W takim razie rozumiem cię. Myślisz, że droga aktywności ciała jest ważniejsza niż droga duszy. Ale świat można zmienić jedynie zmieniając każdego człowieka na tym świecie.

– Ciekaw jestem, jak można zmienić człowieka bez przejawiania aktywności.

– Przykładem. Pokazać mu, jak zmienia się dusza, i poprowadzić za sobą.

– Wielu już poprowadziłeś, Dziadku?

Mike uśmiechnął się krzywo i milczał.

– I co osiągnąłeś? Nawet jeśli roaderów będzie wielu, nawet jeśli staną się potęgą... bierną potęgą. Chronokolonie już istnieją i tego nie zmienicie.

Mike powiedział niechętnie:

– Jest pewna droga: odejść z naszej przestrzeni... Zostawić ją Fangom i chronokolonom. Niech walczą między sobą.

Zamilkłem. Jeśli Mike uważa, że droga duchowego rozwoju powinna skończyć się zdradą na skalę galaktyczną... A przecież nie wygląda na łajdaka.

A może stary roader rzeczywiście uważa taką możliwość za najbardziej etyczną? Może wie, że istnieją inne rozwiązania w trójkącie Ziemia-Fangowie-chronokolonie znacznie gorsze niż ucieczka Ziemian w inną przestrzeń...?

– Dziadku – odezwałem się, nie patrząc na niego. – Ze wszystkimi prowadzisz takie

rozmowy?

– Nie – odparł bez wahania Mike. – Nie mówiłem o tym nawet i swoim dzieciakom.

– O co w takim razie chodzi? Werbujesz mnie do roaderów? Nic z tego.

– Jesteś Ziemianinem, jeśli wierzyć Vicowi. Jesteś kolonistą, jeśli wierzyć tobie. Masz na sobie ochronny kombinezon pracowników projektu „Siewcy”, jeśli mnie pamięć nie myli. I nienawidzisz tego projektu znacznie bardziej niż ja.

Dziadek leniwie przesunął nogą tłące gałązki. Chyba jego ubranie jest równie żaroodporne jak moje.

– Widzisz, Siergiej, każdy prawdziwy roader to doskonały psycholog. Umie odczytać wyraz twarzy nawet najbardziej powściągliwych ludzi. Twojej mimiki nie zrozumiałoby jedynie dziecko. Jesteś obcy, który ukrywa się przed władzami.

4. Hotel dla szpiega

Próbowałem się uśmiechnąć, ale mięśnie nie chciały mnie słuchać; uśmiech wyszedł żaloszny i nienaturalny.

– Co masz zamiar teraz zrobić. Mike?

– Nic. I wcale nie z powodu twojego pistoletu. My też jesteśmy opozycją, tylko bierną.

Wierzyłem mu, nawet bez żadnych wyjaśnień. Jednak Mike postanowił wyświetlić sytuację do końca.

– Walcz z nimi. Kolejny problem dla projektu „Siewcy” czy Ansambłu to szansa, że usłyszą również nasz głos.

– Tym bardziej że stanie się on kompromisem – zasugerowałem. Dziadek skinął głową. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie dodać:

– Powinienem czuć dumę. Roder, doświadczony psycholog uważa mnie za zagrożenie dla całego projektu z dwoma milionami pracowników.

– Uważam – powiedział poważnie Mike. – Nie żebym był zachwycony, ale uważam.

Zaczął grzebać w leżącym na trawie plecaku. Ten element wyposażenia turystycznego prawie się nie zmienił: te same paski i sprzączki, kieszenie na bokach, pomarańczowy materiał, już nieco wypłowiwały od słońca.

Dziadek wyciągnął ze sterty kolorowych szmat płaską szklaną butelkę z przezroczystym brązowym płynem i podał mi.

– Koniak? – spytałem, nie patrząc na etykietkę. Może niesłusznie; kto wie, czy w XXII wieku ten napój nie stał się antykwaryczną rzadkością. Ale pytanie nie wzbudziło podejrzeń.

– Tak. Siedmioletni kutuzow.

Z zainteresowaniem przyjrzałem się etykietce. Przesadnie kiczowata, pstrokata, jakby na przekór surowej nalepce napoleona. W milczeniu i uroczyście rozlaliśmy koniak do szklaneczek, które podał nam Vic. Dał trzy, ale dziadek jakby nie zwrócił na to uwagi. Dopiero gdy upiliśmy łyk, dorzucił:

– Nie znakuj, Vic. Bo się skontaktuję z ojcem.

Chłopak nie zaprotestował.

Drugą porcję koniaku dziadek poprzedził toastem:

– Za Ziemię.

Skinąłem głową. Można wypić za Ziemię, a można też za Fangów czy chronokolonistów. Koniak sam w sobie też wart był oddzielnego toastu. Ten napoleon, który miałem okazję kiedyś próbować, tani, rozlewany w Polsce, był znacznie gorszy.

– Mike, muszę... dostać się do najbliższego miasta. Jak najszybciej.

– Nie masz fonu? – Dziadek uśmiechnął się, jakby uznając retoryczność tego pytania. Czy

naprawdę bierze mnie za kosmicznego zwiadowcę?

Pokręciłem głową.

– My też nie mamy łączności. Andriej trzyma w ukryciu awaryjny wzywnik. To pilny przypadek?

– Nie. Tylko kaprys.

Dziadek skinął głową.

– Dla roaderato wystarczający powód, dla służb transportowych nie. Wyjmij mapę z plecaka i poszukaj najbliższego punktu łączności. Oczywiście, jeśli nie jesteś zainteresowany pieszą wędrówką do Irkucka.

Aha, czyli rzeczywiście jesteśmy nad Bajkałem. Ciekawe, czy Irkuck jest rzeczywiście najbliższym „terenem zasiedlonym”? A może moje słowa o mieście Mike wziął dosłownie?

Mapę znalazłem w cienkim mapniku razem z jakimiś papierami i okrągłym złotym medalionem, ze znakiem dokładnie takim, jaki i Vic nosił na łańcuszku. Spojrzałem na mapę i poczułem się jak kompletny kretyn. To była mapa Ziemi w skali jeden do dwudziestu milionów, w kształcie dwunastoramiennej gwiazdy, z rozciągniętymi na niej kontynentami. Wyglądała jak wydrukowana na zwykłym papierze, ale obok niebieskiej plamki Bajkału płonął oślepiający rubinowy punkt. Pewnie nasze współrzędne.

– Nie trzeba – odezwał się nagle Vic. – Punkt łączności jest pięć kilometrów na północ.

Dziadek rzucił Vicowi badawcze spojrzenie.

– Skąd wiesz?

– Patrzyłem wczoraj – odpowiedział nastolatek z niezrozumiałym dla mnie podtekstem.

– Jasne.

Zapadła cisza. Patrzyłem to na Mike’a, to na Vica. Coś się działo...

– Zaczekać na ciebie? – zapytał Dziadek.

Vic pokręcił głową.

– W takim razie odprowadź Siergieja.

– Oczywiście. Wezmę plecak.

– Poprosić Andrieja o wzywnik?

– Nie warto. – Vic poklepał znak na piersi. – Nie mam kompleksów, Dziadku. Jeśli będzie trzeba, złamię znak.

– Pożegnasz się?

– Pozdrowienia dla Christy.

Vic wstał i skinął na mnie.

– Chodźmy, odprowadzę cię.

Zajrzał do namiotu, wziął swój prawie pusty pomarańczowy plecak, identyczny jak ten Mike’a. Nie oglądając się, zaczął się oddalać ode mnie, Dziadka i ogniska.

– Pozdrów ojca – rzucił za nim Mike i podał mi rękę. – Dogoń go. Wiatru w twarz, spotkamy się w drodze.

– Wiatru w twarz – powtórzyłem. – Dziękuję za śniadanie. I za napój z butelki.

W głowie mi lekko szumiało. Wstałem i powędrowałem za Vikiem. Chłopiec szedł tym pozornie niespiesznym krokiem, który w ciągu godziny wykończyłby każdego zawodowca.

Przez dziesięć minut szliśmy w milczeniu. W końcu odezwał się Vic, nie patrząc na mnie:

– Wyczułem cię wczoraj wieczorem, zaraz po hiperprzejściu. Bardzo się czegoś przestraszyłeś.

– Wpadłem do wody i nie zobaczyłem brzegu – odpowiedziałem po sekundzie wahania. – Skąd wiesz o hiperprzejściu?

– Sygnał pojawił się nagle. – Vic poprawił plecak i dodał: – Nie bój się, nie czytam myśli. Tylko emocje.

– Nie boję się.

Znowu milczenie. Weszliśmy na niewysokie wzgórze. Wiał równy, zimny wiatr. Znowu odezwał się Vic:

– Nie marznę, przecież jestem roaderem. Nie musisz mi proponować kurtki, to byłoby śmieszne. – Uśmiechnął się. – Masz bardzo wyraźne emocje. Biegunowe. Nie gniewaj się.

Wzruszyłem ramionami. Rozmowa z półtelepatą to niezły sprawdzian wytrzymałości.

– Troska... ochrona... opiekuńczość – ciągnął Via – Boisz się o swoją dziewczynę?

– Tak – powiedziałem, powoli wpadając w złość.

– A także przeciwne emocje. Agresja... wściekłość... nienawiść. Nie chciałbym być twoim wrogiem. I nie zazdroszczę człowiekowi, któremu udało się nim zostać. Siergiej, mogę cię prosić o szczerłość?

– I tak wyczujesz fałsz. Pytaj, Via – Jak to jest, zabijać naprawdę? Co czujesz? Strach? Żal? Wstręt?

Stanęliśmy. Vic patrzył na mnie z ciekawością. Udawanie nie miało sensu.

– Różnie, Via Czasem nawet obojętność.

– To źle – powiedział poważnie Via Najgorzej jak tylko może być. Ale czy można zabijać na niby?

– Na filmach z mentalną podkładką. Ale w nich wszystko trzeba filtrować, bo wiadomo, że kłamią. Wybacz pytanie. To między nami, na wyjście zero.

– Do diabła z tym waszym slangiem – nie wytrzymałem. – Jesteś człowiekiem czy komputerem?

– Człowiekiem. Popatrz, Siergiej, tam jest Andriej z parą na brzegu.

Popatrzyłem w tamtą stronę. Powietrze było czyste, mimo dużej odległości dało się dojrzeć

nadmuchany, połyskujący jak szkło materac. I trzy osoby na nim.

Więc to takie zabawy.

Kilka razy wciągnąłem i wypuściłem powietrze. Popatrzyłem na Vica. Twarz mi płonęła.

– Podoba ci się? – zapytał twardo Via – Klnij, może ci ulży.

– Ile lat ma Den?

Nie wiem. Ale ma Znak, w takich wypadkach nie pyta się o wiek. Andriej ma piętnaście, Christa czternaście. Chyba.

– Chodźmy.

– Tylko nie do nich. Oni mają Znaki, rozumiesz? Mogą robić, co chcą, jeśli tylko nie przeszkadzają innym.

Przeszkadzają mnie, Uspokój się... – poprosił Via Poczulem, że gniew odpływa. Pozostało zakłopotanie i idiotyczna myśl – czy Vic brał udział w takich zabawach?

– Nie. Nigdy. Chodźmy, nie zdołam cię długo powstrzymać.

I też jestem głodny.

W milczeniu poszedł dalej. Postąłem chwilę i ruszyłem za nim. Gdy pokonaliśmy wzgórze, zażądałem:

– Przerwij powstrzymywanie. I nie wtrącaj się więcej do moich emocji.

– Już przerwałem. Widzisz tę iskrę przed nami? Wytężyłem wzrok. Trzy kilometry od nas nad ziemią połyskiwała srebrzysta kreseczka...

– Antena. Możesz wezwać flaeer... Nie, lepiej ja wezwę. Przecież nie masz Znak.

– Słuchaj, Via Nie jesteś ciekaw, kim jestem? Człowiek bez Znak, który niczego nie rozumie i kłamie na każdym kroku... A może jednak czytasz w myślach?

– Nie! – zawołał z wyraźną urazą Via – Jestem ciekaw, ale lepiej nic nie mów.

– Nie chcesz się mieszać do cudzych tajemnic?

Odpowiedział nie od razu.

– Nie chcę stracić tej tajemnicy. Nigdy nie miałem tajemnic, Siergiej. Wszystkiego można się dowiedzieć, na dowolne pytanie znaleźć odpowiedź. Zwłaszcza gdy umiesz czytać emocje. A ty się nie otwierasz. Pozwól mi się pomęczyć.

To straszne, gdy do odpowiedzi nie ma pytań.

Zwolniłem kroku i spojrzałem podejrzliwie na Vica. Myśl wydała się obca, wciśnięta do świadomości z zewnątrz. Straszne. Gdy do odpowiedzi. Nie ma pytań.

Bzdura.

– Vic, mogę cię prosić o radę?

– Oczywiście.

– Gdzie mógłbym zatrzymać się na kilka dni, nie przyciągając niczyjej uwagi?

– W Irkucku? W Moskwie?

– No... w dowolnym mieście.

Vic uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

– Hotele są wszędzie. Ale bez pytań... i Znaków...

Co u licha z tym znakiem!

– Chyba że... Weź w biurze informacyjnym adres kierownika klubu roaderów. Jest niemal w każdym mieście. Wspominają młodość, piszą pamiętniki... Idź do niego i powiedz, że jesteś roaderem. Nie będzie zadawał pytań, to nie jest przyjęte.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Albo przygadaj dziewczynę...

– Myślisz, że dałoby się obejść bez pytań?

Vic stropił się.

– No... nie wiem... zależy z kim...

– Nie znakuj – powiedziałem złośliwie. – Nie próbuj wydawać się bardziej dorosły, niż jesteś. Dobrze mówię?

Nie odpowiedział. Do punktu łączności doszliśmy w milczeniu. Gdy stanęliśmy obok niewysokiego kamiennego słupa, zwieńczonego ciekawym metalowym szpiczkiem, Vic powiedział:

– I nie zapomnij zmienić ubrania. Ale w sklepach automatów bez Znaków cię nie obsłużą. Wejdź do zwykłego, jesteś wystarczająco dorosły, żeby nie udawać zdolności kredytowej. Tylko nie szukaj ubrań w dziale lux. I nie bierz niczego na zamówienie. Coś prostego, taniego, niezbyt modnego.

– Spodnie i sweter. Można?

– Można. – Vic uśmiechnął się, że nie zauważa ironii. – Byle nie z naturalnej wełny.

Na kamiennym słupie był mały panel z kolorowymi guzikami – zielonym, żółtym i czerwonym. Vic dotknął żółtego, zabłyśnięło światło. Z niewidocznego głośnika rozległ się miły kobiecy głos:

„Pilne wezwanie flara zostało przyjęte, Znak zarejestrowany. Wolna maszyna przybędzie w ciągu siedmiu minut”.

– Dziękuję – powiedział grzecznie Vic i skinął mi głową. – Tak się to robi. Ale ty wzywaj flar zielonym guzikiem, wtedy nie sprawdza się posiadania Znaków. I tak nie będziesz czekał dłużej niż godzinę.

– Dobrze.

Vic usiadł na trawie; po chwili wahania usiadłem obok. Nie dawało mi spokoju jedno pytanie, ale bardzo nie chciałem go zadać.

– Pytaj – powiedział nagle Vic.

– Dlaczego zajmujesz się takimi głupotami? Dziadek to rozumiem, tęskni za swoją

młodością. Andriej i reszta lubią... zabawy na świeżym powietrzu w romantycznym otoczeniu.
A co ciebie tu przywiało?

Vic popatrzył na mnie niepewnie.

– Nie wiem, czy to będzie zrozumiałe.

– Spróbuj wyjaśnić, może zrozumiem. Jestem domyślny.

– Jest mi niewygodnie. Wszędzie i zawsze. A kiedy wędruję z roaderami, jest trochę lżej.

Rysy mu się wyostrzyły. Ciekawe, ile on ma lat? To nawet nie akceleracja, diabli wiedzą co...

– Zrozumiałem cię, Vic.

– Tak? To może mi wyjaśnisz?! Bo ja nie rozumiem! – krzyknął Vic nieoczekiwanie cienkim, obrażonym głosem. – W czym jestem gorszy od innych?

– W niczym, głuptasie.

Nagle ogarnęło mnie współczucie dla tego naburmuszonego dzieciaka. Współczucie i czułość...

– Może nawet jesteś lepszy od innych, Vic. Jesteś sensem, czujesz emocje innych ludzi, ich ból i smutek. I nie wiesz, jak sobie z tym poradzić, bo do tego trzeba być dorosłym, a nie posiadaczem Znak.

– Uważasz, że wszystkim jest źle? – zjeżył się Vic. – Nie rozumiem! Przecież są zadowoleni!

– Może to leży głębiej niż zadowolenie.

Vic wstał i poruszył ramionami, układając wygodniej plecak.

– Twój flaer. Poradzisz sobie ze sterowaniem? Obejrzałem się – od strony jeziora sunęła półprzezroczysta maszyna w kształcie wielkiej kropli wody.

– Mam nadzieję. Nie lecisz?

– Nie. Idę.

Wsunął ręce do kieszeni i powiedział półgłosem:

– Leć. Dokonaj swoich czynów. Wylecz ludzkość.

– Jestem lekarzem amatorem, Vic. Ale zdarzało się, że nastawiałem zwichnięcia.

Vic uśmiechnął się.

– No i dobrze. Szkoda, że się więcej nie zobaczymy. Przy tobie nie sposób się nudzić.

– Dlaczego się nie zobaczymy?

Flaer bezgłośnie zawisł obok nas. Podniosła się przezroczysta pokrywa kabiny.

– Jestem sensem, Sergiej, i umiem czytać nie tylko emocje. Nie oglądałem mapy. I tak wiedziałem, że tu jest punkt łączności...

– Wiatru w twarz, roaderze.

– Wiatru w twarz. Wiesz, skąd się wzięło nasze pożegnanie?

– Nie.

– Dopóki jest słońce i powietrze, zawsze jest wiatr... Przeczytaj *Księgę Gór*, Siergiej.
Pomoże ci zrozumieć.

5. Informacje bez rozmyślań

Sterowanie rzeczywiście było łatwe, podobnie jak na galaktycznych statkach Siewców. Alfanumeryczny panel, przełączany na kilka języków, fonetyczny blok sterowania głosem. Szybko obrzuciłem wzrokiem przyrządy i powiedziałem:

– Wysokość sto metrów. Ruch w kierunku zachodnim. Pokrywa kabiny zamknęła się. Mocny baryton z wyraźną przyjemnością powtórzył:

– Wysokość sto. Na zachód. Prędkość?

Flaer płynnie uniósł się w górę. Pozostawiłem pytanie bez odpowiedzi. Zerknąłem w dół; Vic już maszerował wzdłuż brzegu. Tylko raz przystanął, odprowadzając mnie wzrokiem, i pomachał ręką. Z jakiegoś powodu wierzyłem, że więcej się nie spotkamy. Może to Vic zmusił mnie, żebym uwierzył.

– Żegnaj, roaderze – powiedziałem cicho. – I niech twój wiatr powieje czasem w plecy. Masz teraz tajemnicę.

– Prędkość? – zainteresował się przymilnie flaer. Dobrze chociaż, że nie spytał o roadera i o wiatr.

– Maksymalna. I nie powtarzaj komend – uciąłem. Popatrzyłem na przyrządy i pokręciłem głową. Przyspieszałem szybko, bez grawikompensatorów chyba się tu nie obeszło. Przy półtora tysiącu na godzinę rozpęd się skończył, a nad pulpitem, w powietrzu, pojawił się napis.

Prędkość maksymalna. Dopalenie?

Jaki lakoniczny...

-Nie trzeba. Potrzebuję mapy. Albo nie... Możesz wytyczyć trasę do miasta Ałma Ata?

Miasto Wierny – Ałma Ata? Współrzędne...

– Tak – przerwałem pełznącej w powietrzu linijce. – Właśnie to. Jak długo będzie trwał lot?

Trzymając się publicznych linii powietrznych 6 godzin i 22 minuty.

Z WYKORZYSTANIEM TRAS POSPIESZNYCH 4 GODZINY...

– Skorzystaj z linii publicznych – poleciłem.

Lot po „trasach pospiesznych” mógł być płatny. Albo wymagałby posiadania tajemniczego Znak. Ta myśl sprowokowała nowe pytanie:

– Potrzebuję wyjaśnienia pewnych terminów. Czy istnieje możliwość skorzystania z encyklopedii?

Pytanie mogło zdradzić we mnie obcego, ale nie miałem innego wyjścia. Znalezienie się wśród ludzi bez znajomości elementarnych pojęć było jeszcze większym ryzykiem.

Tak.

– Dobrze. Daj wyjaśnienie terminów Znak Samodzielności, roaderzy, Ansambl...

Zawahałem się i dodałem:

– Genormiści, *Księga Gór*. Możesz odpowiadać głośno.

Usiadłem wygodniej w fotelu i czekałem. Flaer zakręcił płynnie, wychodząc na linię publiczną. Na pulpicie migotały światełka: wyliczanie kursu albo opracowywanie odpowiedzi na pytania... A może po prostu iluzja wyętej pracy.

– Znak Samodzielności, Znak, Token – w stłumionym głosie flaera dźwięczał ciągle ten sam ton zadowolenia z dobrze wykonywanego zadania. – Wyjaśnienie na podstawie zbiorczego słownika socjologii.

– Opowiadaj – zachęciłem go, zamykając oczy. Fotel we flaerze był cholernie wygodny. Ruchu nie czuło się prawie wcale.

– Wprowadzony w 2063 roku, w mieście Quebec, Stany Północnoamerykańskie, po procesie Jennings kontra Jennings.

Już miałem zapytać, do jakich to stanów zaczęła nagle należeć biedna Kanada, ale powstrzymałem się. Bóg z nimi...

– Sporadyczne wykorzystanie Znaku trwało do 2072 roku, po czym Znak został uprawomocniony decyzją Ansamblu. Od tego momentu status Znaku Samodzielności pozostał niezmienny. Znak ma wygląd połączanego dysku ze stopu tytanu o średnicy sześciu centymetrów. Ma dwa poziomy: osobistej i zbiorowej odpowiedzialności...

Odruchowo skinąłem głową, przypominając sobie wiszący na piersi Vica medalion. Nic szczególnego.

– Zgodnie ze statusem Znaku, może go otrzymać dowolny człowiek, bez względu na wiek, płeć, narodowość czy przekonania. Podstawą do otrzymania Znaku jest osobista samodzielność jednostki, polegająca na zdolności logicznego rozwiązywania podstawowych problemów w kontaktach międzyludzkich, umiejętność działania zgodnie z przyjętymi w społeczeństwie normami moralno-etycznymi, stawiania oporu psychicznemu oddziaływaniu o sile do dwóch dorów oraz wykonywanie minimum obowiązku pracy: osiem godzin w miesiącu. Zmienne wielkości są precyzowane co miesiąc, jednak ich zaostrzenie nie ma mocy wstecznej dla posiadaczy Znaku – poprawka z 2073 roku. Średni wiek otrzymania Znaku – trzynaście i pół roku, na podstawie danych z sierpnia bieżącego roku. Minimalny wiek otrzymania Znaku – sześć lat i cztery miesiące, proces Wang Dzunga przeciwko Federacji Chin. Maksymalny wiek otrzymania Znaku – dziewięćdziesiąt trzy lata. Liczba ludzi odmawiających przyjęcia Znaku – dwie dziesiąte procenta ludności Ziemi. Liczba ludzi nieprzechodzących kontroli, sześć dziesiątych...

Ziewnąłem. Powiało nudą.

– Najważniejsze procesy sądowe związane ze Znakiem Samodzielności: Jennings kontra Jennings, UNESCO kontra Ansambl, Wang Dzung i Związek Mutantów przeciwko Ansamblowi i Federacji Chin. Modyfikacje Znaku: 2104 rok – wprowadzenie osobistego detektora, 2130 rok –

wprowadzenie generatora tarczy z empatycznym uruchomieniem oraz awaryjnego hiperwzywnika.

Głos zamilkł.

Przypomniałem sobie, jak Vic powiedział Dziadkowi: „Złamię Znak”. Widocznie właśnie w ten sposób włączał się hiperwzywnik, informując, że człowiek znalazł się w niebezpieczeństwie. Najprawdopodobniej uznawano to za hańbę.

– Dalej – poleciłem.

Roaderzy. Ruch społeczny, którego kulminacja przypada na okres od 2080 roku do 2150. Po rozpoczęciu kolonizacji Centaura i Fomalhauta ruch zaczyna gwałtownie tracić zwolenników. Zasadnicze postulaty roaderów: „Wolność to treść, nie forma”, „Prawa ponad obowiązkami”, „Wybór jest zawsze słuszny”. Znajdowali się w opozycji do rządów, żyli z zagwarantowanego minimum dóbr, odrzucali każdą pracę, twierdząc, że jest niecelowa. Zasadniczy trzon roaderów stanowiła młodzież. Zwyczaj, prawa, historia roaderstwa zostały szczegółowo opisane w monografii Anny Pfeiffer *Więźniowie wolności*. Za duchowych wodzów roaderów uznaje się Sally Jennings, autorkę *Księgi Gór*, i Igora Przygorodzkiego, roadera numer jeden.

– Jasne. Kontynuuj.

Półożąc w odchylonym fotelu, walczyłem z sennością. Trzeba będzie poprosić o szkolny kurs historii. Jeśli w ogóle mają tu szkoły i historię...

– Ansambl. Najwyższy organ ustawodawczy Ziemi. Dwuizbowy, z proporcjonalną liczbą przedstawicieli ekspansyjnych jednostek. Wybierany raz na dwa lata. Wybieranie członków izby wyższej na więcej niż dwie kadencje z rzędu jest zabronione. Prawo wyboru przysługuje każdemu posiadaczowi Znaku.

Genormiści. Nielegalne ugrupowanie, które pojawiło się w połowie zeszłego stulecia. Za swój cel stawia kontrolę czystości genotypu ludzkości. Prowadzą działalność polegającą na propagandzie zaostrzenia kontroli genetycznej (genormiści legalni) i na aktach terrorystycznych wobec ludzi łamiących dostępność genetyczną (genona-turyści). Akty przeprowadzają bojówki złożone z nielegalnych genormistów.

Księga Gór. Dokument programowy roaderów. Napisana w 2069 roku przez Sally Jennings, według niektórych danych wraz z grupą psychologów, specjalistów od świadomego programowania zachowania. W związku z tym na początku 2083 roku przeprowadzono referendum w sprawie zakazu rozpowszechniania kompletnego tekstu księgi. Nieznaczną większością głosów projekt ustawy został odrzucony...

Mówiący zakasłał.

– Przeziębłeś się? – zapytałem i zrobiło mi się zimno ze strachu.

Maszyny nie chorują. Roboty nie kaszlą.

– Tu u nas jest trochę zimno – odpowiedział przeprasającym tonem niewidoczny rozmówca.

– Gdzie „u was”?

– W Irkucku. Flaer należy do ogólnomiejskiego parku maszyn.

Przez kilka minut panowało milczenie. Co za idiotyczna sytuacja. Wziąłem człowieka za robota! Z prowadzącym flaer operatorem rozmawiałem jak z maszyną!

Ale kto by przypuszczał? Nigdzie w galaktyce nie wykorzystywano takiego systemu! Jeśli już maszynie przydzielano kierowcę, kierowca siedział w maszynie.

– Nie sprawiłem kłopotu swoimi pytaniami? – zapytałem.

– Ależ skąd. Miło było potrząsnąć służbami informacyjnymi.

Początkowo myślałem, że czeka nas nudny lot. Cieszę się, że się pomyliłem.

– Ciekawa praca? – rzuciłem niedbale.

– Nie próbował pan?

– Nigdy.

– Dość interesująca. Zazwyczaj obsługujemy turystów, wozimy ich po okolicy, dostarczamy nad jezioro... Odległe loty, takie jak ten, zdarzają się rzadko. Mój czas, jeśli mam być szczerzy, dobiegł już końca, ale z przyjemnością doprowadzę flaer do strefy lądowania Ałma A ty... Nie ma pan nic przeciwko?

– Oczywiście, że nie.

– Przybył pan z daleka? Proszę się nie przejmować moim pytaniem, jest niezobowiązujące...

– Z Brzegu Grunwalda.

Powtarzając swoją „legendę”, mimochodem dorzuciłem kilka szczegółów: interesuję się współczesnymi kulturami Ziemi, roaderami, genormistami, genonaturystami, planuję o nich napisać.

Mój rozmówca wyraźnie się ożywił.

– Jest pan optymistą, młody człowieku. Sądząc po pytaniach, praktycznie nic pan o nich nie wie.

– Spojrzenie niedoświadczonego bywa bardziej przenikliwe – odpowiedziałem i zdumiałem się. Zdanie pojawiło się w moim mózgu znikąd.

– O, jednak czytał pan *Księgę Gór* – zauważył z aprobatą operator flaera. – „Spojrzenie niedoświadczonego jest „bardziej przenikliwe, słowa dziecka bardziej szczerze, proste drogi najpewniejsze”.

Zacząłem się wiercić w fotelu. Stanowczo nie podobało mi się to wszystko. Komuś udało się wcisnąć do mojej świadomości wiedzę, której nie miałem. A może to jest efekt „przedwiedzy”, w który nigdy nie wierzyłem? Istnieje pogląd, że w czasie przejścia przez hipertunel człowiek może zobaczyć swoją przyszłość... Bzdura. Zbieg okoliczności.

– W którym miejscu pana wysadzić w Ałma Acie? – zapytał operator. – Był pan już w tym mieście?

– Dawno temu – odparłem szczerze. – Myślę, że się porządnie zmieniło. Może pan mi coś podpowie?

– Dworzec lotniczy? – zasugerował niepewnie operator. – Górski kompleks turystyczny? Hilton? Nic innego nie przychodzi mi do głowy...

– O której przylecimy do Alma Aty?

– Około południa czasu miejscowego. Sprecyzować?

– Nie trzeba. Czy można dowiedzieć się o adres szefa miejscowego klubu roaderów?

– Oczywiście. Postanowił pan zacząć badanie kultury u źródeł? Bardzo słusznie...

Słuchając gadatliwego operatora, z roztargnieniem oglądałem pulpit. Pod względem technicznym flajer był wyposażony nie gorzej od orbitalnych myśliwców Tara czy innych chronokolonii. A jednak miał żywego operatora – coś w rodzaju dublera maszyny albo po prostu dodatkowego uczestnika procesu pracy. Jeśli coś takiego istnieje po masowej kolonizacji okolicznych gwiazd, to co się działo w czasie roaderów?

– Adres został odnaleziony. Podać na taśmie?

Skinąłem głową, nie słuchając już operatora. Przypomniałem sobie rozmowę z Lansem, jeszcze zanim do załogi „Terry” dołączyli Redrak i Dańka, gdy włączyliśmy się po galaktyce w poszukiwaniu śladów Ziemi.

Chyba wszystko zaczęło się w Gesmodei, na „gieldzie pracy”. Tak nazywano restauracyjkę obok kosmoportu. Można było przesiedzieć w niej cały dzień, zamawiając tylko kilka tanich napojów, co wykorzystywała większość gości. Wszyscy byli w ten czy inny sposób związani ze statkami kosmicznymi: piloci i technicy, energo-operatorzy i „rusznikarze”, świeżo upieczeni absolwenci szkół i ukrywający się przed policją bandyci. I wszyscy szukali pracy. W ciągu tygodnia pracę znajdował najwyżej jeden czy dwóch bywalców giełdy, co bynajmniej nie zmniejszało optymizmu pozostałych. Przychodzili na kilka godzin przed otwarciem, broniąc przed obcymi swoich stolików, nierzadko za pomocą atomowych mieczy.

– Dobrze, że urodziłem się na Tarze – powiedział wtedy Lans. – U nas prawo do pracy jest chronione przez ustawy, wszyscy mają zapewnioną pracę.

Uśmiechnąłem się. Monarchistyczny komunizm – tak ochrzciłem ustrój społeczny Tara. Choć, szczerze mówiąc, najbliższą analogią Tara był Kuwejt.

Właśnie wtedy zastanowiłem się nad problemem miejsca w życiu, który to problem rzucał cień na egzystencję większości ludzi. Już nawet nie chodziło o to, że brakowało miejsc pracy. Zawsze istniały zajęcia, z którymi nie radziła sobie technika, a jeśli sobie radziła, to wypadało to *zbyt* drogo. Znacznie prościej wynająć człowieka, który będzie zbierał na bagnach Repenga drogocenne kwiaty rap, niż budować w tym celu skomplikowany agregat. Lepiej wynająć żołnierzy, niż w nieskończoność przeprogramowywać roboty bojowe. Człowiek, przy wszystkich swoich wadach, jest wytrzymałym, elastycznym, a niekiedy oddanym pracownikiem.

Abstrakcyjne pojęcia wiary, miłości i patriotyzmu sprawiają, że ludzie są pewniejsi od maszyn.

Ale podobne abstrakcyjne kwestie – duma, ambicja, ciekawość – drastycznie ograniczały sfery ludzkiej działalności. Zbieracz kwiatów rap mógłby się nie oprzeć pokusie skosztowania narkotycznego pyłku. Kelner w restauracji wcale nie czuł satysfakcji z obsługiwania pijanych próżniaków. Pierwszy lepszy porucznik czy kapitan twierdzy orbitalnej, wypełnionej bronią i kontrolującej całą planetę, był wystawiony na pokusę wzięcia władzy w swoje ręce.

Ludzie wpadli w pułapkę, znaleźli się pomiędzy dwoma skrajnościami. Prymitywne, monotonne zajęcia zadowalały tylko debilów, praca skomplikowana zaś, związana z techniką i władzą, była powierzana wyłącznie absolutnie pewnym ludziom.

Na planetach chronokolonii główną masę niezadowolonej części ludności wchłaniało rolnictwo. Produkcją żywności, można było się wzbogacić i zrobić nieprawdopodobną karierę. Rządy tylko popierały taki odpływ siły roboczej. A nasza planeta po prostu nie potrzebowała rolników.

Przysnąłem, prawie nie słuchając wyjaśnień operatora. Właśnie przelatywaliśmy nad stacją łączności Abaza, potem nad tuwińską fabryką hipersilników, nad granicą poligonu doświadczalnego... Ocknąłem się i zerknąłem w dół. Z wysokości kilku tysięcy metrów zobaczyłem żółtobury step z rozrzuconymi tu i ówdzie czarnymi piramidkami. Nad niektórymi drżała gorąca mgiełka, jedna piramidka świeciła słabo. Nie pytałem, jakie eksperymenty przeprowadzają na byłym poligonie. Na pewno jakieś lepsze draństwo.

Potem pod nami przepłynął błękitny pasek jeziora Bałchasz. Operator poinformował mnie, że sterowanie przejmuje stacja Ałma Aty i pożegnał się.

Przegoniłem sen i jeszcze raz przemyślałem swoje plany. Wprosić się z wizytą do miejscowego przywódcy roaderów. Zmienić ubranie w najbliższym nieautomatycznym sklepie, wybierając najtańsze i najprostsze rzeczy. Znaleźć park, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem Terry i czekać tam na nią każdego wieczoru.

Jeśli park nadal istnieje.

Flaer zaczął schodzić do lądowania, dość gwałtownie, ale grawikompensator uwalniał od nieprzyjemnych wrażeń. Patrzyłem przez przezroczystą kopułę kabiny na leżące u podnóża Ałtaju miasto.

Oto powrót do ziemi ojczystej...

Hasło „Przemienimy Ałma Atę w miasto-ogród!” zawsze mi się podobało, mimo utopijnego optymizmu i kategoryczności. Ale jak można urzeczywistniać hasła tak dosłownie! Pode mną leżało zielone morze z archipelagami różnobarwnych wysepek – domków. Nad ożywioną utopią w nierealnie czystym, pozbawionym śladu chmur niebie wlatywały, opuszczały się i po prostu unosiły kolorowe punkty flaerów. Zrobiło mi się nieswojo. Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo kochałem „moją” Ałma Atę. Rzecz jasna nigdy nie uważałem hotelu Kazachstan za

szczytowe osiągnięcie sztuki architektonicznej, tak samo pałacu prezydenckiego czy łaźni Arasan. A chruszczowowskie wieżowce czy elitarne monolityczne domy na osiedlu Samał po prostu musiały się rozpaść. Co do tego nie miałem wątpliwości. Ale chyba powinno pozostać jakieś dziedzictwo architektoniczne? A ja nie widziałem nawet śladu po tym precyzyjnym „szachowym” układzie miasta, które tak zawsze lubiłem. Był za to artystyczny bałagan, zieleń ogrodów i kolorowe domki. Z barwnej kipieli wyłaniały się tylko wieże, śnieżnobiały pałac w centrum i nieporządne skupisko ogromnych zielonych kul na górze Kok-Tiube, które zajęły miejsce wieży telewizyjnej... I jeszcze kilka cylindrycznych, matowo-lustrzanych budowli w różnych punktach miasta – różniących się rozmiarami, ale wyraźnie stworzonych na podstawie tego samego projektu. Wszystko było piękne, lecz to już nie była moja Ałma Ata! Moja znikła bez śladu...

– Kiedy miasto przybrało taki wygląd? – zapytałem.

– Rekonstrukcja Ałma Aty została przeprowadzona po trzęsieniu ziemi w 2070 roku.

Głos był zbyt nieskazitelny. Tym razem nie miałem wątpliwości, że rozmawiam z automatem.

– Wieżowców nie buduje się ze względów bezpieczeństwa?

– Wieżowców... – zapadła cisza. Chyba zadałem niestandardowe pytanie. – Wieżowce buduje się nadal. Są absolutnie bezpieczne.

Skinąłem głową. Rzeczywiście, kto wolałby mieszkanie w wielopiętrowym bloku od samodzielnej willi? Fabryki pewnie umieścili poza granicami miasta. A biura, instytuty i inne administracyjne bzdury stały się po prostu niepotrzebne dzięki rozwojowi telekomunikacji.

– Szukam domu Nurlana Kislicyna, byłego roadera – powiedziałem, z ciekawością czekając na odpowiedź. Każdy automat ma ściśle określoną granicę możliwości informacyjnych. Czy flaerowi wystarczą te skąpe dane, czy też zażąda pełnego adresu? Zerknąłem na kartkę z adresem szefa klubu roaderów. Ulica Kurmangazy, dom 567-28. No proszę, nazwa ulicy się nie zmieniła...

– Jest pan umówiony? – zapytał automat. Widocznie informacja była wystarczająca.

– Nie.

– W takim razie lądowanie zostanie przeprowadzone na najbliższym publicznym parkingu. Po wyjściu z flaeera przejdzie pan przez podziemne przejście z tabliczką „ulica Kurmangazy”, skróci na prawo i...

– Puść informację na taśmę – poleciłem.

6. Bardzo dobrze urządzona planeta

Najbardziej zszokowało mnie to, że ulice nie były asfaltowe. Wprawdzie nie znalazłem żadnych ruchomych chodników, tyle razy opiewanych przez fantastów, ale ulica, prosta i szeroka, z matowymi kulami latarni na cienkich metalowych słupach, była pokryta trawą. Miękką zieloną trawą, równą niczym korty Wimbledonu. Pochyliłem się, próbując zerwać źdźbło. Gdzie tam! Trawa była sprężysta i mocna jak guma, ale bez wątplenia prawdziwa. Przyjrzałem się bliżej i zobaczyłem, że pod gęstą murawą ułożona jest twarda, porowata masa. Widocznie ziemia była jeszcze głębiej. Z pozornie obojętnym wyrazem twarzy wędrowałem poboczem. Samochodów nie było i nieliczni przechodnie szli ulicą całkiem swobodnie. Czyżby komunikacja naziemna należała do przeszłości? Spojrzałem w niebo – kolorowe krople flajerów były zbyt nieliczne, żeby pełnić rolę komunikacji. Może moi potomkowie po prostu nie mają się dokąd spieszyć?

■

Trzeba przyznać, że potomkowie wyglądali bardzo solidnie. Po spotkaniu z roaderami spodziewałem się absolutnej swobody strojów, ale większość przechodniów ubierała się całkiem zwyczajnie. Na przykład idący z naprzeciwka chłopiec miał na sobie wąskie granatowe spodnie i błękitną koszulę... to znaczy zieloną... a może złotobrązową?

Zwyczajność ubiorów była jedynie pozorna. Luźna bluza chłopaka co chwila zmieniała kolor. A dziewczęta, które mnie wyprzedziły, miały na sobie minispódniczki z czegoś bardzo dziwnego. Srebrzysty materiał, kołyszący się wokół bioder, przypominał obłoczek gazu albo pole kamuflażowe... Do licha, czyżby wyszły na ulicę nago, z włączonymi generatorami dającymi złudzenie ubrania? Czy oni nie mają co zrobić z energią? Pole kamuflażowe to jeden z najbardziej energochłonnych procesów, z jakich korzystaliśmy na statku!

A, co mi tam. Niech sobie chodzą, w czym chcą. Najważniejsze, że na mój kombinezon nikt nie zwracał uwagi. Szedłem ulicą, uważając na numery domów. Same domy – zasłonięte drzewami, niewysokimi żywopłotami i kamuflażową mgiełką – były niemal niewidoczne. Moi potomkowie cenili sobie odosobnienie. Ale do każdego domu prowadziła wąska ścieżka wyłożona kamieniami albo porośnięta trawą. Na początku ścieżki stały ażurowe tabliczki z numerami.

567 – XXVIII.

Napis wykonano rzymskimi i arabskimi cyframi, z dość niedbale wyciętych mosiężnych pasków. Cyfry byle jak przybito do nieszlifowanej deseczki. Albo Nurlan Kislicyn lubił epatować otoczenie, albo takie niedbalstwo było teraz w modzie. Wzruszyłem ramionami

i wszedłem na ścieżkę wysypaną grubym żwirem.

Jak powinien wyglądać człowiek, który nosi kazachskie imię i rosyjskie nazwisko? Mnie, człowiekowi z XX wieku, wydawało się, że jak Tatar.

Nurlan Kislicyn był Murzynem. Nie czystej krwi, oczywiście, w jego twarzy dawało się odnaleźć rysy europejskie i azjatyckie. Ze zdumieniem przypomniałem sobie, że ludzie, których widziałem na ulicy, też mieli cechy przemieszania ras. Jeśli działa się tak na całej Ziemi, to Adolf i jego następcy nie mieliby już nic do roboty. Miło było się przekonać, że rasizm już nie istnieje... Teraz pojawiła się tendencja do dzielenia Ziemi na kolonistów i chronokolonistów.

Przywódca roaderów Ałma Aty krzątał się w ogródku przed domem. Dla dawnego włóczęgi było to zajęcie aż nazbyt spokojne i patriarchalne. Kwiaty, nawet jak na moje niedoświadczone oko, wyglądały wspaniale. Przypominały astry, ale w nieprawdopodobnych kolorach – od bladobłękitnych do czarnych.

Podszedłem do klombu, nerwowo kombinując, jak się przedstawić. Były roader? Młody kontynuator? Próźniak, który naczał się *Księgi Gór*?

Nurlan oderwał się od swoich kwiatów, położył na ziemi aparacik przypominający suszarkę i przyjrzał mi się uważnie. Uśmiechnąłem się krzywo. Kislicyn wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Jeśli każdy roader jest psychologiem, jak zapewniał mnie Dziadek, to nie ma sensu kłamać.

– Wiatru w twarz – powiedział półgłosem Nurlan.

– Dopóki jest słońce i powietrze, zawsze będzie wiatr – odpowiedziałem, pchany nieokreślonym impulsem. Przypominało to „hasło-odzew” z taniego kryminału, ale przywykłem wierzyć intuicji.

– Wejdz – rzekł Nurlan. – Na długo?

– Na kilka dni. – Wszystko okazało się proste. Vic miał rację, nikt nie żądał ode mnie żadnych dowodów.

Dom Kislicyna był zbudowany ze zwykłej cegły – a przynajmniej tak wyglądał. W środku też nie zauważyłem nic nadzwyczajnego, może tylko meble – masywne, ciężkie, przypominające antyki, prawdziwe antyki, a nie mój wiek XX. Nieliczne współczesne przedmioty – przyrządy o niezrozumiałym przeznaczeniu, płaskie wideoekrany, małe terminale komputerowe w każdym pokoju – ginęły wśród drewna i kamienia.

Spodobało mi się to. Tak jak i pokój gościnny, do którego zaprowadził mnie Nurlan. Szerokie okno wychodziło na sad pełen jabłoni, za którym widać było sąsiedni dom otulony mgiełką kamuflażu. Ascetyczne umeblowanie – szafa, łóżko, stół i krzesło. Nad stołem wisiał płaski jak dykta ekran, włączony na kalendarz. W końcu dowiedziałam się, jaki mamy dzień – dziesiąty września.

Wbudowany w biurko terminal informacyjny okazał się wystarczająco prosty w użyciu. Wkrótce wprowadziłem na ekran mapę miasta, współczesną i tę sprzed dwustu lat. W miejscu

parku, w którym kiedyś „ratowałem” księżniczkę, była klinika dla dzieci, kościół Jedności w Chrystusie i kilka domków. Po raz kolejny skląłem się za głupotę. Spróbowałem wyobrazić sobie, co zrobiłbym na miejscu Terry. Chyba będzie czekała w kościele. Ale równie dobrze mogła odwiedzić jeden czy dwa domki. Złożenie królewskiej wizyty w szpitalu dziecięcym też byłoby całkiem w jej stylu.

Nagle mapa na ekranie zbladła i zobaczyłem twarz gospodarza.

– Masz gościa, roaderze – oznajmił. – Otwórz drzwi.

Twarz Nurlana znikła. Odwróciłem się. Szybko mnie wysledzili... Ale co tam, drzwi mogę otworzyć.

Wybrałem najdogodniejsze miejsce – przy oknie, tak żeby kontrolować drzwi i sad wokół domu. W ostateczności mógłbym przeskoczyć przez parapet. Szkoda, że ładunku w pistolecie wystarczy tylko na krótkie starcie...

Odblokowane drzwi zaczęły się otwierać. Podniosłem pistolet. Jeśli to ludzie, strzelę w nogi, jeśli androidy – przetnę na pół...

W drzwiach stała Terry.

Przez sekundę patrzyłem na nią przez celownik. W końcu opuściłem broń i usłyszałem:

– Siergiej, to ja.

Nie widzieliśmy się zaledwie tydzień, a ona już zdążyła się zmienić. Znikła niezdrowa bladość twarzy. Terry lekko się opaliła. Zamiast krótkiej fryzury mojego, pożał się Boże, autorstwa, zobaczyłem eleganckie uczesanie – każdy lok ułożony oddzielnie i w innym odcieniu. I oczywiście żadnych kombinezonów. Bładoróżowe szorty, dość odważny top i błyszczący jak folia pas materiału omotany wokół lewej ręki.

– Sieriożka, to naprawdę ja – powtórzyła Terry niepewnie. Spróbowała się uśmiechnąć.

– Jak mnie znalazłaś?

– Poprosiłam centrum informacyjne, by powiadamiano mnie o wszystkich przybywających do miasta mężczyznach w twoim wieku i o twoim rysopisie. Zwłaszcza tych nieposiadających Znak. Sieriożka!

– Co to za taśma? – Po prostu grałem na zwłokę. Nie wiedziałem, jak postąpić.

– Ozdoba... Siergiej!

Rzuciłem pistolet na podłogę. I tak nie wystarczyłoby mi sił, by do niej strzelić – nawet gdyby była biorobotem, fantomem, sterowaną telepatycznie kukłą. Podeszedłem w milczeniu, już nie kontrolując swoich gestów.

– Było mi bardzo ciężko, Terry – powiedziałem, biorąc ją za rękę. – Jeśli to oszustwo, nie musisz grać dalej. Poddaję się.

– Siergiej... – dotknęła mojej twarzy. Przymknąłem oczy. – Co się z tobą dzieje? Co się stało? Powiedz mi!

Milczałem, Czulem się jak alpinista, który wszedł na niedostępny górski szczyt i zastał tam hotel, restaurację i lądowisko dla helikopterów. Nie potrafiłem się cieszyć z zakończenia męczarni, nie umiałem się martwić z powodu daremności moich wyczynów. Dłonie Terry były łagodne i czułe, zupełnie inne niż na Somacie. Poczulem delikatny zapach perfum. Terry czuła się znacznie lepiej na Ziemi niż na naszej martwej planecie.

– Terry... – wyszeptalem. – Księżniczko... Kto się nami bawi? Kto śmiał...

– Uspokój się. – Głaskała mnie po twarzy, burzyła włosy. Rzadko tak bywało między nami, nie lubię okazywać słabości. Do diabła! – Siergiej, co się stało na Somacie? Dlaczego nie chciałeś wezwać statku Siewców? Odpowiedz...

Usiadłem na łóżku, a Terry na stojącym obok fotelu, podwijając pod siebie nogi. Nie puszczałem jej ręki, gładziłem smukłe, długie palce. Wyczułem małą bliznę – księżniczka z planety Tar nie od razu nauczyła się posługiwać nożem kuchennym. Zakląłem. Nadal ją sprawdzam!

– Weź się w garść, książę! – głos Terry stwardniał. – Musimy zrozumieć, co się dzieje! Weź się w garść!

Skinąłem głową, do bólu zaciskając pięści. Wolno policzyłem do pięciu. Odetchnąłem głęboko. Jestem spokojny i niewzruszony. Umiem spojrzeć na sytuację z boku. Najprostsza droga jest najpewniejsza... Do diabła, tego nie było w standardowym zestawie sformułowań!

Ale wyuczone rytuały już spełniły swoją funkcję. Uspokoilem się. Patrząc Terry w oczy, opowiedziałem o naszym zniszczonym domu, o spalonych drzewach, o czyhających w zasadzce robotach.

Terry nie zadała mi ani jednego pytania. Pobladła słysząc, że sad, z którego była taka dumna, został spalony. Tak bardzo chciała pokazać go Lansowi i Ernadowi, bo nie wierzyli, że na martwym piasku Somata mogą wyrosnąć takie drzewa.

– Gdy mnie wezwałaś – zakończyłem – nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ktoś tobą kieruje. Wziąłem miecz... wiem, że to było głupie... i wpadłem do Bajkału, blisko brzegu, którego nie zauważyłem, i oszalałem ze strachu na myśl, że jestem na środku Pacyfiku... Utopiłem miecz, a potem nawiązałem znajomość z roaderami. Słyszałaś o nich?

Terry pokręciła głową. Badanie hipisów, roaderów czy innych ruchów młodzieżowych nie obejmowało jej znajomości ziemskiego życia. Jej opowieść była znacznie krótsza od mojej i znacznie bardziej logiczna.

Statek Siewców wylądował na Somacie w dniu, w którym wyruszyłem na wędrowkę po górach. Najpierw załoga połączyła się z Terry i poprosiła ją o pozwolenie na lądowanie. Następnie dowódca statku wyjaśnił cel wizyty.

Jeśli wierzyć jego słowom, nasza kryjówka została odkryta ponad rok temu. Nie niepokoił nas, dochodząc do słusznego wniosku, że mamy pełne prawo zaszyć się na nikomu niepotrzebnej

planecie. Postanowiono nie nawiązywać z nami kontaktu i zakłócić nasze odosobnienie jedynie w wypadku absolutnej konieczności.

Konieczność wkrótce się pojawiła. Planeta Tar odmawiała wejścia w obronny związek z Ziemią, motywując to brakiem prawowitych władców. Rządzący Tarem regent władał w imieniu „wiecznej księżniczki Terry”. Tylko ona mogła skłonić Tara do koalicji z Ziemią. Właśnie wtedy na planetę Somat wyruszył statek Siewców.

Początkowo Siewcy chcieli odszukać mnie w górach i zawieźć na Ziemię razem z Terry, ale za jej namową zrezygnowali z tego pomysłu. Terry przewidywała moją reakcję na pojawienie się obcego statku na niebie Somata.

W domu zostawiono mi notatkę z wyjaśnieniem tego, co się stało, i przenośny blok zawierający rozkazy dla czekającego na orbicie ślizgacza. Potem Terry wyruszyła na Ziemię, żeby przygotować się do rzadkiej w historii Tara procedury – udowodnienia swoich praw do tronu. Ze mną połączyła się, gdy upłynął i minął prawdopodobny czas mojej wędrówki po górach.

Słuchałem jej w skupieniu. Cóż, rzeczywiście tak mogło być...

– Terry... – starałem się mówić spokojnie. – Zdarzyło mi się coś dziwnego podczas hiperprzejścia na Ziemię. Prawie nie czułem euforii, za to moja świadomość jakby się rozdwoiła. Rozmawiałem sam ze sobą, udzielałem sobie idiotycznych rad. Nie słyszałaś o takich przypadkach?

Terry uśmiechnęła się czule.

– Siergiej, to nieważne. Pewnie był to wynik zdenerwowania, zmęczenia...

Pokręciłem głową.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o intuicji? Zawsze działałam pod wpływem intuicji, zawsze jej ufałem. Do gry włączyła się trzecia siła. Nie my, nie Siewcy...

– Fangowie?

– Tak, Fangowie. Szkoda, że poświęciliśmy im tak mało uwagi. Tamta zasadzka to też pewnie ich sprawka. Musimy zebrać wszystkie informacje.

Terry wskazała terminal.

– Z tym nie będzie problemów, Siergiej. Można tu poprosić o dowolny tekst, dowolne informacje.

– To bez sensu. Sama wiesz, jaka jest różnica pomiędzy wiadomościami, które ty otrzymujesz, a tym, co przekazuje się mieszkańcom Tara.

– W takim razie zwróćmy się do projektu „Siewcy”. Przecież został stworzony jako przeciwwaga zagrożenia ze strony Fangów.

– Znasz ich?

– Oczywiście. W końcu to ich statek zabrał mnie z Somata... – Terry roześmiała się i objęła

mnie. – Przestań być zazdrosny! Siewcy to sympatyczni faceci. Ale ty jesteś lepszy.

– Dziękuję... – dotknąłem jej warg i pocałowałem, po raz pierwszy na Ziemi. – Bardzo się o ciebie bałem.

– A ja prawie wcale. – Terry uśmiechnęła się przepraszająco. – Byłam pewna, że wyjdiesz cało z każdej opresji. Nie powinnam odlatywać z Somata bez ciebie.

– Ale przecież chodziło o czas!

– Tak. Już ze statku wysłałam informację o swoim powrocie. Wczoraj przyszła odpowiedź; regent żąda sprawdzenia mojego pochodzenia. Standardowa procedura.

Nie miałem pojęcia o istnieniu tej procedury. Ale nie dopytywałem się o szczegóły.

– Siergiej, dlaczego zatrzymałeś się u tego człowieka... Nurlana? Znasz go?

– Niby skąd? Po prostu facet jest roaderem. Przedstawiłem się jako roader i zostałem przyjęty bez żadnych pytań. To wygodne, kiedy się ukrywasz... – Skrzywiłem się, oceniając poziom bezpieczeństwa swojej kryjówki. W skomputeryzowanym mieście nie sposób się ukryć. Zwłaszcza obcemu.

– A mnie przyjmie?

– Po co? Myślałem, że się przeniesiemy... – zawahałem się, nie mając pojęcia, gdzie właściwie przebywała Terry w tych dniach.

– Do hotelu? Siergiej, tam jest nudno. Luksusowo jak w pałacu imperatora i równie monotennie. Lepiej do jutra pomieszkajmy tutaj.

– Zapytam Nurlana. Ale dlaczego do jutra?

– Pojutrze muszę być na Tarze. Siewcy obiecali dostarczyć nas swoim statkiem z głównej stacji projektu. Stacja jest na orbicie okołoziemskiej, doskonale ją widać w nocy.

– Dobrze. – Mogłem tylko skapitulować. – Tam porozmawiamy o Fangach.

Terry popatrzyła na mnie uważnie.

– Siergiej, nie myślałeś o zmianie garderoby? Kombinezon ochronny to dobra rzecz, ale na Ziemi...

– Nie ironizuj. Zastanawiałem się nad tym. Pójdę do najbliższego sklepu i kupię tanie ubranie.

– Dlaczego tanie? Ach tak, nie masz Znaku... – Terry wyciągnęła z kieszeni szortów znajomy złocisty dysk. – Wiesz, co to jest?

– Wiem – burknąłem. Terry wyprzedziła mnie pod każdym względem. Gdy ja poznawałem encyklopedyczną definicję Znaku, ona już dostała go do osobistego użytku, oczywiście od Siewców.

– Ubranie wybiorę ci sama. Modne. Zgodzisz się nosić dozar?

– Co?

Terry dotknęła błyszczącej wstęgi na ramieniu.

– To dozownik opalenizny, dozar. Modny szczegół i dla mężczyzn, i dla kobiet. Tworzy jakieś pole blokujące dostęp ultrafioletu. Można cały dzień spędzić na plaży i nie opalić się.

– To po co chodzić na plażę? Wolę się porządnie opalić. – W zachowaniu Terry wyczuwałem coś dziwnego. Nowego.

– Dobrze. Kupię ci koszulę kameleonkę i...

Terry zaczęła z zapalem wyliczać, co jej zdaniem należy włączyć do mojej garderoby. Nagle zrozumiałem, w czym rzecz. Na Somacie Terry musiała zdać się na mnie. Całe jej imperatorskie przygotowanie okazało się w praktyce nic niewarte. To ja kierowałem pracami budowlanymi, ja montowałem komputer ochronny, ja nadzorowałem sadzenie drzew i montaż agregatów zraszających. Księżniczka przywykła troszczyć się o całą planetę, a na Somacie sama stała się obiektem troski. Teraz, gdy miała okazję zatroszczyć się o mnie, starała się na całego.

– Terry, wybierz wszystko, co tylko zechcesz. I wiesz co... Może niepotrzebnie braliśmy te tabletki No baby?

Terry zamilkła, a na jej policzki wypłynął lekki rumieniec.

– Możesz mi dać w twarz – powiedziałem szybko. – Przepraszam... wybac.

– Daj spokój.

Terry usiadła mi na kolanach i zamilkła. Wreszcie zupełnie innym tonem powiedziała:

– Kiedy wrócimy na Somat, to pomyślimy... Siergiej, dlaczego nie chciałeś wracać na Ziemię? Spodobała mi się już wtedy, w przeszłości, a teraz to przecież bajka. Spokojny, dobry, szczodry świat...

– Terry... – musnąłem wargami jej ramię. Do diabła, jak tu się spierać z księżniczką? – Terry, wyobraź sobie, że miałeś bardzo surowych, po prostu okrutnych rodziców...

– No? – zachęciła mnie Terry, nieszczerze zachwycona pomysłem. – Wyobraziłam sobie.

– No właśnie, surowi rodzice... Wyrwałeś się z domu i wtedy nagle zaczęto ci tłumaczyć, jacy to dobrzy i czuli ludzie.

– Jasne. Albo jakby mi ktoś powiedział, że Tar pokryły nieprzebyte lasy...

– Otóż to. Taki właśnie jest mój stosunek do baśniowo cudownej Ziemi.

– Siergiej... – Terry zsunęła się z moich kolan. – Rozumiem cię. Aleja, dowiadując się o lasach na Tarze, po prostu poleciałabym na ojczystą planetę, żeby sprawdzić wszystko sama. Teraz jesteś na Ziemi i co widzisz?

Przez kilka sekund walczyłem z cisnącą się na język odpowiedzią. I przegrałem.

– Ciebie, Terry...

Przyciągnąłem ją do siebie. Terry się nie sprzeciwiała. Po chwili całowaliśmy się, zapominając o wszystkich planetach.

Ni stąd, ni zowąd elegancka pomarańczowa narzuta wysliznęła się spod nas i zwinęła w ciasny walek. Zerwaliśmy się. Tymczasem łóżko kontynuowało demonstrację swoich

umiejętności – brzeżek cienkiej, miękkiej kołdry odgiął się troskliwie, ukazując śnieżnobiałą pościel.

Pierwsza roześmiała się Terry. Potem ja. Zakłopotane łóżko zaczęło się na nowo zaściełać.

– Nie lubię zbyt aktywnych łózek – wykrztusiłem z trudem. – Słowo honoru, że się z nim nie umawiałem...

Łóżko znowu wyglądało spokojnie i dobrodusznie. Zrobiło mi się nieswojo.

– Idealnie urządzone planety wzbudzają moją czujność.

Terry, jakby wyczuwając mój nastrój, spoważniała.

– Siergiej, pójdę po swoje rzeczy. To niedaleko. A ty porozmawiaj z właścicielem domu... i pogadaj z łóżkiem.

Skinąłem głową. Terry odwróciła się od drzwi i oznajmiła:

– Łazienki na Ziemi są doskonale wyposażone. Cała automatyka jest na swoim miejscu.

Uśmiechnąłem się krzywo. Ostatni raz brałem prysznic tydzień temu, na Somacie. Pływanie w kombinezonie trudno nazwać toaletą.

7. Kolacja w wąskim gronie rodzinnym

Rozmowa z łóżkiem nie trwała zbyt długo. Nóż w charakterze śrubokręta, trochę wiedzy z dziedziny cybernetyki użytkowej i duża dawka bezczelności pomogły mi zmienić je w posłuszny, nieruchomy mebel. Potem zrzuciłem kombinezon, który zdążył mi się już znudzić, i ruszyłem do łazienki.

Tutaj rzeczywiście wyczuwało się XXII wiek. Gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi, światło na chwilę przygasało, a śnieżnobiałe ściany zafalowały i znikły. Już po chwili stałem na brzegu leśnego jeziora.

Iluzja była tak doskonała, że pokręciłem głową. Wokół rosły sosny godne pędzla Szyszkina, z góry spoglądało błękitne niebo. Pod nogami miałem żółty piasek, z porośniętego mchem głazu do jeziora spływała struga wody. Zastanawiałem się w popłochu, czy to przypadkiem nie jest lokalne hiperprzejście. Cóż, nietrudno sprawdzić. Zrobiłem kilka kroków w stronę drzew, które zblakły, przemieniając się w cienie. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ciepłej, gładkiej powierzchni. Ściana... Co było do dowiedzenia.

Wróciłem do jeziora i wszedłem do wody. Trochę za zimna, ale da się wytrzymać. Szkoda, że na Somacie nie mieliśmy czegoś takiego.

– Lekko podgrzać wodę – rzuciłem w przestrzeń, absolutnie pewny, że prośba zostanie spełniona.

Woda zaczęła się nagrzewać tak szybko, jakby wrzucono do niej pocisk plazmowy. Wyciągnąłem się z głową na nadmuchiwaną poduszce, która wzięła się nie wiadomo skąd.

– Woda w porządku, dziękuję – odezwałem się leniwie.

Co innego brać ciepłą kąpiel w wannie, a co innego kąpać się w jeziorze. Zresztą otoczenie na pewno można dowolnie zmienić. Dolina gejzerów, dzika plaża z nagimi ślicznotkami, krajobraz obcej planety, łaźnie tureckie. Na razie całkowicie wystarczał mi sosnowy las. Uśmiechnąłem się lekko, spoglądając na bezchmurne niebo. Jeśli zechcę wziąć prysznic, na pewno pojawią się deszczowe chmury. Dla mnie bomba... Do licha, ten XXII wiek na mojej planecie nie był jeszcze taki najgorszy...

Łazienka wydała mi fioletowy szlafrok i banalne kapcie. Przeszedłem się po domu, szukając Kislicyna.

Były włóczęga znowu pracował w ogrodzie. Przesuwał „suszarką” nad klombem kwiatów. Żadnych widocznych efektów to nie dawało, ale Nurlan wydawał się tak skoncentrowany, że aż przystanąłem niepewnie, bojąc się mu przerwać.

– Coś się stało? – zapytał Nurlan.

– Dziewczyzna, która u mnie była... – zacząłem.

– Księżniczka Terry?

Oślupiałem. Jeśli on zna Terry...

– Jeśli dobrze rozumiem, moje incognito diabli wzięli? Kislicyn spokojnie skinął głową.

– Od razu wiedziałem, że nie jesteś roaderem. A potem skontaktowano się ze mną i poproszono, bym cię przyjął możliwie najbardziej gościnnie.

– Kto się skontaktował? – spytałam przygnębiony, przypominając sobie Dziadka, Vica i nawet tego parszywca Andrieja. A nuż...

– Dowódca ochrony projektu „Siewcy”, Rajmund Maccord. Bardzo uprzejmy człowiek.

– Jasne. – Przykucnąłem obok Nurlana. – I co odpowiedziałeś?

– Że gościnnie bywam z własnej inicjatywy, wobec tych, których polubiłem.

– Dziękuję.

Nurlan wzruszył ramionami.

– Chciałeś o coś zapytać?

– Czyja i Terry możemy zostać do jutra?

Kislicyn skinął głową. Ten stary włóczęga hodujący kwiaty, ten fantastyczny Murzyn o rosyjsko-kazachskim nazwisku spodobał mi się od razu. A teraz, widząc, jak spokojnie zareagował na mnie i na Terry, nagle zapragnąłem szczerze z nim porozmawiać.

– Nurlan, mam zamiar opuścić jutro Ziemię. Razem z Terry polecimy na Tara, potem dalej.

– Nie spodobało się w domu?

To nie jest mój dom. Lubiłem mieszkać w Ałma Acie, gdy była miastem, a nie sadem z domkami między zielenią. Lubiłem góry i step, które teraz są nafaszerowane punktami łączności. To właśnie zabiło roaderów. Co za sens bawić się w oderwanie od cywilizacji, gdy na każdym drzewie wisi telefon? A te wasze Znaki... Zabawne. Komunizm mimo wszystko zwyciężył, choć w bardzo dziwnej formie. Ale jeśli dwunastoletni smarkacz zaczyna bawić się w seks z przyjaciółmi obojga płci...

Zamilkłem. Kislicyn wyciągnął rękę i ostrożnie poklepał mnie po ramieniu.

– Siergiej, mnie też się to nie podoba – powiedział cicho. – Zostałem roaderem, gdy miałem trzynaście lat, ale wtedy moralność była bardziej surowa. Wszystko zmieniało się na moich oczach, ale stopniowo. A ty przyszedłeś prosto z XX wieku, z purytańskiego, a raczej muzulmańskiego kraju. Dla ciebie to wszystko jest nieprawdopodobne i obce. Ale spróbuj zrozumieć... nie ma większej pułapki niż wolność. Jeśli przyznajemy człowiekowi prawo do samodzielności niezależnie od wieku, niesłuszne byłoby stawianie jakichś ram czy ograniczeń – w seksie, nabywaniu narkotyków, w ryzykowaniu czy eutanazji. Trzeba dojść do końca. W miejscach publicznych nie zobaczysz nic, co obrażałoby twoją moralność, bo to byłoby ograniczeniem twojej wolności, ale nie wymagaj przyzwoitości za ścianami cudzych domów. Po prostu nie zagłądaj w okna.

– Dziękuję, Nurlan. Zgadza się z tobą. Ale to... to nie są moje normy. Nie moje miasto. Nie moja Ziemia.

– Spróbuj polecieć do kolonii. Nie do chronokolonii, lecz do prawdziwej kolonii. Podobno tam panuje moralność zbliżona do ziemskiej z XX wieku.

Wstałem, widząc na ścieżce opaloną postać w różowych szortach, z błyszczącym paskiem na ręku.

– Terry idzie... Wiesz, Nurlan, chcielibyśmy urządzić u ciebie coś w rodzaju rodzinnej kolacji. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby być gościem we własnym domu? Terry doskonale gotuje.

– Pod warunkiem że zaproszę dwójkę przyjaciół – odpowiedział bardzo poważnie Kislicyn. – Nie wybaczą mi, jeśli ich z tobą nie poznam.

– Oczywiście – uśmiechnąłem się z przymusem. Może jednak namówię Terry, żebyśmy przenieśli się do hotelu.

– Chyba księżniczka z planety Tar też zdążyła zdobyć na Ziemi przyjaciół – zauważył.

Za Terry szedł chłopak z dwiema najwyraźniej ciężkimi torbami w rękach. Miał na sobie czarno-białą uniform – taki nosili Siewcy. Ale sam chłopiec był mi doskonale znany...

– Lans? – Nie wierzyłem własnym oczom. Do diabła, on też jest na Ziemi? F współpracuje ze „świętynnikami”?

Lans ostrożnie postawił jedną z toreb i pomachał mi. Torba poruszyła się i przewróciła.

– Wiem, jak lubisz niespodzianki – powiedziała z uśmiechem Terry, patrząc na moją stropioną minę. – Zwłaszcza takie...

Z torby wysunęła się czujna, na wpół kocia mordka. Trofeum wydostał się z niewoli, otrząsnął po psiemu i niespiesznie skierował w moją stronę.

– To kot czy pies? – zapytał Nurlan. Cała sytuacja wyraźnie go bawiła.

– To Trofeum – odparłem, wyciągając rękę. Trofeum polizał moją dłoń, otarł się o nią grzbietem, potem położył się u moich nóg z absolutnie szczęśliwą minę.

– Cieszę się, że wszystko w porządku – powiedział Lans. – Załoga się zbiera.

Przyjrzałem mu się uważnie. Bardzo wydorósł przez te dwa lata. Ale nadal stał przede mną na baczność – byłem jego księciem.

– Współpracujesz z Siewcami? – zapytałem wprost.

Lans skinął głową.

– Księżę, to była najprostsza i najpewniejsza droga. Wiedziałem, że pan i Terry będziecie potrzebowali wsparcia...

– Uważasz się za piątą kolumnę? – Pozwoliłem sobie na uśmiech i wyciągnąłem dłoń do Lansy.

8. Księga Gór

Życie cię wybrało, ale masz prawo odrzucić wyzwanie. Jaki byłby świat bez dzikich winogron i jesiennego dżdżu? Czym stanie się droga bez pyłu i stal bez rdzy? Kim staniesz się ty bez ludzi? Sobą.

Nie pytano nas, czy chcemy żyć. Ale tylko nam dano wybór drogi. Chwyć swoją drogę, złap swój wiatr. Nawet jeśli świat stanie

się równiną, ty musisz być skałą. Dopóki jest światło, możesz rzucać cień. Dopóki jest słońce i powietrze, zawsze będzie wiatr. To dobrze, że czasem wieje w twarz.

Opowiem o sobie, ale to będzie twoja historia. Masz prawo napisać ją na nowo, i tego właśnie chcę. Naucz się pisać na opadłych liściach i w nurcie górskiej rzeki. Naucz się odpowiadać za siebie i zadawać pytania innym.

Zaczynam. Sam postawisz kropkę w miejscu, które uznasz za stosowne.

Zamknąłem książkę i w zadumie obróciłem ją w rękach. Nieduża, może ze sto stron... Ale w twardej okładce z ciemnozielonego aksamitu, z tłoczonymi złotymi literami: *Księga Gór*. Nazwiska autora nigdzie nie było. Czyżby ta domorośla filozofia była Biblią całego pokolenia? A może to ja czegoś nie rozumiem? Może nie dorosłem do tej książki, tak jak wyrosło z niej poprzednie pokolenie? Zapewne był taki czas, gdy ludzie – dorośli i dzieci – chcieli się poczuć kimś, niechby tylko dzikimi winogronami, pyłem drogi czy rdzą na stali społeczeństwa...

Zerknąłem za zegarek – było jeszcze wcześniej – i znowu otworzyłem mały tomik. Na chybił trafił, w środku...

Wspominałam. Ostatnia noc w ostatnim rodzinnym domu, czas pamięci. Łagodne światło lampki nocnej, błędzące po korytarzach kroki – nie mogłam ich słyszeć, ale wiedziałam, że są. Nie mówcie, że nie umiem kochać. Nie myślcie, że nie chciałam być wdzięczna. Ale wolność nie ma ram, więc nie mam innego wyjścia. Brałam książki z półek – stare książki, zatopione w przezroczystym plastiku. Można je oglądać, ale gdy rozedrze się plastikową osłonę, papier spłonie. Nie chcę podzielić losu zakonserwowanych ksiąg. Lepsze szybkie życie niż powolna śmierć.

Wzięłam z drugiej półki reprinty – mocne i trwałe, niebojące się ognia i wody. Nikt nie odróżni ich od oryginałów. Może to nawet lepiej. W książce ważne są dwa kolory – czarny i biały. Żółtej patyny czasu potrzebuje tylko nasza ambicja. Otwierałam książki na chybił trafił i czytałam to, co miałam przeczytać tej ostatniej nocy. Przeczytać, żeby odrzucić. Przeczytać, żeby uwierzyć.

Pozostać sobą.

Nie myśl, że za pomocą słów możesz usunąć swoje wady albo przydać blasku swym zaletom... Człowiekowi, który nic o sobie nie mówi albo mówi wszystko, nikt niczego nie powierzy.

Użyłam słów, żeby opowiedzieć wszystko. Nie wierzcie mi. Nie ufajcie swojej duszy. Ale mam na dłoniach gorący wosk słów. A gdy słowa ostygną, przemienia się w czarne cienie na białym tle, zachowują odcisk dłoni.

Czytajcie z moich rąk... Te książki, negujące władzę słowa, są śmieszne i tak mi drogie. Szalone słowa, odrzucające władzę książek. Żyłam ich życiem, nim zaczęłam żyć swoim. Słowa, które pokonały wieki, uczyły mnie miłości. Wiedziałam, że to o mnie.

Zrobili ze mnie żywy kwiatek, szczęśliwy kwiatek i czekałam na ciepło, które sprawi, że się rozwinę. Ale ciepła nie było. Może pozostało przy tych, którzy umieli kochać i cierpieć. Przy tych, którzy widzieli w miłości żywy kwiatek, przy tych, którzy znajdowali w miłości słowa zmuszające do miłości, przy tych, którzy mówili o śmierci i miłości tak, że chciało się umrzeć.

Jakże nienawidziłam tych pisarzy, zmuszających do wymyślania dobrych zakończeń do swoich książek! Jakże ich kochałam – bo nie umieli kłamać. I kochałam ich bohaterów – pisarze mogli umrzeć, a książki żyły...

„Zrozumiał, że trzeba rozpalać ogień” – powiedzieli o moim bohaterze, mojej książkowej miłości. W naszych czasach nikt nie lubi rozpalać ognia. Mówią, że płomień zestarzał się wraz z kołem.

Nauczę się rozpalać ogień. A koła mi nie żal. Lepiej chodzić po ziemi.

Powoli odłożyłem *Księżę Gór*. To jakiś obłęd. Żyjąca wiek po mnie Sally Jennings nie mogła lubić tych samych książek co ja... A cytaty z Chesterfielda... Młody geniusz, cudowne dziecko, roader numer 1. Sally Jennings mogła oczywiście czytywać filozofa z XVIII wieku. Mnie ta książka wpadła w ręce przypadkiem. Każdy z moich kumpli w tym jakże dalekim – jak strasznie dalekim! – XX wieku, słysząc słowo „Chesterfield”, wykrzyknąłby: „Znakomite papierosy!” Wychodzi na to, że *Księżę Gór* napisano specjalnie dla mnie.

Myśl wpełzła do mojej świadomości niczym zimna zmijka. Nie uciekłem przed fatalizmem, przed wszystkowiedzącymi Siewcami. Wszystko było obliczone na mnie... było prowokacją...

Bzdura! Zerwałem się z łóżka, na którym odpoczywałem przed „rodziną kolacją”. Po prostu *Księga Gór* została napisana z talentem. Jest genialna, jest dla wszystkich – dla mnie też. To coś, czego zawsze szukałem. Spokój i odpowiedź na wszystkie pytania. Trzeba dać ją Terry i Lansowi... i Trofeum.

Czy ja tracę rozum?

Otworzyłem *Księżę Gór* pod koniec i z niepokojem zerknąłem na kartkę. Co mi powiesz, Sally?

Jeśli nie możesz zostać szczęściem, stań się bólem. Jeśli oduczyleś się kochać, nie spiesz się, by nienawidzić. Przypomnij sobie, co mówiono dawno temu: „Niewielu ludzi (a odnosi się to zwłaszcza do ludzi młodych) umie kochać i nienawidzić. Ich miłość to nieopanowana słabość, zgubna dla przedmiotu ich miłości, a nienawiść to gorąca, ślepa siła, zawsze zgubna dla nich samych. Gdy poczujesz, że jesteś zdolny do miłości – zejź z drogi i zbuduj dom. Jeśli wydawało ci się, że potrafisz nienawidzić – uciekaj!”

Brawo, Sally Jennings! Brawo, psychologowie pomagający pisać *Księżę Gór!* Brawo.

Usłyszałem delikatne pukanie do drzwi i wszedł Lans.

– Księżę, kolacja gotowa. Wszyscy już się zebrali.

– Weź książkę – powiedziałem prosząco. – I przeczytaj na głos tę stronę.

Zdumiony Lans wziął zielony tomik i patrząc na mnie spoode łba, zaczął czytać:

– „Gdy oduczysz się kochać, nie spiesz się, by nienawidzić. Przypomnij sobie, co mówiono dawno temu...”

Na ułamek sekundy zamilkł, wpatrując się w tekst, po czym czytał dalej, niezbyt płynnie, jakby cytował z pamięci:

– „Miłość i nienawiść mają te same wady. Nienawiść patrzy oczami miłości i to, co wcześniej...”

– Wystarczy. Dziękuję. – Wyszarpnąłem mu książkę z rąk. – Czyje to słowa, Lans?

– Cytat z Edwasta Rewijskiego. To starożytny, zapomniany tauryjski myśliciel... – Lans patrzył, jak chowam *Księżę Gór* do szuflady biurka. – Można będzie ją przeczytać?

– Nie, Lans. Ja na pewno tego nie zrobię. I tobie też nie radzę. Ta książka zawiera psychiczną pułapkę... jakieś draństwo, które sprawia, że znajdujesz w niej swoje ulubione myśli, cytaty, zdania z przeczytanych w dzieciństwie książek. Tam nie ma żadnego Edwasta Rewijskiego... czy Rewijskiego? Ja zamiast tego przeczytałem cytaty z ziemskiego filozofa z XVIII wieku. Rozumiesz?

– Ale przecież widziałem na własne oczy!

– Ja też widziałem. Ta książka zmusiła bardzo wielu ludzi, by porzucili dom, wyruszyli na włóczęgę, zapomnieli o rodzinach. Możliwe, że swego czasu właśnie to było potrzebne ludziom, żeby przetrwać i zacząć gwiazdną ekspansję. Ale teraz książka nie działa... albo działa tylko na takich jak my, obcych, nieprzygotowanych. Widocznie miała dokładnie wyliczony okres działania.

Mówiłem już nie do Lansa, lecz do siebie, uświadamiając sobie to wszystko i uwalniając się od słodkiego zamroczenia. Dzięki, Sally... wziąłem z tej książki wszystko, czego potrzebowałem. Zresztą co tu ma do rzeczy Sally? Nad banalnymi dziewczęcymi wspomnieniami pracował

ogromny zespół utalentowanych ludzi. Oni wiedzieli, czego potrzebuje Ziemia. Bardzo chciałbym wierzyć, że wiedzieli, że nie przeprowadzali eksperymentu z ludzką świadomością. Stworzyli roaderów, przewidując, że wkrótce ludzka psychika się zmieni i książka utraci swoje hipnotyczne oddziaływanie. Rzecz jasna, pozostaną nieliczni, na których będzie działać zawsze...

– Chodź, Lans, księżniczka czeka. – Wziąłem chłopca za rękę i niemal wywlokłem z pokoju.

– Włączyłem iluzor – oznajmił Nurlan. – Nie masz nic przeciwko temu?

Okrążyły stół obiadowy i siedem krzeseł wokół niego na szczycie wzgórza. Na dole był step pokryty zielonym dywanem traw z czerwonymi punkcikami kwiatów. Wiał chłodny wiatr, słońce przysłaniały puszyste obłoki.

– Nie mam – powiedziałem, rozglądając się. – Wiosna, step, tulipany... Lubisz miraż, Nurlan. Ale najlepszym mirażem nazwałbym *Księżką Gór*.

– Zrozumiałeś?

– Tak. Cukierek o smaku innym dla każdego, w zwyczajnym papierku.

Na twarzy Kislicyna pojawiła się wyraźna ulga.

– Doskonale. Chciałem cię sprawdzić.

– Dlaczego?

Nurlan wahał się przez kilka chwil. Wprost z powietrza, w srebrzystym migotaniu rozrywanego pola kamuflażowego spłynęła Terry z wielkim półmiskiem w ręku. Uśmiechnęła się do mnie.

– Pizza – oznajmiła.

I znowu znikła za fałszywym horyzontem. Od półmiska płynął kuszący aromat. Lans odprowadził Terry spojrzeniem i usiadł przy stole. Wyciągnął rękę do kryształowej karafki z ciemnoczerwonym winem.

– No, o co chodzi? – zapytałem ponownie Nurlana. – Po co sprawdzałeś stabilność mojej psychiki... w dodatku za pomocą książki, która już swoje zrobiła?

– Siergiej, jutro opuszczasz Ziemię.

– I co z tego?

– Rajmund Maccord, ze służby bezpieczeństwa...

– Pamiętam.

– Powiedział, że będziesz brał udział w operacji „Igła”. To jakaś akcja przeciwko Fangom. A ja mam z Fangami swoje porachunki. Mój syn był pilotem w „Kolchidzie”.

Nurlan zamilkł, jakby słowo „Kolchida” miało mi wszystko wyjaśnić.

– Co się z nim stało?

Nurlan uśmiechnął się z przymusem.

– To był pierwszy nasz statek, który odbiliśmy Fangom. Właśnie wtedy zrozumieliśmy,

z kim mamy do czynienia. Nikt z załogi nie przeżył.

– Przepraszam... Ale ktoś cię oszukał. Nie mam zamiaru brać udziału w żadnej operacji Siewców przeciwko Fangom.

– Kto wie? Gdybyś poddał się wpływowi *Księgi Gór*, pierwszy poradziłbym ci, żebyś się do tego nie pchał. Tam potrzebna jest ogromna odporność psychiczna. *Księga Gór* napiera na ludzi znacznie mocniej.

Zapadła cisza.

– Bardzo mi przykro, Nurlan. Miałeś tylko jedno dziecko? – Pytanie zabrzmiało nietaktownie, ale było już za późno żeby się wycofać.

– Tak, Siergiej. Najwidoczniej nie masz pojęcia o naszych problemach... Widzisz, większość ludzi mojego pokolenia nie może pochwalić się nawet jednym dzieckiem. Nastąpiła epidemia anomalii genetycznych... Jedynym wyjściem pozostał dobór dawców, sztuczne zapłodnienie. Teraz mamy to już za sobą, ale konsekwencje pozostały do dziś. Narody niemal znikły, genotypy trzeba było dobierać od ludzi różnych ras. Mój ojciec jest Kazachem, moja matka Żydówką. Ja, jak widzisz, jestem czarny. Byłem adoptowanym dzieckiem, bo to okazało się jedynym wyjściem.

– Wybacz – powiedziałem cicho. – Skąd mogłem wiedzieć... Zdziwiło mnie, że wszystkie rasy tak się przemieszały, ale myślałem, że stało się to normalną drogą.

– To nic, Siergiej, nie musisz się tłumaczyć. Za to teraz prawie sobie poradziliśmy z nieprawidłowościami genetycznymi. Mam wnuki, moje problemy już ich nie dotyczą.

Odwrociłem się do Lansa.

– Kim jesteś u Siewców? – zapytałem.

– Komandosem. – Lans rozłożył przepaszającą ręce. – Siewcy ogłosili nabór pracowników z chronokolonii. Byłem wtedy na Tarze, podrobiłem dokumenty...

– Nie sądzę, żeby w nie uwierzyli. Lans, masz operacyjną łączność ze zwierzchnictwem?

Skinął głową. No tak, w XXII wieku człowiek jego zawodu nie mógłby się obejść bez mikronadajnika. Lans wyjął z kieszeni kurtki płaski plastikowy krążek i zapytał:

– Z kim mamy się połączyć?

– Z Rajmundem Maccordem.

Lans nerwowo potarł skroń i sposepniał. Potem położył swój aparacik na stole i przycisnął do niego kciuk. Nad stołem pojawił się mały, ale wyraźny obraz – smagły, azjatyckiego typu mężczyzna w czarno-białym mundurze.

– Wezwanie nadzwyczajne – rzucił krótko Lans. – Z komandorem Rajmundem Maccordem.

Dyżurny zerknął w bok i pokręcił głową.

– To przekracza pańskie pełnomocnictwa, poruczniku Lans. Mogę połączyć z pomocnikiem konsultanta...

Pochyliłem się nad stołem, licząc na to, że wchodzę w pole widzenia dyżurnego, i powiedziałem cicho:

– Nie prosz się o kłopoty, koleś. Łącz. Sprawdź w swoim komputerze imię Siergiej, księżę planety Tar. Jeśli nie znajdziesz, połącz się z Rajmundem sam. I powiedz mu, że chcę porozmawiać o operacji „Igła”.

To zrobiło na nim wrażenie. Znowu zerknął w bok (widocznie miał tam terminal informacyjny) i nagle stał się bardzo uprzejmy.

– Pańskie imię znajduje się na liście. Łączę.

Płynęły sekundy. Pojawiła się Terry z tacą zastawioną sałatkami. Zobaczyła włączony przekaźnik i w milczeniu usiadła przy stole.

– Witam na Ziemi, Siergiej.

Bez słowa patrzyłem na dowódcę służb bezpieczeństwa Siewców. Starszawy Europejczyk, o sympatycznych miękkich rysach. Gdyby przykleić mu bródkę, wyszedłby z niego doskonały Święty Mikołaj, w sam raz na przedstawienia dla przedszkolaków.

– Rajmund Maccord? – zapytałem na wszelki wypadek.

– Tak.

– Proszę mi wyjaśnić, po jaką cholere jestem wam potrzebny.

Rajmund ze zdumieniem rozłożył ręce i rzekł z lekkim wyrzutem:

– Siergiej, postępował pan niesłusznie, izolując się od Ziemi. Jesteśmy pańskimi potomkami, nasza planeta jest panu bardzo wdzięczna...

– Na ile rozumiem normy waszej moralności – podkreśliłem słowo „waszej” – życie z dala od Ziemi to moje prawo.

– Naturalnie, naturalnie... Siergiej, bardzo chciałbym porozmawiać z panem w cztery oczy. Proszę mi wierzyć, nikt nie będzie stał na drodze pańskich pragnień. Chcemy panu zaproponować współpracę, ale może ją pan odrzucić. Księżniczka Terry uprzejmie zgodziła się nam pomóc, jesteśmy jej bardzo zobowiązani.

– Odrzucę każdą propozycję – oznajmiłem. – Ale porozmawiać możemy. Przybędę wraz z żoną, rzecz jasna... jak już się dowiem, w co ją wciągnęliście i jakimi metodami. Spotkamy się jutro.

Lans przerwał łączność natychmiast, na mój gest. Uśmiechnąłem się.

– Słuchaj, ty chyba nadal uważasz mnie za kapitana.

Lans skinął głową.

– Kontrakt z Siewcami mogę zerwać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. A pan jest moim księciem... imperatorem.

Gdy Terry zapełniła już stół półmiskami i salaterkami, usiadła obok mnie.

– Jaką współpracę obiecałaś Siewcom? – zapytałem cicho.

– Wymianę ambasad. Możliwość zawarcia umowy o wzajemnej pomocy, o stworzeniu związku handlowego. Nic więcej. Regent sam powinien był to zrobić...

9. Jin i jang

Stosunki dyplomatyczne to jeszcze nic złego. Ale o umowach wojskowych, bez względu na terminologię, będziemy musieli jeszcze porozmawiać. Nie ufam Siewcom. Wcale nie są moimi potomkami – to tylko dzieci mojego czasu. Tego samego czasu, gdy z trybun rozlegały się uspokajające przemowy, a na ulicach miast serie z karabinów. Gdy gwałcono kobiety i rozstrzeliwano dzieci. Gdy ekspansywni lotnicy z Południa zatapiaли statki pasażerskie z uciekinierami, a uprzejmi, akuradni mieszkańcy Północy zamieniali połowę ludności swoich krajów w pozbawionych praw niewolników. Mój XX wiek wyciągnął macki w stronę przyszłości i jeśli wtedy ogromnym państwem rządili łapówkarze, alkoholicy i gaduły, to obecna władza na Ziemi wcale nie jest lepsza. Nie mówię o tej ponadpaństwowej, noszącej neutralną nazwę Ansambl, lecz o prawdziwej – o projekcie „Siewcy”. „Komunizm zwyciężył” – żartowałem sobie niedawno. Ale to nie komunizm, lecz cały XX wiek, okrutny i krwawy, kryjący pod maską cywilizacji tysiącletnią zwierzęcą agresję. Genetyczne anomalie zmusiły rasy i narody do przemieszania się, ratując Ziemię przed wojnami rasowymi. Ale pokój i dobrobyt na rozwiniętej Ziemi to tylko naszywka na wojskowym mundurze całej galaktyki. Tysiące planet trwają w wojowniczym średniowieczu tylko po to, by zostać sprzymierzeńcami w wielkiej wojnie z krwiożerczymi Fangami. Czy ci Fangowie naprawdę są nieprzyjaciółmi? Tak łatwo wymyślić sobie wroga, ulepić go własnymi rękami z miękkiej gliny czegoś niewiadomego...

– A oto i moi przyjaciele – powiedział wesoło Kislicyn. – Wchodźcie, wchodźcie...

Wstałem zza stołu. Przyjaciele Nurlana byli znacznie starsi od niego. Chyba nawet w moich czasach ustąpiono by im miejsca w przepełnionym autobusie. Obaj biali, w europejskim typie; jeden brunet bez jednego siwego włosa, drugi z jasnymi, wyraźnie naturalnymi włosami. Dwaj starszycy w szarych garniturach, staromodnych nawet dla mnie.

– Michaił – przedstawił się pierwszy.

– Igor – powiedział drugi, przyglądając mi się z ciekawością.

– Siergiej.

Wymieniliśmy symboliczne uściski dłoni, nieoczekiwanie mocne, choć przecież każdy z nich miał pewnie ponad sto lat...

Michaił podszedł do Terry, ceremonialnie ujął jej dłoń i podniósł do ust.

– Jestem szczęśliwy, że mogę poznać księżniczkę planety Tar.

Terry uśmiechnęła się i skinęła głową. Po Michaił podszedł do niej Igor, skłonił się i też pocałował ją w rękę.

– To starodawny ziemski zwyczaj powitania osób krwi królewskiej – wyjaśnił uprzejmie.

– Domyśliłam się – Terry znowu się uśmiechnęła. Goście Nurlana wyraźnie poprawili jej nastrój.

– Mamy dla was drobne upominki – powiedział Igor. – Nie wiedzieliśmy, że będzie również wasz przyjaciel, proszę nam wybaczyć...

– To nic – odparł serdecznie Lans. – Nie jestem osobą krwi królewskiej.

Gdy poznawali się z Lansem, zerknąłem na Nurlana. Pochwyciłem jego zakłopotane spojrzenie i uśmiechnąłem się uspokajająco. Wszystko w porządku.

Igor wyjął z kieszeni marynarki dwie płaskie szkatułki. W milczeniu podał je mnie i Terry.

– Jakie piękne! – wykrzyknęła Terry.

W szkatułkach były pierścienie z oksydowanego srebra, dość duże, o wyszukanym kształcie – nierozwinięty pęk róży na długiej, zawiniętej w pierścień łądźce.

– To srebro, najcenniejszy metal ziemi – rzekł Igor. – Podobno lęka się go zło. Wiemy coś niecoś o waszej historii, o pierścieniach pomagających pokonać odległość...

– Mam nadzieję, że te pierścienie nie są aż tak wymyślne – powiedziałem.

Igor pokręcił głową.

– Nie ma w nich żadnej elektroniki. Zwyczajne pierścienie ręcznej roboty. Byłem kiedyś jubilerem. Teraz już nie pracuję, najwyżej przy takich okazjach.

– Wybacz. Dziękuję. – Włożyłem pierścień na palec wskazujący. Mimo finezyjnej formy prezentował się dobrze nawet na męskiej ręce. Rzeczywiście wspaniała robota.

Igor tymczasem zwrócił się do Lansa.

– Należy pan do Siewców? Oficer operacyjny?

Lans skinął głową.

– W takim razie pozwól pan, że też wręczymy mu prezent. Oczywiście to nie tak oryginalna rzecz... ale pasuje do pańskiej specjalności.

Igor dotknął koszuli na piersi i otworzyła się ukryta kieszeń, z której wyjął cienki, również srebrny łańcuszek. A na nim... Skrzywiłem się mimo woli. Na łańcuszku, przyspawany albo przyklejony do ołowianej kulki, kołysał się pocisk. Bardzo znajomy pocisk kałasznikowa. Ile takich zużyłem dwieście lat temu? Gorące łuski, zapach prochu, drżenie automatu w rękach... I dokładnie takie same kule leciały w moją stronę. Ci, do których nie trafiłem, już nie żyją, rozpadły się w pył urządzenia odlewające kule. A ten pocisk przetrwał... Igor nie zauważył mojej reakcji; z ożywieniem wyjaśniał zaciekawionemu Lansowi, co to takiego pocisk, broń prochowa oraz automat Kałasznikowa. Ten nabój Igor nosił w dzieciństwie na szyi, jak amulet. Wszyscy mu zazdrościli. Głupki...

– Proszę się nie gniewać na mojego przyjaciela – szepnął do mnie Michaił. – Nie pomyślał, jakie skojarzenia wywoła u pana jego zabawka.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie i zapytałem wprost:

– Czyta pan emocje?

– Nie... po prostu dobrze wyczuwam cudze nastroje. Ja też mam prezent dla pana i dla Terry.

Dwa futerały z czarnego szkła ze złocistymi monogramami splecionymi w kształt korony na wieczku. I kryształowe flakoniki z cytrynowożółtym płynem w środku.

– Perfumy i woda kolońska – domyśliłem się. – Też indywidualna produkcja?

– Oczywiście. Byłem projektantem zapachów. Uruchamiałem masową produkcję serii Honor, Czerwień na błękicie, Czarodziejka Północy... Zresztą, nic to panu nie powie. Te pochodzą ze starych zapasów... Nie weszły do serii. Nawet nie mają nazwy, nazwaniem roboczym było jin i jang.

Wyciągnąłem rękę do flakonika, ale Michaił mnie powstrzymał.

– Niech pan wypróbuje zapach razem z księżniczką. Tak będzie... lepiej. To bardzo intymny prezent, wyłącznie dla ludzi, którzy się kochają. Właśnie z tego powodu nie puszczono ich w serii. Sam pan zrozumie.

Nie pytałem więcej. Michaił nie wzbudzał podejrzeń. Przeciwnie, było w nim coś sympatycznego, bliskiego.

Może zdławiony głęboko ból?

Jak powiedział Vic: „Nie chcę stracić tajemnicy”. Niech i dla mnie ten stary projektant zapachów pozostanie tajemnicą.

– Zapraszam do stołu – powiedziała rażno Terry. – Szanowny Nurlan odstąpił mi na dzisiejszy wieczór prawa gospodyni... Wszystko zostało przygotowane według moich przepisów. Uznajcie to za mój prezent dla was.

Lans odebrał jej nóż i zaczął kroić gigantyczną pizzę. Nalałem wina sobie i Terry, Nurlan po przeciwnej stronie stołu obsługiwał swoich przyjaciół. Wiał lekki wiaterek. Pachniało stepem. Iluzja, jak w gabinecie Maestra Stasa. Za to wino było prawdziwe. Upiłem duży łyk, ciernika słodczy lekko szczypała w gardle.

– Za spotkanie – powiedział Nurlan, wstając. – Spotkanie czasów i planet, ludzi i dróg.

Stuknęliśmy się kielichami.

– Nie opowie pan nam o sobie? – zapytał mnie Igor. – O locie „Terry”?

Wiedziałem, że tak będzie...

– Niech pan opowie to, co było dla pana przyjemne – odezwał się nieoczekiwanie Michaił. – Wiem, że przeżyliście bardzo dużo bólu. Wszystko się pomieszało: przyjaciele i wrogowie, Siewcy i chronokoloniści. A jednak nawet w smutku jest radość, a w trwodze pamięć. Podobno był pan przyjacielem Klenijczyka... rozmawiał pan z Daniilem Nazarowem...

Uśmiechnąłem się.

– Byłem i rozmawiałem. A właściwie... Aler-II z planety Kleń i Dańka to moi przyjaciele. Chociaż już ich nie ma. Dobrze, opowiem...

W głowie mi lekko szumiało. Leżałem na łóżku zmienionym z „agregatu do snu”

w najzwyklejszy mebel i czekałem na Terry. Z łazienki dochodził szum wody. Zamknąłem oczy, wspominając dzisiejszy wieczór. Wszystko było wspaniałe, poczynając od przyjaciół Nurlana, a kończąc na przygotowanych przez Terry daniach.

Zapadałem w sen. Zbyt dużo informacji jak na jeden dzień. Zbyt dużo spotkań i wspomnień.

Lot „Terry”. Handel i starcia z piratami, poszukiwania Ziemi... Stary łajdak Redrak... Dańka, podrzucony do mojego gwiazdolotu. Kleń z planety Kleń. „Biały Raider”. Świątynie, Maestro Staś...

Sen. To tylko sen. Czy to naprawdę się wydarzyło? Niebieski płomień na mieczach płaszczyznowych, bitwa wiszących nad Shedmonem statków. Świątynia posłuszna moim rozkazom, mentalny pojedynek z jej twórcą. Piknik z Dańką pod różnokolorowymi księżycami Rayswaya...

– Ty już śpisz.

– Śpię – przyznałem.

Szliśmy przez pustynię. Drobnny piasek zasysał nogi jak bagno. Białe słońce nieruchomo wisiało w zenicie. Popatrzyłem na swojego towarzysza. Ernado czy Lans... a może Redrak... albo Kleń?

Sen wydawał się jawą, jak każdy porządny sen. Dopiero po przebudzeniu rozwieje się wrażenie piasku pod nogami i gorącego słońca nad głową. Może pozostanie pragnienie. Za dużo wypilem.

– Dokąd idziemy?

– Naprzód – rzekł obojętnie mój towarzysz. – Do celu. Przecież wiesz, że najpewniejsza droga to ta najprostsza.

– To trudna droga – sprzeciwiłem się uparcie.

– Trudna, ale prosta. Myślisz, że łatwa, ale skomplikowana jest lepsza?

– Nie mieszaj mi.

– Dlaczego? Zawsze lubiliśmy jasność.

– Jacy my?

Idący obok mnie roześmiał się.

– Powiedzmy tak: twoje sumienie i honor.

– I umysł.

– Nie dowcipkuj. Lepiej słuchaj i zapamiętuj. Dekoncentrujesz się. Schodzisz z drogi. Ziemia to nie miejsce dla ciebie.

– A gdzie jest moje miejsce? Na Somacie? Na Tarze? W szeregach Siewców?

– Wszędzie. Dróg jest wiele, nie zatrzymuj się.

Mój towarzysz obejrzał się nagle.

– Odchodzę...

I rozpląnął się w przezroczystym powietrzu. Pozostała tylko żółta pustynia i białe słońce na wyblakłym niebie.

– Siergiej... Sieriożka...

Otworzyłem oczy. Nade mną pochylała się Terry owinięta w miękki błękitny szlafrok. Czule pogładziła mnie po twarzy.

– Miałeś koszmary? Jęczałeś.

Skinąłem głową i wstałem. Dziwne, ale upojenie zupełnie przeszło. Tylko chciało mi się pić.

– Zaraz...

W łazience, nadal działającej w trybie iluzji, wsunąłem głowę pod miniaturowy wodospad. Chciwie napiłem się letniej wody, otrząsnąłem się. Powiał ciepły wietrzyk, susząc włosy.

– Dziękuję – powiedziałem słabo.

Zdejmując po drodze koszulę, wróciłem do sypialni. Terry siedziała na łóżku, kartkując *Księgę Gór*.

– Wyrzucić to draństwo – poradziłem. – To zestaw tekstów działających na podświadomość.

– No i co? Mogę się im oprzeć. Za to dowiem się czegoś o sobie. Wezmę tę książkę na Tar.

– Jak chcesz. – Usiadłem obok.

– Miły wieczór, prawda? – Terry otworzyła futerał z czarnego szkła i wyjęła flakonik z perfumami. – I takie piękne prezenty.

Z lekkim niepokojem patrzyłem, jak otwiera przezroczysty flakonik, odruchowo dotyka włosów i czoła.

– Przyjemny zapach... Co to za symbole?

– Jin i jang. Jin to pradawny znak kobiety, kobiecej siły. – Przysunąłem się do Terry, wciągnąłem aromat perfum. Gęsty, pełny, ale niezbyt ciężki. Trochę piżma, trochę rozkwitłych róż. Przyjemny, ale tylko tyle. Nic szczególnego. Sięgnąłem po swój flakonik, odkręciłem zakrętkę. Jang – symbol pierwiastka męskiego. Ledwie uchwytny aromat cytrusów, miodu i...

Świat wokół nas zawirował, jakby ściany ktoś przykrył gęstą mgłą. Światło przygasło. Wszystko znikało, drżało, oddalało się w nieskończoność. Tylko Terry była obok.

– Terry...

– Siergiej...

Wyciągnęliśmy do siebie ręce – jakby przez pustkę, przez przezroczystą mgiełkę. Jej dłonie dotykały mojej twarzy, gładziły mnie czule, delikatnie, nieśmiało... I nie było już nic prócz tych dłoni, ciepłych, niemal gorących; nic prócz otwartych błękitnych oczu, prócz nagiego ciała pod szlafrokiem, który zaraz opadł.

– Siergiej...

Zrzuciłem ubranie pospiesznym szarpnięciem tonącego, skutego niewolnika zrywającego nienawistne łańcuchy. Nie było barier między naszymi ciałami, nie było samych ciał, nie było nic

prócz niepowstrzymanej siły łączącej nas w jedną całość. Jin i jang, jin i jang...

I już nie było słów, nie było potrzeby słów. Czytaliśmy w sobie nawzajem jak w otwartych księgach.

„To narkotyk, Siergiej?”

„Nie. To wolność, to taran rozwalający ściany. Jin i jang. Dwie siły”.

„Więc były jakieś ściany?”

„Nie wiem”.

„To już na zawsze?”

„Nie wiem”.

Brałem ją tak, jak tysiące razy przedtem, jak za pierwszym razem, jak mógłbym ją wziąć ostatniego dnia przed rozłąką. Jak swoją pierwszą kobietę, jak wszystkie kobiety, które miałem przed nią. Jak wszystkie, których nie pokocham i których nigdy nie posiadę. Dlatego że nikogo nie potrzebowałem, dlatego że nie było nikogo prócz nas.

„Kocham cię, Terry”.

„Wiem. Kocham cię, Siergiej”.

„Wiem”.

Śmiesznie byłoby nazwać to seksem – to tak jakby nazywać dinozaura jaszczurką. Głupio też nazwać miłością... Nie sposób nazwać jakkolwiek, to tak jakby niewidomemu opisywać kolor nieba na wschodzie.

Ale słowa stały się niepotrzebne.

„Powiedz, dlaczego mnie pokochałaś?”

„Powiedz, dlaczego mnie pokochałeś?”

„Byłaś światłem w ciemności. Obiecałaś kochać... nie żądając miłości. Nie przestraszyłaś się mojego świata, którego sam się bałem. I... kochałem cię od zawsze. Od zawsze. Wiedziałem, że będziesz właśnie taka”.

„Byłeś tym, który o mnie nie zapomniał. Sprawileś, bym uwierzyła, wiedząc, że moje słowa to tylko gra. Nie przestraszyłeś się mojego świata, który był śmiercią. Zdołałeś odejść, gdy było trzeba. Zdołałeś obronić swój świat. Zdołałeś wezwać mnie, gdy czekałam. Ale wtedy jeszcze cię nie kochałam...”

„Wiem”.

„Teraz to wiesz. Na początku miałam dług wobec ciebie. Potem przyszedł wstyd za rodziców. Potem strach przed przodkiem Siewców”.

„Bałaś się?”

„Tak. Bogowie, którzy ożyli, bywają straszni. Ale to minęło, gdy poznałam twój świat”.

„Kiedy mnie pokochałaś?”

„Gdy zrezygnowałeś z władzy nad Tarem. Zrozumiałam, co to dla ciebie znaczy, gdy

zobaczyłam twój świat, a ty powiedziałeś, że znajdziemy sobie nowy świat. Gdy pomogłeś mi dostrzec piękno martwej planety. Gdy byłeś dla mnie wszystkim – mężem i przyjacielem, panem i niewolnikiem. Gdy uwierzyłam w twoją miłość do Terry, a nie do księżniczki z planety Tar”.

Leżeliśmy objęci, świat wokół nas nabierał jasności. Cichł szept myśli; nie był już potrzebny, tak jak nie były potrzebne słowa. Tylko dłonie Terry nadal mnie gładziły, łagodnie, z wdzięcznością, spotykając czułość moich rąk.

Panowała cisza, taka cisza, jakiej nie można by znaleźć na Ziemi XX wieku. Głębsza niż w naszym domu na Somacie, głębsza niż w pałacu imperatorów Tara.

– Sierioza – wyszeptała Terry – czy te perfumy, jin i jang, podziałałyby na każdego? Na dowolną parę?

– Na tych, którzy się kochają – odpowiedziałem półgłosem. – To nie lubczyk... i dlatego są groźne. Mogliśmy zrozumieć, że się nie kochamy.

– Ale kochamy. – Terry wtuliła się w moje ramię. Minęła minuta, zanim zrozumiałem, że ona śpi. Prezent Michała wyczerpał nas zupełnie. Ostrożnie poprawiłem kołdrę, potem zerknąłem na ekran. Trzecia w nocy.

Dziwne. Zrozumiałem to, co wcześniej było tylko słowami. Ja naprawdę kochałem Terry od zawsze.

Jeszcze przed naszym spotkaniem w nocnym parku Ałma Aty.

Jeszcze zanim zrozumiałem słowo „miłość”.

Zawsze.

Czekałem i kochałem ją zawsze.

CZEŚĆ DRUGA

FANGOWIE

1. Twierdza orbitalna

Chyba powinniśmy byli się pożegnać – powiedziała zakłopotana Terry, gdy nasz flajer wzbijał się w górę. – Taki czarujący człowiek!

– To były roader. Oni popierają odejścia bez pożegnania i uprzedzenia – wymamrotałem sennie, obserwując Lansa, który kierował flajer w stronę gór... Chciałem wstać wcześniej i porozmawiać z nim, ale nie wyszło. Zasnąłem dopiero nad ranem. – Dokąd lecimy, Lans?

– Podano mi punkt w górach, w którym wyląduje kuter. Tą skorupą – Lans postukał w przezroczystą ściankę kabiny – nie wylecimy poza granice atmosfery.

– A kuter nie mógł wylądować w mieście?

– Mógł.

Spojrzałem na Terry, która przytuliła się do mojego ramienia. Westchnąłem i odezwałem się do Lansa:

– Parszywa ta twoja firma, stary. Wredna. Nie domyślasz się, dokąd lecimy?

– Dokąd?

– Na miejsce, w którym wylądował „Biały Raider”. Tam, gdzie była bomba kwarkowa. Gdzie ratowaliśmy Ziemię.

Lans odwrócił się i zerknął na przyrządy, na ekran ze świecą zieloną nitką kursu. Zaklął.

– Oho! Robisz postępy. Tylko nie przy Terry, Lans.

– Ześlę go do odległego garnizonu – obiecała Terry nie otwierając oczu i drgnęła. – Rzeczywiście tam lecimy?

– Presja psychiczna. To w stylu Siewców.

– Księżę, czy mam się połączyć... z nimi? – zapytał Lans z miną winowajcy. – Zażądać innego punktu lądowania?

– Nie. Nie uda im się wytrącić nas z równowagi.

– Dobrze. Nie zdawałem sobie sprawy, o co chodzi, księżę. Przysięgam. Nie chciałbym wracać tam, gdzie zginął nasz Dańka.

– Przecież on przeżył! – Terry otworzyła szeroko oczy.

– Nasz junga zginął, Terry – powiedziałem. – Złożono go na nowo... Ale prawie nie pamiętał swoich przygód.

– Ach tak, opowiadałeś.

Nie odezwałem się. Dla Terry Dańka był jedynie przypadkowym epizodem w odysei gwiazdolotu „Terra”. Dla mnie i dla Lansa – członkiem załogi, przyjacielem, towarzyszem, z którym walczyliśmy ramię w ramię i którego zabito na naszych oczach. Niestety, zmartwychwstanie udało się jedynie Chrystusowi, w dodatku z ojcowską pomocą. Z przyjemnością powtórzyłem w myślach to bluźniercze stwierdzenie. Nie wierzę w bogów.

Siewcy okazali się głównianymi bogami... Innych wymyślać nie warto.

– Tam jest kuter – powiedział cicho Lans. – Poprosimy, żeby odleciał od razu.

Na dole, na świeżej górskiej trawie białł korpus małego orbitalnego kutra. Obok stał pilot, który – nie wierzyłem własnym oczom – palił! Ładne rzeczy! Tytoń nadal był w użyciu!

Oczami wyobraźni zobaczyłem ciąg przyszłych wydarzeń. Proszę pilota o papierosa... czy o cygaro, wszystko jedno. Stoimy sobie obok kutra, trujemy się nikotyną, prowadząc uprzejmą rozmowę o niczym, patrząc na odległe sady Alma Aty. A pilot mimochodem wplata do rozmowy pozornie bezsensowne zdania-pułapki oddziałujące na moją psychikę w typowy dla Siewców sposób. A w papierosie (cygarze) prócz nikotyny jest jeszcze jakieś draństwo...

Niedoczekanie wasze, uśmiechnąłem się złośliwie. Chwała Bogu, mijalo pięć lat, odkąd nie palę.

– Wiesz co, Lans – rzuciłem niemal wesoło – na pewno start przełożą o jakieś piętnaście minut. Pochodzimy sobie wokół kutra, posiedzimy na trawce...

– Nie sądzę – powiedział z powątpiewaniem Lans.

Ale okazało się, że to ja miałem rację.

Stacja projektu „Siewcy” mieściła się na orbicie stacjonarnej. Nowoczesnemu kutrowi z grawikompensatorami i silnikami anihilacyjnymi pokonanie dwudziestu pięciu tysięcy ośmiuset kilometrów powinno zająć najwyżej piętnaście minut.

Wieziono nas na stację prawie godzinę. Najpierw kuter zaczął powolny, potwornie energochłonny start z powierzchni Ziemi. Przelecieliśmy nad Egiptem, gdzie trójkątne cienie piramid leżały na żółtym piasku tak samo jak tysiące lat temu. Gdy pilot oznajmił, że właśnie jesteśmy nad równikiem, zapytałem, czy nie planują czasem wycieczki nad Antarktydą.

Chyba pilot porozmawiał z dowódcą, bo pół minuty później pokazówka się skończyła i kuter pomknął prosto do stacji, co i tak zajęło sporo czasu.

Stację „Siewcy” otaczały co najmniej trzy strefy bezpieczeństwa. Określenie bardzo umowne – szczerze mówiąc, każda strefa składała się z licznych, autonomicznych oraz oddziałujących na siebie stacji bojowych. Niektóre, jak uprzejmie wyjaśnił nam pilot, miały rozmiar piłeczki pingpongowej. Inne dochodziły do stu metrów średnicy. A cała ta armada żądała od naszego kutra podania kodów, haseł, pozwolenia na wejście do kolejnej strefy bezpieczeństwa, przeglądała zawartość kutra...

Największe wrażenie zrobiła na mnie matowoszara kula, przypominająca pierwszego ziemskiego satelitę z odłamanymi antenami. Wpłynęła do naszego kutra przez kadłub, przy czym stała się na chwilę zamglona, a następnie znowu wyraźna, materialna. Kula powoli płynęła przez przedział pasażerski, zajrzała do ładowni – drzwi przed nią otworzyły się spazmatycznym szarpnięciem – i dała nura do kabiny pilota. Jak wyjaśnił Lans, sonda rewizyjna wykorzystywała do przenikania przez pancierz „temporalne przerywanie”. Przeszła przez kadłub, wykorzystując

poprzednią sekundę, gdy w tym punkcie przestrzeni jeszcze nie było kutra.

Chyba się zdrzemnąłem, zmęczony demonstracją potęgi projektu „Siewcy”. Zapewne nie był to spektakl specjalnie przygotowany dla mnie i Terry, tylko normalne środki bezpieczeństwa. Ale było w nich coś pokazowego, wymuszonego, przypominającego parady wojskowe w krajach totalitarnych XX wieku. Jeśli nawet stereotypowe Świątynie na planetach chronokolonii były odporne na każdą broń, to chyba tym bardziej główna baza „świątynników”...

Sama stacja wyglądała bardzo prozaicznie. Potężna szara kula, otulona mgiełką. Zbliżyliśmy się do niej powoli, a przez kuter przeszła fala ciepłego powietrza. Na chwilę zanim zanurkowaliśmy w monolityczne poszycie (bo do zwykłych włazów Siewcy się nie zniżali), zauważyłem, że kula zmieniała barwę na czarną z kolorowymi plamkami światła na pancerzu.

– Wpuścili nas do subiektywnego czasu stacji – oznajmił z dumą Lans, któremu rola przewodnika sprawiała niekłamaną radość. – W przeciwnym razie przeszlibyśmy przez nią jak przez miraż.

Zgasły ekrany. Odpiąłem pasy – na mojej planecie nadal preferowano ten staroświecki sposób zabezpieczenia pasażera. Popatrzyłem na Terry – uśmiechnęła się, ale w jej spojrzeniu nadal czuło się napięcie. Otworzył się właz kutra.

Pierwszy wszedł Lans, za nim ja. Podałem Terry rękę, do podłogi było tylko pół metra, ale okazała się nieprzyjemnie śliska, jakby pokryta szronem. Za nami zeskoczył Trofeum, miauknął niezadowolony i wysunął pazurki, próbując wczepić się w metal.

Czekali na nas. Czterech mężczyzn w czarno-białych mundurach, z pistoletami w rękach. Wprawdzie były to tylko paralizatory, ale nie wątpiłem, że ze ścian celowano do nas ze znacznie poważniejszej broni.

– Któryś z was ma pistolet laserowy – powiedział sucho jeden z ochroniarzy. – Zdać.

Odczepiłem od pasa kaburę, rzuciłem na podłogę i uprzejmie oznajmiłem:

– Prawie rozładowany. Na czterech by nie wystarczyło, najwyżej na dwóch.

– Siergiej, czeka na pana komandor Rajmund. Księżniczka i porucznik Lans mogą poczekać w sali gościnnej – ochroniarz nie zareagował na moje słowa.

– Nie. Idziemy razem. – Bardzo chciałem zobaczyć jego reakcję na moje nieposłuszeństwo.

– Dobrze – włączył się drugi ochroniarz. – Ale musicie zostawić zwierzę.

Trofeum wyszczerzył zębki i natychmiast w jego stronę wycelowano lufy paralizatorów. Pochyliłem się i poklepałem go po grzbiecie.

– Wszystko w porządku, Trofeum. Poczekaasz z nimi, aż wrócimy – powiedziałem łagodnie.

– Zachowuj się przyzwoicie, nikogo nie zabijaj. Jesteśmy tu gośćmi, rozumiesz?

– Jest w ograniczonym stopniu rozumny? – zainteresował się ochroniarz.

– Co do ograniczenia nie byłbym taki pewien. Nakarmcie go, lubi smażone mięso.

W ostateczności zje surowe.

– Ed ze zwierzęciem do gościnnego. Pozostali do pokoju przyjęć komandora Rajmunda – rzucił w przestrzeń ten ochroniarz, który odezwał się pierwszy. I pociągnęło nas przez ściany, które stały się niematerialne – tak jak w dowolnej Świątyni.

Powiedzmy sobie szczerze, że przy takim stopniu kontroli nad materią ochroniarze z pistoletami byli po prostu śmieszni.

Gabinet przyjęć był ogromny albo taki się wydawał. Nie chciało mi się podejść do obitych aksamitem ścian, żeby sprawdzić, czy naprawdę istnieją. No i nie wiadomo, jak zareagowałyby na to ochrona.

Prócz tych trzech, którzy przyszli razem z nami, w gabinecie było jeszcze dwóch. Nieźle ich uzbroili. Kombinezony bojowe z włączonymi generatorami pola ochronnego, lasery w rękach. Stali po obu stronach wysokich, wybitych ciemną skórą drzwi. Postawę mieli nie gorszą niż żołnierze ochraniający niegdyś mauzoleum Lenina.

Lans wyszeptał mi do ucha:

– Znam jednego z tych chłopaków, uczyliśmy się w jednym plutonie... Wyjątkowy kretyn, ale ma niesamowitą reakcję.

Siedzieliśmy w wygodnych fotelach na środku sali. Komandor Rajmund najwyraźniej nie spieszył się, by nas przyjąć, co zbiło z tropu ochroniarzy. Stali za naszymi plecami, rozmawiając półgłosem. Dobiegły do mnie strzępy słów: „Ogłosili drugi stopień... coś się szykuje...”

Wyteżyłem słuch i uśmiechnąłem się, słysząc odpowiedź: „Naszej grupy nie rzucą do walki... chyba że Fangowie będą okupować Plutona. To zadanie dla operacyjniaków. W końcu po co byłby korpus desantowy?”

Psychika szeregowców nie zmieniła się w ciągu ostatnich dwóch cieków. Nikt się nie rwał do śmierci.

Ochroniarz przy drzwiach zrobił krok do przodu. Zmiana warty? Nie... Przez kilka sekund słuchał słów przeznaczonych tylko dla niego i w końcu oznajmił uroczyście:

– Komandor Rajmund Maccord przeprasza za przymusową zwłokę. Proponuje krótką rozmowę o charakterze osobistym z księciem planety Tar, a następnie czeka w gabinecie na księżniczkę Terry i porucznika Lansa.

– Idź – powiedziała cicho Terry. – To może być ciekawe. Skinąłem głową i ruszyłem do drzwi. Ochroniarz otworzył je przede mną i odsunął się, ale niewystarczająco szybko. Przesunąłem ramieniem po powierzchni pola – odrzuciło mnie, z trudem zachowałem równowagę. Ochroniarz uśmiechnął się. Faktycznie kretyn.

Drugie drzwi – równie eleganckie, też obite skórą – i fala ciepłego powietrza, a raczej to, co ludzki organizm odbierał jako ciepły wiatr. Gabinet Rajmunda Maccorda był izolowany własnym chronopolem.

Przystanąłem i rozejrzałem się. Stal i szkło. Lśniące metalowe ściany, na których mieniły się tęczowo wyłączone przed chwilą ekrany. Niezbędne minimum mebli – stół i kilka foteli. Nad stołem powoli wirował hologramowy obraz stacji – półprzezroczysty, z zaznaczonymi przepierzeniami i kolorowymi liniami komunikacji.

– Niech pan siada, Siergiej. – Rajmund wstał z fotela. Pochwycił moje spojrzenie na włączoną makietę stacji, wyciągnął do niej rękę... i uśmiechnął się. – Niech zostanie. To tajny schemat, ale ufam panu.

Skrzywiłem się.

– A jeśli schwytają mnie Fangowie i zeskanują pamięć? Rajmundzie, proszę nie robić ze mnie idioty. To fałszywa makieta, którą częstuje pan wszystkich gości, w nadziei że któryś z nich trafi w ręce wroga.

Rajmund westchnął i machnął ręką nad makietą. Znikła. Komandor usiadł w swoim fotelu, patrząc na mnie w zadumie.

– Bardzo chciałbym z panem współpracować, Siergiej.

– Żałuję, ale jest pan w tej chęci odosobniony.

W rzeczywistości Rajmund Maccord wyglądał znacznie młodziej niż na hologramie. Emanowała od niego żywotność, pewność siebie, serdeczność. Oparł się o biurko, lekko pochylony w moją stronę. Dłonie starannie rozsunął. Pozycja wolna od napięcia. Czy naprawdę myśli, że nie znam tych psychofizjologicznych sztuczek? Pozycja zaufania, pozycja uwagi... Niech sobie myśli. Skrzyżowałem ręce na piersi, założyłem nogę na nogę. Maksymalna negacja, wycofanie się w siebie, ochrona.

Maccord roześmiał się.

– Dobrze, Siergiej. Zrozumiałem. Nie będziemy prowadzić gierki z podświadomością.

– Na tak prymitywnym poziomie faktycznie nie ma sensu.

– W takim razie pomówmy otwarcie. Co to za brednie z atakiem na pański dom?

– To nie brednie, Maccord. Mój dom został zniszczony.

– My tego nie zrobiliśmy.

– Fangowie?

Maccord popatrzył na przezroczysty blat biurka; zobaczyłem biegnące po nim błyszczące zielone linijki.

– Na poziomie naszych detektorów pan nie kłamie. Albo sądzi pan, że mówi prawdę. Przeniknięcie Fangów na Somata jest niemożliwe, zapewniam pana. W hiperprzestrzeni istnieje pewna bariera... wyrzuca w rzeczywisty kosmos dowolne ciała nadchodzące od strony Fangów.

– Jakie „strony” w kosmosie ma pan na myśli, Maccord? – zapytałem złośliwie. – A skoro już o tym mowa, to skąd pan wie, czy Fangowie nie mają swojej bazy w ziemskiej strefie wpływu?

Rajmund skinął głową i nieoczekiwanie powiedział:

– Siergiej, na pewno uraziło pana moje naleganie. Rozmowa o współpracy nie ma już sensu, prawda?

– Nie – powiedziałem, sam zdumiony swoimi słowami. – Nie jestem obrażony. Możliwe, że to robota waszych sensów, ale nie mam do pana pretensji. Wydaje mi się, że teraz to pan jest w panice.

– Tak. I dlatego chwytam się sprawdzonych plików.

Pierwszy żargonowy zwrot XXII wieku, który właśnie usłyszałem od Maccorda, był dość zabawny. I dość obrazi i wy, czego komandor raczej nie podejrzewał.

– Czemu tak się pan do mnie przyczepił, Rajmundzie? Po co wciąga pan człowieka pierwotnego do swoich operacji?

– Dlatego że jest pan księciem z planety Tar. I jeśli wszystko pójdzie dobrze, zostanie pan imperatorem.

– Tar jest dla was taki ważny?

– Tak. Leży w strategicznie ważnym rejonie. Na granicy z Fangami. Na ostrzu igły wycelowanej w centrum ich federacji.

– Stąd nazwa?

– Owszem. Operacja „Igła”. Jeśli Tar, przy wsparciu planet sojusznicznych, które gwarantujemy, rozpocznie działania wojskowe, Fangowie zostaną zmuszeni do walki na dwa fronty. Prawie na pewno zdołają powstrzymać nacisk chronokolonii. Ale uderzenie ziemskiej floty ich zniszczy.

– Proste jak w schematach Biglera... – wymamrotałem.

– Jakich schematach?

Uśmiechnąłem się.

– Nieważne... W wieku XX był taki niedoceniony dowódca. Maccord, nie interesują mnie strategiczne plany Ziemi. Nie wykluczam, że mówi pan prawdę. Możliwe też, że chce pan wciągnąć chronokolonie i Fangów do jednej maszynki do mięsa. A wy będziecie sobie siedzieć z boku, poza barierą hiperprzestrzeni. Przy okazji, nie wiedziałem o jej istnieniu.

– Niewiele osób o niej wie, nawet na Ziemi. Ale Fangowie wiedzą... dwie ich eskadry zostały cofnięte miesiąc temu ze skoku do Ziemi. Myślę, że kapitanowie statków bardzo się zdziwili... że zdążyli się zdziwić.

– Co się z nimi stało?

– Strefa, gdzie bariera wyrzuca statki, jest patrolowana przez naszą eskadrę i dodatkowo naszpikowana automatycznymi stacjami bojowymi. Jeszcze żaden z wrogich statków nie uciekł.

– Maccord, rozmawiając ze mną, musi pan brać jedno pod uwagę: nie mam pojęcia o historii konfliktu Ziemia-Fang. I wcale nie jestem przekonany, że Ziemianie to ci „dobrzy”.

Chyba udało mi się go zdziwić. Aż klasnął w ręce, oburzony i stropiony.

– Siergiej, Ziemia to pańska ojczyzna!

– Kiedyś moją ojczyzną był Związek Radziecki. Walczyłem o nią. Wystarczy mi jeden ślepy patriotyzm w życiu.

– Ale przecież może pan poznać całą historię konfliktu. Mógł się pan dowiedzieć jeszcze na Somacie, przecież macie stację hiperłączości.

– Mieliliśmy. Zniszczyliście mój dom.

– Znowu? Gdy księżniczka Terry zgodziła się polecieć z nami na Ziemię, zostawiliśmy w domu ochronę, a na orbicie Somata statek patrolowy, który co godzina wysyłał informacje, że wszystko w porządku. Chce się pan z nim połączyć?

– Gdy przyszedłem do mojego domu, zastałem zgłiszczacza... – zacząłem wpadać w złość. – Roboty ochronne otworzyły do mnie ogień. W domu nie było nic prócz śladów pogromu!

– Nasze roboty nie mogą strzelać do ludzi! Nawet w obronie własnej! Jest pan pewien tego, co pan mówi?

– Jestem pewien tego, że gdyby nie generator pola, byłbym już garstką popiołu.

– Siergiej, to pomyłka... – Rajmund przesunął ręką po stole, naciskając niewidoczne sensory.

– Zaraz połączę się ze statkiem patrolowym. Gdyby roboty do pana strzelały, żaden generator pola by panu nie pomógł. Przecież miał pan model standardowy z tego statku, który zabrał pan ze Świątyni? – Tak.

– To zabawka w porównaniu z mocą ogniową robotów bojowych. A oto odpowiedź ze statku. Daję łączność.

Usłyszałem cienki przerywany pisk, a po chwili przerwy spokojny głos:

– Statek patrolowy Somat-1. Łączność pozaplanowa. Melduję: nie stwierdzono przeniknięcia wrogich statków w granice ochraniaanej strefy. Obiekt na planecie nie łączył się z nami. Roboty ochronne na planecie funkcjonują normalnie. Czekam na polecenia.

– Proszę to wyłączyć – powiedziałem i dorzuciłem złośliwie: – Komandorze, niech pan poleci na Somata i zerknie, co się tam stało. Albo proszę posłać któregoś ze swoich... operacyjniaków. Ale niech pan nie liczy, że na orbicie nadal jest pański Somat-1.

– Za pół godziny będziemy mieli kompletne dane – odparł Rajmund. – Jeśli pańskie słowa znajdą potwierdzenie... poczekajmy.

Skinąłem głową.

– Jeszcze jedna prośba, Siergiej. Jeśli na Somacie doszło do starcia z Fangami, to nie wykluczam ich przeniknięcia na Ziemię. W takim razie musimy poznać szczegóły wydarzeń.

– Opowiem wszystko, co pamiętam.

– Nie w tym rzecz. Proszę o zgodę na skanowanie pamięci. – A jeśli odmówię? – spytałem cicho. – Zawleczenie mnie siłą?

– Nie. Stosunki z Tarem są dla nas ważniejsze. – Maccord odwrócił się i dodał półgłosem: – A przynajmniej taka panuje obecnie opinia. Nikt nie zmusi pana do skanowania pamięci. Obiecuję. Mogę jedynie prosić pana o pomoc.

– Skanowanie jest niebezpieczne?

– Nie. Sam przechodziłem je dziesiątki razy, gdy byłem oficerem operacyjnym. Pana przyjaciel, Lans, również, o ile mi wiadomo.

Milczałem przez kilka sekund. W końcu zapytałem: – A jeśli odmówię? Skanowania, udziału w operacji „Igła”, każdej współpracy? Czy to coś zmieni?

– Taktykę przyszłej wojny.

– Sądzi pan, że jest nieunikniona? O ile wiem, zimna wojna nie musi przejść w gorącą.

Siergiej, dwa dni temu Fangowie porwali w kosmosie pasażerski liniowiec z dziećmi. Dla nas to znaczy bardzo wiele. W ubiegłym stuleciu Ziemia przeszła genetyczną katastrofę, która trwała kilka dziesięcioleci. Wówczas zaledwie kilka procent dzieci rodziło się w zwykły sposób, pozostałe hodowano sztucznie. Odcisnęło to piętno na nas wszystkich... bardzo silne piętno. Pojawił się swego rodzaju kult dziecka, kult rodziny. Teraz genotypy już skorygowano, ale psychika ludzi nie uległa zmianie. Nikt nie wybaczy Fangom śmierci dzieci. Jeśli ogłosimy, co się stało, wojna wybuchnie natychmiast... Maccord zabębnił palcami po stole i podniósł głos.

– Dlatego odizolowaliśmy rodziców zaginionych dzieci. Poddaliśmy kwarantannie wszystkich, którzy wiedzieli o losie liniowca, a mogliby nie dochować tajemnicy. Ale to środek tymczasowy, jedynie odsuwający rozpoczęcie wojny. Mamy dwa lub trzy tygodnie, i to jedynie pod warunkiem że nie zbuntują się moi komandosi. Potem poleje się krew... czerwona i żółta.

– Fangowie mają żółtą krew?

– Tak. Bursztynowożółtą.

Milczałem. Wszystko mi jedno, jaki mają kolor krwi. Liniowiec z dziećmi i psychika XXII wieku to też nie moje problemy. Planeta Somat... albo, jeśli zechcemy, Tar... może ogłosić neutralność. A wy się zabijajcie...

– Jest pan pewien, że dzieci zginęły, Rajmund?

Rzucił mi niedowierzające spojrzenie.

– Pan naprawdę nic nie wie o Fangach... Chce pan dostać pełną informację? Zresztą będę na to nalegał. Niech pan obejrzy taśmy, wysłucha opowieści świadków, a potem zdecyduje, po czyjej jest pan stronie.

– Dobrze – powiedziałem jakby wbrew swojej woli. Właśnie tak człowiek pakuje się w niechciane sytuacje... gdy decyduje się poznać całą prawdę.

– To dobrze, że nie chowa się pan przed rzeczywistością. – Maccord uśmiechnął się słabo. – Zaprowadzą pana do sali informacyjnej. Razem z Terry i Lansem, jeśli pan sobie życzy. Sądzę, że ich również powinno to zainteresować.

Wzruszyłem ramionami i wstałem z fotela.

– Czekam tu na pana za godzinę, Siergiej. Mam nadzieję, że do tego momentu wyjaśni się również sytuacja na Somacie.

2. Historia stosunków z Fangami

Ochrona wyszła i zostaliśmy we trójkę w niewielkiej sali z kilkunastoma miękkimi fotelami i ogromnym ekranem na ścianie. Plafony na suficie powoli gasły, ekran pociemniał. Na chwilę pojawiły się słowa Absolutny dostęp w kilku językach, po czym został jedynie blady blask, jakby okno zasłonięte białymi roletami.

Proszę o pytanie. Żądane informacje? – w głębi świadomości rozległ się ciepły głos.

– Fangowie – odpowiedziałem krótko.

Proszę o sprecyzowanie. Anatomia, fizjologia, psychologia, kultura...

– Interesuje mnie historia stosunków człowieka z Fangami – powiedziałem ponuro. Ile będzie prawdy w tym, co zaraz usłyszymy, a ile kłamstwa? Istot zajmujących w ludzkiej świadomości miejsce diabła nie sposób ocenić obiektywnie... w każdym razie nie zdoła zrobić tego człowiek.

Na ekranie pojawił się obraz. Doskonały, trójwymiarowy obraz wyraźnie ziemskiego gwiazdolotu: cylinder ze stożkami hipersilników na dwóch ażurowych podporach. Współczesny statek... Jeśli sądzić po subiektywnym czasie ziemskim, ludzie spotkali Fangów trzy lata temu.

Obraz odwrócił się powoli i zobaczyłem, że w jednym z hipersilników zieje poszarpana dziura. Niezły początek... ziemski statek zaatakowany przez wojowniczą cywilizację.

– Widzicie barkę „Tuluza”. W 2132 roku zaczęto ją eksploatować na trasach Ziemia-Syriusz, Ziemia-Fomalhaut. W czasie drugiego rejsu z powodu defektu hipergeneratorskiego doszło do przegrzania defraktora, co pociągnęło za sobą jego zniszczenie. Barka straciła sterowność i została wyrzucona poza granice naszej galaktyki. Przy wyjściu w rzeczywistą przestrzeń współrzędne „Tuluzy” określono na rejon gromady galaktyk w gwiazdozbiórze Pegaza. Odległość od Ziemi – sześćdziesiąt pięć megaparseków. Naprawa barki siłami załogi okazała się niemożliwa...

Kilka kolejnych kadrów – malutkie postacie w skafandrach, oblepiające poskręcane hipersilniki. Zdjęcia robiono z odległości kilku kilometrów, nad barką migotała zwinięta spiralnie galaktyka. Nasza Galaktyka. Widziałem już kiedyś to zdjęcie, tylko bez statku.

– Pod koniec szóstej doby od momentu katastrofy echolokatory statku zauważyły poruszający się w hiperprzestrzeni obiekt. To był statek cywilizacji Fang, odbywający rejs naukowy – przynajmniej taką informację przekazał na pokład barki, wychodząc w rzeczywisty kosmos. Deszyfrację języka Fangów przeprowadzono dwie doby później, przez cały ten czas obcy statek znajdował się w odległości kilku tysięcy kilometrów od „Tuluzy”. Brak chęci zbliżenia się Fangowie wyjaśnili jako obawę odebrania tego jako aktu agresji.

Prychnąłem. Fangowie umieli być szlachetni... albo dobrze udawali.

– Przez cały czas od momentu stwierdzenia statku Fangów barka znajdowała się w gotowości

bojowej. Reaktory przygotowano do eksplozji. Żadnych próśb o pomoc kapitan „Tuluzy” nie przekazywał. Jednak po ustanowieniu łączności Fangowie sami zaproponowali ziemskiemu statkowi pomoc – dostarczenie materiałów i energii w celu naprawy silnika. Załoga barki odmówiła bezpośredniego kontaktu, obawiając się, że na pokładzie mogą zostać umieszczone urządzenia inwigilacyjne. Wówczas statek Fangów przekazał nawigatorom „Tuluzy” matematyczny dowód na możliwość lotu z jednym hipersilnikiem oraz na dokonanie hiperskoku do dowolnego punktu wszechświata. Po sprawdzeniu wyliczeń przez załogę okazało się, że są one realne. Następnie statek Fangów podał współrzędne gwiazdy Fang oraz najbliższych kolonii, rozpedził się i odszedł w hiperprzestrzeń. Dwanaście godzin później załoga „Tuluzy” podjęła decyzję powrotu na Ziemię z wykorzystaniem podanej przez Fangów informacji. Hiperskok zakończył się pomyślnie, barka wyszła z hiperprzestrzeni w okolicach Układu Słonecznego i zameldowała Ziemi o tym, co się stało. Załoga została poddana kwarantannie, a „Tuluza” zniszczona.

Cisza. Historia pierwszego kontaktu dobiegła końca.

– I po czymś takim Ziemia postanowiła walczyć z Fangami? – Popatrzyłem na Lansa. – Nic bardziej szlachetnego... uczciwego... prawego... i nieostrożnego Fangowie nie mogli zrobić! Podać współrzędne swojej gwiazdy obcemu statkowi! Pozwolić mu wrócić!

– Proszę opowiedzieć o drugim i trzecim kontakcie. – Lans uśmiechnął się dziwnie. – Kapitanie, zaraz pan wszystko zrozumie. Nie wolno mierzyć Fangów ludzką miarą. To nie są ludzie... Niech pan posłucha.

Na ekranie pojawił się matowoszary kolos w kształcie stożka. Okręt liniowy klasy galaktycznej, jeden z najpotężniejszych statków Ziemi.

– Pancernik „Missouri”. Wyruszył ku gwiazdzie Fang na podstawie podanych współrzędnych dwa miesiące po powrocie „Tuluzy”. Przebywał w okolicach gwiazdy przez szesnaście dni. Odmówił wylądowania na jednej z dwóch zamieszkałych planet, zgodnie z instrukcjami Ziemi. W tym czasie trwał nieprzerwany kontakt z przedstawicielami cywilizacji Fang. Fangowie wypytywali głównie o krajobrazy i kulturę Ziemi, o ludzkie rasy. Technicznym poziomem ziemskiej cywilizacji się nie interesowali, ale chętnie podawali wszelkie dane dotyczące ich techniki. Przekazali wiele wzorców przyrządów i maszyn, w tym tak zwane obiekty podwójnego przeznaczenia. Zgodnie z tym, co twierdzili, nie mieli wyspecjalizowanej broni. Szczegółowo opisali swoją kulturę, architekturę oraz zaprezentowali historie zbeletryzowane – odpowiedniki ziemskiej literatury. Odmówili wyjaśnienia norm moralnych i stosunków społecznych, nazywając te pytania „nieładnymi”. Oznajmili, że poznać prawa i normy życia narodu można jedynie żyjąc w nim, a nie zadając pytania, na które nie ma odpowiedzi. Nie interesowali się współrzędnymi Ziemi, powiedzieli jednak, że to piękna planeta i marzą, by ją odwiedzić. Zgodzili się na propozycję nawiązania handlowych i dyplomatycznych

stosunków oraz na zawarcie sojuszu wojskowego. Oznajmili, że w chwili obecnej nie widzą powodów konfrontacji z Ziemią i zgadzają się na wspólne projekty naukowe. Według ich słów, wojna i śmierć są minionym etapem życia Fangów, uznanym za niesłuszny...

Komentator mówił, a na ekranie migwały kolorowe obrazki: statki Fangów – kule i cylindry w soczystych barwach: czerwone, niebieskie, pomarańczowe, zielone... Domy Fangów – smukłe, wysokie wieże pokryte różnymi wzorami, krajobrazy planety Fang – równiny porośnięte różową trawą, góry identyczne jak ziemskie, rzeki o turkusowym odcieniu, granatowe niebo z żółtą, przypominającą Słońce gwiazdą. Rozbrzmiewała muzyka – dziwna, niezwykła, stworzona według obcych zasad, nieoczekiwanie przyjemna. Potem pojawili się Fangowie.

Już ich widziałem. Chociaż bardzo się starałem odsiać z informacji wszystkie wiadomości o Ziemi i Fangach, coś niecoś jednak zobaczyłem. Najbardziej zaskakujące okazało się to, że widok Fangów był naprawdę przyjemny.

Fangowie są humanoidami. Ich ciało pokrywa cienka warstwa rudobrazowej sierści. Twarz jest karykaturą ludzką i przypomina psią mordkę z wielkimi, wypukłymi oczami. Sierść – lub włosy – na głowie są bardzo gęste. O dziwo, przy tym wszystkim Fangowie są ładni, nawet z ludzkiego punktu widzenia. Przypominają stare filmy rysunkowe, na których doświadczeni rysownicy nadawali zwierzętom ludzkie piętno. Chyba najbardziej odpowiednim słowem byłoby „miłe”. Fangowie byli mili.

Może właśnie to uśpiło czujność Ziemian?

– Proszę opowiedzieć o trzeciej ekspedycji – polecił Lans.

Terry wzięła mnie mocno za rękę.

– Już o niej słyszałam... i trochę widziałam.

Na ekranie pojawiły się dwa statki. Pierwszy – znany już „Missouri”. Drugi był mniejszy i miał dziwny kształt.

– Trzecie spotkanie ludzi i Fangów. Ekspedycja do gwiazdy Fang w składzie: „Missouri” i „Kolchida”. Statek naukowy „Kolchida” stworzono specjalnie do kontaktów z Fangami i do lądowania na ich planecie. Członkowie załogi nie posiadali broni, za to zostali wyposażeni w osobiste hiperkatapulty typu Pierścień, nastrojone na „Missouri”, pancernik konwojujący i ochraniający. Bezpośrednie hiperprzejście na Ziemię przy użyciu pierścienia było niemożliwe z powodu zbyt dużej odległości.

Przez trzy doby po wylądowaniu „Kolchidy” na głównej planecie cywilizacji Fangów utrzymywano ze statkiem nieprzerwaną łączność. Następnie, po dwuminutowej przerwie w transmisji, kapitan „Kolchidy” połączył się z „Missouri” i poprosił o przedłużenie czasu przebywania na planecie. Wzbudziło to czujność załogi „Missouri”, jednak wyrażono zgodę. Łączności nie przerywano nawet na sekundę. Pokazywano wycieczki ludzi po planecie, zwiedzanie miast, uroczyste ceremonie spotkań...

Chwila przerwy i niewzruszony głos komentatora:

– Dopiero analiza obrazu na Ziemi pozwoliła stwierdzić, że na pokład pancernika transmitowano symulację komputerową. Większość ludzi znajdujących się na planecie Fang już nie żyła... Po stu dwudziestu dziewięciu minutach od momentu wylądowania „Kolchidy” w hangarze „Mira” pojawił się drugi pomocnik nawigatora „Kolchidy”, Sandor Ratz. Był współpracownikiem służby bezpieczeństwa Korpusu Desantowego Ziemi. Na jego własną prośbę implantowano mu hiperkatapultę w tkankę biodra. Dzięki temu Sandor jako jedyny zdołał użyć pierścienia. Rozrywając skórę i mięśnie, wyciągnął pierścień i aktywował go.

Na ekranie pojawił się Sandor Ratz, pomocnik nawigatora i zwiadowca. Terry odwróciła się.

Rozerwane gołymi rękami ciało było najmniej przerażającym elementem w jego wyglądzie. Sandora ostrożnie układano na noszach, podłączano do jakichś aparatów, niesiono korytarzami. Z trudem zmusiłem się do patrzenia. Widywałem już zmasakrowanych i okaleczonych ludzi, ale takich, którzy przeżyli podobne tortury, jeszcze nigdy...

Mignęła czyjaś twarz na tle pulpitów, skrzywiona w grymasie, usta rozwarte do krzyku... Dźwięku nie było, i chwała Bogu. To na pewno nie był Sandor – pocięta, zniekształcona twarz na zawsze pozostanie w moich nocnych koszmarach.

– Kapitan pancernika „Missouri” – oznajmił uprzejmie komentator. – Wykorzystując swoje pełnomocnictwa, wydał rozkaz lądowania obok „Kolchidy”. Dwa statki Fangów, które próbowały przechwycić „Missouri”, zostały zniszczone przez torpedy kwarkowe. W czasie lądowania na kosmodromie Fangów „Missouri” dokonał uderzenia anihilacyjnego w okolice „Kolchidy”, niszcząc siedem znajdujących się tam statków, system sterowania kosmodromem oraz pobliskie miasto.

Znowu zdjęcie. Płonąca czarna równina. Co tam jeszcze mogło się palić w tym zwęglonym na kilkadziesiąt metrów w głąb pyle? „Kolchida”, do której biegną komandosi w skafandrach bojowych. Wąskie promienie laserów bijące z otwartych luków „Kolchidy”. Migotanie pól siłowych. Potem wszystko gaśnie – to pancernik włączył pole neutralizujące. Skorupy skafandrów ochronnych opadają, wyskakują z nich ludzie z cienkimi atomowymi klingami w rękach... Korytarze statku – i Fangowie walczący jakimiś prymitywnymi toporami. Płaszczyznowe klingi tną je na kawałki – strzępy żółtobrazowego futra, bryzgi bursztynowej krwi...

– Grupie przejęcia udało się podnieść „Kolchidę” z powierzchni planety. Pod osłoną pancernika statki zaczęły start awaryjny i po czterdziestu dwóch minutach od momentu wylądowania „Missouri” na planecie Fang odeszły w hiperskok. To był błąd, bo Fangom udało się zarejestrować wektor kursu. Poznali współrzędne Ziemi.

– W komputerach „Kolchidy” – wyjaśnił szeptem Lans – nie było żadnych map. Środek ostrożności. Niestety, bezcelowy.

– Nie przeżył nikt z załogi „Kolchidy”, włączając w to Sandora Racza. Siedemnastu ludzi zaginęło bez wieści. Możliwe, że do tej pory znajdują się na planecie Fang. Pozostali...

Znowu obraz. Zbliżenie. Odwróciłem się.

– Wystarczy. Co do tego kontaktu, już wszystko jasne... Wychodzi na to, że Fangowie to rasa obłudnych sadystów. To, co pokazano, działo się naprawdę?

Lans wzruszył ramionami.

– Tak, Siergiej. A kim są Fangowie... Popatrz dalej.

Dalej to już był kompletny obłąd. To, o czym opowiadał komentator, przechodziło ludzkie pojęcie.

Powrót „Kolchidy” i „Missouri”. Natychmiastowe posiedzenie Ansambłu. Pojawienie się w rejonie Ziemi statku Fangów, którzy podali swoją wersję wydarzeń: przejście „Kolchidy”, torturowanie ludzi i walka z pancernikiem to wynik „działań ekstremistycznych izolacjonistów”. Wszyscy zostali surowo ukarani, rząd Fanga serdecznie przeprosza i proponuje rekompensaty rodzinom ofiar. Powtórne posiedzenie Ansambłu, blokada statku Fangów. Pospieszna budowa floty wojennej. Autodestrukcja zablokowanego statku poprzedzona wiadomością: „Odbieramy sobie życie, aby odkupić winy naszych współplemieńców”. Kolejne posiedzenie Ansambłu... Stwierdzenie eskadry statków bojowych cywilizacji Fang za orbitą Plutona. Kosmiczny bój -”wybuchy były widoczne nawet z Ziemi, nieuzbrojonym okiem, w świetle dnia”. Zasoby Ziemi i kolonii przeznaczone na potrzeby wojenne. Automatyczne statki zwiadowcze, które zdołały powrócić, oznajmiają o analogicznych posunięciach na planetach Fangów.

Barka „Mir”, idąca kursem Ziemia-Syriusz, zostaje przechwycona przez trzy statki Fangów. Załadowano na nią „odszkodowanie” – metale ziem rzadkich, przyrządy, dzieła sztuki: obrazy i nagrania muzyczne. Fangowie przeproszają za kłopot i opuszczają barkę. „Mir” zostaje poddany kwarantannie i dokładnie sprawdzony. Żadnych pułapek – min, wirusów, dywersantów – nie stwierdzono. Część przekazanego przez Fangów wyposażenia może być wykorzystana jako bardzo silna broń.

Ansambl obraduje okrągłą dobę. Powołany zostaje komitet do spraw kontaktów z Fangami, coś w rodzaju sztabu wojskowego o nadzwyczajnych pełnomocnictwach. W okolice Układu Słonecznego przybywa statek Fangów z „upełnomocnionymi ambasadorami” na pokładzie. Ziemia odmawia wysłania swoich ambasadorów. Posłowie Fangów oznajmiają, że pozostaną w charakterze zakładników. Na orbicie Plutona powstaje „więzienie-ambasada”.

Ziemia nie ustaje w dopracowywaniu techniki wojennej.

Zaatakowany i uszkodzony zostaje statek pasażerski Ziemi. Fangowie przechwycili go w hiperprzestrzeni – takiej techniki Ziemia jeszcze nie posiada. Ale już wkrótce buduje własne statki przechwytyjące na podstawie przekazanej przez Fangów techniki.

Ziemiańskiej kolonii na Antaresie grozi wymarcie – zmutowany wirus odry atakuje

dziewięćdziesiąt procent ludności. Śmiertelność jest w ciągu tygodnia od zarażenia niemal stuprocentowa. Statek Fangów przedziera się przez krążowniki patrolowe i wyladowuje szczepionkę, specjalnie stworzoną przez uczonych Fanga w celu zwalczania mutującego wirusa. Pomimo zakazu Ziemi władze kolonii szczepią chorych. Chorzy wracają do zdrowia. Statek Fangów zostaje zniszczony podczas próby powrotu z Antaresa. Ambasada Fangów wyraża z tego powodu żal. Antares zostaje poddany kwarantannie, szczepionka sprawdzona wszelkimi dostępnymi metodami. Nie jest to trucizna o opóźnionym działaniu ani środek przemieniający ludzi w Fangów. To tylko szczepionka przeciw zmutowanemu wirusowi.

Powtórny atak statków Fangów na Ziemię. Wszystkie zostają przechwycone w hiperprzestrzeni. „Nasi zwyciężyli”.

Antonio Saverra, ochroniarz więzienia-ambasady, niszczy ją wraz ze wszystkimi Fangami i ze sobą. Ludziom daje czas na opuszczenie skazanej stacji. Motyw działania: córka Saverry zginęła na jednym ze statków zniszczonych przez Fangów.

Fang przysyła nowych ambasadorów.

Ziemia proponuje rozgraniczenie strefy wpływów – nie pchajcie się do nas, a zostawimy was w spokoju. Fangowie się zgadzają.

Ale niemal codziennie naruszają strefy wpływów. Czasem po to, by zaatakować ziemskie statki i kolonie, czasem – by okazać pomoc tymże statkom i koloniom. Odsyłają na Ziemię kilku ziemskich jeńców. Gest dobrej woli ze strony Ziemi – odesłanie czterech Fangów porwanych w czasie jednego ze starć. W drodze powrotnej ziemski statek zostaje zniszczony.

Konkluzja ekspertów: sił wojskowych Ziemi i kolonii nie wystarczy, by zniszczyć cywilizację Fangów. Konkluzja zostaje odrzucona przez Ansambl i flota Korpusu Desantowego przeprowadza rajd. Bomba kwarkowa niszczy kolonię Fangów na jednej z planet. Większość ziemskiej floty ginie.

Stworzenie projektu „Siewcy”, zwanego projektem „X”.

Stworzenie bariery hiperprzestrzennej.

Nadal dochodzi do starć.

Porwanie liniowca z cywilami...

– Wystarczy – powiedziałem. – Czy komandor Rajmund Maccord może nas teraz przyjąć?

3. Logika nielogiczności

Najpierw przedstawię sytuację na Somacie – rzekł Maccord zamiast powitania. – Poruczniku, proszę się tu nie prężyć jak struna, proszę usiąść...

– Słuchamy. – Terry była wyraźnie zdenerwowana tym, co zobaczyła. – Somat to nasz świat. Maccord skinął głową.

– Księżniczko Terry Tar, nikt tego nie kwestionuje. Władacie Somatem prawem odkrywców. Zgodnie z prawami chronokolonii...

– Przez was opracowanymi – dokończyłem.

– Na orbicie Somata nie ma już naszego statku – ciągnął ze stoickim spokojem Maccord. – Zauważono tam jedynie lustrzany wielościan o przekątnej około dwóch metrów. Właśnie on utrzymywał z nami łączność, informując, że na Somacie jest wszystko w porządku. Po pojawieniu się naszych statków wielościan dokonał samolikwidacji. Nie znamy takiej konstrukcji, ale całkiem możliwe, że należała do arsenału Fangów. Natomiast ślady wokół domu, bioroboty... zapewniam, że takich nie mamy. Wróg również nie używał ich do tej pory. Widocznie na Somacie przeszły swego rodzaju test...

– Z kim niby miały walczyć? – nie wytrzymałem. – Z waszymi robotami bojowymi? O ile wiem, one nie władają mieczami płaszczyznowymi. A biopotwory posiekano właśnie klingami atomowymi.

– Nie wiem. Przecież na Somacie było tylko was dwoje, no i jeszcze to zabawne zwierzątko... Może ten pogrom w domu, te resztki biorobotów to tylko inscenizacja?

– Mnie pan pyta? Że Fangowie są kanałiami, już zrozumiałem. Ale po co taka akcja? Nie daje absolutnie nic. Jest całkowicie nielogiczna.

– A dostrzegł pan w ich zachowaniu coś logicznego, Siergiej? Właśnie, jakim cudem nasze roboty bojowe przestrojono tak, żeby atakowały człowieka, pana na przykład? To po prostu niemożliwe... Nawet atak pokazowy...

– To nie był atak pokazowy! To była prawdziwa walka, Maccord. Kiedy pozwolę wam zeskanować moją pamięć, sam pan się przekona!

Maccord spojrzał na mnie uważnie.

– Osobisty generator pola nie może oprzeć się salwie nawet jednego robota bojowego! Naprawdę, dał pan pozwolenie na skanowanie pamięci?

– Tak. Ale tylko walki na Somacie.

– Dziękuję, Siergiej. W przeciwnym razie musielibyśmy zdecydować się na skanowanie przymusowe, nie będę tego ukrywał. To, co wydarzyło się na Somacie, jest ważniejsze od stosunków z Tarem.

– Wypowiedzielibyśmy wam wojnę. – Głos Terry był zimny i cichy. Nigdy jeszcze jej takiej

nie widziałem. – Łajdaki!

– Podobny rezultat byłby niestety nieunikniony, księżniczko – odpowiedział spokojnie Maccord. – No, prawie nieunikniony. A pani charakterystyka jest w pełni uzasadniona.

– Terry, praca Maccroda jest wredna z definicji – dotknąłem jej ręki. – Rozumiesz to doskonale i nieraz mówiłaś coś podobnego. Organizacja broniąca masy w nieuchronny sposób dławi jednostkę. A Siewcy jednak utrzymują się w ramach... dopuszczalnej podłości.

Rajmund uśmiechnął się i skinął mi głową z wyraźną wdzięcznością.

– Mnie łatwiej was zrozumieć niż każdemu Ziemianinowi XXII wieku. Dla większości z nich przemoc stała się niedopuszczalna i nieusprawiedliwiona.

– Zgadza się. Właśnie dlatego werbujemy do naszych szeregów głównie ludzi z chronokolonii, szanownego Lansa na przykład.

Lans spał się. Klepnąłem go po ramieniu i szepnąłem, na tyle jednak głośno, żeby usłyszał mnie Maccord:

– To był komplement...

– Oczywiście – potwierdził Maccord. – Siergiej, czy słyszał pan kiedyś o Obojętnych?

– O kim?

– O Obojętnych.

Maccord wpił się we mnie spojrzeniem i powtórzył:

– Obojętni. Przypomina nazwę sekty religijnej albo kierunku filozoficznego.

– To ludzie czy Fangowie?

Rajmund pokiwał głową.

– A więc nie słyszał pan... Możliwe, że się mylę. Siergiej, będziemy panu wdzięczni za skanowanie pamięci. Potem może pan postąpić, jak zechce.

– O operacji „Iglą” już nie rozmawiamy? – zapytałem. – Mam nadzieję, że pomoże nam pan również z „Iglą”... Tak czy inaczej, wyruszy pan z księżniczką na Tara?

– Owszem.

– W takim razie nie ma o czym mówić. Myślę, że Ziemianin nie dopuści do aliansu chronokolonii z Fangami... i nie pozwoli Fangom zająć planet zamieszkałych przez ludzi.

– Maccord, kto działał na Somacie? Ludzie czy Fangowie?

– Nie wiem. – Maccord popatrzył mi w oczy. – Ręczę, że projekt „Siewcy” nie ma z atakiem nic wspólnego. Jestem pewien, że służby specjalne ziemskich kolonii nie mogłyby zrobić nic podobnego. Chronokolonie, nawet te najbardziej rozwinięte, nie byłyby w stanie tak sprytnie zlikwidować naszego statku, nie mówiąc już o przestrojeniu robotów.

– A więc Fangowie?

– To mi też nie pasuje... – powiedział z wysiłkiem Maccord. – Ale po nich można się spodziewać wszystkiego... Najprawdopodobniej Somat zaatakowali oni.

– Maccord, co nimi kieruje?

– A może pan mógłby coś zasugerować? – Maccord wyglądał na zaintrygowanego. – Świeże spojrzenie... tym bardziej człowieka przeszłości...

– Pociąg do wojny – powiedziałem niepewnie. – Pierwotna agresja. Ale wówczas wszystkie reparacje, akcje humanitarne, przekazywanie technologii nie miałyby sensu... A może podoba im się sama wojna, Maccord? Fangowie chcą walczyć z godnym przeciwnikiem, interesuje ich sam proces wojny, a nie efekt. Wtedy wszystkie humanitarne postęпки byłyby usprawiedliwione. Zresztą po co nam zgadywać! Przecież pan zna odpowiedź. Fangami zajmowały się tysiące, może miliony specjalistów. A hipotez było co najmniej sto.

Tysiące, Siergiej. Ale wszystkie były tylko hipotezami. Pociąg do podboju, pociąg do wojny jako procesu, współzawodnictwo różnych grup Fangów... dążenie do samozagłady... Problem polega na tym, że żadna z tych hipotez nie znajduje potwierdzenia w faktach. Fangowie rozmnażają się bardzo powoli, a w galaktyce są tysiące wolnych planet, więc nie wchodzi w grę brak przestrzeni życiowej. W ich historii od dawna nie było wojen, więc nie mogą kochać wojny jako takiej. Ich kultura jest wyjątkowo pokojowa. Można stworzyć symulację zachowań, ale nie sposób stworzyć całej kultury pełnej zachwyty nad pięknem, szacunku do każdego przejawu życia, podziwu dla samego faktu istnienia. Fangowie bardzo kochają życie i nie dążą do śmierci. Mają skomplikowany, nie do końca dla nas zrozumiały system stosunków społecznych, ale istnieje tam wspólny rząd, który kontroluje społeczeństwo w znacznie twardszy sposób niż ziemskie rządy. Widzi pan, najbardziej prawdopodobna wersja, na podstawie której stworzyliśmy naszą strategię, brzmi: Fangowie postanowili walczyć z Ziemią po kontakcie z ludźmi, po lądowaniu „Kolchidy”. Do tej pory nie mieli stałych sił wojskowych, atak „Missouri” na główny kosmodrom planety udowodnił to w całej pełni. Myśleliśmy, że załoga „Kolchidy” w jakiś sposób obraziła Fangów... złamała normy ich moralności, religii, jeśli mają coś takiego... Pytaliśmy o to ambasadorów. Odpowiedź była prosta – Fangowie cieszą się z kontaktu z Ziemią i są wdzięczni załozce „Kolchidy” i „Missouri”. Oni zawsze odpowiadają na bezpośrednie pytania, tylko w żaden sposób nie wyjaśniają swoich odpowiedzi. Możliwe, że gdyby udało nam się odnaleźć przyczynę konfliktu... Maccord zamilkł, jakby zląkł się własnej szczerości.

– Obojętni – powiedziałem.

– Słucham?

– Kim oni są? Nie na darmo pan o nich wspomniał, Maccord. Niech pan coś o nich powie.

– Nie mogę, ponieważ sam nic nie wiem. Istnieje wersja dość logicznie wyjaśniająca wszystkie zagadki. Jakaś struktura w społeczeństwie Fangów, a może nawet... – zawahał się.

– A może nawet w ludzkim – dokończyłem twardo. – Struktura pod umowną nazwą Obojętni. Sami nie walczą, ale pchają do walki Fangów i ludzi. A może Obojętni istnieją poza naszymi cywilizacjami? Może to inna rasa, pragnąca zniszczyć konkurentów?

– Może. Brak danych, Siergiej. Na ludzi nie oddziałują... sprawdzaliśmy, szukaliśmy śladów obecności ingerencji. I nie mam pojęcia, jak miałoby zmusić do walki Fangów.

– Zadawaliście to pytanie ambasadorom Fangów?

– Oczywiście. Otrzymaliśmy typową odpowiedź: „Znamy nazwę Obojętni, ale nie stykaliśmy się z nimi”. Pytani, czy ktoś ich zmusza do wojny z ludźmi, Fangowie zdecydowanie zaprzeczyli.

Poczułem, jak drgnęła dłoń Terry. Księżniczka chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Słusznie. Skoro Maccord nie chce grać w otwarte karty, my również nie jesteśmy do tego zobowiązani.

– Komandorze Maccord – odezwał się nieoczekiwanie Lans. – Z warunków mojego kontraktu z projektem „Siewcy” wynika, że mam prawo odejść w każdej chwili. Proszę przyjąć moje podanie o odejście.

Wyciągnął kieszeni pomietaną kartkę, która na naszych oczach wyprostowała się, przybierając całkiem porządny wygląd.

Rajmund w zadumie popatrzył na Lansa, potem na księżniczkę.

– Zdaje pan sobie sprawę, że ogłoszono gotowość drugiego stopnia, poruczniku? Stan przedbitewny. Nie mogę spełnić pańskiego żądania.

– Nawet na prośbę rządu sojuszniczej planety? – spytała cicho Terry. Lans uśmiechnął się przepaszajaco.

– Nawet na pani prośbę... Ale proponuję wariant kompromisowy. Lans, chce pan zerwać z nami wszelkie stosunki, czy po prostu pragnie pan podążyć za swoimi władcami?

– Za swoimi przyjaciółmi – poprawił cicho Lans, patrząc na mnie. Skinąłem głową. – Projektowi „Siewcy” służyłem uczciwie... teraz mam inne obowiązki.

– Dobrze pan pracował, poruczniku. Dwanaście operacji bojowych, trzy pochwały... To przecież pańska grupa zlikwidowała desant Fangów na Antaresie 7.

– Tak.

– Poruczniku, zgadza się pan na bezterminowy urlop? Formalnie pozostanie pan naszym współpracownikiem, w praktyce nie będzie pan musiał słuchać rozkazów. Nikt nie będzie miał prawa odwołać pana z urlopu.

– Dobrze – powiedział po chwili zastanowienia Lans.

– Życzę udanego odpoczynku. – Maccord uśmiechnął się i położył papier na przezroczystym blacie biurka. Kartka zapadła się w szkło i znikła. – Nie chciałbym tracić takich ludzi jak pan tuż przed rozpoczęciem wojny.

– A wojna jest nieunikniona – powiedziałem jakby wbrew sobie. – Nie ma żadnej nadziei?

Maccord pokręcił głową.

– Może pan liczyć na jakieś trzy tygodnie pokoju, Siergiej. Względniego pokoju. Najlepiej

niech pan pozostanie na Tarze... jeśli pan chce.

Zamilkł, spojrzął na Terry i kontynuował:

– Przecież mógłbym odesłać was w przeszłość. Do XX wieku. Żylibyście sobie na Ziemi albo w chronokolonii. Tylko nie afiszujcie się ze swoim istnieniem, bo o ile wiem, zniknęliście z przeszłości. Przyjmijcie inne imiona, zapomnijcie o Fangach...

– Nie! – odpowiedzieliśmy chórem.

Westchnąłem.

– Maccord, czy pan wie, co to znaczy żyć w przeszłości? Nie mam na myśli warunków życia, chronokolonie są doskonale rozwinięte. Czy pan wie, co to znaczy żyć w czasie, który już się dokonał? Żyć ze świadomością, że dla prawdziwego świata, dla przyszłości już jestem martwy? Że nic nie mogę, nie mam prawa nic zrobić? Nic wybitnego, zauważalnego, nic prawdziwego? Wolno panu to nazwać zarozumiałstwem, ale od takich myśli można zwariować. Uciekliśmy z XX wieku właśnie dlatego, że uczyniliście go przeszłością.

Maccord pokiwał głową.

– Rozumiem. Propozycja była nie na miejscu. Cóż, dostaniecie statek, który zawiezie was na Tara. Ale najpierw skanowanie, Siergieju.

– Ja i Lans chcemy być przy tym obecni – powiedziała szybko księżniczka. – Orientuję się w technologii tego procesu i zadbam, żeby był jednostronny.

– Jak pani sobie życzy, księżniczko. – Maccord wzruszył ramionami. – Nie mamy zamiaru umieszczać w mózgu Siergieja fałszywej pamięci ani psychokodów. Mnie interesuje tylko to, co się wydarzyło na Somacie.

Ciemny granat nieba. Żółte słońce wylania się zza horyzontu, białe pełnie do zenitu. Somat.

Piasek przede mną jest biały aż do zniszczonego domu. Tam już tylko czerń, żużel, popiół, sadza. Zakamuflowane białe roboty są świetnie widoczne, jak cele na strzelnicy.

Ja też jestem takim celem. Wokół drży tęczowa mgiełka pola siłowego, wyginając się pod promieniami laserów. Pewnie roboty używają również destruktorów, dostrojonych do tkanki nerwowej. Ale promień destruktora jest niewidoczny.

Białe figury robotów są nieruchome, nie próbują się uchylić. Obcy jest im instynkt samozachowawczy, a zadanie brzmi – zniszczyć mnie. Chwytam je w okienko celownika, płonie podczerwony punkt – cel został namierzony... i mój destruktor wymierza w przeciwnika promień dostrojony do tkanek pseudomózgu. Nie wiem właściwie, w którym momencie robot nie wytrzymuje naporu, bo zewnątrz nic się nie zmienia. Gasną tylko świecące punkty laserów w otworach strzelniczych... O, a ten wyraźnie oszalał. Kręci się w miejscu, jego laser tnie inne roboty. Te na chwilę odrywają się ode mnie i w zgodnej akcji niszczą oszalałego współbrata. Doskonale. Mój generator pola długo nie wytrzyma, ale będę walczył. Ilu zdążę zniszczyć, nim

pęknie bańka mydlana ochrony? Ciekawe...

Cisza. Słysząc tylko brzęczyk bloku energetycznego, prawie wyczerpanego. Pole wokół gaśnie. Ale laserowe igły już znikły, tylko na siatkówce oka zachowały się jeszcze oślepiające kreski promieni. Patrzenie na płomień spawarki elektrycznej oraz na lasery bojowe szkodzi na wzrok... Mrużę oczy – w ciemności płoną ogniste strzały... Splatają się, układają w nieznane litery. Znowu patrzę na swój dom, na swój były dom. Roboty tkwią wokół niego jak potworne rzeźby. Udają? Po co, przecież moja ochrona znikła... Czy mimo wszystko je załatwiłem?

Destruktor też jest wyczerpany. Wyciągam pistolet – żałosna broń przeciwko opancerzonym potworom – i powoli idę w stronę domu.

Skanowania pamięci nie można nazwać nieprzyjemnym czy bolesnym procesem. Tylko potem nie od razu przychodzi się do siebie. Leżę na miękkiej kozetce, delikatnie masującej moje ciało. Powoli sobie przypominam, już bez pomocy sunącej po komórkach mózgu sondy myślowej. Była walka na Somacie i zwyciężyłem. Ukrywałem się w górach. Teraz jestem z Terry na Ziemi. Roderzy, Ałma Ata, Nurlan, Terry z Trofeum w torbie. „Rodzinna” kolacja. Maccord. Fangowie. Skanowanie pamięci. Chyba wszystko w porządku. Tylko tak bardzo chce mi się spać... Dobiega mnie cicha rozmowa:

– Czy wszystko z nim w porządku, doktorze?

– Oczywiście. Proszę poczekać kilka minut, działanie narkozy zaraz minie. Wszystko w porządku...

– Sierzancie! – To głos Lansy. Jakiś obcy, twardy, władczy. – Co powiecie o filmie?

– To nie może być prawda, poruczniku – z szacunkiem, ale także z przekonaniem w głosie odpowiedział nieznajomy żołnierz. – Widział pan przecież, tam było osiem K-B czternastek „Wściekłość”. Człowiek nie może stawić im oporu. Pole siłowe padłoby po kilku sekundach.

Fałszywa pamięć jest wykluczona, młodzi ludzie – włączył się do rozmowy lekarz. – Zeskanowałem wszystkie warstwy, aż do ośrodków podkorowych. Wegetatywny układ nerwowy, reakcje ruchowe, tło emocjonalne. Nie wiem, z kim on tam walczył, ale walka wyglądała właśnie tak, jak widzieliśmy. I słyszeliśmy, proszę o wybaczenie, madame... Pacjent jest bardzo porywczy.

– Ja przeklinałabym jeszcze gorzej – odpowiedziała zimno Terry. – Pod ostrzałem ośmiu cyborgów bojowych nawet z pana opadłoby dobre wychowanie.

– To znaczy, że roboty tylko pozorowały walkę... – zasugerował sierżant niepewnie.

– A pole siłowe kołysało się od wiatru – odpowiedział złośliwie Lans. – Proszę zanieść kasetę do działu technicznego. Niech zajmą się nią specjaliści. A może Sergiej miał niestandardowy blok energetyczny, Terry?

– Nie wiem. Raczej standardowy. W końcu co za różnica? Najważniejsze, że żyje... – głos

Terry lekko drży.

Statek Korpusu Desantowego powinien dostarczyć nas na Tara w ciągu dziesięciu godzin. Nie była to maksymalna prędkość, za to piloci omijali niebezpieczne sektory, nie oddalali się od ziemskich baz, gotowych przyjść nam z pomocą w razie ataku Fangów.

– Trzeba przyznać, że Maccord stracił na rozmowę z nami sporo cennego czasu – prychnąłem. – Biorąc pod uwagę złożoność sytuacji...

– Książę, Rajmund tracił jedynie swój osobisty czas – zaprotestował Lans. – Gdy znajdowaliśmy się w jego gabinecie, czas otaczającego nas świata stał w miejscu.

Skinąłem głową. Mogłem się być domyślić. Siewcy nie po to nauczyli się manipulować czasem, by marnować go bez potrzeby.

– Lans, jak myślisz, podsłuchują nas tutaj? – zapytała Terry.

– Na pewno. Podsłuchują i podglądają.

Terry rozejrzała się po kabinie, jakby w nadziei, że wypatrzy sterczące ze ścian mikrofony. Potem uśmiechnęła się.

– Dobrze, więc nie będziemy rozmawiać o niczym poważnym. Opowiem wam bajkę, chcecie?

Nim zdążyliśmy się odezwać, zaczęła opowiadać.

– Słyszałam ją dawno temu, jeszcze zanim poznałam Siergieja. Miałam wtedy siedem lat... Dziwne, że dotąd ją pamiętam.

– No, mów? – zachęciłem ją. – Już dawno nikt mi nie opowiadał bajek.

Bajka jest prosta. – Terry zignorowała mój uśmiezek. – O Siewcach. Nie wiem, skąd się wzięła, czy podrzuciły ją Świątynie, czy wymyślili ludzie... Początek jest banalny. Dawno, dawno temu, gdy czas i przestrzeń jeszcze nie istniały, wszechświat zrodził wielki naród, Siewców. Oni sprawili, że czas zaczął płynąć, oni sprawili, że rozsunęły się granice świata...

– Jakie granice, przecież przestrzeni jeszcze wtedy nie było – zauważyłem. – Coś mi się wydaje, że to styl Świątyni!

– Siewcy byli narodem wojowników. Walczyli z armiami chaosu i mroku, zabijali twory złej woli wszechświata. Siewcy gasili gwiazdy, gdy te zaczynały myśleć. Ten wszechświat stworzony został dla ludzi, zdecydowali. I zasiali na wszystkich planetach ziarna życia, i postawili na nich Świątynie...

Demonstracyjnie ziewnąłem. Terry popatrzyła na mnie z ironią.

– Nudne?

– Aha...

– Spróbuj wytrzymać. I nastał dzień, gdy Siewcom zabrakło we wszechświecie wrogów. Hucznie świętowali zwycięstwo. Przestrzeń i czas były im posłuszne, porządek i chaos również.

Nie było nikogo silniejszego od nich.

Nagle zrobiło mi się nieswojo. Uśmiechnąłem się z przymusem.

– No, no, ale mieliście wymyślne bajeczki... Chcesz, to opowiem ci o siedmiu...

Terry jakby mnie nie słyszała.

– I wtedy pojawił się ich główny wróg. Siewcy nie mogli go pokonać. Wróg był ich dziełem, ale nie oni go stworzyli. Przyszedł stąd, dokąd zmierzali, ale nie zdążyli dojść. Był obojętny i niewzruszony, jak kamień; ciekawski i żywy jak dziecko; słaby i silny jednocześnie. Siewcy nazwali swojego wroga... Obojętni. I odeszli z wszechświata, by powrócić, gdy nadejdzie czas głównej bitwy, gdy na planetach wyrosną ziarna życia...

Terry zamilkła, patrząc w pustkę. Lans powiedział cicho:

– Księżniczka weszła w trans, żeby przypomnieć sobie bajkę dosłownie. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że też słyszałem coś takiego dzieciństwie. Szkoda, że nie umiem tak panować nad swoją pamięcią.

Ostrożnie pogładziłem Terry po policzku. Drgnęła i odwróciła się do mnie.

– Taka to właśnie bajeczka, Sierioża.

4. Znowu Tar

Na orbicie Tara powitała nas eskorta składająca się z dziesięciu statków. Włączyliśmy holosześcian i mogliśmy obserwować, jak statki konwojujące tworzą wokół nas półkole.

– Terry, jesteś pewna, że na Tarze będą zadowoleni z naszego powrotu? – zapytałem.

Księżniczka popatrzyła na mnie z roztargnieniem.

– Regent zapewnia, że Tar pozostał wierny. Muszę tylko dowieść, że jestem księżniczką Tar, która znikła dwieście lat temu. Innych pretendentów nie ma.

– A regent?

– On nie należy do domu imperatorskiego. Nie ma nikogo, kto mógłby pretendować do tronu... prócz mnie.

– Cóż... – objąłem ją. – W takim razie... Terry!

W oczach księżniczki zobaczyłem strach. Dobrze ukrywany, ale dość długo byliśmy razem, by nauczyć się rozumieć swoje emocje.

– Boisz się?

– Tak.

Przez głowę przemknęła mi szalona myśl. Omal nie odskoczyłem od Terry. Siewcy mogli przecież stworzyć sobowtóra... Jeśli Terry... Zaciśnąłem zęby. Nie wolno tak myśleć. Obok mnie stoi Terry Tar, moja księżniczka, moja żona.

– Siergiej, to ja – powiedziała cicho księżniczka. – Słowo honoru. Przynajmniej ty we mnie wierzysz?

Skinąłem głową.

– Widzisz, sprawdzanie odbywa się zgodnie ze starożytnym rytuałem z czasów, gdy jeszcze nie było identyfikacji genetycznej. Do badania pretendenta wykorzystuje się zestaw antygenów... tak zwany A-siedem.

– Co to takiego?

– Każdy imperator Tara oddaje do laboratorium medycznego krew, z której wyodrębnia się kilka kompleksów antygenowych, przekazywanych dziedzicznie. Jeśli ten odczynnik zaszczepi się dzieciom imperatora, nic się nie stanie. Za to człowiek obcej krwi umrze w męczarniach. Wprowadzą mi antygeny siedmiu ostatnich imperatorów Tara, ojca, dziadka, pradziadka...

– I co z tego? – Nadal nic nie rozumiałem. – Przecież jesteś prawowitą córką!

– Swojego ojca jestem pewna... prawie. – Terry przygryzła wargę. – Ale jeśli chodzi o pozostałych... Czy ziemscy królowie i królowe zawsze dochowywali sobie wierności?

– Nie bardziej niż zwykli ludzie – wyszeptalem. – Więc w tym rzecz... Co za bzdura! Nie można cię karać za zdradę twoich przodków!

– Jestem księżniczką. Odpowiadam za honor dynastii – powiedziała po prostu Terry. – Być

może wszystko pójdzie dobrze. Siewcy obliczyli moje szansę: osiemdziesiąt dwa procent, na podstawie posiadanych danych historycznych. Cztery do jednego, nawet więcej...

– Terry, tak nie wolno. – Popatrzyłem na holosześcian. W dole było już widać Złamany Kieł ze znajomymi pałacami na szczycie. – Zażądamy innej kontroli, normalnej, genetycznej. Niech się upewnią, że ty to ty i po wszystkim.

– Siergiej, monarchia trzyma się na jednym: na tradycji. Jeśli zmieni się jeden rytuał, runie wszystko. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Terry ma rację. Nie można zmienić rytuału sprawdzania.

– Czy nie ma jakiegoś antidotum, antyciał, lekarstw? Siewcy mogli coś zorganizować, w końcu to w ich interesie!

– Przeprowadzą mi test na obecność leków we krwi. To również tradycja. Test prowadzony jest na bardzo wysokim poziomie, poprzez zdalne skanowanie molekularne.

– W takim razie lecimy na Somat. Nie pozwolę ci wziąć udziału w tej loterii!

Moje słowa zabrzmiały żałośnie. Nie wyszedł mi władczy ton. Nie mam królewskich przodków.

– Siergiej, przykro mi, ale tutaj nie masz prawa mi rozkazywać. Wybacz.

Że też musiałem zakochać się w księżniczce! Patrzyłem na dziewczynę siedzącą w sąsiednim fotelu. Dziewczynę, która poświęciła wszystko dla mnie, w imię mojej miłości. Na moją żonę, która odeszła ze mną na dobrowolne wygnanie na martwą planetę. Która nigdy się ze mną nie kłóciła, chociaż czasem było nam ciężko i czuliśmy się samotni. Która wspierała mnie, gdy miałem chandrę. Która nigdy nie wspominała o luksusach na Tarze. Która ani razu nie wypomniała mi, że dla mnie wyrzekła się swoich rodziców. Byłem jej mężem, kochankiem, przyjacielem, władcą. Ale teraz na barkach Terry spoczywało brzemie dynastii pradawnych władców, bardziej starożytnych i potężnych niż ziemscy królowie. Nie miałem prawa zdjąć z niej tego ciężaru.

– Będę przy tobie, Terry – wyszeptalem, dotykając jej twarzy. – Uda nam się. Jestem szczęściarzem.

Terry musnęła wargami moją dłoń i skinęła głową.

– Dobrze, Sierioża. Pożycz mi na jeden wieczór odrobinę swojego szczęścia.

Albo pałac nie zmienił się w ciągu tych dwóch stuleci, albo ja nie dostrzegałem różnicy. Stanęliśmy we dwóch z Lanssem na nagim polu kosmodromu. Żadnych komitetów powitalnych, tylko na niebie krążyły tauryjskie statki. Miałem na sobie strój lorda, bardzo wygodny kombinezon, trochę przypominający bojowy, ale bez tego całego elektronicznego chlamu. W skład stroju wchodził miecz atomowy i pistolet laserowy. To mnie cieszyło.

Poprawiłem miecz i obejrzałem się na nasz statek. Szara kula wyglądała jak monolit. Nie

było nawet śladu po luku, z którego przed chwilą wyszliśmy. To oczywiście nie była jeszcze ta nieprawdopodobna maszyna Siewców, ale też całkiem niezłe.

Terry nadal była w środku – wkładała suknię rytualną. Wszystko zgodnie z tradycją. Pretendent czy też pretendentka do tronu musi dojść do pałacu na piechotę, najwyżej z dwoma osobami towarzyszącymi. Uśmiechnąłem się, patrząc, jak z luku, który pojawił się na pancerzu, wysuwa się Trofeum. Założmy, że zwierzątko domowe, nawet półrozumne, nie liczy się jako osoba towarzysząca...

Wtedy pojawiła się Terry.

Miała na sobie suknię z półprzezroczystego białego jedwabiu. Zbyt cienkiego, moim skromnym zdaniem... Była bosa, włosy swobodnie opadały jej na ramiona. Zapewne właśnie tak przyszła niegdyś do zamku władców Tara pierwsza pretendentka do tronu.

Terry zbiegła w dół po trapie i zatrzymała się. Zrobiłem krok w jej stronę.

– Nie zimno ci?

Nie słyszała mnie. Stała wpatrzona w ażurowe wieże, kolorowe kopuły, łuki i kolumnady pałacu. W oczach miała łzy. Ależ ze mnie głupiec...

W tej chwili miałem gdzieś Siewców, Fangów, tajemniczych Obojętnych i nadciągającą wojnę. To, co najważniejsze dla Terry i dla mnie, rozegra się tutaj, już niedługo. Na planecie, którą ona władała, a ja ratowałem. Życie i śmierć jednego człowieka czasem decyduje o losach świata. Próba, która czeka Terry, przechyli szalę wagi w konfrontacji dwóch cywilizacji.

Dlaczego jestem tego taki pewien?

Ze statku wyjrzał mężczyzna w czarnym kombinezonie Korpusu Desantowego i pomachał ręką:

– Powodzenia!

Otwór zniknął, statek zaczął się unosić. Sto metrów nad kosmodromem zamigotał, otulił się błękitnym lśnieniem – i znikł. Rozległ się trzask, przechodzący w cichnący świst. Powiało chłodem. Wejście w hiperskok z atmosfery planety to całkiem niezła demonstracja siły.

– Już czas, księżniczko – przypomniał Lans. – Rytuał zabrania zwlekać.

Terry poszła pierwsza, za nią ja i Lans. Zapytałem go szeptem:

– Wiedziałeś o rytuale?

– Tak.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś na Ziemi? Komandor ci zabronił?

Lans drgnął, ale się opanował.

– Terry prosiła. Nic by to nie zmieniło, a ona postanowiła zaryzykować. Po co zbędne emocje, księżę?

– Przepraszam – wykrztusiłem. – Ale mimo wszystko powinieneś był mi powiedzieć. O swoje nerwy troszczę się sam.

– Terry prosiła – powtórzył bezradnie Lans.

– Prosiła czy rozkazała?

– Co za różnica...

Beton kosmodromu był nierówny, pokruszony. Stąpienie po czymś takim nawet w butach to średnia przyjemność. A Terry szła boso... Skrzywiłem się, wyobrażając sobie, co ona czuje. Zerknąłem na Lansa i zobaczyłem na jego twarzy odbicie tego samego bólu. Nawet najwierniejszy i najbardziej oddany monarchista nie przeżywałby tak razem z księżniczką.

– Dziękuję, Lans – powiedziałem nieoczekiwanie.

– Za co?

– Za to, że mimo wszystko jesteś moim przyjacielem.

Odpowiedział nie od razu.

– Terry nie domyśla się, że to może być trudne. Wszystko w porządku, Siergiej. Taki rozkład kart.

Podeszliśmy do bramy znajdującej się najbliżej lądowiska. Wysokie, ciężkie skrzydła z ciemnego, przypominającego brąz metalu. Czułem, że za nimi na nas czekają.

Terry dotknęła drzwi dłonią, skrzydła się rozsunęły. Wewnątrz panowała absolutna, nieprzenikniona ciemność. Do środka nie wpadał blask zalanego słońcem kosmodromu. Pole kamuflażowe.

– Kim jesteś? – zapytano z ciemności. Głos był zimny, suchy...
i znajomy.

– Terry Tar, ostatnia z rodu Tar, księżniczka tego świata.

– Kto może potwierdzić twoje słowa?

– Drzwi mojego zamku poznały mnie.

– Wejdz.

Weszliśmy za Terry w ciemność. Trofeum przytulił się do mojej nogi – nie lubił pola kamuflażowego, w którym nie pomagał nawet jego koci wzrok.

– Kim jesteś?

– Terry Tar, ostatnia z rodu Tar.

– Kto może potwierdzić twoje słowa?

– Lord z planety Ziemia i żołnierz z planety Tar.

– Wierzycie jej, Siergieju i Lansie?

– Tak – odpowiedzieliśmy chórem.

Zapłonęło światło. Nierówne, chwiejne światło pochodni. Płonęły od dawna, po prostu tłumilo je pole. Przed nami stały trzy postacie w szarych płaszczach z kapturami nasuniętymi na twarze.

– Kim jesteś? – zapytał głos po raz trzeci. Cholerny rytuał...

- Terry Tar.
- Kto może potwierdzić twoje słowa?
- Moja krew.
- Planeta Tar uwierzy głosowi krwi. Niech tak się stanie.
- Niech się stanie – powiedziała cicho Terry.

Szliśmy korytarzami pałacu. Prowadziła nas tamta trójka w szarych płaszczach, chociaż Terry i tak знаła drogę. Nie była długa.

Badanie miało się odbyć w sali tronowej. Widziałem ją dawno temu, przelotnie. Turkusowe ściany i czerwone sklepienie, barwy planety Tar. I szary metaliczny tron na czarnym postumencie. Teraz obok tronu władców Tara stał jeszcze jeden przedmiot – który kompletnie tu nie pasował. Toporny drewniany stolik, pokryty strzępem czerwonego materiału, a na nim – połyskliwa strzykawka. Początkowo myślałem, że jest pusta, dopiero po chwili zrozumiałem, że roztwór jest bezbarwny.

Jeden z ludzi w szarym płaszczu stał za nami, drugi wziął do ręki strzykawkę. Trzeci stanął pomiędzy księżniczką a tronem.

- Kto zagradza mi drogę? – zapytała półgłosem Terry.
- Obrońca tronu.
- Co cię czeka, jeśli nie masz racji?
- Twoja decyzja.
- Zdecydowałam. Wygnanie.

Terry odwróciła się do „szarego”, który trzymał strzykawkę.

- Kto nie wierzy moim słowom i uwierzy tylko krwi? – zapytała.
- Dowódca ochrony – odpowiedział ochryple człowiek.
- Co cię czeka, jeśli nie masz racji?
- Twoja decyzja.
- Zdecydowałam. Nagroda.

Przyszła kolej na trzeciego człowieka w szarości. Terry długo wpatrywała się w jego twarz, w końcu powiedziała:

- Kto zagradza mi drogę wstecz?
- Żołnierz i poddany imperium – padła cicha odpowiedź.
- Co cię czeka, jeśli nie masz racji?
- Twoja decyzja.
- Zdecyduję – powiedziała Terry po długiej przerwie i podeszła do dowódcy ochrony. Ten milczał chwilę, w końcu powiedział:

- Spełnię swój obowiązek. Jeśli umrzesz, odejdę na wygnanie. Jeśli jesteś księżniczką,

zrezygnuję z nagrody. Poproszę o rękę.

Terry w milczeniu podała mu ramię. Dowódca ochrony podwinął rękaw sukni, przysunął strzykawkę do zgięcia łokcia.

Nie... Nie. Nie będę grał w żadne gry. Opuściłem dłoń na rękojeść pistoletu. I poczułem, że czyjeś silne palce chwyciły mój nadgarstek.

– Spokojnie, kapitanie – wyszeptał mi do ucha stojący za mną „szary”. – Od soli fizjologicznej jeszcze nikt nie umarł.

Wreszcie poznałem jego głos.

5. Żołnierz i poddany

Dowódca ochrony położył pustą strzykawkę na stoliku. Skłonił się Terry i powiedział: – Trzy minuty, by usłyszeć głos krwi.

Stałem w jakimś otępieniu. Jeśli obok nas był Ernado, to znaczy, że udało mu się wrócić na Tar i zasymilować się. Skoro powiedział, że wszystko jest w porządku, to tak właśnie było...

Ale ja nadal się bałem, śmiertelnie się bałem tego, co może się zdarzyć. Jak Ernado udało się przeniknąć do szeregów „badaczy”, skąd ta pewność, że w strzykawce rzeczywiście jest sól fizjologiczna?

– Czas minął. – Dowódca ochrony padł przed Terry na kolana. – Księżniczka Terry Tar powróciła. Nasze miecze, nasza krew, nasz honor należą do ciebie, imperatorowo Terry Tar.

– Chcę zobaczyć wasze twarze. Zdejmijcie kaptury – poleciła Terry bezbarwnym głosem.

Ludzie w szarym bez słowa spełnili rozkaz. Terry obrzuciła ich spojrzeniem, zauważyłem, jak zmieniała się jej twarz na widok stojącego za mną „żołnierza i poddanego”. Potem odwróciła się do obrońcy tronu.

– Regencie, jesteś niewinny, ale zostałeś wygnany. Następny poranek nie powinien ujrzeć cię na Tarze.

Regent w milczeniu skłonił głowę. Mężczyzna w podeszłym wieku, o obwisłej twarzy, wyglądał na statystę zmuszonego do odegrania głównej roli na premierze. Pokłonił się Terry i znikł z sali tronowej.

– Dowódco ochrony, zrezygnowałeś z nagrody, ale mimo to ci ją daję. Pozostaniesz na swoim stanowisku. Sprawdź warty. Powiadom naród. Poinformuj Siewców o nawiązaniu stosunków dyplomatycznych.

Dowódca ochrony się oddalił. Ten młodzik kogoś mi przypominał. Zerknąłem na Ernada. A więc to tak...

– Poddany imperium – odezwała się Terry nie bez złośliwości. – Zostajesz obdarzony zaszczytem: rozmową ze mną w cztery oczy.

Zerknęła w górę i wydała polecenie:

– Całkowita izolacja sali. Wyłączenie systemów obserwacyjnych. Czekać na moje rozkazy.

– Polecenie zostało wykonane – zaszemrał nieludzki głos. – Komputer pałacu wita cię, imperatorowo.

Terry podeszła do nas szybkim krokiem. Zatrzymała się i spojrzała na uśmiechniętego Ernada. I wymierzyła mu policzek.

– Co ma znaczyć ten spektakl, Ernado?

Mój były nauczyciel nawet nie drgnął.

– Postanowiłem wyeliminować przypadkowość, imperatorowo. Dowódca ochrony pałacu to

mój wnuk. Zamienił strzykawki.

– Co mi wstrzyknięto?

– Sól fizjologiczną.

– Gdzie jest roztwór A-siedem?

Wahając się ułamek sekundy, Ernado wyjął spod płaszcza plastikową torebkę z taką samą strzykawką jak ta, która leżała na stoliku. Terry rozerwała torebkę, obróciła strzykawkę w rękę... i zanim zdążyliśmy zrozumieć, co się dzieje, wbiła ją sobie w rękę przez biały tiul rytualnej sukni.

– Terry! – Wyrwałem strzykawkę, ale było już za późno; księżniczka zdążyła nacisnąć tłok.

– Jestem zmęczona kłamstwami – powiedziała cicho Terry. – Niech mój honor będzie ze mną.

Złapałem Ernada za ramiona, potrząsnąłem.

– Antidotum?!

Ernado z rozpaczą pokręcił głową.

– Nie ma, imperatorze... teraz wszystko dzieje się naprawdę.

Odepchnąłem go, chwyciłem Terry w ramiona. Patrzyła na mnie przygryzając wargę, z dziwną mieszaniną przerażenia i dumy na twarzy.

– Co czujesz? Terry!

To boli...

Świat wokół mnie zakołysał się. A może to zachwiała się Terry? Przytuliłem ją i zapytałem bezradnie:

– Gdzie cię boli?

– Ręka... nigdy nie robiłam sobie zastrzyków.

Płakałem i śmiałem się jednocześnie. Kołyszając Terry jak dziecko, całując jej oczy i usta, pytałem:

– Więcej nic? Tylko ręka? Możesz oddychać?

Terry skinęła głową i przylgnęła do mnie. Trzymałem ją, dopóki Lans nie wyszeptał:

– Już wszystko w porządku. Czas minął, imperatorze. Wszystko było uczciwie.

Staliśmy tak przytuleni. Już po wszystkim... Próba zakończona. Obie próby – fałszywa i prawdziwa.

– Ukarzę twojego wnuka, Ernado – odezwała się Terry. – Jest dobrym aktorem... więc niech nim zostanie. Niech będzie aktorem w teatrze. Aż do śmierci.

– Wedle życzenia, imperatorowo.

Odwróciliśmy się. Przy wejściu do sali tronowej stał dowódca ochrony pałacu. Skłonił się Terry i powiedział, nie patrząc na Ernada:

– Istnieje obowiązek krwi i wypełniłem go. Jest obowiązek honoru i również go spełniłem.

Naród Tara widział, co się tu rozegrało. Widzi nas nawet teraz. Jest z ciebie dumny, imperatorowo. Umrzemy za honor rodu Tar, tak jak gotowa byłaś to zrobić ty, imperatorowo.

Żał było patrzeć na Ernada. Zerkał to na swojego wnuka, to na Terry, potem zaczął się rozglądać, jakby szukał kamer.

– Dziękuję. – Terry podeszła do dowódcy ochrony. – Widzę, że ród Ernado zachował swój honor... którego brakuje niektórym jego członkom. Pozostaniesz dowódcą ochrony.

– Gotów jestem umrzeć – rzekł posępnie Ernado.

– Tak się stanie – potwierdziła spokojnie Terry.

Ernado odwrócił się do mnie i poprosił:

– Daj mi miecz, imperatorze.

Popatrzyłem na niego w milczeniu i zapytałem:

– Czy mam prawo łaski, Terry?

– Tak – odpowiedziała po chwili wahania.

– Zostałeś ulaskawiony, Ernado. Sam wyznaczę karę.

– Siergiej! – wykrzyknęła Terry. Dla niej Ernado był tylko jednym z moich pomocników. Dla mnie – nauczycielem i przyjacielem.

– Nie wolno zaczynać od śmierci – powiedziałem twardo. – Nie wolno karać za oddanie, nawet ślepe i niepotrzebne. Został ulaskawiony.

– Może odłożymy wszystkie sprawy? – spytała Terry. – I tak zajmowałam się nimi przez pół wieczoru...

– A ja nawet nie mogę ci pomóc... Chyba imperator powinien choć trochę orientować się w sytuacji.

– Nawet ma obowiązek – westchnęła Terry. Leżeliśmy na łóżku w imperatorskiej sypialni pałacu, w turkusowo-czerwonych strojach. Miecz rzuciłem na podłogę, pistolet wsunąłem pod poduszkę. Ceremonialny strój koronacyjny był obcy i niewygodny. Nic dziwnego, w końcu wstępowało w nim na tron kilka pokoleń tauryjskich imperatorów. Całe szczęście, że nie trzeba go nosić bez przerwy.

– Poproszę o mapę galaktyki – poleciła Terry. W półmroku nad łóżkiem zapłonął obłoczek różnobarwnych iskier.

– Ładnie – nie wytrzymałem.

– Tak. – Terry westchnęła. – Wyodrębnić Tara i planety sprzymierzone, powiększyć skalę.

Różnobarwnych iskier zrobiło się mniej. W centrum obłoku płonął teraz zielony punkt – Tar. Wokół niego kilkanaście żółtych – planety sprzymierzone. Kilka punktów świeciło czerwono – to światy niewchodzące w strefę wpływów Tara.

– Pokazać Ziemię i granicę wpływu Fangów – poleciłem. – W tej samej skali.

Dobrze, że sypialnia imperatorów ma takie imponujące rozmiary. W odległym kącie pokoju zapaliło się zielone światelko – Ziemia. A mniej więcej metr od sprzymierzonych planet Tara pojawiła się lekko skośna błękitna płaszczyzna, niknąca w ścianach, podłodze i suficie sypialni.

– Dwa kiloparseki – powiedziała Terry. – Obok.

– Wyodrębnić znane planety i bazy Fangów – poleciłem.

Za błękitną płaszczyzną rozbłysł rój ciemnopurpurowych światełek. Jedno z nich pulsowało. Fang – główna planeta i ojczyzna naszych wrogów.

– Dużo – podsumowała Terry. – Nie mniej niż chronokolonii. Jeśli dojdzie do wojny, siły będą wyrównane.

W milczeniu przyglądałem się płonącym w półmroku sypialni gwiazdozbiorom. Można by polecić pokazanie pozostałych chronokolonii... zresztą to nieistotne. Tar rzeczywiście znajduje się na ostrzu „igły”, na granicy między Ziemią a Fangami. Nikt nas nie wybawi od roli zatrutej strzały wycelowanej we wroga.

– Wiesz, czego nie wyjaśnił nam Maccord?

– No?

– Operacja „Igła”. Terry, zastanów się! Gwiazdy to przecież nie czołgi... to znaczy, nie gwiazdoloty bojowe, które mogą ruszyć w stronę Fangów, przebijając ich obronę. „Igła” ma sens tylko w jednym przypadku: gdy statki Fangów ruszają nas.

– I będziemy musieli przyjąć bój – potwierdziła spokojnie Terry. – Zgadza się. Maccord liczy właśnie na taki obrót wydarzeń. Jest pewien, że Fangowie zaatakują, a my będziemy się bronić. Mamy dogodną pozycję, Tar i sojusznicze planety mogą dość długo stawiać opór. Gdy Fangowie ugrzęzną w naszym sektorze przestrzeni, rzucą statki do szturmowania planet, dojdzie do walk w otwartym kosmosie... wtedy Ziemia będzie miała możliwość zaatakowania. Ale przecież Fangowie nie są idiotami! Po co mieliby atakować neutralne planety, skoro prościej ominąć nas i uderzyć w Federację Shedmona, w Związek Klena... Nie, nie prościej. Ale tak czy inaczej atakowanie Tara nie ma żadnego sensu.

– Oni nie posługują się ludzką logiką – przypomniałem.

– Ale jednak jakąś logiką, prawda?

– A jeśli ona głosi: im trudniej, tym lepiej? Im więcej strat, tym lepiej dla Fanga?

Po chwili milczenia dodałem:

– Najważniejsze, Terry, że Maccord liczy na taki właśnie ruch. A to znaczy, że całe to niezrozumienie psychiki Fangów to bzdura. Siewcy znają ich plany... albo sami popchną Fangów do spodziewanych działań.

– Prześpijmy się, Sergiej.

– Zaraz... Co to za planeta? – Wyciągnąłem rękę i dotknąłem żółtej iskierki na samym ostrzu „igły” Związku Tauryjskiego. Od linii granicznej Ziemia-Fang oddzielało ją kilka milimetrów.

Najwyżej dziesięć parseków.

– Planeta Ar-Na-Tin. Przyłączyła się do Związku Tauryjskiego dwadzieścia trzy lata temu – oznajmił natychmiast informator. – Średnio rozwinięty świat, produkcja dominująca – żywność. Ludność – około dwóch miliardów. Potencjał wojskowy – znikomy. Forma rządów – dożywotnia prezydentura, z przeprowadzaniem co dziesięć lokalnych lat referendum nad wotum zaufania. Prócz języka standardowego w użyciu jest siedem miejscowych dialektów...

– Wystarczy. Co oznacza nazwa planety w miejscowym języku? Sekunda przerwy, w głosie komputera pojawiły się przeprasające nutki.

– Wierny przekład nie jest możliwy. Dwa najbardziej prawdopodobne tłumaczenia: „najprostsza droga” lub też „najprostsza decyzja”.

– Niech to wszystko szlag trafi! – krzyknąłem, zrywając się łóżka.

Terry patrzyła na mnie z przestachem.

Czy opowiedzieć jej o moich majakach z tamtego hiperprzejścia? Po co... zresztą to wcale nie były majaki. Jest granica, poza którą zbiegi okoliczności przestają być możliwe. Ktoś zdołał wejść w moją świadomość w momencie hiperskoku. I podać, w bardzo zawoalowany sposób, nazwę planety. Najprostsza droga jest najpewniejsza. Najprostsze rozwiązania są zawsze lepsze od skomplikowanych.

– Terry, będę musiał polecieć na tę planetę.

Uśmiechnęła się słabo.

– Teraz?

– Nie, oczywiście, że nie... wybacz – usiadłem obok niej, zawahałem się. – Atak Fangów zacznie się od tej planety. Ja to wiem.

Terry się nie zdziwiła.

– Bardzo możliwe. To wygodna baza pod względem strategicznym... i bardzo słabo chroniona.

– Zdołamy udzielić jej pomocy?

– Niezbyt dużej. Pięć, sześć statków średniej klasy, może krążownik i okręt liniowy. Nie można koncentrować wszystkich sił wokół planety, której nie sposób utrzymać. Mają słabą obronę planetarną, nawet nie jestem pewna, czy na Ar-Na-Tinie są siły wojskowe. Możliwe, że mają z dziesięć kutrów patrolowych. Zacořany świat.

Skinąłem głową. Zgadza się, nie należy walczyć o obcą planetę, która nie zatroszczyła się o własne bezpieczeństwo. Ale coś zależy od tej właśnie planety. Coś bardzo ważnego. Tego byłem pewien.

– Wyruszę tam jutro. Terry, połączysz się z Maccordem. Powiesz mu, że na podstawie dokładnych, podkreśl, bardzo dokładnych i pewnych wiadomości atak Fangów zacznie się od planety Ar-Na-Tin. Niech pomogą... jeśli nie siłami wojskowymi, to przynajmniej statkami

pasażerskimi. Trzeba ewakuować ludność.

– Dwa miliardy? – Terry uśmiechnęła się słabo. – W ciągu jakiego czasu? Dwa dni, tydzień, miesiąc?

– Sześć dni – odpowiedziałem bez zastanowienia i zamilkłem, próbując zrozumieć, skąd wziął się w mojej świadomości ten termin.

– Siergiej! – Terry wzięła mnie za rękę. – Połącz się z Maccordem sam, natychmiast. I przekaz mu swoje informacje. To rzeczywiście pilne. A ja się położę spać. Wybacz, ale jestem potwornie zmęczona.

– Ukryć mapę – poleciłem. Barwne iskierki zgasły. – Terry, gniewasz się?

– Nie. – Popatrzyła mi w oczy. Spokojnie, bez urazy czy gniewu. – Siergiej, ja byłam pewna, że nie uda ci się stać z boku. W ten sposób bronisz również swojego świata... a już raz występowałeś w roli bohaterskiego zbawcy. Przed tym nie można uciec. Nikt nie zdoła cię powstrzymać.

– Ty możesz mnie powstrzymać. – Mówiłem szczerze.

– Nie. Jeśli cię powstrzymam, to już nie będziesz ty. Sama zmusiłam cię do grania tej roli i teraz nie mam prawa żądać niczego innego. Idź.

Zaczęła się rozbierać. A ja wyszedłem z sypialni jak automat. Łączność z Siewcami... Najlepiej łączyć się z pałacowego centrum hiperłączości – mniejsze prawdopodobieństwo, że sygnał zostanie przechwycony przez obcych. Idealnym wariantem byłaby Świątynia, ale do niej jest za daleko.

Wróciłem pół godziny później – hiperłączość jest błyskawiczna, a wewnątrzpałacowa komunikacja doskonała. W sypialni było ciemno, tylko przez otwarte okno wpadało słabe światło. Tar nie ma naturalnych satelitów, ale przestrzeń wokół pałacu oświetlają reflektory. Ochrona korzysta ze wszystkiego, od podczerwonych detektorów i lokatorów do własnych oczu. Nikt nie może podejść do zamku niezauważony.

– Terry... – zawołałem cicho. Nie odpowiedziała.

Cóż, to był długi i trudny dzień. A Terry przeżyła znacznie więcej niż ja.

Rozebrałem się i położyłem na brzegu łóżka. Jak cicho, nawet nie słychać jej oddechu...

– Terry! – ogarnął mnie strach. – Światło!

Zapłonęły lampy. Terry uniosła głowę z poduszki.

– Przepraszam... Wydawało mi się, że cię nie ma – uśmiechnąłem się przepaszająco. – Płakałaś?

Skinęła głową.

Dotknąłem jej twarzy. Powoli, ostrożnie, jakbym wyciągał rękę do płochliwego ptaka gotowego odlecieć w każdej chwili.

– Co się stało? – zapytałem.

– Boję się o ciebie – odpowiedziała Terry. – Boję się planety, na którą lecisz. Boję się Fangów i Siewców... i nawet Obojętnych, chociaż ich nie ma.

– Jestem szczęściarzem – próbowałem obrócić wszystko w żart. Ale Terry była poważna.

– Każde szczęście ma swoje granice. Siergiej, wrócisz?

Co za głupstwa... Skinąłem głową.

– Nie zapomnisz o mnie?

– Terry!

Odwróciła wzrok.

– Użyjemy znowu jin i jang, chcesz? – zapytałem. – Wtedy nie będzie miejsca na kłamstwo. Tylko słowa mogą kłamać.

Terry pokręciła głową.

–Wiem, że mnie kochasz... bez żadnego jin-jang. Boję się jutra. Boję się twojej drogi. Nie będzie mnie przy tobie.

– Zawsze jesteś przy mnie – wyszeptałem. – Głuptasie... zawsze jesteś ze mną i we mnie.

Słaby uśmiech i cichy szepot:

– A ty we mnie. Nie powinnam była przechodzić próby. Wybacz... nie powinnam była go narażać...

– Kogo?

Milczenie. Wreszcie zrozumiałem.

– Kiedy się dowiedziałas?

– Dzisiaj. Przeszłam test w centrum medycznym pałacu.

– To chłopiec czy dziewczynka? – zapytałem głupio. Jakby istniała na świecie aparatura zdolna określić płeć dziecka na dziewięć miesięcy przed porodem...

– Nie powiem – odpowiedziała spokojnie Terry. Więc taka aparatura istnieje...

– Dlaczego?

– Wtedy będziesz miał powód, żeby wrócić. Ciekawość to dobry powód... – zamilkła.

Siedzieliśmy obok siebie i nic już nie było potrzebne – ani słowa, ani jin i jang.

6. Ostrze

Więc tu go schowałeś! – wykrzyknąłem. Zagajnik wokół bunkra, w którym niegdyś spotkałem Ernada, wydawał się pusty. Ale znałem możliwości statku Siewców.

– Tak – skinął głową Ernado i wyjaśnił: – Na wszelki wypadek. Gdyby coś mi się stało, domyśliłbyś się, gdzie masz szukać statku.

– Domyśliłbym się – przyznałem. – Dobra, pokaż to чудо.

– Posłucha tylko ciebie. To był ostatni rozkaz, jaki wydałem komputerowi statku.

Skinąłem głową i jeszcze raz obejrzałem zagajnik. Gdzie on się przyczaił? W końcu to dwadzieścia metrów długości...

– Zdjąć zamaskowanie – zakomenderowałem.

Powietrze zadrzało, po drzewach przepłynęła fala ciepłego wiatru. Lans podniósł ręce, zasłaniając oczy. W głębi zagajnika rozparało się bladofioletowe światło. Zamaskowanie temporalne, statek Siewców ukrywał się w czasie.

Drzewa przed nami się rozpląwały. Najpierw znikaly wierzchołki, pnie wrastały w ziemię, liście zmieniały zabarwienie, pokrywały się białym szronem, żółkły... Czas płynął wstecz.

Przed nami wisiało białe, opływowe cielsko statku. Cofnąłem się odruchowo i zły na swój głupi lęk powiedziałem:

– Pamiętasz mnie?

Tak – słowa pojawiały się w głębi mózgu. Statek Siewców wolał używać mowy myślowej. – Jesteś Siewcą. Nazywasz się Siergiej. Jestem ci posłuszny. Dwa lata temu, na twój osobisty rozkaz, przeszedłem czasowo pod komendą Ernada z planety Tar.

– Zgadza się. Przyjmij nas na pokład – poleciłem.

Wykonują.

Gdy już byliśmy na statku, na fantomowym mostku sterowania, kopii głównego mostka „Terry”, zapytałem Ernada:

– Co było w drugiej strzykawce?

– W której? – Ernado zachowywał niewzruszony spokój.

– Nie udawaj idioty. Nigdy nie zaufałyś swojemu wnukowi...
czy kim tam jest dla ciebie ten chłopak.

– Wnukiem. – Ernado westchnął. – Uczciwy chłopak, tylko straszny romantyk.

– Więc co dałeś do strzykawki?

– Zestaw witamin. Zadowolony?

Nic nie powiedziałem. Za to włączył się Lans:

– Siergiej, przecież wszystko poszło dobrze! Ernado jest oddany Terry nie mniej niż ty...

czyja.

Popatrzyłem na Lansa. Jeszcze tylko brakowało, żebym był o niego zazdrosny! A Lans, ośmielony moim milczeniem, ciągnął:

– Kompleks antygenów byłby dla księżniczki śmiertelnie niebezpieczny. Ernado przyjął cios na siebie, to jego mogli, a nawet byli zobowiązani skazać.

– Nikt by go nie skazał, dopóki jestem w stanie utrzymać w ręku miecz... i swoją żonę.

Wyciągnąłem dłoń do Ernada – nasze fotele zbliżyły się posłusznie i trąciłem go w ramię. Ernado drgnął.

I

– Ile razy wciągałeś mnie w różne awantury, Sierzancie? – zapytałem. – Możesz mi przypomnieć?

– Teraz pchasz się sam – zaprotestował ponuro. – Czego szukasz na tej planecie?

– Ar-Na-Tin to punkt, w którym zetkną się Siewcy i Fangowie. Wiem o tym.

– Założmy. Ale co ty zamierzasz robić pomiędzy młotem a kowadłem, Siergiej?

– Popatrzę na kowala, Ernado – powiedziałem cicho. Tutaj, na statku, wśród przyjaciół mogłem pozwolić sobie na szczerość.

Odniosłem wrażenie, że Ernado jest zły.

– Siergiej, nie lubię przepowiedni i wizjonerów. Ale podczas tego lotu czeka nas jakieś nieszczęście. Weźmy przynajmniej normalny statek i eskortę godną imperatora.

– Start – poleciłem statkowi. – Kurs na planetę Ar-Na-Tin. Prędkość maksymalna.

Żadnego pchnięcia czy choćby szumu silników. Tylko cichy, jak odległe echo, głos w świadomości: *Wykonuję*.

– Ernado – mówiłem twardo, choć starałem się na niego nie patrzeć. – To najpewniejszy statek na Tarze. Lot na nim jest absolutnie bezpieczny.

Naprawdę wierzyłem w to, co mówię.

Ani Ernado, ani Lans nie spierali się ze mną. Ale napięcie wisiało na mostku niczym mgła nad łąką. Metafora? Skądże. Powietrze rzeczywiście wypełniała gęsta, pachnąca wilgocią mgła. Twarze przyjaciół były ledwie widoczne. Nie wytrzymałem.

– Sierzancie! Dajmy temu spokój. Co ci się nie podoba w tym statku?

– Jego doskonałość, dowódcu – odpowiedział posępnie Ernado. – Wolę normalny mostek, normalny pulpit... bez wizualizacji emocji.

– Ty też widzisz mgłę? – zapytałem.

– Ja również – włączył się Lans.

– Zaraz ją usuniemy. – Z determinacją starałem się zachować spokój. – Ernado, ten statek

jest doskonalszy od tauryjskich. Tego chyba nie kwestionujesz?

– Nie. Ale dla dowolnego obserwatora statek Siewców startujący z Tara będzie wizytówką imperatora.

Jakby oblał mnie wiadrem zimnej wody.

– Kto może wyśledzić statek Siewców w hiperprzestrzeni? – zapytałem retorycznie.

Ernado nie zdążył odpowiedzieć. Mostek „Terry” znikł. Wokół był mrok – nie ciemność, nie brak światła, lecz gęstniejący mrok. Ciało przeszył ostry ból.

Ciało? Nie miałem już ciała – poprzedniego, ludzkiego. Miałem nowe.

Metal, plastik, kryształy... Pola – magnetyczne, siłowe, grawitacyjne... niewidoczny szkielet zewnętrznego poszycia statku. Trzy małe kawałki struktur organicznych w środku – Siergiej, Ernado i Lans.

Kwanty światła, elektrony, pulsacja pól – to moje myśli. Atomowe zmiany struktury statku – pamięć.

Wybacz, powiedziałem sam do siebie. W porządku, odpowiedziałem sam sobie.

Nie było czasu, żeby cię uprzedzić. Bezpośrednie połączenie to standardowa procedura walki. Siewcy o tym wiedzą. Nie jestem do końca Siewcą. Ale wszystko w porządku. Walka. Dowodzić możesz tylko ty... ja... Ja. Decydujemy. Fangowie.

Stałem się statkiem. Bzdura, przecież zawsze nim byłem. Tak samo jak fartownym chłopakiem z XX wieku Ziemi. Nie dowiedziałem się niczego nowego – zawsze wiedziałem to, co wiedziałem teraz. Po prostu nasze rozумы były rozłączone – a teraz się połączyły.

Przechwycili mnie w hiperprzestrzeni. Zdarza się. Pola obcych generatorów nałożyły się na moje hiperpole i zdławiły je, niszcząc potworną energię, utrzymującą mnie-statek poza zwykłymi czterema wymiarami.

Ból. Radość. Ból – zakłócono wykonanie zadania, sens istnienia. Radość – nie lubię mgły piątego wymiaru. Zwykły kosmos jest lepszy, bliższy. Tam można działać, walczyć, zniszczyć wroga.

Wróg. Zostałem stworzony do walki. Kocham walkę, uwielbiam bronić ludzi. Być może zostało mi to zakodowane przez ludzi, w czasie budowy-narodzin. Wszystko jedno. Wierzę w miłość, wierzę w los. Stworzyły mnie maszyny stworzone przez maszyny... długi łańcuch aż do najprostszych maszyn, stworzonych przez ludzi... cóż... Urodziłem się w ludzkiej rodzinie, miałem ojca i matkę. Rozgałęzienia: oni też mieli rodziców. Niekończący się łańcuch. Człowiek z Cro-Magnon, pitekanthrop, małe małpy w lasach trzeciorzędu. Kreda, jura. Trias. Pierwsze ssaki. Devon. Łańcuch się nie zrywa, ciągnie się do pierwszych istot żywych. Łańcuch. Dalej, tam gdzie nie ma różnicy pomiędzy tym, co żywe, a tym, co nieżywe, materią organiczną i kamieniem. Łańcuch się nie kończy, istniałem zawsze. Nie ma różnicy pomiędzy rozumem statku a rozumem człowieka. Niosę wspólną pamięć. Kiedyś połączymy się wszyscy...

w przyszłości. Zakaz. Nie wolno myśleć o tym, że ludzie znikną. Statek niesie w sobie ten zakaz. Ale człowiek jest wolny od zakazów... I to się stanie... Coś ważnego, muszę zdążyć to zrozumieć. To ważne... tylko minutę spokoju... milisekundę spokoju – myślę szybciej niż człowiek. Komórki mózgu smagnięte energią statku, biochemiczne procesy są zbyt powolne... Czas! Z hiperprzestrzeni wyrzuca mnie w rzeczywisty kosmos. Za późno na myślenie, teraz czas na walkę. Chronokolonisci mogą sobie walczyć za pulpitemi statku – Siewcy i Fangowie pozbawieni są tego luksusu. Walka powierzona maszynie albo symbiozie człowieka z maszyną. Walka.

Statek. Krótka spirala owinięta pajęczyną. Statek przechwytyjący w hiperprzestrzeni wyrzucił mnie w rzeczywisty kosmos, zakłócił zadanie. Nie boję się. Zniszczyć. Część-całości, autonomiczna część mnie oddziela się od głównej masy statku. Słaby ból. Część-całości niesie w sobie zamrożoną śmierć, część-całości ma silniki i rozum, wystarczające, by porazić cel. Ludzie nazywają to torpedą kwarkową. Broń zakazana, używam jej wyłącznie na rozkaz mnie-żywego. W pobliżu nie ma gwiazd ani planet, rozpad kwarków pochwyty tylko...

Silny ból. Zniszczenie poszycia. Pole neutralizujące. Przewrojenie struktury wewnętrznej, likwidacja zniszczenia. Atakują mnie destruktorami. Ja-nieżywy jestem sparaliżowany bólem, ja-żywy przejmuję sterowanie.

Kto? Skazany statek przechwytyjący próbuje lawirować, ale torpeda kwarkową już go dogania. Kto? Kosmos jest czysty. Kto?

Trzy statki Fangów wyłaniają się z pustki. Są piękne i śmiertelne. To bojownicy. Statek przechwytyjący wykonał swoje zadanie i został poświęcony. Pionek na szachownicy, pułapka i wabik jednocześnie. Skąd wzięli się bojownicy?

Ja-nieżywy przegrupowałem się i funkcjonuję. Odpowiedź jest jasna. Nie przerażająca żywego, straszna dla statku. Statki Fangów kryły się w czasie. Fangowie potrafią sterować polami temporalnymi, ludzie tego nie potrafią. To ważne. Trzeba o tym powiadomić, nawet za cenę śmierci. Ja-żywy muszę się zgodzić i zrozumieć. Wyłączyć pole neutralizujące, wysłać sygnał do sztabu na Ziemi i umrzeć. Informacja ważniejsza od statku i trojga ludzi...

Nie. Żywy odmawia.

Część organiczna jest słaba... ale spór jest zakazany. Walka.

W skorupie pola neutralizującego jestem nietykalny. I bezradny. Nie działają silniki, nie działa broń. Jeśli tarcza jest zbyt pewna, nie przebije jej nawet własny miecz.

Słabe światło. Część-całości dosięgła statek przechwytyjący. Statek rozpada się na atomowy pył. Za czterdzieści sekund niosący kwarkowy rozpad pył dosięgnie mnie, ale czterdzieści sekund to dla mnie tyle, co całe godziny dla człowieka. Teraz najważniejsze są trzy statki Fangów. Za dużo. Z jednym można walczyć, z dwoma jest nadzieja wygranej. Trzy – brak szans.

To nie przypadkowy patrol, który w hiperprzestrzeni pochwytył ślad mnie-statku. To nie

eskadra bojowa, gotowa przechwycić ziemskie statki. Specgrupa. Ogniwo statków bojowych i statek przechwytyjący – idealny zestaw do wzięcia do niewoli samotnego statku.

Czekali na mnie. Przeciek informacji? Zdrada?

Słaby impuls od statków bojowych – zbyt nieznaczny, by stłumiło go pole neutralizujące. To nie wystrzał, to informacja. Wiadomość w języku standardowym.

Statek-pilot Fanga wita. Dobry strzał. Gratulujemy. Dziękujemy.

Ich logika jest wypaczona. Znajdują przyjemność w śmierci przyjaciela i z radością zniszczą również mnie.

Pilot-statek Ziemi może powtórzyć.

Nie może. Lasery włączone, statek zostanie zniszczony Fang walczy z Ziemią?

Fang nie ma pokoju z Ziemią. Fang jest uczciwy.

Statki-piloci Fanga nie zwyciężą. Ogólna śmierć – temporalne zamknięcie.

Ja-statek wiem o tej broni. Ja-człowiek nie jestem zdumiony tą wiedzą.

Niejasne. To groźba?

Tak. Pilot-statek Ziemi zaatakuje was w przeszłości.

Nieemożliwe. Ataku nie było. Zakłócenie łańcucha przyczynowo-skutkowego.

Tak. Zakłócenie rzeczywistości. Wyłączenie nas z rzeczywistości. Śmierć. Pilot-statek Ziemi pójdzie na to. Przepuście nas.

Nie. Ogólna śmierć to dopuszczalne wypełnienie misji. Ale taka śmierć jest nieprzyjemna. Zadanie jest ważniejsze.

Kompromis?

Fang potrzebuje człowieka z przeszłości Ziemi, imperatora Tara. Uciekł nam na Somacie. Musi zginąć. Wydajcie go i idźcie poprzednim kursem. Statek-pilot Fanga obiecuje nie atakować.

Człowiek z przeszłości Ziemi to ja.

To możliwe. Poświęć siebie i uratuj pozostałych. Słowo Fanga – słusznie-uczciwie-pięknie. Statek Ziemi obecnej zdoła odejść.

Nie.

Decyduj. Czas na zastanowienie – trzy ziemskie sekundy.

Skąd znacie kurs statku?

Podpowiedziano nam punkt przejścia. Decyduj. Możemy cię obserwować, oszustwo jest niemożliwe.

Kto wam podpowiedział?

Zbędna informacja.

To warunek kompromisu. Kto podpowiedział punkt przejścia?

Słowo Ziemi?

Słowo.

Obojętni.

Są po waszej stronie?

Są po swojej stronie.

Obojętni. Coś nowego dla mnie-statku, coś, co ja-żywy już wiem. Trzecia siła, zderzająca ze sobą dwie cywilizacje. Nadistoty.

Jakby runęła jakaś bariera. Ja-statek rozumiem, ja-żywy dowiaduję się właśnie. Obserwują nas. Wrażenie ledwie uchwytnie, ale wyraźne. Detektory statku, intuicja człowieka, wszystko wyczuwa obce, czujne spojrzenie. Nie złe – po prostu obce. Obojętne. Takie jak to, które obmacywało mnie-człowieka na Somacie, zanim użyłem pasa laserowego. Głupia próba pokonania nadsiły. Z szablami na czołgi... gdzie tam z szablami – z packami na muchy.

Spojrzenie płynie zewsząd, trudno je zlokalizować. Zresztą nie ma na to czasu. Podejmuję decyzję. Statek i człowiek znajdują kompromis – nie z Fangami, ale między sobą.

Wróg potrzebuje człowieka, zostawi w spokoju statek, na którym człowieka nie ma. Statek nie ma się gdzie ukryć. Człowiek ma hiperkatapultę.

Wiadomość nowa dla mnie-człowieka, normalna dla mnie-statku. Urządzenie nieco bardziej skomplikowane od pierścienia, który człowiek nosi na palcu. Hiperkatapulta jest nakierowana na planetę, na której jest Świątynia. Cel jest zbyt mały i nieoczekiwany, żeby zostać stwierdzony przez statki Fanga. Mogą dowiedzieć się o mojej decyzji tylko od Obojętnych. Ale wtedy każda walka byłaby bez sensu.

Wybór planety do katapultowania – przez generator liczb losowych. Najpierw wyodrębnienie mobilnej części statku, odesłanie jej w przeszłość, znowu na losowy odcinek czasu. Następnie aktywacja katapulty. Ja-statek i ja-człowiek jesteśmy zadowoleni. Nasze świadomości rozłączają się, to nie jest przyjemne. Może się jeszcze spotkamy? Może.

Żegnaj. Daj im popalić.

Żegnaj. Wyrwij się.

Znowu mrok i ból. Na chwilę, gdy moja świadomość oddziela się od rozumu statku, znowu zdobyłem samodzielność. Mignął mostek, twarze Ernada i Lansa, którzy jeszcze nie zdążyli uświadomić sobie, co się stało. Walka z Fangami trwała zaledwie kilkanaście sekund...

Na razie – przypląnęło niczym szelest. Mostek znikł, zanim zdążyłem powiedzieć przyjacielom choć słowo. Teraz mogą uciec, uratować się. Wrażenie bezcielesności, znajome, przypominające aktywizowanie granatu temporalnego. Statek odrzucił mnie w przeszłość. O ile?

Sto czterdzieści siedem godzin czasu ziemskiego. Odcinek jest przypadkowy.

Nie zdziwiła mnie ta odpowiedź. Razem ze mną przez czas wyruszyła część statku Siewców. Wystarczająco rozumna, żeby odpowiadać na pytania i chronić mnie.

Wyjście w kosmos rzeczywisty.

Wokół zapłonęły barwne iskry. Odłamki brylantów na czarnym aksamicie, zamieszkane i pozbawione życia światy, arena przyszłej rzezi. Jatki nie da się uniknąć, teraz jestem o tym przekonany. Wystarczył mi kontakt ze statkami-pilotami Fanga, żeby zrozumieć to, co dla wszystkich było oczywiste – nie zdołamy się porozumieć. Nigdy.

Fotel, w którym nadal siedziałem, był umieszczony w niewielkiej kuli ze świecących prętów. Przez szerokie otwory „klatki” widać było kosmos. Co zasłaniało te śmiertelne dziury – szkło? Plastik?

Pole siłowe. Uwaga, prowadzone jest dostrojenie do losowo wybranego punktu sygnalizacyjnego. Przygotować się do hiperkatapultowania.

Dokąd wyrzuci mnie ten skok w niewiadomą? Dlaczego nie miałbym podać współrzędnych Tara? Ile czasu będę potrzebował, żeby powiadomić Terry, gdzie jestem, dołączyć do chłopców? Po co te komplikacje, przecież uciekliśmy Fangom, uratowaliśmy się...

Zmiany są niecelowe. Katapulta została aktywizowana.

Przez chwilę wydawało mi się, że dziesięć metrów od kulistej „klatki” pojawiło się ogromne, spłaszczone wrzeciono – statek bojowy Fangów. Ale świat znowu zniknął, ciało przeniknęła lekkość. Tunelowe hiperprzejście. Nie za dużo przygód jak na jeden dzień?

Euforia splukiwała świadomość. Harmonia barw – lazur, złoto, szkarłat, akwamaryna... Szalona kakofonia dźwięków, brzmiąca niczym najpiękniejsza melodia. Zawrotna prędkość, tylko cudem nie budząca strachu...

Dziwne – zachowałem odrobinę krytycyzmu, żeby spojrzeć na siebie z boku. Zdumiewające – zachwyty nie zamienił się w abstrakcyjną euforię, pozostał przykuty do rzeczywistości. Oszukałem Fangów. Jestem wolny. Jestem w drodze.

Uchylasz się – doszedł mnie łagodny szept, płynący zewsząd.

– Raczej tracę rozum – zaśmiałem się. – Rozmawiam sam ze sobą. Rozdwojenie osobowości. Byłem człowiekiem-statkiem... stałem się schizofrenikiem...

Jesteś zdrowy – powiedział zatroskany głos. – Ale uchylasz się od drogi. Sprowokowaliśmy atak na Somat... a ty wybaczyłeś nawet to. Niepotrzebnie. Musisz działać, rozmawiać z Fangami. Niewola byłaby świetną okazją. Powstrzymał cię strach.

– Nie boję się – wyszeptałem. Jakże to śmiesznie, że uważają mnie za tchórza!

O siebie – nie. O tych, którzy są ci bliscy – tak. To twoja rola – bronić. Przedtem prawidłowo ustawiałeś priorytety: ojczyzna, przyjaźń, miłość. Teraz się przesunęły. Nie poddałeś się Fangom z powodu Terry.

– Tak. I co z tego? Wybieram to, co jest dla mnie ważniejsze. To moje prawo. Sam stawiam cele i zmieniam priorytety. Gwiżdżę na cudze prawa, tworzę własne. Kim jesteś?

Euforia rozwiała się, ale nadal znajdowałem się w beczelnej lekkości hiperprzejścia. Coś się to wszystko za bardzo przeciąga...

Ingerencja. Wpływ z zewnątrz – głos towarzyszącej mi części statku był cieniem szeptu. Pewnie słyszałem go tylko dlatego, że minutę temu byliśmy jednością.

– Obojętni – powiedziałem niemal spokojnie. – Kim jesteście? Czego chcecie od nas... ode mnie?

Tego, czego nie chcesz ty. Pomożemy ci... usuniemy to, co zbędne.

Głos rozplynął się, pozostał tylko bezkresny błękit, wirujący, zwracający się do mnie krawędzią. Nie płaszczyzna – raczej taśma, wstęga... klinga. Ostrze gigantycznego miecza, na który spadałem, już czując wagę własnego ciała, już zaczynając wierzyć w nieprawdopodobną realność wydarzeń. Lazurowa pustka i szara nić wycelowanego we mnie ostrza. I nawet białe rozbłyski na nim, jak na zwykłym mieczu płaszczyznowym... dotknąłem ostrza i świat wokół mnie znikł.

7. Dar wroga

Kula-klatka zmieniła się w lekkie metalowe rurki, które przysypały mnie jak połamane gałęzie. Fotel – w poduszkę nieokreślonego koloru. Wydostałem się spod odłamków hiperkatapulty metal rurek przy dotknięciu rozsypywał się w drobny, kłujący pył i rozejrzałem się.

Blade, błękitne, a może zielonkawe niebo. Mała, oślepiająco jasna gwiazda – miejscowe słońce. Kamienista równina z łańcuchem górskim na horyzoncie. Ani śladu człowieka.

Powietrze było dość chłodne, oddychało się łatwo. Odległe zapachy nie pozostawiały wątpliwości co do rosnących gdzieś niedaleko roślin. Po mieszkaniu na Somacie z łatwością wyczuwam ten nieuchwytny zapach życia.

Daremnie grzebiąc w odłamkach – żadnego zestawu awaryjnego nie było – zapytałem:

– Coś tu jeszcze działa? Odpowiadaj!

Ale nie było już komu – a raczej czemu – odpowiadać. Kopnąłem bezużyteczny chłam katapulty. Siewcy... żeby ich... Nawet statku wojskowego nie umieją wyposażyć jak należy.

Gdzie ja jestem, do cholery?!

Planeta najwyraźniej nadawała się do życia. Możliwe, że nawet była zaludniona. To tylko ja miałem pecha, lądując na pustyni. Na Tarze, gdy przybyłem księżniczce z pomocą, też tak było.

Sprawdziłem laserowy pistolet i miecz atomowy, siłowe i medyczne układy kombinezonu. Wszystko działało. To najważniejsze.

Najważniejsze...

Coś było nie tak. Wyczuwałem fałsz. Nie w otoczeniu, w sobie samym. Ale przecież ze mną wszystko było w porządku.

Nazywam się Siergiej. Jestem imperatorem z planety Tar. Mamy XXII wiek. Mój statek zaatakowali Fangowie, musiałem uciekać. Moi poddani, Ernado i Lans, zostali na statku. Muszę dostać się na planetę Ar-Na-Tin, żeby walczyć z Fangami. Żyję, jestem cały i zdrowy, mogę walczyć z wrogiem. Jestem zadowolony ze swojego losu.

Ale coś jest nie tak.

Przykucnąłem i ukryłem twarz w dłoniach. Palce były zimne i sztywne. Jak u trupa... bzdura! Jestem cały i zdrowy. Wszystko w porządku.

Powtarzałem to jak zaklęcie. Ale magia słów nie działała na mówiącego.

– Wszystko w porządku – szeptałem, przekonując samego siebie. Ale wierzyć można tylko temu, kto cię nie zdradził.

A ja zdradziłem.

Siebie? Bzdura, gra słów... Terry? Nadal ją kocham. A swoich poddanych? Ernada, Lansa? Ale przecież uciekłem ze statku, odciągając od nich niebezpieczeństwo. Nie jestem zdrajcą. Nie

ma powodu się denerwować.

No i właśnie się nie denerwuje.

– Słyszycie?! – krzyknąłem. – Ze mną wszystko w porządku!

Do kogo ja krzyczę? Do kamieni, do kawałków hiperkatapulty?

Do nieba?

Powietrze drgnęło i w oczy uderzyło mnie fioletowe lśnienie. Pękło niebo – przez akwamarynę chlusnęła ciemność i szybko znikła, pozostawiając w powietrzu, sto metrów nade mną, spłaszczoną sylwetkę statku bojowego Fangów. Wyjście z hiperprzestrzeni tak blisko powierzchni planety może być bardzo niebezpieczne. Stosuje się je wyjątkowo, aby przedrzeć się obok stacji obrony planetarnej. Chyba planeta, na której się znalazłem, jest niezłe wyposażona...

Myśli przelatywały przez głowę, a ja już dawałem nura w małe wyżłobienie. Pewnie, że to żadna kryjówka, ale stanie na widoku byłoby jeszcze głupsze. Przekłęci Fangowie! Jednak mnie wysłedzili...

Statek zniżał się tak szybko, jakby jego jedynym celem było rozbicie się o skały. A może czujniki już mnie zauważyły?

Wyrwałem pistolet z kabury i przesunąłem regulator. Jakby promień lasera mógł przebić pancerz statku... Nacisnąłem spust, biała igła wpiła się w spadający statek.

Statek bojowy Fangów zapłonął niczym kartka papieru przysunięta do lutownicy. Strzępy poszycia spadały w dół, czerniejąc i skręcając się niczym kawałki sadzy.

Popatrzyłem na pistolet, nie rozumiejąc, co się stało. Owszem, mógłbym nim spalić współczesny ziemski czołg... to *znaczy*, czołg XX wieku. Ale nie gwiazdolit!

Ze statku zaczęły wypadać „wnętrznosci”. Syczały niebieskie płomienie, trzaskały ładunki elektryczne. Od powierzchni planety statek dzieliło najwyżej dwadzieścia metrów, gdy zrozumiałem, co się stało.

Z góry, z czystego zielonoblękitnego nieba w statek wbiły się igły pomarańczowego światła. Patrole orbitalne zarejestrowały jednostkę i zniszczyły ją w ciągu kilku sekund. Co to za planeta?!

Z rozpadających się mechanizmów statku wypłynęła mglista kula. Odsunęła się od ginącego kadłuba i miękko opadła na kamienistą równinę.

Statku już nie było, tylko lecący w dół ciemny obłok pyłu. Na rękawie mojego kombinezonu zapulsowało czerwone alarmowe światelko wskaźnika radiacji – w zniszczonym gwiazdolicie były źródła promieniowania jonowego.

Pobiegłem do miejsca, w którym wylądowała kulą czując, jak na włosy sypie się miękki pył. Wyciągnąłem kaptur z kołnierza, nasunąłem na głowę. Zadziałał kompresor, owiewając twarz przefiltrowanym powietrzem, zdmuchując z twarzy śmiercionośne drobinki.

Mglista kula rozpyłyła się, odsłaniając postać w środku. Białe strzępy poszycia z szelestem

znikały, zmieniając się w gaz lub energię. Powietrze wyraźnie się ociepliło.

– Wstawaj, Fangu – powiedziałem ze złością. – Już się nawojowałeś.

Cień poruszył się, krusząc resztki mgielnej skorupy. Usłyszałem głos Fanga.

– Nazywam się Nes, Ziemianinie.

Fang był piękny. To była moja pierwsza myśl. Obserwowałem go z mimowolną wzgardliwą ciekawością. Nigdy nie widziałem nie ludzi. Palijczycy czy mieszkańcy planety Kleń mimo wszystko byli ludźmi.

A Fang był piękny. Krótka, gęsta sierść przypominała plusz, wywołując wrażenie miękkości i bezbronności. Na bursztynowej twarzy oczy ciemnożółte, w kolorze gryczanego miodu – nie wypukłe, po prostu duże. Pokręciłem głową, odpychając skojarzenia i wycelowałem w pierś Fanga lufę pistoletu.

– Nie interesuje mnie twoje imię, Fangu – to słowo zabrzmiało jak przekleństwo. – Odczep miecz. I nie próbuj stawiać oporu, mam w ręku potężną broń.

Nes patrzył na mnie uważnie ludzkim, badawczym spojrzeniem. Był ubrany w kombinezon podobny do mojego – nic dziwnego, jednakowe zadania bardzo często generują identyczne rozwiązania. Ciemnopurpurowa tkanina, wybruszona od ukrytych pod nią przyrządów, połyskiwała oleście.

– Nazywam się Nes. Zapamiętaj to – powtórzył Fang. Jego standardowy był bez zarzutu. – Mimo że masz w rękach potężną broń, wojskowy blaster z na wpół wyładowanym magazynkiem.

Zerknąłem na wskaźnik ładunku, był w połowie pusty. Fang o imieniu Nes miał dobry wzrok.

– Rzuć broń, Fangu – powtórzyłem. – Na ciebie wystarczy nawet tej połówki.

Fang nie spierał się. Odczepił od pasa pochwę z mieczem płaszczyznowym i umocowaną na łydce kaburę z pistoletem.

– Posłuchałem – powiedział. Wydawał się uosobieniem pokory.

– Zdejmij kombinezon – poleciłem.

– To sprzeczne z moimi normami etycznymi – rzekł Nes spokojnie.

– Nie szkodzi. Nagi Fang w moich oczach nie jest bardziej nieprzyzwoity od siedzącego w klatce szakala. Zdejmuj kombinezon, to też broń.

Nes ściągnął kombinezon. Obserwowałem go, gotów w każdej chwili nacisnąć spust blastera.

Fang nie próbował żadnych sztuczek. Zdjął wszystko i został w czymś w rodzaju satynowych kąpielówek. Uśmiechnąłem się.

– Doskonale, Fangu. Czy wiesz, gdzie się znajdujemy?

Po chwili milczenia Fang powiedział uprzejmie:

– Wiem bardzo dużo, Siergieju z planety Ziemia, przybyszu z przeszłości, imperatorze

planety Tar. Wrogu Obojętnych.

– Co o nich wiesz? – spytałem ostro. – Gdzie jesteście? Jak mnie wysłedziliście?

– Tak, jesteś Siergiej z planety Ziemia – powtórzył Nes. – Najpierw ciekawość, potem bezpieczeństwo. Ale jesteś inny, coś się z tobą stało...

– Gdzie jesteście?

– Informacja w zamian za wolność.

– W zamian za życie – rzuciłem ze złością. – Jasne?

– Życie to głupstwo. Potrzebuję wolności.

Przez sekundę walczyłem z pragnieniem przecięcia go promieniem na pół. Ale...

– Powiesz wszystko. Gdzie jesteście, jak mnie wysłedziłeś, kim są Obojętni.

– W zamian za wolność.

Stał przede mną – dziwna, na wpół ludzka postać. Pies z twarzą człowieka. Hybryda człowieka i zwierzęcia. Urokliwe połączenie elfa i wilkołaka. Fang. Sympatyczny wróg.

Oszukam go...

– Przyrzekam na planetę Tar.

Milczał.

– Klnę się na Tar, na Ziemię, na moją żonę Terry. Otrzymasz wolność.

– Kłamiesz – odpowiedział Nes. – I to się odbije na twoim losie. Ale powiem. Gwiazda, która wisi nad tą planetą, zwana jest Diabelską Gwiazdą.

– Kleń? Nie wierzę, Fangu. Dla zwykłego człowieka jej promieniowanie...

– Popatrz na swoje ręce, człowieku.

Spojrzałem. Skóra była czerwona i swędząca. Poparzenie, zwykłe poparzenie... Chwała Siewcom, że mam kaptur... Wyciągnąłem z mankietów czarne rękawiczki, włożyłem je, nadal trzymając Fanga na muszce.

– Mów dalej.

Po krótkiej przerwie – jakby szukając właściwych słów, chociaż standardowy raczej nie sprawiał mu problemów – Nes ciągnął:

– Nie wysłedziłem cię, Siergiej. Twój kurs podali mi Obojętni.

– Kim są Obojętni?

Nes uśmiechnął się. Bez wątpienia naśladował ludzki uśmiech, ale robił to bardzo dobrze.

– Wszyscy coś wiedzą, nikt nie wie wszystkiego. Interesuje cię moje zdanie?

– Tak. – Nacisnąłem sensor, włączając tryb medyczny kombinezonu: skóra na rękach i twarzy nieznośnie swędziała.

– Obojętni to rasa, która osiągnęła granicę. To cywilizacja przyszłości, stojąca poza czasem i przestrzenią. To potomkowie Fangów.

– Nie – powiedziałem. – Nie, Fangu. Kłamiesz.

Nes mówił niczym w transie.

– Obojętni nie mają stałego ciała i go nie potrzebują. Są przede wszystkim obserwatorami. Nie niepokoi ich to, co dzieje się w naszym świecie, dla nich to przeszłość, która już się dokonała.

Tak jak dla Siewców w XX wieku, mignęła nieproszona myśl. On nie kłamie.

– Dla Obojętnych nie ma tajemnic. Czerpią informacje bezpośrednio z continuum. Nie ma dla nich przeszkód, bo korzystają z całej energii wszechświata. To prawdziwi bogowie.

– Straszysz mnie, Fangu – wyszczałem. – Ty śmierzający draniu...

Nes znowu się uśmiechnął i zapytał spokojnie:

– Czy mój zapach ci przeszkadza? Zmieniliśmy chemiczny skład sierści, osiągając zapach, który byłby przyjemny dla ludzi.

– Po cholere?

– Żeby było wam milej kontaktować się z nami.

Poczułem, jak kręci mi się w głowie. Mój prawie nagi jeniec zachowywał się tak, jakby był panem sytuacji.

– Dlaczego walcycie? Dlaczego jesteście tacy okrutni? Chcieliśmy zawrzeć z wami pokój!

Fang spoważniał. Sierść na jego twarzy stanęła dęba. Bładożółte tęczówki oczu pociemniały. W słabym świetle słońca nie umiałem dostrzec wyrazu jego twarzy, zresztą raczej nie pomogłoby mi to pojąć emocji Fanga.

– Ziemianinie Siergieju, który przybyłeś z przeszłości, odpowiem ci częściowo. Tylko dlatego, że przybyłeś z minionych wieków. Tylko dlatego, że masz dla historii dużo większe znaczenie, niż myślisz. Obojętni wtrącili się do twojego losu. Nigdy tego nie robią... a wyjątki od reguł zawsze są cenne.

Zamilkł – zbyt gwałtownie. Blaster płaśał w moich rękach z gracją pijanego marynarza. Fangu Nes, łajdaku... kłamiesz. Usypiasz moją czujność, ale ja się nie poddam. Jestem gotów cię zabić. Kłamiesz. Nie macie tak potężnych sprzymierzeńców. Kłamiesz.

Skłamię i ja.

– Siergiej, słuchaj i zapamiętaj. Chcieliśmy być normalni jak wszyscy Fangowie minionych stuleci. Poznaliśmy was i nie zostawiliście nam wyboru. Wy mieliście rację... zawsze. My się myliliśmy. Pozostała nam tylko jedna droga: zniszczyć ludzi albo zginąć. Weszliśmy na tę drogę. Idziemy tak, jak każe nam nasza natura, ludzi i Fangów. Zachwycamy się wami. Fangowie robią to, co jest piękne dla ludzi. Ludzie odkryli Fangom nową prawdę.

– O czym ty mówisz? – stropiłem się. – Co ty pleciesz? Robicie to, co podoba się ludziom?

– Tak – potwierdził spokojnie Fang.

– Oszalałeś! To, co robicie, jest ohydne! Jesteście okrutni i podli! Ludzie nienawidzą was!

Fang milczał dłużej niż zwykle. Potem powiedział bardzo cicho:

– Słowa mogą kłamać. Słowa mogą być ohydne. Myśl jest prawdziwa. Myśl jest piękna...
Siergiej, powiedziałem to samo różnymi słowami. Żebyś zrozumiał. Teraz żądam wolności, i to jest słuszne. Wrócę na Fang, bo mam to, co ludzie nazywają hiperkatapultą...

– Idź do diabła! – krzyknąłem i nacisnąłem spust.

Promień lasera przebił powietrze tam, gdzie dopiero co stał Nes. Fang uskoczył – nieprawdopodobnie szybko. Chwilę później wybił mi pistolet z ręki, a ja znalazłem się pod ciężkim ciałem, pachnącym imbirem – a może cynamonem? Tak, zapach Fanga jest przyjemny dla człowieka.

– Czy wszystko było uczciwie, Siergiej? – zapytał Fang. Moje obie dłonie bez wysiłku przyciskał do ziemi jedną ręką. Ogromną, pięciopalczą, włochatą... nawet ziemskie małpy nie mają sierści na łapach.

– Nie. Byłem nieuczciwy – wyszeptalem, daremnie próbując się uwolnić. – I wcale tego nie żałuję, Fangu. To... to było słuszne. Moje kłamstwo było konieczne.

– Twoje słowa są absurdalne – powiedział cicho Nes. – Tego nie można sobie wyobrazić. Czarne nie jest białe, prawda?

– Prawda – zgodziłem się. – Szkoda, że cię nie zabiłem. To byłoby piękne. Chociaż podle.

Nes puścił mnie i odskoczył do tyłu. Oślepiające światło Diabelskiej Gwiazdy raziło oczy. Malutki punkt na niebie prawie nie grzał i nie rozpraszał półmroku. Ale patrzenie na niego sprawiało ból.

Sięgnąłem do miecza. Ha! Atomowego miecza nie było – Nes zerwał go, gdy powalił mnie na ziemię.

– Jesteś dziwny, Siergiej. – Był spokojny, tylko ogromne oczy błyszczały niezdrowym blaskiem. – Nic dziwnego, że Obojętni odstąpili od swoich praw. Ty możesz zmienić bieg historii, prawda?

Nie wiem. – Podniosłem się na łokciach, osłaniając oczy przed śmiercionośnym światłem Diabelskiej Gwiazdy i nie próbując już rzucić się na Fanga. To bez sensu, Fangowie są znacznie silniejsi od ludzi. Odczułem jego siłę w całej pełni. W walce wręcz nie da się wygrać z Fangiem. A gdyby kombinezon był włączony na wzmocnienie mięśni? Żywe tkanki nie poradzą sobie z pseudomuskułami...

– Zapewne możesz. – Fang siedział przed mną w kucki, niczym zamyślony pies. – Dziwne. Obojętni nie mogą całkowicie zrezygnować ze swoich reguł. Nie mogą zabić cię sami, chociaż to byłoby najprostsze. Muszą prosić o to nas... Nie myślą się. My rozumiemy ich racje. Ale...

Moja ręka zamarła w pół drogi do sensora wzmocnienia mięśni. Jeśli Fang zrozumie, co robię, zabije mnie gołymi rękami. Z jego refleksem...

– Ale powiedziałeś coś dziwnego, Siergiej. I chyba w to wierzysz. Zostawię cię przy życiu i odejdę.

Dotknąłem sensora i poczułem, jak tkanina kombinezonu opina moje ciało. Tryb wzmocnienia działał.

– Nigdzie nie odejdziesz, Fangu!

Skoczyłem do niego. Nogi wyprostowały się same, napięte twardym jak stal kombinezonem, gdy tylko pomyślałem o skoku. Ręce rwały się do gardła Nesa, gdy tylko wyobraziłem sobie chwyt. Fang uderzył mnie w pierś – mocno, szybko, ale mój kombinezon pod jego pięścią stwardniał, powstrzymał cios.

Przez kilka chwil Nes próbował się uwolnić, potem uspokoił się, ze świstem wciągając powietrze.

– Nadal wybierasz się do domu, Fangu?

Jego powieki lekko drgnęły – być może miało to oznaczać „tak”. Zwolniłem chwyt, ale nie zabrałem palców z gardła wroga. Nes zrobił kilka głębokich wdechów.

– Tak. Chciałbym wrócić na Fang, nawet martwy... Jeśli mnie zabijesz, aktywizuj katapultę, to nie jest trudne. Może ciało...

– Do Fanga nie dotrzesz – przerwałem mu. – Zapomniałeś o hiperbarierze? Twój trup będzie wiecznie wędrował w kosmosie.

– Zabiorą go. Ludzie albo Fangowie. Szansę są niemal równe.

Patrzył z absolutnym spokojem i to mnie złościło. Fang jest skazany, zabiję go, żeby nie wiem co... Ale tam, w przeszłości, setki lat temu, w przeklętych górach przeklętej wojny, nam też nie było wszystko jedno, na czyjej ziemi pozostaną nasze ciała...

– Nes... – po raz pierwszy nazwałem go po imieniu. – Powiedz mi, kim chciałeś zostać, jak byłeś dzieckiem?

– Co? – zdumiał się Fang.

– Kim chciałeś zostać? – powtórzyłem. – Jesteście dwupłciowymi ssakami... tak bardzo podobnymi do ludzi. Nawet długość życia, nawet tempo starzenia jest porównywalne. Oddychamy jednakowym powietrzem i jemy podobne pożywienie. Możliwe, że to właśnie czyni nas wrogami. Ale przecież nasza psychika jest podobna, nie zaprzeczaj! Kim chciałeś zostać?

– Myślisz, że kluczem do wszystkiego jest dzieciństwo – stwierdził Fang. – I u ludzi, i u nas... Może masz rację. Chciałem zostać grawerem.

– Kim? – Teraz z kolei ja się zdziwiłem.

– Widziałeś nasze domy?

– Tak. – Próbowałem przypomnieć sobie nagranie wideo. – Wieże, bardzo smukłe i wysokie. Pokazywano je przelotnie.

– Słusznie. Są zbyt piękne... tylko dekoncentrowałyby żołnierzy. My też staramy się nie patrzeć na wasze obrazy i miasta... staramy się.

Uśmiechnąłem się ironicznie. Ale Nes nie zauważył mojego uśmiechu.

– Mój brat... tak, to najlepsze określenie... stworzył program dla rakiet, które zniszczyłyby Ermitaż, Luwr, katedrę w Barcelonie, Watykan, Mekkę, galerię Prado...

Fang ze szlochem wciągnął powietrze. Puściłem go, usiadłem z boku. Coś się działo. Coś nieprawdopodobnego.

– Stworzył program i skończył ze sobą. Konflikt prawd. Rozumiesz?

– Chyba tak... Dlaczego walczyacie?

– Mówiłem o grawerze. – Nes chyba doszedł do siebie. – Wybacz, wrogu, to była dygresja. Jesteś dobrym wrogiem, umiesz walczyć, umiesz mówić i słuchać. Mogę nazywać cię księciem? To bardziej odpowiedni tytuł.

Skinałem głową. Może byłem bliżej rozwiązania zagadki niż którykolwiek z ludzi. Fang mi tłumaczył! Nic dziwnego, że Obojętni się denerwowali.

– Książę, każdy Fang, gdy dorośnie, dostaje dom. Najpierw jest to mały domek, parterowy, potem buduje się go coraz wyżej. Niektórzy mają domy dwu – albo trzypiętrowe. Inni dwunastopiętrowe, a nawet wyższe pałace. Na zewnętrznych ścianach ryje się spiralny wzór. Rozumiesz? Od dnia narodzin aż do śmierci. Wzór niesie słowa, niesie pamięć. Rozumiesz, książę? Całe życie, od narodzin do śmierci, na ścianach domów. Całe życie na oczach obcych. Dowolny

czyn, dobry czy zły, na widoku. To, co było ważne, znaczące, piękne, bardzo piękne – widzą wszyscy. Ideał to równa linia biegnąca z dołu do góry. Tak się nie zdarza. Twoja wieża, twój dom, mogą być wysokie i brzydkie albo niskie i piękne. Bardzo rzadko, co jest bardzo chwalebne, zdarzają się wysokie z prawidłowym wzorem. Wzór robi grawer. Musi mieć dokładne ruchy, zręczne palce, dobrą pamięć dla tysięcy wzorów... Być grawerem to nie praca, lecz dar. Ja go miałem. Ale okazało się, że jestem lepszym żołnierzem niż grawerem. Świetny refleks, siła, umiejętność przystosowania się. Dobrze rozumiem obcych, zwłaszcza ludzi. Bardzo podobają mi się obrazy Ziemi... *Atomowy krzyż*. Widziałeś?

Odruchowo skinałem głową. Muzyka jego słów hipnotyzowała.

– Co to był za malarz... *Atomowy krzyż*, *Ukrzyżowanie*, *Bitwa Tetuanu*, *Oko czasu*, *Madonna Port Ligate*... On był wszystkim, człowiekiem i Fangiem.

– Dali – wyszeptalem. Nie lubię surrealistów. Nienawidzę Malewicza. Ale sztuka Dalego to coś wyjątkowego, szalonego, coś, co przerosło rozum.

– Chciałem być grawerem – powtórzył Fang – ale zostałem żołnierzem. Udowodniliście nam coś. Mielicie słuszość. Wasza prawda jest nieśmiertelna. Odpowiedziałem na twoje pytania, wrogu Siergieju. Zabij mnie, przegrałem.

– Wyjaśniaj dalej – powiedziałem, nie wiedząc, że teraz już błagam. – Nie zrozumiałem cię, Fangu! Powiedz, na czym polega nasze nieszczęście! Nie chcę, żebyśmy się zabijali!

– Nie mogę nic wyjaśnić – powiedział cicho Nes. – Wiedza, która jest ofiarowana, przemienia się w kłamstwo. Twój potomkowie oduczyli się rozumieć. Domyśl się. Zrozum.

– Nie umiem – odparłem. – Jestem tylko człowiekiem... Wyjaśnij.

– Domyśl się. – Nes zamknął oczy. – Zabij mnie, człowieku. Jeśli Obojętni mają rację, a nie może być inaczej, zwyciężysz. I Fangowie wygrają.

– Odejdź.

Nes zamilkł.

Bierz katapultę i spadaj. Dopóki ci pozwalam. No, jazda! Fang podszedł do miejsca, w którym rozpadła się jego kapsuła ratunkowa. Pogrzebał wśród białych płytek, które topniały jak suchy lód w gorący dzień. Wyjął cienki srebrzysty sznur, potrząsnął... Sznur stwardniał, zmienił się w obręcz. Powietrze w środku obręczy zmętniało, jakby zaciągnięte matowym szkłem.

– Wyrzuci cię w próżnię w połowie drogi – przypomniałem.

Nes zaczął naciągać kombinezon.

– Dlaczego złamałeś swoje słowo i próbowałeś mnie zabić? Dlaczego teraz mnie wypuszczasz?

– Jesteś wrogiem. Wy też nie dotrzymujecie obietnic. Podniosłem pistolet i miecz. Wpatrzony w ubierającego się Nesa ciągnąłem:

– A wypuszczam cię na przekór Obojętnym.

– Nienawiść. Zło czyni dobro... – Fang trzymał obręcz w uniesionych nad głową rękach. Wokół jego głowy tworzył się obłoczek mgły, hełm siłowy. – Już zrozumiałem, co się w tobie zmieniło, Siergiej. Pozbawiono cię miłości.

– Co takiego?

– Twoja psychika jest okaleczona. Została w niej tylko nienawiść. Wcześniej tego nie było, studiowałem twoje profile psychiczne. Teraz są niepełne. Nie wiem, kto mógłby to zrobić... Może Obojętni. Ale oni nie zniżają się do bezpośredniej ingerencji, istnieją w naszym świecie w sposób pasywny... – Zamilkł. Po chwili odezwał się znowu, a jego głos brzmiał głucho i prawie niezrozumiale: – Książę, Obojętni zdolni są do działania poza czasem. W hiperprzestrzeni. Przypomnij sobie...

Rozłożył ręce – obręcz przesunęła się w dół, wzdłuż jego ciała – i nagle tam, gdzie stał Fang, była już tylko rzednąca mgła.

– Mądrała – powiedziałem cicho. – Pozer. Żeby tak cię znalazły nasze patrole i też pozbawiły miłości... poza czasem.

Zamilkłem. Patrząc na strzępy mgły hiperprzejęcia, przypomniałem sobie swój skok na Kleń. I migotliwe ostrze, na które spadałem. Żałowana próba zobaczenia czegoś niewyobrażalnego.

„Pomożemy ci... Zabierzemy to, co zbędne”.

8. Dar przyjaciela

Diabelskiej Gwiazdy nie sposób było teraz odróżnić od innych gwiazd na nieboskłonie Klena. Ciepła też nie dawała zbyt dużo. Powietrze stygło szybko, jak herbata z termosu nocą w górach...

Dziwne. Zabieg wykonany przez Obojętnych miał zabawny efekt uboczny – poprawa pamięci. Wróciło to, czego nie pamiętałem już od wielu lat. Zabawne dziecinne walki, bójki na ulicach nocnej Alma Aty, ponure koszary uczelni, Kaukaz, Mołdawia, transportery opancerzone z pospiesznie namalowanymi napisami Pokojowe siły WNP...

Przypominałem sobie XX wiek. Idąc po kamienistej, pokrytej szronem równinie, myślałem o swojej młodości. Śmieszne, zawsze uważałem się za młodego, aż do dzisiejszego dnia. Teraz zrozumiałem, że się postarzałem.

Młodość odeszła razem z miłością.

Obojętni pomogli mi dorosnąć – albo zestarzeć się, co w sumie na jedno wychodzi. Człowiek ma tylko dwa stany: młodość i starość. Jak w tych chemicznych związkach, które bezpośrednio ze stanu stałego przechodzą w gazowy, omijając ciekły.

Czasem pasuje tylko głupie porównanie.

Gdy zimno stało się nie do zniesienia, włączyłem termoregulator kombinezonu. Nie wiadomo, na jak długo wystarczy baterii ani jak długo tu będę. A nie miałem zamiaru użyć pierścienia, żeby wrócić na Tar.

Tunelowe hiperprzejście to podróż poza czasem. W świecie Obojętnych. W ten sposób mieliby kolejną sposobność pomocy. Lepiej umrzeć, niż pozwolić wszechpotężnym nieludziom grzebać w mojej świadomości, przerabiać mój umysł.

Żeby wrócić do domu, potrzebuję statku. Hipergwiazdolot wychodzi z rzeczywistego świata w pięciowymiarową przestrzeń, ale nie przecina granicy czasu. Jestem chroniony przed troską Obojętnych. Ale co mnie chroni?

Może ich wszechpotęga i wszechwiedza? Obojętni nie przejawiają aktywności w naszym świecie, bo dla nich to nie ma sensu. Wszystko już się wydarzyło i ingerowanie w bieg wydarzeń to to samo co rozgrywanie na nowo dawno wygranej partii szachów. Ale w ich świecie, w świecie bez czasu i przestrzeni, jeszcze nic nie jest jasne. Wydarzenia jeszcze się nie wydarzyły, gra nie jest skończona. Trudno powstrzymać się przed pokusą zrobienia swojego ruchu.

Czy to znaczy, że jeszcze mogę zwyciężyć?

Czułem, że wpasowuję nieznaną logikę nieznanych istot w ramy ludzkich pojęć i nadziei. Że

moje rozmyślania są naiwne i fałszywe.

Ale gdyby nie to, nie miałbym już sił, by walczyć.

...Na pokryte skorupą lodu, skamieniałe drzewa natknąłem się, gdy nie można już było wypatrzeć drogi. Zresztą dokąd ja właściwie idę? Ciemność i spadające powoli płatki śniegu zmieniały nocną wędrówkę w koszmary sen. Nawet nie od razu zrozumiałem, że zdumiewająco równe, cylindryczne kamienie, przez które przechodzę, to leżące pnie. Potem walczyłem z zamrożonym zapięciem kabury, wyciągając pistolet laserowy. Palce ledwie się zginały, kombinezon nie jest przystosowany do minus czterdziestu stopni Celsjusza.

Pocięte promieniem lasera bierwiona ściągnąłem na jedną stertę. Następnie, z nostalgią wspominając, jak rozpałałem ognisko nad Bajkałem, zacząłem rozgrzewać je blasterem. Najpierw buchała para. Po pięciu minutach pojawił się ogień.

Usiadłem, zdjąłem rękawiczki, wyciągnąłem ręce do ognia, wyłączyłem termoregulację kombinezonu. Ognisko mnie rozgrzeje... dopóki tlen wokół nie zacznie zmieniać się w lód. Ciekawe, czy do tego dojdzie. O ile pamiętałem, powietrze na Klenie zamarza nie wszędzie, tylko w szerokościach północnych.

Gdybym tylko wiedział, gdzie jestem, na równiku czy na biegunie...

Mróz tężał. Zrobiło się kompletnie ciemno, gwiazdy nieco przygasły. W swoim ruchu po orbicie planeta Kleń weszła w obłok pyłu. Przyglądając się uważnie niebu, można dojrzeć malutkie drobinki mikrometeorytów płonących w atmosferze. To właśnie obłokowi pyłu, ekranującemu planetę od Diabelskiej Gwiazdy, Kleń zawdzięczał dzikie skoki temperatur.

Zaśmiecona orbita, wyciągnięta gigantyczną elipsą od Diabelskiej Gwiazdy aż do jej niewidocznego satelity, Ciemnej Gwiazdy. Obląkana różnorodność flory i fauny w rzadkich oazach wśród niekończących się pustyń. Planeta wojowników. Kleń. Gdyby jej nie było, należałoby ją wymyślić. Możliwe, że Siewcy tak właśnie postąpili. Przygotowali sobie doskonałą armię do walki z Fangami.

Ale ta armia przegra – w przeciwnym razie Fangowie nie mieliby potomków. Obojętnych.

Od ogniska buchał żar, wyciągnięte w stronę ognia ręce i nogi z trudem go wytrzymywały, z tyłu czułem oddech lodowych pustyń Klenu. Gdybym nie miał kombinezonu, który równomiernie rozkładał ciepło, przemieniłbym się w zwęglony z jednej strony sople lodu. Kleń to planeta śmierci.

Popatrzyłem w górę, ponad bladym płomieniem ogniska. Powietrze było krystalicznie czyste, cała wilgoć już dawno zamarzła i spadła w postaci śniegu. Na niebie, lśniącem tysiącami maleńkich meteorytów, płonął jaskrawy punkt – osłonięta polem siłowym stacja bojowa, jedna z tych, które zniszczyły statek Nesa. Dla jej detektorów odnalezienie człowieka na równinie to drobniak. Na pewno byłem obserwowany od momentu pojawienia się na planecie, ale obserwatorzy nie spieszyli z pomocą.

Ja też nie pchałem się, by o nią prosić. Chwała Siewcom, kontakt z Klenem pomógł mi zrozumieć jego naród. Nieproszonego gościa, który błaga o pomoc, Klenijczycy mogliby zabić bez zastanowienia. Samotnik, próbujący przeżyć na ich planecie, musiał zbudzić ciekawość.

Dlatego, gdy na czarnym niebie pojawiła się szybko mknąca sylwetka, nie zdziwiłem się.

Z roztargnieniem obserwując przybliżający się flajer, próbowałem przywołać w pamięci Aler-Ila. Jego słowa i intonację, wygląd zewnętrzny i mimikę. Był moim przyjacielem i o tym pamiętałem. Ale nie pamiętałem, co znaczy przyjaźń.

Obojętni pozbawili mnie wszystkiego – i miłości, i przyjaźni.

Flajer wylądował dziesięć metrów ode mnie. Jeśli dobrze się orientowałem, był to standardowy model – tyle że na krótkich skrzydłach garbiły się dodatkowe silniki. W atmosferze Klena latanie nie jest łatwe.

Nadal grzejąc dłonie nad ogniskiem, patrzyłem na przezroczystą kabinę flajera. W słabym świetle przyrządów widać było zastygłą w fotelu postać. Kopnąłem kolejne polano, posyłając je w ogień. Odczepiłem od pasa manierkę – jej zawartość zamarzała bez wątpienia – i postawiłem przy ognisku.

Pokrywa kabiny uniosła się płynnie. Przez chwilę pilot flajera siedział, po czym nieuchwytnie szybkim ruchem wyskoczył na zewnątrz.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy, to że Klenijczyk wcale nie był ciepło ubrany. Krótkie luźne spodnie, lekki sweter... Tylko na nogach miał zimowe obuwie. Przypomniałem sobie, że gdy na Klenijczyka kapie ciekły azot, skóra okrywa się czarną błoną termoizolacyjną. Produkt zmutowanych gruczołów potnych.

Ale Klenijczyk, który siedział naprzeciwko mnie przy ognisku, miał jasną skórę. Na razie...

– Jesteś chłopcem czy dziewczyną? – zapytałem.

Przybysz wyglądał jak nastolatek. Przez chwilę milczał.

– Dziewczyną.

Uśmiechnąłem się krzywo i sięgnąłem po manierkę, w której już chlupotała woda. Zerknąłem na siedzącą przy ognisku dziewczynę – całkiem zwyczajną, z krótko obciętymi włosami, jeszcze płaską jak chłopak – dziewczynę z planety Kleń.

– Wysłali ciebie, bo uznano mnie za całkowicie bezradnego? Dziewczyna pokręciła głową. Starannie dobierając słowa – pewnie niezbyt często zdarzało jej się używać standardowego – wyjaśniła:

– Wysłano mnie, ponieważ nasze szansę przżycia pojedynku są równe. To oznaka szacunku, dobrze zachowywałeś się na Klenie.

– Rozumiem – odparłem poważnie. – Jak mam cię nazywać?

– Kleń.

– „No tak, przecież jestem potencjalnym wrogiem. Słuchaj, Kleń, chciałbym znaleźć Dom

Aler. Oddaję im swoją krew.

W twarzy dziewczyny coś się zmieniło. Nawet jeśli rodzina Aler-Ila była wrogiem jej domu, ona teraz i tak musi dostarczyć mnie do starszego Aler. Zdałem się na łaskę jednego z rodów Klena, a przypadkowy człowiek nie zna imienia rodziny.

– Jesteś na ziemi Domu Aler.

– W takim razie pomóż mi... – urwałem. Skoro jestem na ziemi Aler, to znaczy, że wita mnie członek rodziny. W milczeniu zdjąłem pochwę i kaburę, pochyliłem się nad ogniem i podałem dziewczynie broń. Języki płomienia liznęły materiał kombinezону.

Przez minutę dziewczyna nie ruszała się, jakby czekając, aż cofnę rękę. Potem wzięła broń. Ogień musnął rękawy jej swetra i radośnie skoczył na ręce. Zapachniało spaloną wełną.

– Po co jesteś potrzebny domowi Aler? – zapytała.

– Mam dług, który liczy sobie sto pięćdziesiąt lat. Znam ostatek minuty Aler-Ila.

– Kim jesteś? – Rękawy swetra spłonęły już do połowy, zwisały dymiące nitki. Płomień bezsilnie kąsał dziewczynę w ręce.

– Lord z planety Ziemia, Siergiej, kapitan „Terry”, która uratowała Aler-Ila w kosmosie.

– Jeśli kłamiesz...

– Moja śmierć będzie straszna. Wiem, dziewczynko. Jestem Siergiej z Ziemi.

– Sprawdź – powiedziała dziewczynka, nie cofając rąk z ognia. Miałem ochotę zapytać jak, ale nie zdążyłem. Świat zawirował, nogi ugięły się pode mną. Zrozumiałem, że spadam, ostatnim wysiłkiem woli uchyliłem się przed płonącymi polanami, które skoczyły do twarzy... Ciemność.

I lekki ból, a może nawet nie ból, tylko dreszcz, jakby w czaszce tłukł się ciężki jak ołów kłębek nici. I czyjeś palce poruszające się tuż przy oczach, umiejętnie rozplątujące nici pamięci.

Światło.

– Wypij – poradziła dziewczyna.

We flaerze było ciepło, w każdym razie powyżej zera. A to już całkiem niezłe, biorąc pod uwagę, że na zewnątrz pada deszcz płynnego dwutlenku węgla.

Wziąłem podaną szklankę z płynem, przełknąłem i znieruchomiałem.

– Nie za mocne? – zapytała ze współczuciem dziewczynka. – Nie – wycharczałem. – Wybacz... nie przypuszczałem, że w spirytusie może być więcej niż dziewięćdziesiąt osiem procent...

– Tutaj jest sto – oznajmiła poważnie dziewczynka. – Molekularnie związana woda została oddestylowana specjalnym sposobem. Dodano przyprawy i cukier krystaliczny.

Klenijczycy zawsze mieli problemy z poczuciem humoru. Z alkoholem, jak widzimy, wręcz przeciwnie.

– Powiadomiłam Dom, czekają na nas. Deszcz skończy się za jakieś dwadzieścia minut.

Droga zajmie siedem. Dopóki pada deszcz, lot jest niebezpieczny.

Dziewczynka wyglądała bardzo poważnie. Albo moja sytuacja jeszcze nie została wyjaśniona, albo sama popełniła jakiś błąd w kontaktach ze mną.

– Jak się nazywasz? – zapytałem znowu. Klenijka wyglądała jak młoda Ziemianka. Jedyne spalone rękawy swetra przypominały, że jej skóra wytrzyma otwarty płomień... Nawet sączące się po kopule flaura strumienie ciekłego gazu jej nie zaszkodzą. – A może nadal jestem wrogiem i nie można mi powierzyć imienia?

– Nie jesteś wrogiem, nasz Dom zawdzięcza ci wszystko. Wtedy, w przeszłości, poinformowałeś Kleń, że Aler-II spełnił swój obowiązek. Przysiągłeś, że jego atak uratował ci życie i pozwolił pokonać „Białego Raidera”. Oddając mu chwałę zwycięstwa, pozwoliłeś naszej rodzinie dalej istnieć. Jesteś przyjacielem. Musisz zostać członkiem rodziny i wejść do Domu Aler jak równy między równych.

Stałem się czujny. Przypominałem sobie opowieści Aler-IIa, jak wchodzi do rodziny osoby nienależące do rodu... Ale może od tamtej pory zmieniły się zwyczaje?

– Nazywam się Aler-Tjer – powiedziała dziewczyna, ściągając sweter. Pod nim nie miała nic – ani koszulki, ani stanika. Ten ostatni, ku mojemu zdumieniu, mógłby się przydać, bo półnaga Tjer wyglądała doroślej... Nieprawda. To tylko umysł szuka usprawiedliwień. Rytuał przyjęcia do rodziny Klenijczyków nie zmienił się. Dobrze, że to Tjer powitała mnie na Klenie, a nie któryś z jej braci... albo tatuś.

– Jestem młoda – oznajmiła tymczasem Tjer. Twarz miała poważną i surową, jak uczennica składająca raport na szkolnym apelu. – Znałam wszystkich mężczyzn Domu i mogę być kobietą rodziny. Masz prawo zostać równym w Domu Aler.

Miałem przemożną ochotę zapytać, czy nie mógłbym zostać równym z pomocą bardziej dorosłej kobiety. Ale na szczęście przypomniałem sobie słowa Klenu:

„Człowiek nie wybiera rodziny, w której się urodzi. Nie można również wybrać człowieka, który przyjmuje cię do nowej rodziny. Bez względu na to, kim jest, ma w sobie wszystko, co najlepsze i najgorsze w rodzinie”.

– Chcę zostać równym w Domu Aler – powiedziałem i zrozumiałem, że mówię szczerą prawdę. Postawiłem na podłodze kabiny szklankę ze stuprocentowym spirytusem, rozpiąłem szew kombinezonu. Tjer dotknęła sensorów na pulpicie – oparcia foteli odchyliły się. Rzuciła swój spalony sweter na przyrządy – ruch wyglądał na spontaniczny, ale sweter przykrył optyczny czujnik wideofonu. Uśmiechnąłem się z wdzięcznością.

Jej skóra była miękka i ciepła, normalna ludzka skóra, a nie pancerz. Wargi – doświadczone, niedzięcięce.

Krople dwutlenku węgla bębniły monotonicznie w pokrywę kabiny.

– Wszystko dobrze? – zapytałem Tjer, a ona nie odpowiedziała, ponieważ ja i tak widziałem.

Wszystko było dobrze.

Wszedłem w rodzinę Aler.

– Teraz jesteś swój – powiedziała Tjer, czesząc się. – Brat.

– Brat? – Leżałem na odchylonym fotelu, obserwując dziewczynkę. Widok był przyjemny, zwłaszcza jeśli nie zwracało się uwagi na grzebień w jej ręku – cienkie stalowe zęby były ostre jak igły. Grzebień-kindżał. Pewnie Klenijczycy używali szczoteczek do zębów z materiałem wybuchowym.

– Brat, ojciec, syn, przyjaciel... wszystko jedno. Bliski-mi-płci-męskiej. Res-or-mien.

– Lepiej nazywaj mnie przyjacielem. To bardziej odpowiednie słowo.

– Dobrze. Nie jesteś już gościem ani tym, któremu jesteśmy coś winni. Jesteś jednym z nas.

Więc musisz wysłuchać również tego, co nie jest dla ciebie miłe.

Ściągnąłem brwi.

– O czym ty mówisz, Tjer?

– O tobie. Oglądałam twoją pamięć, wiesz o tym?

– Oczywiście.

– Fang, którego wypuściłeś, powiedział prawdę. Ktoś, może Obojętni, pozbawił cię przyjaźni i miłości.

– Bzdura. Kocham Terry i jestem przyjacielem Ernada, Lansa i Klena... to znaczy Aler-Ila.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Jak wyuczona formułka. Jak dwa razy dwa równa się cztery.

– Nie, przyjacielu. Nie oszukuj sam siebie. Pamiętasz o przyjaźni i miłości, i to się zgadza. Pamięć została. Ale powiedz, kim był dla ciebie Aler-II godzinę temu? Przyjacielem, który zginął za ciebie? Czy kluczem do Domu Aler, możliwością otrzymania pomocy planety Kleń?

Nie odpowiedziałem.

– Ty... – Tjer uśmiechnęła się lekko – złamałeś dwa zwyczaje swojej planety... a co ważniejsze, swoje własne. Zdradziłeś żonę i uprawiałeś seks z niepełnoletnią. Czy to prawidłowe terminy?

– Zdradzenie żony to nie takie straszne przestępstwo według naszych miar. A twój wiek nie jest już przeszkodą w uprawianiu seksu... na Ziemi.

Tjer spokojnie skinęła głową.

– Oczywiście. Ale to były twoje zakazy, rozumiesz? Osobiste tabu.

– Byłem zmuszony – wymamrotałem i odwróciłem wzrok. – Żeby wejść do Domu.

– Przyjacielu, cieszę się, że jesteś w rodzinie. Ale Kleń już dawno nie jest taki jak niegdyś. Szanujemy cudze zwyczaje. Nie wszedłbyś do Domu Aler, ale zawdzięczamy ci wszystko – swoje imię, dom, rodzinę, honor. Dla ciebie zbudowalibyśmy pałac albo oddalibyśmy własny

dom, a sami przenieśli się do nowego. Dostałbyś statek i ochronę... wszystko, czegoś byś potrzebował. Można pogodzić wszystkie kultury, jeśli tylko się tego chce. Nie wątpiłam, że odmówisz wejścia do rodziny.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia tej dziewczynie – logicznej i rozsądnej jak robot. Silnej i uczciwej jak robot.

– Przyjacielu, chcę ci pomóc.

Popatrzyłem na Tjer. Siedziała przede mną – półnaga, sympatyczna. Moje – od teraz i na zawsze – przekleństwo i hańba.

– Powiedz, jak mogę ci pomóc? Jesteś starszy i silniejszy, jesteś ranny...

Ranny? Tak, chyba tak. Ranny w głowę. Ranny w sumienie.

– Nie ma już obowiązku, teraz jesteś w rodzinie. Ale obowiązek był i ja to pamiętam. Moje dziecięce baśnie o Aler-Ilu i Siergieju, który zwyciężył „Białego Raidera”, uratował świat Siewców.

– O czym ty mówisz, dziewczyno? – wyszeptalem. – Zwyciężyliśmy „Białego Raidera”, bo zagrażał mojej planecie, Ziemi XX wieku. Świat Siewców... Jak możesz go kochać? Oni dali wam cierpienie.

– Oni dali nam życie, bracie... przyjacielu.

– Życie? Cierpienie, koszmar. W świecie, w którym nie można żyć...

– My żyjemy.

– Życie w męczarniach, śmierć w walce, dzieciństwo bez niewinności...

– Życie. Śmierć. Dzieciństwo.

Tjer wzięła mnie za rękę. Czuły był to dotyk, ale teraz nie mogłem zapomnieć, że pod tą skórą jest twarda jak tytan ceramika.

– Przyjacielu Siergieju, twój świat dał życie nam wszystkim. Dzięki niemu żyje Kleń, Errg, Tar, Faa, Una-Kor, Bjemen... Wszystkie światy galaktyki. Nieważne, z jakiego powodu. Matka może urodzić dziecko, nie myśląc o jego szczęściu. I tak pozostanie matką. Zawdzięczamy Ziemi wszystko. Nie tylko Kleń, ale wszystkie chronokolonie. Nawet jeśli na Ziemi nami pogardzają. Matka może nie kochać swoich dzieci, ale i tak pozostanie matką.

– Tjer, nie możesz mi pomóc. Chyba że...

– Ale chcę pomóc. Byłam dumna ze swojej rodziny, ponieważ byłeś przyjacielem Aler-IIa. Nawet imię wybrałam miłe tobie... imię twojej ukochanej-płci-żeńskej. Nam obca jest taka monotonia, ale i tak jej zazdroścę.

Zamknąłem oczy. Idiota. Nawet nie zauważyłem podobieństwa imion. Tjer – Terry. Wybacz mi, Tjer, że byłem twoim ideałem. Wybacz, Terry, że mogłem zapomnieć o miłości.

– Tjer... umiesz czytać w myślach. Wiesz, że Aler-II był moim przyjacielem, a Terry ukochaną... Całkiem niedawno.

– Wiem.

– Oddaj mi to, co zabrali inni. Oddaj mi przyjaźń i miłość. Oddaj mi mnie samego.

Bałem się spojrzeć na nią, ponieważ znałem odpowiedź.

– Siergiej... Mogę bawić się twoją pamięcią jak garstką śniegu. Mogę łamać bariery jak kruchy lód. Ale w twoim rozumie nie ma bariery. Jest dziura. Z twojego umysłu wyrwano kawałek. Jeśli ułożę inny wzór uczuć, on już nie będzie twój. Przecież nie jestem Ziemianinem... nie jestem mężczyzną. Nie jestem tobą.

– Jak mam teraz żyć, Tjer?

Słowa więzły mi w gardle. Po co pytam, jaką mądrość chcę usłyszeć od małej dziewczynki, nawet jeśli ona umie bawić się pamięcią?

– Pozbawiono cię przyjaciół i ukochanej, bracie. Ci, którzy to zrobili, są silniejsi od każdego człowieka. Ale można napisać spaloną książkę na nowo, można jeszcze raz rozegrać bitwę, można odbudować zniszczony dom. Najważniejsze to żyć. Pamiętasz, jaki byłeś, i twoja pamięć ci pomoże.

– Dziękuję, Tjer. Spróbuję.

Nie było we mnie wiary, tylko wdzięczność. Wdzięczność, podziękowanie, poczucie winy, wszystko to, co tak często poprzedza miłość.

Być może znowu zdołam pokochać. Ale nie Tjer – wybac mi, dziewczynko z Klena, próbująca myśleć jak Ziemianin. Muszę pokochać Terry. Terry, która nigdy nie pozwalała mi się poniżać, zabierać to, co do mnie należało. Jestem, jaki jestem, ze wszystkimi dobrymi i złymi cechami, które zmieszały się w duszy. Jestem jak Dom na Klenie – nie można mnie podzielić. I żadni Obojętni nie będą mi pomagać, żebyśmy stał się lepszy.

– Lecimy do Domu? – spytała Tjer.

– Poczekaj – poprosiłem, nie otwierając oczu. – Trzy minuty, Tjer.

Przyciągnąłem ją do siebie, złożyłem głowę na jej kolanach – twardych jak stal, które już po chwili stały się miękkie, żywe.

– Dziękuję, że jesteś taka, Tjer – wyszeptałem. – Pozwól mi taką cię zapamiętać.

CZEŚĆ TRZECIA
NIEOBECNI

1. Święto Słońca

Jesteś pewien, że osłona nie będzie potrzebna, bracie? Kapitan klenijskiego krążownika „Aler” był niższy ode mnie o głowę i wydawał się kruchy jak nastolatek. Ale na spieranie się z takim kapitanem zdecydowałby się tylko szaleniec. Nawet pytanie Klenijczyka brzmiało twardo jak rozkaz...

Z trudem otrząsając się z otępienia, uśmiechnąłem się.

– Dziękuję, bracie. Osłona nie jest potrzebna. Ar-Na-Tin to moja planeta. Przyjaciele już na mnie czekają.

– Twoi przyjaciele są przyjaciółmi Domu Aler. Drzwi są dla mnich zawsze otwarte – rzekł z solenną powagą kapitan. – Niech przychodzą, kiedy zechcą. Zawsze powitam ich z radością i dam im miłość. Mają prawo przyjść, bracie.

– Powiem im to, bracie – oparłem spokojnie. Klenijczycy nie robią różnicy pomiędzy kobietami a mężczyznami – ani w walce, ani w seksie, i słowa kapitana przy całej ich dwuznaczności były oznaką szacunku.

– Kuter na ciebie czeka, bracie. Ale jeśli chcesz, wylądujemy statkiem na powierzchni Ar-Na-Tina.

– Nie ma takiej potrzeby, bracie. Wystarczy mi kuter.

Miękkiego lądowania i pomyślnej walki, bracie. – Klenijczyk dotknął mojej ręki i w tym dotyku było wszystko: troska ojca i szacunek syna, i uwaga brata. – Jeśli umrzesz, mój statek pomści cię...

Klenijczycy nie znają różnicy pomiędzy słowami „umrzesz” a „zginiesz”.

-.. Jeśli my sobie nie poradzimy, ród Aler pomści nas, jeśli zginie nasza rodzina, Kleń zdecyduje, czy jesteśmy godni pomsty. Odejdź spokojnie, bracie.

Skinąłem głową. Najstraszniejszą rzeczą dla Klenijczyka jest umrzeć ze świadomością, że nikt go nie pomści. Samej śmierci się nie boją. A przynajmniej takie sprawiają wrażenie.

Pustymi korytarzami, szybkobieżnymi windami, poziomymi transporterami krążownika dotarłem z mostka do służby „Alera”. Wachtowy, dwudziestoletnia dziewczyna, skinęła mi głową: „Wszystkiego dobrego, bracie”. Ja również skinąłem głową. Dziękuję Domowi Aler, dziękuję Klenowi. Nigdy nie zostanę Klenijczykiem, ale szanuję waszą drogę.

W kutrze (poznawanie systemu sterowania znacznie skróciło mi dobę podróży od Klena do Ar-Na-Tina) po raz ostatni włączyłem system łączności wewnętrznej. Kapitan krążownika pożegnał mnie machaniem ręki, jakbyśmy planowali spotkanie za kilka dni. Klenijczycy za każdym razem żegnają się tak, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć. W zbyt wielu miejscach czyha na nich niebezpieczeństwo.

– Jeśli na Ar-Na-Tinie zdarzy się nieszczęście, przybędziemy, bracie. Przybędą wszystkie

statki Domu Aler.

– To stanie się szybko – powiedziałem szczerze. Kapitan nie zniżył się do wyrażenia wątpliwości.

– Przybędziemy. Wykonamy obowiązek kontraktu Czjin-Ki i wrócimy. To będzie ciężka walka, ale skończymy ją szybko.

Żeby przerzucić mnie z Klena na Ar-Na-Tin, krążownik „Aler” na dwie doby zerwał kontrakt z planetą Czjin-Ki. Ile ich to kosztowało, wolałem nie pytać. Sądząc po wyglądzie statku, przeszedł ostrą walkę, a teraz znowu do niej wracał. Dziękowanie nie miało sensu – byłem członkiem rodziny Aler i mogłem zażądać dowolnej pomocy. Tak samo jak rodzina ode mnie. Ale oni nigdy nie skorzystają ze swojego prawa.

– Przekaż moją miłość Domowi – powiedziałem. – I Tjer... Aler-Tjer.

– Przekażę siostrze twoją miłość – obiecał kapitan. Możliwe, że Tjer rzeczywiście była jego siostrą. Na Klenie to bez znaczenia.

Pod kutrem rozsunęła się diafragma luku i pseudograwitacja krążownika wyrzuciła mnie w kosmos. „Aler” płynął nade mną – bledoszara płaska płyta. Kuter oddalał się od krążownika; spadał ku szarawej kuli planety, zostawiając ogrom statku bojowego za sobą.

Wykręcając głowę, obserwowałem „Alera”. Klenijskie kutry mają przezroczyste kabiny, lubię to.

„Brzegi” statku zaczynały się powoli unosić i zawijać. Pół minuty później pode mną płynął cylinder najeżony konsolami manewrowych silników i wieżyczkami stanowisk bojowych.

– Powodzenia – szepnęły słuchawki.

Krążownik otoczyło białe lśnienie. Przezroczyste szkło pancerne pociemniało, chroniąc moje oczy przed wtórnym promieniowaniem hiperprzejścia. Po kilku chwilach krążownik był ledwie widoczny przez oślepiający rozbłysk – ciemna, zmieniająca kształt sylwetka.

Potem kuter się zatrząsł i światło zgasło.

– Powodzenia, bracia – powiedziałem. – Nie potrafię tego poczuć, ale wiem, że jestem waszym przyjacielem.

Opuściłem ręce na podatną niczym ciasto masę myślonadajników i skierowałem kuter do planety.

Niebo nad Ar-Na-Tinem było bladożółte, niemal cytrynowe. Za to chmury – szare, jak na Ziemi. Kuter leciał nad górami tonącymi w mglistej zawieszynie, tylko szczyty wylaniały się niczym wyspy z szalejącego morza. Fale mgły nasuwały się na skaliste granie i opływały je, wirując spiralnie.

– Pytanie głównego kosmoportu planety – poinformował mnie kuter.

– Daj połączenie.

W głośnikach zatrzeszczało. Ar-Na-Tin był rzeczywiście zacofanym światem. Korzystano tu ze zwykłej łączności radiowej, a nie z kodowanego przekazu, wolnego od zakłóceń.

Sądząc po głosie dyżurnego, mała, peryferyjna planeta nie była rozpieszczana częstymi wizytami statków bojowych. Tym bardziej w okresie stanu wojennego, którego nigdy wcześniej nie ogłaszano.

– Numer pokładowy... – zerknąłem na panel sterowniczy. – K łamane przez sześćdziesiąt dwaście. Na pokładzie jest imperator planety Tar. Schodzę do lądowania, proszę podać numer wolnego pasa.

Przez kilka chwil dyżurny kosmoportu milczał, jakby przetrawiając moje słowa. W końcu niepewnie zapytał:

– A cel wizyty?

Chcę wam pomóc, kretyni! – nie wytrzymałem. – Kto wysyła pytanie na sto kilometrów przed kosmoportem? Wrogi statek dawno zasypałby was rakietami! Pytanie zadaje się przy wejściu w atmosferę i wysyła grupę przejęcia!

– Wszystkie patrole dostały wolne, mamy wiosenne święta, Dzień Słońca – wymamrotał dyżurny. – Zaraz połączę się z tauryjskim korpusem ekspedycyjnym...

– Cymbały – wysyczałem. – Połącz mnie z doradcą wojskowym Lansem, szybko!

Zapadła cisza. Kuter przeleciał nad łańcuchem górskim i zaczął schodzić niżej. Syczenie w głośnikach ustało – łączyli się teraz przez normalny nadajnik.

– Siergiej? To ty?! – krzyknął w głośnikach Lans. – Gdzie jesteś?

Spojrzałem na ekran.

– Nad stolicą tej sennej planety. Cześć, Lans.

– Cześć... Włącz łączność wideo!

Na ekranie pojawiła się stropiona twarz Lansa. Przez kilka chwil przyglądał mi się, w końcu rozkwitł w uśmiechu.

– Siergiej... jak się wy dostałeś?

– Potem. Poinformuj tego głupka na kosmodromie, że nie jestem wrogiem. Niech zwolnią pas... i niech nie strzelają do kutra z cekaemów, czy czego tam używają. Zajmowaliście się beze mnie czymś pożytecznym czy tylko permanentną stypą po imperatorze?

Lans pospiesznie odsunął od siebie butelkę z różowym płynem i powiedział przeproszająco:

– Planeta jest raczej... pokojowa. Nie można się do nikogo dostać. A my nie mamy oficjalnych pełnomocnictw.

– Zaraz wszystkim wydam pełnomocnictwa – obiecałem ponuro. – Zorganizuj lądowanie.

– Dobrze... podjadę do kosmoportu.

– Lepiej ja do ciebie. Poleć dyżurnemu przygotować maszynę. Jeśli nie wszyscy świętują te bachanale, rzecz jasna.

Musiałem zrobić kilka okrążeń nad małym przytulnym kosmoportem, zanim z pasów startowych rozpełzły się starożytne czołgi, przedpotopowe ciężarówki i chyba nawet kilka wozów strażackich. Ale się rozruszali... Kuter może wylądować na małym placyku, to nie samolot.

Zajęcie Ar-Na-Tiana najwyraźniej nie sprawi Fangom większych problemów.

W kierowaniu samochodem z normalnym silnikiem spalinowym było coś nostalgicznego. Zwłaszcza gdy zrozumiałem, że jeździ się tu na spirytusie, którego zapach nie płynie od mojego przewodnika, piętnastoletniego chłopca, z ważną miną siedzącego na przednim siedzeniu obok mnie.

– Na prawu – rozpaczliwie kalecząc standardowy kierował mnie dzieciak. – A za tym pałycem na lewo.

„Pałycem” był trzypiętrowy budynek z dwoma kolumnami przed wejściem. Wyhamowałem.

– Nie mogliśmy przejechać główną ulicą?

– Mogliśmy – potwierdził chłopak po chwili namysłu. Odgarnął z czoła rude loki i beztrzesko oznajmił: – Ale tak ciekawij. Obok zabytki.

– Czy nie wspominałem, że się spieszę?

– Tak. Ale tak...

– Ciekawij – dokończyłem łagodnie. – Przyjacielu, macie tu u was więzienia dla niepełnoletnich?

– Nie – odparł chłopak ze smutkiem. – Tylko dla dorosłych...

– Otworzymy. Specjalnie dla ciebie.

Mały otworzył szeroko oczy.

– Mówię poważnie, przyjacielu – powiedziałem serdecznie.

– Prosto i na lewo. Na głównej ulicy, pałyc z wieżą... Nacisnąłem gaz i chłopiec zamilkł. Chyba przygryzł sobie język. Ale obok „pałycu” z kolumnami znowu dał głos:

– A prezent?

Chwył mnie nerwowy śmiech. Wyszedłem z samochodu na brudną asfaltową drogę. Przez dziury w pokrywie chmur widać było żółte niebo. Słońce, mimo swojego święta, było nieobecne. Z daleka dobiegał hałas tysiąca głosów, przypominający chóralne pienia pacjentów kliniki leczenia uzależnień – ochryple i wesołe. Zdaje się, że mieszkańcy Ar-Na-Tina wraz z dzielnymi obrońcami planety właśnie przeprowadzali seans przegania chmur i przywracania dobrej pogody.

– W tym pałycu, na trzecim piętrze – podpowiedział cichutko przewodnik. – Prezent?

Poczułem znużenie. Poklepałem chłopaczka po ramieniu. Przycichł i zerknął na swoje ramiona, jakby spodziewając się, że wyrosną mu ogromne pagony, jak u dyżurnego kosmoportu.

– Zjeżdżaj ze stolicy, przyjacielu – poradziłem. – I to jak najszybciej.

Lans powitał mnie na schodach – pewnie słyszał, jak podjeżdża ta starożytna pyrkawka.

– Siergiej! – zawołał radośnie. – Chwała Siewcom, udało ci się...

– Milcz, pętaku! – Ledwie powstrzymałem się przed użyciem siły. – Planeta podana jak na talerzu, tylko brać! Gdzie nasza eskadra? Gdzie statki sprzymierzone, gdzie Siewcy?

Las pobałdł i powiedział cicho:

– Imperatorze, jesteście winni, ale...

– Usprawiedliwiasz się? Pijany głupcze!

Po przesączonym spirytusem wnętrzu samochodu nie odróżniłbym zapachu alkoholu od smrodu benzyny, ale to mnie nie martwiło.

Lans padł na kolana w rytualnym geście poddania i powiedział cicho:

– Imperatorze, moja krew należy do ciebie. Pozwolisz, że przedstawię sytuację?

Skinąłem głową.

– Dożywotni prezydent planety... w dosłownym przekładzie Wielki i Wieczny Pastuch, wyznaczył nam audiencję na trzeci dzień od przybycia. Tego wymaga ich etykieta. Ernado jest teraz na Świącie Słońca, próbuje spotkać się z prezydentem w warunkach nieoficjalnych. Ja jestem gościem Djini, miejscowego przemysłowca, próbuję dostać się do prezydenta przez niego. Jedyne, co osiągnęliśmy, to wprowadzenie stanu wojennego. Ale to czysta formalność...

– Czystszej jeszcze nie widziałem!

– Mały krążownik i trzy lekkie statki patrolowe Tara otrzymały pozwolenie stacjonowania na planecie. To dzięki Djiniemu...

– Dlaczego jest tak mało statków? Gdzie Korpus Desantowy?

– Ziemia oznajmiła, że nie ma wystarczających podstaw do wysłania eskadry. A nasze statki... Terry wysłała je na poszukiwania, gdy dowiedziała się, że użyłeś katapulty.

– Idiotka! – zakląłem ze złością.

Lans szarpnął się jak od uderzenia. Powiedział cicho, jakby sam nie wierząc w to, co mówi:

– Ty nie jesteś Siergiej... Jesteś inny. Podróbka.

Jakby mnie oblał wrzątkiem. W milczeniu patrzyłem, jak Lans wyjmuje pistolet. Powiedziałem cicho:

– Ale nadal jestem twoim imperatorem, Lans.

Zamarł. A ja usiadłem na drewnianym progu brudnej klatki schodowej ceglanego pałacu na planecie Ar-Na-Tin.

– Posłuchaj, Lans... Zanim pójdziemy do twojego przemysłowca i zanim schowasz broń, opowiem ci, co się ze mną stało.

Siedzieliśmy pod słabą, zakurzoną żarówką, której jedyną zaletą było to, że jest elektryczna. Opowiedziałem o wszystkim. Pomiąłem tylko rytuał wstąpienia do rodziny Aler.

– Co będziemy teraz robić, kapitanie? – zapytał nieoczekiwanie Lans.

– Żyć. Szykować się do walki. A ze swoimi uczuciami jakoś sobie poradzę.

– Kim są Obojętni?

– Potomkami Fangów. Nie sądzę, żeby Nes kłamał.

– W takim razie nie mamy żadnych szans, Siergiej.

– Oni nie mogą aktywnie ingerować w wydarzenia. Mogą tylko oddziaływać na psychikę ludzi podróżujących hipertunelem. Dlatego właśnie nie użyłem pierścienia na Klenie.

Lans skinął głową, przyznając mi słuszność albo godząc się z tym, co nieuniknione.

– Chodźmy do twojego przemysłowca. Na tej planecie cała władza nie może należeć do dożywotniego prezydenta. Nie pachnie tu dyktaturą, a to znaczy, że Wieczny Pastuch to podstawiona figura. Pewnie rządzi pieniędze.

Weszliśmy po skrzypiących drewnianych schodach. Niektóre drzwi były otwarte. W ciemności majaczyły jakieś worki i skrzynki.

– Przemysł i handel dopiero się tutaj rozwijają – powiedział przepraszającym tonem Lans. – Więc to jednocześnie dom i magazyn.

– A przestępczości nie ma?– zainteresowałem się.

– Nie wiem. Ale chyba złodziejstwo nie jest tu cenione. – Aha. Miejscowi bandyci Jak się okazuje, mają własną etykę. Drzwi do pomieszczeń mieszkalnych były przymknięte. Lans pchnął je i znaleźliśmy się w długim, wąskim korytarzu. Zatrzymałem się wstrząśnięty.

– Lans, czy ten przemysłowiec drukuje książki?

– Nie, tylko zbiera.

Ściany korytarza pokrywały rzędy półek. Biegły aż do sufitu, równiutkie i milczące. Na nich stały książki. W lśniących plastikowych oprawach, w twardych kartonowych i w poszarpanych papierowych okładkach. Niektóre bardzo zniszczone, w przezroczystych pokrowcach – ranni żołnierze wielkiej armii. Nad każdą półką metalowa tabliczka z wygrawerowanymi w standardzie napisami: Literatura romantyczna. Erotyka. Kulinaria. Większość książek, o dziwo, wydano w XX i XXI wieku. Antykwariat. Nawet znajdowałem znajome tytuły.

– Poczekaj – poprosiłem cicho Lansa. – Tylko zerknę...

Mistyka. Magia. I książki: *Młot na czarownice...* *Strach, Wampiry. Wilkołaki, Bajki japońskie...* co tu robią bajki? *Psoty wolnego smoka...*

Powieści rycerskie. Też rzędy znanych i nieznanymi tytułów... *Pieśń o Rolandzie. Broń średniowiecznej Europy...* *Ruscy bohaterowi bylin...*

– Chodźmy – dotknął mojej ręki Lans.

– To nieprawdopodobne – wzruszyłem ramionami. – Te książki są rzadkością nawet na Ziemi. A tutaj, na peryferiach galaktyki...

– Większość książek to reprinty – wyjaśnił Lans. Przesunąłem palcem po grzbietach. Jakbym na chwilę wrócił do dzieciństwa...

Lans znowu dotknął mojej ręki i ocknąłem się. Trzeba działać, a nie zachwycać się starodawnymi księgami. Ale gdy szedłem za Lansem, pojawiło się dziwne wrażenie. Jakby w duszy, tam gdzie ziała wycięta ostrzem Obojętnych dziura, coś się pojawiło.

Odchylając zasłonę, która pełniła tu rolę drzwi, weszliśmy do pokoju.

2. Bibliofil

Djini, przemysłowiec z planety Ar-Na-Tin, był młody. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat. Niewysoki, barczysty, z rozbieganymi oczami, przypominał raczej barmana z nocnego lokalu niż dobrze prosperującego biznesmana. Nalewając mnie i Lansowi różowego wina z ogromnej butli, szybko opowiadał o swojej działalności.

– Nasza planeta jest zacofana, imperatorze... Ale to nawet lepiej, szybciej można się wybić... Kto nie zdążył, ten się spóźnił, komu główka pracuje, ten spędza urlop na Shedmonie. Proszę spróbować wina... graańskie, na całym Ar-Na-Tinie są tylko dwie butelki, jedna w mojej piwnicy, druga na moim stole... Nasi biznesmeni – co oni się tam znają na interesach! – wszystko zainwestowali w eksport żywności, zajęli się hodowlą zwierząt i ceny od razu spadły. Teraz dławią się nawzajem, konkurują. A ziemskiej czekolady, lejańskich słodyczy, graańskiego wina wszyscy chcieliby skosztować. Kto nimi handluje? Ja. A bydlą mam tylko ze trzysta łbów, żeby utrzymać pozycję społeczną. Ci nasi kretyni do tej pory bogactwo mierzą liczbą rogatych łbów, zamiast swoich... A jak Ziemia sprzeda nam syntezatory żywności, to co zrobią? No? Dobrze Siewcy postępują, taki towar trzeba przytrzymać... Za pomyślność prarodzicielki Ziemi, imperatorze!

Gdy przetrawiałem fakt, że syntezatory żywności są tajemnicą poliszynela, Djini dołał wina. Wypiliśmy za Siewców, za Korpus Desantowy, za Wiecznego Pastucha, za Ar-Na-Tin, za pomyślność domu imperatorskiego Tara, za zdrowie obecnych, za piękne panie – nam w końcu wszystko jedno, za co pijemy, a im przyjemnie.

W głowie mi szumiało, chociaż graańskie wina nie są zbyt mocne. Djini opowiedział, w jakie sfery inwestuje i jak trudno zajmować się biznesem na planecie, gdzie papierowe pieniądze weszły w obieg trzydzieści lat temu. Zaproponowałem toasty za zwycięstwo nad Fangami, za rozwój gospodarki i klęskę Obojętnych. Sprzeciwów nie było.

Lans zaproponował toast za wielką ziemską literaturę. Djini go poparł, choć przyznał się, że czyta tylko w przekładzie na standardowy oraz w ojczystym chińskim, a rosyjskiego i angielskiego dopiero się uczy. Potem przyniósł porcelanowy dzban likieru z owoców czom. Spróbowaliśmy i zauważyłem dowcipnie (zrozumiał mnie tylko Lans), że słowo czom nie na darmo jest anagramem pewnego rosyjskiego słowa. Djini przyznał, że likier jest dość słaby, i zaraz na niskim stolczku pojawił się osiemdziesięcioprocentowy dziki smok. Zalecenie na etykietce, żeby pić w stanie podgrzanym, zignorowaliśmy. Potem zaproponowałem, żeby wypić za Klenijczyków, za ich obrzędy i za stuprocentowy spirytus. Obraz lekko się rozdziwił. Djini pogrzebał w zakamarkach swojego mieszkania-magazynu i znalazł zakąskę: drobno pokrojone ogórki i ryż posypany czarnym pieprzem. Znajomość nieubłaganie zbliżała się do chwili, gdy będzie można porozmawiać o interesach.

Za oknem zaczął mżyć deszcz. Wypiliśmy za Święto Słońca i wymogłem na Djinim obietnicę, że rosyjskiego nauczy się wcześniej niż angielskiego. Następnie opowiedziałem o bloku NATO i Układzie Warszawskim, wywołując wybuch śmiechu Lansa i Djiniego. Od dwóch starodawnych ugrupowań lekko i naturalnie przeszedłem do Ziemi i Fanga.

Pięć minut później Djini przyrzekł, że jutro o dziewiątej rano zostaniemy przyjęci przez prezydenta. Po dziesięciu minutach oznajmił, że Wielki Pastuch nie może zrobić nic konkretnego. Po piętnastu – że nawet wszyscy handlowcy i przemysłowcy Ar-Na-Tina, włączając hodowców bydła i rzeźników, nie zdołają pomóc w przygotowaniu planety do wojny.

Po półgodzinie już wiedziałem, że Djini nie powie nam, kto właściwie posiada realną władzę na Ar-Na-Tinie.

Położyłem głowę na miękkich wałkach kanapy, ze smutkiem studiując półkę z książkami o arystokracji, zajmującą honorowe miejsce nad stolikiem z gazetami. Tytuły płynęły przed oczami: *Hrabina de... Gdy król... Hrabia Monte...*

Chyba trzeba będzie działać z ominięciem władz planety. Rozdać narodowi broń. Przekupić policję. Przeprowadzić rozmowy z oficerami. Armia musi być gotowa do wojny.

Ciekawe, co poradziłyby mi teraz *Księga Gór* – czyli moja podświadomość?

Księga Gór Djini miał. Po chińsku, rosyjsku i angielsku, jeśli różniły się czymś więcej niż napisem na okładce. Biorąc z rąk Djiniego znajomy tomik, otworzyłem go na środku, na chybił trafił. Na chwilę zabolowały mnie oczy, pojawiło się wrażenie, że na stronie wydrukowano tylko kilka linijek tekstu, a pozostałą część pokrywają tajemnicze runy. Po chwili tekst przybrał normalny wygląd.

Człowiek, który rzucił wyzwanie losowi, to ulubione widowisko bogów.

No, no. Banalne, lecz jakże pasujące do sytuacji.

Ale nastanie dzień, gdy bogowie zmęczą się patrzeniem. Nawet wszechpotężny pragnie czasem zmierzyć się z jakimiś siłami. To straszne, gdy nie ma zamka, do którego pasowałby klucz, gdy znikły pytania, na które nie ma odpowiedzi. Siła istnieje tylko w zmaganiu, absolutna moc równa jest bezsilności.

Po plecach przebiegł dreszcz. *Księga Gór* nie częstowała mnie już cytatami z ulubionych książek czy omszałymi mądrościami. Ona, to znaczy ja, próbowała powiedzieć to, co jeszcze nie zostało zrozumiane, ale już przesuwało się przez granicę podświadomości.

W tym świecie szczęśliwi są tylko szaleńcy, powiedział pisarz ustami boga, który zstąpił na

ziemię. Ciekawe, po co na nią zstąpił?

– Nie pamiętam – powiedziałem na głos. Lans popatrzył na mnie zdumiony.

Zapominamy o spełnionych marzeniach, ale żeby pragnąć, trzeba być słabym, żeby czuć, trzeba zamknąć oczy i uszy. Tylko w bajce karą za spełnione marzenia bywa utrata wspomnień. W życiu nagrodą za utratę pamięci są pragnienia. Powiedz, gdy przeczytałeś książkę, która staje się twoim przyjacielem, czy nie marzyłeś, by wszystko zapomnieć i przeczytać ją na nowo? Czy nie zdarzyło ci się, zapraszając przyjaciół na film, który już oglądałeś, zachwycać się ich zachwytem? Czy cenileś to, co przychodziło łatwo, czy to, co przychodziło z trudem?

Pragnienie najsilniejsze jest na pustyni.

Siła wypełniona jest słabością. Jej imię – obojętność.

Walka jest interesująca jedynie dla słabego.

Odłożyłem książkę. Nie rozumiem. Nie mogę zastanawiać się nad tym, czego nie chcę zrozumieć. A dziki smok bynajmniej nie sprzyjał procesom myślowym. Chociaż niewykluczone, że tylko rozluźnione przez alkohol komórki mózgu mogły zdecydować się na poznanie prawdy.

Wiedziałem: od tego, czy zdołam uwierzyć w to, czego już się domyślam, zależy moje – i pewnie nie tylko moje – życie.

Zasłona w drzwiach ostrzegawczo zaszleściła, wpuszczając do pokoju osiłka w szarym ubraniu. Obrzucił nas szybkim, lekko mętnym spojrzeniem, zatrzymał wzrok na Djinim i niemrawo wyciągnął do niego rękę.

– Siemasz.

Młodziak był nieźle wstawiony. Djini ożywił się.

– Witaj, Rish. Skąd wracasz?

– Od Kulawego. Trochę nostalgiiowaliśmy... – Chłopak opadł na najbliższe krzesło. Lans uśmiechnął się ironicznie. Coś było nie tak.

– Nudzicie się? – zapytał serdecznie Rish. – Może zagramy w karcie?

Djini wyszedł bez słowa i wrócił z talią kart. Kolory były nieznajome, figur osiem – Szeregowiec, Sierżant, Pilot, Lord, Książę, Imperator, Siewca... Obróciłem w palcach polakierowane karty, położyłem je na stole.

Upojenie mijało. Już mogłem dostrzec niepewność w ruchach Lansa i zauważyć, że Djini stał się dziwnie milczący i przestał dolewać nam smoka.

– Zagramy? – powtórzył Rish. – Pokera znacie?

Lans pokręcił niepewnie głową.

– To proste. – Rish zaczął rozdawać karty. – Teraz to najmodniejsza gra.

Mówił w standardzie, ale nie dlatego, że uznał nas za przybyszów z innej planety, po prostu galaktyczny był tutaj modny, tak jak u nas francuski za czasów Puszkina.

– A więc tak... bierze się karty...

– Lans, pamiętasz, jak uczyłem ciebie i Redraka? – zapytałem. Lans skinął głową, nadal nie rozumiejąc, co się dzieje. Wzięłem ze stolika telefon i spytałem ostro:

– Jak się połączyć z Kulawym? Szybko!

– Sześćset trzy... – zaczął odruchowo Rish i zamilkł, przyglądając mi się badawczo. Powiedział z wyrzutem: – Kulawy sam decyduje, z kim będzie rozmawiał...

– No, no! Nasz ostrożny przyjaciel został potężnym mafiosem! – zakpiłem: – Nostalgiować to znaczy pić koktajl Nostalgia, prawda, Rish?

Rish skinął głową. Djini zakręcił się w fotelu i powiedział półgłosem:

– Rish, to imperator Tara Rish zarechotał, odchylając się na krześle. Pod rozchyłonymi połami marynarki błysnęła rękojeść blastera.

– A ja... ja... jestem Wielki i Wieczny Pastuch... Aleś zasunął, Djini...

– Numer wideofonu – przypomniał Lans.

– Sześćset trzynaście, siedem, dziewięć – wypalił nagle Djini. Popatrzyłem na niego z zainteresowaniem. Rzeczywiście był dobrym handlowcem; właśnie dokonał ryzykownej inwestycji.

– Skąd wiesz? – zapytał groźnie Rish. Tylko patrzeć, a sięgnie po broń. Wybrałem numer. Na ekranie pojawiła się sympatyczna dziewczęca buzia.

– Kulawego do aparatu, kochanie – zażądałem nonszalancko.

Zapadło milczenie.

– Pamięć masz dobrą? – nadal nie zmieniałem tonu. Dziewczyna skinęła głową. – Przekaż Kulawemu: „Redrak, pokazałeś karty:

Ostatnie zdanie wymówiłem po rosyjsku. Dziewczyna znikła z ekranu.

– Jeśli to pijackie wygłupy... – zaczął Rish. Ale na ekranie wideofonu już pojawiła się zaspana twarz jego zwierzchnika.

– Cześć, Redrak – powiedziałem z ulgą. Aż do tej chwili wcale nie byłem pewien, czy mój domysł jest słuszny. – Daleko cię zaniósło, pilocie.

– Zawsze ciągnęło mnie na zacofane planety – powiedział Redrak. – Chyba pamiętasz, Siergiej.

Pamiętałem. I nie mogłem powstrzymać się od uwagi:

– Na których zawsze pakowałeś się w kłopoty...

Redrak skinął głową. Staliśmy na płaskim dachu jego domu – ogromnego, przysadzistego. Parter zajmowało kasyno, restauracja i chyba niewielki burdelik. Na pierwszym piętrze mieściły

się apartamenty Redraka-Kulawego, stojącego na czele przestępczego świata Ar-Na-Tina.

– Jasne, pakowałem się... ale też niezłe zarabiałem. Pamiętasz, jak opowiadałeś o ziemskich gangsterach, mafii i biznesie gier? Powiedzmy szczerze, że sobie zakpiłeś...

Uśmiechnąłem się. Owszem, przesadzałem, przedstawiając ziemskich przestępców jako magów i czarnoksiężników...

– Początkowo nie brałem poważnie ziemskiego doświadczenia. Ale gdy się dowiedziałem – w głosie Redraka pojawiła się nutka szacunku – że Ziemia to planeta Siewców, zrozumiałem, że tak właśnie trzeba działać. Znalazłem tę planetę... szczerze mówiąc, specjalnie szukałem jak najbliżej Tara. Pomogłem im się wygrzebać z depresji gospodarczej, stałem się szanowanym obywatelem. I zacząłem tworzyć swoje Monte Carlo. Miejscowe prawa popierają gry hazardowe, nie opodatkowują wygranych.

– Twoja szopa niezbyt przypomina Monte Carlo – zauważyłem.

– Oczywiście. To tylko do użytku osobistego, dla miejscowych graczy, tylko kształcenie specjalistów. Ale trzydzieści dwa procent domów gry na Shedmonie, czterdzieści dwa na Shuuru... i jeszcze tu i tam... należy do mnie. A tu toczy się poważna gra. Na minus siódmym poziomie mieści się generator tunelowego hiperpoła. Gracze przybywają tu bezpośrednio, bez żadnych statków.

– Ho, ho...

Redrak uśmiechnął się zadowolony i powtórzył:

– To wielka gra. W tej szopie trzykrotnie przegrywano całe planety... i to całkiem niezłe.

– Ile planet należy do ciebie?

– Tych, które wygrałem, czy tych, które kupiłem?

Zaśmiałem się.

– Redrak, coraz bardziej mnie zdumiewasz. A najdziwniejsze, że nie mogę się na ciebie gniewać... No to ile masz planet?

– Osiem – odpowiedział poważnie były pilot „Terry”.

– Włączając Ar-Na-Tin?

– Czy to jest planeta? Twoje zdrowie, imperatorze! Wypiliśmy jeszcze po łyku grzanego wina z dużych metalowych pucharów. Stanie pod szarym niebem, na przenikliwym wietrze i picie gorącego wina z przyprawami było na wpół zapomnianą rozrywką z czasów mojej młodości.

– Narkotykami też handlujesz?

– Tylko dla klientów kasyna... I nie takimi jak niebieski pył czy żużel.

Zastanowiłem się i powiedziałem, unosząc puchar:

– Twoje zdrowie, Redrak.

Zaczął kropić deszcz. Nad nami z ledwie słyszalnym szelestem rozwinęło się pole siłowe.

– Mając pieniądze, można żyć komfortowo na najbardziej zacofanej planecie. Ale nie na odwrót – zauważył Redrak.

– Na tej planecie już niedługo będzie bardzo gorąco – powiedziałem sucho.

Redrak zerknął spode łba.

– Jesteś tego pewien, Siergiej? Dla Fangów ta planeta nie ma żadnego znaczenia.

– Ma znaczenie strategiczne... – zacząłem.

Redrak z trudem stłumił śmiech.

– Kapitanie, przecież to nie bijatyka na miecze płaszczyznowe. Jaka może być pozycja strategiczna w pięciowymiarowej przestrzeni? Gdyby na planecie była baza wojskowa z flotą i statkami hiperprzechwytywania... A tak...

Zamilkłem. Właściciel kasyna dla wysoko postawionych osób znał się na sztuce wojennej nie gorzej niż ja. Kasyno dla wysoko postawionych... kasyno... Serce zabiło mi szybciej.

– Redrak – przeszedłem na szept – kto bawi się w tym twoim chlewie... teraz?

– Nie mogę podać nazwisk – powiedział z urazą Redrak.

– Podaj stanowiska, pilocie! I spróbuj wreszcie ruszyć głową!

– Wiceprezydent She... z pewnej planety. Dowódca sztabu...

federacji planet. Główny koordynator związku galaktycznego przemysłowców. – Redrak mówił coraz wolniej. Chyba zrozumiał. – Pułkownik Ma... jednej z brygad projektu „Siewcy”.

– Aż tak? – zapytałem stropiony.

– Ziemianie to też ludzie... i lubią hazard – wymamrotał Redrak.

– Teraz już rozumiesz?

– Ale... położenie kasyna na Ar-Na-Tinie to tajemnica! Nikt z gości nie wychodził z tego budynku!

– Zdradę wykluczasz?

Redrak milczał.

– A wiedzę absolutną?

– Co to takiego?

– Obojętni, Redrak. Bajka twojego dzieciństwa. Taka sama, jak bajka o Siewcach.

– To niemożliwe, kapitanie – wyszeptał Redrak. – Nawet gdyby Fangowie się dowiedzieli... Żeby zablokować hipertunel, trzeba mieć ze dwadzieścia statków przechwytyjących. Słabo zorientowany wektor...

– Redrak, o teorii hiperprzestrzeni wiem niewiele więcej niż o balecie. Ale zapewniam cię, Fangowie mają te dwadzieścia statków! Jeśli wezmą do niewoli albo zabiją przywódców najbardziej rozwiniętych planet galaktyki, będzie po nas. Ta wojna potrwa pół godziny, nie będzie czasu na przygotowanie zastępstw!

Redrak patrzył na mnie w milczeniu. Niewiele się zmienił, tylko twarz zeszczipiała, stała się bardziej smutna.

– Co proponujesz?

– Odeślij swoich klientów do domu. Uprzedź ich o zagrożeniu atakiem Fangów. Niech każdy z nich wyśle kilka statków dla ochrony Ar-Na-Tina.

Redrak gwałtownie cisnął pucharem w mglistą tarczę pola siłowego. Parasol energetyczny z piskiem niezadowolenia przepuścił przez siebie kawałek metalu i pół litra płynu.

– Nie, Siergiej.

– Co?

Stropiłem się. Może dlatego, że niegdyś Redrak, spętany hipnokodem, nigdy mi się nie sprzeciwiał. Nawet wtedy, gdy wydałem rozkaz... Redrak podporządkował się, przytłoczony nieprawdopodobnym faktem, że jestem Siewcą, władcą Świątyni, ożywionym bogiem.

– Siergiej, nie mogę wyrzucić swoich gości. To... to byłoby ze szkodą dla mojego interesu. Zaszkoziłoby mojej reputacji. A tym bardziej nie mogę zdradzić, gdzie znajduje się Złote Kasyno. Sam rozumiesz, czynnik psychologiczny...

Tak, rozumiałem. Lecz musiałem nalegać, ponieważ wiedziałem.

– Oszalałeś. Fangowie szykują atak na twoją planetę. Mam gdzieś, że mafia rządzi tym światem. Ale jeśli nie chce go chronić...

– Siergiej, nie mogę zniszczyć swojego interesu! Życie to gra. I to ja mam w ręku asy.

Pokręciłem głową.

– Nie, Redrak. To ja mam asy. Jeśli nie możesz gwizdnąć na swój biznes... Cóż, statki Tara pomogą ci zrozumieć sytuację.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Przyjaciele i wrogowie, którzy widzieli śmierć z bliska. Jeden z nas był panem, drugi niewolnikiem.

Przez twarz Redraka przemknął smutek.

– Siergiej... Kapitanie, Siewco, przyjacielu, lordzie!

Poczułem dreszcz.

– Siergiej... Czy ty naprawdę nie rozumiesz? Nie masz władzy na statkami Tara! Ani nad planetami sprzymierzonymi! Twoja władza to tylko tradycja, teksty w starych ksiązkach, stare bajki, wyprawy fanatyków! Światami rządzą pieniądze, ponieważ to one są siłą. Terry pozwolono wrócić na tron, ponieważ to przyciągnie turystów – jedyna królewska rodzina w galaktyce. Ale jeśli rozkażesz statkom zaatakować Ar-Na-Tin i mnie, dowódcy sztabów przypomną sobie, kto włada Tarem.

Milczałem. To ja byłem niewolnikiem. Panem był Redrak.

– Siergiej, nie chciałem ci tego mówić. Do moich planet należy również Tar. Dopóki księżniczka... imperatorowa Tara wysyła statki na poszukiwanie swojego męża, to jeszcze można

znieść. Ale gdy rozkaże szturmować Ar-Na-Tin, prawda wyjdzie na jaw.

Milczałem.

– Siergiej... Ten świat należy do mnie. Rozkażę zmobilizować wszystkie siły, postawię armię w stan gotowości. Cała armia Ar-Na-Tina będzie ci posłuszna. Ale zrozum, nie ty rządzisz. Rządzi siła. Nie przerąbiesz jej mieczem, nawet atomowym. Broń Ar-Na-Tina, Ziemi, Tara. Walcz, bo umiesz i lubisz to robić. Tylko pamiętaj: rządzi siła, a nie imperator Tara!

Odwróciłem się i wyszedłem, zostawiając właściciela Ar-Na-Tina, byłego pirata i pilota Redraka.

– Siergiej, nie masz racji! Pomogę ci, tylko zrozum... Splunąłem i wszedłem w dziurę windy grawitacyjnej.

3. Niebieski pył

Terry, kocham cię – powiedziałem. Ekran pokrył się zakłóceniami, widocznie obok promienia łączności przeszedł statek – ziemski, tauryjski, a może statek Fangów, co za różnica...

– Siergiej, jesteś pewien, że na Ar-Na-Tinie wszystko jest w porządku?

Terry patrzyła z niepokojem i nieufnie. Zbyt dobrze się znaliśmy...

– Terry, wszystko jest w najlepszym porządku. Tą planetą rządzi Redrak, mój przyjaciel. Zabrałem z miejscowej Świątyni wszystkie statki...

...zaledwie trzy, Świątynia nie jest przystosowana do obrony planety.

– ...krążownik i kutry patrolowe Tara, zmobilizowałem miejscowych wojaków. Wszystko będzie dobrze, Terry.

– Mogę wydać rozkaz sztabowi wojskowemu Tara. Oni są przeciwni, ale trzy lub cztery krążowniki...

– Nie trzeba, Terry. Wszystko jest w porządku. Proszę, nie denerwuj się. Będzie dobrze.

Skinęła głową, niepewnie, jakby wbrew sobie. Dziewczynka, którą kiedyś umiałem kochać, Terry Tar, imperatorowa.

– Terry, wszystko w porządku. Kończę. Mam mnóstwo spraw. Kocham cię.

Ekran zgasł.

– Kłamałeś, Siergiej? – zapytał z wysiłkiem Lans.

– Oczywiście. Przecież nie umiem kochać.

Wstałem z fotela i popatrzyłem Lansowi w oczy.

– To nic, ten świat opiera się nie tylko na przyjaźni i miłości. Rozumiesz? Jest jeszcze praca, są sprawy, które trzeba załatwić.

– Łatwiej je odebrać niż przyjaciół.

– Nie, Lans. Sens życia można odebrać tylko razem z życiem. Uwierz mi.

– Wierzę ci, kapitanie.

Zastanawiałem się tylko sekundę. Krzyknąłem:

– Kuter! Natychmiast! – zawołałem.

Szara mgła. Zimno. Bezcielesne cienie. I fotel kutra stworzonego przez statek Siewców na mój rozkaz.

– Naprzód – westchnąłem. – Dwa dźwiękowe, trzy... Czarna kula grawikompensatora skurczyła się. Opływowa sylwetka statku znikła. Pod kutrem płynął nagi step.

– Jeszcze szybciej – wyszeptałem. – Jeszcze...

Wzlot z planety? – zapytał statek.

– Nie. Maksymalna szybkość nad powierzchnią.

Od kogo uciekamy?

– Ode mnie.

W takim razie nie uciekniemy. Zaśmiałem się.

– Jesteś rozumny?

W ograniczonym stopniu. Jestem odbiciem twojego rozumu.

– W takim razie nie uciekniemy... Szybciej! Zielonoszary step, niekończąca się wstęga pod pędzącym kutrem. Żółte niebo w pęknięciach ołowianych chmur.

– Wiesz, w jakim gównie siedzę?

Wiem.

– Masz dla mnie jakąś radę?

Przerwa. Szarozielono, błękitnie... Na tej planecie woda nie jest rzadkością, w przeciwnym razie Ar-Na-Tin nie stałby się eksporterem żywności.

Żyj. Walcz.

– Kradniesz odpowiedzi z moich myśli.

To znaczy, że nadal żyjesz i walczysz.

Skinąłem głową i przymknąłem powieki.

– Leć. Dopóki można, leć.

Szaro-zielono-błękitnie. Rozszerzający się grawikompensator.

Jestem w pułapce swojego marzenia i swoich czynów. Nie umiem kochać, nie znam przyjaźni. Jestem zmuszony walczyć, posłuszny planom Obojętnych. Ciekawe, czy przewidzieli moją śmierć? Wystarczy wydać kutrowi rozkaz... jest rozumny w stopniu ograniczonym, ale jeśli moje pragnienie jest prawdziwe, wyłączy ochronę i wbije się w żyzną glebę Ar-Na-Tina.

Kula grawikompensatora ścisnęła się, ale inercja była silniejsza – potrząsnęło mną w troskliwych objęciach fotela.

– Co się stało? – wychrypiałem. Z przygryzionej wargi płynęła krew. *Przed nami są ludzie – oznajmił beznamiętnie kuter. – Kontynuować ruch czy zmienić wysokość?*

Mądra maszyna stworzona przez Siewców przeleciałaby spokojnie przez żywych ludzi...

– Lądowanie – zakomenderowałem. – Ląduj i otwórz luk.

Trawa była fioletowa. Utonąłem po pierś w miękkich puszystych miotełkach, małych niebieskawych kwiatostanach, w suchej łamliwej słomie, dochodzącej do kolan. Hojny świat... Skazany świat.

Szara kropla kutra zastygła za moimi plecami. Rozcapierzone stabilizatory, otwarte kraty silników. Poklepałem gorącą burtę i ruszyłem przez morze traw.

To był płaskowyż: po lewej i prawej stronie wznosiły się łańcuchy górskie, przede mną, dwieście metrów dalej, trawa rzedła, obnażając spadające w przepaść czerwone zbocze. W dali, na linii horyzontu ciemniały małe budynki.

– Co to za miasto? – zapytałem błyszczący pyłek czujnika przyklejony do kołnierza kombinezonu.

To nie miasto – zaszeleściło w głowie. – Hejor to ośrodek przetwórstwa mięsnego z przyległym kosmoportem komunikacji towarowej i osiedlami robotników.

– Jasne. A gdzie są ludzie... przez których się zatrzymałeś?

Przed nami.

Szedłem dalej. Niebo zasnuły szare chmury, ale deszczu, chwała Siewcom, nie było. Krajobraz i bez niego był wyjątkowo posepny. Kołysane wiatrem ciemnofioletowe morze traw i ołowiany dach nieba. O dziwo, nie było ciemno; gwiazda Ar-Na-Tin jest półtora raza jaśniejsza od Słońca Ziemi.

– Naprzód, przez alpejskie łąki Ar-Na-Tina! – wrzasnąłem. – Ku niewiadomym ludziom! Do cywilizacji i kombinatu mięsnego, co na tej planecie oznacza to samo...

Nie rozumiem.

– I bardzo dobrze.

Nagle poczułem się lekko. Tak się dzieje, gdy zrobiłeś wszystko, co mogłeś, a cała reszta po prostu nie jest w ludzkiej mocy. Można się uśmiechać, kierując płonący samolot na czołgi wroga. Można komenderować własnym rozstrzelaniem. Można zaszcześcić sobie nieuleczalną chorobę i skrupulatnie notować w dzienniku, jak lodowacieją palce...

Zrobiłem wszystko, co mogłem.

Straciłem więcej, niż może stracić człowiek. Miłość i przyjaźń. Co zostaje? Praca?

Mój zawód to zabijanie. Można użyć pięknych słów: walczyłem o swoją miłość, o swoją planetę... To nieważne. Nie wolno zabijać w imię życia, a ja zabijałem. Szedłem pod prąd. Taranowałem tych, którzy stawali mi na drodze.

Nie umiem inaczej.

Śmiałem się, łamiąc splątane łądygi fioletowej trawy. Cierpko pachnący pył osypał mnie niebieskimi kroplami...

Redrak, ty łajdaku! Niebieski pył to narkotyk z planety Faa. Skąd na Ar-Na-Tinie, planecie, na której rośliny są zielone od chlorofilu, wzięły się fioletowe trawy Faa?...

Szarpnąłem kaptur, zasłaniając głowę. Kompresor zamruczał niezadowolony, owiewając twarz przefiltrowanym powietrzem. Zakłuło pod łopatką, w zgięciu łokcia, na brzuchu – to włączyły się autozastrzyki, jeśli naprawdę nacisnąłem sensor trybu medycznego kombinezonu. Skoro idę przez plantację trawy szczęścia z Faa, pojęcia snu i jawy już dawno się przemieszały.

– Redrak... – wyszeptałem. – Ty ogłupiały gangsterze... ty kulawy kretynie...

Połączyć? – zapytał usłużnie kuter.

– Tak! Łączyć z człowiekiem o imieniu Redrak, numer jest w mojej świadomości. Przekazać słowa: „Redrak, zapłacisz za swoje kłamstwa”.

Wykonują.

To mogło być zarówno jawą, jak i halucynacją. Skoro już zapędziłem się na pole niebieskiego pyłu, żaden lekarz nie może ręczyć za moje zdrowie psychiczne.

Kiedy nie możesz się obudzić, najlepiej postępować tak, jakby wszystko działało się naprawdę. Szedłem przez fioletową dżunglę, obłąkańczo uśmiechnięty, od czasu do czasu wyciągając atomowy miecz i kosząc przed sobą szczególnie gęstą trawę.

Plantacja się skończyła. Przystanąłem, łapczywie wciągając zimne powietrze bijące z filtrów kombinezonu. Wsunąłem miecz do pochwy, z trudem przypominając sobie, że najpierw trzeba wyłączyć tryb ostrzenia.

Na skraju urwiska fioletowa trawa była niska, do kostek. Może brakowało jej wody albo mikroelementów...

Wzdłuż przepaści ciągnął się długi, równy placyk, ledwie tknięty fioletowym draństwem. Po nim, przekrzykując się, biegalo ze dwudziestu chłopców. Czarno-biała piłka do nogi migala pomiędzy nimi.

Oto i halucynacje. Wyciągnąłem miecz i skosiłem jeszcze kilka garści narkotycznej trawy. Rzuciłem je na ziemię, robiąc sobie wygodne posłanie, i położyłem się wśród fioletowego morza pod ołowianym niebem.

Halucynacje. Na planecie Ar-Na-Tin nie gra się w piłkę. Przede mną biegają albo zbieracze pyłku, albo w ogóle nikogo nie ma. Co mogliby tu robić chłopcy, tysiąc kilometrów od miasta, sto kilometrów od osiedla Hejor?

Rzeczywiście wystarczyłoby ich na dwie drużyny. I jeszcze kilku siedziało na trawie, obserwując grę. Jeden z chłopców odwrócił się i pomachał mi ręką.

Halucynacje... Mieszkańcy Ar-Na-Tina, tym bardziej dzieci, nie są aż tak przyzwyczajone do widoku kosmicznych kutrów, żeby nie zwracać na nie uwagi. Ale tego chłopca skądś znałem.

Pilne połączenie – pisnął głosik. W tym momencie, odsuwając wszystkie wątpliwości i przywidzenia, w słuchawkach rozległ się głos Lansa:

– Siergiej, odpowiedz, Siergiej, odpowiedz...

– Słucham.

Nie chciało mi się wstawać. Czy to nie wszystko jedno, co Lans chce mi powiedzieć? Jakie to może mieć znaczenie dla człowieka błakającego się wśród truskawkowych pól Ar-Na-Tina? Truskawkowe pola i Lucy na niebie z diamentami... Zabrano mi moją miłość, zostawcie chociaż sny!

– Siergiej, nad planetą zauważono krążownik Fangów... Wyszedł z hiperprzestrzeni trzy minuty temu, zniszczył kuter patrolowy i obrał kurs bojowy. Siergiej! Nasz krążownik i świątynny statek z Ernadem idą na przejęcie, zbliżenie za półtorej minuty... Słyszysz?

– Tak.

Chłopcy na skraju przepaści przestali ganiać za piłką. Najstarszy, może osiemnastoletni, kopnął ją za krawędź. Czarno-biała kula sunęła na tle szarego nieba, wyruszając w długą drogę ku ziemi.

Czarno-biała piłka. Czarno-lustrzana kula świątyni. Spadanie jako symbol katastrofy. Chłopcy to chronokolonisci... A może moi przyjaciele? To brednie. I Lans też opowiada brednie... Chyba.

– Siergiej... mamy dane od Świątyni. Na krążownikach nie ma pocisków kwarkowych. Słyszysz? Siergiej?

– Tak. Oni nie potrzebują obłoku pyłu. Chcą przejąć planetę.

– Gdzie jesteś? Statek odmawia podania punktów orientacyjnych!

– Nieważne. – Wstałem, obserwując chłopców nad przepaścią. Zbili się w gromadkę, jakby o czymś rozmawiając. I tylko ja wiedziałem, że milczą.

– Siergiej, Fangowie wystrzelili rakiety w Rjom, Hejor, Schey... Statki Ar-Na-Tina idą na przejęcie. Gdzie jesteś?

– Pięćdziesiąt kilometrów od Hejora. – Odczepiłem pas z mieczem, popatrzyłem na szare niebo. Z chmur powinien padać deszcz, w przeciwnym razie chmury są bez sensu. Żołnierz powinien walczyć, w przeciwnym razie nie jest potrzebny.

Nie będę walczył, moi panowie i dyrygenci. Tej wojny nie da się wygrać mieczem, nawet płaszczyznowym.

– Siergiej, jesteś w kutrze? Włącz osłonę! Rakiety Fangów mają głowice jądrowe! Słyszysz? Pociski jądrowe, absolutna śmierć w promieniu stu kilometrów! Jesteś w kutrze? Co z tobą, kapitanie? Zaczynam odliczanie...

Uciekałem. Od kutra, do pancerza siłowego, od osłony temporalnej, od hiperprzestrzennej skorupy. Od wszystkiego, co było gotowe mnie ochronić – mnie, Siewcę, władcę świata, ośrodek wszechświata. Niech Redrak kpi sobie z mojej władzy, teraz dzielę los poddanych jego planety.

Nawet we śnie trzeba postępować jak na jawie.

Biegłem przez niską fioletową trawę, a pojemnik z blokiem ochronnym miękko uderzał mnie w biodro. Chłopcy stali nad przepaścią – nierówny, czekający na coś szereg. W słuchawkach, zagłuszając słowa Lansa, syczały mechaniczne głosy:

– Osiem... ngi spadają, podchodzą stat... Siedem... Ar-Na-Tin, słyszysz? Sześć... jesteś w kutrze? Na prze... Pięć. Nie zdążą... rakie... Cztery... nie da się powstrzymać... włą... Trzy...

Nie zdążę. Nie osłonę polem siłowym indywidualnego bloku ochronnego ponad dwudziestu ludzi. Może jednego, może dwóch, jeśli przytulę ich do siebie.

– Dwa...

Czas się rozciągnął, sekundy przemieniły się w minuty, wszystko jedno, i tak nie zdążę. A chłopcy patrzyli na skazane miasto, jakby wiedzieli, że jest skazane, jakby mieli w nosie

termiczną „brownowską” bombę, wykorzystującą efekt samorzutnego wzmożenia ruchu cząsteczek i przemieniającą świat wokół siebie w rozpaloną parę...

– Jeden...

Patrzył na mnie ten dwunastoletni chłopiec, który stał najbliżej, który machał do mnie ręką, którego skądś znałem... Skoczyłem, próbując pokonać ostatnie metry.

– Zero.

Blok osłony zawył, rejestrując to, co jeszcze było niedostępne ludzkim zmysłom. Wstrząs i odrzut do tyłu.

Halucynacje. Powinno było odrzucić chłopca, który znalazł się na drodze pola siłowego. Wybacz, nie zdążyłem...

Pomiędzy nami migotała ledwie widoczna błękitna błona – granica życia i śmierci. Chłopiec uśmiechał się. Wreszcie go poznałem! Ale on umarł sto lat temu, znikł w strumieniu czasu... Mój mały przyjaciel... Dziwne, nadal myślałem o nim jako przyjacielu. Może dlatego, że wiedziałem, że już nigdy się nie spotkamy?

Nad Hejorem unosił się biały blask. Strefa ciepła wyginała się łagodnie, tworząc półkulę. Chmury dotykały jej i topniały, obnażając żółte niebo. Biała tarcza słońca tonęła w lśnieniu termicznej eksplozji.

Trawa pochyliła się, przygnieciona gorącym wiatrem. Widziałem, jak trzepoczą kolorowe stroje chłopców, jak zwijają się od żaru ich włosy. Chłopiec, który był moim przyjacielem, patrzył na mnie i na jego twarzy widziałem ból, ale nie strach...

Świat na chwilę zastygł, znieruchomiał na nieuchwytnej granicy życia i śmierci. Widziałem wszystko, nie własnymi oczami, nie obcym spojrzeniem, lecz w sposób straszny i kuszący... Nadzmysłem Obojętnych.

Świat oszalałych molekuł, świat rozprzestrzenianej energii... Znałem równania samorzutnego efektu cieplnego – wojskową tajemnicę Ziemi i Fanga, znałem tak samo jak budowę miecza atomowego czy sześciowymiarową strukturę kosmosu.

Wyżej według struktury informacyjnej, niżej w stopniu kontroli. Stałem na parzącym wietrze, czując, jak krew wrze mi w żyłach, jak wysycha w czaszce mózg. Rozkosz bólu – znajoma, pradawna, odwieczna rozkosz. Rozkosz piękna – tak samo znajoma i cudowna. Żółte niebo ponad fioletową trawą, ujęte w przezroczysty pomarańczowy płomień. Osypujące się kamienie. Zapach płonącego ubrania. Bezbronny człowiek w kruchej błonie pola siłowego, sparaliżowany odbłyskiem moich emocji. Już kiedyś go ratowałem, wzmacniając pole siłowe na Somacie. Teraz trzeba będzie zrobić to samo. On jeszcze nie przeszedł swojej drogi. Jeszcze jest potrzebny... Ale myśli bledną, gasną. Zniszczenie struktur biologicznych, przejście do kształtu absolutnego...

...Obce odczucia spływały falą. Patrzyłem, jak płonie ubranie chłopca, który był moim

przyjacielem... a raczej – jego kopii... jego prototypu. I jedyne, o czym zdążyłem pomyśleć, nim kolejny futerał Objętnego rozsypie się w proch, nim jego nadrozum zniknie z punktu przestrzeni Ar-Na-Tina, to: „Bądź przeklęty”.

A potem chmura czarnego popiołu zasnęła niebo i zobaczyłem błysk w miejscu Hejora. Żar znikł, pojawił się chłód – nieunikniona zapłata za chwilę ognistego cyklonu. Nieruchome cząsteczki wysysały energię z przestrzeni, a ja jeszcze pamiętałem równanie tego procesu odbłyskami nadświadomości Obojętnych.

– Kuter... – wyszeptałem w zimną czarną zamieć. Moją twarz i ręce porastała skorupka lodu; generator pola wyczerpał się albo nie był przystosowany do ochrony przed molekularnym zimnem. – Kutrze, zabierz mnie... Kurs na Ar-Na-Tin... do Lansa, do sztabu...

Mamrotałem, siedząc już w fotelu pod strumieniem gorącego powietrza. Lód topniał, zmieniając się w brudną wodę. Ale gdzieś w głębi serca pozostał okruch lodu i żadne wysiłki kutra nie mogły go roztopić.

4. Na ostrzu igły

Statek Siewców – najpewniejsza kryjówka na Ar-Na-Tinie – został zamieniony w sztab. Jego wnętrze przybrało teraz wygląd przestronnej, okrągłej sali, podzielonej szklanymi przegródkami. Za jedną z nich siedzieli przy terminalach oficerowie Ar-Na-Tina. Miejscowe wyposażenie wyglądało głupio na środku super-statku, ale łatwiej było przenieść je tutaj, niż przeszkalać ludzi do pracy ze sterowaniem myślowym.

– Nasz krążownik jest uszkodzony – powiedział ponuro Lans. – Trwają prace remontowe... Krążownik Fangów został zniszczony.

Napiłem się kawy z filiżanki. Gorący płyn spłynął przez przewód pokarmowy i dotarł do lodowatej pustyni. Gdyby mi powiedziano, że w środku mnie pada śnieg, wcale bym się nie dziwił.

– Jeńcy są?

– Nie. Krążownik przejęły kutry Ar-Na-Tina... Tu jest niewiele miast, a w Hejorze i Rjomie wszyscy mieli przyjaciół czy krewnych... Rakieta idącą na Schey udało się przechwycić, tam straty są minimalne.

Skinąłem głową i dopiłem kawę.

– Gdzie twój miecz? – zapytał Lans.

– Tam gdzie Hejor. Dziękuję, Lans. Dobrze pracowałeś, w czasie gdy ja rozwiązywałem rebusy.

– O czym ty mówisz?

– Nieważne. Omal nie zawarłem znajomości z Obojętnymi.

Lans nie zdążył o nic więcej zapytać.

Kapitanie, ma pan gościa. Redrak, znany jako...

– Wpuść.

W ścianie pojawił się otwór i przed nami stanął Redrak. Miał na sobie kombinezon bojowy starego typu, w rodzaju tych, których używaliśmy na „Terrze”. Uśmiechnąłem się, Lans skinął głową na powitanie – nic nie wiedział o mojej rozmowie z byłym pilotem.

Redrak milczał.

– Co słyhać? – zapytałem. – Udało ci się wygrać kolejną planetę zamiast tego żalosego światka? Ar-Na-Tin długo nie pociągnie.

– Miałeś rację – powiedział cicho Redrak.

– Oglądałeś obrazki? Hejor... Zresztą Bóg z nim, w końcu to tylko kombinat mięsny. Rjom jest znacznie bardziej interesujący. Duże miasto, półtora miliona ludności. Nagranie!

W powietrzu przed nami pojawił się ekran. Jakby otworzyło się okno do piekła. Płonąca równina połyskująca szkliscie w promieniach słońca. Morze ognia, skute lodowatymi brzegami,

czarny popiół zaścielający żółte niebo.

– Morze ognia, Redrak – powiedziałem ze złością. – Powtórka z przyszłych działań apokalipsy. Podoba ci się?

– W Rjomie mieszkała moja... – Redrak zająknął się – ...kobieta. Zostałem ukarany, Siergieju. Nie uwierzyłem i zostałem ukarany.

– Po co przyszedłeś?

– Okazać posłuszeństwo.

Pokręciłem głową i podszedłem do Redraka. Ekran znikł, gdy się przybliżyłem.

– Czy ty to robisz specjalnie? – zapytałem. – Komplikujesz sytuację po to, żeby potem mieć co robić?

– Chciałem być... – Redrak na chwilę przymknął oczy, odetchnął – ...silniejszy od ciebie. Stanąc wyżej niż ty, lordzie. Chciałem udowodnić, że nie jesteśmy gorsi od Siewców. Ludzie nazywają nas chronokolonistami. Jesteśmy niczym homunkulusy, marionetki. Ale jednak ludzie.

Teraz Redrak mówił po rosyjsku – nawet nie zauważyłem, kiedy zrezygnował ze standardu.

– Czy ja kiedykolwiek mówiłem, że Siewcy stoją wyżej niż ich potomkowie? – zapytałem, akcentując ostatnie słowo.

Redrak milczał.

– Odpowiadaj swojemu imperatorowi! – krzyknął Lans.

Redrak drgnął i powtórzył bezbarwnym głosem:

Jestem winien. Miałeś rację. Zostałem ukarany. Posłuszne mojemu pragnieniu, w powietrzu zmaterializowały się fotele. Światło przygasło, szklane przegrody utraciły przezroczystość.

– Redrak, nie mam pojęcia, co teraz zrobić – powiedziałem ze zmęczeniem. – Gdybyś usunął stąd swoich klientów, Fangowie dostaliby wydmuszkę zamiast planety. Bez zakładników Ar-Na-Tin nie jest nic wart. Ale teraz... Sprawdziłeś hipertunele?

– Naprowadzanie nie działa – odpowiedział bardzo cicho Redrak. – Hipertunele zostały przechwycone... na wszystkich wektorach...

– Naprowadź kanał na Rantori Ra – poleciłem – i wyślij przez hipertunel bombę ozonową. Z sekundowym zwolnieniem wybuchu.

Redrak podniósł wzrok i uśmiechnął się słabo.

– Taka sztuczka uda się tylko raz – mówiłem dalej. – Fangowie zaczną określać charakter przesyłanego ładunku. Ale będą mieli o jeden statek przechwytyjący mniej.

Redrak bez słowa skinął głową.

– Co jeszcze możemy zrobić? – zapytałem. – W końcu to ty jesteś piratem... rozbójnikiem z kosmicznego traktu. Mów! Rozdać broń ludności?

– Już to robimy.

– Przygotowanie psychologiczne typu „umrzemy za ojczyznę, święta wojna, Fangowie

zjadają niemowlęta”...

– Wszystkie media pękają od tego w szwach. – Redrak wzruszył ramionami. – Jedzą niemowlęta? Nieźle brzmi. Moi chłopcy podawali, że są wampirami, gwałcą ludzkie kobiety...

– Kastrują mężczyzn – ciągnąłem. – Niech twoi prorocy bardziej się postarają, jak wtedy, gdy zachwalali gry hazardowe... i produkcję niebieskiego pyłu.

Redrak znowu spuścił głowę.

– Armia – rozmyślałem na głos. – Nagrody, odznaczenia, premie, sto gramów dla każdego...

Lans uśmiechnął się sceptycznie.

– Sto rano i sto wieczorem – dokończyłem. – Spirytusu.

– Już to mają – oznajmił Lans.

– Przygotowanie podziemia, na wypadek gdybyśmy nie utrzymali planety.

– Załatwiamy – powiedział Redrak szybko, jakby próbując się zrehabilitować.

– Co jeszcze?

– Pomoc zewnętrzna. Połączyłem się z rządami moich planet. Wyślą statki.

– Doskonale. Będą jeszcze klenijskie... Domu Aler.

– Jeśli zdążymy zebrać wszystkie siły, nie wezmą nas tak łatwo – w głosie Redraka pojawiła się nikła nadzieja.

– Jak sądzisz? Zdążymy?

– Pierwsze statki przybędą za dziesięć, dwanaście godzin... Tylko Siewcy zdążyliby wcześniej. – Redrak zamilkł na chwilę. – Wątpię, kapitanie. Fangowie zaatakują nas za dwie, trzy godziny i postarają się przejąć Ar-Na-Tin do zachodu słońca. To kolejne sześć godzin. A gdy już zdobędą planetę, nie damy rady ich wykurzyć.

– Wyjaśnij sytuację swoim klientom. Rozdaj broń. Jeśli wśród nich są wojskowi, niech przyjdą do sztabu. Idź.

Redrak powlókł się do ściany, w której znowu pojawił się otwór.

– Stój! Redrak... Jeśli zobaczą, że nie zdołamy utrzymać planety, że twoi wysoko postawieni goście staną się zakładnikami, wydam Świątyni rozkaz aktywizowania bomby kwarkowej.

Redrak skamieniał.

– Nie możesz wydać takiego rozkazu, Siergiej – powiedział cicho, kręcąc głową.

– Mogę, ponieważ ja też będę na planecie. To będzie walka na śmierć i życie, Redrak.

Były pirat znikł. Popatrzyłem na Lansa.

– Nie mam prawa wydać takiego rozkazu – wyjaśniłem mu. – Szkoda, bo nie wahałbym się. Gdyby Fangowie mieli dyktować swoją wolę rządcom najbardziej rozwiniętych planet... Lans, zostaw mnie na pół godziny. Chcę odpocząć.

Lans skinął głową, ale nie wyszedł.

– Siergiej, a co z pomocą Siewców?

– Jaką pomocą? Przecież sam dla nich pracowałeś. Siewcy chcą, żeby Fangowie i chronokolonie starły się w tym sektorze. Ziemia nam nie pomoże.

– Mówisz o kierownictwie – powiedział cicho Lans. – O Maccordzie i tych, którzy stoją za nim. A ja znam formacje bojowe Siewców od wewnątrz. Grupy desantowe, statki wsparcia...

– Bzdura! Dyscyplina wojskowa... – zacząłem i urwałem.

To wszystko było tak niedawno, najwyżej dziesięć lat temu... gwizdzę na czas absolutny, mierzę życie swoimi godzinami. Góry tak piękne, że aż nierealne, że pragnie się zrzucić ciężką kamizelkę kuloodporną i wyciągnąć w ciepłym słońcu... Spróbuj zrzucić! Chyba że ci życie obrzydło...

Stoimy wokół człowieka w mundurze, który jeszcze żyje – niestety. Nie daj Boże, żeby lekarze uratowali tego okaleczonego, umęczonego, pozbawionego płci chłopaka, którego wezwano do wojska, żeby pogodził dwa wściekłe narody.

Pilot naszego helikoptera patrzy na porucznika. Ten odwraca wzrok. Mamy zakaz walki. Pognali nas na śmierć, na rzeź prezydenci i premierzy w wykrochmalonych koszulach, tak lubiący demonstrować swoje pokojowe zamiary pod lufami kamer telewizyjnych.

– To prowokacja... – odzywa się porucznik. A pilot, jakby nie słysząc, mówi:

– Trzy kilometry stąd jest wioska.

– Czyja? – nie wytrzymuje porucznik.

– Jednych albo drugich – odpowiada obojętnie pilot. – Podlecę i wystrzelę.

– Masz numer na boku, zobaczą...

– No to dokończycie za mnie.

Kamizelka już nie przytłacza, automat stał się przedłużeniem ręki. A rozkazy... od kiedy słuchają ich ci, którzy kroczą ramię w ramię ze śmiercią?

– Lans – przerwałem napływające wspomnienia – połącz się z kim możesz, wyjaśnij, co się dzieje. Niech będą obok, gdy się wszystko zacznie. Pewnie zbyt dużo zapomniałem.

Lans skinął głową i wyszedł. Błyskawicznie, nie czekając na rozkaz, światło zgasło, a z podłogi wysunęło się niskie, szerokie łóżko.

– Dziękuję – powiedziałem do ścian i położyłem się. – Muszę odpocząć... z godzinę, nie więcej. Potem sprzątniesz.

Szedłem przez zamieć, po gładkim jak szkło lodzie bezkresnej równiny. Na horyzoncie płonął purpurowy ogień. Płatki śniegu w jego świetle wydawały się czarne. A może takie właśnie były.

– Wiesz, gdzie jesteś?

Głos płynął z tyłu – cichy, dziwnie znajomy głos.

– Wiem – wyszeptałem. – Hejor. Epicentrum wybuchu ciepłego.

- Nie odwracaj się.
- Nie mam zamiaru. I tak wiem, kim jesteś, Obojętny.

Cisza, tylko słaby szelest śniegu. Dokąd ja idę? Po co? I jak znalazłem się na braterskiej mogile Hejora?

- Dlaczego nie mogę się odwrócić?
- Odpowiedź za odpowiedź.
- Dobrze. Dlaczego nie mogę się odwrócić?
- Żebyś nie zobaczył mojej twarzy.
- Nie sądzę, żeby mnie zdumiała. Jesteś w stanie przyjąć dowolną postać?
- Oczywiście. Ale lepiej, żebyś jej nie widział. Teraz moje pytanie. Kiedy zrozumiałeś?
- Co zrozumiałem? – zaśmiałem się. – Po co miałbyś zadawać pytania, Obojętny? Przecież dla ciebie nie ma tajemnic, prawda? Możesz otrzymać odpowiedź na dowolne pytanie...

– Znam odpowiedzi tylko wtedy, gdy pytania sami niepotrzebne... Padłem na kolana, na gładki jak szkło lód, na topniejące jak lód szkło i zapytałem:

- Obojętny, co to jest? Sen, halucynacja, rzeczywistość?
- Tak bardzo potrzebujesz odpowiedzi?
- Tak!

– To sen. Ale nie traktuj go jak majaczenia. Sen to tylko inna strona życia. Strona poza czasem i przestrzenią.

- I ty możesz w niego ingerować.

– Mogę. Mam bardzo mało możliwości – sen, majaki, hiperprzejście tunelowe. Tylko te chwile, gdy nie wierzysz w rzeczywistość tego, co się dzieje. Gdy nie ma punktów orientacyjnych, gdy prawda i kłamstwo są jak dwa odbicia w zwierciadle świadomości. Gdy jesteś wolny.

– Jestem wolny wtedy, gdy rozumiem, co się dzieje. – Oderwałem dłonie od twarzy, palce były lodowate. Krótkie porywy wiatru ciskały we mnie czarny śnieżny pył. Za plecami niczym bezcielesny cień, niczym bezlitosny konwojent stał Obojętny. – Nic mi nie opowiadaj – powiedziałem. – Ale jeśli sam zgadnę, potwierdzisz?

- Tak.

– Za setki, tysiące, miliony lat cywilizacja Fangów zdobędzie absolutną kontrolę nad czasem i przestrzenią. Tak?

Cisza. Zaśmiałem się.

– Otóż to. Tak właśnie myślałem. Za setki i miliony lat cywilizacje i ludzi, i Fangów zdobędą potęgę absolutną. Tak?

- Tak.

– Przeciwnieństwa się przyciągają, nieprawdaż, Obojętny? – Wstałem, wystawiając twarz pod

zimne uderzenia wiatru. – Ludzie, Fangowie, co za różnica, jeśli nie będzie ciał... i planet, na których można żyć. Po prostu wszechpotężny rozum. Nes... ten Fang, z którym walczyłem na Klenie, nie kłamał. Jesteście ich potomkami. I jednocześnie naszymi.

– Tak.

– A więc wojny nie będzie – powiedziałem. – Nie może być, w przeciwnym razie zniszczymy się nawzajem.

– Wojna będzie. Zginie Ziemia i Fang. Zginie większość ludności planet. Resztki cywilizacji powrócą do czasów barbarzyństwa. Dopiero po milionach lat jedni i drudzy znowu się spotkają... i odnajdą możliwość współpracy.

– Więc to jest możliwe?

– Wszystko jest możliwe.

– I możemy nie walczyć?

Przerwa... i obojętny głos Obojętnego:

– W rzeczywistości, w której ja istnieję, wojna była.

Skrzywiłem się.

– Nie jesteś lepszy od Siewców, Obojętny. Tak samo pewny niezmienności przeszłości i tak samo dążący do zachowania jej.

– Ja nie dążę, Siergiej. Jest mi wszystko jedno. Można zmienić przeszłość i wtedy wojny nie będzie.

– I ciebie też! – krzyknąłem wściekły. – Nie pojawisz się w ogóle!

– Dlaczego? Pojawię się jako efekt pokojowej współpracy ludzi i Fangów. Być może nawet o kilka milionów lat wcześniej...

Milczałem. Zrozumiałem – wreszcie zrozumiałem, z kim rozmawiam.

– Co tobą kieruje? – wyszeptałem. – Co?

– Nuda. Wiem wszystko i mogę wszystko. Dla mnie nie ma celów, bo są realizowane w momencie pojawienia się. Nie ma tajemnic, bo znam odpowiedzi zaraz po sformułowaniu pytania. Nie ma odległości i czasu, bo jestem wszędzie i zawsze.

– Żal mi cię, Boże – powiedziałem, odwracając się do nieruchomej postaci okrytej bezdenną ciemnością. – Żal mi cię.

– Teraz już wiesz – powiedział Obojętny.

– Tam na płaskowyżu koło jeziora Hejora to też byłeś ty – wyszeptałem. – Wszyscy, którzy tam byli, to ty... i Dańka z Ziemi to też ty. I moi wrogowie... Pokaż się!

Raczej poczułem, niż zobaczyłem, jak na wargach Obojętnego pojawił się uśmiech.

– Niech stanie się jasność – powiedział poważnie.

Niebo wybuchło białym płomieniem. Kolorowe cienie tańczyły na szklanej równinie.

Zobaczyłem twarz Obojętnego.

Twarz Boga.

Miliony twarzy. Shorrey Manhem, władca Gyar. Vaich, palijski wampir. Dańka z Ziemi. Mój przyjaciel Dos z XX wieku. Były sierżant wojsk imperatorskich, Ernado. Imperator Tara, imperatorowa Tara. Pirat Redrak Sholtry. Księżniczka. Tjer z planety Kleń. Fang o imieniu Nes. I miliony milionów twarzy, których nigdy nie widziałem i których zwyczajnie nie zdążę zobaczyć, bez względu na to, jak długo będę żył. I twarz zawsze patrząca na mnie ze szkła, z cienkiej warstewki amalgamatu...

– Jesteśmy twoimi marionetkami? – Nie było we mnie strachu ani urazy. Tylko lekki wstręt.

– Nie.

– Poczekaj – wyszeptałem. – Już zrozumiałem. Potrzebujesz tego, czego nie może dać ci siła. Potrzebujesz zapachu walki i bólu przegranej. Radości i smutku. Miłości i przyjaźni. Wszystkiego, czego jesteś pozbawiony.

– Tak.

– Życie i śmierć... jesteś pozbawiony wszystkiego. Żyjesz, dopóki my żyjemy. Nieważne, jak żyjemy. Więzień obozu koncentracyjnego czy milioner na pokładzie swojego jachtu, co za różnica. Spijaszesz nasze emocje, kochasz naszą miłością, nienawidzisz naszą nienawiścią. Jesteś tylko kliszą wychwytyjącą nasze uśmiechy i łzy, lustrem odbijającą cudze świece. Jesteś Bogiem.

Śmiałem się, stojąc w zimnym lśnieniu pośród szklanego morza.

– Biedny Boże! Jesteś tylko naszym cieniem. Wszystko możesz i niczego nie tworzysz. Nie czujesz takiej potrzeby. Jesteś słabszy od Siewców, którzy odważyli się nagiąć czas. Jesteś słabszy ode mnie, który postąpiłem wbrew swojemu losowi. Po co w ogóle zjawiasz się przed nami, Boże? Po co mówisz, po co przyjmujesz ludzkie oblicze? Dojadaj resztki naszych emocji, grzej się w ciepłe naszych uczuć. Śpij w swojej pajęczynie!

– Mogę ingerować.

Przestałem się śmiać. Patrzyłem na cień, który był wszystkim i niczym, nagle rozumiejąc: ten obojętny Bóg, jedyny, o wielu obliczach, który już wtrącił się do mojego losu, pozbawił mnie tego, czego sam jest pozbawiony – uczuć.

Obojętny podszedł bliżej. Jego twarz była teraz moją twarzą. Gwiżdżę na to. Sam zdecyduję, kto jest prawdziwy, a kto jest cieniem.

Nie ma Boga bez człowieka.

– Jest pewna chwila, Siergiej. Nie da się jej zmierzyć twoimi jednostkami czasu, ale ona jest. Gdy człowiek, w którego świadomości żyję, ginie, gdy ja uświadamiam sobie siebie... jest chwila, gdy już mogę wszystko, a jeszcze nie oduczyłem się pragnąć. Jestem cieniem ludzkich emocji, masz rację. Ale jeszcze mogę działać, nawet jeśli za chwilę stracę zainteresowanie.

– A więc, gdy zostałem pozbawiony miłości...

– Chwila, gdy w kwarkowym rozpadzie ginął pilot statku przechwytyjącego Fangów. Był

rozumny, a jego świadomość rysowała cię jako geniusza śmierci. Bezlitosnego zabójcę, dzielnego obrońcę swojej planety. On zachwycił się tobą, Siergiej. Po swojemu oczywiście. Widział w tobie pięknego wroga, a to dla Fangów najważniejsze.

Oślupiałem. Nocne koszmary, majaki, brednie. Genialne przebłyski i wyrzuty sumienia. Czym to zostało opłacone? Śmiercią tych, którzy nas znali? Ostatnią myślą umierającego? Czemu w takim razie zabójcy nie padali porażeni wolą Boga – posłusznego Boga, spełniającego wolę umierającego? Może dlatego, że mimo wszystko bardziej kochamy, niż nienawidzimy? I ostatnia nasza myśl biegnie do tych, którzy są nam bliscy, a nie do tych, których nienawidzimy...

– I kto opłacił twoją wizytę u mnie, Obojętny? – zapytałem. – Wróg czy przyjaciel?

– Czasem wróg może ofiarować więcej niż przyjaciel – rzekł obojętnie Obojętny. – Ale... przyszedłem tu z woli przyjaciela, Res-Or-Mjen. Przeszedłem z woli przyjaciela, bliski-mi-płci-męskiej...

– Tjer! – skoczyłem do Obojętnego. Do bezradnej lalki, do woskowej figury ulepionej przez ludzi. – Tjer, dziewczynko...

To była ona, dziewczynka z Klena. Z poprzednią twarzą i z cudzymi słowami. I ze zwęgloną dziurą na piersi – raną, z którą nie poradził sobie nawet organizm Klenijczyka...

– Siergiej, Tjer z planety Kleń już nie ma. Ona umarła.

– Tjer!

Chwyliłem ją za rękę, wiedząc, że to tylko widmo, oszustwo bezlitosnego Boga. Ciepłe ręce dziewczynki, która kochała mnie przez całe życie.

– Tjer...

– Nie ma już Tjer. Jest tylko jej ostatnie życzenie, jej wola. Krążownik „Aler” zginął w walce z krążownikiem Fangów. Został za bardzo uszkodzony w czasie poprzednich walk. Wybacz Domowi Aler. Tjer błagała cię o to. „Aler” nie zdołał przyjść ci z pomocą.

– Wybacz mi, rodzinie – powiedziałem, patrząc w oczy dziewczynki, której nie było. – Wybacz mi.

– Tjer czekała na te słowa – powiedziała Tjer. – Chciała, żeby miłość wróciła do ciebie. Pragnęła tego. Wierzyła w to.

– Dziękuję, Tjer...

– Chciała, żebyś znalazł prawdę. Dowiedział się, kim są Obojętni. Zwyciężył...

– Nie, Tjer. Będę walczył sam.

Jej twarz zakołysała się jak odbicie w płynącej wodzie. Może teraz patrzyli na mnie ci, których dopiero mam poznać. Albo ludzie, których nie spotkam nigdy.

– Obojętny, nie potrzebuję jej daru. Zwróć życie Tjer.

– Nie.

– Zwróć jej życie! Jesteś tylko cieniem... moim, wszystkich ludzi i Fangów, wszystkich rozumnych istot we wszechświecie. To takie proste dać życie. Obojętny! Boże!

Nie zauważyłem, kiedy zacząłem krzyczeć. Ale stojący przede mną cień o nieznajomej twarzy pozostał nieruchomy.

– Jej już nie ma. Rezygnujesz z daru Tjer? Z jej wiary w ciebie? Bohaterze, najszlachetniejszy z Siewców, przyjacielu Klena...

– Dziękuję za prawdę o Obojętnych – wyszeptalem. – Dziękuję za uczucia, których mnie pozbawiono. Ale zwycięstwo zdobędę sam, Tjer.

– To była jej ostatnia myśl – powiedział spokojnie Obojętny. – Gdy „Aler” rozpląnął się w atomowym płomieniu, gdy roztopiony metal przegród spadał na jej ciało...

– Przestań, draniu! Ona chciała, żebym zwyciężył sam! Ja, a nie Bóg, któremu ludzie są obojętni! – krzyknąłem. – Zamilcz! Gdy będę umierał, moim ostatnim życzeniem będzie życie dla tych, którzy we mnie wierzyli! Spełnij je! Teraz!

Nie. – Obojętny wzruszył ramionami. Znowu był mną – bezradny Bóg, władca wszechświata... – Powiedz słowo. To, które kieruje Fangami, to, które powstrzyma wojnę. W przeciwnym razie znowu wejdę w twój umysł.

Uśmiechnąłem się, patrząc na nieruchomą twarz.

– Piękno.

Nieobecny zaczął się rozpląwać jak dym w połyskliwym świetle.

– Wynoś się do diabła – wyszeptalem. – Boże...

Stałem pośród szklanego morza opasanego ognistymi brzegami. W oślepiającym lśnieniu z nieba spadały ciemne cienie.

– Witajcie, Fangowie – powiedziałem, patrząc w górę. – Jak mogliście być tacy... tacy naiwni?

5. Niewolnicy piękna

Łóżko podrzuciło mnie, uzupełniając ruch impulsem bólu – po senności nie zostało nawet śladu. Świadomość była jasna, myśli spokojne i wyraziste.

Jednostka cywilizacji Fang znajduje się nad planetą – oznajmił statek. – Podjęto kroki przeciwdziałania. Prawdopodobna prognoza – statki wyrzucą grupy desantowe.

Wyciągnąłem rękę do ściany i wyjąłem z otwartej wnęki szklankę płynu. Osuszyłem ją jednym haustem, czując na języku nieprzyjemny gorzkawy posmak. Trzy grupy stymulatorów, środki przeciwbólowe, stymulatory motoryczne, środki tonizujące, witaminy... Bóg wie, co tam jeszcze domieszano do koktajlu bojowego Siewców.

Stacje obrony planetarnej i kosmiczne siły Tara rozpoczęły walkę. Do planety podchodzą trzy statki Korpusu Desantowego Ziemi. W odległym kosmosie stwierdzono zniszczony krążownik klenijski, prawdopodobnie przechwycony przez statki Fangów na...

– Wiem. – Oparłem się o ścianę, poczułem lekkie pchnięcie. W gniazda kombinezonu wrosły kable energetyczne i przewody systemu troficznego. Przygotowywano mnie do walki.

Ściana rozsunęła się, wpuszczając Lansa. Już otwierał usta, ale widząc, że nie śpię, nic nie powiedział.

– To wszystko, co potrafisz? – zapytałem ostro.

Lans popatrzył na mnie ze zdumieniem i pewną urazą.

– O czym mówisz, imperatorze?

– To nie do ciebie, stary – wyjaśniłem spokojnie. – Po prostu nie sądzę, by statek wykorzystał wszystkie możliwości.

Lans zmarszczył brwi, ale nie miałem czasu na wyjaśnienia. Zamknąłem oczy, poszukałem kontaktu ze statkiem. Odpowiedzi nie było, jakby maszyna nie chciała rozmawiać.

Słaby dotyk, muśnięcie, niby ptasi cień na ramieniu. Przelotne, czujne. Maszyna była... przestraszona?

Statku!

Kapitanie?

Odczułeś coś w czasie mojego snu?

Informacja niepewna. Informacja zerowa.

Niesłusznie myślisz. Słuchaj...

Przyjęcie informacji nie jest przewidziane. W sytuacji bojowej zbędne informacje mogą zakłócić przebieg działań wojennych.

Elektroniczny mózg statku panikował. Rozpaczliwie panikował...

Przeprowadź połączenie umysłów! To sytuacja bojowa, żądam jednolitego myślenia.

Mgła.

Ja-statek, ja-człowiek.

Sytuacja: ludzie wokół mnie, statki wroga nad planetą. Brak łączności z głównym sztabem. Obca obecność w świadomości mnie-człowieka.

Nie chcę!

Nadistoty o imieniu Obojętny. Informacja pewna.

Nie ma już emocji, zostały wytłumione. Nie waham się już – informacje są pewne, można opracować plan działania. Kolejność: desant Fangów, zameldowanie Ziemi o tajemnicy Obojętnych-Obojętnego...

Najważniejsi są Fangowie. W ręce mnie-człowieka wpadł klucz do zagadki ich postępowania. Jeśli ja-człowiek w trybie autonomicznym zginę, to ja-statek porzucę planetę i zacznę się przedzierać do Ziemi. Informacja jest zbyt ważna, informacja może przerwać wojnę...

Decyzja: ja-człowiek decyduję się na bezpośredni kontakt z Fangami, ja-statek czekam na śmierć człowieka. Najprawdopodobniej zginie, a szkoda. Ale to nic. Kiedyś się spotkamy, połączymy w nadrozumie Obojętnego. Razem z innymi świadomościami: ludzkimi, Fangowymi, elektronicznymi... spotkamy się. Nie odejdziemy na zawsze. A teraz trzeba przerwać wojnę, to najważniejsze...

Poprawka: ja-człowiek żądam nowej broni. Sprzeciw: nie ma broni, której ja-człowiek bym nie znał. Pytanie mnie-człowieka: Ziemia zagrożona jest śmiercią, informacja pewna, czy nie ma innej broni?

Blokada zdjęta. Broń jest, znam ją, a teraz zna ją również człowiek. Dostanie molekularny pancerz.

Pytanie mnie-człowieka – czy wszyscy dostaną molekularny pancerz?

Odpowiedź mnie-statku: tylko ty, Siewco... Poprawka: pancerz otrzyma Lans, on należy do operacyjnych pracowników Siewców.

Mgła...

Stoję pod ścianą, przed Lansem, który wpatruje się badawczo.

– Siergiej? Coś się stało?

Zdażyłem tylko skinąć głową. Sufit nad nami się rozsunał i przemienił w srebrzysty lej. Lans zadarł głowę, cofnął się. Ale z leja już spadały ciężkie srebrzyste krople przypominające rtęć.

Srebrzysta ciecz nie była rtęcią... ciężkie pacnięcia w ramiona i głowę ustały, gdy pierwsze krople molekularnego pancerza rozpląły się na kombinezonach bojowych. Po chwili staliśmy obok siebie niczym dwa metalowe posągi.

– Co to? – zapytał przestraszony Lans. Jego twarz drgała, ale srebrzysta warstwa nadal zasłaniała usta i nozdrza. Lans tego nie odczuwał. Pancerz dawkował mu tlen przez atomowe pory na całej powierzchni.

– To tylko broń, Lans. – Położyłem rękę na jego ramieniu. Cienkie metalowe błony brzęknęły przy dotyku i rozstały się. Moje palce spoczęły na ciepłym ludzkim ciele. – Wiesz, ze mną już wszystko w porządku. Znowu jest dobrze. Przekaż Terry, że ją kocham... jeśli nie wrócę.

– Siergiej!

Pod matowobiałą warstwą pancerza oczy Lansa utraciły wszelki wyraz. Ale rozpoznałem intonację głosu.

– Lans, nie mamy czasu. Powstrzymujcie Fangów, obronę planety powierzam tobie i Ernadowi. Ja pójdę do miasta. Muszę porozmawiać z Fangami. Jeśli uda wam się wziąć żywca choćby jednego, natychmiast mnie powiadomcie. Jest szansa powstrzymania wojny. Wszystkiego dowiesz się od statku. O swoim nowym kombinezonie również.

– Co mam robić?

– Trzymaj się – powiedziałem krótko, zabierając rękę. – Nie mamy czasu, Lans.

Podszedłem do ściany; zawibrowała, tworząc przejście. Stopiła się niczym kawałek lodu podstawiony pod strumień wrzątku.

– Poczekaj! – dogonił mnie okrzyk Lansa. – Połączyłeś się z Obojętnymi?

Nie odpowiadając, zeskoczyłem na brudne płyty lądowiska. Ściana statku zamknęła się za mną. Nadal byłem kapitanem mojego statku. Przykucnąłem i pomachałem rękami, przyzwyczajając się do pancerza molekularnego. Wszystko w porządku, srebrzysta warstewka nie krępowała ruchów. Poruszała się razem ze mną – niezwykle trwałe futerał dla bardzo cennego ładunku.

Nisko, jakby tuż nad moją głową, płynęły ciemnoszare chmury. W oddali, nad wieżą służb naziemnych, nerwowo obracała się antena lokatora.

W słuchawkach kombinezonu coś pstryknęło. Ale ja wiedziałem, o co chodzi, zanim usłyszałem głos informatora.

Statek Fangów wysadził desant.

Czołg z łoskotem jechał po nierównej nawierzchni, podskakując na wybojach jak łódka w czasie sztormu. Lans albo Ernado siedząc na moim miejscu już dawno zarobiliby całą masę siniaków. Jazda na pancerzu pojazdu gąsienicowego wymaga umiejętności.

Siedzący obok mnie chłopiec w kanarkowożółtym mundurze coś krzyczał. Odwróciłem się, próbując zrozumieć słowa, i jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki hurgot gąsienic umilkł. Czołg jechał teraz po pustej ulicy absolutnie bezszelestnie, jak w niemym filmie. Molekularny pancerz włączył filtry akustyczne, tłumiąc te dźwięki, które nie niosły nowych informacji.

– Zdążymy na pozycję! – znowu krzyknął chłopak. Albo doskonale nad sobą panował, albo nie rozumiał powagi sytuacji. – Spalimy drani w powietrzu!

Jasne. Armia Ar-Na-Tina nie miała pojęcia, z jakim przeciwnikiem przyjdzie jej walczyć.

– Nie myśl sobie, że to takie proste – powiedziałem. Nie wiem po co. Żołnierz mnie przecież nie słyszał, huk czołgu przestał istnieć tylko dla mnie.

Fangowie są mądrzy. Wysadzenie desantu na gotowej do obrony planecie to szaleństwo. Nawet jeśli armia jest źle wyszkolona i nieliczna, samonaprowadzające lasery wymagają jedynie naciśnięcia przycisku. Gdy desantowe kapsuły zaczną się opuszczać w stratosferze, zdążymy spalić je nawet kilkakrotnie. Jeśli oczywiście nie zaleją całej planety gazami trującymi, nie zarzucą bombami, nie załatwią destruktorami ze statków wsparcia... Uśmiechnąłem się pogardliwie. Bomby zabiłyby również zakładników, a gazy – wyłącznie cywilów, doprowadzając do wściekłości wyposażonych w środki obrony wojskowej żołnierzy. A atak destruktorów, niszczących jedynie broń, potrwałby co najmniej dwa dni. Na taki termin Fangowie nie mogą sobie pozwolić.

Czyli znaleźli inną drogę. Eleganckie, piękne, pewne wyjście z sytuacji...

Czołg zatrzymał się tak gwałtownie, że omal z niego nie spadłem. Właz w wieżycze się uchylił – nic lepszego od zwykłych zawiasów ludzkość jakoś nie wymyśliła. Spod grubego pancerza, ułożonego z warstw jak tort (metal, plastik, ceramika, metal...) wyskoczył jeszcze jeden wojak. Na jego mundurze połyskiwały dystynkcje, a więc oficer. Trzy złote podkowsy na piersi i takie same, tylko mniejsze, na czapce. Ależ się snajperzy nieprzyjaciela ucieszą z tak łatwego celu. Czy te cymbały tego nie rozumieją?

Na rufie czołgu sterczała jeszcze jedna wieżyczka – odsłonięta ażurowa klatka z podwieszoną na wieży obrotowej rurą działa laserowego. Łuskowaty kabel biegł od luty w dół, kryjąc się w szczelinie pomiędzy segmentami zewnętrznego pancerza czołgu. Oficer zręcznie prześliznął się pomiędzy prętami klatki, siadł na metalowym siedzeniu do złudzenia przypominającym pogięty szpadel i odwrócił się do mnie.

– Pierwsze kapsuły Fangów znajdą się w strefie rażenia za trzy minuty.

Nie odezwałem się. Oficer westchnął i zaczął zdzierać z munduru złote podkówki.

– Intendent nam gdzieś przepadł... – powiedział przeproszającym tonem. – A nie pozwolili włamać się do magazynu. Do czego to podobne, do walki idziemy jak na paradę. Tak nie można...

Nagle zrobiło mi się wstyd za mój pancerz. Cholera, przecież nie mogę kontrolować wszystkich działań, aż do wydawania wyposażenia żołnierzom obcej armii. Zresztą moje życie jest znacznie cenniejsze niż życie tego sympatycznego i niegłupiego oficera.

Wszystko jedno. Tak nie można.

– Pamiętasz zadanie? – spytałem, nie patrząc na niego.

– Ogień porażający – odpowiedział z gotowością. – Uszkodzić kapsułę i wziąć kilku ludzi do niewoli.

– To nie ludzie, to Fangowie – poprawiłem posepnie. – Wystarczy mi jeden.

Oficer pstrykał przyrządami na małym pulpicie. Coś cicho zabuczało, pomiędzy prętami wieżyczki pojawiło się niebieskie lśnienie. Pole siłowe, słabiotka ochrona dla siedzącego na widoku strzelca.

– Miejsce się nada? – zapytał oficer, nadal sprawdzając przyrządy. – Trzy kapsuły idą prosto na nas, dużo przestrzeni...

Rozejrzałem się jeszcze raz. Czołg stał na małym placyku otoczonym jedno – i dwupiętrowymi domami. Byliśmy jak na dłoni, ale pole ostrzału mieliśmy doskonałe.

– Dziękuję, wszystko w porządku.

Żałoga, która zgłosiła się, żeby pójść ze mną, była w jakimś sensie skazana. Jedna sprawa spalić w powietrzu kapsuły desantowe, powolne, nieprzeznaczone do długiej walki. A zupełnie co innego wziąć do niewoli załogę takiej kapsuły.

Widocznie oficer coś wyczuł.

– Niech się pan nie denerwuje, weźmiemy ich... Szeregowy! Bierzcie swoją pukawkę i zajmujcie pozycję z boku... choćby w tym ogródku.

Siedzący obok mnie żołnierz skinął głową – ten cywilny gest najwyraźniej zastępował w armii Ar-Na-Tina oddawanie honorów – po czym zdjął z przyspawanych do pancerza uchwyty „pukawkę”: ciężkie działo plazmowe. Stęknął, zarzucił je na ramię i pobiegł do ogródka przed najbliższym domem, gdzie rosło kilka łysawych drzew. Oficer pokręcił głową i znowu zaczął majstrować przy przyrządach. Kapsuły powinny za chwilę wejść w strefę rażenia.

Przez chwilę pragnąłem wśliznąć się do czołgu, pod wielowarstwowy pancerz, pod parasol pola siłowego, gotowy w każdej chwili otworzyć się nad nami. Zresztą pole osłoni mnie nawet tutaj, a w trwałość pancerza w obliczu strumienia przegrzanej plazmy jakoś nie wierzyłem. Miałem przyjaciela, który zapłacił życiem za zbytnią wiarę w niezawodność stalowej trumny – czołgu T-72.

– Zaczynamy – powiedział ochryple oficer. Umieszczona nad nim lufa obróciła się na uchwyty, dziwnie płynnie, jakby posłuszna nie ludzkiej ręce, lecz komputerowi naprowadzającemu.

I w tym momencie półmrok Ar-Na-Tina przeciął rozbłysk. Nie była to błyskawica ani płomień wybuchającej w niebie kapsuły Fangów, nie był to również wystrzał ostrzegawczy. Zwykła eksplozja na brudnej jezdni przed czołgiem. Wyglądało to tak, jakby otworzyły się niewidoczne drzwi, wpuszczając światło i zaraz potem mrok.

Trudno inaczej nazwać ciemność, która rozlała się wszędzie. Chyba że powie się krótko: efekty świetlne hiperprzejścia.

Pozdrowienia od Boga – zdążyłem pomyśleć. Ale Obojętni nie mieli z tym nic wspólnego.

Na placu, krótkotrwałym pomniku rozpoczętej wojny, stał statek kosmiczny. Niczym innym ta piramidka z przezroczystego plastiku nie mogła być. W środku, za odbłyсками cienkich krawędzi, można było dojrzeć ludzką postać.

Oficer zamarł za swoim pulpitem, wpatrzony w moje ramię. Szeregowy, który niedawno wszedł do ogródka, przysiadł, unosząc miotacz plazmy. Zuch, dobra reakcja. Moje ręce też sięgnęły do zamocowanego na pancerzu lasera, ale nie zdążyłem nic zrobić, bo przezroczysty stateczek rozpadł się na kawałki. Kryształowe kruszywo opadało na jezdnię, a stojący w środku Fang już trzymał wycelowaną w czołg broń. Ten katapultujący się przez przestrzeń komandos wiedział, że znajdzie się twarzą w twarz z celem.

Chyba zdumiały go nasze postacie na pancerzu. Zamiast strzelić prosto w czołg w nadziei, że pocisk dosięgnie wyposażenia, Fang wycelował w wieżyczkę lasera i we mnie – pod srebrzystym pancerzem musiałem przypominać robota bojowego.

Nie warto łapać dwóch srok za ogon.

Plazmowy pocisk wybuchł metr ode mnie. Poczulem pchnięcie – albo czołg odjechał mi spod nóg, albo ja spadłem z czołgu. Albo jedno i drugie...

Leciałem w szare niebo, do zbliżających się statków Fangów. Z moich dłoni ciągnęły się aż do czołgu cienkie srebrzyste taśmy, jakbym gumą do żucia przykleił się do pancerza. Wieżyczkę lasera otulał błękitny płomień pola siłowego. Zrozumiałem, że oficer żyje. Osłonę mógłby przebić tylko dezintegrator...

Na chwilę zawisłem dwadzieścia metrów nad ziemią. Nie czułem ani nieważkości, ani pchnięcia. Jeśli wierzyć błędnikowi, nadal stałem na ziemi. Tylko kamienie pode mną pękały i rozpadały się w obłoczki białego pyłu. Molekularny kombinezon przeprowadzał ukierunkowane pozbycie się grawitacji.

Jakim cudem?... Ha! Statek wyposażył mnie tylko w opis możliwości pancerza, a nie w znajomość technologii procesów.

Srebrzyste taśmy skróciły się, przyciągnęły mnie z powrotem do czołgu. Tam, gdzie niedawno wisiałem, płonęła ognista kula. Widocznie Fang uznał mnie za najbardziej niebezpiecznego przeciwnika. Mała rzecz, a cieszy.

Sekundę później było już po walce. Stojący za plecami wroga szeregowiec w końcu wystrzelił i tam, gdzie stał Fang, zapłonął ogień. W odróżnieniu od nas Fang nie miał osłony – albo nie zdążył jej aktywizować.

Znowu siedziałem na okopconym, gorącym pancerzu, jakbym wcale nie zrobił wycieczki w niebo. Na placu dymił regularny lej. Jego brzegi połyskiwały stopionym szkłem. Całe starcie trwało kilka sekund.

Oficer patrzył na mnie ze swojej klatki, mrugając oczami. Oczy mu nabiegły krwią, widocznie osłona odrobinę się spóźniła. Chyba nawet nie zauważył mojej podróży w niebo.

– Kapsuły! – krzyknąłem. – Walcie w kapsuły!

Nie patrząc na przyrządy, oficer uderzył palcem w pulpit. Wieżyczka lasera drgnęła, śledząc cel i wypluła w górę strugę białego światła.

W niebie rozległ się trzask. Szare chmury oświetliło z tyłu drzące pomarańczowe światło. Zwiększenie promieniowania tła o dwadzieścia milirentgenów – prześliznęła się przez świadomość obca myśl. Molekularny pancerz nie potrzebował głośników.

Wybuch był jakby sygnałem. Z sekundowym opóźnieniem nad miastem wyrósł las laserowych igieł. Miasto nastroszyło się jak przestraszony jeżozwierz. Gdy oficer czarował coś przy swoim pulpicie, namierzając następną kapsułę, pospiesznie się rozejrzałem. Salw było dużo, ale mniej niż się spodziewałem. Chmury rozświetlała nieprawdopodobna iluminacja, towarzysząc w tej ostatniej drodze komandosom Fangów. Ale rozbłysków było coraz mniej, laserowych promieni również. Nad domami zaczęły się wznosić fontanny dymu z towarzyszeniem lekkich kaszlnięć dział plazmowych. Atak na nasz czołg był częścią ogólnej strategii Fangów. Przerzuceni przez hiperprzestrzeń samotnicy mieli oczyścić teren dla głównych sił...

– Naprowadzanie zakończone – powiedział oficer znad swojego pulpitu. – Czemu oni nie strzelają?

Nasz czołg za to strzelał. Nagle zauważyłem, jak drga w uchwytach działo, wyrzucając kolejny impuls. Ot, dowód na to, że fotony posiadają masę...

– A żeby ci stado parchami obsypało – zaklął oficer nieoczekiwanie wysokim głosem.

Rozbłysk w niebie, w tym miejscu, w które wycelowana była lufa. Na miasto spadał rodzący się gdzieś wysoko grom – to dotarł do nas dźwięk pierwszego zmasowanego uderzenia w kapsuły desantowe.

– Dokonali autodestrukcji! – krzyknął oficer. – Przysięgam, że promień ściał tylko skrzydła! Ci dranie wysadzili się w powietrze!

W końcu dotarło do mnie, co się dzieje.

– W pierwszej fali desantu Fangów nie ma – powiedziałem, mimo woli włączając ogólny przekaz. – Kapsuły były puste, z mechanizmami obserwacji i samolikwidacji. Komandosi przybędą w drugim transporcie...

– Siergiej, druga fala kapsuł wchodzi w atmosferę... – głos Lansa wydawał się spokojny. – Mamy piętnaście minut.

– Ile zostało dział przeciwlotniczych? – spytałem ze złością.

– Dwadzieścia procent – powiedział Lans i urwał, widocznie spostrzegł, że rozmowa idzie przez kanał ogólny. – Powinno wystarczyć – oznajmił aż nazbyt optymistycznie. Było jasne, że desant zdobędzie miasto bez większych problemów. – Wróc na swój kanał.

Wyciągnąłem rękę do przełącznika ukrytego pod cienką warstwą pancerza molekularnego, ale w słuchawkach już pstryknęło. Pancerz odgadywał moje ruchy...

– Lans, gdzie nasze statki?

– Już nigdzie.

No tak. Zerknąłem na oficera, który ze znużeniem popatrzył w niebo. Słyszał początek rozmowy i doskonale wiedział, że sto czołgów z laserowymi zenitówkami nie powstrzyma kapsuł desantowych.

– Lans, jeśli ktokolwiek złapie Fanga... to nasza jedyna szansa. Niech spróbują wylapać tych... hiperdywersantów.

I odwróciłem się w stronę palisady, gdzie siedział nasz „ochroniarz”. Nie wiem dlaczego. Intuicja, szósty zmysł, jakiś cichy głos...

Żołnierz, który tak brawurowo oceniał szansę swojej armii, leżał na rudej szczecinie trawy. Z pleców sterczała mu rękojeść miecza atomowego.

Nad ciałem, trzymając w ręku coś bardziej solidnego od działka plazmowego, stał Fang.

6. Minus na minus

Gorący ciężar. Czerwono-biały płomień wokół mnie.

Żadnego oparcia.

Jakbym spadał w gigantyczny piec... W gwiazdę.

Spróbowałem się odwrócić i coś czarno-ognistego przesunęło się w bok. Co się stało? Fang celujący do czołgu z koszarnej broni – matowy błysk kolby, gruba stożkowata lufa... i żar, ciężar, ogień...

Mały pocisk atomowy? Pancierz może wytrzymać nawet to... nie wiem tylko, za jaką cenę.

Co się stało?

Chwila ciszy. I bezdźwięczny głos w świadomości: *Zadziałał generator pola neutralizującego. Sytuacja krytyczna. Trafienie z anihilatora.*

Z anihilatora? Strzelono do mnie antyczasteczkami, a ja nadal żyję?

Ale przecież była mowa o jakimś polu neutralizującym... Wszelka energia wokół mnie zostaje wyhamowana. Wiszę pośrodku piekła, nietykalny, dzięki stworzonemu na Ziemi wyposażeniu. Ciekawe tylko, jak udało się zmniejszyć wielotonowe generatory do rozmiarów molekuly. Ale do diabła z tym. Udało się, to dobrze... Brawo, uczeni!

Poczułem pchnięcie w nogi.

Wynosz się stąd – poradził pancierz.

Popatrzyłem w dół – nogi po kostki zapadały się w grząską pomarańczowo-czarną kaszę. Obok mojego ciała, gdzie działało pole, kasza wydawała się ciemna, dalej świeciła purpurowo.

Chwała Siewcom, że roztopiona nawierzchnia nie przyklejała się do pancierza, tylko spływała jak woda z natłuszczonego papieru. Szedłem przez płomień, już opadający, już tracący siłę. Wszystko, co mogło się spalić, spłonęło, wszystko, co się mogło stopić, zmieniło się w cieciz. Ale domy wokół placu stały nadal – puste dziury okien, żarzące się drewniane futryny, osypujące się narożniki, zerwane dachy, czarne od sadzy ściany. Pod jedną ze ścian, przysypany płonącym drewnem, przywalony ciałem zabitego żołnierza, gramolił się Fang. Poszedłem w jego stronę, rozglądając się.

Czołgu rzecz jasna nie było. Przez gasnący płomień połyskiwała srebrzysta plama płynnego metalu – i to wszystko.

Odruchowo sięgnąłem przez ramię. Miecza nie było, podobnie jak pistoletu umieszczonego na molekularnym pancierzu. Wszystko, co nie było osłonięte, wyparowało.

Miecz... – szepnął kombinezon.

Prawa ręka zaczęła mi ciężać. Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że z dłoni spływa taśma połyskliwego metalu. Kombinezon dał mi miecz.

Wtórne promieniowanie – znowu zaszeleściło w mózgu. – *Pole wyłączone. Wyjdź.*

Fang w końcu wydostał się spod ciała swojej ofiary. Kombinezon miał podarty, cały w żółtopomarańczowe plamy. Ach tak, to przecież krew Fangów...

Wargi Fanga poruszyły się i raczej wydedukowałem, niż usłyszałem jego słowa: *Dobrze, bardzo dobrze.*

– Nie chcę cię zabijać. – Mój głos brzmiał obco. – Wysłuchaj mnie, to bardzo ważne dla Ziemi i Fanga.

Wargi Fanga rozciągnęły się, kopiując ludzki uśmiech. Sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął małą czarną kulkę. Granat? No cóż, niech próbuje.

Fang podrzucił do góry kulkę, która zawisała, kołysząc się pod porywami gorącego wiatru.

– Mów – powiedział Fang.

Wzruszyłem ramionami. Dzielilo nas tylko kilka metrów. Fang był skazany – bezbronny i pewnie załatwiony promieniowaniem.

– Nie zrozumieliśmy się – zacząłem. – Zdecydowaliście, że nasza prawda jest w tym... – popatrzyłem na wystający z ręki miecz i zająknąłem się. No, w czym? – Nie macie racji! – krzyknąłem, przekonując raczej siebie niż Fanga. – To nigdy nie było...

Fang znowu się uśmiechnął.

– Albowiem nie było domu, w którym nie byłoby martwego... Oko za oko, ząb za ząb, ręka za rękę, noga za nogę. Chcesz mi udowodnić, że jest inaczej?

– Mogę udowodnić... posłuchaj!

– Za późno – rzekł bardzo spokojnie Fang. – To już nie ma nic do rzeczy. Nie można zabrać miecza i nie dać nic w zamian.

Podniósł rękę do twarzy i osunął się na ziemię. Podbiegłem do niego, wpatrując się w nieludzkie rysy. Nie żyje. Zabił się sam czy zmarł od ran? Co za różnica...

– Nie zrozumiałeś – powiedziałem ze złością.

Bardzo chciałem wierzyć, że on rzeczywiście nie rozumiał.

Szedłem wzdłuż pochylego drewnianego płotu, oglądając się co chwila. Daleko z tyłu słychać było silniki maszyn. Pewnie bojowych. Pewnie nie naszych.

– Stój! – krzyknęto do mnie zza płotu. W dziurze po sęku tkwił ciemny kryształ lasera.

No i co dalej?

– Kim jesteś? – zapytano zza sztachet.

– Człowiekiem – odpowiedziałem szczerze.

– A co masz na sobie? – ciągnął tę niezwykle intelektualną rozmowę posiadacz lasera.

– Pancierz. Laser go nie przebije.

Rozmówca zamilkł i po chwili zauważył rezolutnie:

– No to po cholere tam sterczysz? Przełaź!

Płot mógł mieć ze dwa metry wysokości, ale pancierz dodał mi skoczności. Z miejsca przesadziłem żałośnie stękając deski i znalazłem się przed obwieszoną bronią trójką. Na muszce trzymał mnie małolat; obok z działem plazmowym na ramieniu stał mężczyzna w średnim wieku: trzeciego, przygarbionego, o czujnym spojrzeniu bladoniebieskich oczu znałem.

– Siemasz, Djini – powiedziałem, w myślach rozkazując pancierzowi, by odsłonił mi twarz. Przezroczysta od wewnątrz błona zwinęła się z niezadowoleniem, tworząc pod brodą gruby wałek.

– O, imperator Tara! – Djini nie wyglądał na szczególnie zdumionego. – Co tu robisz?

– A ty?

– Dom mi spalili! – Głos Djiniego przeszedł w pisk. Po prostu pretensja przedsiębiorcy z okresu NEP-u, którego wywłaszczono z fabryczki mydła. – Tyle towaru! Wszystko, czego nie zdążyłem sprzedać... A ile traciłem, gdy przed atakiem Fangów wyprzedawałem za bezcen! Dom mi spalili, dranie... A co ty tu robisz? – Mnie spalili życie – oznajmiłem uprzejmie i rozejrzałem się. Płot, za którym ukrywali się obrażeni obywatele Ar-Na-Tina, ogradzał niegłęboki, strasznie zaśmiecony wykop.

– Co to?

– Budują szpital – wyjaśnił smarkacz trzymający mnie na muszce. Pomyślał i dodał: – Bezpłatny...

– Aha. Pewnie już z dziesięć lat budują, co? Można wiedzieć, po cholere tu siedzicie?

Mężczyzna w średnim wieku zerknął na Djiniego, który wyraźnie dowodził tą komiczną trójką. Dostrzegł zezwalający gest i z entuzjazmem powiedział:

– Chcemy przetrzepać draniom skórę! Mamy minę atomową...

Wytrzeszczyłem oczy. Smarkacz odsunął się, dając mi możliwość zachwycenia się widokiem potężnego stożka z żółtego metalu.

– No, no – powiedziałem. – Wiecie chociaż, jak się jej używa?

– Wiemy, wiemy – uciał młokos. – Ukierunkowany wybuch, wtórne promieniowanie minimalne. Wyłącznie dla sił wojskowych Ziemi. Ha!

Popatrzyłem na Djiniego i zobaczyłem pobłażliwy uśmiech.

– Chcecie dobrej rady? – Pytanie było retoryczne. – Dajcie sobie z tym spokój. Macie zamiar oprzeć minę o płot, żeby zadziałała na przejeżdżającą maszynę? Detektory wychwycą minę przez te zgniłe deski, a wam wlepią porządną porcję plazmy.

Djini sponsepniał, ale jego współbojownicy radośnie pokręcili głowami. Młody terrorysta z przekonaniem oznajmił:

– Nie wychwycą. Schowamy minę za słupem.

Pięć metrów dalej rzeczywiście stał żelbetowy słup, z porcelanowych izolatorów zwisały oberwane przewody. Nieźle, ale...

– Daj no tę swoją armatę – powiedziałem ostro, zabierając mężczyźnie miotacz plazmy. Ten zerknął na Djiniego i oddał broń. Ustawilem na minimalną moc i strzeliłem w słup.

Uderzyła w nas fala gorąca. Błona kombinezonu spróbowała nasunąć się na twarz i opadła, wyczuwając moje niezadowolenie. Podstawa słupa przypominała teraz zastrugany ołówek. Z rozkruszonego betonu sterczały krzywe metalowe pręty.

Ziemia wokół poczerniała i zaczęła dymić.

– Tak już lepiej – wyjaśniłem, oddając broń. – Za tym tłem zaniknie promieniowanie miny... mam nadzieję. Oprzyjcie ją o słup i spadajcie stąd.

– Nie – rzucił dumnie młokos. Djini popatrzył na niego i powiedział z uśmiechem: – Jesteśmy patriotami naszej planety. Dobijemy tych, którzy przeżyją. Shejr, okopiesz się dwadzieścia metrów od słupa, a ty, Sir, z przeciwnej strony. Ja wezmę laser i pójdę na tamtą stronę wykopu. Nie odezwałem się. Być może na miejscu Djiniego zrobiłbym to samo. Ratowanie idiotów nie było moją misją.

– A dlaczego z tamtej? – zainteresował się młokos. Bez podejrzliwości, po prostu z ciekawości.

– Dobry pies nigdy nie strzeże owiec pośrodku stada – powiedział pouczająco Djini. – Z daleka jest lepszy widok.

– Powodzenia – powiedziałem szczerze Arnatyńczykom. Coś mi się wydawało, że w ich towarzystwie polowanie na jeńców nie ma sensu.

– Hej! – krzyknął za mną Djini. – Nie potrzebujesz broni, imperatorze? Mamy zbędny blaster.

Pokręciłem głową i poszedłem wzdłuż ogrodzenia. Trzem patriotom Ar-Na-Tina przyda się wszelka broń, jaką mają, skoro już urządzają zasadzkę na wrogie „czołgi”. W pamięci pojawiły się przeczytane w dzieciństwie rymowanki. Wymamrotałem:

Poważny zając stoi przy drodze, Stoi przy drodze na jednej nodze. Do przechodniów z flinty mierzy, Może właśnie wilka strzeże.

Ominąłem wykop, wyłamałem spróchniałe deski i znalazłem się na wąskiej, brudnej uliczce. Parterowe rudery wydawały się niezamieszkane.

Nie sądzę, by fangoscy komandosi pojawili się tu w ciągu najbliższego tygodnia. Ruszyłem w stronę centrum miasta, gdzie nadal słychać było wystrzały i w niebo wzbijały się smugi dymu.

Krok. Jeszcze jeden. Na środku głównej ulicy Ar-Na-Tina, na oczach wszystkich możliwych wrogów. Tylko gdzie są ci wrogowie? Na wszystkich zakresach nic, tylko równy szum – nie ufając komputerowi, posłuchałem radia sam. Zagłuszają... należało się tego spodziewać. Nie

wątpiłem, że wyrzucili z miasta wszystkie uzbrojone oddziały. Ale czyżby Fangowie nie zostawili ekspedycyjnych oddziałów w zdobytym mieście, gdy walka przeniosła się na kosmodrom i inne umocnienia?

– Stój, człowieku! – usłyszałem z tyłu. Odwróciłem się. Fang.

– Stoję – powiedziałem bardzo spokojnie. – Musimy porozmawiać. To ważne dla Ziemi i Fanga.

Wróg był w kombinezonie bojowym, takim samym, jaki miał Nes na Klenie; w ręku trzymał nieznaną mi broń. Jego sierść była ciemnobrązowa, niemal czarna. Jeśli się nie mylę, to oznaka młodości.

– Nie ruszać się, nie odzywać, za nieposłuszeństwo śmierć – wyskandował Fang i coś szepnął, przechylając głowę na bok. Pewnie do mikrofonu. Skoro nasze siły nie dały rady zagłuszyć częstotliwości Fangów... no to już mogiła. – Musimy porozmawiać – powtórzyłem z uporem. – To ważne. Nagle przemknęła mi przez głowę szalona myśl, że Fang nie zna standardu, tylko wykuł na pamięć kilka zdań...

– Milczeć – warknął Fang. – Uprzedzam! Żadnych rozmów!

Lufa jego broni patrzyła prosto na mnie. Skoro molekularny pancerz osłonił mnie przed anihilacją, to znaczy, że nie mam się co bać ręcznej broni.

– Nawet nie jesteś pewien swoich racji – powiedziałem. Nagle mnie olśniło. – Jak mam cię nazywać, wrogu? Wiesz, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi?

Zrobiłem krok w jego stronę. I jeszcze jeden. Po twarzy – czy też mordce – Fanga przemknął nic mi niemówiący grymas.

– Strzelanie do bezbronnego nie jest ładne – powiedziałem.

Oślupiał.

– Wojna jest ohydna – ciągnąłem w natchnieniu, podchodząc coraz bliżej. – Twój naród się pomylił.

Błąd. Fang pokręcił głową i powiedział:

– Przeszłość jest pewniejsza od przyszłości. Wspólna prawda jest ważniejsza od osobistej...

Skoczyłem, a raczej skoczył mój pancerz. Ognista kula z rykiem przemknęła nade mną, budynek w oddali stanął w płomieniach.

Pięć metrów... Jak to niewiele, gdy odległość pokonują nie słabe mięśnie człowieka, lecz molekularny pancerz. Moje ręce zacisnęły się na broni Fanga, wyrwały lufę, odrzuciły na bok...

Przetoczyliśmy się po nierównej jezdni. Fang kilka razy próbował się wyrwać, w końcu zastygł. Przycisnąłem go do ziemi i zasyczałem:

– Musimy porozmawiać, słyszysz, psie?

Twarz Fanga była spokojna i beztroska. Piękna... Niech diabli wezmą to ich piękno.

– Odchodzę, Ziemianinie – oznajmił Fang. W bursztynowożółtych oczach była drwina

i smutek. – Odszedłem pięknie. Nie chcę się zmieniać. Dziękuję.

Ręce mu drgnęły, jakby chciały unieść się do twarzy. Przypomniałem sobie gest tamtego Fanga.

Być może zdolność umierania w chwili, gdy zapagnie się śmierci, to naturalna zdolność Fangów. A może efekt treningu. Bez różnicy...

Stałem chwilę nad martwym ciałem, po czym sięgnąłem po leżącą metr ode mnie broń. Z rękawiczki wystrzeliła metalowa taśma, dotknęła miotacza plazmy i włożyła mi go w dłoń.

– Dziękuję – powiedziałem ze zmęczeniem.

Nie będą ze mną rozmawiać. Zabijają się, jeśli spróbuję ich przekonać.

„Nie chcę się zmieniać”.

Daliśmy im nowy sens życia – wojnę. Daliśmy, sami tego nie zauważając. I nie możemy tego odebrać. Trudno zmienić się po raz drugi w ciągu krótkiego życia, trudno porzucić to, w co naprawdę uwierzyłeś...

Szary cień przemknął nad dachami. Oskoczyłem na bok jeszcze nie wiedząc, co zobaczyłem – wrogi kuter, pocisk samonaprowadzający, Fanga, który nauczył się latać?

Dziesięć metrów ode mnie stała czarna sylwetka na tle czerwonego płomienia. Niejasno znajoma postać poruszyła się, a na pokrywającej ciało metalowej błonie zaśniły odblaski ognia.

– Lans? – zapytałem bez sensu. Przecież nikt inny nie mógł dostać od statku Siewców molekularnego pancerza.

Zamiast odpowiedzi ten w szarej błonie podniósł broń. W tej samej sekundzie, w której szukałem na dziwacznej kolbie zdobycznego miotacza jakiegoś przycisku, wreszcie do mnie dotarło: Ziemia i Fang nie tylko są na tym samym poziomie technicznym. Mają również tę samą taktykę wojenną.

Zapewne tylko jeden na tysiąc Fangów miał molekularny pancerz.

Wystrzeliliśmy jednocześnie i ulicę zalała rzeka płomieni. Żar był cieniem tego żaru, który buszował wokół, wichry – cieniem tego cyklonu, który przewracał ściany domów. Starłem się nie myśleć ludziach ukrywających się za wątpliwą osłoną drewnianych drzwi zasłoniętych firanek.

Nie myśleć...

Szedłem przez ogień do Fanga, który przyniósł śmierć na tę planetę, który spowodował mnie do fatalnego strzału. Broń odrzuciłem – nic na świecie nie zmusi mnie już do strzelania, gdy sam jestem ukryty za nieprzeniknionym pancerzem.

...Szyby spływające żółtymi kroplami; zasłony płonące w fali ognia; drzwi wypadające z zawiasów, zadające kryjącym się za nimi ludziom śmiertelne ciosy...

Wokół mnie i Fanga była śmierć. A my żyliśmy.

– Jesteś zadowolony, Panie?! – wrzasnąłem, rozgarniając rękami pomarańczowy płomień.

Pancerz powtarzał coś z uporem, ale ja już nie odbierałem jego myślowego szeptu. – Wniknęły w ciebie nowe istnienia? Ludzkie cierpienie, pamięć strach? Stałeś się jeszcze doskonalszy?

Gdzie jesteś, Fangu? Rozejrzałem się, ale pośród płomieni nie było srebrzystej sylwetki. Czyżbym się pomylił i mojego wroga można było zabić?

Spod nóg wyrósł szary cień. Machnął ręką, z pancerza wysunęła się taśma i zmieniła w klingę. Odruchowo zablokowałem cios, jakbym też miał miecz w ręku. I miecz się pojawił.

Jednoatomowe miecze skrzyżowały się i przeszły przez siebie jak pięść przez dym. Nim zdążyłem coś zrozumieć, miecze znikły, wessane przez nasze kombinezony. W tym pojedynku molekularny pancerz sam podejmował decyzje.

Staliśmy jak dwa posągi na zakopconej jezdni. Chwila oddechu, nieuniknione ułamki sekund na podjęcie decyzji, zrozumienie, jak prowadzić walkę z przeciwnikiem, który dorównuje ci pod każdym względem. Wtedy rozpoznałem przeciwnika. Mętnozara błona zmieniała twarz nie bardziej niż okulary przeciwsłoneczne.

– Cieszę się, że się znowu spotykamy, Nes – wyszeptałem.

– Wzajemnie, Sergieju z Ziemi – tak samo cicho powiedział Fang.

Nie zdążyłem nic wymyślić, po prostu uderzyłem. A raczej pchnąłem otwartą dłonią. A Nes szybkim ruchem wystawił na cios swoją rękę.

Nasze dłonie spotkały się, jak ręce grających w łapki dzieci. Pomiędzy zbliżającymi się szarymi rękawiczkami zaślnił biały płomień. Metal szczęknął o metal.

Początkowo wydawało mi się, że pancerze się rozsuną, przepuszczając nasze ręce, jak wtedy, gdy nieskończenie długie godziny temu poklepałem Lansa po ramieniu.

Ale pancerz Ziemi i pancerz Fanga nie uznawały siebie nawzajem.

Metal kombinezonów zakipiał brudną białą pianą, gdy tylko nasze dłonie się zetknęły. Moją rękę ścisnął mocny gumowy mankiet. Z dłoni sypał się, rozwiewany porywami wiatru, drobnutki proszek – pył niszczonego pancerza.

Pseudorozumne molekuly, z których każda była jednocześnie tarczą, mieczem i generatorem wszelkich możliwych pól, rozpadały się. Pancerze pożerały się nawzajem.

Zaśmiałem się, nie cofając ręki. Błona na moim ciele drżała, stawała się coraz cieńsza, zsuwała się na ręce.

Niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo! – rozbrzmiewał w mózgu słabnący głos.

Najpierw pancerz zsunął się z lewej ręki i poczułem palący żar spopielonej ulicy. Potem metalowa błona zeszała z nóg, a buty zasyczały, dotykając jezdni. Kombinezon bojowy nie może oprzeć się temu piekłu, w które przemieniliśmy ulicę.

Promieniowanie! – pisał pancerz i zamilkł. Szara błona znikła z twarzy. Zmrużyłem oczy.

Gdy zmusiłem się do ich otwarcia, pomiędzy moją dłonią a kosmatą łapą Nesa był już tylko szary kłębek – syczący, podrygujący niczym kropla wody na rozgrzanej patelni. Zabrałem rękę.

Szary kłębek rozpaczliwie próbował rozciągnąć się pomiędzy naszymi palcami i spadł, zamieniając się w pył.

– Koniec z pancerzem – powiedziałem, łykając rozpalone powietrze i niewidoczne milirentgeny.

Nes skinął głową. Patrzyliśmy sobie w oczy.

– Chcę powiedzieć o pięknie, Nes.

– Ze mną?

– Ze wszystkimi Fangami... – uśmiechnąłem się. – Im was więcej, tym lepiej.

Nes milczał.

– Wypuściłem cię na Klenie – powiedziałem cicho. Nogi płonęły żywym ogniem, oczy łzały. – I nie chcę na nowo wyjaśniać, który z nas zwycięży w walce wręcz. Wysłuchaj mnie, Nes.

Fang sięgnął do kieszeni na piersi kombinezonu, chwilę się zastanowił, opuścił rękę i rozpiął mały futerał na pasie. Wyjął z niego srebrzysty sznur i potrząsnął nim.

– Gdzie nas przetrzuci? – zapytałem, patrząc na szeroką obręcz w ręku Nesa. Powietrze nad nią drżało.

– Na mój statek – powiedział spokojnie Nes. – Na flagowiec eskadry atakującej Ar-Na-Tin.

To mnie nie zdziwiło. Skoro Nes nosił pancerz molekularny, nie mógł być zwykłym komandosem...

Bez wahania podszedłem do Fanga trzymającego nad głową obręcz hiperkatapulty. Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Rozłożył ręce i opadła na nas mleczna mgła hiperprzejścia.

7. Spowiedź

Szary mrok – gasnące światło albo nienarodzona ciemność. Lekkość, prawie nieważkość, złudzenie braku grawitacji... Hiperprzejście? Nie... Zbyt jest rzeczywiste.

– Mów, człowieku z Ziemi.

Nes stał przede mną. Sylwetka w ciemności. Przestępca i ofiara.

– Jeden słuchacz to dla mnie za mało – wyszeptalem. W tym półmroku, skrywającym kajutę obcego statku, w tej ciszy, gdy dźwięki wydawały się nienaturalne, można było mówić tylko szeptem.

– Słuchają cię tysiące, człowieku. Mów. Ci, którzy prowadzili statki do Ar-Na-Tina, i ci, którzy prowadzą je teraz do Ziemi.

– Dziękuję. – Popatrzyłem w ciemność. Kryły się w niej uważne oczy. Nes nie kłamał. Tam była śmierć Ziemi i galaktyki. – Przyszliśmy do was, niosąc dobro... – słowa pojawiały się same, pomimo woli. – Nasza wina, bo nie zrozumieliśmy różnicy pomiędzy nami. Nie zrozumieliśmy tego, co leży głębiej od czynów, nie zrozumieliśmy przyczyn.

Miałem to wszystko przed oczami. Jakbym był tam wtedy. Jakbym krzyczał przez grubą szybę, nie mogąc zamilknąć, chociaż nikt mnie nie słyszał. Pancernik „Missouri”, ekspedycja do Fanga. Wymiana informacji. Będziemy uczciwi, powiemy wszystko. Historia. Tak, byliśmy okrutni, tak, walczyliśmy. Przecież Fangowie też nie zawsze żyli w pokoju. Literatura, malarstwo... Wybrane czyny. Wybrane dzieła. Byliśmy źli i staliśmy się dobrzy. Wy też przez to przeszliście, prawda? Słuchajcie głosu Ziemi, uczcie się jej przeszłości – jesteśmy uczciwi wobec braci w rozumie. Demaskujemy wojnę, o, jakże jej nienawidzimy...

– Kiedyś – mówiłem do słuchającej ciemności – każdy człowiek zadawał sobie pytanie, na czym polega sens życia. Myślę, że wy też przez to przeszliście. Tylko znaleźliśmy odmienne odpowiedzi.

W książce, którą kocham od dzieciństwa, jest prosta odpowiedź na to odwieczne pytanie – człowiek żyje, żeby być szczęśliwym. Inna sprawa, co dla człowieka znaczy szczęście. Miłość, pokój, bogactwo, wiedza? Trudno spierać się z aksjomatem, trudno nawet w niego zwątpić. Dla was celem życia stało się piękno. To, co naturalne, nie może być brzydkie. To, co brzydkie, nie jest godne naśladowania. Raz na zawsze zdecydowaliście, co jest piękne, a co brzydkie. Dopóki was nie okłamaliśmy.

Zamilkłem, przetykając głośno. Czy tylko was oszukaliśmy? A siebie? Jakie piękne słówka zmusiły mnie do strzelania do ludzi, jakie piękne kłamstwa jak niewidoczne sznurki mną kierowały...

Kłamstwo. – Nie rozumiecie, czym jest piękne kłamstwo. Dla was to po prostu nie ma sensu, jak zimny płomień czy sucha woda... – urwałem, przypominając sobie Somat. Woda może być

sucha... Nieważne! – Ale my umiemy pięknie kłamać, żeby oszukać siebie, żeby uspokoić sumienie. Kłamaliśmy sobie, a oszukaliśmy was.

– Siergiej...

Plama światła w ciemności. Twarz Nesa otoczona drżącym migotaniem, jak twarz topielca wśród planktonu.

– Siergiej, naród Fanga wiedział od zawsze, że śmierć nie jest piękna. Zabójstwo jest brzydkie. Bez względu na cel, bez względu na usprawiedliwienia. Żyliśmy tą wiarą i zabijający umierał od samej świadomości ohydy swego czynu. Tak było zawsze, dopóki statek z Ziemi nie przyniósł nam nowej prawdy, nowego piękna, nowej wiary. W naszym języku te pojęcia określane są jednym słowem, ale ja dobrze znam wasz język. Zdziwiliśmy się. Oglądaliśmy wasze obrazy i czytaliśmy wasze książki. Uwierzyliśmy. Macie rację, w wojnie jest swoiste piękno, w okrucieństwie tkwi prawda, a śmierć ma swój nieodparty urok.

– Nie. Nie, mylisz się, Fangu...

– Spierasz się? – zapytał szybko Nes. – Nie powołuję się na wasze książki, każdy wybór musi nosić piętno wybierającego. Ta książka... nic nie powie Fangom, ale dla ludzi jest jak lustro, jak odbicie. Prawda?

W drżącym obłoku światła sunęła do mnie nieludzka ręką z zielonym tomikiem.

– Prawda – wyszeptalem, biorąc od Nesa *Księgę Gór*.

– Czytaj... Na głos.

Otwarte strony emanowały białym światłem, które, jak się zdawało, zrodził sam papier. Poczułem klucie w oczach, gdy wpadałem w trans.

Można zwalczyć tę autohipnozę. Można pokonać *Księgę*, jestem pewien. Ale nie wolno tego robić. Nie dlatego, że Fangowie wyczują kłamstwo. Kłamstwo nie może zwyciężyć. Nigdy...

– I nastał czas – powiedziałem, patrząc na równe linijki – gdy przyszło mi wybierać pomiędzy czarnym a białym, pomiędzy dobrem a siłą. Albowiem w słowach poety nie było prawdy, a pięści rodziły tylko zło. A gdy walczę o dobro, coraz to nowe zło pojawia się na świecie. Dzieci nieznające dzieciństwa, dorośli nienawidzący swoich dzieci... I wzięłam książki, które szły ze mną, i poprosiłam je o radę. Strona otwierała się tam, gdzie chciała okładka, i oczy patrzyły tam, gdzie litery były czarniejsze.

Czytałam i droga biegła tylko w jedną stronę.

„Krew chlusnęła na rękę młodzieńca, Agg Kosza drgnął w konwulsjach i zastygł”.

Dobro pochodzące ze współczucia jest złem.

I przypominałam sobie słuszne wojny i szukałam ratunku...

„...Dzieła o minionej wojnie, uduchowione talentem, zajmują szczególne miejsce. Siła ich oddziaływania na umysły i serca jest niezwykła. I nic dziwnego, że cieszą się tak powszechną miłością”.

Czytałam dalej, nie wierząc tym, którzy mówią o cudzym.

„Rita strzeliła w skroń i krwi prawie nie było. Niebieskie pyłki otoczyły otwór po kuli...”

Dobro pochodzące z patriotyzmu jest złem.

– Nie! – Oderwałem się od książki, – Nie tak jednoznacznie, Fangu! Ja to pamiętam!

Ból był jak wybuch, jak nóż wbity od wewnątrz. Znowu patrzyłem w *Księgę Gór*. Nagnę ją do swojej woli...

Nie tak jednoznacznie – mówiłem. I spieszyłem się, by przeczytać.

„Nie, nie, nie może być bezmyślne! Po co w takim razie to wszystko? Dlaczego strzelałem i widziałem w tym sens? Nienawidziłem ich, zabijałem i podpalałem czołgi, i pragnąłem tego sensu!”

Przelotna myśl: nie o wszystkim decyduje siła... i ta książka jak przekleństwo...

„Nie, zbyt dużo jest u nas miłosierdzia. Jesteśmy za dobrzy, nazbyt ustępliwi”.

Dobro pochodzące z patriotyzmu jest złem.

– Fangu! – zachłystywałem się słowami. – Fangu, to co innego, nie waz się... Nie dotykaj tego, czego nie rozumiesz...

– Czytaj dalej – powiedział po krótkiej chwili Nes.

„Tak, on ich uratował. W owej chwili można było działać tylko batem i kulą”.

Dobro dla idei jest złem.

„Rana na piersi nie była śmiertelna, kula nawet nie drasnęła kości...”

Dobro w imię wiedzy jest złem.

Odrzuciłem *Księgę*, która otworzyła się w ciemności.

– Nes, wy uwierzyliście w przemoc.

– Zrozumieliśmy, że i ona może być piękna.

– Pomyliliście się. Okłamywaliśmy sami siebie, żeby się usprawiedliwić.

– Zawsze?

– Zawsze. Od czasów biblijnych aż do naszych dni. Szukaliśmy usprawiedliwienia dla zabijania. Usprawiedliwienia dla cudzego bólu i własnego strachu. Najbardziej utalentowani służyli temu celowi. Czyniliśmy śmierć piękną, żeby uspokoić sumienie. Piękno nigdy nie było najważniejsze, było tylko narzędziem, usprawiedliwieniem celu, idei, patriotyzmu, miłości...

– Dla nas najważniejsze jest piękno.

– Nie wiedzieliśmy o tym, Nes! Szukaliśmy słów, żeby usprawiedliwić tych, którzy bronili

ojczyzny, miłości, wiary. Piękno było tylko środkiem.

– Dla nas było celem.

– Nes... Ubraliśmy zło w szaty dobra i piękna, żeby przetrwać. Kto wiedział, że spotkamy w kosmosie rasę, której celem jest piękno?

– My nie znamy innej miary. – Teraz głos Nesa był ledwie słyszalny. – Żyliśmy, tworząc piękno słów, dźwięków, obrazów, czynów. Daliście nam nowe piękno, a teraz chcesz nam dowieść, że to było błędem.

– Tak.

– Udowodnij więc.

Ciemność. Cisza.

Udowodnij. Znajdź słowa silniejsze od tych, które wypowiadały tysiące ludzi – genialnych, doświadczonych, dobrych.

Spróbuj spierać się z twórcami Biblii i Koranu, *Gorącego śniegu* [*Gorący śnieg* – powieść Jurija Bondariewa, radzieckiego pisarza, podejmującego problemy psychologiczne i filozoficzne, przedstawiającego m.in. temat wojny w retrospektywnym ujęciu i losy inteligencji rosyjskiej.] i *Trzech muszkieterów*, Szekspira i Puszkina. Znajdź słowa, które będą silniejsze. Znajdź kolory bardziej soczyste. Udowodnij, że nie opiewaliśmy wojny, tylko godziliśmy z nią ludzki umysł. Przecież człowiek nie jest zrodzony dla śmierci, swojej ani cudzej. Ja w to wierzę na tyle, na ile jeszcze zdolny jestem wierzyć...

– Nie potrafię tego udowodnić, Nes. Mogliby to zrobić ci, którzy wypowiadali te słowa. Udowodnić, wyjaśnić, wytłumaczyć.

Jestem tylko człowiekiem, Nes! Pamiętam, wiem, wierzę, ale nie umiem dowieść!

– Nie wystarcza ci słów i zdolności? – zapytał spokojnie Nes.

– Tak.

– Ale wierzysz, a to już niemało. Przypomnij sobie i spróbuj to poczuć. My zobaczymy, człowieku. Jeśli wierzysz, jeśli nie odżegnujesz się od swojej wiary, otwórz swój umysł. Zobaczymy.

Czy na pewno nie kłamię? Skąd mam to wiedzieć? Cieszyłem się ze zwycięstw. Nie wahałem się, zabijając wrogów. Tych, którzy służyli Shorreyowi; tych, którzy zagrażali Ziemi; tych, którzy zabijali moich przyjaciół. Czy był we mnie choć cień wątpliwości? Nie. A w głębi duszy?

To dobrze, że ktoś może zajrzeć tak głęboko i nie utonąć.

– Popatrz na to, Nes – powiedziałem. – I wy, którzy jesteście daleko, Fangowie. My nie lubimy zabijać. Nienawidzimy wojny i jej okrucieństwa. Przysięgam. Byłem żołnierzem przez całe życie. Cieszyłem się ze zwycięstw i nienawidziłem ich. Wielu przyniosłem śmierć, a nikomu... na razie... nie dałem życia. Przypatrzcie się moim myślom. Nie wiedziałem, co się stanie: kalejdoskop wspomnień, wrażenie obcego rozumu w świadomości? Nic podobnego.

Czułem tylko zimno. A potem głos Nesa:

– Mów, człowieku. Teraz jest tylko prawda, kłamstwo znikło. Mów.

– Prawdę? – zaśmiałem się obcym śmiechem. – Czego ty ode mnie chcesz? Zabijaliście ludzi, atakowaliście planety, a teraz chcecie pokoju? Załatwimy was. Aż do ostatniego szczeniaka albo jak tam nazywacie swoje dzieci... – Dziećmi – odpowiedział bez emocji Fang. – Mów... – Nasłuchaliście się moich kłamstw? Pokój, przyjaźń, bla, bla, bla... Gówno! Byliśmy wojownikami od zawsze. Od pierwszych ludzi, walczących z tygrysami szablatozębnymi, do tych pilotów, którzy skopią wam tyłki za kilka godzin.

– Ty też byłeś wojownikiem? Zawsze?

Milczałem. Nie dlatego, że nie znałem odpowiedzi – po prostu chciałem, by moja odpowiedź była jak najbardziej słuszna... piękna... uczciwa... Myślałem teraz pojęciami Fangów, bo to ich rozum szalał w mojej świadomości, to ich wola żądała ode mnie prawdy.

– Nie – wyszeptałem. – Nie. Nienawidziłem siły. To ból, to strach...

– Czyj ból? Czyj strach?

– Mój ból... Nie chcę... Dlaczego? Dlaczego?!

Krzyczałem, a wokół siebie widziałem karuzelę twarzy. Migające, przechodzące jedna w drugą twarze. Moi wrogowie. Wszyscy którzy mnie nienawidzili. Wszyscy, którzy mnie odepchnęli. Nie podali ręki, nie odpowiedzieli na błagania.

– Dlaczego? – szeptałem do niekończącego się szeregu.

– Dlatego... – Mój szkolny wróg i dręczyciel, Ilias.

– ...było mi źle... – Chłopak, który trafił do wojska rok wcześniej.

– ...przez takich jak ty... – Mężczyzna, dla którego rosyjski był językiem obcym.

– ...i innych smarkatych mądrali... – Wykładowca w instytucie.

– ...którzy nie są lepsi od innych facetów... – Moja pierwsza dziewczyna.

– Zemszczę się! – obiecałem.

– Na kim? – zapytał Nes, wychodząc ze strumienia nienawistnych twarzy.

– Na wszystkich! – krzyknąłem. – Na tych, którzy sami skrzywdzeni, krzywdzą innych, bez wyjątku, jak leci. Nie chcę, ale nie mam innego wyjścia. Będę niósł śmierć, piękną i ohydną, wszystkim, których uważam za wrogów! Nie na tym polega sens, nie to jest najważniejsze! Tak, my walczymy przez całe życie. Nie mamy wyboru. I szukamy usprawiedliwień, szukamy pięknych słów, które przykryją nasze okrucieństwo. Nie mamy wyjścia, Fangu. To obrzydliwe, ale będę udawał, że wojna jest piękna. Nie mamy wyjścia!

– Wierzysz w swoje słowa – podsumował Fang. – Wierzysz, że wojna jest potworna, a okrucieństwo niesłuszne... Że jesteś zmuszony żyć zgodnie z prawem siły. Wierzysz. Pomyliliśmy się, biorąc maskę za istotę.

– Wszyscy kłamią, gdy mówią o miłości i nienawiści – wyszczałem. Cudza wola

wycofywała się z mojej świadomości.

– Możliwe, że się pomyliliśmy. Ale nawet błędne piękno pozostaje pięknem. Rozumiesz? Nagle zobaczyłem oczy Fanga. Ogromne, migoczące w ciemności. – Więc co ty... co postanowiliście? – zapytałem. – Będziecie dalej walczyć? – Myślimy. Ciemność. Ledwie wyczuwalne oparcie pod nogami.

– Nasze statki opuszczają przestrzeń Ar-Na-Tina – oznajmił Nes.

– Zrozumieliście? – zakrzusłem się. – Rezygnujecie z wojny?

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Nastąpi przegrupowanie sił do zaatakowania Ziemi albo wycofania się, wszystko jedno. Nie można zastąpić kłamstwa pustką, człowieku. Jedynie prawdą. A ty jej nie znasz... i my też. Na razie...

Nie zdążyłem nic powiedzieć, o nic zapytać. Ciemność uderzyła we mnie ze wszystkich stron.

8. Czerwone i żółte

Kajuta, w której odzyskałem przytomność, nie była duża. Żadnych mebli, bladobłękitne obicie ścian, słabe pomarańczowe światło płynące z lamp ukrytych w rogach sufitu. W ścianie widać było owal zamkniętego luku.

Wstałem i od razu, po nieuchwytnych dla świadomości oznakach zrozumiałem, że statek stoi na planecie. Czy w czasie, gdy byłem nieprzytomny, Fangowie wylądowali na Ar-Na-Tinie? A co z przegrupowaniem? Co oni w ogóle chcą ze mną zrobić?

Bez szczególnej nadziei podszedłem do luku. Sięgnąłem do ledwie widocznych przycisków na ścianie, ale nie musiałem ich naciskać. Luk sam się opuścił. Nie zdążyłem zdziwić się niedbalstwem wrogów, gdy w otworze pojawił się Nes.

Miał na sobie kombinezon bojowy, a przy pasie dwa atomowe miecze w srebrnych pochwach. Jeden miecz był chyba ziemski.

– Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku – powiedział bez specjalnego zachwytu. – Grawikompensatory działały do końca.

– Co się dzieje? – zapytałem ostro.

– Ziemskie statki – odparł spokojnie Nes. – Unikaliśmy walki, ale uszkodzenia są bardzo duże. Mój statek już nie polecą.

– Zderzenie z Ar-Na-Tinem? – zapytałem drwiąco. – Jasne, tam to was kochają...

– Przechodź. – Nes cofnął się o krok.

Nie spierałem się. Wąska kajuta kojarzyła mi się ze śluzą. Półprzezroczyste szafki ze skafandrami, szeroki właz, pulpit z martwym, wyłączonym ekranem...

– Mój statek już nie polecą – powtórzył Nes. – Strzelcy na stanowiskach bojowych są martwi. Trudno. Prawda jest ważniejsza.

Zamilkł. Krótka, starannie wyliczona przerwa.

– To twoja planeta, księżę.

– Ziemia?

– Ta, na której żyłeś w naszym czasie. Somat.

Wyciągnął rękę do martwego pulpitu i powoli, z wyraźnym wysiłkiem wduśli duży ciemnożółty przycisk.

Dopiero teraz pomyślałem, że dla Fangów żółty kolor ma to samo znaczenie, co dla nas czerwony. Kolor krwi.

– Statek nie polecą – powtórzył jeszcze raz Nes. Jakby na potwierdzenie jego słów, na obwodzie szerokiego zewnętrznego luku zapłonęła oślepiająca linia. Pancerna płyta bezgłośnie wypadła na zewnątrz.

Błysnęło światło słońca.

Wzbiła się fontanna piasku, na który upadło pół tony metalu. Przy krawędziach luku syczał dogasający płomień.

Patrzyłem w otwór jak zaczarowany, nie mogąc odwrócić wzroku.

To naprawdę był Somat.

Nes popatrzył na mnie, uśmiechnął się i zeskoczył na dół, prosto na posypany piaskiem metal.

– Koniec zawsze powraca do początku! – zawołał. – Dla każdego sporu jest odpowiednie miejsce. Chodźmy, książę.

Ruszyłem za nim jak zahipnotyzowany i też skoczyłem – Nes miał taką minę, jakby chciał podać mi rękę. Powietrze Somata napełniło mi płuca.

Zakaślałem. Gardło wyschło niemal natychmiast, w nozdrzach jakby ktoś przejechał papierem ściernym. Wilgotność zero procent.

Nes patrzył na mnie z ciekawością. – Twój świat – powiedział półgłosem. – Twoje reguły. Zacząłem oddychać ustami, pozostawiając tylko wąską szczelinę. Tak robiliśmy, wymieniając filtry nosowe.

– Nes, musimy wezwać pomoc – powiedziałem na wydechu. – Wasz albo nasz statek. Uratują nas i to będzie piękne.

Fang milczał.

Powstrzymując przekleństwa, rozejrzałem się. Żółta góra z zielonym połyskiem to szczyt Jesiennego Liścia. Jasny pas w oddali – Białe Wybrzeże. Wylądowaliśmy niedaleko od naszej kopuły mieszkalnej. Jakies siedemdziesiąt kilometrów, można dojść w ciągu doby. Oczywiście, jeśli ma się maść ochronną i filtry nosowe. Jako maści można użyć tłuszczu, na filtry dowolnego materiału. Co prawda, trzeba je często moczyć...

Nes, dojdziemy do mojego starego domu, tam jest awaryjny punkt sygnałowy... jeśli oczywiście twój jest uszkodzony.

– Posłuchaj – powiedział cicho Fang dziwnie żalonym głosem. – Czy słyszysz ciszę, książę?

Zamknąłem oczy. Spokojnie... to przecież Fang. Nie ruszy się z miejsca, dopóki nie oceni całego piękna okolicy. Spokojnie... Posłuchać ciszy. To nie potrwa długo.

Powietrze było ciepłe i nieruchome. Najpierw usłyszałem swój oddech. Potem bicie serca.

Cisza.

Światło słońca płynące przez powieki. Kwiatowa woń Fanga bezdźwięcznie rozplywająca się w bezwonnym powietrzu. Cisza.

Milczenie. Od horyzontu do piasku pod nogami. Nieruchome wydmy, zastygłe skały. Niebo jak granatowy klosz.

Cisza. Przedmurze dźwięków, wspomnienie ruchu, cień życia, daleki szelest suchych fal... A może to gorący puls krwi w bezużytecznych uszach. Suchy ocean pokryty kamiennym lodem.

Cisza.

– Umiesz słuchać, książę...

Słuchowa halucynacja, własna myśl czy nieznośnie głośne słowa Fanga?

Okrągłe, niemrugające oczy badały moją twarz. Czego ty chcesz, Fangu? Co próbujesz zrozumieć?

– Chodźmy – poprosiłem szeptem. – Chodźmy do mojego domu, Nes.

– Popatrz – powiedział tak samo cicho. – Widzisz to, czego nie widać, książę? Suche i czyste powietrze, przezroczyste jak próżnia, bezlitosne jak szkło powiększające. Mgliste opary – makijaż na twarzy planety – zmyte raz na zawsze.

Pustka.

Jaskrawe, martwe kolory skał. Trupia siność nieba. Żółte na niebieskim, szare na niebieskim, białe na niebieskim. I każdy odcień, każdy półton tak samo czysty i martwy.

Pustka. Tysiące barw i ani jednej żywej.

Pustka. Od horyzontu do piasku pod nogami. Obnażone skały, sterylne góry, zbezczeszczona woda.

Pustka.

I jeszcze to, czego tu nigdy nie będzie. Zimowy śnieg i wiosenna zieleń. Dojrzewanie letnich jagód i rudość umierających liści. Tonące w kwiatach domy ludzi. Kalejdoskop odświętnych strojów. Smukłe wieże Fangów w niekończącej się spirali wzoru na ścianach. Statki wysmukłe dzięki ludzkiej myśli i niezawodne dzięki nieludzkiej logice.

Pustka.

Tego nie będzie. Nic nie będzie. Nie usłyszeli mojego krzyku, nie zobaczyli moich koszmarów. Pustka. Nikogo nie przekonałem, tylko siebie. Pustka. Punkt docelowy. Nie ma przyszłości.

– Umiesz patrzeć, książę...

Cień szacunku w głosie? Mięsień, który drgnął mu na twarzy? Bzdury. Wszystko to jest zbyt piękne, a to znaczy, że Fangowie mają rację. Terry siedząca z podwiniętymi nogami na fotelu... pustka. Obrazy Dańki na ścianach muzeum... pustka. Pożegnalne machanie ręką młodego roadera... pustka. Lans w czarnej kuli hełmu pilotażowego... pustka. Trofeum liżący malutkiego kotka... pustka.

– Dobrze mówiłeś, książę. Słuchaliśmy cię. Ale to tylko jedna strona prawdy.

Skrzywiłem twarz w drwiącym uśmiechu. Rozumiem was, Fangowie. Nie ma sensu przekładać jasnych myśli na mgliste ludzkie słowa.

Pięknie mówiłeś, książę, twoje słowa sprawiły nam przyjemność. A teraz my pokażemy ci inne piękno. Przekonasz się, że śmierć może być piękna. Urządzimy międzygwiazdną rzeź. To będzie piękne.

Patrzyłem na Fanga: płynne, pewne ruchy, absolutne skupienie i spokój na twarzy. Wymach ręki i pistolet odlatuje daleko. Pełen szacunku pokłon – i atomowy miecz w srebrnej pochwie ląduje na piasku przede mną. Dawno wszystko przewidzieliście, Fangowie. Mój spór z wami również. Przypasałeś wczoraj ludzki miecz, Fangu, przewidując swój dzisiejszy gest.

Cisza i pustka. Ciemne niebo. Żółte słońce w oślepiająco białej obwódce.

– Popatrz, Fangu. – Mówiłem wcale nie to, co chciałem. – Podwójne słońce! Ja i Terry chcieliśmy uczynić ten dzień głównym świętem planety. To zdarza się tylko raz na ponad sto lat.

„Święto, którego nie zobaczysz dwa razy” – tak chcieliśmy je nazwać. Ale tobie tego nie powiem. Twój absolutny gust nie będzie oceniał naszych dyletanckich prób: „Zrobić tak, żeby było ładnie”. Zostaniemy ze swoim pięknem, Fangu. I z nim umrzemy.

Nes skinął głową, nie patrząc na niebo.

– Umiesz myśleć, książę. Dla każdego sporu jest odpowiedni czas. Raz na sto lat albo raz w życiu.

– Będziemy walczyć? – spytałem, podnosząc miecz.

Fang skinął głową.

Machnąłem mieczem, uwalniając klingę. Ciąłem nią w powietrzu. Nigdy nie będę nosił tego miecza. Nawet jeśli wygram pojedynek, po drodze do kopuły broń będzie tylko bezużytecznym ciężarem.

Nikt mnie nie zaatakuje, planeta jest martwa...

Nikt nie zaatakuje trupa.

Nes wyciągnął z pochwy swoją klingę; przelotnie zarejestrowałem jej szerokość. Ostrze mojego miecza było dwa razy węższe.

Co mu to da? Zbyt szeroki miecz jest cholernie niewygodny.

Fang zasalutował, prezentując piękny i skomplikowany ruch. Jaki ja jestem zmęczony tym waszym pięknem...

Zadałem szybki, dokładny, kłujący cios. Podły cios – Nes nie był gotowy do obrony, na razie oddawał mi honory...

Klinga weszła w ciało Fanga z lekkim chrzęstem – albo łamanych kości, albo podartego kombinezonu. Nes cofnął się, jakby schodząc z miecza. Dziesięć centymetrów atomowego ostrza w ciele nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Na jego twarzy pojawiała się obrażona mina.

– Żle – powiedział rozczarowany. – Żle, książę.

– Wojna zawsze jest zła – prawie krzyknąłem, już nie zwracając uwagi na banalność tych słów. – Sam się prosisz!

– Zły cios, książę. Słowa jeszcze gorsze...

Cienkie palce Fanga wyjęły z kieszeni na piersi małą czarną kulkę. Uśmiechnąłem się

krzywo. Więc to właśnie kryje się w tajnej kieszeni. Broń...

Zdążyłem już zapomnieć, że Fang sam dał mi miecz.

Nes podrzucił kulkę, która na przekór grawitacji wzleciała w górę. Zatrzymała się dziesięć metrów nad nami, czarną powłokę otoczyły białe, trzeszczące iskry. Zapachniało ozonem. Wydawało mi się nawet, że w górę, do kulki, popłynął lekki wietrzyk. Taka transmisja energii byłaby konieczna jedynie przy hiperpołączeniu.

– Zaczynamy, księżę.

Zainkasowałem wspaniały cios w głowę. Nie dość, że uderzenie było skomplikowane i rzadkie, to jeszcze Nes zadał je z absolutnie nieodpowiedniej pozycji.

Zdążyłem zablokować; mój miecz skoczył ku wrogiej klindze. Zazwyczaj, gdy przecina się drogę mieczowi przeciwnika, pozbawia się go części ostrza.

Fang zdołał skrócić swój miecz i ostrze przeszło milimetr od mojej klingi, już płonącej białym ogniem ostatniego ostrzenia.

Przez sekundę Nes trzymał miecz poziomo, nad głową. Potem zadał cios, który nie przeciął mnie na pół jedynie dzięki mojej szybkości. Szczerze mówiąc, nie doceniałem własnej reakcji. Być może zbyt rzadko miałem doping w postaci tnącego ciosu miecza płaszczyznowego.

Było w tym pojedynku coś z mojej pierwszej poważnej walki – z Shorreyem Manhemem, nadczołowiekiem. Wiedziałem, o co chodziło – o klasę przeciwnika. Zarówno wtedy, jak i teraz beznadziejnie mu ustępowałem. Treningi i walki w czasie tych wszystkich lat spędzonych poza Ziemią przeszły bez śladu. Walczyłem teraz na poziomie Shorreya, może nawet lepiej. Udało mi się osiągnąć najwyższe mistrzostwo... jak na człowieka.

Ale Fangowie nie są ludźmi.

W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że Nes prowadzi w walce. Całkowicie kontroluje moje wypady, prowokuje te lub inne ciosy. Nasza walka staje się pięknym widowiskiem, w którym ja odgrywam rolę statysty albo partnera sparringowego. I nic nie mogę na to poradzić – Fang przewidział wszystko, nawet moje olśnienie i próbę narzucenia swojego scenariusza pojedynku. Robi teraz to, co nie udało się niegdyś Shorreyowi.

Ale teatralność Shorreya wobec klasy Nesa była niczym szkolne przedstawienie wobec premiery w Teatrze Wielkim.

Te same słowa, nawet podobne ruchy. Ale wszelkie porównania byłyby tu bez sensu.

Czułem się tak potwornie zmęczony, jakbym nie walczył niemal nieważkim mieczem, lecz wyciskał stukilogramową sztangę. Znużenie sączyło się do płuc ciepłym, suchym powietrzem bez smaku; wpełzało do oczu wielobarwnością skał; płynęło ze zdrtwiałych na rękojęści palców.

Nie mam dwudziestu dziewięciu lat. Mam znacznie, znacznie więcej. Dwieście dziewięćdziesiąt... albo dwa tysiące dziewięćset. Moje ręce wykuwały miecze z brązu, później ze stali. Moje oczy wypalał blask roztopionego metalu i wyżerał gaz musztardowy. Moje nogi

ślizgały się w błocie, ciągnąc po jesiennych drogach haubice; pękały pod gąsienicami czołgów. Na moje plecy zwalono zbyt duży ciężar – zabierzcie choć część! Zbyt szczelny pancerz... uduszę się. Za wiele materiału wybuchowego... utonę w prochu. Za dużo zabitych – ich martwe ręce mnie nie wypuszczą.

Nie mam dwudziestu dziewięciu lat... mam mniej, znacznie mniej... dziewiętnaście, dziewięć... minus dziewięć miesięcy. Odbylem swój pierwszy wojskowy bieg... tyle, ile zdołałem przebiec. Moja twarz spoczywa na miękkim od upału asfalcie, a kałasznikow przyciska do ziemi lepiej niż but sierżanta. Nie, jeszcze nie. Po raz pierwszy rozbili mi w bójce nos i teraz płacę, ścierając z twarzy łzy zmieszane z krwią. A mój smarkaty wróg płacze obok mnie – dotąd nikogo nie uderzył tak, żeby popłynęła krew. Nie, też nie to. Przecież mnie jeszcze nie ma, dlaczego miałbym walczyć na piaszczystej arenie martwej planety? Dopiero szykuję się do tego, żeby zaistnieć – pozbawiając tej możliwości miliony moich niedoszłych braci i siostr. Moje geny połączą się i nowe ogniwo zasili niekończący się łańcuch. Niosę w sobie więcej śmierci niż życia. Porozmawiaj ze mną o pięknie, Fangu!

Patrzyłem w nieruchome żółte oczy, zadając i parując ciosy. Nie zdołacie nas pokonać, ale my zdołamy przegrać razem z wami. Podarowaliśmy wam nowe piękno, a to znaczy, że również nową prawdę. A wy nie pozostaliście nam dłużni. Jak wyjaśnić, dlaczego uczyniliśmy wojnę piękną, skąd się wzięły książki i filmy, które ją opiewają? Jak przetłumaczyć Fangom, że zło może być piękne, skoro dla nich „piękno” i „dobro” to synonimy?

– Draniu – wyszeptalem, odskakując od Nesa. Czy uda mi się go zmęczyć? Przecież on jest ranny! Ma pokaleczone do krwi ręce! Powietrze Somata jest dla niego jeszcze bardziej szkodliwe niż dla człowieka!

Pot wysychał mi na czole, zanim zalał oczy. Od gwałtownych ruchów zaczynała boleć wyschnięta skóra na rękach i nogach. A w niebie wisiał czarny punkt nadajnika. Przekazuje nasz pojedynek, taki piękny i ekscytujący, taki słuszny i dobry! Mały spektakl w reżyserii komandora Nesa. Czy przekonam go, zadając śmiertelny cios? Czy dla całkowitego zwycięstwa powinienem wystawić się na cios i umrzeć w maksymalnie brzydki sposób?

Kto wie, co dla Fangów jest piękne, a co ohydne? Tylko Fang. Czy moja rozłupana czaszka będzie wyglądać wystarczająco brzydko?...

Brzydko... udowodnić, że to jest brzydkie... jak mogę udowodnić ohydę walki w mojej sytuacji?

Odbiłem wypad Nesa, udało mi się przy tym skrócić jego miecz i poczułem nieśmiałą nadzieję. A może on jednak słabnie i walczy już granicy sił?

Może uda mi się przeżyć?

Ale czy przy tym wygram?

Udowodnić...

Statek Nesa stał z boku. Nasza walka była jak taniec wzdłuż małego strumyczka suchej wody. Szary, sunący powoli pył. Lecący za nami hipernadajnik. Fangowie, z przyjemnością obserwujący przedstawienie. Oceniają wszystko – od synchronizacji naszych ruchów do piękna skał. Nie zdziwiłbym się, gdyby hipernadajnik przekazywał również zapach naszych spoconych ciał...

Udowodnić, że to jest brzydkie... Nie zdołałem wyjaśnić, że wojna nie jest piękna. Jak przekonać Fangów, że to pokój jest piękny? Jak, skoro walczymy na tle dekoracji krajobrazów Somata z jego olśniewającym, ale martwym pięknem!

Nes po raz kolejny przeprowadził kontratak i nagle zauważyłem, że się odsłania. Leciutko, na ułamek sekundy... Każdy mój wypad będzie śmiertelnie ryzykowny. Ale jednak pojawiła się szansa dosięgnięcia go.

Kolejny atak Nesa i znowu ten sam błąd. Czy on nie wie, że jest cios, którym mogę dosięgnąć w takiej pozycji? Zwykły cios, z przykłękami na prawe kolano...

Ale Fangowie nie klękają, nawet zadając cios wrogowi. To byłoby nieładne, a więc dla Nesa taki sposób nie istnieje...

Teraz walczyliśmy nad strumieniem. Nes przypierał mnie do brzegu, jakby chciał zepchnąć do wody.

Perspektywa kąpieli w martwej wodzie niespecjalnie mnie bawiła.

Fang znowu przeszedł do kontrataku – szybko, pięknie, słusznie. Nie niepokoił go nieosłonięty brzuch – nikt nigdy nie padnie przed wrogiem na kolana, nawet żeby go zabić.

Odbiłem jego wypad i zadałem cios – mój główny atut, moje psychologiczne zwycięstwo. To, co Fang uważa za niemożliwe.

Klinga weszła w Nesa tak samo głęboko jak za pierwszym razem. Ale teraz trafiłem w któryś z życiowych ośrodków.

Skóra pod zjeżoną sierścią niemal błyskawicznie przybrała barwę popiołu. Nes wydał krótki, przeciągły, wibrujący jęk i odchylił się do tyłu, jakby znowu chciał zsunąć się z klingi. Niewiele mu to dało, rana była zbyt poważna. Ruchy miał teraz niezgrabne i powolne. Wreszcie upadł. Przez rozcięcie sączyła się bursztynowożółta krew. Materiał kombinezonu daremnie usiłował złączyć przecięte brzegi. Nes spróbował wstać, nie zdołał i poturlał się po piasku – prosto do szarego strumienia suchej wody. Zapadł się w niego z głową, z trudem wstał i znowu opadł w rwący strumień pyłu. Wyszeptał, płacząc ludzkie słowa z ojczystym językiem:

– Shyar... adi shyar... jak nieładnie...

Drgnąłem. Dowlokłem się do Fanga po mętnej, jakby kipiącej suchej wodzie i zapytałem, wstrzymując oddech:

– Co powiedziałeś? Nieładnie?

Czarny punkt hipernadajnika opadł i zawisł metr nad moją głową.

Oczy Nesa patrzyły na mnie z dziwną ironią.

– To nie jest ładne, książę... śmierć jest nieładna... wojna jest nieładna... Zrozumiałem. Adi shyar. Niech inni też rozumieją.

Czy to ma być takie proste? Wszyscy Fangowie nas teraz widzą i słyszą! Muszą uwierzyć komandorowi Nesowi!

Rozejrzałem się bezradnie. Rozbity statek w oddali, martwe skały... Zwyciężyć może tylko miłość. Zmusić wroga do przegranej może również nienawiść, ale zwycięża tylko miłość – uczyliśmy tego przez tysiące lat...

Co to za brednie? Czyje myśli wyłaniają się z pamięci? Dlaczego za tymi wyświechtanymi sloganami pulsuje ból i strach? Nie pomył się... Nie pomył się, lordzie z planety Ziemia.

Zwycięża tylko miłość.

Nie wpadnij w pułapkę fałszywego zwycięstwa. Będzie gorsze od przegranej.

– Nes – wyszeptalem – Nes, kiedy mi uwierzyłeś? Kiedy uwierzyłeś w moją prawdę? W moje piękno?

Fang drgnął. Stał po kolana w przezroczystej wodzie i widziałem, jak rozplývają się w niej żółte strużki krwi. Kombinezon Nesa nie mógł zasklepić rany...

– Teraz, książę. Teraz – powtórzył twardo.

Patrzyłem na niego bez słowa. Na drobne żyłki pulsujące wokół oczu. Na mokrą, pozlepianą sierść. Nawet teraz był piękny. Nawet własną śmierć zdołał zawczasu przewidzieć i doskonale odegrać. Żalony, wymęczony wygład nadałby jego słowom odcień fałszu. Zbyt szybka przegrana – piętno słabości.

Umierał tak samo pięknie, jak żył. I tamci musieli mu uwierzyć. Musieli.

– Zbyt długo przebywałeś ze mną – powiedziałem. – A może widziałeś to, o czym opowiadałem? Uwierzyłeś i zrozumiałeś, jak przekonać innych...

– Milcz. – Nes wstał chwiejnie. Cienkie strużki wody spływały z kombinezonu, mieszając się z żółtą krwią. – Zamilcz, książę!

Teraz w jego głosie był już tylko ból. Widział, jak wali się wieża jego kłamstw, jak wypowiedziane przez niego słowa niszczą piękno. Czarna źrenica hipernadajnika patrzyła na nas zimno.

– Nie pozwolę ci umrzeć – wyszeptalem. – Dość już męczenników budujących z siebie fundament świątyni...

– Rozpoczynasz wojnę – wycharczał Nes. – Już ją zacząłeś. Wszystko układało się tak dobrze, a teraz... Ludzie i Fangowie znowu będą zabijać.

– Jeśli nie potrafimy zrozumieć, co jest piękne, a co brzydkie, jeśli nie umiemy wysłuchać siebie nawzajem... Pozostaje nam tylko śmierć, Nes. Daj rękę.

Zapłakałby, ale Fangowie nie umieją płakać. Podał mi drżącą dłoń.

– Nie przekonaliśmy ich. Shyar...

Z poranionych palców spadały do wody bursztynowe krople. Spadały i powoli rozpląwały się w czystej wodzie. W wodzie... W prawdziwej, mokrej, żywej wodzie...

– Co to, książę? – Głos Nesa jakby się wzmacnił. – Woda?

Z góry nadal sunął strumień szarego pyłu. Ale koło nas płynęła prawdziwa woda. U naszych stóp cicho bulgotała, zrzucając szarą powłokę. Tam, gdzie wpadały ciemnożółte krople, stawała się przezroczysta, kryształowa.

– Twoja krew, Nes – powiedziałem zaskoczony. – Twoja krew stała się katalizatorem odwrotnej przemiany wody. Związki krzemowe rozpadają się... Moja krew... dowolny płyn biologiczny zrobiłby to samo, tylko wolniej. Chodźmy.

Niemal siłą wyciągnąłem go na brzeg. Czarna kulka zaczęła krążyć nad nami, posłuszna woli odległego operatora albo swojemu programowi.

– Woda ożywa – powiedział cicho Nes. – Jak pięknie...

– Nie na długo, proces nie jest stabilny. – Poklepałem się po kieszeniach, jakbym nie wiedział, że nic w nich nie znajdę. – Cały spływasz krwią. Masz bandaż?

Fang pokręcił głową, nie odrywając wzroku od strumienia. Z góry napływał szary pył i błękitna wstęga czystej wody ginęła pod jego naporem.

– Potrzebny mi bandaż...

Zacząłem odrywać rękawy kurtki. Mocny materiał stawiał opór, więc wyjąłem nóż. Podszewka kurtki jest higroskopijna, może służyć jako tymczasowy opatrunek. Przecież krew Fangów powinna krzepnąć...

Ostry nóż rozpruł tkaninę i przejechał po ręce. Zakląłem, szarpnąłem rękaw i ciąłem po szwie. Popatrzyłem na długą rysę na przedramieniu. Rana nie była głęboka, ale krew płynęła obficie. Normalna, ludzka, czerwona krew...

– Zmyj krew, dopóki jest woda, zmyj! – Nes niemal krzyczał. Popatrzyłem na niego, nie rozumiejąc; wzruszyłem ramionami. Przesunąłem dłonią po skaleczonym przedramieniu i włożyłem rękę do niknącej w oczach plamki czystej wody, zrodzonej wolą Fanga i moim ciosem – niknącej, jak nasze nadzieje na pokój...

To było jak wybuch. Woda zagotowała się jak skroplony gaz, do którego wpadło rozpalone żelazo. Odrzuciło mnie od strumienia wprost pod nogi pólężącego Nesa. A w dół płytkiego strumienia toczyły się błękitne fale – pod ich naporem znikał szary pył, zmieniając się w zwykłą wodę. Na grzbietach fal płały białe iskry, od czasu do czasu zapalały się przezroczyste jęczyczki płomieni.

– Twoja planeta zaczyna żyć, książę – wyszeptał Nes. – Jest czas na śmierć i jest czas na życie. Jedno rodzi drugie i nie ma temu końca...

– Wiedziałeś o tym wcześniej? – ścisnąłem Fanga za ramiona. – A więc z naszej krwi

powstał stabilny katalizator? Planeta ożyje na zawsze?

– Nie wiedziałem. Ale to byłoby piękne. I uwierzyłem, że tak mogłoby być. Dobrze, że się nie myliłem.

Nes uśmiechnął się i jego uśmiech po raz pierwszy wydał mi się szczery. Ale jeszcze nie rozumiałem. Wyglądałem pas oddarty z kurtki, próbując nałożyć żaloszny „bandaż” na jego krwawiącą ranę.

– To nie ma sensu, książę. Śmierć jest już we mnie, nie zasłonisz jej. Wiedziałem, w jaki punkt ma wejść twój miecz. Ciało umiera. To nieodwracalne, jak reakcja łańcuchowa suchej wody.

Z daleka dobiegło głośne tąpnięcie. Drgnęła ziemia. W szarym morzu pyłu błysnął biały płomień. Związki krzemowe rozpadały się, rodząc wolny wodór i tlen. Nadmiar wyzwolonej energii sprawiał, że płonęły; na wodzie szalał krótkotrwały ognisty cyklon.

Łatwiej się teraz oddychało. Powiał wilgotny, pachnący ozonem wiaterek. Góry zasnuwała delikatna mgiełka. Kolory nabierały łagodności. Niebo pojaśniało.

– Będą chmury i deszcz. – Głos leżącego na trawie Nesa stawał się coraz cichszy. – Będzie trawa i drzewa. Będzie życie. Książę, jeszcze nie rozumiesz? Narodziny życia są piękniejsze niż jego śmierć. Fangowie zapragną teraz dawać życie.

Piasek pod nim był cały bursztynowy. Nes już nie mógł unieść powiek. Stałem nad nim, wiedząc, że nie zdołam mu pomóc. Uczono mnie, jak zabijać Fangów, nie pokazywano, jak leczyć.

– Możesz powiedzieć ludziom wszystko, co chcesz. Widzieli nas nie tylko Fangowie...

Pochyliłem się nad jego twarzą, żeby zrozumieć ciche słowa.

– Wyszło tak pięknie... Dokończ mój wzór, książę.

– Dobrze, Nes – obiecałem. Siedziałem obok, trzymając go za rękę, dopóki nie przestało to być potrzebne.

Grób wykopałem obok strumienia, w piasku. Ciało Nesa stanie się częścią planety. Wierzyłem, że to by mu się spodobało. Atomowym mieczem wyciąłem z okolicznych skał dwie kamienne płyty – purpurowoczerwoną i bursztynowożółtą. Na obu wyryłem linie z dolnego lewego rogu do prawego górnego. Wiedziałem, że mam rację – nikt z Fangów nie spełnił swojego obowiązku tak jak Nes. Włączyłem nieprzerwane ostrzenie obu mieczy i wbiłem je rękojeściami w piasek. Dopiero później pomyślałem, że miecz Nesa będzie płonął dwa razy dłużej niż mój. Fang mógł mnie pokonać samym ostrzeniem miecza...

Czarna kulka powoli przeleciała nad mogiłą i zamarła przed moimi oczami. Patrzyłem na nią, nie myśląc Fangach. Tylko jeden z nich był moim przyjacielem. Myślałem o Terry, o swojej załodze, o wszystkich, którzy stali mi się bliscy na Ziemi. Wiedziałem ich twarze i wiedziałem, że teraz na mnie patrzą.

– Terry, chłopcy... Przylatujcie. Szykuje się duża robota. Niezręcznie wzruszyłem ramionami, uśmiechnąłem się i dodałem:

– No i to by było na tyle.

...Mokry piasek chrzęścił pod nogami, a z tyłu, pomiędzy dwoma płonącymi mieczami, kołysała się czarna kulka Nesa. Od strony morza dobiegał plusk fal i wiała mokra bryza.

Dopóki jest słońce i powietrze, zawsze będzie wiatr. To dobrze, że czasem wieje w twarz.

Ruszyłem do swojego domu.